

**Luben Diłow**

**Długa podróż „Ikar”**  
(Pytlat na Ikar)

*Przełożyła Krystyna Migdalska*

Pamięci nieodżałowanego przyjaciela i pisarza Cwetana Stojanowa, który gorąco zachęcał mnie do napisania tej książki. I nie dożył jej ukończenia.

Autor

*Wysyłając zapiski Zenona Balowa spełniam nie tylko służbową, lecz także smutną przyjacielską powinność. Wyczytałem w nich wyraźne życzenie autora, by pewnego dnia zostały opublikowane i stały się jednym z dokumentów naszej kosmicznej wyprawy. Nie dokończone jak sama nasza podróż, chaotyczne, roją się od nieścistości. Z pewnością spotka mnie zarzut, że nie poddałem ich redakcyjnej obróbce i nie opatrzyłem najmniejszym komentarzem. Uważam jednak, iż poprawiany dokument przestaje być dokumentem. Jedyne, na co sobie pozwoliłem, to rozszyfrowanie autorów pieśni stanowiących motta do poszczególnych części. Nie chcąc zniekształcać charakteru zapisków, umieściłem nazwiska w posłowiu. O samym autorze notatek nie mam do dodania nic ponad to, co sam powiedziałem o sobie, choć także do tego miałbym pewne zastrzeżenia.*

*Mogę jedynie zapewnić, że Zenon Balow nie był ani taki brzydki, ani taki niesympatyczny, jak można by wnosić z tych fragmentów zapisków, w których bezlitośnie się samobiczuje.*

*Wszyscy na Ikarze lubiliśmy go mniej lub bardziej, nasze zainteresowanie jego losem dostatecznie usprawiedliwia sam jego los.*

*Dr Lionel Redstar*

Jak bogowie piękni są i mądrzy,  
smutni zaś jak mieszkańcy Ziemi  
(ze starej pieśni Ziemian,  
którą śpiewała mi Majola Beni)

## U początku drogi

### 1

A jednak pozwalam sobie spisać tę historię. Zdarzyła się w dwudziestym trzecim roku według rachuby czasu na Ikarze, od siedmiu jednak lat jej dokumentacja spoczywa niedostępna w tajnym oddziale ikarskiego archiwum.

Decyzję usprawiedliwiano tym, iż u początku wyprawy nie wolno nam niepokoić ludzi absurdalnymi wydarzeniami, majaczeniami szaleńca – tak właśnie wyraził się pierwszy koordynator: „majaczeniami nieszczęsnego obłąkańca” i natychmiast, nie zasięgając opinii ani rady astronawigatorów, ani rady kontrolnej, wydał zakaz, który obie rady skwapliwie zaakceptowały.

Wpierw chciałym jednak opowiedzieć o naszym systemie sprawowania władzy, inaczej nie pojmiecie, jak możliwy był podobnie bezwzględny zakaz jakiegokolwiek dokumentowania owych wydarzeń. Wasze ziemskie poczucie demokracji pozwoli wam pojąć potworność tej decyzji.

Po oderwaniu się Ikara od orbity okołosłonecznej (nie było mnie wtedy jeszcze na świecie) jego obywatele jednomyślnie postanowili zmienić dotychczasowy system rządów. Zaprotokołowano, iż przewidując ciężkie próby, na jakie zostanie wystawiony Ikar, uchwała się przyznanie rządowi specjalnych pełnomocnictw. Przeprowadzone przeze mnie badania każą jednak przypuszczać, że nasi rodzice po prostu przestraszyli się zaskakująco licznych przypadków zaburzeń psychicznych, jakie podobno wystąpiły już w pierwszym roku, i dobrowolnie zrzekli się swych praw obywatelskich na rzecz przesadnie silnej ekipy astronawigatorów.

I oto zgromadzenie Ikarczyków ustanawia nowe prawo, w myśl którego ich planetą – gwiazdolotem będzie odtąd zarządzać pięćdziesięcioosobowa rada astronawigatorów, wybierana co dziesięć lat. Ów ustawodawczo – wykonawczy organ miał wyłonić spośród siebie pięciu koordynatorów, którzy kolejno przez dwa lata sprawować będą funkcję pierwszego koordynatora. Oczywiście najwyższą władzę stanowiło nadal

zgromadzenie ogólne, jednak z upływem czasu władzę przejęła całkowicie piątka koordynatorów, przekształcając nawet radę kontrolną w posłuszne sobie narzędzie. Główną przyczynę widzę w spadku aktywności obywatelskiej Ikarczyków – przyczyn jest wiele, przy innej okazji zajmę się nimi obszerniej – jak i w tym, że nowe pokolenie przez długie lata było niezbyt liczne.

Spróbuję to zobrazować. Wyobraźcie sobie tysiąc dorosłych osób zamkniętych na zawsze w pięćdziesięciokilometrowej skale, jaką jest nasz Ikar, a wśród nich dziesięcioro dzieci. Dzieci te oczywiście nie mają innego żywego wzorca do naśladowania prócz pięciuset kobiet i pięciuset mężczyzn. I to w okresie ich psychicznej depresji. Z powodu swej niewielkiej liczebności nie mogą także stanowić grupy, w której zachodziłoby stałe oddziaływanie cech jednych dzieci na drugie. Dopiero gdy młode pokolenie stało się liczniejsze, wykształciło coś w rodzaju własnej psychiki grupowej, własnego ducha zespołu, zdeterminowanego przez fizjologiczne i neurologiczne zmiany wskutek przyjścia na świat w przestrzeni międzygwiazdnej, poza grawitacyjnymi, magnetycznymi i wszelkimi innymi siłami ciała stacjonarnego. Dla tego pokolenia, mojego pokolenia, które w Ikarze widziało tylko szpilkę zgubioną w kosmicznym bezkresie, Ikar był już jedyną ojczyzną i samo pragnęło decydować o jej losie.

Jeszcze parę słów o naszym Ikarze, adresowanych do tych, którzy może już o nas zapomnieli. Chciałbym, aby brzmiały mniej więcej tak: „Drodzy Bracia Ziemiańskie, nie znamy się już, ci, którzy niegdyś nas wysłali, dawno już nie żyją, my zaś...” ale nie cierpię sentymentalizmu. Każdy bank danych wyświetli wam trzy fiszki, gdy wybieriecie hasło „Ikar”. Pierwsza przedstawi starożytną legendę o uskrzydłonym chłopcu, który wraz z ojcem wzbił się z labiryntu na Krecie, by dolecieć do Słońca, ale wosk, którym zlepione były skrzydła, stopił się i chłopiec zginął w morzu. Druga poda wam wszystkie dane niewielkiej, lecz godnej uwagi asteroidy, nazwanej imieniem legendarnego chłopca, ponieważ jej orbita zbliżała się najbardziej do Słońca. Owa mała asteroida dawno przestała być nieposłusznym chłopcem, który nie bał się Słońca, za to regularnie groził Ziemi zderzeniem – wprzęgnięto ją bowiem do pracy.

Trzecia fiszka – zwięźle, jeśli pochodzić będzie z banku danych, a obszerniej, jeśli ze specjalistycznego – zrelacjonuje wam urzeczywistnienie najbardziej gigantycznego zamierzenia w dziejach Ziemi: przekształcenie asteroidy Hidalgo w gigantyczny statek kosmiczny dla pierwszej ekspedycji międzygalaktycznej: budowa trwała trzydzieści

lat, w tej lub innej formie uczestniczyły w niej wszystkie narody i na owe czasy było to wznoszenie prawdziwej wieży Babel ludzkiej cywilizacji. Przez pięć lat krążył biedny Hidalgo po Układzie Słonecznym, nim przemianowany zgodnie z ziemską symboliką na Ikarą uniósł z sobą może na zawsze tysiąc młodych Ziemiaków ku odległym słońcom. Obecnie jest nas o stu pięćdziesięciu dwu więcej, mimo iż Ikar ma zapasy nie tylko energii dla około trzydziestotysięcznej załogi. Szczególnie my, młodzi, pragniemy, aby było nas więcej – każdy nowy obywatel pomnaża bowiem naszą siłę i naszą wiarę w przyszłość. Rada astronawigatorów utrzymuje jednak, że zaludnienie Ikar jest optymalne dla jego misji, dopuszczając przyrost zaledwie wyrównujący ubytki po zaginionych i wyczerpanych nerwowo. Zbyt liczne potomstwo mogłoby nastęrczyć Ikarowi nowe problemy, utrudniające wypełnienie nałożonych zadań. I oto jesteśmy już w drodze trzeci dziesiątek lat! Przemierzyliśmy wiele układów słonecznych, przepatrzyliśmy uważnie i zawsze na początku z gorączkową nadzieją setkę planet, nie odkrywając niczego prócz minerałów i metali, prócz lodów, gazów i plazmy. Nic interesującego dla człowieka takiego jak ja... do owego dnia przed siedmiu laty, gdy na Ikarę wrócił zwiadowca Alek Dery.

## 2

Właśnie zabierałem się do przeprowadzenia błyskotliwej rozszady w partyjce szachów rozgrywanej z moim kolegą Lionelem Redstarem podczas przerwy w dyżurze, gdy z poli wizora odezwał się głos szefa, przewodniczącego rady kontrolnej Ikar:

– Zenonie – zwracał się jak zwykle uprzejmie, to jest z ową pełną dystansu grzecznością, obowiązującą Ikarczyków – byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał przybyć do komory kwarantanny. Jesteś potrzebny.

Zerwałem się natychmiast, bo wydało mi się, że wyczuwam w jego głosie skrywany strach czy też podniecenie, ogarniające zazwyczaj każdego uczonego w obliczu intrygującej zagadki. A może myliłem się, gdyż starzy Ikarczycy rzadko pozwalają sobie na nie kontrolowane ujawnianie uczuć, cóż dopiero mówić o przewodniczącym rady kontrolnej, ale nawet Loni musiał coś zauważyć, bo powiedział:

– Terin wyraźnie cię faworyzuje. Nawet w godzinach pracy zwraca się do ciebie po imieniu. Bądź pewien, że zażądamy wyjaśnień.

Oczywiście z Redstarem mówimy sobie po imieniu – jesteśmy rówieśnikami, ale nie kochamy się zbyt, niejedną raz udało mu się

wyprowadzić mnie z równowagi.

– Słuchaj, Loni – odparłem – najlepszy przyjaciel mego ojca ma chyba prawo zwracać się do mnie po imieniu. Po wtóre, zazdrość, jaką wyczuwam w twoich słowach, uważam za nie mniej naganną niż stronniczą sympatię.

Nie zdążył odpowiedzieć, nim bowiem otworzył usta, byłem na zewnątrz i wskakiwałem do pierwszej windy, jaka wyrosła przede mną.

Z pośpiechu znalazłem się w zwykłej windzie, a komora kwarantanny znajduje się dość daleko. Dla większego bezpieczeństwa Ikar podzielony jest na niezależne, dublujące się sektory, oddzielone kilometrami grubych skalnych ścian, co znacznie zwiększa odległości, rozporządzamy jednak doskonałą, zróżnicowaną siecią komunikacyjną. Zgodnie z nakazem logiki komora kwarantanny znajduje się w najbardziej zewnętrznych sektorach i składa się ze śluz startowych i hangarów czynnych statków kosmicznych, z laboratoriów, w których bada się przywiezione z zewnątrz próbki, ze szpitala i właściwej komory kwarantanny, gdzie przez pewien okres przebywają powracający z lotów zwiadowcy.

Upłynęło trochę czasu, nim przyszło mi na myśl, że Terin nieprędko mnie ujrzy, jeśli będę podróżował po Ikarze tą towarowo-wycieczkową windą. Próbowałem zgadnąć, który to ze statków zwiadowczych mógł wrócić. Obecnie dziewięć znajdowało się na zewnątrz. Gdy ocknąłem się wreszcie z jałowej gry wyobraźni, wyskoczyłem na najbliższym przystanku i rzuciłem się do drzwi tych lśniących wagoników – pocisków, do których kluczem dysponują jedynie członkowie rady kontrolnej i grup awaryjnych. Wsunąłem się do środka, ułożyłem byle jak – są trzyosobowe – wybrałem numer stacji i zaparło mi dech od nagłego szarpnięcia. Pomyślałem, że Terin nie wzywałby mnie tą drogą, gdyby chodziło o zwykłą komisję kwalifikacyjną czy coś w tym rodzaju, w czym uczestniczyłem wiele razy, zaraz jednak przestajemy myśleć, prędkość sparaliżowała bowiem wszelkie impulsy w moim mózgu.

Po czterdziestu sekundach wszystko minęło. Przebyłem dwadzieścia pięć kilometrów i wydostałem się z pocisku z szumem w uszach i dławiącym bólem w piersi. Pragnienie przygody znów zaczęło mi podszeptywać, że tym razem chodzi o coś niezwykłego, nie o rutynowy przegląd, więc niemal wbiegłem do szatni. Była pusta, co jeszcze bardziej mnie przeraziło. Czyżbym tak bardzo się spóźnił? A może po prostu zbyt późno mnie wezwano? Robot kamerdyner stał obok szaf z obojętnością maszyny, więc zawołałem ze złością, odczytując imię widniejące na jego piersi i plecach: – Kolo, pomoc!

Otworzyłem szafkę, na której pyszniła się nalepka z moim nazwiskiem i złapałem skafander. Metalowe ręce robota manipulowały zręcznie, ale po chwili już byłem spocony, bo w podobnym stanie nawet najwygodniejszy skafander stanowi brzemię. Nasunąłem hełm, włączyłem aparaturę oddechową i rozkazałem:

– Kolo, kontrola!

Prawdę mówiąc, jest to jedyne przeznaczenie robota kamerdynera będącego w rzeczywistości dość prymitywnym automatem. Kontrola włożonego skafandra na podstawie wskaźników wytrzymałości mechanicznej, izolacji cieplnej, atmosferycznej, promieniotwórczej, wirusowej i pozostałych systemów bezpieczeństwa. Robot wyposażony jest we wszelkie automatyczne sonowizory i kontrola trwa parę sekund, lecz teraz wydawało mi się, że mogłaby trwać znacznie krócej.

Do komory kwarantanny nie wolno wchodzić bez skafandra. Przejść przez nią musi każdy, kto choć na minutę opuścił Ikarę, obojętnie w jakim celu i dokąd. A statki zwiadowcze, wracające z dalekich lotów, poddawane są wraz z pilotami kwarantannie dwutygodniowej, mimo iż w ciągu minionych trzydziestu lat nikt nie przywłókł z sobą nawet najmniejszego wirusa.

Ikarę z zasady unika wchodzenia w odrębne układy gwiazd. Czynią to zwiadowcy, którzy wykorzystując energię jego ogromnej prędkości, ze zdwojoną szybkością przepatrują miliardy kilometrów przestrzeni przed nami, by oczekiwać tam na wcześniej wyznaczonych orbitach. Posiadamy w magazynach około setki podobnych statków zwiadowczych różnej wielkości i klasy, a nad ich udoskonalaniem bez przerwy pracuje zespół konstruktorów. Potrafią one, podobno, przejść bez szwanku nawet przez ogień i bezpiecznie przeprowadzić swych pasażerów przez wszelkie kosmiczne niespodzianki, oferując im wcale znośne warunki do życia i pracy naukowej przez pięćdziesiąt lat... wszak wszystko może zdarzyć się w kosmosie! Trzy z takich statków straciliśmy w układzie Deneba. Szukaliśmy ich długo, niestety, ludność na Ikarze zmalała o dziesięć osób. Wtedy na Ikarze wystąpiły pierwsze konflikty. Wielu domagało się, by kontynuować poszukiwania, rada astronawigatorów stwierdziła jednak, że w podobnej wyprawie ofiary są nieuchronne i Ikarę nie ma prawa tracić pół roku, jeśli zamierza zrealizować swój program. Istotnie, wciąż jeszcze musieliśmy nadrabiać wytracone przyspieszenie, niemniej przeciwników podobnie bezwzględnego pośpiechu było więcej. Wbrew ich protestom rada ogłosiła trzydniową żałobę i zadecydowała, że Ikarę nie wejdzie w orbitę Deneba.



Idąc wąskim korytarzem z okrągłymi iluminatorami, przez które widoczny był ogromny hangar kwarantanny, zajrzałem przez jeden z nich do środka.

R-19? Kto leciał R-19? Statek klasy gwiazdnej A wyglądał jak nowusieńki, jakby nigdy nie opuścił hangaru. Dziesiątka mechanorobotów pełzała jak pająki po lustrzanym pancerzu, wchodziła i wychodziła przez główne i awaryjne luki, sprawdzała wszystkie układy, przygotowując go do następnego lotu.

Dyżurny mechanik siedział w skafandrze roboczym przy pulpicie kontrolnym i wyraźnie się nudził. To uspokoiło moje rozkołatanie biegiem serce, zarazem trochę rozczarowało. Mimo woli zwoleń kroku – bądź co bądź, by przywyknąć do skafandra, trzeba trochę czasu – człapiąc przyciężkawymi butami skierowałem się do gabinetu sektora rady kontrolnej i nacisnąłem przycisk sygnalizacyjny. W tej samej chwili drzwi rozsunęły się przede mną.

– Możesz zdjąć skafander – powiedział do mnie Terin. – Kontrola zakończona.

Nie mogłem jednak zrobić kroku. Stałem jak wryty i patrzyłem na mego przyjaciela, Alka Derego. Oto kto wrócił! Siedział w fotelu dla pacjentów i... wcale nie był podobny do siebie! Spodziewałem się, że wyszczerzy do mnie radośnie zęby, tak jak ja zrobiłem to w pierwszej chwili, oczekiwałem, że podniesie rękę w powitalnym geście, lecz nawet nie drgnął. A jego spojrzenie, prześliznąwszy się machinalnie po szklanej osłonie mego hełmu, niczym nie zdradziło, że mnie poznaje. Było to spojrzenie bojaźliwie zażenowane, wyraźnie umykające przed pytaniami w cudzym wzroku.

– Cześć, Alek – powiedziałem. – Witaj! – Zaniepokoiony, wypowiedziałem to tak cicho, że chyba nikt tego nie dosłyszał. W twarzy Alka, apatycznej, żółtej, postarzałej, nie drgnął ani jeden mięsień. Włosy na jego skroniach, na dwudziestotrzyletnich skroniach, były zupełnie białe.

– Byliście zaprzyjaźnieni, prawda? – zwrócił się do mnie Terin i dodał, przyjrzawszy się nam obu z nieskrywaną ciekawością: – Dlatego wezwałem cię, Zenonie. Coś stało się z twoim przyjacielem, musisz nam pomóc to zrozumieć.

Dopiero teraz dostrzegłem jeszcze jednego człowieka w gabinecie – samego pierwszego koordynatora! Nie, to nie był on, tylko jego hologram, wyświetlony pośrodku gabinetu, a więc sprawa wyglądała jednak poważnie! Pierwszy koordynator na Ikarze nie zaszczycił nikogo bez powodu swoją choćby tylko holograficzną obecnością. Najwyższą piątkę

interesowały jedynie ogólne sprawozdania z lotów zwiadowczych, resztą zajmowali się odpowiedni specjaliści.

– Jak poszło, Alek? Gadaj! – powiedziałem najbardziej beztrzesko jak potrafiłem, niecierpliwie ściągając z siebie uprzykrzony skafander.

Terin pospieszył mi z pomocą, był to jednak tylko pretekst, by szepnąć do mnie:

– Milczy już trzeci dzień. Zostawimy was samych, teraz jednak chciałbym coś sprawdzić. Znaleźliśmy tylko jeden zapis z całej ekspedycji, reszta została zniszczona. Całkiem przypadkowo włączył się sonowizor jego żony. Włączymy go i będziesz obserwował jego reakcję. Zwlekaliśmy z tym, bo podejrzewamy, że symuluje.

– A gdzie ona jest? – zapytałem również szeptem.

– Nie żyje. Leżała w pustej wannie anabiotycznej, kurek krioprotektora w ogóle nie był odkręcony, wszystko zakręcone prócz wentyli tlenowych, rozgwintowanych ręcznie. Wygląda na samobójstwo. Wiesz, takie przyjemne samospalenie tlenem.

Upuściłem skafander na posadzkę, nie będąc w stanie utrzymać go w rękach. Ta cudowna dziewczyna, ta wspaniała dziewczyna, Nila, nie żyje!

– Alek! – zwrócił się Terin do zwiadowcy, a głos jego brzmiał niezwykle surowo. – Odmawiasz relacji ze swej podróży, usłyszymy ją jednak, usłyszymy z twoich ust. Posłuchajmy zatem.

I dotknął przycisku antyamnezonu. Struna dłuższy czas odwijiała się bezgłośnie, wreszcie dał się słyszeć szum i sapanie jakby od wielkiego wysiłku – w tej chwili chyba włączył się dyktafon Nili. Ubranie każdego zwiadowcy wyposażone jest w urządzenie do rejestrowania dźwięku i obrazu. Nagle struna rozwrzeszczała się głosem Alka: „Wstawaj! Słyszysz, wstawaj! Nilu, dlaczego zostawiłaś mnie samego? Przestraszyłaś się, maleńka? Czy aż tak było to straszne? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Co mam sądzić o tym? Dlaczego milczysz, przekłeta? – wrzasnęła ponownie struna magnetyczna. – Dlaczego uciekłaś, podła, tchórzliwa kreaturo? Czy to cała twoja odpowiedź? Ja także powinienem zdobyć się na podobną? Uhhhh! – Dźwięk przypominał charczenie i jakby zgrzytanie zębów. Po chwili jednak znów stał się czuły i patetycznie zbolący: – Chcesz, abym raz jeszcze opowiedział ci wszystko? Zgoda, opowiem ci, a ty rozważ to spokojnie i wspólnie zdecydujemy, co robić. Tobi, odczep się!

Odczep się, mówię, głupia maszyna! Bo cię wyłączę, nie żartuję. Po co cię wymyśliliśmy, głupcze, jeśli nie możemy na ciebie liczyć?”

Groźby wyraźnie skierowane były do któregoś z psychorobotów, który wyczuł rozstrój nerwowy astronauty i zamierzał przeszkodzić jego nierozumnym poczynaniom. Rozległ się dźwięk metalu, sapanie jak przy mocowaniu się, jakiś trzask. I znów głos Alka przerywany co chwila szyderczym śmiechem:

„Żegnaj, kochanie, muszę rozprawić się z tym głupcem. Na szczęście i w jego kasecie struna jest czysta. Czy powiedziałem «na szczęście»? Diabelskie sprawki! Żadnego zapisu! Czy to możliwe, skoro słyszałem wszystko na własne uszy, widziałem na własne oczy, jeśli zapamiętałem każde słowo, a nie pamiętam nawet twojego »tak«, gdy wyznałem ci miłość i zapytałem, czy jesteś gotowa pójść za mną? Nilu, czy rozumiesz coś z tego, kochanie? Czy naprawdę postradałem zmysły? Powiedz, czy byłem niespełna rozumu, gdy odprowadziłaś mnie do komory śluzowej i kiedy wyszedłem za tym mechanicznym draniem, Tobim? Przecież i ty słyszałaś głos, prawda? Chwileczkę, przypomnij sobie wszystko od początku, a przekonasz się, że nie może być mowy o żadnej halucynacji, że nie zmyśliłem ani słowa. Czy odkryliśmy planetę w ekosferze niewidzialnego słońca? Odkryliśmy. Najpierw wyliczyliśmy jej istnienie, a potem odkryliśmy jej położenie. Co w tym niezwykłego? Planety wokół słońc emitujących energię jedynie w podczerwonym przedziale widma muszą być niewidoczne dla naszych oczu, to prawda elementarna, choć nam, nieszczęśnikom, pierwszym przyszło się z nią zetknąć. Aparaty zarejestrowały ją i określiły jej orbitę, masę... i wszystko, tylko że ja teraz wszystko wymazałem. Ikar nie powinien dowiedzieć się, gdzie znajduje się ta planeta, oto dlaczego! Czy nie mam racji, powiedz? Okrążyliśmy ją. Radiosondy, obserwacje wizualne za pomocą lokatora podczerwieni... wszystko na nic. Gładka i pusta jak gumowa piłka. A potem przecięliśmy promień pelengatora. Podczas drugiego okrążenia. Zaraz, zaraz, to przecież ty go odkryłaś? Czy nie powiedziałaś: «Alek, to przecież najzwyklejszy radiopelengator. Spróbujmy wylądować!» Zażartowałem: «Kochanie, to mogą być sygnały ostrzegające nas przed lądowaniem». Ale nalegałaś: «Jakie tam sygnały, to przecież elektroniczny analog! Elementarna powtarzalność elementarnego sygnału pelengacyjnego, najzwyklejsza radiolatarnia, znana na ziemi już w czasach pierwszych samolotów. Nie sposób tego inaczej odczytać...» Ale chciałem mieć pewność i powiedziałem...”

– Nie! – wrzasnął drugi Alek, ten siedzący przed nami, i zerwał się z krzesła. – To nieprawda. Wyłączyć te łgarstwa!

I rzucił się z pięściami na aparat, gotów rozbić go w pył. Pochłonięty

zapisem, zapomniałem obserwować przyjaciela, lecz Terin czuwał i teraz usiłował powstrzymać rozjuszonego Alka. Pierwszy koordynator także uczynił ruch, jakby zamierzał uciec albo pospieszyć z pomocą. Po raz któryś już nie mogłem oprzeć się refleksji o amoralności podobnych holograficznych wizyt: niby jesteś, a właściwie cię nie ma!

– Nero, obezwładnić pacjenta! – wykrztusił Terin i jego robot gabinetowy zerwał się błyskawicznie z kąta, oplótł biednego Alka czterema mechanicznymi mackami, posadził znów na krzesło i zręcznie opasał bandażem jego pierś, ręce i nogi. Potem stanął tuż przy swej ofierze, skulonej w nierozzerwalnym opatrunku, w postawie, która zdawała się wyrażać zadowolenie z dopiero co wykonanej roboty. Po raz pierwszy byłem świadkiem podobnej sceny, by robot w ten sposób odnosił się do człowieka, i w serce moje wkradła się rozterka. Człowiek istotnie nigdy nie zdołałby równie szybko i skutecznie poradzić sobie z obłąkanym bliźnim, niemniej było coś poniżającego dla ludzkiego gatunku w tych niezwykłych relacjach między nim a automatem. Gdzieś głęboko w mej świadomości, prędzej jako odczucie niż myśl, przemknęło mi, że gdybym został kiedyś przewodniczącym, pierwsze, co uczyniłbym, to przepędziłbym te wszystkie Nera z gabinetów rady kontrolnej.

Odwróciłem głowę, próbując wmówić sobie, że Alek Dery nie jest już moim najlepszym przyjacielem, tylko pacjentem, i to w krytycznym stanie. Terin nerwowo poprawiał na sobie ubranie, widocznie i on zażenowany był sytuacją, w której musiał uciec się do tej funkcji robota – i cofnął strunę w aparacie do miejsca, od którego przestaliśmy jej słuchać.

„Ale chciałem mieć pewność – powtórzył głos Alka – i powiedziałem: «Dobrze, kochanie, jestem skłonny przyjąć, że to pelengator, który wskazuje nam kierunek lądowania, jestem skłonny opuścić się za nim na sto kilometrów w tej nieprzejrzanej ciemności, by sprawdzić, co się stanie, ale nie mam najmniejszego zamiaru, moja droga, lądować na tej głupiej czarnej kuli, która do tego jest wystarczająco duża, by przy starcie pochłonąć nam połowę zapasów paliwa. Powściągnij więc swoje pragnienie przygód!» Pamiętasz? Tak właśnie powiedziałem, ponieważ ty wprost bezwstydnie rozwrzeszczałaś się. Czy miałem jeszcze przypominać ci, że instrukcja dla zwiadowców naszej klasy zabrania lądować na wszelkich ciałach niebieskich? Z wyjątkiem sytuacji awaryjnych”.

Było coś dziwnego w tej opowieści. Dziwnego? Raczej złowieszczego. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach, kiedy wyobraziłem sobie, że ta zagadkowa rozmowa prowadzona była między oszalałym bez wątpienia Alkiem i jego martwą żoną, gdzieś w bezkresie czarnego przestworu,

wokół niewidzialnego słońca. Czyż jest coś straszniejszego od pozostania samemu w rakiecie z trupem na pokładzie, do tego gdy trupem tym jest najdroższy człowiek, i to przez wiele miesięcy, bez gwarancji, że ujrzy się jeszcze kiedyś żywych ludzi? Czy to dziwne, że mózg mojego biednego przyjaciela nie wytrzymał? Nasi astronawigatorzy mylą się, wierząc, że mówiące psychoroboty złagodzą samotność człowieka w kosmosie. To rzeczywiście wspaniałe maszyny, tysiącrotnie zwiększające siłę i pewność siebie kosmicznego zdobywcy, ale czy ich pozbawiony emocji rozsądek i mechaniczna analityczność w sposobie mówienia nie pogłębią w podobnej sytuacji jeszcze samotności człowieka, nie spotęgują do granic szaleństwa poczucia pustki, jaką w przeciwnym razie zaludniłby własną wyobraźnią?

Oto problem, który straciłem z oczu! Trzeba by to przestudiować, pomyślałem. Nieźle byłoby polecieć samemu na kilka miesięcy w towarzystwie przysługujących każdemu zwiadowcy psychorobotów. Pomysł ten szybko przerodził się w decyzję, gdy później dowiedziałem się, że Alek próbował zniszczyć statek, że usiłował odebrać sobie życie, lecz psychoroboty, których głównym zadaniem jest bezpieczeństwo lotu – jeden z nich, nie znany załozce, stale kontroluje jej stan psychiczny – w końcu ujęły go i uśpiły w komorze anabiotycznej, i same wyprowadziły statek na orbitę wyznaczoną do spotkania z Ikarem.

„Zaczęłaś triumfować, kiedy opuściliśmy się na tysiąc kilometrów nad powierzchnią: sygnał stawał się coraz wyraźniejszy, bez wątpienia kierowany do nas, ale podczas pierwszego okrążenia zamilkł. Widocznie fala radiowa trafiła w ogniskową, nawet dziecko potrafiłoby to odczytać z przyrządów, ależ, kochanie, skąd wzięłyby się żywe istoty w tej czarnej kamiennej pustyni, chyba że jak płazy zaryły się w swych jamach? A jeśli są na tyle rozumne, że mają radiopelengator, dlaczego nie prześlą nam jeszcze jakiegoś dodatkowego sygnału, dlaczego nie przemówią do nas w swoim języku? Rozumiem cię, kochanie, każdy marzy, by ujrzeć wreszcie coś żywego, gdy od tylu lat nie napotkał na swej drodze choćby najmniejszego wirusa, nawet tam, gdzie nasze wstępne badania zakładały prawdopodobieństwo istnienia czegoś organicznego, ale... Pamiętasz, to właśnie ci tłumaczyłem, gdy rozległ się głos! Nilu, przecież słyszałaś go, prawda? Ty także go słyszałaś! Oczywiście musiałaś słyszeć, wciąż widzę twoją twarz, na której zastygł triumf! Przeklęty głos powiedział – jeszcze dziś go słyszę: »Przyjaciele, możecie lądować. Gwarantujemy wam bezpieczeństwo. Także odlot«. Tak powiedział? W naszym języku. Powtórzył to i dodał wprost, jakby rozkazywał: »Lądujcie, oczekujemy

was!« Patrzyliśmy po sobie osłupiali, ponieważ głos rozległ się w samej kabinie pilotów, a nie było w niej nikogo prócz nas i czterech psychorobotów. Zapytałem obcesowo: »Kim jesteś?« A on roześmiał się głosem robota: »Tym, którego szukacie. Lądujcie śmiało! Czyż nie jesteście zdobywcami kosmosu?!«

»Nilu – powiedziałem do ciebie – Nilu, nie podoba mi się to. Zmykajmy póki czas!« Ale ty zupełnie straciłaś rozum. »Lądujemy, Alek – zaczęłaś nalegać – musimy lądować« – i zagnałaś roboty, by przygotowały lądowanie. »Widzisz – wołałaś i wskazywałaś mnie robotom – widzisz? Idealne miejsce, bardziej gładkie od kosmodromu, brakuje jedynie atmosfery i jest ciemno«. »Nilu – błagałem, pamiętasz, jak cię błagałem? – Nilu, nie powinniśmy lądować, nie mamy prawa, bądź rozsądna!« Ale nazwałaś mnie tchórzem i jeszcze dodałaś, że żałujesz, że wyruszyłaś z takim tchórzem. Po raz pierwszy widziałem cię tak rozwścieczoną. Jesteście, kobiety, czymś przerażającym. Teraz mogę ci to powiedzieć. Słyszysz, Nilu? Słyszysz, Nilu?...”

Miałem wrażenie, że krzyknął to ten Alek, związany, lecz on siedział jak bez życia z opuszczoną głową, po wyczerpujących wysiłkach uwolnienia się z bandaży, a może wciąż jeszcze odurzony aerozolowym preparatem nasennym, wstrzykniętym mu przez robota do nosa. A może załamał go fakt, że mimo wszystko dotarliśmy do jego tajemnicy, którą odkrywał nam teraz antyamnezon, znów ściszony do konfidencjonalnego, gorączkowego szeptu:

„Więc przestałem się opierać i wylądowaliśmy. Powiedziałaś, bym zachował na potem swą śmieszna rycerskość, może przyda mi się na Ikarze, gdy będę szukał następnej żony, tak powiedziałaś, ponieważ miałaś ochotę wyjść na zewnątrz. A jednak zmusiłem cię do pozostania, bądź co bądź jestem dowódcą statku. Zaproponowałem ci: »Nilu, wystrzelmy któregoś z psychorobotów. Załatwi wszystko lepiej od nas, skoro już raz naruszyliśmy regulamin, nie naruszajmy go po raz drugi, nie dopuszczajmy do tego, by w rakiecie pozostał tylko jeden człowiek! Ale roześmiałaś się tak, jak nigdy się nie śmiałaś. A wierzyłem, że mnie kochasz. I ufałem ci. Wiem, wiem, że podstawowa instrukcja nakazuje przy spotkaniu z istotami wyższymi, by zwiadowca pojawiał się osobiście, psychorobot bowiem ma zbyt ograniczoną ilość wariantów postępowania i może usposobić je wrogo wobec nas. Mimo to nie skorzystałbym z tego prawa i nie wyszedłbym, lecz wysłałbym Tobiego i Wariego. To, że nasze udręczone nuda mózgi słyszały jakiś głos, przypominający głos Ziemianina, i że wyłapaliśmy jakieś niewyraźne sygnały mikrofalowe,

jakich miliony krzyżują się w kosmosie, nie oznacza jeszcze, że oczekuje nas spotkanie z istotami rozumnymi. Nilu, Nilu! Co stało się z tobą? Czy oszalałaś, że drwiłaś tak niewybrednie? A może powinienem był pozwolić ci wyjść, może wówczas, może wówczas nic by się nie stało... nie stało... Słyszysz? Mówię ci to po raz ostatni, potem już nikt, nikt nie usłyszy tego ode mnie, nikt nie dowie się niczego. Będę milczał, tak jak ty teraz, aby nikt inny nie uczynił tego co ty, moja kochana, szalona i nieszczęśliwa dziewczyno.. -. Po co miałbym wychodzić? Po co? Nie wyszedłbym, naprawdę nie wyszedłbym, gdyby nie wrócił Tobi i nie powiedział zwyczajnie: »Wszystko w porządku, Alek«. Z tą prostacką familiarnością, wymyśloną przez jego konstruktorów dla nadania większej bezpośredniości naszym kontaktom z nimi. Podłość! Co z tego, że jest psychorobotem, co z tego, że jest najdoskonalszym ze wszystkich robotów? Czy to czyni go równym człowiekowi, by odzywać się do mnie w ten sposób? Wpadłem w gniew, mimo wszystko jednak nie wyszedłem ze służby. Bałem się, bałem się o ciebie, przekłeta dziewczyno, nie dlatego, że trzeba po raz pierwszy postawić nogę na jakiejś planecie. Jak mógłbym cię zostawić samą? Tak, nie zrobiłbym nawet kroku w tych przeklętych ciemnościach, gdyby nie odezwał się wtedy... tamten: »Wszystko w porządku, Alek. Możecie wyjść«.

Potworność, Nilu! Taki ciężar! Jakbym stapał po magnesie. Z największym wysiłkiem zdołałem oderwać nogę od kamienia. Jak żyją teraz ludzie na naszej kochanej Ziemi, której oboje już nigdy nie zobaczymy? Nie, czołganie się przy podobnej grawitacji musi być koszarne! A dokoła nieprzejrzana ciemność! Puściłem projektor na całą moc, ale widziałem zaledwie sylwetkę psychorobota, choć stał o dwa metry przede mną. Po prostu niewytłumaczalne! Niczego zresztą nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, niczego wyobrazić. Tamten głos sparaliżował całkowicie mój umysł. »Idźcie – powiedział – prosto«. Idź, Tobi, rozkazałem psychorobotowi i czułem, że wypowiadam to wbrew swej woli, jakby ktoś inny przemawiał przeze mnie. »Dokąd?« – zapytał. Powtórzyłem: »Prosto, Tobi«. A on zatoczył się jak pijany, ponieważ jego mechaniczny mózg także był skołowany. Wlokłem się tuż za nim i nie miałem nawet siły wyjąć pistoletu plazmowego. Niczego nie widziałem prócz pleców Tobiego – dalej światło projektora ginęło, jakby pochłaniała je bez reszty jakaś otchłań. Opuściłem na oczy noktowizor, lecz jak daleko sięgał jego zakres, nie było widać nic prócz gładkiej, bez jednej szczeliny, czarnej jak asfalt powierzchni. Tobi ledwo sunął, jak zwierzątko, które zwietrzyło niebezpieczeństwo. Wydawało mi się, że zaraz odwróci się

i z przestraczem przypadnie mi do nóg. A jego trudno podejrzewać o tchórzostwo. I już miałem nakazać mu odwrót, gdy GŁOS znów się odezwał. Jakby wisiał, przeklęty, nad moim hełmem! »Nie bój się, Alek, jesteście bezpieczni!« Podniosłem głowę – znów ten sam nieprzejrzany mrok! Dziwne, nawet gwiazd nie było widać na niebie! A potem... nagle zrobiło się jasno. Tak jasno jak w sypialni na naszym statku. A ja i Tobi znajdowaliśmy się w jakimś okrągłym pomieszczeniu o złocistożółtych, jakby zalanych słońcem ścianach, w doskonale pustej sali. Jak się w niej znaleźliśmy, nawet Tobi nie zdołałby wyjaśnić, nie tylko ja. Niczego nie poczuliśmy, po prostu całkiem nieoczekiwanie zrobiło się wokół jasno i ujrzeliśmy się nakryci jakąś kopułą o średnicy mniej więcej dziesięciu kroków. »Sprawdzić ściany!« – rozkazałem Tobiemu, ponieważ nie były podobne do ścian, lecz do świetlistych zasłon. Wysunął wszystkie ramiona, by ich dotknąć, szedł jednak i szedł, wciąż nie mogąc ich dosięgnąć, ponieważ z tą samą prędkością umykały przed nim. »Stać!« – rozkazałem i pogałem za nim, pogałem, ma się rozumieć na tyle, na ile jest to możliwe w warunkach podobnej grawitacji. Wyciągnąłem także ręce, lecz nie wyczułem niczego. Skierowaliśmy się ku przeciwnej ścianie kuli – to samo. A ta za nami już zajęła poprzednie miejsce. »Tobi, co stwierdzasz? zapytałem. – Chyba wpadliśmy w pułapkę! Nuże, rusz swymi trybami. Wykombinuj jak się stąd wydostać!« – tak powiedziałem cło niego, bo całkiem straciłem głowę. A on – czy jest coś w stanie wzruszyć to mechaniczne bydlę? – odpowiada z obojętnością robota: »Przypomina strefę Riemanna, Alek. Nie wydostaniemy się z niej, jeśli Nila nie zdoła zlikwidować jej magnezem. Stąd nie zdołamy jednak przekazać jej żadnej informacji. Pole zakrzywia sygnały i odbija je. Pozostaje telepatia. Możliwe, że bioprądy zdołają je przebić. Podejmij decyzję, roboty nie mają programu podobnej sytuacji«.

Ale mózg mój był w takim stanie, że zdawał się kołysać w czerepie jak bulion w kolbie. Jak zebrać siły do impulsu telepatycznego? Znów ruszyłem za nieuchwytną ścianą i tylko zaciskałem zęby, by nie wyć z rozpacz. Aż usłyszałem za sobą śmiech.

Tak, śmiech! Pomyślałem, że Tobi całkiem postradał zmysły, i odwróciłem się, by go złajać. Ale on podobnie jak ja wytrzeszczał swe elektroniczne oczy. Pośrodku identycznej, promiennej sfery Riemanna, zdającej się dotykać naszej, a może nawet nie dotykać, ale stwarzać złudzenie, że nie ma między nimi, tworzącymi coś w rodzaju ósemki, wyraźnych granic, Nilu, stał niczym nie różniący się ode mnie człowiek i śmiał się także jak człowiek. Głosem przypominającym głos Tobiego.



Mechanicznym głosem o mechanicznej modulacji. Potem powiedział:

– Alek, powiedziałem ci, nie macie się czego obawiać, wróćcie cało na Ikarę. Uspokójcie się.

– Kim pan jest? – zapytałem, nie dostrzegając w nim niczego niezwykłego prócz samej jego obecności.

Uśmiechnął się uprzejmie, niemal z czułością:

– Tym, którego szukacie.

Zwyczajny Ziemianin, Nilu, wierz mi! I w ubraniu identycznym, jakie nosimy na Ikarze. Zacisnąłem mocno powieki, z powodu hełmu nie miałem możliwości ich przetrzeć, potem rozwarłem, ale stał wciąż w tym samym miejscu, uśmiechając się z tą samą podejrzaną uprzejmością. Człowiek! Prawdziwy człowiek, ale o głosie automatu. Spojrzałem także na Ciebie. Najwyraźniej widział to samo co ja, a może tylko wydawało mi się, dużo wyczytasz z tych elektronicznych ślepi? Dlatego palnąłem jak smarkacz przed iluzjonistą cyrkowym:

– Czy pozwoli pan, że podejść bliżej i dotknę pana?

Uśmiechnął się.

– Nawet gdybym wyraził zgodę, nie będzie pan w stanie tego zrobić. Dlatego proszę nie próbować. To niebezpieczne.

Umilkłem, usiłując wyobrazić sobie, co może oznaczać odpowiedź i czy ma jakiś związek z dwiema stykającymi się i nie stykającymi się kulami, w których tkwiliśmy naprzeciw siebie. Przerwał moje rozmyślenia tym swoim automatycznym głosem, w którym teraz wyraźnie pobrzmiwała kpina:

– A więc, Alek, wreszcie stanęliście na nogi.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – stałem się nieufny.

– Cieszymy się z waszych pierwszych kroków w Galaktyce. Nic więcej. Doprawdy cieszę się. I... jak powiadacie na Ziemi: witajcie!

O mało nie wyszedłem ze skóry z powodu bezsilności i osłupienia. Zawołałem:

– Ale kim jesteście, że tak bardzo was to uradowało?

– Tymi, których szukacie – odparł znów głosem robota. – Czyż nie wyruszyliście na poszukiwanie podobnych sobie?

Było to niesamowite, przyprowadzające o utratę zmysłów. Zapytałem, nie słysząc własnego głosu:

– Czy tak wyglądacie?

– Nie, ale badając waszą psychikę odkryliśmy, że bardzo chcecie, abyśmy tak wyglądali.

– Czy tu żyjecie?

– Tu i... wszędzie w Galaktyce.

– Dlaczego nie ukazecie się nam pod prawdziwą postacią?

– Powiedziałem dlaczego, ponieważ w rzeczywistości wcale tego nie pragniecie. I ponieważ nie moglibyśmy ze sobą rozmawiać.

– Jak na pierwsze spotkanie dwu cywilizacji, ton wcale nie najserdeczniejszy – powiedziałem, ale kontynuował z niewzruszonym spokojem:

– Boicie się prawdy o sobie?

– Kto dał wam prawo myśleć o nas w podobny sposób? – zapytałem, ledwie opanowując gniew, a ponieważ nie byłem pewny, czy włączyłem sonowizor – niczego już nie byłem pewien – uczyniłem pozornie bezcelowy ruch w kierunku pasa skafandra.

Roześmiał się metalicznym głosem:

– Proszę nie dotykać aparatu!

Zakląłem w myśli i opuściłem rękę, pocieszając się, że jeśli nawet o tym zapomniałem, to u Tobiego włączyła się automatycznie jego aparatura. I w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że nieznana istota ani razu nie zwróciła się do niego. Oznaczało to, że doskonale rozróżniała, kto z nas dwu jest istotą żywą, a kto automatem. Nieznana istota? Raczej jakieś... monstrum. Z pewnością dlatego zachowałem się tak głupio, po prostu nagle poczułem się zdany całkowicie na łaskę tej siły, która знаła nas, a której mój umysł nie był w stanie ogarnąć. Zawsze sądziłem, że jestem przygotowany na spotkanie w kosmosie z najbardziej fantastycznym wybrykiem materii... ale żeby objawiła mi się niemal w mej własnej postaci? Odparłem, a przypominało to bardziej prośbę czy usprawiedliwienie niż próbę oporu:

– Jestem zwiadowcą i obowiązuje mnie zdanie sprawy.

Na co usłyszałem:

– Och, Alek, nie zdoła pan zapamiętać jednej rozmowy? – Potem zaczął przemawiać obraźliwym tonem mentora: – Zwróćcie się, ludzie, ku sobie! Przesadnie polegacie na maszynach. Zwróćcie się ku sobie, a może zdołacie odkryć, że natura wyposażyła was w siły znacznie potężniejsze i bardziej nieograniczone niż wasze mechaniczne wynalazki.

– Dziękuję za radę – odparłem resztką dumy. – Nie odpowiedział mi pan jednak na pytanie, kto przyznał wam prawo wydawania sądów.

– Znajomość waszej natury – przerwał bezceremonialnie. – Wyruszyliście w poszukiwaniu istot podobnych do siebie bądź na niższym stopniu rozwoju, by poprawić własne samopoczucie władców. Oto kogo szukacie, choć nie przyznacie się do tego nawet przed sobą! Ta pewność

siebie jest przyczyną waszej samotności w kosmosie i dlatego skłaniamie się ewentualnie do nawiązania kontaktu nawet z jakąś wyższą cywilizacją, jeśli oczywiście jej przedstawiciele choć trochę okażą się podobni do was. Przekonujecie siebie, że dacie im przyjaźń, gdy w rzeczywistości macie im do zaoferowania jedynie gotowość do ich podbicia. Chęć podporządkowania sobie innych wciąż tkwi w tkance waszej ziemskiej materii, nie zdążyła jej jeszcze wytrzebić ewolucja, przeobrażając was w prawdziwych władców. Chyba że... choć trochę będą podobni do was. Jeśli jednak okażą się inni, spróbujecie zmierzyć się z nimi, tak jak niegdyś mordowaliście się wzajemnie z powodu różnego koloru skóry czy różnicy wierzeń, tak jak walczyli niewolnicy, gdy dochodzili do wniosku, że nadszedł czas, by przedzierzgnąć się we władców.

– Jesteście wyższą cywilizacją? – zapytałem, choć powinienem był zapytać „czy uważacie się za wyższą”, ale, jak ci powiedziałem, zupełnie nie mogłem pozbierać myśli.

– Tak – odparł z niewzruszonością międzygalaktycznych przestrzeni. – Jesteśmy najwyższą cywilizacją.

– A dlaczego dotąd nas nie odwiedziliście? Dlaczego nie przyszliście nam z pomocą, skoro nie pochwalacie naszego rozwoju?

Odpowiedział tym uśmiechem, który z początku niemal kazał mi sięgać po pistolet plazmowy, a teraz paraliżował moje mięśnie.

– Brawo, Alek, sam dotarł pan do sedna naszej rozmowy! W galaktyce obowiązuje pewna zasada, której bezwzględnie musicie się podporządkować. Ściślej mówiąc, nie ma mowy o akceptowaniu czy negowaniu czyjegoś rozwoju, poza zwykłą konstatacją.

– Kto ustanowił tę zasadę?

– Ten sam, kto nakazał gwiazdom poruszać się po określonych orbitach. Czyli nikt. My tylko odkryliśmy ją i strzeżemy, by nie została naruszona.

– Jakim prawem?

– Prawem najwyższej rozwiniętej cywilizacji. W naszej kochanej Galaktyce istnieje wiele cywilizacji i niższych, i wyższych od waszej. Wszystkie one, łącznie z waszą Ziemią, znajdują się pod naszą kontrolą. Oczywiście możecie je badać – z daleka. Nie brakuje wam środków po temu i stworzycie zapewne jeszcze doskonalsze, lecz jeżeli zbliżycie się do którejś z zamiarem nawiązania kontaktu, zostaniecie ostrzeżeni, jeśli zaś nie podporządkujecie się, zostaniecie zniszczeni...”

Spojrzałem na milczącego, skrepowanego Alka i pomyślałem, że chyba to musiało doprowadzić jego biedny mózg do desperackiej decyzji, by

milczeć za wszelką cenę. Heroiczne postanowienie, które miało na celu ustrzeżenie Ikara przed małoduszny realizowaniem własnych celów. A może również zagadkowe samobójstwo Nili odegrało tu jakąś rolę... choć w rzeczywistości, co to za brednie? Przecież nie wiedziałem nawet, czy to, co relacjonowała magnetyczna struna, jest prawdą, czy jedynie płodem chorego na samotność mózgu, ratującego się ucieczką w szaleństwo.

„Ależ to nieludzkie – zawołałem do niego” – mówił Alek Dery z magnetycznego zapisu. – „A on znów uśmiechnął się uprzejmie: – Owszem, nieludzkie, w kosmosie jednak żyją nie tylko ludzie. Pozbądźcie się resztek ziemskiej pychy, jeśli pragniecie, aby wasza podróż dała rezultaty. Przybywacie z kresów naszej Galaktyki, z jej odległej prowincji, i waszej przesadnej pewności siebie niczym nie sposób usprawiedliwić. Rozumiemy, że przestrzeń wokół waszego młodego Słońca stała się dla was za ciasna. Istnieje bezlik nie zajętych układów gwiazdnych, zasiedlajcie je, zaludniajcie, podążajcie własną drogą rozwoju, zostawiając innych w spokoju.

– Wyruszyliśmy jednak z pewną misją – zaoponowałem nieśmiało, coraz bardziej bowiem rosło we mnie poczucie niższości. – Pomocy tym, którzy zostali w tyle, nauczania się od tych, którzy nas wyprzedzili, zaproponowania braterstwa i wspólnej drogi do wspólnego celu – prawdy wszechświata.

– Wiemy – odrzekł. – Dobrze znana jest nam wasza etyka. W kosmosie jednak okazuje się nieprzydatna. Jeśli zawrzemy z wami pakt braterstwa, podążycie naszą drogą, ponieważ jesteście silniejsi i mądrzejsi. A jeśli to droga niesłuszna? Nie prowadząca ku owej prawdzie, jakiej powołani jesteście szukać? Swobodny, absolutnie niezależny rozwój cywilizacji, nie zaś ogólniki o braterstwie, prowadzące do fałszywych sytuacji – oto prawo Galaktyki.

– Ustanowione przez was – próbowałem być złośliwy, choć czułem, że jestem tylko żaloszny.

Potwierdził spokojnie.

– Ustanowione przez nas. Prawem najmądrzejszych. Nie istnieje jedna prawda wszechświata, przyjacielu. – Tak powiedział: «przyjacielu», lecz każdy, nawet najprymitywniejszy psychorobot powiedziałby to łagodniej, bardziej po ludzku. I dodał jeszcze:

– Każda cywilizacja zdąża ku własnej prawdzie i nikt nie powinien jej w tym przeszkadzać.

– Ani pomagać? – upierałem się żałośnie.

– Pomoc także bywa przeszkodą, gdyż jest udzielana w imię obcej prawdy.

– Człowiek rodzi się jednak po to, by przekształcać świat – mało się nie rozpląkałem – Nie na biernego obserwatora. To sprzeczne z jego naturą.

– Zmieniajcie siebie, zmieniajcie nie zajęte przestrzenie – odparł obojętnie. – Innych zostawcie w spokoju!

– A czy zakazu nawiązywania kontaktów między cywilizacjami nie należałoby także uznać za ingerencję?

– Owszem – przyznał. – To jedyna usprawiedliwiona ingerencja.

– Boicie się o siebie?

Roześmiał się.

– Jest pan jeszcze bardzo naiwny, Alek. Proszę zastanowić się: z największą starannością sterylizujecie każdy statek, każdą stację badawczą, by nie przenieść jakiegoś ziemskiego wirusa na inne planety i tym sposobem niechcący nie naruszyć ich modelu życia, jednocześnie sposobicie się do upowszechniania w kosmosie własnych zwyczajów i wiedzy, wszystkiego co ziemskie. Czyż to nie paradoks?

Zabrakło mi argumentów. Zapytałem jedynie:

– A jeżeli staniemy w obliczu śmierci? – Było to dziecinne pytanie. – Jeśli przytrafi nam się groźna awaria, jeśli będziemy umierać z głodu lub braku energii? Czy wówczas także nie przyjdziecie nam z pomocą?

– Nie – odparł spokojnie ten, który rzekomo miał ludzką postać. – Jeśli zginiecie, następni mieszkańcy Ziemi wyruszą waszą drogą, jak zawsze bywało.

Jeśli wyciągną wnioski z waszych błędów, staną się mądrzejsi i będą kontynuować podróż. Czyż nie to właśnie określa się rozwojem myślącej materii? Jeśli nawet cała wasza cywilizacja zginie, będzie to jedynie oznaczać, że już nadszedł jej kres, bądź że po prostu nie była potrzebna. Tak, Alek. Cieszę się z naszego spotkania. Przekażcie waszym towarzyszom nasze ostrzeżenie.

A potem, Nilu, dodał coś, co załamało mnie ostatecznie:

– Już przy Denebie – rzekł – ostrzegaliśmy waszych zwiadowców, lecz oni nierozsądnie nie chcieli wracać na Ikara. Inni wyruszyli w poszukiwaniu nas i przyplacili to życiem. Za śmierć pierwszych my ponosimy winę, ponieważ nie wybraliśmy najstosowniejszej dla was formy kontaktu. Mam nadzieję, że pan,

Alek, okaże więcej rozsądku niż koledzy.

– Nie – wrzasnąłem, lecz nawet nie drgnął, zapytał tylko z tą samą mechaniczną obojętnością:

– Co jeszcze?

Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć, nie wiedziałem nawet, dlaczego krzyknąłem «nie». Zrozpaczony poprosiłem.

– Czy nie ukáže mi się pan w swej prawdziwej postaci?

Roześmiał się tak samo jak wtedy, gdy mi się objawił.

– To nic nie da, nie posiada pan odpowiednich zmysłów, by mnie ujrzeć.

I nagle z miejsca, w którym stał, wystrzeliło coś bezgłośnie oślepiającą błyskawicą, jakby spłonęło naraz tysiące ton magnezyj. Wydawało mi się, że coś dostrzegłem, ale nie potrafię powiedzieć, co widziałem, nie wiem, co to było, żaden ślad nie utrwalił się w mej świadomości, w tej samej chwili stwierdziłem, że oślepiłem. Nieprzejrzana ciemność opadła przez szkło mego hełmu, do bólu wgniatając mi gałki oczne w oczodoły. Poczułem jeszcze, że leżę na brzuchu, rozciągnięty na tej gładkiej, asfaltowo czarnej twardziźnie, nie pamiętając, kiedy i jak upadłem. Potem ktoś mnie podniósł. Był to Tobi. Podniósł mnie i poniósł w swych ramionach, jak czynił to nieraz. A statek z oświetlonym lukiem był zaledwie o krok, jakbyśmy wcale się od niego nie oddalali. Tobi zamknął luk, a ja jeszcze w komorze śluzowej, oprzytomniawszy, rzuciłem się ku niemu:

– Tobi, powtórz, co słyszałeś i widziałeś!

Milczał.

– Tobi, odtwarzaj! – wrzasnąłem.

Z tym samym skutkiem.

– Tobi, czy aparatura rejestracyjna była wyłączona? – zapytałem prawie z rozpaczą.

– Była włączona, Alek – odpowiedział. – Brak zapisu. Ani dźwięku, ani obrazu. Albo jakiś silny magnes starł zapis, albo przestrzeń Riemanna uniemożliwia zapis.

Sprawdziłem. Mówił prawdę. A nasza obecna rozmowa już była rejestrowana. Czułem, że jeszcze chwila, a zwariuję, lecz przypomniałem sobie, że aparatura rejestracyjna u psychorobotów stanowi jedynie urządzenie dublujące ich pamięć holograficzną. Powiedziałem:

– Tobi, byłeś ze mną i musiałeś wszystko widzieć i słyszeć?

– Byłem z tobą, Alek – odparł.

– Powiedz, co słyszałeś i widziałeś?

Nie odpowiedział.

– Mów, bydlaku!

Milczał – podobny epitet, oczywiście, nie był w stanie go uruchomić,

lecz nagle, Nilu, poczułem, że wcale nie chcę, by to potwierdził. Nie wiem dlaczego, ale całą swą istotą byłem temu przeciwny, myśląc o zwiadowcach, którzy nie wrócili nigdy na Ikara. Czy potrafisz to zrozumieć, Nilu? Powiedz, potrafisz to zrozumieć, Nilu? I wybaczyć? Powiedziałem bowiem:

– W porządku, Tobi, nie mów, ale nie mów tego także nikomu innemu!

Gdy wrócimy na Ikara, stracę nad nim władzę, dlatego postanowiłem go zabić. Zabiję go, Nilu, jest sprytny i ostrożny, ale przydybię go. Zostanie z niego kupa złomu. Wiem, że muszę go zabić. Za wszelką cenę. Albo jego, albo siebie! Potrafisz to zrozumieć? No więc ci tłumaczę! Zabiję go i wyruszę szukać tamtego, będę szukać tak długo, dopóki go nie znajdę, jeśli zajdzie potrzeba, przeszukam cały wszechświat, dotrę do najdalszej gwiazdy, ale znajdę go. Rozumiesz? No odpowiedz wreszcie! Nilu!... Milczysz? Milczysz, przekłeta? Tak, przeklinam cię i nienawidzę, nigdy cię nie kochałem, wiedz o tym! Ponieważ jesteś przestępczynią! Morderczynią! Kosmicznym piratem!... Ha, ha, ha...”

Był to obłąkańczy śmiech, który równie dobrze mógł być szlochem. Grzmiał w głośnikach, potem zacichał, by przejść w zawodzenie, przerywane okrzykami i jękami, a na końcu w przeraźliwy zgrzyt, jakby magnetyczna struna aparatu piłowała ostrą szklaną krawędź.

Terin wyłączył aparaturę i odwrócił się ku mnie:

– To wszystko, Zenonie. Wszystko, czym dysponujemy.

Pierwszy koordynator uczynił władczy gest swą bezcielesną prawicą. Rzekł surowo, prawdopodobnie kontynuując przerwana moim wejściem rozmowę:

– Obciążymy pana odpowiedzialnością za ten przypadek. Pan badał ich przydatność do lotów zwiadowczych.

Przewodniczący rady kontrolnej wzruszył bezsilnie ramionami w poczuciu winy, mimo iż władzą dorównywał pierwszemu koordynatorowi. Nigdy nie widziałem go tak zmieszanego.

– Nie sposób wszystkiego przewidzieć – odparł cicho. – U zmarłej nie zdołałem wykryć symptomów zapowiadających rozstrój nerwowy. Jeśli nawet występowały, nie da się tego już sprawdzić. Czysty tlen po prostu spala struktury mózgowe.

– A psychorobot? – zapytał pierwszy koordynator. – Czy tak bardzo jest uszkodzony?

– Urządzenie pamięci całkowicie zniszczone. Oto wynik ekspertyzy technicznej.

– Nie trzeba! – odparł surowo koordynator. – Do czasu podjęcia decyzji

przez radę tylko pan ma prawo zajmować się przypadkiem. Z zachowaniem ścisłej tajemnicy! Odezwę się niebawem.

I jego majestatyczna sylwetka rozplynęła się w powietrzu niczym jakiś rozniewany, lecz zarazem przestraszony duch.

### 3

Terin opadł na krzesło i przycisnął dłonie do skroni, a ja starałem się nie spoglądać na Alka, który, bezwładny jak trup, wciąż tkwił na krześle w tej samej pozycji. W głowie miałem absolutną pustkę, nie wiedziałem zupełnie, co o tym wszystkim sądzić – w końcu wezwano mnie do pomocy, a nie na bezstronnego świadka. Zapytałem:

– Czy lądowali gdzieś?

– Wszystkie dane przyrządów zostały wymazane – mruknął niechętnie Terin. – Widnieją jakieś zadrapania na powierzchni statku, które mogły powstać podczas lądowania, ale to jeszcze niczego nie dowodzi.

– A pan... pan, profesorze, co sądzi?

Pocierał twarz jak człowiek, który pragnie wreszcie się obudzić.

– Hipotezy można postawić dwie. W zależności od założenia, czy to, co się zdarzyło, jest realne czy nie. Obie jednak są niewesołe. Proszę powiedzieć mi,

Zenonie, razem dorastaliście jako chłopcy, razem przyswajaliście sobie wykształcenie ogólne... Czy programy uwzględniają pojęcie Boga?

Nie rozumiałem.

– Boga? Ach, tak... Boga! Nie, nie uwzględniają. To zagadnienie szczegółowe ze specjalnego programu dla historyków. Zdaje się z kosmogonii niższych społeczeństw.

– Tak, racja – przytaknął zamyślony przewodniczący rady kontrolnej. – W takim razie, jak wytłumaczysz, Zenonie, nagłe pojawienie się Boga w świadomości swojego przyjaciela? Przecież z pewnością nawet nie zetknął się z tym pojęciem?

– Ale dlaczego Boga? – stropiłem się do reszty.

– A czymże innym jest to, co widział, z czym rozmawiał? Wyższą istotą narzucającą swe wyższe, antyludzkie cele?

– Dery jest odważnym chłopcem, profesorze, astropilotem z dziada pradziada – zaoponowałem nieśmiało. – Nie byłby w stanie wymyślić podobnych nakazów.

– Jest człowiekiem, Zenonie – ciągnął z narastającym rozdrażnieniem mój nauczyciel i przełożony. – Siedząc samotnie w swym statku i tracąc



zmysły wśród bezdusznych urządzeń, w obliczu pustki i nicości, postanawia zaludnić tę nicość... czymś. Zadaję sobie pytanie, Zenonie, czy podróżując zaledwie dwadzieścia lat, znów znaleźliśmy się w owej sytuacji bez wyjścia, za którą zawsze musi kryć się Bóg?

Jak już powiedziałem, należymy do dwu różnych pokoleń i podobne poglądy były mi obce. Podjąłem nieśmiało:

– Jest w panu za dużo z Ziemiańszczyzny, profesorze, dlatego...

Wybuchnął:

– Ale Alek nie jest Ziemiańszczyźnianinem. Dery urodził się tutaj. Tu się wychował, tu się kształcił.

– No właśnie! – podniosłem również głos, ryzykując, że stanę się nieuprzejmy. – To dowodzi, że nie wymyślił sobie żadnego Boga, ale spotkał rzeczywiście przedstawiciela innej cywilizacji.

Odniosłem wrażenie, że nasz mądry przewodniczący rady kontrolnej nie aprobuje podobnego rozumowania. Ale opanował się, wyprostował nieco, z pewnością zaniepokojony możliwością utraty swego autorytetu w moich oczach, i powiedział:

– Zapominasz o sile dziedziczności. Dery został stworzony przez klonowanie, prawda? To kompleksy o stuwiekowym rodowodzie, a nasza wyprawa stwarza niezwykle dogodne warunki, by odrodziły się ponownie. Mistyka, Zenonie! – rzekł wcale nie żartując. – Nigdy nie da się przewidzieć, co zaserwuje nam czternaście milionów komórek; w holograficznym mózgu Tobiego to jeszcze nauka, czternaście milionów w mózgu Alka to już mistyka. Obaj wiemy o tym najlepiej, młody przyjacielu.

To prawda, że mózg psychorobotów takich jak Tobi sam stał się obiektem badań psychologicznych z powodu mnogości samodzielnych procesów, prawdą jest także, że psychofizjologia człowieka była, jak zawsze zresztą, najbardziej zacoфанą z wszystkich nauk, mówić jednak o misticie wydawało mi się więcej niż profanacją.

– Chory mózg, profesorze – narzuciłem sobie spokojny, rzeczowy ton, najmniej bowiem mogły mi teraz pomóc emocje i namiętności – chory mózg nie jest w stanie relacjonować z tak logiczną konsekwencją, tworzyć podobnych konstrukcji... Czy zwrócił pan uwagę na ten moment w jego opowieści, gdy mówił o dwu nie stykających się sferach? Nie jestem fizykiem, ale wydaje mi się, że były to jakieś pola sił, mające zapobiec katastrofalnym skutkom zbliżenia dwu materii o różnym ładunku. Czyż to aż tak nieprawdopodobne?

– Nie takie rzeczy jest w stanie wymyślić samotność, Zenonie! –

przerwał mi. – Proszę przypomnieć sobie projekt Bilinga!

Umilkłem, przymykając powieki, by wystawić na próbę dojrzewające we mnie przekonanie. Istotnie w ubiegłym roku ten nasz utalentowany fizyk przedstawił radzie astronawigatorów, rzecz można, genialny projekt, wyliczony bezbłędnie do najdrobniejszych szczegółów wzięcia na hol jednej z planet wokół Deneba. Tylko zaciekłość, z jaką bronił swego nierealnego i niepotrzebnego projektu, kazała nam zważyć w stan jego umysłu. Teraz sam Biling śmiał się ze swego pomysłu, którego opracowanie zajęło mu miesiące nieprzerwanej pracy.

Otwarłem oczy, czując, jak płoną Obwieściłem głośno:

– Nie, panie profesorze! Jestem przekonany, że to z Alkiem wydarzyło się naprawdę. I tą drogą winniśmy podążać w naszych badaniach..

– Hm – studził moje podniecenie – jaki zatem wniosek wyciągniesz dla Ikara? Za wszelką cenę szukać kontaktu z innymi cywilizacjami?

– Wniosek – powiedziałem – następujący, że trzeba zastanowić się nad tym, czy godni jesteśmy nazywać siebie prawdziwymi obywatelami kosmosu...

Ale widać nie słuchał mnie, pochłonięty własnymi myślami, bo dopiero po chwili westchnął ze smutkiem:

– Tak, wygląda na to, że wciąż jeszcze trzeba być heretykiem, by podążać naprzód. Czy wiesz, Zenonie, co powiedział pewien wielki starożytny pisarz? Że jedynym usprawiedliwieniem Boga jest fakt jego istnienia.

Spojrzałem nań zdumiony, a wszystko we mnie burzyło się przeciw temu, co chciał mi tak uparcie wmówić. Poczułem, że twarz mi oblewa rumieniec, głupie dziedzictwo, od którego nie potrafiła uwolnić się moja krew. Wybuchnąłem:

– Jedynym zaś dowodem na istnienie Boga, panie profesorze, jest strach przed nim. Ale to wasz strach, więc i Bóg jest wasz.

Podniósł rękę, by łagodnie zaprotestować, ale cichy brzęczyk gabinetowego poli wizora kazał mu poderwać się z krzesła i gwałtownie nacisnąć przycisk, jakby stamtąd miał nadejść ratunek. Na ekranie pojawiła się surowa twarz pierwszego koordynatora Ikara. Powiódł wzrokiem po gabinecie, jakby sprawdzał, czy nie ma w nim nikogo innego prócz nas, potem przemówił stanowczo:

– Przekazujemy naszą decyzję! Wyleczyć astropilota Alka-Derego z chorobliwych przywidzeń. Radzie kontrolnej poleca się przerwanie śledztwa i zdeponowanie wszystkich materiałów lotu w tajnym archiwum. Zachować zajście w absolutnej tajemnicy. Do zachowania tajemnicy

zobowiązuje się młodszego członka rady kontrolnej, Zenona Balowa.

– Nie! – krzyknąłem. – Ludzie muszą dowiedzieć się, że... – Lecz pierwszy koordynator zdawał się nie słyszeć.

– W przyszłości na dalekie zwiady wysyłać jedynie statki klasy „zet” z co najmniej pięcioosobową załogą. Zweryfikować system przygotowań. Przekonstruować ogólny program psychorobotów uwzględniając zajście.

– Przecież to... to... idiotyzm! – już krzyczałem. – Rada nie ma prawa podejmować podobnej decyzji! Pan sam... albo tamtych pięciu, ja...

Ale znikł z ekranu, nie racząc zaszczyścić mnie choćby spojrzeniem. Byłem gotów wykrzyczeć mu w twarz wszystkie wątpliwości i podejrzenia nagromadzone w nas, młodym pokoleniu, wobec starzejącego się dowództwa Ikara, powstrzymał mnie jednak uśmiech mego zwierzchnika i nauczyciela.

Tak, uśmiechał się, a jego uśmiech wyrażał nie skrywaną ulgę. Wydało mi się nieprawdopodobne, aby ten szanowany i uwielbiany przeze mnie człowiek solidaryzował się z podobnie antynaukową decyzją, z podobnie zdumiewającą nieufnością w stosunku do obywateli Ikara, lecz sam rozwiał moje wątpliwości:

– Cóż, Zenonie – westchnął, a było to już zwyczajne udawanie – zobowiązani jesteśmy podporządkować się. Wyleczymy twojego zdziwaczałego przyjaciela i sprawimy, że zapomni o niemądrych kompleksach i fantazjowaniu.

Wpatrywałem się weń, jakbym widział go po raz pierwszy, uświadamiając sobie, że on także jest przedstawicielem starego pokolenia Ikarczyków, że również on jest już znużony podróżą, że tak jak piątka koordynatorów i on potrzebuje Boga, którego mógłby negocjować. Łatwiej bowiem zanegować Boga niż jakieś prawo natury. I jeszcze uświadomiłem sobie, że owa istota, obojętne, realna czy śmieszna, ma rację zakazując ludziom wtrącania się w sprawy innych cywilizacji.

Powiedziałem więcej z bólem niż z gniewem:

– Nie wezmę udziału w takim leczeniu – i trzasnąłem drzwiami, zapomniawszy nawet zabrać skafander.

Lecz przez siedem lat przymusowego milczenia, po dzień dzisiejszy, gdy spisuję tę historię, na próżno staram się rozwikłać tamtą zagadkę.

Oby dalsza podróż przyniosła jej rozwiązanie!

## Wybrańcy

Gdy zacząłem dyktować niektóre ze swych przygód i przemyśleń, kierowałem się jedynie przeświadczeniem, iż tajemniczy przypadek mego przyjaciela, Alka Derego, dotyczy w pewnym sensie całej ludzkości – nie mam najmniejszego zamiaru stać się samozwańczym kronikarzem Ikara. Mamy specjalistów, którzy przekazują na Ziemię wszystko, co winno zostać przekazane. Mamy również pisarzy. A jeśli mimo to ośmielam się nadal prowadzić swoje notatki, czynię to dlatego, że zrodziło się we mnie podejrzenie, iż nasi pisarze pomijają w swych relacjach niektóre z istotnych momentów w życiu Ikara. Nie z powodu niesumienności, ma się rozumieć, po prostu z niezrozumienia owych momentów. Albo ich nie rozumieją, albo – jak większość Ikarczyków pierwszego pokolenia – wolać ich nie dostrzegać. Nie wiem, jakie utwory przesyłają na Ziemię, to jednak, co serwują nam tutaj, jest niezbyt poważne, za to przyjemne jak orzeźwiający napój i nie mające nic wspólnego... Może jednak nie mówić o nich więcej, nie potrafię bowiem zdobyć się na bezstronność, są z pierwszych Ikarczyków, z pokolenia rodziców, ku któremu z upływem czasu zrodziła się we mnie okrutna nienawiść. Może nienawiść nie jest ścisłym określeniem, lecz przesadzone opinie wcale nie bywają mniej prawdziwe od pobłażliwych.

Podobny stosunek do ludzi, jest, oczywiście, absolutnie niewskazany w naszym zawodzie i mój kolega Redstar z pewnością nie bez podstaw twierdzi, iż nie jestem godny członkostwa rady kontrolnej i że barbarzyńska niestałość mego charakteru skazuje mnie na wieczny dyletantyzm.

Przypadek z Alkiem spowodował, że w następnych latach zajmowałem się wszystkim, tylko nie zwykłymi obowiązkami wynikającymi z mego zawodu i stanowiska, że zajmowałem się najprzeróżniejszymi naukowymi i pseudonaukowymi problemami, do których zgłębienia brakowało mi zarówno wiedzy, jak doświadczenia, że wtrącałem się do życia społecznego Ikara, by sprowokować „przewroty” i „rewolucje”. W ogóle z latami przeobraziłem się w nieznośne indywiduum, szczerze rozsiewające wokół siebie ferment niepokoju. Jedni kpili ze mnie, inni gardzili mną, jeszcze inni... nie mogę powiedzieć, aby ktoś kochał mnie za to, tak czy owak jednak, wszyscy musieli liczyć się z moją osobą. Zobowiązuje mnie to, bym, starając się zachować obiektywizm, powiedział wam kilka słów o sobie.

Przewodniczący rady kontrolnej, mój, rzec można, patron naukowy

i zwierchnik, nadal okazywał mi jednak swe przywiązanie. Niekiedy, w chwilach szczerzej refleksji, nie dostrzegałem w sobie innej dominującej cechy prócz krnąbrności – młodzieńczej krnąbrności, która bywa nawet urocza, lecz kiedy odkrywasz ją u siebie, nie wypada ci jej nie potępić. A właśnie jakby ona zdawała się przyciągać Terina do mnie, najmniej utalentowanego z jego uczni.

Początkowo, tak jak inni uczniowie, młodzi członkowie rady kontrolnej, byłem pełen podziwu dla ogromu jego wiedzy. Podziwiałem także wręcz nieludzką wyrozumiałość wobec motywów przeróżnych postępów i pomysłów ludzi, chyliłem czoło przed jego bezgraniczną cierpliwością, przed jego dobrocią i zdolnością do obiektywizowania własnych sądów. I starałem się upodobnić do niego – stać się wzorowym członkiem rady kontrolnej, instytucji powołanej do podtrzymywania duchowej i fizycznej sprawności Ikarczyków. Podczas naszej sprzeczki na temat Alka uświadomiłem sobie, że przecież on także należy do pierwszego pokolenia, że drogi nasze rozejdą się na zawsze, gdy staniemy wobec problemów dotyczących przyszłości Ikara. Zacząłem stronić od niego, zbliżając się bardziej do jego drugiego zastępcy – Variusa Lotza – pierwszy zastępca, zgodnie z regulaminem, spał w komorze anabiotycznej. Terin szukał mnie, chociaż spotkaniom naszym starał się nadać charakter przypadkowy. Mówił do mnie coś rzeczowo, a oczy jego spoglądały na mnie z pokorną prośbą, jakby mówiły: ulituj się nade mną, starcem, i wróć, ponieważ jestem samotny i boleśnie odczuwam twą nieobecność.

Wiedziałem: brak mu mojej gadatliwej lekkomyślności, tupetu i mojego niepokoju, lecz nie mogłem mu ich już ofiarować, ponieważ nie byłem już taki jak dawniej. Wszystko we mnie stopniowo przeradzało się w bezwzględna buntowniczość, która musiała wydawać się odpychająca. Dlatego nie byłem w stanie wytłumaczyć sobie jego przywiązania do mnie niczym innym jak tylko troską o los nowych pokoleń. Wreszcie nie wytrzymał, zmusił mnie, niemal poniżając się, do rozmowy, której długo unikałem.

– Zenonie – wezwał mnie pewnego razu z poli wizora pod koniec mojego dyżuru. – Jest mi pan potrzebny.

Był to jego służbowy sposób zwracania się do współpracowników, tak samo wezwał mnie wtedy, z powodu Alka, lecz teraz w jego słowach zadźwięczało coś innego, i domyśliłem się, dlaczego mnie wzywa. Widocznie dostrzegł znudzenie na mej twarzy, ponieważ dodał pośpiesznie:

– Sprawa nie jest pilna, możesz przyjść, kiedy zechcesz.

Wiedziałem, że nigdy nie zechcę, już miałem to powiedzieć, ale podniosłem się. Loni zachichotał:

– Zapisać partię, czy poddajesz się?

Mój kolega Redstar ze swym cybernetycznie bezbłędnym mózgiem regularnie dawał mi ciągi w szachach. Udawało mi się wygrać z nim jakąś partię tylko wtedy, gdy ze szczególną siłą rozpętywały się we mnie wyobraźnia i tupet, od dawna jednak obrały sobie inny cel, pozostawiając mnie osamotnionego w kosmosie czarno-białych kwadratów.

– Mój drogi Loni – odpowiedziałem – milczenie pokonanego jest szlachetniejszym przejawem człowieczeństwa niż triumf zwycięzcy.

– Przekonałbym się o tym, gdybyś mi nie powiedział.

– Ubogiej wyobraźni trzeba niekiedy coś wyłożyć wprost – odparowałem, ale poczułem wyrzuty, odpowiedź bowiem wypadła grubiańsko.

Uśmiechnął się z tą przekłątą wszechwyrozumiałością.

– Rozumiem. Czeka cię ciężka rozmowa, przyjmijmy więc, że nie rozegraliśmy partii.

Z tego powodu zjawiłem się u naszego przewodniczącego bardziej wrogo usposobiony niż zamierzałem.

Terin pólleżał na kanapie w prywatnym gabinecie i wydawał się bardzo zmęczony. Nie wykazywał ochoty do słownych igraszek czy dysput naukowych, raczej starał się ukryć zniecierpliwienie, które musiało być tak wielkie, że wręcz męczyło go.

– Proszę usiąść, Zenonie – poprosił, wstając. – Dawno się nie widzieliśmy. Napijesz się czegoś?

– Tak – odpowiedziałem. – Ale czegoś uspokajającego. Zasmucił się.

– Odczuwasz potrzebę środków uspokajających?

– Przed chwilą przegrałem partię szachów.

Rozumiał i mój stan, i moją odpowiedź, lecz wolał poprawić nastrój neutralną półzaczepeką:

– Tak ambitnym jesteś szachistą?

– Aha! – odparłem żartobliwie. – Gdybym wykazywał podobną ambicję w innych sprawach, wywróciłbym Ikara na opak.

– Wydaje mi się... że nie byłoby to już takie trudne – westchnął z nostalgiczną ironią.

Milczenie moje nie było szlachetnością zwyciężonego, lecz wyniosłością zwycięzcy.

– Zenonie – podjął po chwili. – Dowiedziałem się, że opuściłeś rodziców.

– Profesorze – odparłem – o ile wiem, na Ziemi dzieci o wiele wcześniej opuszczają swych rodziców...

– Twoi rodzice należą do najbardziej szanowanych obywateli Ikara.

– Szanuję ich również.

– Jesteś tego pewien?

– Nie.

Roześmiał się cicho.

– Chyba jesteś, Zenonie, pewien czegoś przeciwnego.

Było tak istotnie, ale przecież nie dla tej rozmowy wezwał mnie, dlatego jedynie wzruszyłem ramionami.

– Przychodzili do mnie po radę – rzekł ostrożnie. Powiedział „przychodzili”, choć z pewnością tylko matka go nachodziła.

– I co im pan doradził?

– Pocieszyłem ich w ten sam sposób: wszyscy w twoim wieku opuszczają swych rodziców.

Uwierzyłem, ponieważ udało mu się nie zaprawić tych słów ironią. Mnie jednak to się nie udało.

– Wątpliwa pociecha.

– Wątpliwa. Nie znalazłem jednak innej. Czym teraz się zajmujesz, Zenonie?

Zawahałem się – jeszcze nikomu o tym nie mówiłem.

– Tematem „maszyna-człowiek”.

Każdy Ikarczyk z jego pokolenia wybuchnąłby śmiechem Terin jednak zrozumiał bez dodatkowych wyjaśnień, dlaczego pociągnął mnie ten problem, od dawna uważany za rozwiązany. Znaczyło to, że albo jemu samemu nie było obce to, co podniecało mój umysł, albo też znając mnie dobrze, domyślił się, które dokładnie aspekty problemu mogą mnie interesować. Mimo to jego aprobata rozdrażniła mnie.

– Zawsze wierzyłem, że znajdziesz swój temat.

– Nigdy, panie profesorze, nie wierzył pan we mnie jako uczonego – odparłem z demonstracyjną obojętnością.

Nie zaprzeczył, ale i nie potwierdził.

– Zawsze wierzyłem, że odnajdziesz, Zenonie, swój temat, bez względu na to, czy uda się go rozwiązać, czy nie. Główną cechą prawdziwego uczonego jest umiejętność odkrywania problemów. Rozwiązanie bywa najczęściej dziełem przypadku. Zawsze jednak formułuje je jednostka.

Prowokował mnie, czy komplementował, by ponownie przyciągnąć mnie do siebie? „Poczekasz, staruszk” – powiedziałem sobie, a moje milczenie powinno mu było dać do myślenia, że nie mam zamiaru

opowiadać o „swoim temacie”.

– Co porabia twój przyjaciel, Dery? – zapytał i ostatecznie przekonałem się, że świetnie wie, gdzie i jak znalazłem swój temat.

– Nie jest już moim przyjacielem. Pan go zniszczył – odpowiedziałem z bezwzględny okrucieństwem.

Czegóż nie próbowałem z Alkiem, by pojąć coś jeszcze z jego zagadkowej przygody, podpytywałem, badałem – mnemoterapia i iniekcje mózgowe z kwasu rybonukleinowego i enzymów z uprzednio opracowaną strukturą molekularną zrobiły jednak swoje: już nic nie był w stanie mi powiedzieć. Odpowiadał promiennym uśmiechem zdrowego na ciele i umyśle niewzruszonego prostaczka, kiedy opowiadałem, co mu się przydarzyło. Wymyślił sobie nawet przekonujące wytłumaczenie śmierci Nili, prawie wszystko zresztą uważał za moje wymysły, mające na celu osaczenie psychiatrycznymi fantasmagoriami śmiałego dowódcy statku zwiadowczego – jako członek rady kontrolnej specjalizowałem się wówczas w psychiatrii.

– Wiesz, Zenonie, słyszałem, że aby stać się dobrym psychiatrą, trzeba samemu być lekko stukniętym, w przeciwnym razie nie zainteresuje cię patologia innych. Wyglądasz na psychiatrę z przyszłością!

Wówczas nie wytrzymałem i wrzasnąłem:

– Jestem dobrym psychiatrą, Alek, i wiem, że normalny stan psychiczny jest brednią. Ale ty jesteś normalny do kretyństwa.

Odebrało mu mowę. Przestałem się nim w ogóle zajmować, chociaż wiedziałem, że nie on winien jest temu, że nie na niego, biedaka, powinienem był wylewać swą złość, lecz na tych, którzy odebrali mu pamięć tego, co przeżył.

– Może masz rację, gniewając się na mnie, Zenonie – powiedział łagodnie Terin. – Z pewnością masz rację, skoro tak bardzo zainteresował cię ten przypadek, proszę jednak i nam nie odmawiać pewnych praw. Na nas spoczywa odpowiedzialność za równowagę psychiczną Ikarczyków.

– Równowaga psychiczna przeobraża człowieka w maszynę! – wybuchnąłem.

– Ikarczycy są maszynami, wysłanymi z Ziemi w celu zbadania kosmosu – powiedział.

Otwarłem usta ze zdumienia:

– I to pan mówi?

– A kto? Tobie mogę to powiedzieć, Zenonie. Czyż nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, co stanowi misję Ikarczyków jako przedstawicieli Ziemi?



– Nie jestem maszyną! – krzyknąłem zupełnie jak smarkacz i zerwałem się z miejsca.

Uśmiechnął się wyrozumiale:

– To prawda. Ja także nie jestem, i twoi rodzice nie są, nikt na Ikarze nie jest maszyną. Ale ich zadanie? Jakie jest ich zadanie? Czyż nie” to samo, jakim obarczamy nasze sondy automatyczne, wysyłając je ku nieznanym słońcom i planetom? Od sond wymagamy niezawodnej pracy. Od Ikarczyków także wymaga się niezawodnej pracy, by do końca wypełnili swą misję. A za tę niezawodność odpowiedzialni jesteśmy wszyscy: ja, cała nasza załoga, każdy Ikarczyk wobec drugiego Ikarczyka.

– W tym celu mnie pan wezwał? – odąłem pogardliwie usta. – Uważam, iż wypełniam swe obowiązki służbowe.

– Nie, cóż znowu! Wcale nie chciałem, byśmy mówili o tym. Po prostu chciałem tylko zaproponować ci swe usługi, domyśliłem się, co cię zajmuje i pragnąłem przyjść z pomocą, jak... jak swemu uczniowi.

Aby nie odparować, że niepotrzebna mi jego pomoc, ponieważ jakakolwiek byłaby, pochodziłaby z całkiem innych pobudek, rozglądałem się po gabinecie, jakbym widział go po raz pierwszy. Mój nauczyciel nie miał upodobania do luksusu i w pokoju znajdowały się tylko sprzęty do pracy: wysoki pulpit, przy którym pisał i rozmyślał na stojąco, dyktafon, domowy poliwizor, ten wspinały wynalazek służący nie tylko różnorodnym kontaktom z ludźmi – telefonicznym, wizjofonicznym, holograficznym, ale będący również kinem, salą koncertową, maszyną do głosowania, biurem informacji, aparatem do łączności z kolektorami naukowymi, i nadmuchiwana kanapa. Na resztę składała się łagodna harmonia barwnych mas plastycznych i lekkich metali...

– Wydaje mi się, że nie przejawiasz wystarczającego zrozumienia dla Ikarczyków – kontynuował wciąż równie delikatnie mój stary nauczyciel.

– To może cię zwiść, Zenonie, jeśli myślisz o swym temacie.

– Znam ich aż nadto dobrze.

– Podobne twierdzenia w naszej pracy bywają ryzykowne – rzekł ostrożnie, by mnie nie obrazić. – Nie masz z nimi prawie żadnego kontaktu. Czy nie smuci cię, Zenonie, fakt, że żaden z Ikarczyków nie zjawia się u ciebie do przeglądu lub po poradę?

Już to przebolełem.

– Nie przychodzą starzy Ikarzycy. Moje pokolenie szuka mnie... to całkiem naturalne, że przychodzą do pana, panie profesorze. Zna ich pan od chwili startu z Ziemi, przywykli do pana, ufają panu.

– Do Redstara także przychodzą. Bo czują, że ich kocha, i wiedzą, że

bez miłości nie ma zrozumienia. Dlaczego ich nie kochasz, Zenonie?

– Kto kogo kocha na Ikarze, panie profesorze?

Powiedziałem to bardziej gorączkowo niż pozwalała moja duma i zawstydziłem się. Podniósł wzrok nad moją głowę, zmarszczki wokół ust zarysowały się wyraźniej, zapewne wskutek tego samego cierpienia, które mnie kazało opuścić rodziców. Powiedział całkiem cicho:

– Wiem, że cierpisz z tego powodu, Zenonie, ale nie masz racji. Oto na przykład... ja cię kocham.

Podobne wyznanie nie mogło nie przełamać mojego wewnętrznego oporu, nie potrafiłem jednak reagować wbrew swej naturze. Wybuchnąłem jak obrażone dziecko:

– Z trudem ich znoszę, panie profesorze! Może pan zdoła mi to wytłumaczyć, dlaczego wręcz fizycznie nie cierpię tych jednakowo silnych, jednakowo pięknych, jednakowo mądrych, jednakowo utalentowanych, jednakowo dumnych i zarozumiałych egoistów... Tak, ma pan rację, to nie ludzie, to maszyny! Nienawidzę maszyn, ot co!

Uśmiechnął się smutno.

– Nie są maszynami, Zenonie. Ty...

Lecz ja jeszcze nie wyładowałem swego gniewu:

– Zawsze wydawali mi się odpychający. Kiedy tylko zacząłem uczyć się historii ludzkości, doszedłem do wniosku, że Ziemianie nie są tacy, że są zupełnie inni. Wyobrażałem sobie, że są podobni do tych groźnych zdobywców, którzy podbili starożytnych Majów i Inków, wydawali mi się podobni do konkwistadorów. Widziałem ich samotnych i drżących ze strachu, że każdej chwili mogą zostać zabici przez tych, których uczynili niewolnikami, i nie wrócić z zagrabionymi bogactwami. A teraz widzę, że nie są także konkwistadorami, z pewnością byli nimi u początku wyprawy, przekonali się jednak, że nie ma kogo podbić i nie ma bogactw do zgrabienia, że sami zostali ograbieni. I pozostała im jedynie duma, duma starych, podupadłych hiszpańskich grandów... Wie pan, wierzę w symboliczne zbiegi okoliczności. To nie przypadek, że wybraliście do ekspedycji właśnie asteroidę Hidalgo. To nie Ikarzycy, to Hidalczycy, biedni i żałośni Hidalczycy, tęskniący jedynie za przeszłością, za Ziemią. Tak właśnie ich nazywam: Hidalczykami...

– Dotarłeś do pewnej prawdy o nich – powiedział mój nauczyciel. – Dlaczego nie posunąłeś, się, Zenonie, dalej?

To, że dawał mi prawo do podobnych osądów pokolenia, do którego sam należał, rozbroiło mnie. Poszukałem kieliszka i zdziwiłem się, że nie znalazłem go pod ręką. Nie wstawałem ze swego miejsca, od chwili kiedy

postawiłem kieliszek na pulpicie roboczym Terina – doprawdy, to już za daleko posunięty brak wychowania! Wstałem, by zabrać go stamtąd, i starając się ukryć zmieszanie, wybąkałem:

– Należę sobie jeszcze trochę – zyskiwałem tym sposobem chwilę na proste, uspokajające czynności fizyczne. Otwarłem niszę w ścianie, ustawiłem kieliszek pod kranem, wybrałem numer soku owocowego i poczekałem, aż kieliszek napelni się do ostatniej kropli z kranu.

Terin także czekał cierpliwie, z pewnością szykując się, by wyjaśnić, co jest tym „dalej” i co wcale mnie nie interesowało.

– Nie przypuszczałem, że wystąpi aż taka różnica między nami i naszymi dziećmi – zaczął bardziej do siebie niż do mnie, kiedy wreszcie odwróciłem się do niego z kieliszkiem przy ustach. – Niektóre z dzieci przedstawiają po prostu skok mutacyjny...

– Jestem brzydkim, nieutalentowanym potworem, z pewnością po prostu im zazdroszczę – wtrąciłem tonem samokrytyki, a on niemal się przestraszył.

– Wcale nie to chciałem powiedzieć! Chodzi o to, że jeśli urodziłeś się na Ikarze, Zenonie, no to urodziłeś się zwyczajnie, oni zaś są... wybrani. Oto od jakiego słowa trzeba wyjść, jeśli chce się ich zrozumieć! Wybrani, wybrani! Ty nie wiesz, co to znaczy, a to coś... strasznego! Popelniliśmy katastrofalny błąd. Nie widzę jednak, jak można go było uniknąć. Był nieuchronny. Ale mógł przynajmniej być mniejszy. Kiedy kompletowaliśmy załogę Ikara, stosowaliśmy te same kryteria, według których dobiera się załogi statków kosmicznych: jednostki silne duchem, zdrowe na ciele, utalentowane w swym zawodzie, bezkonfliktowe. Okazały się niewystarczające. Co innego wybrać dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt osób spośród zawodowych astronautów jako załogę jakiegoś statku kosmicznego, który poleci na ściśle określony czas, najdalej do Proxymy Centaura – dalej, jak wiesz, ludzkość przed nami nie dotarła, a zupełnie co innego znaleźć tysiąc osób do ekspedycji obliczonej na sto lat. Całkiem normalne i rozsądne wydawało się wyhodowanie, jeśli tak można powiedzieć, specjalnej rasy. Stworzyliśmy ją przez klonowanie z najwybitniejszych na Ziemi geniuszy w najróżniejszych dziedzinach, wciąż ją uzupełniając. Mieszkało ich na samym Ikarze w końcowej fazie jego budowy i podczas okresu próbnego trzykrotnie więcej, by mogła zostać dokonana jeszcze jedna, ostateczna selekcja: miało to ułatwić w przyszłości znalezienie odpowiednich partnerów do małżeństwa...

Wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju, ciężko powłócząc nogami po romboidalnych figurach posadzki. Koszula w luźnych fałdach spływała

mu z szerokich, już przygarbionych ramion, przydając sylwetce ociężałości, jakiej nie widywałem u innych Ikarczyków z wyjątkiem mego ojca. Ale przecież... przecież był członkiem komisji kwalifikacyjnej, czyż nie jest zatem jednym z owej pięćdziesiątki, jak mój ojciec, która nie była specjalnie stworzona, lecz która porwała za sobą tysiąc młodych ludzi? Mają teraz po pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt lat, a Terin i mój ojciec prawie osiemdziesiąt. Trzymają się staruszkowie nad podziw, silni i sprawni, trudno dopatrzeć się między nami różnicy w wyglądzie, jeśli już, to raczej duchowej, teraz jednak można ją było dostrzec także w wyglądzie fizycznym profesora. Ale u pierwszego koordynatora w ogóle nie jest widoczna: choć należy do najstarszych, tężyzną i urodą przypomina Alka. Lecz oni, astronawigatorzy, to odrębna rasa, za którą nie przepadam.

– To wybrańcy, Zenonie – mówił do mnie Terin, z rękami założonymi na plecach, ale bez pozy, ze szczerym przejęciem. – Jeśli wiesz, że z dziesięciu milionów Ziemiaków ty jeden godny jesteś stać się obywatelem Ikara, więcej: że specjalnie zostałeś urodzony, by reprezentować ludzkość w Galaktyce, nieuchronnie zaczniesz uważać się za wybrańca. Byli młodymi ludźmi, zdrowymi i pewnymi siebie, my uczyniliśmy ich dodatkowo dumnymi. Każdy z nich jest prawie geniuszem w swej dziedzinie, lecz geniuszem, oderwanym od wspierającej go duchowo zbiorowości ludzkiej. To nieuchronnie rodzi tragedię samotności. Do tego należy dodać, iż rozdzieliliśmy ich z rodzicami w bardzo młodym wieku. Odczuwają silnie potrzebę samopotwierdzenia, która tak ciebie drażni, by udźwignąć swą samotność. Są mądrzy i posłusznie studiują zalecane im zasady postępowania, ich kolektywizm pozbawiony jest jednak elementów emocjonalnych, ponieważ u podstawy charakteru Ikarczyka leży egocentryzm wielkiego talentu. Niemal gardzą tymi dziesięcioma miliardami ludzi, którzy ich wysłali, ta pogarda również jest im potrzebna do dobrego samopoczucia.

Skrycie zazdroszczą im jednak i tęsknią za nimi, Zenonie!

Ostatnim słowom towarzyszyło westchnienie i odgadłem, że pochylone ramiona dźwigają brzemień trosk tysiąca wybranych. Zatrzymał się przede mną i nie odrywając wzroku od podłogi, dokończył prawie szeptem:

– Potrzebują naszej miłości, przyjacielu, ponieważ nikt nigdy ich nie kochał.

– A na Ziemi? – zawołałem.

– Nie pamiętają nawet miłości rodzicielskiej. Zresztą, dawno nie żyją już ci, którzy ich wysłali. Od tamtego czasu wysłano zapewne wiele

podobnych ekspedycji. Nawet nie mamy już z nimi łączności...

– Jak to? A uznanie, jakie stamtąd otrzymujemy? A ocena poszczególnych prac, a nagrody, tytuły?

Podniósł wreszcie głowę i wyczytał w jego twarzy determinację lekarza, dobrze znającego diagnozę.

– Odkryję ci pewną tajemnicę, której nie masz prawa nikomu powtarzać, Zenonie – powiedział wolno, lecz z naciskiem. – Pewne nie znane nam uprzednio zjawiska i siły w Galaktyce pozbawiły nas możliwości utrzymania dwustronnej łączności z Ziemią. Zdajesz sobie sprawę ze znaczenia tego faktu, prawda?

Powinno to było mną wstrząsnąć, lecz tylko uśmiechnąłem się ironicznie:

– To znaczy, że stopień naukowy, otrzymany zeszłego miesiąca?...

– Nie został przyznany z Ziemi, Zenonie, czy dobrze zrozumiałeś, o czym mowa?

– Oczywiście, profesorze – roześmiałem się. – Przecież od urodzenia przywykłem do iluzji, której pełno na Ikarze.

Przyzwyczaiłem się przez te lata także do kontrolowanego systemu informacji, wprowadzonego po wypadku z Alkiem Derym, nie pozbawionego zresztą uzasadnienia. W swej podróży Ikarzycy natykali się na tyle zagadek, paradoksów, sprzeczności, nie wyjaśnionych i niewyjaśnialnych dotąd zjawisk... Rejestrowali je sumiennie, upychali w bezdenną pamięć naukowych kolektorów i wysyłali na Ziemię. Niektóre z owych zjawisk miały postać tak sensacyjną czy wręcz przerażającą, że długo dręczyłyby wszystkie umysły. Określano je jako tajemnice sektorowe i zajmowały się nimi jedynie wyspecjalizowane ekipy naukowe. Oswoiłem się także z wieloma innymi tajemnicami i zakazami, które nie wydawały się tak usprawiedliwione.

– Tak... tak... rzeczywiście... tak, tak... – Terin był rozgoryczony moją niefrasobliwą reakcją. – Dla nas jednak jest to niewyobrażalną tragedią!

– Ponieważ traktujecie Ikarę jedynie jako stację badawczą – powiedziałem starając się pohamować gwałtowność swych słów. – Według mnie Ikar ma własną misję do spełnienia, nie jest bowiem drugą Ziemią, lecz sam musi stworzyć inną, nową ziemię, różną od swej rodzicielki, tak jak my różnimy się od was.

– To niemożliwe, Zenonie – westchnął Terin. – To niemożliwe, ponieważ brak nam ludzkiej zbiorowości, ponieważ jesteśmy tylko wybrańcami. Ikar tak długo będzie tylko ziemską załogą, jak długo będzie myśleć o powrocie.

Miałem ochotę zawołać: – Przestańcie wreszcie myśleć o tym przeklętym powrocie, ale zdusiłem to w sobie.

– Ja także myślę o powrocie – powiedział ze wzruszającym zawstydzeniem. – Wiem, że nie wrócę, mimo to chcę wrócić.

– I po co? – powiedziałem. – Upłynęło tyle czasu, przeminęły epoki, będziecie tam żalonymi wykopaliskami!

– Nie, nie, zawsze istnieje jakaś nikła szansa, że będzie inaczej. Nikt dokładnie nie wie, co dzieje się z czasem, ale chciałem powiedzieć coś innego: to tragiczne, że w żaden sposób nie możecie pojąć, dlaczego nie możemy zapomnieć o powrocie. I obawiam się, Zenonie, że właśnie ten brak zrozumienia stanie się przyczyną wielkiego nieszczęścia. Dojrzewają niedobre wydarzenia, mój chłopcze. Boję się ich.

Nie dostrzegałem niczego strasznego na horyzoncie Ikara, lecz udzielił mi się szczery niepokój nauczyciela. Zapragnąłem powiedzieć coś pocieszającego.

– Zmusił mnie pan do spojrzenia w inny sposób na wiele spraw. Jestem za to wdzięczny.

Czułem, że powinienem być już pójść, ponieważ nastrój stawał się zbyt smutny i przygnębiający. Terin nie zatrzymywał mnie, lecz objąwszy ramieniem odprowadził do drzwi. I już w drzwiach powiedział:

– Gdy będziesz rozmyślał nad tematem maszyna-człowiek, Zenonie, proszę nie opierać się zbyt na tym, co usłyszałeś z ust obłąkanego Derego. Wszystkich w młodości pociągała idea niemechanicznego poruszania się w kosmosie, wygląda jednak na to, że jest ona niczym innym jak tylko młodzieńczym marzeniem.

– Dziękuję za radę – odparłem uprzejmie i pożegnałem się, nie mówiąc, dlaczego odechciało mi się już sporów z nim.

Oto dlaczego mnie wezwał! By mnie przestrzec, przestrzec przed zbyt dużym entuzjazmem. Zgoda, profesorze, ale czy latanie nie było także jedynie młodzieńczym marzeniem, zanim ludzie nie nauczyli się latać? Czyż loty w kosmos nie były przez tysiąclecia czystą fantazją? Nie, mój stary profesorze, polecę śladem Alka i odnajdę to „bóstwo”, które tak was przeraziło, przyskoczę mu do gardła i wydrę zeń tajemnicę, by dowieść wam prawa do istnienia poza waszym absurdalnym Ikarem. Zwróćcie się ku sobie, ludzie! Przesadnie polegacie na maszynach, czas, byście przejrzeni, że w kosmosie można obywać się bez maszyn!

Były to słowa tego, którego Alek „spotkał” w kosmosie, ale powtarzałem je jak swoje, ponieważ nie były dla mnie żadnym odkryciem – jak później sobie uświadomiłem. To wezwanie, przekazywane na

miliardletniej drodze ewolucji, tkwiło w nie wyrażonej postaci głęboko we mnie. Wszyscy marzyliśmy o tym – powiedział Term. Którego z powszechnych marzeń nie udało się ludzkości urzeczywistnić dotąd w tej lub innej formie? A czyż samo istnienie podobnego marzenia nie jest potwierdzeniem jego zasadności? Skąd bowiem by się brało? Skąd brałoby się instynktowne poczucie więzi z kosmosem w podobnie zamkniętym układzie jak Ziemia, gdyby więź ta nie istniała, gdyby nie istniała jeszcze przed wymyśleniem maszyn, przed wymyśleniem rakiet? Coś takiego jak więź gęsi z wodą – ptak rodzi się w inkubatorze, lecz kiedy przebije skorupę jaja, pędzi ku wodzie i pływa, i nurkuje w niej, ponieważ ona jest bliskim mu żywiołem, nie ląd, nie inkubator. Czyż Ziemia nie jest dla człowieka także tylko czymś w rodzaju takiego inkubatora?

Roześmiałem się nader niedoskonałego inkubatora, który grawitacją i dwustukilometrową czapką atmosfery usiłuje stłumić kosmiczny instynkt ducha!

Śmiech mój brzmiał gorzko i złośliwie. Dobrze, że ulica była pusta i nikt go nie słyszał!

Ulica skądinąd mogąca uchodzić za ulicę na Ziemi, jakie widywałem na filmach. Z jednej strony ciągnęła się wąska grządka wodorostów, z drugiej fasady dziesiątki domów mieszkalnych. Nad tym wszystkim – wiosenne błękitne niebo, któremu efekty świetlne przydawały głębi i nieskończoności. Innego nieba nie znałem: urodziłem się pod sztucznym niebem Ikarą i obrzydło mi ono, jak brzydnie nawet coś najdroższego, gdy staje się więzieniem dla tęskniącego za innym niebem ducha.

A ulica była zupełnie pusta, jak wszystkie ulice na Ikarze. Ponieważ ci geniusze, ci wybrańcy siedzieli w swych gabinetach, laboratoriach, halach konstrukcyjnych i pracowali jak szaleńcy. Pracowali w dzień i w nocy: badali, odkrywali, udoskonalali, konsultowali i... gromadzili wszystko w magazynach Ikarą, w jego bezdennej, holograficznej pamięci. Czy za to właśnie ich nienawidziłem? Czy dlatego, że z natury jestem leniwy, czy też dlatego, że ich wysiłki wydawały mi się pozbawione sensu?

Żyli w przekonaniu, że każdy z nich zobowiązany jest wykonywać to, co na Ziemi wykonują setki tysięcy, miliony. Ponieważ jeden konstruktor lub astrofizyk czy chemik na Ikarze wart jest tyle, ile na Ziemi milion konstruktorów, astrofizyków, chemików. Ale czy było potrzebne to wszystko na samym Ikarze, jednostajnie i bez przeszkód przemierzającym kosmos? Czy ta potworna energia twórcza nie była podsycana jedynie wiarą, że jej owoce przekazywane są na Ziemię, że służą tym, którzy ją stworzyli i wysłali? Czy nie szukała w twórczości jedynie pociechy

i zapomnienia? A gdybym im to powiedział? Gdybym wpadł do gabinetu dyżurnego i włączywszy służbowy poliwizor na ogólną transmisję, wrzasnął: Ikarczycy, oszukujecie siebie, jesteście śmieszni! Od dawna nie wysyła się na Ziemię niczego z tego, co tworzycie, od dawna nie potrzebuje już ona waszych mózgów! I roześmiał się w twarz tym pięknym zarozumiałcom, tym wybrańcom?

Widziałem ich zmieszanych, żalonych i znów miałem ochotę zadzwonić z nich. A potem zrobiło mi się przeraźliwie smutno i zapragnąłem zobaczyć się z rodzicami, ponieważ czułem, że teraz spojrzalbym na nich inaczej – wiedziałem coś, o czym oni nie wiedzieli, coś, co sprawiłoby im ból, we mnie zaś budziło jedynie wesołą złośliwość. A brała się ona z nadziei, że teraz wreszcie Ikar chcąc nie chcąc przestanie być częścią Ziemi, żalowaną i smutną częścią, rzuconą w otchłań kosmosu! I z przekonania, że nie moi rodzice, ale ja jestem prawdziwym mieszkańcem Ikara.



## Chromosom zła

### 1

Do rodziców udałem się później i wyglądało to zupełnie inaczej, niż wyobrażałem sobie po opuszczeniu gabinetu Terina. Moja złośliwość szukała uzasadnienia,) stopniowo jednak przechodziła w rodzaj niedowierzania; dramat Ikarczyków w moich oczach nie był żadnym dramatem, dlaczego więc również oni: mądrzy, przenikliwi, nie potrafią zrozumieć, że to nie dramat, lecz triumf? Dlaczego nawet mój genialny ojciec nie jest w stanie przyjąć, że po zerwaniu łączności z Ziemią przeobrażamy się we własny świat, prawdziwy, nie zaś pozorny powód do dumy i pewności siebie? Dlaczego wciąż liczy się z jakąś odległą cywilizacją, choćby nawet dobrze mu znaną – dotyczy to zwłaszcza jej historii – gdy czekają nas inne cywilizacje, o których nic nie wiemy i które z pewnością okażą się bardziej interesujące?

Loni na pewno umierał z ciekawości, choć niczym nie okazał tego, gdy wróciłem do gabinetu – także jego gęba do perfekcji opanowała umiejętność ukrywania uczuć. I on jest synem jakiegoś geniusza, który podarował Ikarowi jedynie skraweczek swej skóry. Posiadamy w magazynach dziesiątki tysięcy podobnych konserw z komórkami genialnych Ziemian, opatrzonych zdjęciem i kodem genetycznym dawcy. Jeśli któraś z obywaterek Ikara otrzyma pozwolenie posiadania potomstwa, może szperać do woli w katalogach: gdy przypadnie jej coś do gustu, w ściśle określonym czasie urodzi się na Ikarze wierna kopia genialnego Ziemianina. Także od każdego z nas pobrano komórki: gdy któryś z nas zginie, zawsze znajdzie się wspaniałomyślna Ikarka, gotowa zaoferować trzy miesiące swego fizjologicznego status quo, by wskrzesić go do życia dzięki owej metodzie zwanej klonowaniem, wykorzystującej fakt, iż każda komórka ciała zawiera w sobie dokładny kod całego organizmu – od zdolności umysłowych po pieprzyk za lewym uchem.

Nie zwracajcie uwagi na złośliwość, z jaką opowiadam o tym prastarym już sposobie reprodukcji. Moja ironia zwrócona jest nie przeciw niemu, lecz przeciw nieskończonej pedanterii Ikarczyków, nie dopuszczających żadnej przypadkowości w narodzinach i z arystokratyczną zazdrością ingerujących w najbardziej intymne obszary, zawsze w tym celu, by przypadkiem nie urodził się na Ikarze ktoś, kto nie byłby geniuszem!

Mój kolega Loni jest również owocem podobnego eksperymentu,

drugiego po mnie. Z tą różnicą, iż moje urodziny nastąpiły w sposób naturalny, w jego zaś przypadku eksperymentowano z przeszczepami. Eksperyment nie dał jednak zadowalających wyników. Ojciec Loniego był jakąś nadgenialną jednostką, autorem wielu odkryć, i na Ziemi z pewnością wzniesiono mu niejeden pomnik, jego ikarska kopia natomiast nie powieliła tych cech. Choć prawdą jest, że góruje nade mną mądrością, a w szachach ogrywa mnie regularnie, w zawodach swego ziemskiego ojca nie wykazuje jego uzdolnień. Zdarzają się przy klonowaniu takie przypadki, że potomek odtwarza zewnętrzny wygląd dawcy, jego temperament i potencjalne uzdolnienia, jednak charakter i późniejszy konkretny talent kształtują warunki, w jakich dorasta. Nie ma mu czego zazdrościć. Ja przynajmniej jestem sobą, niepodobnym do żadnego z rodziców, mając wątpliwą przyjemność wysłuchiwania od czasu do czasu dobrych rad ojca, podczas gdy Loni jest ni to własnym ojcem, ni sobą, nie będąc nawet synem tej, w której komórce jajowej się rozwinął. Jest właściwie zupełnym sierotą, ponieważ przy tego rodzaju klonowaniu matka rodzi w rzeczywistości własnego męża, płód nie dziedziczy po niej niczego. Tak czy owak nie chciałbym być na jego miejscu. Myślę, że cierpi na swój sposób nad tą sytuacją, choć obcując z nim odnosi się wrażenie obcowania z lodową głową komety. Terin nie zobowiązał mnie, bym zachował w tajemnicy to, co mi zwierzył, więc uznałem to jedynie za tajemnicę służbową, to znaczy, że Loni miał prawo o tym wiedzieć. Przekazałem mu nowinę z profesjonalną obojętnością, by rozkoszować się jego reakcją. Niestety rzadko udaje mi się być powściągliwym i rzeczowym jak inni, i całkiem nieobojętnie rzuciłem na końcu, że bardzo się myli, jeśli sądzi, że stopień naukowy, otrzymany dwa lata przede mną, przyznano mu z Ziemi. – Wiem – odpowiedział z kamienną twarzą i w pierwszej chwili byłem pewien, że mówi to tylko po to, by nie pozwolić mi kpić.

Okazało się jednak, że istotnie wiedział o tym, i że idiotą okazałem się ja. Oczywiście, nie było już mowy o obojętności. Musiałem być nieprzytomny z gniewu, bo dopiero po chwili zauważyłem, że uśmiechnął się do mnie.

– Nie bądź dzieckiem – zdołał wreszcie powiedzieć do mnie; może mówił coś przedtem, ale po prostu nie słyszałem go.

– Ukrywaliśmy to przed tobą, ponieważ napawasz nas większą troską niż inni Ikarczycy. Nie wiedzieliśmy, jak to przyjmiesz i czy byłbyś w stanie utrzymać to w tajemnicy, ponieważ wydajesz się nam taki dziwny.

– A cóż jest takiego dziwnego we mnie? – ponownie gotów byłem wybuchnąć.

– Spokojnie, kolego – powiedział. – Wiesz przecież, że naczelną zasadą w naszej pracy to spokój. Czyżbyś zapomniał, czym w istocie jest nasz zawód?

– Zaraz, zaraz! – przerwałem mu rozdrażniony, ale nie dopuścił mnie do głosu.

– Nie gorączkuj się! Chcę ci tylko przypomnieć to i owo. Członek rady kontrolnej jest nie tyle lekarzem co policjantem. Przy podobnie surowej selekcji genetycznej każde nienormalne zachowanie traktujemy jako rezultat choroby psychofizjologicznej, tak więc w rzeczywistości strzeżemy jedynie praworządności na Ikarze. Zgodzisz się ze mną, że policjant mający skłonność do naruszania prawa...

– Nie jestem żadnym policjantem.

– Nie to chciałem powiedzieć – roześmiał się Redstar. – Chciałem powiedzieć, że trzeba się z nim obchodzić ostrożnie.

– Więc po co mnie trzymacie?

– Nie wiem. Moim zdaniem powinni się pozbyć ciebie.

– Dlatego właśnie ty jesteś wymarzoną stróżem porządku.

– Nie jestem – odpowiedział jakby trochę ze smutkiem. – Nie jestem, Zenonie, i nie mam najmniejszej ochoty nim być. Ale o tym, zdaje się, także nie pomyślałeś – dlaczego właśnie nam, pierwszym dzieciom Ikara, kazano być lekarzami – członkami rady kontrolnej. Przecież w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto każdy chory potrafi sam postawić sobie diagnozę z pomocą robotów medycznych i sam zastosować leczenie. Zrobiono z nas policjantów, drogi Zenonie. Każde społeczeństwo przede wszystkim potrzebuje stróżów porządku...

Roześmiałem się złośliwie:

– Policjant wywrotowiec!

– Również uważam, że na Ikarze to paradoks, ale po pierwsze, nie jesteś żadnym wywrotowcem, po wtóre, szef...

Szef ukazał się na ekranie poli wizora, uśmiechając się z poczuciem winy.

– Zenonie – powiedział – zabrakło mi odwagi, by powiedzieć, po co w rzeczywistości cię wezwałem. Czy sprawi ci kłopot, jeśli jeszcze raz...

– Dlaczego po prostu mnie nie zwolnicie? – krzyknąłem do niego. – Nie będę miał wam tego za złe, uwierzcie. Wciąż przecież brak na Ikarze rąk do pracy.

– Nie w tym rzecz. Proszę przyjść do mnie, wyjaśnię wszystko.

Przepraszam, że przeganiaam cię z miejsca na miejsce!

Tym razem rozmowa trwała krótko: była to rozmowa dwu lekarzy. Nie pozwoliłem mu przejść do drugiej części, zwyczajnie przerywając mu. Zapominając o należnym mu szacunku, powiedziałem nagle:

– Profesorze, przejdźmy, proszę, od razu do rzeczy, ponieważ znów może zdarzyć się, że zabraknie panu odwagi!

Milczał przez chwilę, nie prosząc, bym usiadł, wreszcie zapytał:

– Pamiętasz o chromosomie Y?

– Jest ich 23 – odparłem wciąż nachmurzony z powodu krzywdy, jaką mi wyrządził, kryjąc przede mną przerwana łączność z Ziemią. – O który chodzi?

– Tak, tak... – zamruczał jakby do siebie, wyraźnie wciąż nie mogąc znaleźć właściwego dla rozmowy tonu. – 23 pary Xi Y, ale... pamiętasz, że niekiedy występuje także jeden nieparzysty chromosom Y.

– Chromosom zła, prawda? – odgadłem.

– Skąd wytrzasnąłeś ten termin? Nie jest żadnym nosicielem zła!

– O ile pamiętam, według banku danych u przestępców na Ziemi niemal regularnie występował w ich komórkach, dlatego niektórzy tak go określili.

– No tak, ale większość posiadających go ludzi nie była przestępcami, więc...

– Dlaczego więc przy genetycznej selekcji załogi Ikara odrzuciliście jego nosicieli?

– Hm... na wszelki wypadek. Osobiście byłem temu przeciwny. Moje obserwacje doprowadziły mnie do specyficznych wniosków.

– Co zatem chciał mi pan powiedzieć? – przerwałem niecierpliwie, przekonany, że znów zaczyna kluczyć.

– Nie masz ochoty usiąść, Zenonie? – zaproponował dopiero teraz, lecz nie usiadłem i nie wyjaśniłem dlaczego, by nie zbaczać z głównego tematu rozmowy. – Występuje także na Ikarze.

– Wiem.

– Wiesz? – zdziwił się jakoś nienaturalnie.

– Przed laty, kiedy zapoznawano nas z genetycznymi klonami z Ziemi, pokazano nam również kilka takich, na których widniała informacja, że w ich komórce występuje ten właśnie chromosom. Oznakowano je tak, jak na niektórych naczyniach pisze się „trucizna” – nie mogłem powstrzymać się, by nie zakpić trochę z jego specyficznych poglądów na „chromosom zła”.

Początkowo był mile zaskoczony, teraz sposepniał.

– Nie to miałem na myśli. Jesteś lekarzem, Zenonie, dlatego powiem wprost. Ty go masz.

– Jak to?

– Nam także trudno to sobie wytłumaczyć. Ani twój ojciec, ani matka go nie mają, nie mieli go także ich rodzice, i dziadkowie, i nagle... Z pewnością jakiś uraz musiał spowodować zlepienie lub rozszczepienie chromosomów, zresztą, kto to sprawdzi.

Zupełnie nie docierał do mnie cel tej informacji. Tylko jakiś dziwny chłód pulsującą falą podnosił się we mnie do gardła, a jedyne, co byłem w stanie wykrztusić, to prostackie pytanie, zrodzone z wciąż jeszcze zranionej ambicji:

– Loni wie o tym?

– Tak. W naszym zawodzie...

Na próżno wołał za mną: „Zenonie, proszę zaczekać! Proszę zaczekać...” Nie miałem najmniejszej ochoty słuchać ani jego wyjaśnień, ani pocieszeń.

## 2

Spokojnie, mówiłem sobie, spokojnie, najpierw zastanówmy się, co to dokładnie oznacza! Nie wiedziałem jednak ani nad czym mam się zastanawiać, ani dokąd zaprowadzi mnie ta droga. Nie miałem ochoty wracać do gabinetu służbowego ani oglądać Loniego, który może być jednocześnie własnym ojcem i własną babcią, jeśli zechce, ale nie ma tego przekłętego chromosomu w swych komórkach. Zresztą, skończyłem już swój dyżur. Czekają na mnie wiele innych obowiązków, lecz nawet nie spojrziałem na zegarek, który wraz z godzinami wskazywał program roboczy. Nie byłem potrzebny Ikarczykom, którzy w ogóle mało chorowali – nie potrzebowali ani lekarza, ani policjanta, nie ma czego owijać w bawełnę jak nasz przewodniczący – że nie przychodzą, bo ich nie kocham! Nie przychodzą ze strachu. Jakim doradcą i uzdrowicielem może być ktoś, kto ma chromosom zła? Tu tkwi przyczyna! I w tym, że jestem czarną owcą czy też białym krukiem, jak to się tam powiada...

Znalazłem się w półzaciemnym tunelu z mnóstwem drzwiczek z obu stron i nie od razu domyśliłem się, że to kabiny anabiotyczne. Indykatory płonęły łagodną zielenią i wskazywały, że wewnątrz panuje niczym nie zmacony grobowy spokój. Zapragnąłem wejść do jednej z pustych komór i ułożyć się w wannie – trumnie. Przestałbym zadrećcać swój umysł; chromosomom zła spałby spokojnie wraz ze mną, nie budząc strachu na

Ikarze.

Dlaczego pozostawiono mnie przy życiu? Przecież już w trzecim miesiącu, gdy wydobyto mnie z szacownego łona matki, by przenieść do inkubatora porodowego, znano mój kod genetyczny. Starożytni Spartanie po prostu rzucali ułomne dzieci w przepaść. A Ikarczyków jest więcej niż jakichś tam Spartan.

Z pobudek humanitarnych? Nie ma w nich krzty humanitaryzmu, po prostu eksperyment, jak każdy eksperyment, musiał być doprowadzony do końca, by sprawdzić jego wynik – oto do czego sprowadza się humanitaryzm tych aparatów badawczych. Dlatego nie ponowiono eksperymentu, wszystkie następne narodziny dokonywały się metodą klonowania. Jeden taki chromosom wystarczy im do obserwacji. Ale przez całe życie być obserwowanym...

Oczywiście puste komory są również zamknięte, a ja nie mam klucza, nawet gdybym wrócił po niego, nikt nie pozwoli mi ułożyć się w wannie – trumnie, więc nie ma sensu sterczeć tu dłużej. Ale w korytarzu – nie wpadli jeszcze na to, że tu jestem – jest wcale przyjemnie. Panuje w nim ten niezwykły stan równowagi między życiem a śmiercią – sen śpiącej królowej. Jest chłodno, nawet dosyć chłodno, temperatura odpowiada jednak temperaturze drżącej galarety w mojej piersi. Czuję, że zimny inkubator we mnie urodzi za chwilę jakąś chłodną decyzję, ale groźny głos automatycznego sekretarza już dłuższą chwilę powtarza wciąż to samo: „Zenon Balow zgłosi się natychmiast do pierwszego koordynatora”, budząc niepokój nawet w najodleglejszych zakątkach Ikara. Jego głos wcale nie jest przerażający, to zwykły głos automatu – obojętny i uprzejmy zgodnie z ustaloną normą techniczną, ale kiedy ogłasza uprzejmie i obojętnie: „Przy zerze nastąpi włączenie systemu poszukiwawczego” i zaczyna odliczać: 60, 59, 58... nie można się nie zgłosić. Ta chwilka trwa zbyt krótko, by uciec choćby w śmierć. Choćbyś nawet odciął sobie głowę, zawsze uda im się znaleźć cię w takim momencie, by zdążyć ją przyszyć. Na tej zasadzie działa system poszukiwawczy naszej rady kontrolnej.

Dlaczego zresztą miałbym dłużej niepokoić Ikarczyków? Czyż nie zamartwiają się wystarczająco z powodu mojego chromosomu? A wszyscy już słyszeli, że mnie szukają. Oczywiście, nie wiedzą dlaczego, lecz kiedy dochodzi do włączenia systemu poszukiwawczego, zakłada się najgorsze. Matka zapewne poszukuje mnie przez wszystkie poli wizory.

Wyciągam kieszonkowy poli wizor, wybieram końcówką numer gabinetu koordynatorów, starając się przyoblec twarz w pogodny uśmiech.

– Zgłaszam się. Jestem w przedsiönku oddziału anabiotycznego.

-.Co pan tam robi? – zapytał osobiście pierwszy koordynator Ikara głosem nie różniącym się od głosu jego automatycznego sekretarza.

Dawniej pozwalałem sobie na drobne kłamstwa – mówią, że na Ikarze dopuszcza się je w wyjątkowych przypadkach, tylko u lekarzy. Skoro jednak mam chromosom zła, przynajmniej na to mogę sobie pozwolić.

– Sprawdzam działanie zewnętrznych indykatorów według schematu aparatury kontrolnej. Wydaje mi się, że występuje pewna niezgodność.

Pierwszy koordynator, który uczynił mi wielki zaszczyt pojawieniem się na moim poli wizorze, nie odpowiedział najmniejszym grymasem na moją bezczelność. Jego twarz, pomniejszona przez mały ekran, usiłowała demonstrować życzliwość. Chyba było tak istotnie, w przeciwnym razie nie miałyby przecież nic przeciw uwolnieniu Ikara ode mnie i mojego chromosomu. Pozwoliłyby mi spokojnie popełnić samobójstwo. Mój szef zapewne wymusił to na nim swoim alarmem.

– Balow, jeśli ma pan ochotę, możemy porozmawiać o tym, o czym przed chwilą powiadomił pana przewodniczący rady kontrolnej. A może da pan sobie radę sam?

– Proszę się nie martwić, poradzę sobie – odparłem. Rozmowa prowadzona była tylko dwustronnie i nikt jej nie słyszał; z wyjątkiem może mojego szefa, który albo znajdował się w jego gabinecie, albo korzystał z wszechwładnego przywileju podsłuchiwania przez specjalną aparaturę każdej prywatnej rozmowy. Czyż nie jest naczelnym policjantem Ikara? Dlatego dodałem pod adresem tego głównego policjanta.

– Idę porządkować swoje sprawy. Cokolwiek postanowię, powiadomię pana.

– Dziękuję – pospiesznie odpowiedział pierwszy koordynator, stwierdziwszy zapewne, że już przesadnie wiele czasu poświęcił mojej skromnej sobie i mojemu nędznemu przypadkowi. – Ufam panu.

Co do zaufania, mam nadzieję, że będziesz miał okazję tego żałować, powiedziałem już po wyłączeniu poli wizora. Cały drżałem od chłodu panującego w korytarzu – nie był to jednak ten sam chłód, który czułem w piersi. Był to jakiś rozweselający chłód, jak wtedy, gdy ma się ochotę spleść figła. I rzeczywiście, wszystko we mnie jakby szykowało się do psikusów. A niby dlaczego mam ułatwiać życie Ikarczykom? Ani myślę uwolnić ich od mojej osoby. Przekonają się, co znaczy chromosom zła!

Wróciłem do Loniego, ponieważ impulsywnie i lekkomyślnie przyobiecana informacja powinna zostać przekazana – teraz wszystkie żywe i automatyczne oczy na Ikarze z pewnością wlepione były we mnie.

Oczywiście, mogłem gdzie indziej poszukać aparatu, ale miałem nadzieję, że Loni nie będzie mi dokuczał. Prawdę powiedziawszy jest wrażliwym chłopcem, zresztą zawsze, gdy trzeba było, potrafiłem zamknąć mu usta.

Redstar leżał wyciągnięty na łóżku, trzymał przed sobą na piersi kieliszek żółtawego napoju i wyraźnie próbował także grać jakąś rolę. Siadłem przed pulpitem, wybrałem inicjały głównego kolektora naukowego, lecz nie mogłem sobie przypomnieć od razu kodów działu genetyki. Wyteżając pamięć wciąż słyszałem ciche siorbanie, z jakim Loni popijał ze swego kieliszka, tak że rozdrażniony pomyliłem cyfry informatora.

– Może byśmy pogadali, co? – odezwał się nieśmiało za moimi plecami Loni.

– Mam coś pilnego do zrobienia. Jeśli się nudzisz, idź sobie, zastąpię cię. – Zestawiłem wreszcie to, co było mi potrzebne, i czekałem na wynik.

– Uważam, że szkoda czasu na kolektor. Mogę ci powiedzieć to, o co pytasz?

– Wiem, że jesteś mocny w telepatii – odciąłem się, zrozumiawszy, że Loni również wie już, co się zdarzyło. Trudno sobie zresztą wyobrazić, że mogłoby być inaczej.

– A jeśli miałbym ochotę cię przeprosić? – powiedział Loni bardzo dziwnie i usłyszałem, że podnosi się z łóżka. – Zabroniono mi, surowo zabroniono mi. Choć wielokrotnie protestowałem. Odpowiadano mi, że jakoby nie jesteś dostatecznie do tego przygotowany. Ale kto zna cię lepiej ode mnie?

Aparat zadzwonił i zacharczał znajomymi dźwiękami, jakby wypluwał mikrofilm z danymi. Zakładając go do projektora odparłem butnie:

– Za co? Za to, że cały czas patrzyliście na mnie jak na idiotę?

– Wolałbym być na twoim miejscu – odezwał się znów w jakiś szczególny sposób Loni.

– Aha, pociecha, że jest się wyjątkowym... – odparłem uszczypliwie.

– Nie, wolałbym być sobą, nawet z tym chromosomem, niż kopią kogoś, kogo nie znam.

Wiedziałem, że cierpi z tego powodu, ale tego dnia nawet sobie nie byłem w stanie współczuć.

– Mimo wszystko, czy możesz mnie zostawić, abym mógł odczytać film?

– A czytaj sobie, tyranozaurze! – rozzłościł się tak, że naprawdę mnie rozśmieszył.

Nie powiedział ani „głupcze”, ani „idiotę”, ale nazwał mnie



tyranozaurem, najdzikszym zwierzęciem z najbardziej zamierchłych epok, które z pewnością miało przynajmniej tonę chromosomów zła.

Dane okazały się interesujące. Gdy odkryto ów chromosom gdzieś w połowie dwudziestego wieku, wyliczono, że ma go ponad 40% ludności Ziemi. U przestępców i naruszających prawo występował regularnie, znajdowano go jednak również u wybitnych polityków, uczonych i artystów. Wiązano to ze skłonnością do agresji, a przestępstwo uznawano za produkt warunków społecznych. Gdy Ikar odrywał się od Ziemi, zmalął procentowo z 40 do 18, podwoiła się natomiast liczba teorii na jego temat. Nie miałem cierpliwości zapoznawać się ze wszystkimi, przewertowałem je pobieżnie zatrzymując się na ostatniej z pewnością ustosunkowywała się do swych poprzedniczek. Małpy człekokształtne mają 48 chromosomów. Przyjmuje się, że ich kuzyn, od którego się wywodzimy, i który wciąż pozostaje nie odkryty, miał ich 47. To uwarunkowało jego niestałość gatunkową, nie pozwalając mu przetrwać jako rodzaj małpy, lecz drogą mutacji i przystosowania przekształcić się w człowieka. Następna ewolucja prawidłowo ukierunkowała się na osiągnięcie parzystej równowagi, gwarantującej trwałość nowego gatunku przez odpadnięcie 47 chromosomu...

Jeśli to prawda, to stanowią coś w rodzaju odwróconej mutacji. Osiągnąwszy nadgeniusz mego ojca, ewolucja nagle znudziła się lub rozczarowała nowym gatunkiem i postanowiła zawrócić. Nie powinno dziwić, jeśli moje dzieci czy wnuki urodziłyby się prawdziwymi małpami, rozfiglowanymi kosmicznymi małpkami. Przestań jednak marzyć o tym, Ikarzycy nie pozwolą ci mieć ani dzieci, ani wnuków; po prostu odtwarzają się przez klonowanie jeden od drugiego i kontynuować to będą tak długo, jak zechcą!... Doprawdy dziwne, że dotąd jeszcze się mnie nie pozbyli, tak jak niektóre zwierzęta pozbywają się albinosów.

– I co, uspokoiłeś się? – odezwał się Redstar, któremu tak samo jak ewolucji przykrzył się dany stan.

– Uspokoiłem się – odparłem. – Czy Ikar ma jakąś własną teorię na ten temat?

– A skąd ją weźmie? Na jednym przykładzie nie da się zbudować teorii.

– Mogę im zaraz wyprodukować dziesięć przypadków.

Loni roześmiał się z wyraźną ulgą.

– Ech, Zenonie, za to właśnie cię lubię, brachu. Założę się, że gdyby nie ten chromosom, na pewno nie byłbyś taki i nie lubiłbym cię.

– Ja też cię lubię, szympansiku.

– Przestań już, głupcze! Gdyby było na Ikarze więcej takich

szympansów, jak ty, byłoby weselej!

Potrafił pocieszać, diabeł, dlatego Ikarzycy chodzili do niego, nie do mnie. Ja potrafiłem jedynie niepokoić ludzi. Trudno, każdy zgodnie ze swym powołaniem.

– Postaram się zrekompensować te braki – odpowiedziałem, wyłączając projektor.

Wyczuł groźbę w moim głosie i popatrzył na mnie badawczo, potem podniósł się z miejsca.

– Jestem z tobą, Zenonie. Zawsze będę z tobą, choćby miał wstać z grobu mój ojciec, by sprawić lanie swej kopii!

I wyciągnął do mnie rękę. Tak nieoczekiwanie, uroczyście, że nie wiem, kiedy podałem mu swoją. Zawarliśmy przymierze ściskając sobie ręce jak dwaj chłopcy zakładający bandę. Zresztą byliśmy rówieśnikami i niemal jeszcze chłopcami mimo swych stopni naukowych i policyjnych funkcji. I tak oto my, powołani do strzeżenia porządku, daliśmy początek pierwszemu spiskowi przeciw niemu.

Niestety, pierwsze upojenie spiskiem mija szybko po jego zawiązaniu. Teraz spisek powinien być wejść w fazę systematycznej pracy, a ja nie byłem do niej zdolny z racji swego charakteru i cholerycznego usposobienia, które kazało mi miotać się między jednym kierunkiem badań a drugim, na całe lata zapominając o czymś, co niegdyś uważałem za cel swego życia – tak jak było z moimi zamiarami zbadania relacji maszyna-człowiek – czyniąc niezdolnym do dokonania szybkiego wyboru, albo też przesadnie szybko go dokonywać, łatwo zapalać się do jakiejś idei i równie szybko ją sobie obrzydzać. Oczywiście wiele można było złożyć na karb młodości, lecz młodość na Ikarze także bywa pojęciem względnym. Automaty naukowe dość wcześnie napchały mi głowę ogromną ilością wiedzy i miałem czym karmić swoje tysiączne wątpliwości.

## W kręgu wielkiej niewiadomej

Pewnego razu uczniowie starożytnego greckiego filozofa, Zenona z Elei, zapytali go:

– Dlaczego, mistrzu, wiedzący więcej od nas, zawsze powątpiewasz w prawidłowość odpowiedzi, która wszystkim wydaje się oczywista i jasna?

Starzec nakreślił na piasku duży i mały okrąg i odpowiedział:

– Powierzchnia wielkiego okręgu to moja wiedza, powierzchnia małego – wasza, wszystko zaś poza tymi kręgami pozostaje nieznane. Obwód wielkiego okręgu, jak widać, jest o wiele większy od obwodu małego, tym samym granica między moją wiedzą a niewiadomym jest znacząco większa. Dlatego właśnie mam więcej wątpliwości...

Przypominam tę od dawna zapomnianą przypowieść w wersji zawartej w dziecięcym kolektorze naukowym. Przypomniał sobie o niej mój ojciec, gdy trzeba było nadać mi imię. Ponieważ zostałem poczęty i urodzony poza owym matematycznie wyliczalnym kręgiem – granicą Układu Słonecznego, gdzie już żaden przyrząd nie rejestruje żadnego wpływu Słońca, byłem pierwszym dzieckiem na Ikarze, obowiązkowo musiałem nosić symboliczne imię. Dźwigając w swych głowach i kolektorach naukowych zawrotną ilość ludzkiej wiedzy,

Ikarczycy stanęli w owej historycznej chwili – nie mojego urodzenia, ale przekroczenia owej granicy – przed nieobjętymi przestrzeniami wielkiej niewiadomej, przeciw której podjęli wyprawę... Nadali mi więc imię owego dostojnego starca, wyobrażając sobie, że upamiętniają ludzkie zwycięstwo – złudne zwycięstwo, stanowiące w rzeczywistości jedynie kontynuację syzyfowej pracy.

Teraz przyszło mi do głowy, że w wynalezieniu tego imienia pomógł mojemu ojcu nie tylko specyficzny, ironicznie dwuznaczny stosunek do rzeczywistości, ale także mój chromosom, który nagłym i niewytłumaczalnym pojawieniem się jeszcze wyraźniej zakreślił wokół Ikara krąg wielkiej niewiadomej, jeszcze boleśniej przypomniał, jak mało wiemy nawet o tym małym wszechświecie, który nosimy w sobie.

Zenonie, drogi patronie wątpliwości i udręki, czy miałeś chromosom zła? Czy i ty czuleś się równie samotny wobec wielkiej niewiadomej?

## Moja matka – selekcjonerka

Moja matka odznacza się wyjątkowym wyczuciem form i barw, lecz później zbuntowałem się także przeciw temu. Kilka razy w roku z godną zazdrości pomysłowością i wykwintnym smakiem zmienia zewnętrzny i wewnętrzny wygląd naszego domu. Robią to zresztą także inni Ikarczycy – nie jest to sprawa jedynie własnej chęci, lecz norma postępowania, której przestrzegania nasza rada surowo egzekwuje, monotonia bowiem jest wrogiem numer 1 zdobywców kosmosu. Domy zbudowane są z wymyślnie skonstruowanych, uniwersalnych elementów, które nawet kobieta łatwo złoży i rozłoży na wzór popularnych dziecięcych układanek służących rozwijaniu zręczności i fantazji. A ponieważ Ikarowi daleko do przeludnienia, mamy wystarczająco dużo tych elementów, by budować, co wpadnie do głowy w ramach przydzielonego do zamieszkania sektora. Domy tworzą małe dzielnice, dziesięć do stu mieszkań w sektorze. Każdy sektor jest w pełni autonomiczny, oddalony kilometrami skalnej masy od innych, tak że gdyby nawet cały Ikar uderzył w coś lub został przez coś potracony, zawsze jakiś sektor pozostanie nie uszkodzony, by kontynuować podróż. Przechodzenie z jednego sektora do drugiego odbywa się przez hermetyczne śluzy i początkowo dozwolone było nielicznym. Dlatego wprowadzono system telepołączeń i skonstruowano wspaniałe kieszonkowe poli wizory, które wprawdzie nie tak doskonale, ale potrafią ukazać cię zarówno na małym ekraniku, jak rzucić na dowolną ścianą obraz odbiorczy. Upewniwszy się przez dziesięciolecia o niezawodności i bezpieczeństwie Ikara, zniesiono większość ograniczeń, lecz Ikarczycy nadal nie szukali zbyt często bezpośrednich kontaktów ze sobą.

By nie tracić poczucia przestrzeni na swej miniaturowej planecie, by nie czuć przytłoczenia skałą i metalem, kiedy tylko zapragną, mogą wyrzeć przez okna swego domu, mogą wedle życzenia bądź kontemplować ocean z wesołymi statkami i przystaniami, bądź przyglądać się nadamazońskiej dżungli lub mgławicom Andromedy, lodowcom Grenlandii czy ognistej pustyni Merkurego... mogą rozkoszować się dowolnym – widokiem, jak długo zechcą. Byle tylko nie dali się zwieść doskonałości trójwymiarowej iluzji i nie próbowali wyjść przez rzekome okno, aby pospacerować wśród tych pejzaży. Rozbijają bowiem wówczas głowy o ściany służące za ekran projekcji.

Nie rozbijali jednak głów, rozbijałem ją tylko ja jako dziecko, dopóki nie nauczyłem się odróżniać iluzji od rzeczywistości Ikara.

Zdziwiłem się, że matka nie przebudowała domu, choć minęło już kilka miesięcy, jak go opuściłem. Czyżby dla mnie przeznaczone były te przesadnie częste zmiany? Ojciec bowiem, wiecznie pogrążony w pracy, prawie ich nie dostrzegał. Był z tych uczonych, którzy nawet na Ziemi spędzają życie w instytucie i służbowym mieszkaniu obok niego. Czy to możliwe, że zarzuciła także swoje drugie hobby – kosmetykę? Matka jest biologiem, biochemikiem, biofizykiem, poza tym zajmuje się jeszcze selekcją ziemskich roślin i zwierząt, które Ikar zabrał z sobą, lecz z własnej inicjatywy – pobłogosławionej, oczywiście, przez radę astronawigatorów – nieustannie doskonalili tę naukę, która jeszcze na Ziemi doprowadzona została do nie przewidzianego rozkwitu, by zapewnić także cielesne piękno wybranym przedstawicielom ludzkiej rasy.

Dokładnie dwadzieścia lat młodsza od ojca, mama – jeden z najdoskonalszych tworców ziemskiej inżynierii genetycznej – błyszczała jak gwiazda pierwszej wielkości wśród ikarskich kobiet.

Z drzwi wejściowych, na których świeciły się imiona moich rodziców, i gdzie świeciło jeszcze także moje imię, wchodziło się prosto do salonu. Był mały, jak wszystkie salony Ikarczyków, jego przeznaczeniem bowiem było stworzenie przytulnej atmosfery dla wąskiego kręgu osób. Rozmowa, biesiada, są na Ikarze swego rodzaju sztuką, również stymulowaną naukowo z racji swego społecznego znaczenia. Wykwintna rozmowa nie może być jednak prowadzona przez wielkie grono ludzi, dlatego salony są małe. Zasiada w nich nie częściej niż dwa, trzy razy w miesiącu dwoje lub troje, najwyżej czworo pięknych i mądrych mężczyzn i kobiet, sączy wolnymi łyżkami jakiś lekko podniecający napój i jak pod wpływem heroiny upaja się wirtuozerskim potokiem własnych myśli, ich wytwornością. Rozmowa stanowi coś w rodzaju słownej partii szachów i trudno mi ją odtworzyć, ponieważ... ponieważ jestem słabym szachistą.

Oczywiście zasady życia zbiorowego są mi znane – wszak jestem zobowiązany do sprawowania nad nimi niemal policyjnego nadzoru. Jak już powiedziałem, nie dopuszczamy, by na Ikarze rozwijało się przesadnie życie zbiorowe. Taki mały kolektyw szybko upodobniłby się do więzienia z powodu swego oderwania od krwiobiegu ludzkości. Ludzie znudziliby się sobą, wybuchałyby nieuchronne konflikty między dzielnicowymi zbiorowościami. Dlatego Ikarczycy podtrzymują skomplikowany rytuał wzajemnego obcowania ze sobą, chroniący przed nijakością łatwej i taniej poufałości. W przeciwnym razie duchowe zespolenie celu ogólnego z ogólną ofiarnością nie przetrwałoby dziesięcioleci, w których pozornie nic się nie działo. Należała do tego rytuału rozmowa: później przekonałem

się, że każdy szukał w niej siebie, nie rozmówcy, i ponownie zdumiałem się, iż zdołali doprowadzić tę sztukę do podobnej doskonałości, choć przecież interesująca rozmowa niemożliwa jest bez określonej więzi emocjonalnej między partnerami. Dopiero teraz, przypomniawszy sobie słowa Terina o samotności, pomyślałem, że właśnie ona jest tym niezbędnym podłożem, na którym po kilku tysiącletniach, daleko od Ziemi, rozkwitła ponownie sztuka oratorska.

Salon był ciemny, lecz w kątach zdawały się jeszcze jarzyć frazy ostatniej rozmowy. Przeszedłem przezeń szybko, do pokoju matki, potem ojca. Były również ciemne i puste, chociaż czas pracy moich rodziców, według wywieszonego na zewnątrz programu, dawno minął. Postąpiłem przed drzwiami pokoju, który jeszcze niedawno był moim pokojem, wreszcie wszedłem – bez sentymentalnego wzruszenia, jedynie z galaretowatym strachem w sercu. Strach ten nie przestawał kołatać i lodowacieć. I tu wszystko pozostało jak dawniej, nie zmieniło to jednak mojego stosunku do matki.

Po co tu przyszedłem? By zapytać ją o coś? By wypłakać przed nią swą rozpacz? Swe rozczarowanie, którego nie potrafiło zagłuszyć sprzysiężenie z Lonim? Lecz czy można zostać spiskowcem nie doświadczony goryczy?

Wyciągnąłem się na łóżku z rękami pod głowę, lecz przeszkadzało mi światło dzienne w pokoju – kto składa przysięgi w jasny dzień, choćby tylko sobie samemu? Sięgnąłem do przycisku na nocnym stoliku i wyłączyłem dzienne oświetlenie. Zapadła noc, cicha i marzycielska, z delikatną niebieskosrebrzystą poświatą gwiezdą, promieniującą z rogów sufitu i gęstniejącą w dole w czarno-fioletowy mrok. Zacząłem zastanawiać się, dlaczego mój szef i patron naukowy zdecydował, aby właśnie teraz zdradzić mi tajemnicę moich genów. Dlatego że opuściłem rodziców i powinienem wiedzieć już wszystko, co sobą reprezentuję? Czy też dlatego, że zająłem się problemem maszyna-człowiek i historią Alka, a on tym sposobem pragnął odsunąć mnie od niej? Czy przeciwnie: chciał roztoczyć przede mną wymiar ludzkiej zagadki w relacji maszyna-człowiek, bym uwzględnił, iż maszyna nie może mieć chromosomu zła?

Jasnofioletowy mrok nie dawał jednak odpowiedzi. Skłaniał ku swobodnej grze wyobraźni, może dlatego, że znalazłem się w pokoju, w którym wyrosłem, ujrzałem przez okular komory porodowej jakiś embrion. Był to embrion ludzki, wielkości mojego palca, różowy i śluzowaty. Rósł w moich oczach, jak rosła na filmach oświatowych roślina. Przekształcał się w potworka z niewspółmiernie, wielką głową

i przylepionymi do tułowia kończynami, oderwał jedną rączkę, potem drugą, nadał swój okrągły różowy brzusek, wyprostował jedną nóżkę i wierzgnął w brzuch matki, by przypomnieć jej, że żyje. Lecz ściana komory jest daleko, jeszcze dalej brzuch matki, dbającej o jego nienaganną linię. Ikar unosi potworka z rosnącym do szaleństwa przyspieszeniem daleko od grawitacyjnych pieśczot Słońca, od pocałunków jej blasku, w czarne łono Galaktyki...

Włączyłem ponownie oświetlenie dzienne i zerwałem się z łóżka. Gorączkowo wybierałem numer laboratorium biologicznego, mimowolnie włączając także sygnał alarmowy. Twarz matki natychmiast pojawiła się na ekranie poli wizora. Jej wargi drżały:

– Co się stało, Zenonie?

Patrzyłem na nią i nie odpowiadałem.

– Czy coś się stało? Dlaczego szukano cię przed chwilą? – zawołała wyraźnie przestraszona.

Zaprzeczyłem ruchem głowy i wreszcie jakby coś w moim mózgu się uporządkowało.

– Nic, mamó. Chciałem cię tylko zobaczyć. Zwyczajnie cię zobaczyć.

– Czy na pewno nic się nie stało?

– Zupełnie nic! Przez pomyłkę włączyłem alarm. Przepraszam, że cię przestraszyłem!

Jej rozpromieniona twarz stała się piękna nie do zniesienia.

– Nadzwyczajne! Wspaniale, mój chłopcze, gdyż w przeciwnym razie z pewnością bym się nie odezwała, po prostu nie usłyszałabym sygnału, tak jestem zapracowana. Skąd się zgłaszasz?

Odsunąłem się trochę od aparatu, aby mogła zobaczyć. – Z domu? – zawołała speszona i szczęśliwa. – Zaraz przyjdę. Poczekasz, prawda?

Przytaknąłem smutno, ale już zniknęła z ekranu. Tak, moja matka zdawała się niczym nie różnić od tych ziemskich matek, które znałem z opowieści i filmów.

Rzuciłem się na łóżko i straszliwie zachciało mi się być znów dzieckiem, lecz zapomniałem, że i ona, jako odpowiedzialna za zwierzęta na Ikarze, również ma klucz do linii awaryjnych. Już po minucie stała we framudze drzwi z zamglonym wzrokiem, chwiejąc się na nogach, jakby przed chwilą zbudziła się z dziesięcioletniego snu w komorze anabiotycznej. Oszłomiła ją zawrotna szybkość. Uśmiechała się nieśmiało, podchodząc do mnie, jakbym był zjawą albo się bała, że upadnie. Swobodnie opadająca do kolan elastyczna materia sukni podkreślała utrzymane w doskonałej formie kobiece ciało. Ciało

stworzone do rodzenia, które nigdy nie rodziło. Nogi, jak zawsze nie obute, oślepiały bielą i pięknym kształtem. Z zaciśniętymi zębami odpowiedziałem na jej pocałunek, by jej nie odtrącić, tak jak zdarzało mi się odtrącać ją lub uciekać przed jej pieszczotami już od wielu lat. Od chwili, gdy zauważyłem, że jakby wbrew naturze matka moja wygląda młodziej i piękniej od dziewcząt, które urodziły się wiele lat po mnie.

– Zenonie – zaszlochała. – Zenonie, mój synku! – i ucałowała mnie w czoło, lecz tylko raz – nieśmiało, szybko – i cofnęła się, bo znów wyczuła mój wewnętrzny opór.

Postała przez chwilę, patrząc na mnie, wreszcie opanowała się:

– Bardzo się cieszę, że zdecydowałeś się nas odwiedzić. Ojciec też się ucieszy.

Była zbyt wrażliwa, by nie wyczuć, że nie wróciłem.

– Jak się czujesz, mamó? – powiedziałem, usiłując zdobyć się na odrobinę ciepła w tym bezsensownym pytaniu.

– Och, Zenonie, nie wyglądasz zbyt dobrze! – zawołała powściągliwie. – Czy nie jesteś chory?

– Jestem zdrowy, mamó. Całkiem zdrowy, tyle że nie korzystam z twoich kosmetyków.

– Uroda jest zewnętrzną oznaką zdrowia – odparła z niewzruszonym spokojem, ponieważ od dawna przestała ją dotykać moja ironia.

– Czy nie jestem ładny, mamó?

– Dla mnie jesteś najpiękniejszy – powiedziała i nie było w jej słowach ani kokieterii, ani skrępowania macierzyńskiego wyznania.

– Nie jestem ładny, lecz po prostu brzydki, nie boleję jednak nad tym specjalnie!

Było to oczywiście kłamstwo – każde spojrzenie w lustro sprawiało mi ból. Teraz jeszcze wiedziałem, czemu zawdzięczam swój wygląd chudego i niezręcznego dryblasza, prawdziwego potwora wśród tych wybrańców.

Usiadła w fotelu naprzeciw, obnażyła olśniewające kolana i ponownie złowiła mnie w promienną sieć swych ogromnych oczu. Uśmiechnąłem się do niej z miłością, w tej samej jednak chwili pomyślałem, że bardziej naturalne byłoby, gdyby była moją żoną, a nie matką, i odwróciłem głowę do białego ekranu poli wizora. Nie, nie może być moją matką, choćbym z uporem zwracał się tak do niej!

Nauka i sztuka sprzed stu lat notowały masowe przypadki szoku po wprowadzeniu środków wydłużających życie. Ponieważ wydłużały one głównie okres młodości i dojrzałości, wystąpiło względne zrównanie wyglądu zewnętrznego ludzi w wieku 25 do 60 lat, co przez dłuższy czas



budziło w nich samych konsternację, jakkolwiek w miliardowej masie ogólne zróżnicowanie ludzi nie zmieniło się zbyt wyraźnie. Na Ikarze było obecnie około tysiąca równie młodych i pięknych ludzi, wśród których my, setka urodzonych na nim, wyróżnialiśmy się bardziej niż trzydziestu starców. Z wyjątkiem mnie, dzieci ikarskie były drobniejsze, o słabiej rozwiniętej muskulaturze i delikatniejszym szkielecie, lecz niewiarygodnie odporniejsze na promieniowania i pola magnetyczne wszelkiego rodzaju, na lodowatą samotność próżni. Także swój wzrost zawdzięczałem przekłętemu chromosomowi.

Matka po swoim wytłumaczyła sobie moje spojrzenie na poli wizor:

– Poczekasz na ojca? Próbowałam się z nim połączyć, ale nie udało mi się.

Doceniłem odwagę tego gestu. Dwie godziny po zakończeniu swej pracy ojciec nie pozwalał nikomu niepokoić go. Był bowiem seniorem wśród filozofów na Ikarze i nikt nie miał do niego o to pretensji.

– Nie wiem – odparłem wymijająco. – Za godzinę obejmuję dyżur... Nie zdołałem powstrzymać uśmiechu. – Mamo, czy na pewno jesteś moją matką?

– Jakie masz podstawy, by w to wątpić? – nachmurzyła się.

– Bo... jesteś taka ładna, a ja... w niczym nie jestem do ciebie podobny.

A mówią, że chłopcy podobni są do matek.

– Żadne dziecko na Ikarze nie jest podobne do swych rodziców – powiedziała dobitnie, ze smutkiem. – Ty przynajmniej jesteś nasz, nas dwojga.

– Dlaczego nie donosiłaś mnie do końca? Może odziedziczyłbym wtedy trochę z twej urody.

– Zenonie, jesteś już przecież lekarzem, a mówisz jak dziecko. Zagadnienia dziedziczności nie powinny ci być obce.

– Tak, ale niekiedy człowiek ma ochotę być dzieckiem. W rzeczywistości chciałem zapytać, dlaczego nie powzięto wtedy decyzji, skoro i tak chodziło o eksperyment, byś donosiła mnie do końca?

– Nalegałam, ale wiesz, obowiązuje nas podporządkowanie się prawom Ikara. We wszystkim. Byłeś pierworodnym, byłeś dla nas wszystkim. Wiesz, że w komorze dziecko jest bezpieczniejsze niż w łonie matki. Poza tym Ikar nie może pozwolić sobie, by jego mieszkaniec znalazł się poza systemem choćby tylko na kilka miesięcy!

– Oczywiście, oczywiście – przytaknąłem pośpiesznie temu, co dobrze znałem. – Z pewnością byliście bardzo szczęśliwi i dumni, gdy wam pierwszym pozwolono mieć potomstwo?

– Nie było, Zenonie, szczęśliwszego okresu w moim życiu niż te trzy miesiące, gdy cię nosiłam – odparła matka tak, że nie mogłem jej nie dokuczyć.

– Taak, bardzo krótko trwał ten okres!

– Dlaczego?

– Hm... nieparzysty chromosom!

– Jaki chromosom?

– Zła.

– Zła?

Powinienem był w tej chwili położyć głowę na jej kolanach i zapłakać z wdzięczności nad jej macierzyńską pamięcią. Lecz kolana jej lśniły naprzeciw mnie przesadnie kobieco, zresztą i tak była bardziej selekcjonerką niż matką. Była selekcjonerką, która wśród wszelkiego rodzaju roślin i mikrobów wypuściła na świat także jeden eksperymentalny egzemplarz człowieka.

– Ach, tak! – przypomniała sobie wreszcie i roześmiała się.

– Wybuchła wielka panika. Powiedzieli ci w końcu? Czy sam do tego doszedłeś? W każdym razie było to bardzo zabawne, nie wyobrażasz sobie, co działo się na Ikarze, jakby czekało go zderzenie z jakąś gwiazdą. To sprowokowało wprowadzenie kontroli informacji, tak nas przestraszyłeś!

Śmiech nie zdołał przesłonić jej lęku.

– Przypuszczam, że wówczas nie śmiałaś się.

– Zenonie! – odparła z lekkim wyrzutem. I zmieszala się. – Płacę nawet wtedy, kiedy nie udaje mi się zmusić jakiegoś wirusa, by polaryzował w prawo zamiast w lewo.

Zerwałem się z fotela, ale starałem się powściągnąć złość.

– Dlaczego ty, selekcjonerka, nie skorygowałaś w porę pomyłki natury?

– Płyn zarodkowy nie wskazywał genetycznych anomalii. Poza tym założeniem było powstrzymanie się od zewnętrznej ingerencji... – wyjaśniła, lecz widocznie mój wygląd kazał jej umilknąć. – Synku mój, co ci jest, czyżbyś robił z tego tragedię?

Przestrach w jej oczach był tak ogromny, jak one same. Z pewnością byłaby dobrą matką, gdyby nie była Ikarą.

– Ach, nie, bądź spokojna! Co nowego w kosmetyce?

Wyraźnie ucieszyła się, że zmieniłem temat i że zbliżyłem się do drzwi. Stała za mną, by mnie odprowadzić.

– Warn, młodym, tylko z początku nie pozwalano jej stosować, dopóki byliście pod obserwacją. Dlaczego wciąż nią pogardzasz?

– Mamo, czy nie przychodziło ci do głowy, że im piękniejszymi czynisz Ikarczyków, tym straszniejsi mogą wydać się tym istotom, z którymi kiedyś przecież przyjdzie się nam spotkać w kosmosie? Z pewnością mają inny pogląd na urodę?

Do podobnych uszczypliwości dawno przywykła, a tym razem podziały na nią nawet uspokajająco; wytłumaczyła sobie, że niesłusznie podejrzewała mnie o przeżywanie tragedii.

– Mimo twojej ironii, jest to doprawdy problem, Zenonie. – Idziesz już?

Kiedy znów się zjawisz?

Pierwsze pytanie było pytaniem Ikarki, drugie – matki.

– Właściwie przyszedłem zaprosić cię na koncert. Chcesz pójść wieczorem ze mną na koncert?

– Oczywiście – rozpromieniła się cała, trzykroć jeszcze piękniejsza, delikatnie dołączając do zaproszenia także ojca. – Nie wiem, czy ojciec będzie mógł pójść, spróbuję go namówić. Co to za koncert?

– To źle, że nie znasz programu, mamo – powiedziałem, by nie powiedzieć, że zapraszam tylko ją, że ojciec jest mi niepotrzebny na tym koncercie. – Jeśli poinformuję o waszym uchylaniu się od zajęć ze sztuki, nie unikniecie kary.

– Będzie zasłużona – sposepniała na chwilę. – Ale mam tyle pracy, tyle pracy!

– Tak, wszyscy macie tyle pracy – powiedziałem i, aby ukryć nowy przyływ okrucieństwa, pośpiesznie objąłem ją.

Coś jeszcze chciałem ukryć w tym uścisku, to wszystko, o czym dziecko może pragnąć zapomnieć w objęciach matki. Ale to odległa przeszłość, gdy potrafiłem przytulać się do matki, kobiety zaś jeszcze nie obejmowałem. Wyszło coś żałośnie niezręcznego. Czy tak chciałem obejmować Majolę Beni? Próba z matką nie natchnęła mnie odwagą – kobieta znajdowała się dla mnie wciąż jeszcze poza zakreślonym przez mojego patrona kręgiem.

Tak samo niezręcznie pocałowałem matkę w pachnący jakimś ziemskim kwiatem policzek i zawołałem nie odrywając się, by nie widzieć jej pełnego łez wzruszenia nieoczekiwanym dla nas obojga uściskiem.

– Wstąpię po ciebie, mamo.

## Concertino na głos żeński

### 1

A później, idąc po nią, przebrany w wizytowy, stosowny do okazji strój – strasznie długo ubierałem się, z masochistyczną rozkoszą upewniając się, że żaden ubiór nie jest w stanie przysłonić mojej brzydoty – zadałem sobie pytanie, czy to jednak nie Alek zabił Nile. Różnica wieku między nimi była podobna jak między mną a matką. Czy to możliwe, by nieustraszona, doświadczona podróżniczka straciła nagle rozsądek w obliczu jakichś zwyczajnych z pozoru okoliczności lotu zwiadowczego? Miała przecież za sobą wiele lotów, a z jednego z nich przywiozła zwłoki męża w ceramiczno – wanadowym bolidzie. W takich trumnach Ikar chował zmarłych. Początkowo formą pogrzebu miało być wystrzeliwanie ich w kierunku Ziemi, lecz już pierwsza ofiara podpowiedziała Ikarczykom, że nie wypada rozstawać się ze swoimi zmarłymi. Dotąd jednak w ikarskim panteonie spoczywali tylko Nila i jej mąż. Nikt jeszcze nie umarł na samym Ikarze, innych ofiar kosmos nie zwrócił.

Alek Dery po raz pierwszy wyruszał w samodzielny lot, lecz był klonem sławnego ziemskiego astronawigatora, w którym wskrzeszone zostały wszystkie owe olśniewające męskie cechy, niezbędne wytrawnemu pilotowi statków kosmicznych klasy gwiazdowej. I nie wytrzymał! Co zdarzyło się, gdy oboje stanęli przeciw sobie po wielu miesiącach sam na sam ze sobą w kosmosie? Czy była to drobna małżeńska sprzeczka o przewagę między świeżo upieczonym pilotem a uważającą się za bardziej doświadczoną i mądrzejszą Nilą, która z czasem przybrała chorobliwe rozmiary? Bezsensowna gadanina Derego, utrwalona w jego aparaturze rejestrującej, mogłaby nasuwać takie przypuszczenie. Czy też u mojego przyjaciela i rówieśnika doszły do głosu te same ciemne siły, które czułem w sobie? Odtrącały mnie one od pokolenia rodziców, a jednocześnie popychały ku niemu z zamiarem niezrozumiałej zemsty. Ale przecież Alek nie miał mojego sympatycznego chromosomu?

Co się stało? Kogo pytać – martwej Nili czy podobnie martwego, kretyńsko normalnego Derego? Czy... siebie?

„Alek, czy to ty zabiłeś Nile?”

Odpowiadał smutno głupkowskim uśmiechem, potem ręka jego wykonywała w powietrzu ruch dokręcania wyimaginowanej śrubki – dawał mi do zrozumienia, że to we mnie coś się rozregulowało.

„Alek, czy i ja zabiję Majolę, jeśli zabiorę ją z sobą, gdy zdecyduję się

powtórzyć twój lot? Zdecydowałem się już na to, Alek”.

Matka zawołała z czarującym wyrzutem:

– Dlaczego nie powiedziałeś, że zapraszasz mnie na koncert Majoli Beni?

Przecież jesteśmy przyjaciółkami, nie wiedziałeś o tym?

– Nie, mamó – skłamałem.

– Przecież tyle razy bywała u nas!

– Kiedy była ostatni raz, mamó? – zapytałem ironicznie, z uporem podkreślając ten zwrot, który jeszcze oddalał mnie od niej.

– Masz rację, chłopcze. Co dzieje się z nami, że tak się zaniedbujemy?

Wyglądała olśniewająco, pytanie było retoryczne. Nie było także protestem, jedynie kokieteryjnie smutną konstatacją: nawet się nie obraziła, że Majola Beni zapomniała jej wysłać zaproszenie, choć mnie przysłała. Z chłopięcą naiwnością wyobrażałem sobie, że zaproszenie to daje mi prawo do owej pewności siebie, którą podsyciałem w sobie od dłuższego czasu – a która wyparowała w jednej chwili, gdy poznałem tajemnicę swych komórek. Jak zachowa się matka, gdy wyczuje, że przyprowadziłem ją w charakterze tarczy przeciw własnej wrażliwości? I jako cel sarkastycznej złośliwości, jeśli przekonam się, że Majola Beni nie zawarła w swym zaproszeniu niczego poza uprzejmym obowiązkiem zaproszenia na swój koncert byłych uczniów.

Na Ikarze najbardziej wzruszała mnie sala koncertowa. To ona wiązała mnie najsilniej z Ziemią i najdobitniej dawała mi odczuć jej oddalenie. Wpadaliśmy do niej, pierwsza dziesiątka dzieciarni w różnym wieku, trzy – cztery razy w miesiącu, stawaliśmy jak wryci już w progu – bo za każdym razem sala była inna – i siadaliśmy oczarowani w fotelach. Tonęliśmy w nich tak, że widać było tylko nasze oczy, ponieważ fotele były zbyt duże na nasz wzrost, i odprężaliśmy się w ich prawie niematerialnym uścisku.

Zachwycaliśmy się marmurami, złotymi aniołkami, zwierzętami i roślinami, zdobiącymi ogromne ściany i sufit sali, podczas gdy na małej otwartej scenie pojawili się dziwni mężczyźni w dziwnych pstrych fatalaszkach, z wielkimi koronkowymi kołnierzami i mankietami, z ujętymi w siateczki i przypudrowanymi włosami; kłaniali się niemal do ziemi i zaczęli grać na równie dziwnych instrumentach...

Innym razem scena nie ukazywała się od razu, ukryta za tajemniczą fałdzistą zasłoną. Sala wyłożona była ciemną boazerią, nad głowami wisały niezwyklej wielkości kryształowe żyrandole. Zasłona rozsuwała się wolno, tak wolno, że nasze serduszka przestawały bić przez chwilę,

dopiero kiedy dwa jej skrzydła nieruchomiały wreszcie po obu przeciwnych stronach, wydobywało się z nas ciężkie westchnienie ulgi. Na scenie byli jednak inni ludzie, ludzie, jakich nigdy nie spotykaliśmy na Ikarze. Najmniej sto osób, ubranych w błyszczące czarne stroje, zaczynało grać na instrumentach, na jakich także nikt nie grał na Ikarze, a jedna wysunięta przed nich wymachiwała cienką, krótką pałeczką. Ale oto obok człowieka z pałeczką wyływała, nie wiadomo skąd, Majola Beni w długiej do podłogi i ciężkawej jak zasłona sukni, i zdawało się nam, że również ona nie jest istotą z Ikara, że wyśniliśmy ją w naszych snach.

Po raz trzeci w ten sam zagadkowy i bezgłosny sposób opuszczała się z nieskończenie wysokiego, lejkowatego stropu na scenę. Sala znów przeobraziła się w nieznaną wnętrze o surowym łukowatym sklepieniu, z oknami z mozaikowo ułożonych płytek, przez które mistycznie lały się barwy czerwonego przedziału widma, z wizerunkiem jakiegoś człowieka, rozpiętego na krzyżu, z jakąś marmurową matką, trzymającą w ramionach marmurowe dziecko... Sceny nie było, była za to ściana z rozlicznej długości spiczastym kolumienkami, których ostre końce zwrócone ku dołowi przypominały końcówki, którymi pisaliśmy i kreśliliśmy na ekranach szkolnych automatów, ale o wiele większe. Tajemniczy człowiek ubrany na czarno, z zapiętym pod samą szyją kołnierzem, nachylał się nad pulpitem, pionowe końcówki wybuchały tysięcznym chórem – nierealnym chórem nierealnych głosów, z siłą wymuszającą pokorę i głęboki szacunek...

Wtedy spod kopuły spłynęła także Majola Beni w prostej, białej ni to sukni, ni koszuli, długiej do samych stóp; jej smukła szyja i obnażone ręce opalizowały złociście, a rozpuszczone włosy, jak odlane z najczarniejszego, najbardziej połyskliwego stopu, zlewały się z żarem czerwonego katedralnego mroku i jak lawa spływały na jej plecy i ramiona. Kłaniała się nam równie wolno i uroczyście, a tysięczny chór zastygał jak my pokorny nie do poznania, gdy zaczynała mówić. Usypialiśmy w ciepłych wannach-fotelach, a gdy po półgodzinie budziliśmy się, wiedzieliśmy, że gdzieś w bezkresnym wszechświecie żył twórca tej muzyki i że grana była właśnie w takich salach, jak nasza, na takich właśnie instrumentach: wiedzieliśmy, kiedy i jak powstała, co miała wyrażać, jak przyjęto ją wówczas i dlaczego wciąż jeszcze rozbrzmiewa wszędzie tam, gdzie żyją ludzie. A tysięczny chór rozbrzmiewał ponownie, teraz jednak słuchaliśmy go inaczej, uświadamiając sobie, że choć dowiedzieliśmy się już wszystkiego o muzyce i jej twórcy, nadal właściwie nie wiemy nic ani o niej, ani o nim, że dopiero teraz

dowiadujemy się czegoś zupełnie innego, czego nie zdołaliśmy nauczyć się podczas lekcji hypnopedycznej, że wcale nam tego nie opowiadano, lecz sami właśnie to odkryliśmy. I że na tyle jest wielkie, na ile jest nasze, lecz ku wielkiemu żalowi – tak wielkiemu, że chciało się płakać – nie da się zabrać tego z sobą. Za każdym razem, obojętne czyjej słuchało się muzyki i jak wyglądała wtedy sala, wydawało nam się, że odkryliśmy baśniową pieczarę, lecz nim zdążyliśmy napełnić dziecięce kieszenie okruchami skarbów, magiczny Sezam już zatrzasnął się wolno i nieubłaganie i zabieraliśmy z sobą jedynie... pożegnalny ukłon Majoli Beni.

Tak było kiedyś na rocznym lektorium dla dzieci. Teraz wiedziałem, że ludzie ukazujących się na scenie naszej sali w swych cudacznych strojach, by grać dla nas na swych dziwnych instrumentach, nie ma już obecnie nawet na Ziemi, ponieważ dawno zmarli. Wiedziałem, że wszyscy ci sławni kompozytorzy i wykonawcy, kłaniający się nam ze sceny, istnieją obecnie jedynie w trójwymiarowej magii, wyczarowywanej w dyfrakcyjnych siatkach aparatury holograficznej – tak jak instrumenty wyczarowywały magię ich muzyki. Jediną istotą – w tej sali, której można było dotknąć, by przekonać się o jej istnieniu, była Majola Beni. Nie pomniejszało to jednak magnetycznego uroku sali, kazało tylko lokalizować jej źródło w osobie władającej nią wróżki. Bałem się jednak zbliżyć do niej, nie chcąc zderzyć się z realnością jej istnienia. Majola Beni pozostała zagadką starożytnych harmonii, jedyną dla mnie zagadką w tej sali. Raz tylko – w wieku czternastu lat – poszedłem na jej koncert autorski i płakałem po jego wysłuchaniu z bezsilnej, chłopięcej rozpacz. Od tamtego czasu wolałem pozostawać w swym pokoju, z poliwizorem włączonym jedynie na fonie i słuchać koncertów, nie widząc ich twórczyni przed sobą. Przeżywałem rozkosz i zarazem udrękę. Tym razem jednak było inaczej.

## 2

Teraz było inaczej i siedziałem w tej samej sali pełen wrogości do niej, do wszystkiego w niej, a najbardziej – do siebie. Sala, jak głosił program, tym razem usiłowała wmówić nam, że znajdujemy się w ziemskiej sali koncertowej. Symfonię „Narodziny Ikara” Majola Beni stworzyła wtedy, gdy znajdowaliśmy się jeszcze w obrębie Układu Słonecznego i przesłała ją na Ziemię, po czym zapis jej wykonania dogonił Ikara – najlepsza orkiestra na Ziemi z najlepszym na Ziemi dyrygentem tym sposobem

okazywała nam od czasu do czasu swój fantomowy szacunek. Nie mogę jednak powiedzieć, by Ikarzycy odwzajemniali się tym samym – w sali były zaledwie czterdzieści dwie osoby.

Symfonia nosiła jeszcze cechy wczesnej twórczości, lecz maksymalnie szczerą i niedoskonałą – oddawała zachwyty i przerażenie wielkiego początku, smutek i wiarę, triumf i pożegnanie, w którym tragiczne nuty samopoświęcenia brzmiały głęboko zagłuszone, nie dla tego jednak, kto pragnął je dosłyszeć. Miałem nadzieję, że przynajmniej ona – ponieważ po innych utworach w programie nie spodziewałem się tego – odmieni mój profanacyjny nastrój, lecz nawet ona tego nie sprawiła. Przyglądałem się ironicznie muzykom z Ziemi i sławnej Downing, lecz nawet jej spontaniczny hołd oddany dziełu Ikara nie wzruszył mnie jak innym razem, odebrałem go wręcz jak kpinę. Majola Beni w zwykłym skromnym kostiumie wydawała się prozaicznie mała wobec potęgi swej twórczości, a gdy klaskałem wraz z innymi, starając się wypełnić pustą salę paradyjnym aplauzem, pomyślałem, że mimo wszystko może ten właśnie utwór przetrwać z muzycznej twórczości Ikara, jeśli nie urodzą się nowi kompozytorzy.

Wraz ze znakomitą orkiestrą znakomitej Downing i znamienitą moskiewską salą koncertową znikła także Majola Beni. Ściany i stroje, pozbawione wszelkich ozdób i sztukaterii szczyrzyły na salę grubo ciosane warstwy skał, z których stworzony był sam Hidalgo. Znajdowaliśmy się jakby w jakiejś prehistorycznej pieczarze. Czy tak wyglądała w rzeczywistości sala? Matka szepnęła do mnie: „Co ta Majola zamyśla? Dobrze wie, że nie wypada jej improwizować na kolorofonie!” Wstałem bezceremonialnie i podszedłem dotknąć ściany. Oczywiście była gładka – znów hologram ze swymi sztuczkami! Pozostałych czterdziestu jeden gości wiedziało o tym, spojrzęło więc na mnie z niedowierzaniem, gdy odwróciłem się, by wrócić na miejsce. Miałem ochotę powiedzieć coś wulgarnego, jakieś przekleństwo, jakiego w życiu nie słyszeli, lecz nic nie przychodziło mi do głowy, zresztą zanim dotarłem do fotela, światło w pieczarze znacznie przyciemniało, cienie na ścianach stały się wyrazistsze, kontury bardziej niezwykle i zagadkowe. Na chwilę zapanowała ciemność. I oto przed nami, a zarazem jakby w centrum tej gigantycznej pieczary wypłynął z mroku ogromny dodekatar. Z początku fosforyzowały mistycznie jedynie jego brzegi, a we wnętrzu panowała ta sama ciemność, ciemność ta jednak nie była pusta. Coś poruszało się w niej, jak mroczny zarodek mrocznej niewiadomej. Pierwszy akord, drugi... ogromny dwunastościenny kryształ pomału rozświetlał się od



wewnątrz, ale odnosiło się wrażenie, że nie on się jarzy, lecz Majola Beni, siedząca wewnątrz tak naga, jak nagi może być kryształ. Siedziała w kryształach naga i nieruchoma jak ciemnozielony zlodowaciały kwiat albo owe prehistoryczne motyle, znajdowane na Ziemi – w bursztynowych łzach morza. Miałem ochotę zakpić przynajmniej w duchu z tego tandetnego symbolu, szykującego się do zaserwowania nam swych kolorofonicznych improwizacji, nie byłem jednak w stanie – była tak piękna, że wszystko we mnie skręcało się z bólu.

Potem poczułem ponowny przyływ bólu – był to ból-strach, jakiego doświadczałem podczas dziecięcego lektorium muzycznego, kiedy Majola Beni, improwizując przed nami na kolorofonie, zdawała się roztopiać w łunach i błyskawicach koloromuzyki. Już pierwsze poruszenie ręki ciemnego nagiego zarodka w sercu kryształu napełniło pieczarę podziemnym czerwono-czarnym łoskotem, z jam i szczelin w ścianach wypełgały w fioletowawym powietrzu-muzyce błękitne płomyki i strużki – syczały zielonkawożółte gazy trujące, za naszymi plecami trzasnął grom: przymknąłem oczy. Kryształ już roztopił się w powodzi muzyki i blasków – w prawdziwym chaosie, bowiem prócz ogólnej udanej introdukcji, imitującej początkowy stan przedorganicznego okresu istnienia planety, Majola ponownie udowodniła, że nie potrafi improwizować na kolorofonie. Na Ikarze było kilka osób, które choć nie były zawodowymi muzykami, potrafiły robić to znacznie lepiej.

Kolorofon jest doprawdy wielkim wynalazkiem, przede wszystkim z racji jakby także fizycznego obnażenia się wykonawcy w stopie muzyki i barw, gdy znika wszelki dystans między kompozytorem, dziełem i słuchaczem, słuchacz bowiem, pogrążony całkowicie w fantastycznym świecie dźwięków, kształtów i światła, sam konkretyzuje w sobie ten świat, przekształcając go z abstrakcji we wzruszający konkret własnych uczuć i namiętności.

Za moimi zamkniętymi oczyma nie rodził się jednak żaden konkret prócz roztopiającej się w kwantach koloromuzyki Majoli Beni. Przestraszyłem się, bardziej niż na dziecięcych zajęciach z muzyki, że może nigdy już nie wróci. Wróciła, lecz nie taka, jaką miałem ochotę ujrzeć, chociaż raz jeszcze musiałem skarcić swoje serce, by otrzeźwiało; jak wszystko na naszym biednym Ikarze, i to jest jedynie zręcznym montażem technicznym miraży i...

Jakby odgadłszy mój nastrój, w swym nowym utworze Majola pojawiła się bez efektownych trików technicznych. Oczywiście całkiem nie sposób było obejść się bez nich – koniec końców nasza sala koncertowa była

jedynie pieczarą, wykopaną w skałach Hidalgo. Światło i hologram wyczarowywały z niej salę koncertową. Teraz jednak przekształcono ją w zalaną słońcem przestrzeń, bez ścian, bez stropu – zewsząd obejmowało nas niebo czyste, radosne, przepełnione jak głos Majoli Beni miłością i zachwytem.

Nie zatytułowała swego utworu, napis świetlny zapowiedział go jako „Concertino na głos żeński”. Wyszła na scenę znowu ledwie widoczna na tle oszałamiającej słonecznej przestrzeni, ponieważ od długiej sukni bił podobny metaliczny promienny blask. Podniosła ręce i twarz ku niewidzialnemu słońcu, skinęła lekko głową, wygięła nadgarstki dłoni i niewidzialna orkiestra wybuchła nad naszymi głowami; ona zaś śpiewała – podobna do dziewczynki stojącej samotnie pośrodku wielkiej słonecznej polany, tak szczęśliwej, że nie potrafi robić nic innego, jak wymachiwać rękami, by dyrygować chórem ptaków i prześcigać się z nimi w śpiewie, w przeciwnym razie serce jej pęknie z nadmiaru zachwyty.

Matka wielkodusznie poświęciła kilka kwiatków ze swego selekcyjnego poletka, nie rzuciła się jednak, by wręczyć je natychmiast, lecz zrobiła właśnie tak, jak miałem sam ochotę uczynić: wyczekała, aż wszyscy złożą gratulacje. Majola także nie zamierzała pominąć nikogo z nas, dopiero potem rzuciła się ku mojej matce i obie zaczęły się obejmować i całować, że omal nie uciekłem.

– Majolu, byłaś wspaniała, cudowna, niezrównana!

– Jestem taka szczęśliwa, że przyszedłeś! – przekrzykiwała ją Majola, choć gotów byłem przysiąc, że umyślnie nie wysłała jej zaproszenia. Najwstrętniejsze było to, że obie wydawały się absolutnie szczerze.”

– To mój syn – przedstawiła mnie w końcu matka.

– Znam go przecież – powiedziała Majola. – Uczyłam go słuchania muzyki.

– Nie jestem pewien, czy się to pani udało – powiedziałem i postąpiłem krok do przodu, by ująć rękę niegdysiejszej czarodziejki z dziecięcej krainy baśni.

Przetrzymałem nieprzyzwoicie długo wyciągniętą do mnie rękę, nachyliłem się i ucałowałem ją. Nikt nie czynił tego na Ikarze, lecz pamiętałem z filmów, że ludzie czynili tak na Ziemi w czasach Beethovena i wiele wieków później, w czasach Steriusa.

– Dziękuję – wyszeptała Majola Beni.

– Jest trochę dziwakiem, Majolu – usprawiedliwiała mnie matka. – Ale dobrym znawcą twojej muzyki.

– Wiem – powiedziała Beni i nie zrozumiałem, którą z dwu informacji

ma na myśli, lecz postanowiłem, by przekonała się o tej pierwszej.

– Dlaczego nie odwiedził mnie pan ani razu? – zwróciła się po raz pierwszy do mnie, a oczy jej zwięzły się tak, że upodobniły się do małych czarnych otworów. – Wszyscy z waszego lektoratu odwiedzali mnie. I wtedy, i później oczekiwałam pana.

Znów nie zrozumiałem, czy to „i wtedy, i później”, odnosiło się do jej oczekiwań, czy do wizyt innych, lecz odpowiedziałem w stylu, jaki przystoi dziwakowi.

– Po co? By wieść sztuczne dysputy na tematy muzyczne? Nie potrafię z gadania uczynić sztuki.

– Czy nie powiedziałam ci, że jest dziwakiem! – matka była wyraźnie rozgoryczona, nie z powodu mego niestosownego zachowania, lecz ponieważ wyczuła już poniżającą rolę, jaką jej wyznaczyłem.

Zrobiło mi się jej nawet żal w tej chwili i z pewnością ulitowałbym się nad nią szczerze, kochałbym ją teraz, gdybym nie porównywał jej z całą świadomością z jej przyjaciółką, aby stwierdzić, o ile jest od niej piękniejsza – z twarzy, z całej postaci, w gestach i mimice – matka moja należała bowiem do stworzonej specjalnie przez klonowanie rasy, Majola zaś była zwyczajnym cudownym dzieckiem, które zabrano na Ikara po prostu dla jego talentu. I tym tłumaczyłem sobie niejasną namiętność we mnie.

– Wiem, że pan nie potrafi i... dlatego czekałam na pana.

Moje grubiaństwo nie dotknęło jej – była nadal jednym z pierwszych Ikarczyków, Hoidalczyków, cudownych dzieci.

– Majolu, co robisz teraz? Jesteś zajęta?

Matka z wrodzoną sobie delikatnością pogodziła się ze swoją rolą albo też poczuwała się do obowiązku przyjscia mi z pomocą, choć w tak podły sposób posłużyłem się nią. Już miała zamiar zaproponować jej coś odpowiedniego dla mnie, lecz Majola przerwała jej z nieskrywanym zniecierpliwieniem:

– Czy pozwolisz mi spędzić ten wieczór z twoim synem?

– Czy pozwolę? – zdziwiła się matka i przekonałem się, że kobieta, choćby była nawet Ikarą, potrafi zdobyć się na obłudę, gdy trzeba ukryć podrażnioną ambicję. – Od dawna nie mam już do niego żadnych praw!

– Kiedy zobaczyłam was razem, pomyślałam, że może dziś masz jakieś prawa. Nie gniewaj się, lecz jest jedynym człowiekiem, z którym pragnęłabym spędzić ten bądź co bądź uroczysty dla mnie wieczór. Nawet przygotowałam się do tego.

Sterczałem obok i z wysokości swego głupiego dryblasowatego

wzrostu słuchałem ich uprzejmego licytowania się, a dłonie miałem spocone – przygotowała się do tego, na co ja od dzieciństwa nie potrafiłem się zdobyć. I znów okazałem się nie przygotowany, ponieważ usłyszawszy to, miałem doświadczyć szczęśliwej ulgi, pomyślałem, czy aby Alek nie zabił swej pięknej Nili z powodu właśnie takiego, prostodusznego, bez osłonek rozkazu?

Matka uciekła się nawet do śmiechu, by godnie wycofać się z pola bitwy, gdzie na zawsze pozostawiała syna.

– Och, Majolu, po takim koncercie nikt nie ma prawa niczego ci odmówić! Boję się tylko, aby mój Zenon nie zepsuł ci święta swymi dziwactwami.

Majola Beni także się roześmiała, lecz co wyrażał ten śmiech, wiedziałem tylko ja.

– Wiesz, kochanie, że nasze samopoczucie jest zawsze świetne.

I bez żadnego skrepowania ucałowała ją na pożegnanie, a matka pośpieszyła z zapewnieniem, że nie ma potrzeby, byśmy ją odprowadzali – nie będzie wracała pieszo, ponieważ ojciec czeka na nią z kolacją. Życzyła nam miłego wieczoru, poprosiła nieśmiało, byśmy ją kiedyś odwiedzili, zapewniła, że byłaby bardzo szczęśliwa, i oddaliła się dostojnie. Z lekkim bólem pomyślałem w ślad za nią: dlaczego nie odziedziczyłem po niej choć odrobiny urody? Był to jednak odruch z czasów, gdy sądziłem, że z powodu mojego wyglądu nigdy nie spodobam się Majoli Beni.

### 3

Majola opadła na jeden z foteli, jakby chciała zademonstrować, jak zmęczyła ją potyczka z moją matką. Była teraz tylko czarnowłosą, bardzo śniadą kobietą z tamtego ziemskiego kontynentu, na którym niegdyś wymieszały się, jak barwy w kolorofonie, trzy rasy, by złożyć się na moją wyśnioną jawę. I oto zjawa zesza wreszcie ze sceny, wyszła z zagadkowego kryształu, mogłem jej dotknąć, pozwolono mi jej dotknąć. Przeobrażona w przestwór sala nie wydawała mi się już pusta, lecz pełna westchnień i napięcia.

Majola siedziała z rękami opuszczonymi jak po ciężkim wysiłku, z oczyma utkwionymi we mnie w oczekiwaniu pochwały bądź nagrody za poniesiony trud.

I najmniejszy cień wątpliwości, że może nie otrzymać tego, na co oczekuje, nie przemknął po tych prawie murzyńskich wargach, nie zaćmił blasku kreolskich oczu.

– Och, jaka jestem zmęczona! Nie przypuszczałam, że tak się wzruszę na tym koncercie, jakbym występowała po raz pierwszy...

– I ja nie przypuszczałem, że nawet nie zapyta pani, czy zgodzę się dotrzymać pani towarzystwa – przerwałem jej niegrzecznie, tak niegrzecznie, że mój głos rozbrzmiał w słonecznym przestworzu sali niczym gniewne uderzenie w basowy klawisz.

– Powinna była zapytać?

To prostoduszne zdziwienie omal nie przyprawiło mnie o rozpacz. Nie odpowiedziałem, więc nie przestawała się dziwić:

– Wszak pragnął mnie pan, Zenonie? Czy już mnie pan nie pragnie?

Palce moje ześlizgnęły się po spoconych dłoniach, starając się złowić coś, czego w nich nie było.

– Sądziłam, że mnie pan kocha – powiedziała po chwili. – Pan przecież wie, że ja pana kocham.

Miałem ochotę powiedzieć jej na wstępie: kiedy człowiek pragnie czegoś, chce otrzymać to wtedy, gdy... Potem chciałem jej powiedzieć: próżno liczyłaś na moją przenikliwość, kiepski ze mnie psycholog – lecz nic nie powiedziałem. Przeszkoda, o której zawsze sądziłem, że jest nie do przezwyciężenia, nagle zniknęła. Nie było jej. Rozglądałem się zaskoczony – przede mną, skulone w fotelu, siedziało drobne, śniade stworzenie, oczekujące ciosu albo pieszczoty. Nachyliłem się i ucałowałem jej włosy, potem ująłem w dłonie ten czarny wodospad, by urzeczywistnić przynajmniej jedno z najsilniejszych chłopięcych pragnień. Włosy były puszyste i gęste, a kiedy uwolniłem je – od przytrzymującej fryzurę przepaski, nasiliły swój zapach. Większość Ikarok nosiła włosy krótko ostrzyżone, ponieważ obowiązki służbowe – na Ikarze czy poza nim – często zmuszały je do wkładania hełmu. Przeczesałem teraz palcami jej długie włosy, lecz nie jak niegdysiejszy, spragniony ich chłopiec, w pocałunkach i ruchach rąk było coś badawczego.

Opuściwszy powieki Majola zastygła w bezruchu. Przez ostatnie dni przed koncertem medytując, nad jej zaproszeniem, upajałem się w wyobraźni, jak brutalnie się z nią obejdę, jak poniżę i upokorzę tę wybrankę, każącą mi czekać tyle lat, a teraz potrafiłem jedynie pieścić jej włosy. Lecz kiedy zapragnąłem wreszcie przybliżyć jej usta do moich, zerwała się żywo i powiedziała:

– Chodźmy do mnie! Chwileczkę, tylko wyłączę hologram!

Poczułem gorycz w ustach – pójść tam, gdzie przygotowała się na moje przyjęcie? Czy też: by nie bezcześcić tej sali? Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, ująłem ją pod ramię i pociągnąłem w dokładnie odwrotnym

kierunku. Nie protestowała. Twarz jej utraciła wreszcie swój mroczny spokój. Pobladła nagle, co zupełnie opacznie sobie wytłumaczyłem, ponieważ upierałem się przy swojej idee fixe: nie, moja droga, przymusiłem się do jakiejś poetyckiej symboliki, zrobimy to tak, jak robili to nasi pradziadowie, nie Ikarzycy! Wyznamy sobie miłość wobec przyrody, a nie maszyn i ludzi, ponieważ ona do niej należy. Wyznamy ją wpierw przed drzewami, i wodą, i przed ptakami, przed tymi, którzy lepiej od ludzi wiedzą, co to miłość...

Wypowiadałem to wszystko w myśli, kilkakrotnie powtórzyłem słowo oznaczające miłość, jakbym je także badał, nie mogąc pojąć jego sensu. Nie było już we mnie żadnej miłości. I nigdy nie było! Oczywiście spieszyłem do parku, by całować Majolę Beni, lecz nie wyczuwałem miłości w tym pragnieniu.

W odróżnieniu ode mnie Majola Beni wiedziała dokładnie, czego chce, i potrafiła urzeczywistnić swe pragnienie. Przytuliła się do mego ramienia, objęła mnie w pół i nagle osłupiałem, że na pustej alejce od strony parku pojawiły się dwie osoby. Postanowiła od razu zademonstrować Ikarzycykom, że już należymy do siebie, a raczej, że ja należę do niej. I udało się jej ubiec mnie.

Nie miałem czasu, by zareagować, a gdy poznałem ojca i Terina, swego nauczyciela i szefa, moja chłopięca duma, że obejmuję być może najznamienitszą kobietę Ikara, przerodziła się w synowski przestach. Obydwaj pozdrowili nas zwyczajem ikarskim uprzejmie i oficjalnie, nie okazując żadnego zdziwienia, a ojciec powiedział:

– Majolu, mogłem słyszeć tylko concertino. Cudowny utwór! I wspaniale pani śpiewała.

– Z przyjemnością przyłączam się do tej opinii – skłonił się wszechmogący przewodniczący rady kontrolnej.

Majola podziękowała i jeszcze bardziej demonstracyjnie wsparła się na moim ramieniu. Zapomniawszy o ufności w swój czterdziesty siódmy chromosom, umierałem ze wstydu i udręki i omal nie uciekłem. Ojciec dodał:

– Zenonie, podzielam twoją radość. Majola będzie cudowną towarzyszką.

Matka także bardzo się ucieszy, są dobrymi przyjaciółkami.

– Już wie – zaśpiewała triumfalnie Majola.

– No to cudownie! Będziemy teraz czekać waszych szybkich odwiedzin.

Oto ile czasu był w stanie poświęcić pierwszy teoretyk i myśliciel Ikara

dramatom sercowym swego syna. Nawet nie zastanowił się, czy jest normalne, by obejmowała go i przywłaszczała sobie kobieta będąca rówieśnicą jego matki? A może tych dwoje przewidziało to już wcześniej? Skoro jestem ich eksperymentem, nic dziwnego, że określili, kiedy dokładnie i przez którą kobietę wprowadzony zostanę w arkana miłości! Że zaprogramowali to i połączyli w czasie z odkryciem, które mieli mi uczynić. Powinienem był teraz rzucić im do nóg tę kobietę, plunąć na ich eksperyment, lecz stałem bezwolny i pokorny, jak przed bogami, którzy jedyni władni są decydować o moim losie.

Terin tylko uśmiechnął się do mnie zachęcająco i z tym samym dobrodusznym, ujmującym uśmiechem pożegnał nas, przekonany, że Majola Beni zdoła uśmierzyć bunt, który on sam rozniecił we mnie.

– Twój ojciec jest wielkim człowiekiem – powiedziała Majola tak, jakby była dumna z tego. – Ludzkość czcić będzie jego imię jeszcze przez wieki.

Zaczęła mówić mi „ty”; z pewnością po tym spotkaniu czuła się definitywnie małżonką. Mój chromosom jednak opamiętał się.

– Dziwne zatem, skąd wzięła się ta pospolitość w jego genach, którą odziedziczyłem!

– Zenonie, nie mów tak! Nie mogę kochać człowieka, o którego sile i talencie nie jestem przekonana.

– Nie mam ani siły, ani talentu. Mam tylko...

– Nie pragnę cię innego – przerwała mi i zapatrzyła się na swoje pantofelki; połyskiwały przy każdym jej kroku pod złocistożółtą materią długiej szaty, w której śpiewała concertino.

Objąłem jej ramiona tak, jak pragnąłem tego w długie godziny młodszej samotności. Poczulem młodą siłę jej ciała, zapomniałem o tym, co jednocześnie przyciągało mnie i odtrącało: o jej wieku. Zapomniałem także o tym, że to ja zostałem wybrany, co przed chwilą potwierdziła – oświadczając, jakiego mężczyznę zdolna jest kochać. W mojej piersi, na której tak wygodnie wspierało się teraz jej ramię, triumfowała duma, że oto trzymam w objęciach tę kobietę definitywnie pokonaną.

Doszliśmy do brzegu jeziora i wokół stało się jaśniej. Woda odbijała rozproszony nocny blask, w którym spały las, trawa i ptaki. Sztuczna noc automatycznie zastąpiła sztuczny dzień, ponieważ ich potrzebę odczuwali nie tylko ludzie. Wszystko, co pochodziło z Ziemi, nosiło jeszcze w komórkach pamięć o nich, żyjąc w rytmie tego biologicznego zegara.

Chciałem w milczeniu ułożyć Majolę na brzegu i w milczeniu

przywrzeć ustami do jej ust w pierwszym naszym pocałunku, jak czynili nasi dziadkowie, lecz ona nagle zawołała:

– Heli, to ty? Dlaczego się kryjesz?

Jakaś smukła postać przemknęła wśród drzew.

– Chodź tutaj! – prawie rozkazała Majola.

Heliana Dolia-Moreni! Ujrzałem ją po raz pierwszy przed czternastu laty w komorze porodowej. Była pierwszym ludzkim embrionem, który polecono mi obserwować podczas studiów; wykonywałem oczywiście najprostsze zadania: sprawdzałem parametry techniczne komory, śledziłem stadia rozwoju embrionu. Sam miałem wtedy czternaście lat, lecz jak ojciec kochałem już to miniaturowe niemowlę, ponieważ było drugim po mnie dzieckiem na Ikarze, które nie przyszło na świat metodą klonowania. Ikarzycy postanowili ponowić eksperyment. Pewnego razu, gdy Varius Lotz, odpowiedzialny za komory porodowe wiceprzewodniczący rady kontrolnej, egzaminował mnie na oddziale, wszedł Moreni, ojciec. Przychodził często i puszył się eksperymentem. Wlepiwszy jak zawsze oczy w okular, patrzył przez chwilę na dziecko, roześmiał się uszczęśliwiony i nie wiadomo dlaczego zwrócił się do mnie, nie do Lotza, który należał do najpopularniejszych i najbardziej lubianych ludzi na Ikarze:

– Jak proponujesz, młodzieńcze, nazwać naszą pannę?

Odparłem natychmiast, ponieważ od dawna miałem imię dla swego dziecka:

– Heliana!

– Heliana? Skąd wytrzasnąłeś to imię?

– Od Helios, greckiej nazwy słońca.

– Hm, He-lia-na – oceniał je Moreni po brzmieniu.

W owym czasie w poszukiwaniu bajek zawzięcie szperałem w encyklopedycznych kolektorach i byłem pod urokiem starożytnych poetyckich wierzeń, stąd to imię.

– Nasi dalecy przodkowie zawierali w imionach dzieci życzenia ich pomyślnej przyszłości. Heliana, aby znalazła swoje prawdziwe słońce!

– To interesujące. Porozmawiam z jej matką...

– Załatwione – poparł mnie niezawodny Varius Lotz. – I imię piękne, i ojciec chrzestny ujdzie! Możemy raz zlekceważyć tradycję.

W ten sposób ja, niepozorny wyrostek, zostałem ojcem chrzestnym – czymś, do czego prawo mieli jedynie wybitni Ikarzycy. I już wtedy zapoczątkowałem nieświadomie naruszenie porządku na Ikarze.

Jeszcze dwa lata temu moja chrześniaczka pojawiała się regularnie na



badaniach kontrolnych, potem nagle przestała przychodzić do mnie. Złożyłem to na karb instynktownego wstydu u dorastającej dziewczyny i nawet ucieszyłem się, ponieważ Ikarki były tak niezależne i dumne, że nawet wstyd przed mężczyzną tłamsiły w sobie jako coś poniżającego. I nie przestawałem kochać tej dziewczynki – rudowłosej wiewióreczki – jak własnego dziecka, dlatego jej obecność spieszyła mnie.

– Co robisz tutaj? – zapytała Majola, gdy dziewczyna wyszła z za drzew, nie zbliżając się jednak do nas. – Jesteś sama?

– Patrzyłam na jezioro.

W pochylonej postaci Heliany było coś z gotowości do ataku lub ucieczki, coś zdecydowanie wrogiego. Z pewnością naruszyliśmy jej intymną samotność. Dzieci Ikara spędzały większą część wolnego czasu w tym wielkim i pięknym lesie, uciekając od martwoty ikarskiej techniki, która nie była dla nich niczym frapującym, by szukać cudów żywej przyrody. Ja również spędziłem tu swoje dzieciństwo i błogosławiłem tego, któremu wpadło do głowy wybrać do naszej kosmicznej podróży nie jakąś małą asteroidę, lecz właśnie Hidalgo, pozwalając tym sposobem Ikarczykom na luksus posiadania kilku hektarów troskliwie utrzymywanej ziemskiej przyrody. I pierwsza pochwała, jaką otrzymałem jako młodszy członek rady kontrolnej, była za to, że zaproponowałem, by przenieść niektóre z dziecięcych kolektorów naukowych do samego lasu.

– To moja najtrudniejsza uczennica – powiedziała Majola. – Heli, wyszłam za męża. To mój mąż. Chodź złożyć mi życzenia.

Dziewczyna nie poruszyła się, a ja poprawiłem Majolę w myśli: to mój nowy mąż – po raz pierwszy przypomniawszy sobie o jej zaginionym mężu, chociaż jedno z laboratoriów na Ikarze, znajdujące się w moim sektorze kontrolnym, nosiło jego imię. Powtórzyłem: „Mój nowy mąż” i wsłuchałem się w te bezgłośnie słowa, ponieważ wciąż nie mogłem pojąć, co dokładnie znaczą. Majola uczyniła jakiś gest w ciemności, może postanowiła sama podejść do dziewczyny, lecz tamta nagle uciekła. Jej drobna skulona figurka przemknęła wśród drzew i zniknęła.

– Co jej się stało? – powiedziała zrezygnowana. – Dziwna dziewczyna!

Siadłem na trawie z nogami wyciągniętymi w stronę jeziora. Jego wody trwały nieruchome, ciemnoszare jak oksydowane aluminium. Tylko na drugim brzegu, pograżonym w nocy, gdzie lała się poświata nocna, igrały na nich chromowe odblaski.

– To naprawdę moja najtrudniejsza uczennica. Dziwne dziecko, zupełnie nie potrafię go zrozumieć. Jest muzykalna, ale wręcz odmawia zaakceptowania jakiegokolwiek harmonii. Z największym trudem udało mi

się zmusić ją raz do ułożenia melodii. Nic z tego nie wyszło. Wiesz, każde dziecko zdolne jest ułożyć jako swoją melodyjkę coś zasłyszanego, co mu się spodobało.

A ona przedstawiła mi taką kakofonię dźwięcznych wprawdzie i prawidłowych tonów, że złapałam się za głowę. Ale nie słuchasz mnie? O czym myślisz?

– Ja także jako dziecko ciągle przesiadywałem w lesie. Pewnego razu z Alkiem, moim przyjacielem, przyklekliśmy przy jednym z drzew i kopaliśmy, kopaliśmy, aż połamaliśmy paznokcie, bo chcieliśmy zobaczyć, jak głęboko sięgają jego korzenie. A kiedy doszliśmy do rur, rozprawiających składniki pokarmowe, uciekłem jak teraz Heliana. I nigdy nie płakałem tak gorzko, Majolu, ani przedtem, ani potem.

Usłyszałem jej westchnienie i powiedziałem:

– Siądź obok mnie. I nie gniewaj się, jestem naprawdę dziwakiem, matka ma rację. Musisz przyzwyczać się do mnie, tak jak ja oswoiłem się z ikarskimi iluzjami.

Nie usiadła, lecz przyklekła, a jej sylwetka w nienaturalnie wygiętej pozycji zarysowała się jak rzeźba na ciemnoniebieskim tle jeziora.

– Nie potrafię improwizować – powiedziała. – Gdybyś nie przyszedł, nie włączyłabym kolorofonu do swego programu. Po prostu chciałam ci się pokazać.

– Byłaś piękniejsza od wszelkiej muzyki.

– Ale concertino napisałam dla ciebie – mówiła dalej, jakby nie słyszała komplementu. – I śpiewałam je dla ciebie, jestem przekonana, że jest dobre, choć tobie się nie podoba.

– Bardzo lubię „Narodziny Ikara” – powiedziałem i już miałem na ustach, by powiedzieć jej, żeby przestała mnie pytać, ponieważ nieuchronnie dojdziemy do mojego chromosomu Y.

– Nie, nie podobają ci się moje koncerty. Dlaczego nie lubisz nawet moich pieśni?

– Lubię – zaproponowałem, ponieważ chciałem okazać trochę dobroci: pragnąłem jej i dlatego pragnąłem być dobry dla niej.

– Nie, nie podobają ci się, wiem o tym.

– Za to innym się podobają. To ci nie wystarczy?

– Nie wystarczy. Jak zatem... mogę ci się podobać?

– Ponieważ istniejesz poza swoją muzyką – odparłem na chybił trafił.

– Zenonie, czy jesteś o tym przekonany? Tak, z pewnością jesteś, dlatego przyszedłem do ciebie... – Nagle to westchnienie jak jęk nieśmiałej nadziei przeszło w rozpacz: – Zenonie, jestem kompozytorem, którego

muzyki nie ma kto słuchać!

Zdrętwiałem od bezmiaru tej goryczy. Co chciała powiedzieć? Czyżby знаła tajemnicę, jaką mi mój nauczyciel powierzył dziś rano? Czy tylko wyczuwała to wyostrzoną wrażliwością artysty? Pospieszyłem z wątpliwym pocieszeniem:

– Nie masz racji, Ikarzycy kochają cię. To, że na koncercie było mało ludzi, nie ma żadnego znaczenia. Inni słuchali cię z poliwizorów. Nie mają czasu, by chodzić na koncerty, nie mają już w ogóle wiele czasu dla sztuki, ale odczuwają specjalną potrzebę słuchania cię...

Nie słuchała mnie. Wsparłszy ręce na kolanach, pochyliła głowę i jakby spowiadała się.

– Chciałam zawrzeć w mojej muzyce cały nasz los, wszystko. Lecz odczuwam go tylko jako tragedię. Napiszę teraz pieśń o tym, co przeżywam, zaśpiewam ją zaraz i będzie ci się podobała... Mam już kilka takich pieśni, do różnych starych tekstów, kiedyś ci je pokażę... ale nie wolno mi pisać smutnych pieśni, smutne pieśni muszą pozostać zamknięte w ziemskim sercu człowieka. Jak mogę śpiewać o samotności, o porzuceniu, o odczuciu odtrącenia mnie jako niepotrzebnej, gdy... Nie, nie wolno nam śpiewać o niczym prócz tego, jak potężny jest człowiek i jak dzielnie walczy z kosmosem.

– Dlaczego drwisz z siebie? – odwróciłem się na łokciu, gotów do sprzeczki.

– A z kogo mam drwić? – odparła apatycznie.

– Z tych, którzy narzucają ci to, co jest sprzeczne ze sztuką.

– Nikt niczego mi nie narzuca.

– Czyli sama to sobie narzucasz? – krzyknąłem gotów niemal uderzyć ją, ponieważ oznajmiła to z pychą wybranki.

– Sama. Dyktatora rodzą okoliczności, Zenonie. Najpierw jednak staje się dyktatorem dla siebie. Jest pierwszym niewolnikiem dyktatury.

Triumfowałem, ponieważ usłyszałem wreszcie to słowo od Ikarczyka starego pokolenia.

– Czyli przyznajesz, że na Ikarze istnieje dyktatura!

Z pewnością uśmiechnęła się z macierzyńską wyrozumiałością. Nie widziałem tego w ciemności, lecz z pewnością uśmiechnęła się właśnie tak.

– Tak. Na Ikarze mamy tysiąc dyktatorów. I tysiąc niewolników.

Niezłomni byli ci Hidalczycy, ale dorównywałem im w niezłomności...

– Tak, wszyscy jesteśmy dyktatorami.

Przysunęła się do mnie na kolanach, objęła mnie i powiedziała

najzwyczajniej w świecie:

– Ty nie jesteś, mój chłopcze. Dlatego cię kocham. – Lecz nie było to dla mnie pociechą.

– A dlaczego ja kocham ciebie, skoro nienawidzę dyktatorów?

– Nie kochasz mnie.

Byłem tak wstrząśnięty, że mój sprzeciw wypadł nieprzekonująco.

– Jak możesz tak twierdzić...

– To nie miłość, Zenonie – wyjaśniła tak samo zwyczajnie i ze smutkiem. – To dążenie do poznania tego, co mężczyzna otrzymać może tylko od kobiety. To także potrzeba matki, przed którą możesz się wyplakać, gdy jesteś samotny i jest ci źle, i gdy nie możesz udźwignąć własnych tajemnic. Nie wiem, czy będę dla ciebie dobrą żoną, ale może będę dobrą matką.

Zdecydowanym ruchem, jakby przestraszona, cofnęła ręce z moich ramion, potem położyła się na plecach w trawie...

Rozmyślałem. I odpędzałem myśli, które przeszkadzały mi ocknąć się z odrętwienia. Dziwiłem się. I kpiłem z siebie za to, pytałem, a nie chciałem pytać. I znowu jak uwięziony ptak miotałem się w klatce uwarunkowań Ikara.

Co wiedziała, a czego nie wiedziała? Sama zapragnęła mnie, czy też przysłała ją rada kontrolna – Terin i Varius Lotz? Jeśli szukałem w niej matki, jakiego męża znajdzie we mnie? Czy też przygnały ją nieubłagane prawa małoliczebności nie oferujące żadnego wyboru, żadnej swobody? Ale powiedziała, że mnie kocha! Czyżby i ona potrafiła kłamać, czy też było to także owo fatalne podporządkowanie się Ikarczyków przemysłanym, naukowo uzasadnionym także w najintymniejszej sferze wymogom, tej samej dyktaturze, której zadaniem było zagwarantowanie bezpieczeństwa galaktycznej podróży?

– Zaśpiewać ci coś? – odezwała się Majola jakby z bardzo daleka.

– Nie mam ochoty podbijać kosmosu z pomocą twoich pieśni! – wykrzyknąłem i przypadłem twarzą do trawy, by nie widzieć Majoli.

Zaśpiewała jednak. Z początku cichutko, drżącym głosem, potem, nie wykorzystując siły swego doskonale wyszkolonego głosu, który teraz wolał zapłakać, zdołała zapanować nad nim. Nie rozumiałem słów, ponieważ były w nie znanym mi ziemskim języku, lecz melodia jakby rozbrzmiewała we mnie samym. Ogrom nagromadzonego bólu i tęsknoty wzbierał we mnie i znalazł wreszcie upust, zdając się zalewać wszystko wokół, las, Ikara i cały bezmiar czarnej próżni wokół niego. Czułem, że jeszcze chwila, a rozplaczę się. Przymknąłem oczy i popłynąłem na tych

gorących wodach, one zaś porwały mnie dokądś i czułem, że jest to miejsce, do którego dążyłem przez całe życie.

Palce moje długo wędrowały po trawie, aż spotkały się z ręką Majoli.

– Ty... ty naprawdę...

Nie pozwoliła mi znaleźć słów.

– To nie moja pieśń, Zenonie... To prastara pieśń Ziemi. Nie potrafię komponować takich pieśni. Zresztą nie ma ich już kto słuchać. Ani tam, ani...

I rozplakała się.

Tak, wiedziała, że Ziemia nie słucha już naszych pieśni! Z pewnością znali „tajemnicę” także inni – wszyscy, którzy bacznie śledzili drogę Ikara wśród gwiazd. Łatwo odkryli ją, gdyż nie byli profanami jak ja, nie przestawali jednak ukrywać jej jeden przed drugim. Zamknęli ją w swych sercach, by jak dawniej wierzyć w zwycięstwo, dumni i piękni wysłannicy ludzkości. Czyż mógł ich przerazić jakiś niewydarzony chromosom?

Po raz pierwszy widziałem płaczącą Ikarę. I zamarłem, ponieważ płacz ten wydał mi się czymś w rodzaju dalszego ciągu pieśni. Potem, drżąc na całym ciele od jakiegoś triumfu, od przecucia, że dotarłem do czegoś, do czego dążyłem od pierwszego życiowego porywu, rzuciłem się ku Majoli i ująłem jej twarz w swe zziębnięte dłonie. A ona nie mniej spontanicznie objęła mnie i zawołała tak, że oddech jej zalał mnie falą gorącą:

– Nie opuszczaj mnie, Zenonie! Proszę cię, nie opuszczaj mnie! Pomóż mi żyć!

Pomóż mi żyć – było to zaklęcie, które przeobraziło mnie. I kiedy później rozmyślałem nad tym – rozmyślałem bardzo długo – dochodziłem jakby także prawdy o sobie samym. Być może, iż szukałem w niej również matki, by wypłakać przed nią swą rozpacz, z pewnością jednak bardziej szukałem kobiety, która potwierdziłaby, że jestem normalnym mężczyzną, nie zaś chybionym eksperymentem. W owej czarownej chwili Majola dała mi to właśnie, wypłakując przede mną własną tragedię, szukając we mnie męskiej opieki. W tej chwili nie była Ikarą, lecz upragnioną Ziemią. Kobieta widać potwierdza swoją kobiecość wtedy, gdy zdoła dowieść nam, iż jesteśmy prawdziwymi mężczyznami.

– Dlaczego miałbym cię opuścić? – nie dowierzałem wówczas. – Nigdy... nigdy cię nie opuszczę!

Nagle pośród nieudolnych pieszczot jakimś dziwnym wybrykiem wyobraźni zobaczyłem Helianę. Widziałem jej ucieczkę od nas, choć stała o krok ode mnie, widziałem jej pełne niewytłumaczalnej nienawiści oczy,

przedtem ukryte w ciemności, i odczułem całą głębię tej nienawiści... nie, to nie było przywidzenie, było to bardziej plastyczne i rzeczywiste niż jakikolwiek obraz holograficzny, niż wszelka rzeczywistość, było jakimś nadwidzeniem. Z rozpaczą zacząłem całować moką twarz Majoli, by nie widzieć tamtej.

Tak zaczęła się moja dziwna, pełna udręki miłość do Majoli Beni.

Tak stara jest nasza Ziemia,  
że nie ma na niej miejsca na nadzieję?  
(z drugiej starej pieśni,  
którą śpiewała mi Majola Bem)

## Poemat o szczęściu

### 1

Niedługo trwał mój sen o potędze w objęciach Majoli Beni, mimo to na całe lata zdołała mnie odciągnąć od zamiaru powtórzenia lotu Alka Derego, stawiając przede mną wciąż nowe problemy, podsycając moje rozterki. Może to i prawda, że ukochana kobieta czyni z mężczyzny śmiałka, jak śpiewa się w pieśniach, kochająca żona zaś bez wątpienia czyni go nieśmiałym i niepewnym.

Kochała mnie, jak kochają zapewne jedynie dojrzałe kobiety, podobna miłość wymaga bowiem i doświadczenia, i nadawania miłości sensu przez mądrość lat, i niezaspokojenia podsycanego przeczuciem, że jest to miłość ostatnia. Była jednak Ikarką, a to przede wszystkim oznaczało: godzina pracy przy systemie odżywczo – nawadniającym parków, godzina pracy nad dziennym programem studyjnym dla poliwizji, obowiązkowa dla wszystkich godzina pracy fizycznej, dwie godziny zajęć z dziećmi i uczniami solistami, godzina z muzykami amatorami, cztery godziny poświęcone na komponowanie lub ćwiczenie głosu i palców. W pozostałym czasie potrafiła zmieścić całą działalność koncertową Ikara, działalność społeczną o charakterze ogólnym, zapoznanie się z najnowszymi problemami naukowymi, sen... i mnie. I nigdy więcej nie widziałem jej już cierpiącej i zrozpaczonej.

– Majolu – wyrzucałem jej – nie kochasz mnie.

Wtedy wydymała swe kreolskie usta z tym samym niedowierzaniem, z jakim dzieci przyjmują niesprawiedliwość dorosłych. – Majolu – wrzeszczałem – nie kochasz mnie!

A ona napisała „Poemat o szczęściu”.

Na premierowym koncercie Ikarczycy siedzieli pół godziny oszołomieni, zanim ochłonęli i znaleźli siły, by klaskać. Ojciec, który przybył zapewne z mojego powodu, powiedział: – Jest coś w tej muzyce...

Był podniecony jak wówczas, kiedy z matematycznych formuł usiłował wyłowić nową, szczególnie interesującą, lecz ulotną jak motyl ideę.

Terin, przewodniczący rady kontrolnej, powiedział: – W poemacie, tym

zawarł się cały los Ikara. Muszę przyznać, że poczułem się mały przy Majoli. To ona dodała Ikarczykom sił do zakończenia podróży. Czy nie sądzisz, że...

Matka, uroniwszy z wdziękiem parę łez, wręcz rozpląwała się w zachwytach:

– Majola to geniusz! Dobry duch Ikara! Co za serce! Co tam serce, cała galaktyka, kosmos! Tylko w niej mogło wyrazić się tak potężne poczucie pełni... Och, brak mi słów!

Matka moja była nie tylko ładna, także mądra jak wszystkie Ikarki, znała się na muzyce i oczywiście potrafiła to wyrazić słowami.

– Nie, to doprawdy coś boskiego! Jak inaczej nazwać tę zdolność oddania w tak krótkim utworze wszystkiego, z czego utkane jest marzenie o szczęściu i jego osiągnięciu w mikroświecie tak konkretnego i jednocześnie wszechogarniającego ludzkiego serca. Zacząć od najtragiczniejszego akordu w ludzkim życiu, od poczucia bezsensu, by opuścić się na samo dno rozpacz, przejść po najbardziej śliskich lodowcach iluzji i nie bać się wejść przez bramy zachwyty, lecz nie tandetnego zachwyty, zrodzonego z iluzji, lecz tego zachwyty, który z pewnością rozbrzmiewa, gdy zlewają się z sobą dwie galaktyki i pośród fajerwerku miliardów gwiazdnych katastrof rodzi się nowa galaktyka...

– Mamo – przerwałem jej. – Czy masz zamiar powiedzieć już teraz wszystko, co postanowiłaś ogłosić jutro jako recenzję?

Ikarska demokracja pozwalała każdemu wypowiadać się na każdy temat – dysponował w tym celu godziną w centralnym programie poliwizyjnym.

– Wybacz, kochanie – zmieszała się z wdziękiem. – Rozumiem cię, oczywiście – topić w powodzi słów to, co stanowi dla ciebie najświętszą tajemnicę, wielkie przeżycie! Chciałam tylko wyrazić, jaka jestem szczęśliwa, że właśnie ty, mój syn...

– To nie moja wina, mamo, wierz mi! Nie ma żadnej mojej winy w tej muzyce, nie każ mi czuć się podle.

– Synku – ledwie zdołała wykrztusić. – Czy nie ma dla ciebie nic świętego?

– Nic, mamo – oznajmiłem z triumfem – Na naszym Ikarze – nie.

I oddaliłem się, lecz Terin dostrzegł mnie wśród nie rozchodzącej się jeszcze publiczności, tym razem zadziwiająco licznej.

– Zenonie, chciałem powiedzieć ci to przed chwilą: czy nie sądzisz, że poemat zasługuje, aby rada kontrolna poświęciła mu specjalną sesję naukową?



– Profesorze – odparłem z szacunkiem, wodząc wzrokiem po sali, która teraz do reszty mi obrzydła. – Ma pan zupełną rację. Jest właśnie tym idealnym środkiem, którego szukamy, by podnieść na duchu biednych Ikarczyków. Dzięki niej wreszcie przekonają się, jak są szczęśliwi i definitywnie przeobrażą się w owych zadowolonych prostaczków, jakimi od dawna pragną zostać.

I dobiłem go najsympatyczniejszym z uśmiechów.

Nocą Majola przytuliła się do mnie.

– Ty jedyny nie powiedziałeś mi nic o poemacie. Bardzo cię proszę, nie mów minie o nim!

– Dlaczego? Mogę przynajmniej przekazać ci opinię rady kontrolnej. Twój poemat ma wyjątkowe znaczenie propagandowo – ideologiczne. Jak nazywa się to w sztuce? W chwili, gdy przed Ikarem rysują się nikłe widoki na szczęście, oferujesz im swój osobisty sukces jako sugestią powszechnego szczęścia. Efekt dowodzi, że wyczułaś moment...

– Dlaczego jesteś taki okrutny? – westchnęła, lecz nie wypuściła mnie z objęć.

– Miałem zamiar sprawić ci przyjemność, nasza rada kontrolna z pewnością zgłosi twą kandydaturę do nagrody. Nie będziesz się gniewała, jeśli będę głosował zgodnie ze swym przekonaniem?

– Zenonie, czy nie będziesz głosował za naszym dzieckiem?

O tym zapomniałem: najwyższą nagrodę za wyjątkowe naukowe i nie tylko naukowe osiągnięcia stanowiło prawo posiadania potomka. W jednej chwili moje łóżko przekształciło się w jeden z tych awaryjnych pocisków, które w kilka chwil potrafią przenieść cię na drugi kraniec Ikara. Znalazszy się tam, dalej rozmyślałem o tym prawie, które niegdyś zmieniło naukowy system regulacji przyrostu w stymulator aktywności twórczej. Prawo było skuteczne, ale czy ludzkie?

– Zenonie – powiedziała Majola właśnie w chwili, gdy zadawałem sobie to pytanie – oddalasz się ode mnie.

Nie było sensu kłamać. Zresztą nic by to nie dało, skoro już to zrozumiała. Wsłuchałem się, czy płacze, lecz od tamtego pierwszego wieczoru nigdy nie płakała.

– I... z powodu dziecka staniesz przeciwko mnie?

– Nie wiem – odparłem impulsywnie. – Czeka mnie długa i niebezpieczna podróż.

Przez chwilę pomyślałem, że nie mniej nieludzka jest podobna obojętność wobec tego, co dla każdego Ikarczyka było sprawą największego szczęścia, lecz w tej chwili doświadczałem wręcz

fizycznego wstępu na myśl o tym gościu, który darował ci twoje przyrodzone prawo, z którego uprzednio zostałeś ograbiony.

Wstręt był tak silny, że nie obeszło mnie nawet, czy Majola będzie domagać się, bym ja był ojcem, czy poszuka innego partnera, albo też po prostu ucieknie się do klonowania. Nagroda bowiem dotyczyła jedynie wyróżnionego, który miał swobodę wyboru partnera według własnych wyobrażeń o nim. Oczywiście i ta swoboda była względna – ostatnie słowo należało do naszej rady z jej kontrolą genetyczną.

Majola nie reagowała, więc postanowiłem przyjść jej z pomocą:

– Rozsądek podpowie ci, że nie jestem najodpowiedniejszy. Zresztą i radzie kontrolnej nie będzie przyjemnie, gdy na Ikarze pojawi się jeszcze jeden chromosom zła.

Powiedziałem to oczekując, że rzuci się ku mnie, by w powodzi łez i okrzyków zapewniać, że jedynie miłość ma prawo decydować w tych sprawach, że nie obchodzą jej żadne zalecenia genetyczne, że gotowa jest nawet wyrzec się macierzyństwa, jeśli zabronią mi ojcostwa. Ale powiedziała:

– Jesteś dziwnym chłopcem. Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego tak bardzo cię kocham.

– Jeśli zrozumiemy nawet to – odparłem – jeśli zrozumiemy, dlaczego kogoś kochamy, wówczas wszystko definitywnie straci sens. Nie nazywaj jednak swego uczucia miłością! Kochacie tylko siebie i do pewnego stopnia swoją kontynuację, jeśli, oczywiście, nie jest zagrożona genetycznymi anomaliami...

Retoryka moich uczuć była jej jednak obca. Myśl o przyszłym macierzyństwie wyraźnie przesłoniła wszystko.

– Kochany głuptasku, przestań puszyć się swoim chromosomem! Kiedy wyruszasz?

Wobec takiej postawy musiałem zareagować stanowczo:

– Już niedługo. – Choć nie poczyniłem jeszcze żadnych kroków i nie wiedziałem, czy w ogóle zezwolą mi na lot; w najgorszym razie miałem zamiar wepchnąć się do jakiejś innej ekspedycji – po historii z Alkiem w każdej ekspedycji znajdował się obowiązkowo przedstawiciel rady kontrolnej.

Nie zapytała ani dokąd, ani na jak długo, ani z jakich powodów wyruszam, jak nie zapytałby żaden inny Ikarczyk, święcie szanując wolność jednostki, lecz Majola nawet nie chciała, bym sam jej powiedział. Mój gniew przeciwko Ikarowi wzbierał z nową siłą i z pewnością obróciłby się przeciw niej, gdyby nie obezwładniła go łagodnym

wyznaniem:

– Będę czekać na ciebie, Zenonie. Co do dziecka... nie wiem, czy doczekam się ciebie, może rozsądek lub niecierpliwość podpowiedzą mi inne rozwiązanie.

Będę jednak czekać na ciebie, ponieważ tylko ciebie potrafię kochać. Choć niczego, niczego nie rozumiesz. Po „Narodzinach Ikara” poemat jest najszczerzym utworem, jaki napisałam, kochanie. To poemat nie o szczęściu w ogóle, może niefortunnie go zatytułowałam, to pieśń o moim przeczuciu macierzyństwa. Pojawiło się nagle, nie wiem skąd, przecież najmniejszą szansę na podobną nagrodę ma kompozytor – cóż takiego wyjątkowego jest w stanie dokonać dla naszej ekspedycji! Pojawiło się, kiedy związałam się z tobą, i przerodziło w pewność, wbrew wszelkim argumentom rozumu. A Ikar widać zaakceptował je z powodu niezaspokojonej potrzeby dawania życia, a może i on coś przeczuciuwa, nie wiem.

Wróciłem z drugiego krańca Ikara, by na powrót wziąć w ramiona tę zdumiewającą kobietę, która śpiewnie szepnęła mi do ucha jak przedtem:

– Wiem, wiem, nie mów nic!

I nic nie powiedziałem, w duchu jednak mówiąc sobie wiele rzeczy, przede wszystkim, że zrobię, co tylko możliwe, by zaludnić Ikara przeklętym chromosomem, by choć trochę stał się bardziej ludzki.

## 2

Rada kontrolna uczyniła wszystko, aby zjawisko „Poemat o szczęściu” rozdęte zostało do wymiarów niezwykłego wydarzenia. Wątpię, czy poświęcono by tyle uwagi w ogólnoinformacyjnej sieci Ikara spotkaniu z inną cywilizacją czy też szczęśliwemu powrotowi na Ziemię. Sam pierwszy koordynator wygłosił specjalną mowę – nie pamiętam, kiedy czynił to ostatnio. I on, i piątka jego kolegów z piątki koordynatorów coraz rzadziej pojawiali się przed ludźmi i coraz krócej przemawiali – zazwyczaj sprowadzało się to do uzasadnienia jakiegoś nowego zarządzenia. A teraz przemawiał całą godzinę, jakby za wszelką cenę usiłował przekonać Ikarczyków, aby byli szczęśliwi.

Z uroczystej sesji rady kontrolnej oczywiście uciekłem. Porozmawiałem wstępnie z większością jej członków, przekonałem się, że sprawa nagrody jest przesądzona i zbędna jest zarówno agitacja, jak udział w głosowaniu, zaproponowałem więc Redstarowi, że przejmę jego dyżur. Loni miał podstawy kpić ze mnie co niemiara, lecz po zawarciu naszego

przymierza już nie wszczynął ze mną sporów. Terin także nie protestował, kiedy go o tym powiadomiłem.

– Tak, tak, Zenonie, znajdziesz się w kłopotliwej sytuacji. – Milczał chwilę, potem dodał: – Muszę oznajmić ci coś przykrego. Proszę nie mieć specjalnych nadziei na ojcostwo.

– O tym rozstrzygnie Majola – powiedziałem powściągliwie.

– Obawiam się, że nie ona będzie decydować w tej sprawie. Ty, Zenonie, jako członek rady kontrolnej najlepiej...

– Nie mam obowiązku liczyć się z obskurantyzmem. Bardziej interesuje mnie pańska opinia, profesorze.

A przecież już swą uwagą dał mi do zrozumienia, jakie jest jego stanowisko, w duchu jednak wypowiedziałem już wojnę swemu nauczycielowi i szefowi i pragnąłem jedynie zmusić go definitywnie do samookreślenia. Tylko jego szczere przywiązanie do mnie wciąż przeszkadzało mi zaliczyć go całkowicie do obozu moich przeciwników.

– Moja opinia nie jest jeszcze ukształtowana.

– Czyżby miał pan wątpliwości? – zakpiłem prowokacyjnie.

– Mam – odparł z łagodnością starożytnego mędrca. – Jako uczonego skłonny jestem sądzić, że jedno pańskie dziecko w niczym nie zagrozi Ikarowi. Jako przedstawiciel rady kontrolnej zobowiązany jestem unikać niebezpiecznych precedensów. Tak czy owak zagadnienie to rozpatrzymy wspólnie z astronawigatorami, a jak pan wie, większość z nich opowiada się po stronie pierwszego koordynatora.

Nietrudno byłoby wywrócić Ikara do góry nogami – przypomniałem sobie z gorzką ironią jego słowa z poprzedniej rozmowy. Niech tam, pierwszą bitwę przyjdzie przegrać, nie znaczy to jednak, że mam się jej wyrzec. Walkę trzeba przecież od czegoś zacząć, a byłem wystarczająco bezceremonialny, by wszcząć ją z osobistych przesłanek, nawet ryzykując, że zmać szczęście Majoli.

Ikarczycy przysłuchiwali się w domach i miejscach pracy uroczystej sesji, a ja wyłączyłem głośnik ogólnoinformacyjnej sieci i pogrążyłem się w rozmyślaniach, jak przerodzić pierwszą nieuchronną klęskę w przyszłe zwycięstwa. Siedziałem i szacowałem siły przeciwnika, oceniałem każdego z osobna, sprawdzałem nawet w kolektorach medycznych dane z ostatnich przeglądów psychofizycznych, z ostatnich testów, szukając słabych punktów. Wreszcie wiedziałem wszystko o piątce koordynatorów – że to nie ludzie, lecz niezawodne roboty do wydawania rozkazów, precyzyjne narzędzie władzy, bez reszty oddane programowi Ikara. Dlatego Ikarczycy regularnie głosowali na nich. W określonych

interwałach wymieniali tylko część rady astronawigatorów, w najmniejszym jednak stopniu nie ograniczyło to ich dominacji w niej. Ikarczycy czuli się tak wygodnie i bezpiecznie pod rządami tej piątki – trzech mężczyzn i dwu kobiet – że nawet rada kontrolna utraciła rzeczywistą władzę nad nią, a Terin, jej przewodniczący, z urzędu wyposażony w pełnomocnictwa równe pierwszemu koordynatorowi, łącznie z prawem weta, z biegiem czasu stał się milczącym asystentem nierozłącznej piątki.

Jaka była tego przyczyna? Z pewnością nie było innej, prócz, ogólnie biorąc, bezawaryjnej dotąd podróży Ikar. „Dojrzewają straszne wydarzenia, których się boję” – powiedział do mnie Terin w tamtej znaczącej rozmowie. Lecz jakie? Nie dostrzegałem niczego groźnego, może prócz tego, iż w samej policji na Ikarze pojawiło się dwu buntowników. Co wiedział nasz przewodniczący, o czym ja nie wiedziałem? Czy też było to tylko trwożliwym przeczuciem? Gdybym znał każdego Ikarczyka tak dobrze, jak on, może zrozumiałbym, czego się bać. Dla mnie, niestety, większość Ikarczyków była tylko nazwiskami w służbowym kolektorze, większości z nich latami nie oglądałem na oczy, znałem bliżej tylko ludzi z mojego sektora. A widać należało prześwietlić człowieka po człowieku, by znaleźć słabe miejsca. Choćby taki Salis Gordal...

Przeglądając akta członków rady astronawigatorów, wywołałem na ekranie kolektora kolejne nazwisko, nie należące jednak do ekipy rządzącej. Salis Gordal – zwykły obywatel planety – gwiazdolotu Ikar. Z profilu en face, w całej postaci, na ostatnim zdjęciu strasznie wychudły, z zapadniętymi policzkami i powiększonymi oczyma. I z brodą! Kto pozwolił temu obywatelowi nosić brodę! W hełmie... nie, on nie używa skafandra, jest inżynierem-konstrukтором, specjalność – robotyka, druga specjalność – systemy holograficzne, trzecia – techniczne wspomaganie sond wywiadowczych, także członek ekip dalekosiężnej łączności i automatyki kontrolnej przy głównych silnikach. I jeszcze zespołu psychologii teoretycznej? Aha, jako konstruktor robotek! Tak, przeciętny obywatel Ikar z przeciętnym obciążeniem naukowym i zawodowym. A mimo to znalazł czas i chęci, by zapaść sobie brodę?

Ta broda najwyraźniej ucieszyła mnie, jakbym dojrzał w jej wyjątkowości nieoczekiwanego współnika. Człowiek zapragnął zmienić przynajmniej siebie, skoro nie może zmienić tego, co go otacza. Czy nie był to początek buntu przeciw panującemu porządkowi? Ostatni test sprzed trzech miesięcy... Znak obserwacji?

Na drugiej połowie ekranu wolno przesuwiał się, powiększony do możliwości wzroku, mikrozapis ostatniego przeglądu. Wszystko w normie, włącznie z testem psychologicznym, prócz spadku wagi, dołączony test uzupełniający – również z wynikiem w normie, a mimo to Varius Lotz zarządził specjalny nadzór. Też coś, z powodu brody! Nie, to nie w stylu Lotza: Miałem ochotę wywołać inżyniera na wizjofonię, należało jednak porozmawiać z Lotzem: kolega Hares, w którego sektorze znajdował się Gordal i który prowadzi obserwację, nie powiedziałby mi nic – obowiązywała go ścisła tajemnica. Ciekawa postać ten Gordal – ledwie pamiętałem go z rzadkich spotkań, a broda zmieniła go nie do poznania, uczyniła dla Ikarczyków dziwnym i obcym...

Trzask i kolektor wyłączył się sam. Już sięgałem ponownie w stronę pulpitu, by cofnąć dossier, w ostatniej jednak chwili powstrzymałem się. Moje zainteresowanie Salisem Gordalem przerodziło się w końcu w kontemplację jego brodatego oblicza, wszystko we mnie przeradzało się w smutek i destrukcyjną, choć świadomą kontemplację. Nie, w takim stanie nie sposób pracować, lecz skoro zacząłem kontemplować gęby Ikarczyków, jedźmy dalej!

Satik Omar Dada! Temu Arabowi daj tylko matematykę! Choćbyś wysadził go na jakiejś pustej planecie razem z jego komputerem matematycznym, nie zauważy, że nie jest już na Ikarze. Poza tym sympatyczny człowiek – nie ma czasu obnosić swej urody i dumy – uganianie się za wzorami i formułowanie praw przeszkadza mu z pewnością delektować się tym, że jest wybrańcem. Dossier Satika było wytworne i przejrzyste jak rozwiązane równanie. Nawet przy pobieżnym przeglądzie rzucało się to w oczy...

Dolia Alva... Palec od razu omijał to nazwisko. Dolia-Moreni! Heliana! Moja dziewczynko, zupełnie o tobie zapomniałem! Co porabiasz, ruda wiewióreczko? Dlaczego jesteś taka wątła i blada? I dlaczego zrezygnowałaś ze mnie, odchodząc do Variusa, do szefa? Czyżby Varius postanowił wszystkich objąć obserwacją? Nie wyjaśnione anomalie w cytoplazmie ciałek krwi... tak... reakcja Stachowa ujemna... intensywność bioprądów i siła pola magnetycznego mózgu... hm, chyba z dziesięć razy większe od normalnego! Co się z tobą dzieje, panienko? Nie zaliczone minimum z kosmologii, biologii, antropologii... a dlaczego to się nie uczymy? Czy nie zakochaliśmy się przypadkiem? Czy dlatego odmówiłaś zgody na test psychologiczny, Heliano Dolia-Moreni?...

Dopiero gdy wypowiedziałem jej imię do naszego potężnego wizjofonu, ocknąłem się, ponieważ nie wiedziałem właściwie, po co ją

wzywam, ani co jej powiem. I choć wyłączyłem go natychmiast, wszystkimi kanałami biegło już jej zaszyfrowane imię, automaty błyskawicznie przekażą je do domów, gabinetów naukowych, sal sportowych, wszelkich miejsc publicznych i prywatnych, aż znajdą ją, a jeśli nie odnajdą, w ściśle określonym czasie, przerwą nawet nadawanie uroczystej sesji, przerwą wszelkie rozmowy i głośniki na całym Ikarze ogłoszą, że poszukuje jej dyżurny posterunek rady kontrolnej.

– Dzień dobry. Słucham.

Podskoczyłem, jakby pojawiła się niezauważalnie za moimi plecami. Przeklęty automat, tak szybko...

– Heliana... Heli... – speszyłem się. – Co porabiasz?

– Dziękuję, doktorze Balow. Czuję się dobrze.

Poznała mnie od razu po głosie – nie włączyłem aparatu dwustronnej wizji.

To wzruszyło mnie, a jeszcze bardziej wzruszył mnie jej profil. W chwili gdy wymówiłem jej imię, odwróciła twarz, jakby nie chciała, bym patrzył na nią albo bała się napotkać mój wzrok. Teraz widziałem tylko delikatny zarys dziecinnego uszka, blady rumieniec na wydatnej kości policzkowej, błyszczący koniuszek nosa i kącik równie bezkrwistych warg. Drugą część ekranu wypełniał kędzierzawy, złotopomarańczowy płomień jej włosów.

– Skąd się zgłaszasz?

– Z domu.

– Nie masz ochoty na chwilkę rozmowy?

– O czym? – odpowiedź była po dziecięcemu opryskliwa.

– Na tematy medyczne – odparłem z wymuszoną wesołością.

– Jestem zdrowa. Czym mogę jeszcze panu służyć? – wciąż mówiła mi „pan”, lecz tak nieuprzejmie, jak nie pozwoliłby sobie nikt z pokolenia rodziców.

– Dawno się nie widzieliśmy...

– Teraz także pana nie widzę.

– Dlatego się dąsas? Przepraszam! – roześmiałem się i dotknąłem przycisku, aby i ona mogła mnie ujrzeć. – Oto jestem! – Ale nie chciała na mnie patrzeć. Oferowała mi tylko ucho – wzruszająco małe i kształtne.

– Heli, mimo wszystko dlaczego zrezygnowała pani ze mnie... jako lekarza? – przeszedłem i ja na „pani”.

– Czy tylko o to chciał mnie pan zapytać?

Odpowiadając pytaniem na pytanie, wyraźnie chciała ukryć zmieszanie, ale wydało mi się, że była gotowa również dać odpowiedź – odpowiedź,

której bałem się usłyszeć.

– Chciałem... – powiedziałem – chciałem raczej zapytać, dlaczego mnie pani unika? Przecież jestem także pani ojcem chrzestnym!

Na ustach miałem jeszcze przypomnienie: „Kiedyś powiedziałaś mi, że ze wszystkich najbardziej kochasz mnie”, lecz nie powiedziałem tego. Miała wtedy sześć lat, smarowałem jej otarte kolanko viraplastem i gdy nachyliłem się, by podmuchać na nie, aby lek prędzej zastygł – jak lubią dzieci – pocałowała mnie w policzek i nieśmiało szepnęła: „Ciebie, Zenku, kocham najbardziej”. Sześć latek jednak to nie czternaście. Teraz milczała.

– Nie przyjdzie pani?

– Jeśli nie poleca mi pan tego jako członek rady kontrolnej, nie.

– A gdybyśmy się spotkali gdzie indziej?

– Po co?

Zmieszany palnąłem:

– Czuję się odpowiedzialny za panią, Heli, i... i... zależy mi na pani!

Profil lekko drgnął, odwrócił się troszeczkę ku mnie, lecz zaraz przybrał poprzednią wyniosłą pozę.

– Jeśli tak bardzo zależy panu na mnie, proszę poprosić Lotza, by przestał mnie szpiegować. Jestem zdrowa i nie potrzebuję opieki.

– Powiem mu. Ale może jest coś, czym nie chce się pani z nim podzielić. Oboje jesteśmy przecież z tego samego pokolenia urodzonych na Ikarze – powiedziałem niemal błagalnie.

– Nie jesteśmy z tego samego pokolenia, doktorze Balow.

– Nie rozumiem pani, Heli...

– No patrzcie! Może już się wyłączę? Lepiej posłuchać pańskiej uroczystej sesji.

– Heli – zawołałem, ale przestraszyłem się własnego głosu i dodałem szeptem: – I ja potrzebuję kogoś bliskiego.

Odwróciła się, popatrzyła na mnie z ponurym blaskiem w oczach, potem przepadła w zimnej, błękitnej bieli ekranu. Powtórzyłem jeszcze dwa razy: I mnie potrzeba kogoś bliskiego... wsłuchując się z bezmyślnym uporem w to zapewnienie, które nie wiadomo skąd przyszło mi na myśl. Przecież miałem Majolę Beni – najbardziej pożądaną obecnie kobietę na Ikarze, miałem...

Co miałem? Miałem kiedyś dziecko, które uważałem za swoje, a teraz nie mam go. Jak czują się moi rodzice i Terin, kiedy odnoszę się do nich w podobny sposób? Ale za co Heliana tak mnie nienawidzi? Czyżby sądziła, że przeszedłem na stronę tamtych, – na stronę władców Ikara? Ja, który nienawidziłem astronawigatorów i pozostałych starców? Czyżbym



w jej oczach wyglądał jak oni? To byłoby straszne. Muszę porozmawiać z Lotzem. I o brodzie muszę porozmawiać, i o tym, jakie wydarzenia dojrzewają na Ikarze, co zaś do tej smarkuli...

Moje palce bębniły po klawiaturze wizjofonu, lecz nie domyśliły się, by go wyłączyć. Heliana wyłączyła jedynie wizję, z pewnością usłyszała mój szept. Co sobie wmówiła, głupia? Najwyższy czas zająć się poważniej młodym pokoleniem! Muszę ich pozyskać, jeśli chcę, by przyszłość Ikara należała do mnie.

Lecz czego właściwie chciałem? Zarzucałem koordynatorom i astronawigatorom gwałcenie demokracji, ingerencję we wszystko, a sam jakbym także dążył do władzy dla samej władzy. Heliana wyczuła to we mnie, dlatego tak... Upajam się funkcją i władzą kontrolera, ale to mi nie wystarcza, chcę zmienić życie ludzi, nie tylko utrzymać je w ramach ustanowionego i zatwierdzonego przez tęższe umysły programu. Ale po co właściwie chcę je zmienić? Czyż wszyscy dyktatorzy niegdyś na Ziemi nie dochodzili do władzy i nie nadużywali jej zawsze w imię tego, że chcieli zmienić życie ludzi na lepsze, pragnąc tego w większości wypadków szczerze? Szukam sprzymierzeńców, kreślę plany bitwy, a co lepszego mam do zaproponowania?

Siedziałem przed pulpitem roboczym dyżurnego kontrolera z poczuciem, że utraciłem w życiu punkt oporu – ale jakim oporem była dla mnie Heliana, nie bardzo wiedziałem. Mogłem wymienić wiele rzeczy, zebrane jednak razem, nie tworzyły niczego, co choć trochę przypominałoby sensowny program życia i walki. Przez wiele jeszcze lat miałem pytać tak w chwilach bezradności, widać nie przestawałem być nie douczonym smarkaczem, z dziedzicznie buntowniczym charakterem, który sam nie wiedział, czego chce.

Strzeliło mi wówczas jeszcze do głowy, by wymodelować zachowanie Heliany w komputerze psychologicznym, może podałyby mi mówiący coś algorytm jej stosunku do mnie, lecz zabrakło mi sił, by odgrzebywać z pamięci wszystkie dotychczasowe kontakty z tą dziewczyną – wspomnienie ich sprawiało mi ból... zresztą zakończyła się właśnie uroczysta sesja. Wszedł Loni Redstar i powiedział: „Gratuluje!” Drań kpił zapewne, ale wyczytasz coś z tej gęby robota! Odpowiedziałem: „Nawzajem” i wyszedłem szukać Variusa Lotza.

Zajrzałem do jego programu i już wiedziałem, gdzie go szukać, lecz

wybrałem nieodpowiedni moment, by pokazać się na ulicach Ikaru. Spotykałem wracających z uroczystej sesji, którzy usiłowali mnie zatrzymać, by złożyć mi gratulacje, albo machali do mnie z daleka, doprowadzając mnie tym do wściekłości. Nie miałem sposobu uciec jakimś indywidualnym środkiem przewozu, ponieważ Lotz znajdował się w pobliżu. Jego czas, jak czas każdego Ikarczyka, był zaprogramowany z dokładnością do jednej minuty – my z rady kontrolnej stawaliśmy się bardzo podejrzliwi, gdy ktoś naruszał program dnia, obojętnie, czy skracał, czy wydłużał swój czas pracy. Lotz wyszedłszy z sesji, powinien już znajdować się w gabinecie zastępcy przewodniczącego, gdzie za pół godziny będzie uczestniczył w komisji robotechnicznej. Te pół godziny właśnie postanowiłem mu zabrać, by wypytać go o tego z brodą i o Helianę, i dlaczego nie jestem szczęśliwy z Majolą Beni, i co w ogóle myśleć o sobie... Chciałem pytać, pytać, pytać, ponieważ wszystko we mnie formowało się w jakieś pytania, z pewnością głupie i śmieszne, lecz – bardzo bolesne, i musiałem je komuś zadać, komuś, kto może i wyśmiej mnie, lecz którego śmiech mnie nie obrazi, ale przejaśni coś w moim umyśle i uspokoi.

Takim człowiekiem był dla mnie Varius Lotz. Potrafił kpić jak nikt na Ikarze, zwłaszcza z naszych dowodów, a przecież sam zaliczał się do najbardziej odpowiedzialnych osób, chociaż nie był jednym z trzydziestu starców jak mój ojciec i Terin, lecz z pokolenia Majoli i mojej matki. Jako drugi wiceprzewodniczący zarządzał trzema najważniejszymi sektorami, był także członkiem rady astronawigatorów.

Tabliczka z jego nazwiskiem jarzyła się zielono – znak, że można wejść. Dlatego nie czekając odpowiedzi na swój dzwonek otworzyłem drzwi, zresztą przychodziłem jako podwładny w czasie pracy. Ogromne pomieszczenie powitało mnie odpychającym blaskiem aparatury, jak tapety pokrywającej wszystkie ściany. Różnobarwne świetlne wykresy igrały na kwadratowych i okrągłych ekranikach, lampki wskaźnikowe tworzyły całe gwiazdozbiory, wśród których od czasu do czasu jak komety przelatywały długie sygnały świetlne, i pomyślałem, że trudno mi będzie zadawać pytania pośród tej mechanicznej scenerii, której nieustanny ruch zdawał się napępniać ogromną salę ogłuszającym trzaskiem.

A panowała w niej kosmiczna cisza i wśród tej ciszy jak fala podmuchu uderzył we mnie głos Majoli.

– Lotz, jest pan przerażającym czarownikiem, nie człowiekiem.

– Dziękuję – odparł Varius Lotz i jego śmiech wypełnił salę wesołymi dźwiękami. – Balow, proszę podejść bliżej, Majola chce pana o coś

zapytać.

Majola w czarnym gimnastycznym trykocie siedziała pośród ogromnego gabinetu-laboratorium na jakimś niewidzialnym dla mnie przedmiocie, a jej długie śniade nogi, nagie plecy i smukła piękna szyja, która teraz wolno odwracała się ku mnie, wydawały się bielsze w zestawieniu z trykotem i bezwstydnie prowokacyjne pośród całej tej maszynerii, kontrolującej część życia na Ikarze. Gdy odwróciła się jak ślepiec, który słuchem i naskórkiem pragnie rozpoznać, kto wszedł i gdzie stoi, odgadłem, że to nie ona we własnej osobie, lecz jej holograficzny fantom, pozbawiony właśnie radarów dotyku i słuchu, zdany wyłącznie na oko kamery. Podszedłem bliżej, lecz nie patrzyłem na nią, ale na Lotza, który podskakiwał jak dziecko w nadmuchiwym fotelu.

– Jestem niecierpliwa, Zenonie – rzekła swym śpiewnym głosem Majola. – Zwróciłam się do Lotza, by opowiedział mi coś z kuluarów sesji i... by zapytać go, dlaczego ty jedyny nie złożyłeś mi gratulacji. Przecież wiesz, że to nasza Pytia.

W jej wyrzucie był chyba smutek, lecz nie wyczułem go, ponieważ jej ciało wręcz porażało mnie swym bezwstydnym eksponowaniem się, zdając się krzyczeć wszystkimi krągłościami i załamaniem: oto przyszła matka, spójrzcie, czyż nie jest godna być matką, zachwycajcie się nią i dzielcie jej szczęście!

– I co odpowiedziała ci nasza Pytia? – zapytałem ochryple.

– Jest okropny! Zapytaj go sama, powiada, zaraz zadzwoni i wejdzie.

Ścierpłem, przypomniawszy sobie, że Varius Lotz był najtęższym parapsychologiem w naszym zespole, lepszym od nas wszystkich razem wziętych. Czy to on mnie wezwał, sugerując mi, bym zwrócił się do niego ze wszystkimi swymi pytaniami, czy też wychwycił je jako mój stan, przeczuwając moje przyjście? Gdy postawiłem sobie to pytanie, wszystkie inne pytania, które miałem mu zadać, natychmiast uleciały.

– Wybacz, Majolu – powiedziałem jeszcze bardziej ochryple. – Zastępowałem Redstara na dyżurze, wypadło coś pilnego...

– Wiem, że cały czas myślałeś o mnie – uprzedziła mnie z macierzyńską wyrozumiałością. – Ale bardzo chciałam...

Tu przerwał jej Varius Lotz, zrywając się z fotela, który odsunął się i przewrócił.

– Majolu, słowiku gwiazdny, pani młody małżonek przybył do mnie z ośmiuset pytaniami, a ja za osiemnaście minut mam ważną naradę, do której jeszcze się nie przygotowałem. Proszę nie przepraszać, wszystko w porządku.

Majola zatrzepotała wygiętymi, połyskliwie czarnymi jak jej trykot rzeszami, lecz woląla zareagować śmiechem na bezceremonialne wyproszenie. Potem w jednej chwili rozplęnęła się w przestrzeni. Tylko jej śmiech, zwycięski i szczęśliwy, jeszcze przez kilka chwil rozbrzmiewał mi w mózgu.

– Balow, to doprawdy hańba, gdy wszyscy myślą o szczęściu, myśleć o tragedii Ikarzyków! – zawołał Lotz przez ramię, ponieważ odszedł do jednego z pulpitów, by wziąć z niego jakiś szkic czy schemat i przyjrzeć mu się.

Podniosłem przewrócony fotel i zwałem się w jego powietrzne objęcia.

– Nie mogę przestać o tym myśleć, Lotz, i chciałbym raz porozmawiać poważnie...

– Zgoda. Wpierw jednak uzgodnijmy parametry naszej rozmowy, brak mi czasu na dłuższą rozmowę, zresztą to nie najlepsze miejsce...

– To właśnie sprawia mi największą trudność – powiedziałem z rezygnacją.

Milczał dłuższą chwilę i powinienem był się obrazić, ponieważ, wpatrzony w schemat, wyraźnie o mnie zapomniał przygotowując się do swej narady, lecz nagle poczułem w sobie taką niemoc, że nie miałem siły ani podnieść się, ani żałować, że przyszedłem.

– To niewątpliwie najtrudniejsze – powiedział z roztargnieniem. – Ale i najwspanialsze. Kiedy uda się ustalić dokładne granice wewnętrzne choćby tylko rozmowy między dwojgiem ludzi, można rzec, że ustaliło się parametry życia w ogóle. Starożytni mędracy upowszechnili maksymę: poznaj siebie, a poznasz świat. My jedynie odwróciliśmy ją: poznaj świat, aby poznać także siebie. I tyle! Poza tym w niczym nie staliśmy się mądrzejsi od nich. Odwróciliśmy tylko metodologię, gdyż rozwój nauk dał nam więcej środków na poznawanie zewnętrznego świata. Przy tym zupełnie zapomnieliśmy, że nieznanne na każdym etapie naszego rozwoju istnieje nie tylko poza nami, ale i w nas. Jako imperatyw wewnętrzny, jako religijny impuls czy też motor ewolucji, obojętne, jak to nazwiemy. Gdyby nie istniało w naszej naturze, musielibyśmy je wymyślić, jak niegdyś wymyślano różnych bogów...

Nie rozumiałem jeszcze, dlaczego mówi to wszystko, i podejrzewałem, że ma na myśli co innego, że w ogóle nie mówi tego do mnie.

– Jeśli już przewidywać jakiś poważny dramat na Ikarze, którego pan niecierpliwie wyczekuje, to może on wiązać się z wrodzoną zarozumiałością Ikarzyków, nie uznającą niepoznawalnego, jedynie nie

poznane. To znaczy brak im mitów. Bądź co bądź stanowią jakieś społeczeństwo, choćby w miniaturze, a trudno istnieć społeczeństwu bez mitów...

– Nie dostrzegłem w nich takiej potrzeby – powiedziałem ze zniechęceniem i goryczą, przypomniawszy sobie, jak pierwszy koordynator i Terin od ręki zlikwidowali mit poprzez ingerencję w pamięć Alka.

– Lecz pan, panie Balow, odczuwa potrzebę mitów, dlatego miota się pan między jednym i drugim...

Teraz powinienem się już obrazić. Wstałem, a fotel pode mną od razu wypełnił się, zajmując zwykły, idealnie gładki wygląd, jakby nikt nigdy nie siedział w nim.

– Majola powiedziała mi, że bardzo zależy panu na tym, aby dziecko było pana – powstrzymał mnie. – To również zdradza pańską potrzebę mitów. Nie tylko pana, oczywiście. Klonowanie zapewnia najbardziej bezpośrednią kontynuację jednostki, ponieważ stwarza dokładną kopię ojca lub matki, ale przecież nikt nie przedkłada go nad naturalne poczęcie, przy którym dziecko często w ogóle nie jest podobne do nas, lecz do jakiegoś dalekiego pradziadka. Oto znów głos mitu w nas, w tym przypadku – sacrum poczęcia, choć od dawna znamy jego prozaiczny mechanizm.

– Pan osobiście jest jego zwolennikiem czy przeciwnikiem?

– Zwolennikiem. Ponieważ mimo wszystko stanowi pewne sacrum. A podobne sacrum bywa motorem postępu.

– Zatem możemy kontynuować rozmowę – powiedziałem, wybacząc mu dotychczasowe bajki z demonstracyjną wielkodusznością. Roześmiał się głośno.

– Czy pan wie, panie Balow, dlaczego uchodzę za największego optymistę? Ponieważ skrycie wierzę w sacrum. Właśnie, może zostanie pan na naradzie? – dodał jakby znacząco.

– Będzie pan wyrokował o szczęściu Ikarczyków?

– Tym razem coś bardziej interesującego.

Wziął mnie pod rękę i poprowadził do drzwi, odprowadzając mnie, a może wyrzucając w swój nieobraźliwy sposób, tak jak przepędził stąd przed chwilą Majolę.

– Panie Lotz – powiedziałem do niego – niech wolno mi będzie zadać choć jedno z pytań, z którymi przyszedłem. Dlaczego poddaliście obserwacji Helianę?

– Hm, to też sacrum, o którym nie mam ochoty mówić!

Żartobliwym tonem dał mi do zrozumienia, że z powodu tajemnicy służbowej bądź z powodów osobistych nie powie mi nic więcej, lecz byłem wystarczająco natrętny, by nalegać:

– Wie pan, że Heliana to dla mnie jak własne dziecko. Czy jest coś więcej poza tym, co widnieje w jej kartotece?

– Pana zdaniem to mało?

Była to wyraźna kpina i powinna była mnie powstrzymać, dlatego nie zapytałem, co to za anomalie w cytoplazmie Heli.

– Ona prosi, by przerwać obserwację.

– Cóż, mogę to zrobić dla pana i pana miłego dziecka – powiedział otwierając drzwi wytwornym gestem. – Na marginesie, pamięta pan mit o Dedalu i Ikarze? Czy zastanowił się pan kiedyś, który z dwu był szczęśliwszy, a raczej czyj los był szczęśliwszy? Niezwykłe pytanie, prawda? Proszę zastanowić się nad nim i od niego zaczniemy wieczorem naszą rozmowę. Teraz proszę iść do Majoli, chociaż na chwilę proszę przewyciężyć siebie, bardzo proszę! Czekam na pana za pół godziny, będziemy omawiać pewien interesujący model Salisa Gordala.

Na zewnątrz spojrzałem na zegarek: w kwadraciku programu dziennego jak kropla krwi płonęła czerwona szóstka wskazując, że od dawna powinienem być u astrofizyków na cotygodniowej kontroli ich sekcji. Mogłem nie pójść i do Majoli, choć wątpliwe, czy poza mną ktoś na Ikarze pozwoliłby sobie zaniedbywać służbowe obowiązki. Właściwie, dlaczego tyle mi wybaczano? Czy uważano, mnie za niepoprawnego z powodu tego chromosomu?

Pytanie ani mnie nie zabolalo, ani nie obraziło – moja wrażliwość jakby przytępiła i winien temu był na pewno Lotz ze swymi paradoksalnymi dowcipami i powiedzonkami. Jeśli nie uciekł się, spryciarz, także do innych sposobów, dziwne zmęczenie, które przed chwilą tak nagle mnie ogarnęło i sparaliżowało wszelką chęć sprzeciwu, mogło być rezultatem hipnotycznej sugestii. Nie gniewałem się jednak o to i wślizgując się do pocisku szybkościowego, by udać się do astrofizyków, usiłowałem przypomnieć sobie, co dokładnie mi powiedział. Zza pozornego roztargnienia i błahej bajeczki przezierała po pierwsze – świadomość mojego stanu, po drugie – nie narzucające się, zamaskowane dążenie do upatrzonego celu, jakby wiedział, «e chwilę przedtem, zanim przyszedłem, kontemplowałem brodę Salisa Gordala i... nie, u naszego czarodzieja, Variusa Lotza, nie było niczego przypadkowego! Mam rozmyślać o Dedalu i Ikarze... dobrze, pomyślę i o nich, mój drogi Variusie, ponieważ jeszcze nie utraciłem wiary w twoją życzliwość i ponieważ

jestes wesołym człowiekiem, a także dlatego, że wierzysz w sacrum... I że odwołałeś decyzję o obserwacji. I chyba z tego właśnie powodu każesz mi rozmyślać o Dedalu i Ikarze. A do Majoli jeszcze nie mogę pójść, wybac, ale nie mogę! Może później zbudzi się we mnie to, co jeszcze ją kocha...

Potworne przyspieszenie wbiło mnie jak gwóźdź w pneumatycznie amortyzowany fotel kabiny pocisku transportowego.

#### 4

U astrofizyków jest zawsze wesoło. Gdy naciskasz sensor sygnalizacyjny, na ich drzwiach zapala się napis: „Wejdz, ale wiedz: są rzeczy tak złożone, że można o nich mówić tylko żartem!” Jeśli akurat nie przyjmują, zatrzyma cię inny napis: „Nauka jest dramatem idei, który nie zawsze wymaga widzów”. Oba napisy, jak się dowiedziałem, są parafrazą cytatów z Nielsa Bohra i Einsteina. Nie podejmuję się sądzić, czy przyzwoite jest wykorzystywanie do podobnych celów myśli naszych wielkich poprzedników, lecz jak powiedziałem, nasi astrofizycy są ludźmi osobliwymi.

Czy dlatego, że żąda się od nich czegoś, co z pewnością jest niemożliwe? Zresztą, nie żąda się od nich więcej ani mniej, niż żądało się od ziemskich astronomów i astrofizyków: to jest stworzenia zrozumiałego i dającego się wykorzystać praktycznie modelu wszechświata. A oni, jak ich ziemscy koledzy, wywiązują się z tego należycie – niemal co roku uszczęśliwiają nas nowym modelem, zawsze dokładniejszym i praktyczniejszym od poprzedniego. Z tym, że z góry wiadomo, iż następny będzie jeszcze bardziej dokładny i praktyczny.

Stojąc przed drzwiami, zastanawiałem się, usiłując zebrać po samotnej podróży pociskiem transportowym przerwane myśli, czy moi podopieczni astronomowie i astrofizycy są szczęśliwi. Newton może umierał szczęśliwy, może także Einstein... lecz po nich wszyscy wielcy fizycy stawali się bardzo szybko świadkami błyskawicznego i bezapelacyjnego obalania odkrytych przez nich prawd o wszechświecie. I coraz bardziej ulegała skróceniu średnia długość życia wielkich odkryć. Jak zatem być szczęśliwym, kiedy w chwili, gdy dokonujesz swego wielkiego odkrycia, wiesz, że za rok pojawi się ktoś, kto bezceremonialnie wymiecie twą pracę na śmietnik historii? Oczywiście -, może nazwą cię etapem w rozwoju, może ochrzczą twoim imieniem jakąś cząsteczkę elementarną albo którąś z asteroid wielkości arbuza, a może nawet jakąś ulicę w twoim rodzinnym mieście... jak tu nie być wesołym? Jak inaczej, niż przymuszaniem się do

nieustannego śmiechu, uchronisz słabe ludzkie serce przed Chaosem?

Wydawało mi się, że rozumiem moich astrofizyków i dlatego zazwyczaj bywałem u nich smutny. I przytłoczony ogromem obserwacji, które łądowali do pamięci Ikara i które – nie mogli o tym nie wiedzieć – z pewnością już nie docierały do Ziemi.

A teraz zastanawiałem się ponadto, czy nie udałoby mi się ich pozyskać – tych przesadnie oderwanych od wewnętrznych spraw Ikara, przesadnie oddanych głupiemu wszechświatowi maniaków. Otwieram służbowym kluczem szafkę pancerną zewnętrznej ściany, w której znajduje się aparatura kontrolna, dłuższy czas patrzę na różne skale i migocące na nich świetlne znaki, nie widząc ich, i myślę sobie, że właśnie astronomowie, którzy przywykli niemal co miesiąc zmieniać model wszechświata, powinni poprzeć mnie w mojej walce o zmianę porządku na Ikarze. A do tego wszystkiego kołacze mi w mózgu idiotyczne pytanie Variusa Lotza o Dedala i Ikara.

Astrofizycy już od dawna nie gniewają się na mnie, gdy przychodzę ich kontrolować, ale wciąż nie mogą sobie odmówić przyjemności zakpienia ze mnie. Najczęściej jest to dowcip z informowaniem mnie, że właśnie obserwują coś nowego, co stanowi rzekomo fundamentalne odkrycie i wywraca do góry nogami naszą wiedzę o kosmosie. Oczywiście to coś nowo odkryte jest śmieszne i absurdalne, ale ponieważ nie jestem najmocniejszy w astrofizyce, a i sam wszechświat pełen jest przecież wszelkich absurdów, regularnie daję się nabrać. Z całą wrodzoną sobie prostodusznością zaczynam rozgłaszać nowinę o „epokowym” odkryciu. Druga forma żartów to wciąganie mnie w dyskusję o nie istniejącej teorii czy dopiero co postawionej hipotezie. Przywykli żonglować absurdami naukowymi i logicznymi, w jednej chwili potrafią wymyślić jaką bądź teorię i hipotezę – są mistrzami w tej sztuce, ci sympatyczni, podstarzali chłopcy.

Tym razem kawał się nie udał. Nie z mojej winy. Gdy tylko wszedłem, wszyscy trzej jednocześnie zaczęli udawać zamyślonych.

– Co epokowego znów odkryliście? – zapytałem.

– Kpij sobie, kpij – odparł Bułhakow. – Lecz jeśli to się potwierdzi... – i podniósł ręce na znak, że naprawdę stanie się to, co ma się stać.

– Co? – zapytałem i po prostu czułem, jak w tej chwili improwizują nową zabawę.

– Nie sędzę, by należało to rozgłaszać – powiedział surowo Darian, podnosząc do twarzy dłoń i ujmując w dwa palce jak w nożyce mięsisty koniec swego ormiańskiego nosa. Do tego komicznego nawyku uciekał się



w chwilach wahania lub zamyślenia.

– Jeszcze za wcześnie – zabuczał nosowo. – Zresztą i nasz kontroler nie należy do tych, którzy potrafią zachować tajemnicę naukową.

To już dotykało mnie bezpośrednio i tym sposobem wpadłem w zastawioną pułapkę.

– Dlaczego obrażacie człowieka – skarcił go Peter Noyd. – Nigdy nie zdradził niczego, gdyśmy uprzedzali, by jeszcze tego nie rozgłaszał. Uważam, Darian, że powinieneś go przeprosić!

Darian zmieszał się zdumiewająco szczerze, a nos wręcz pobieleł mu w nożycowym uchwycie dwu palców.

– Proszę mi wybaczyć, panie Balow. Wyrwało mi się wbrew woli... miałem na myśli raczej gadatliwość Bułhakowa, na nią się złościłem. Postanowiliśmy jeszcze niczego nie ogłaszać, a on...

– Sprowokował mnie swoim tonem – zaczął usprawiedliwiać się Bułhakow. – Zresztą, to jest wręcz oszałamiające...

– Nie wypada po tym, gdy tak zaintrygowaliście człowieka... – powiedział Peter Noyd. – Niech pan posłucha, Balow, ale niech naprawdę zostanie to między nami! Darian zaobserwował wczoraj coś wchodzącego i wychodzącego z czarnej dziury.

Czarne dziury wciąż pozostają dla nas jedną z największych trosk i zagadek. Na ich tylko temat istnieje z pewnością tysiąc pięćset hipotez. Na razie przyjmuje się, że jest to, jak się określa, grawitacyjny kolaps w przestrzeni – kolaps gwiazdy czy diabeł wie czego, wytwarzający tak potężne przyciąganie, że nawet iskierka światła nie jest w stanie się z niego wydostać, i miejsce takie przypomina właśnie czarną dziurę wśród wcale nie tak czarnego kosmosu. Inne teorie twierdzą, że są to jakoby antyświata, w których materia ma odwrotny znak lub występuje w zupełnie innym, niewyobrażalnym stanie. Jasne jest, co oznaczałaby podobna obserwacja – że coś wchodzi i wychodzi nie uszkodzone z antyświata!

– Weszło i wyszło? – zapytałem wciąż jeszcze niedowierzająco.

W odpowiedzi Darian przytaknął ze śmiertelną powagą.

– Odwrotnie – powiedział Bułhakow. – Wyszło i weszło.

– Trudno określić – powiedział wolno Darian, wzruszając ramionami.

– Ale co może wychodzić z czarnej dziury? – płonałem już cały z podniecenia i niecierpliwości. – Do niczego nie było podobne?

– Było pewne podobieństwo, lecz... mimo to...

– Do czego wydało się panu podobne?

Darian po raz wtóry ujął nos w dwa palce.

– Do myszy.

Trzy pary oczu spoglądały na mnie dziwnie i wreszcie pojąłem, że oczekiwały ode mnie określonej reakcji. A moja reakcja była następująca:

– Co to jest?

Wtedy trzy pary oczu zasmuciły się. Po raz pierwszy widziałem je tak smutne. Choć studiowałem psychologię jako swą pierwszą specjalność, nie mogłem zrozumieć, dlaczego zasmuciły się od tego, że nie wiedziałem, co to takiego mysz. Skąd miałem wiedzieć, jeśli urodziłem się na Ikarze.

Potem wywołali to sympatyczne zwierzątko na ekranie kolektora biologicznego, dowcip wymagający objaśnień przestaje jednak być dowcipem.

Co mieli zamiar zaserwować mi dzisiaj?

Najpierw – profanację wypowiedzi Einsteina o dramacie idei. To znaczy, że obradowali lub dokonywali jakiegoś eksperymentu. Zakaz wejścia nie dotyczył jednak bezpośredniego kontrolera. Miałem prawo wchodzić o każdej porze i obowiązywało mnie przestrzeżenie co do minuty terminów kontroli. Jeśli są zajęci – tym lepiej – nie będę się długo zatrzymywał, wygląda, że wszystko w porządku. Zewnętrzna aparatura kontrolna wykazywała sprawność całego kompleksu laboratoryjno-obszernego. Chciałem tylko zajrzeć do ludzi, by nie mieć wyrzutów sumienia, że nie wypełniłem swego obowiązku, i zdążyć na naradę u Lotza.

Lecz w progu oczekiwała mnie niespodzianka. Niezbyt przyjemna. Pierwszym człowiekiem, którego dojrzałem pośrodku laboratorium astrofizycznego, był mój ojciec, wokół niego zaś siedziały lub stały trzy zmieniające się ekipy astronomów i astrofizyków. Spojrzenia, jakimi mnie obrzucono, były pełne wrogości, w najlepszym razie znudzenia – z pewnością tylko obecność ojca uratowała mnie tym razem przed jakimś ostrzejszym słowem. Wyraźnie przeszkodziłem w naradzie. O jej wyjątkowości świadczył osobisty udział mojego ojca.

– Przepraszam – wybąkałem, wycofując się tyłem. – Według programu powinienem teraz dokonać przeglądu, lecz...

– Nie krępuj się – skinął mi ojciec. – Programy są po to, aby je realizować. Nie będzie nam przeszkadzał, prawda?

Na skierowane do wszystkich pytanie, zadane przez mojego ojca – samego głównego teoretyka Ikara, nie mogło być innej odpowiedzi, jak twierdząca.

– Oczywiście, że nie będzie przeszkadzał.

Włączyłem szybko uniwersalny indykator, który wyjąłem

z zewnętrznej szafki kontrolnej wraz ze schematem podlegających kontroli węzłów i ruszyłem wzdłuż urządzeń, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w innych pustych teraz oddziałach. Tu było ponad normę dwutlenku węgla: gdy zbiera się więcej ludzi, jest to nieuniknione. Wzmocniłem dopływ powietrza i zapisałem, że stały regulator instalacji klimatycznej nie włączył się i należy przysłać technika. Muszą być bardzo zaabsorbowani, skoro nie zauważyli, jak jest duszno. Ale, jak powiedziałem, obecność mojego ojca wyjaśniała wszystko. Spieszyłem się z przeglądem, odnotowując w spisie podejrzane miejsca, zarazem instynktownie natężyłem słuch, by coś usłyszeć.

Mówił ojciec, lecz nic nie docierało do mnie z jego twierdzeń. Zrozumiałem, jedynie, że analizuje jakieś najrozmaitszego rodzaju, sprzeczne z sobą promieniowania. W ogóle zachowywał się tak, jakby nie miał wkrótce zostać dziadkiem. Jakby nie wiedział nawet o tym, choć przed chwilą wszystkie głośniki transmitowały uroczystą sesję na cześć poematu jego synowej. A powinien być niezmiernie uszczęśliwiony. Dziadkowie zaliczają się do najrzadszych zjawisk w kosmosie, ponieważ wymaga to naturalnego poczęcia w dwu pokoleniach. Jeśli zwycięzę w podjętej walce, znów zyska na tym mój ojciec – zostanie pierwszym prawdziwym dziadkiem na Ikarze. Czy aż tak jest wielki, że jemu przypadają największe zaszczyty? A może jest przekonany, że nie pozwoli, aby dziecko było także moje?

Byłem zły na niego, byłem zły, że nie zdołałem zrozumieć, o czym mówią, byłem zły, że znów przypomniałem sobie o Majoli i znów wydałem się sobie mały wobec niej, i przeszedłszy bezgłośnie wszystkie oddziały, wyszedłem na palcach, aby nie przeszkadzać.

– Zenonie... – zatrzymał mnie ojciec, znów słowem nie napomykając o głównym wydarzeniu dnia, także inni nawet mrugnięciem nie dali mi do zrozumienia, że uroczysta sesja o „Poemacie o szczęściu” uszczęśliwiła ich; nikt nie domyślił się, by złożyć mi gratulacje. – Zenku – powtórzył, jakby coś sobie przypominając – podobno masz zamiar przedsięwziąć lot eksperymentalny? Co się stało?

Nie wyczułem w pytaniu ironii, na którą od dawna zasługiwałem, wydało mi się, że zagadnął mnie z ojcowskim zatroskaniem, a może z obojętnym zdziwieniem, że znów widzi mnie tutaj. Dlatego odparłem nieco opryskliwie:

– Wciąż jeszcze nie zmieniłem zamiarów, lecz nie zależy to tylko ode mnie.

– Odezwij się jutro, to porozmawiamy!

Oho, to już było coś! Intonacja wyraźnie coś obiecywała, ale nie potrafiłem się cieszyć ani złościć na siebie. Majoli oświadczyłem, że wyruszę, a teraz wobec ojca i trzech załóg astrofizyków potwierdziłem swój zamiar. A wcale nie miałem ochoty nigdzie wyruszać. Co będzie z moją walką o zmianę porządku, jeśli odejdę stąd nie wiadomo na jak długo? Czy nie zamierzali czasem, z moim ojcem na czele, wykorzystać mego lekkomyślnego zamiaru dla uwolnienia się ode mnie? Tak oto głupio sam związałem sobie ręce w historycznym dla Ikara, jak mi się wtedy wydawało, momencie.

## 5

Ten dzień zszedł mi na ważnych naradach. Na ekranie laboratoryjnym wyświetlano jakiś ogromny schemat i obradujący nawet nie odwrócili się, by sprawdzić, kto wszedł. Było ich dziewięciu. Robototechniczna komisja kwalifikacyjna, z racji swego znaczenia jedna z najliczniejszych, obradowała w pełnym składzie. Plus – holograficzna obecność pierwszego koordynatora. Dyfrakcyjna siatka hologramu odtwarzała go – olśniewająco pięknego i przerażająco spokojnego – wraz z jego fotelem, trochę z boku grupy, jakby dla podkreślenia, że jest tylko widzem, a nie dziesiątym uczestnikiem narady. Może dlatego on jeden tylko skinął w odpowiedzi na moje pozdrowienie. Pozostali w skupieniu studiowali schemat. Jedenastym w sali był Salis Gordal, również siedzący nieco z boku. Była i dwunasta osoba – może trzyletnie dziecko, śpiące na kolanach Gordala.

Varius Lotz nerwowym gestem wskazał mi, bym wziął fotel i nie przeszkadzał. To również mnie zaskoczyło. Zaprosił mnie uprzejmie, uprzedziwszy również pozostałych, że mnie zaprosił, a nie poświęcił nawet chwili, by zapoznać mnie z rozpatrywanym problemem.

Próbowałem zapanować nad skrępowaniem, spowodowanym obecnością pierwszego koordynatora i patrzeć na ekran, by samemu zrozumieć, o czym mowa. Nie było to proste. Główny koordynator nie tkwił tu tak sobie, a dziecko... Dziwne, nie wiedziałem, że Gordal ma dziecko, nie widniało również w jego kartotece. Jak czule je obejmował! Kiedyś obejmowałem tak Helianę, doświadczając wręcz fizycznej rozkoszy. Potem straciłem zainteresowanie dziećmi na Ikarze. Ale jeśli zdołam...

Ukradkowe spojrzenie rzucone ku przeświecnej obecności pierwszego koordynatora upewniło mnie, że moje nadzieje na własne dziecko są daremne. Ale czy człowiek nie zdobywa się na walkę także w imię

daremnych nadziei?

Usiłowałem wniknąć wreszcie w to, co było wyświetlane, jednocześnie wyciągając bezgłośnie z szafki obok drzwi złożony w pakiecik fotel. Tylko on jeden pozostał w szafce, i chcąc nie chcąc, musiałem usiąść właśnie w tym ogromnym fotelu, do tego czekając całą wieczność, aż wypełni się powietrzem.

Przycisnąłem mały wentyl do wmontowanego nad samą szafką przewodu powietrznego. Fotel rósł i rósł, do tego okazał się nie fotelem, lecz dwuosobową kanapą, zastanawiałem się gorączkowo, gdzie ją postawię. Schemat znikł w tym czasie z ekranu i zaczęto wyświetlać w ogromnym powiększeniu wnętrzości robota. Tyle przynajmniej rozpoznałem – psychorobotą najwyższej klasy.

Ustawiłem byle jak przekłętą kanapę, potracając przy okazji dwie-trzy osoby. Odsunęły się uprzejmie, a ja usiadłem skromnie, już wściekły na Variusa Lotza, że nalegał, abym przyszedł. Nie lubiłem oglądać wnętrzości psychorobotów. To tak, jakby oglądać kiszkę człowieka. Jestem lekarzem, ale nawet tego nie lubię oglądać. Zresztą prócz operacji szkoleniowej na manekinie nie asystowałem jeszcze przy operacji brzucha. Jeśli bywa coś interesującego w tego typu posiedzeniach, to następuje zwykle później. Teraz jednak studiowano przedstawiony projekt.

W komisji kwalifikacyjnej, której przewodniczył Varius Lotz, niekiedy zdarzają się tragikomiczne sprawy. Nie wiemy już, jak jest pod tym względem na Ziemi, lecz na Ikarze produkcja robotów objęta została surową kontrolą. Roboty podlegają kategoryzacji według swego przeznaczenia i muszą mieć ściśle określony program działania. Zabronione są samoprogramujące się ruchome urządzenia, wyraźnie określone są przy tego rodzaju psychorobotach granice możliwości prowadzenia samodzielnego życia. I jest to zrozumiałe. Na ciasnej przestrzeni Ikara, przy niewielkiej załodze, nie można dopuścić do zagrożenia, by choć jeden psychorobot wydostał się spod władzy człowieka albo by przydane mu w niektórych przypadkach zdolności samoobrony i samoobsługi wzięły górę nad jego przeznaczeniem, to jest czuwaniem nad bezpieczeństwem i obsługą człowieka – coś, co przy psychorobotach wyższej klasy łatwo może się zdarzyć, ponieważ owa granica, uzależniona od specyfiki psychorobota, zakresu jego funkcji, a także twórczej inwencji konstruktora, bywa trudna do ustalenia.

Pochłonięty konstruowaniem – a konstruowanie psychorobotów jest w pełnym tego słowa znaczeniu aktem twórczym, w którym samorealizuje się człowiek twórca – konstruktor zapomina, bezwiednie oczywiście,

o przepisach. Jeśli o nich zapomni, ostudzą jego zapał twórczy. Lecz wtedy wkłada on zazwyczaj w swoją konstrukcję znacznie więcej, niż jest to dopuszczalne i powstaje konflikt między nim a komisją kwalifikacyjną. Komisja analizuje projekt i wypowiada surowy werdykt: to usunąć, to wyciąć, tu zmienić schemat i tak dalej. Twórca zgadza się, wygłosiwszy wprawdzie niejedną płomienną mowę obrończą na temat swego dzieła przed nieprzejednaną komisją. Wie, oczywiście, że komisja ma rację, w większości przypadków sam uczestniczył w opracowaniu kodeksu robotyki. Ale gdy przystępuje do realizacji pomysłu, serce skręca mu się z bólu, a mózg zaczyna szukać sposobów uratowania wynalazku przed atakiem. Skąd wziąć siły dla podcięcia skrzydeł wyhodowanego przez siebie cudownego żar-ptaka?

Miał więc stworzyć prototyp psychorobota według zredagowanego schematu, płonąć z ciekawości ujrzenia, co wyjdzie, konstruktor zaczyna oszukiwać: tu i ówdzie wymieni jakiś detal, w rzeczywistości jednak jeszcze głębiej konspiruje w schematach i mnóstwie elementów przydane maszynie umiejętności. Mimo iż wyraźnie dokonano naruszenia prawa i zużyto cenne materiały,

Ikarczycy nader rzadko zapominają o dobrym wychowaniu, poza tym szanują ducha twórczego. Komisja zwraca psychorobota z nowymi uprzejmymi zaleceniami. Udaje, że nie dostrzega oszustwa, lecz staje się jeszcze czujniejsza.

Następnym razem ton rozmowy będzie o stopień chłodniejszy. Za trzecim razem wypowiedziane zostają uprzejme aluzje, w których wyczuć można pogroźki. Tak długo, jak uparty konstruktor nie przestaje oszukiwać, komisja z niezmałym spokojem, któremu towarzyszy rzucony przez Variusa Lotza żart, nie odrzuca wspaniałego płodu konstruktorskiego natchnienia i nie skazuje go na rozmontowanie, arii też podniesieniem zmęczonych rąk nie oddaje w służbę Ikarczycykom z wszystkimi potencjalnymi niebezpieczeństwami, jakie kryje w sobie. Lecz to zdarza się rzadko, zasadą komisji bowiem jest: lepiej przesadzić w surowości niż w wielkoduszności.

Uczestniczyłem w podobnych naradach, gdy przygotowywałem się do objęcia funkcji kontrolera, ponieważ wiedza z robotyki i robopsychologii jest dla nas obowiązkowa, lecz jak już powiedziałem, nigdy nie słyszałem, aby ktoś podniósł na niej głos. A teraz Lotz nagle przerwał projekcję i powiedział niemal grubiańsko:

– Po co tracić czas? Techniczna strona problemu jest jasna. Jeśli ktoś pragnie szczegółowo przestudiować konstrukcję, niech przestudiuje ją

w domu. Czy zgłasza pan jakieś uwagi, panie Riegel?

Riegel, przedstawiciel bioników w komisji, utkwił wzrok w suficie, jakby szukał tam czegoś. Jego twarz, nalana i spokojna, wyrażała skrepowanie, lecz słowa zabrzmiały stanowczo:

– Tak – rzekł – właściwie to i druga strona zagadnienia jest jasna.

– Owszem – potwierdził Wysocki, a pozostali przytaknęli i dopiero teraz zauważyłem, że nikt nie patrzył na Gordala i nikt nie miał ochoty zabrać głosu.

– To lalka – powiedział nieśmiało Gordal. – Zabawka. Dlatego dorobiłem jej twarz.

– Dodał pan nie tylko twarz, panie Gordal! – krzyknął Varius Lotz, co zdumiało mnie do reszty – widziałem go w takim stanie pierwszy raz w życiu. Nie zdążyłem nacieszyć się jego gniewem, ponieważ pewien domysł kazał mi niemal podskoczyć na kanapie.

Gordal przycisnął dziecko do piersi. Dziecko – robot! Jak śmiał! Czy zwariował? Zresztą oczy jego rzeczywiście płonęły dziwnym blaskiem. A broda, rzadsza niż niedawno na hologramie, teraz podkreślała jeszcze chorobliwą bladość twarzy. Twarz ta miała jak na Ikarczyka niezwykle toporne rysy, które broda w jakimś stopniu zmiękczała. A może taki był jej cel?

Gordal, Gordal, aleś zabrnął, bracie! – zawołałem w myśli, jakkolwiek wcale nie czułem do niego specjalnej sympatii, może tylko za tę delikatność, z jaką ramiona jego osłaniały małego cyborga. Bez wątpienia był to cyborg, czyli Gordal pogwałcił prawo zabraniające konstruowania cyborgów. Jeszcze na Ziemi uznano niegdyś, iż ten centaur z maszyny i człowieka, nazwany cyborgiem, jest w istocie odwrotem od natury ludzkiej, zaprzeczeniem człowieczeństwa, i zabroniono ich konstruowania pod groźbą najsurowszych sankcji.

Jak go przyłapano? Przerażający jest ten Lotz, z pewnością on wytropił sprawę – potwierdzał to znak obserwacji w medycznej kartotece Gordala. Lecz taki sam znaczek postawił przy Helianie! Co znów wywęszył u niej? Nic nie powiedział!...

– Proszę pozwolić mi go zademonstrować – powiedział z pewną natarczywością Salis Gordal i odniosłem wrażenie, że już o to prosił.

– Nie widzę potrzeby – odparł Lotz, a odpowiedź była odpowiedzią wszystkich. Żaden nie patrzył na Gordala i nie chciał widzieć, jak działa mały cyborg. Z wyjątkiem pierwszego koordynatora.

Starając się nie zdradzić tego, co wzbierało we mnie jako bunt i jako przygotowanie do walki przeciw temu człowiekowi, zachowywałem się

tak – czy też wyobrażałem sobie, że się tak zachowuję – jakbym nie dostrzegał holograficznego fantomu. Lecz odbierałem zarówno jego obecność, jak każdy ruch jego powiek czy rąk jako wiszącą nad nami wszystkimi groźbę. A ona nie kryła jak inni swego zainteresowania biednym konstruktorem – patrzyła nań ze spokojem, badawczo, nieubłaganie, – spokojnie oczekując także decyzji komisji, która w jego obecności będzie możliwie najsurowsza.

– Nie interesuje nas pański cyborg – powtórzył Lotz. – Interesują nas motywy jego skonstruowania. A właśnie to ukrywa pan przed nami. No, słuchamy, człowieku!

Dlaczego niemal wszyscy bali się spojrzeć na cyborga? Dlaczego i ja bałem się zatrzymać dłużej na nim wzrok? Czy też raczej: dlaczego powściągałem nieludzko silną Ciekawość? Oto Gordal postawił go na ziemi i cyborg stanął niezdarnie na swych nóżkach, oparł się rączką o boczną ścianę nadmuchiwanego fotela, bojaźliwie powiódł wzrokiem po groźnie obradujących mężczyznach. Miałem wrażenie, że przestraszy się i rozplacze. Zdumiewające było jego podobieństwo do ziemskich dzieci, które oglądałem na filmach o Ziemi, i ubrany był także jak one. Jak wszyscy trzyletni malcy na Ziemi. Zresztą i twarzyczka jego była tak wymodelowana – z pewnością z rzadkiego bioplastonu – że gdybym spotkał je gdzie indziej, zdziwiłbym się tylko, czyje jest to piękne dziecko! Delikatne i piękne, i wesołe z tym zadartym noskiem, z pełnymi policzkami, z wyrazem chłopięcego uporu wokół ust. I... z tym wyraźnym podobieństwem do swego stwórcy! Chyba i sprawa motywów była oczywista, niepotrzebnie Lotz dręczył człowieka. Co tu wyjaśniać, przypadek jest absolutnie jasny!

– To nie cyborg – powiedział Gordal i wstał z krzesła, rzuciwszy zatroskane spojrzenie na swoje dzieło, jak ojciec spojrzałby na własne dziecko, w obawie, by nie upadło. – To zabawka. Gdyby było inaczej, czy przydałbym mu tak wątłe ciało? Nie ma żadnej fi... mechanicznej siły, nie jest w stanie wyrządzić żadnej szkody. Zdolność percepcji także na poziomie trzyletniego dziecka. – Zauważył nerwowe poruszenie Lotza i szybko dodał: – No, najwyżej dziesięcioletniego. Potrzebny mi był do pracy naukowej, jest eksperymentem, dlatego nie zarejestrowałem go...

– Zdumiewa mnie pan, panie Gordal – przerwał mu Wysocki, jedna z czołowych postaci wśród ikarskich konstruktorów. – Cóż to za dziecinne próby oszukiwania? Nie ma pan do czynienia z analfabetami! Cały blok pamięci holograficznej i wszystkie ośrodki dyspozycyjne wraz z aparaturą asocjatywną są skonstruowane tak, że bez trudu mogą zostać



przemieszczone do innego ciała. Oczywiście stworzył pan cyborga, czy sądzi pan, że uda się panu mnie oszukać? Czy może Variusa Lotza? Kogo zdoła pan w tej komisji oszukać?

– Owszem, są przenośne, lecz są przenośne z zasady u wszystkich psychorobotów – odparł Gordal. – Nie oszukuję, wierzcie mi, nie miałem najmniejszego zamiaru stwarzać cyborga. Przecież cyborgi miały być doskonalsze od człowieka! Czym góruje nad nim to... ta lalka? Usunę samodoskonające się urządzenie, gdy osiągnie adekwatny do wieku poziom wiedzy i reakcji. To możecie także panowie... Sali! – zawołał nagle, zarazem czule, z przestrawieniem.

Dziecko, które ruszyło wprost na mnie, zatrzymało się, odwróciło głowę, lecz potrząsnęło nią na znak wesołej niezgody i znów szło ku mnie, patrząc wielkimi, łagodnymi niebieskimi oczyma, a wydatne czerwone usteczka gotowe były rozkwitnąć w uśmiechu w tej samej chwili, w której dojrzałyby najmniejszą zachętę w twarzy któregoś z tych przerażających mężczyzn. Odwróciłem się, napotkałem kpiący wzrok fantomu koordynatora, jeszcze raz odwróciłem się w drugą stronę, lecz przekłete dziecko nie przestawało iść – niepewnym krokiem, z wyciągniętą rączką, oczekując, że podasz mu swoją, której mógłby się złapać, albo że włożysz w nią jakąś zabawkę, albo tylko ot, tak, podasz mu palec... To przekłete dziecko szło prosto ku mnie przez całą wielką salę i wszyscy patrzyli teraz na nie, a ja nie byłem w stanie wydać żadnego dźwięku, choć w mojej piersi wzbierał krzyk, by zatrzymano małego potworka.

– Wujku – powiedziało nagle i jego policzki poruszyły się w jakimś nieopanowanym grymasie. – Wujku – powtórzyło, a brzmiało to jak pytanie, i jak odkrycie, i jego rączka już wyciągała się do mojego kolana.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, co zrobię, a jedyne, co zamierzałem przedsięwziąć, to uciec, lecz w chwili, gdy już się podnosiłem, dziecko potknęło się o dolny występ długiej kanapy, poleciało do przodu i uskoczyłem nie w bok, lecz ku niemu, tak że zdążyło wylądować w moich ramionach.

Nawet jego ciało wydawało się przez ubranko ciałkiem dziecka – o podobnej chrząstkowej miękkości. Mimowolnie odetchnąłem, że nie zdążyło upaść.

Z ulgą odetchnęli także inni. Najśmieszniejsze było to, że mały cyborg był oczywiście tak skonstruowany, że żaden upadek nie był w stanie go uszkodzić.

Jak żadnego robota; nikomu jednak nie było do śmiechu. Najmniej mnie, w którego rękach uspokoił się nedorzeczny stwór. Uspokoił się z tą

wzruszającą zawsze dziecięcą ufnością, która teraz wyglądała jeszcze straszniej, ponieważ promieniowała ze sztucznego ciała.

– Wujku – powiedziało dziecko. – Wujku, by, by! – i roześmiało się.

Wyraźnie miało zaledwie wzrost trzylatka. Mózg nie osiągnął jeszcze tego wieku. Zostanie to szybko skorygowane, i to bez żadnego programu.

Twarze Ikarczyków skamieniały. Tylko Salis Gordal promieniał, nachylony, każdej chwili gotów, przy pierwszej oznace strachu czy niebezpieczeństwa rzucić się ku mnie. Dziecko nagle zwinnie określiło się w moich rękach; by go nie upuścić, instynktownie objąłem je mocniej, wręcz przytuliłem do siebie. Nie przestawało jednak śmiać się coraz głośniej i wiercić coraz bardziej, pragnąc uwolnić się z moich objęć. Zdołało wejść mi na kolana i stanąć na nich. Jego twarzyczka z tymi promiennymi błękitnymi oczyma była teraz o centymetr od mojej twarzy. Cały drżałem. Drżałem od czegoś w rodzaju wstrętu i ze strachu, że je upuszczę, i przed jego następnym postępkim. Ten okazał się jednak całkiem dziecinny – po prostu uchwyciło się mojej koszuli i zaczęło wspinać się po mnie z wyraźnym zamiarem, by mnie dosiąść. Ciężki był diabełek, i silny, nie ośmieliłem się zresztą użyć więcej siły, by obronić się przed nim.

– Sali – zawołał wreszcie przytomniejąc Gordal. – Zostaw wujka w spokoju! Chodź tutaj!

Każdy robot usłuchałby ludzkiego rozkazu, ale to nie był robot. Było to dziecko, które śmiało się i usiłowało wejść mi na głowę, a ja ustępowałem, nie bez protestu, lecz ustępowałem, i podtrzymując je, by nie upadło, pozwoliłem mu wdrapać się na ramiona, podniosłem nawet w górę ręce, by mogło się ich przytrzymać i stanąć na nóżki, a ono ostrożnie wyprostowało się i zawołało stamtąd zwycięsko:

– Hurrrraaaa!

Dźwięk, nieznany i niezrozumiały, wstrząsnął mną i ponownie zadrżałem w mistycznym przestachu: dopiero później Lotz przypomniał mi – że to właśnie jest bojowe czy też zwycięskie ziemskie zawołanie, z którym ludzie niegdyś wzajemnie się mordowali. Nasz Gordal do reszty zwariował – uczyć dziecko podobnych rzeczy!

– Gordal, zakończmy to żałosne przedstawienie – ponownie stanowczo odezwał się Varius Lotz.

Konstruktor drgnął i podbiegł do mnie, by zabrać dziecko.

– Proszę je zostawić! – zawołał Lotz. – Nie jest już pana własnością.

– Jak to? – zapytał Gordal i nagle zaczął drzeć na całym ciele, drżał niepowstrzymanie jak w febrze.

– Powinien pan wiedzieć dlaczego. Jakiegokolwiek były motywy jego skonstruowania, których nie miał pan ochoty nam ujawnić, a które, sędzę, wyjawi pan przed komisją dyscyplinarną, to już...

– Ale przecież powiedziałem wam! – niemal rozplakał się Salis Gordal.

– To zabawka! Eksperyment! Próbowałem wymodelować zdolność do zabawy. Zabawa należy do najbardziej zagadkowych zjawisk w żywej przyrodzie, na Ziemi robiono podobne eksperymenty, lecz na Ikarze...

– Niebezpieczny eksperyment, Gordal! Proszę nie udawać, że pan nie rozumie! I decyzja nie może ograniczyć się jedynie do demontażu!

– Nie! – krzyknął zapalczywie Gordal, lecz Lotz nie zwrócił żadnej uwagi na jego krzyk.

– Według mnie sam demontaż jest niewystarczający. Musi zostać zniszczone, mimo iż użyto najdroższych materiałów. Trzeba także zniszczyć schemat.

Taka jest moja propozycja. Jeśli komisji potrzebne jest umotywowanie, gotów jestem je przedstawić. Wydaje mi się to jednak zbędne.

Kamienne twarze przytaknęły, jakby jakiś wewnętrzny mechanizm uruchomił je wbrew ich woli. Dziecko w tym czasie usiłowało wdrapać się jeszcze wyżej. Jego nóżki ślizgały się po moich włosach, dosyć boleśnie kopały to w lewe, to w prawe ucho, aż nachyliłem się, zdecydowanie przewróciłem je przez główkę, a ono zaniósło się triumfalnym śmiechem. Kiedy podniosłem je, miejsce, gdzie siedział pierwszy koordynator, było puste... Gordal nie przestawał trząść się, aż słychać było dzwonienie jego zębów. Lotz podszedł do niego, ujął za przegub lewej ręki, wyciągnął z kieszeni aerozolowy flakonik, powiedział stanowczo: „Proszę zamknąć oczy!” i prysnął kilkakrotnie z flakonika w nos nieszczęsnemu konstruktorowi.

– Pro...szę... – jęknął Gordal, lecz Lotz wykorzystał, że otworzył usta, by prysnąć także w nie preparat, który nosił przy sobie w kieszeni każdy konstruktor.

Gdy puszczał jego rękę, Gordal uśmiechał się drewnianym uśmiechem.

– Głosujemy? – zapytał Varius Lotz z ponurą powagą i stanął za biurkiem, koło wmontowanej weń maszyny protokolarnej. Maszyna za kilka sekund miała odesłać jeszcze jedną brzemienneą decyzję w bezdenną pamięć Ikara. Czy kiedyś ktoś odkryje ją i zastanowi się, dlaczego Ikarzycy tak bardzo przestraszyli się mechanicznego dziecka? – Za zlikwidowaniem stworzonego przez Salisa Gordala dziecka cyborga głosowało... – Dziewięć prawych rąk podniosło się do góry – dziewięć osób z dziewięcioosobowej komisji robotechnicznej. Wykonanie powierza

się członkowi komisji Iwanowi Wysockiemu...

– Dlaczego? – podskoczył Wysocki.

– Ponieważ jesteś przedstawicielem robokonstruktorów w komisji – odparł Lotz.

Jeśli Iwan Wysocki przeklinał kiedyś swój zawód, to na pewno teraz. Zbladł tak, że lekarz we mnie zaniepokoił się, ale nie do tego stopnia, by nie zauważyć, jak wyciągam i osłaniam rękami główkę dziecka, które teraz jak piesek wierciło się koło moich nóg...

– Proszę przestać z tym dzie... – wrzasnął nagle tracąc panowanie Lotz, a refleks we mnie kazał mi pochwycić cyborga i przytulić do siebie w nagłym porywie, by uspokoić go i... uchronić.

– Pozwólcie mnie go zabić.

Dziewięć głów zwróciło się w jednej chwili ku Salisowi Gordalowi i zaraz odwróciło się. A on nie przestawał uśmiechać się tym idiotycznym uśmieszkiem, wywołanym przez działające już na mózg mikroskopijne kropelki psychotronu.

Tak właśnie powiedział: zabić go.

– Taką decyzję może podjąć jedynie komisja dyscyplinarna – odparł ze złością Lotz.

– Ale on zgłasza własną kandydaturę – odezwał się z nadzieją w głosie Wysocki.

– W tej chwili nie jest panem swej woli. Podałem mu psychotron.

– Mam do tego prawo – nalegał Gordal, już nie uśmiechając się.

– Może odbyć się to poza naszą kontrolą – odezwał się teraz Leonas, najstarszy w komisji, psycholog, etyk i specjalista dziesięciu jeszcze innych nauk – jeśli także po ustaniu działania preparatu, to jest po godzinie, ponowi propozycję, nie mamy podstaw jej odrzucać. W przeciwnym razie uzurpujemy sobie prawa komisji dyscyplinarnej. Proponuję, abyśmy tego nie robili. Zaprotokołujmy następujący wniosek: „Komisja przerwała z powodu społecznej szkodliwości eksperyment Salisa Gordala związany z programowaniem zabawy przez specjalny psychorobot – Leonas powiedział »psychorobot«, a nie cyborgi nakazała autorowi, który zrozumiał błąd i zgodził się z wnioskiem, zniszczenie eksperymentalnego modelu”.

Wszyscy z wyjątkiem Lotza, skwapliwie przytaknęli, nie tylko w uznaniu autorytetu Leonasa, jednego z twórców ikarskiego prawodawstwa. Ulga wręcz kwitła na ich twarzach.

– Dziękuję – powiedział Gordal i teraz wszyscy znaleźli dość siły, by patrzeć mu prosto w Oczy.

Patrzył na niego także cyborg. Dziecinnie wielkimi, okrągłymi, niebieskimi oczyma. Czy możliwe, by zbudziło się w nim coś w rodzaju synowskiej miłości czy przywiązania? Na tę myśl zrobiło mi się zimno. Mięśnie rąk jakby skurczyły się we mnie, a jednocześnie dziwnie osłabły, cyborg bowiem nagle strasznie zaciążył mi w rękach. Zrobiłem kilka kroków i podałem go Gordalowi, który wziął go z bezgraniczną czułością, a cyborg złożył główkę na jego piersi, jakby szykował się do snu.

– Powtarzam: Gordal jest niepoczytalny i nie może podjąć podobnej decyzji! – zawołał Lotz, a jego upór stał się dla nas wszystkich niezrozumiały.

– Pana preparat wywietrzył – uśmiechnął się spokojnie konstruktor. – Nie odczuwam już żadnego działania. Proszę wtrysnąć sobie trochę i przekonać się.

Lotz sięgnął po flakonik, powąchał go, wyciągnął do mnie rękę po mój. Porównał zapach obydwu, podał je następnie mnie. Różnica była widoczna. Mój, którego zawartość odnawiałem przed dziesięcioma dniami, napępiał natychmiast nos charakterystycznym zapachem.

– Możliwe, że preparat już nie działa – zgodził się Varius Lotz. – Ale podtrzymuję swój sprzeciw wobec podobnego wniosku. Jest on podyktowany waszym strachem przed podjęciem osobistej odpowiedzialności...

– Głosował pan już przeciw zlikwidowaniu – przerwał mu niegrzecznie Leonas.

– To co innego. Przy podobnej decyzji jednostka uwalnia się od odpowiedzialności przez włączenie się do odpowiedzialności zbiorowej. Patrzy pan na to... na cyborga jak na dziecko, a na zlikwidowanie maszyny jak na morderstwo. Dlatego, Leonasie, nie chce pan przekazać sprawy komisji dyscyplinarnej – to znaczy mamy zatuszować sprawę, by nikt nie dowiedział się, co dokładnie się stało...

Lotz wyraźnie nie panował nad sobą i zdziwiło to wszystkich. Miałem wrażenie, że zarzuty te kierował nie tylko do innych, ale także do jakiejś własnej, skrywanej małoduszności, z którą chciał tym sposobem się zmierzyć.

– Gdyby nawet – odparł z wyżyn swego spokoju Leonas. – To sprawa polityki, a sądzę, że mamy prawo do takiej polityki. Dlaczego niepotrzebnie dramatyzować przypadek i zrażać tak cennego pracownika jak Gordal?

Komisja ponownie przytaknęła gorliwie, być może zadowolona, że zdołała przekonać swego przewodniczącego.

– Mam jeszcze inne powody, by być przeciw, lecz teraz, tutaj, nie mogę ich wyjawiać – powiedział wieloznacznie Varius Lotz, lecz do walki wyraźnie włączyła się już także ambicja. Leonas nie wyraził jednak zainteresowania nimi i oznajmił przybierając pozę zwycięzcy:

– Wszyscy mamy tu zawsze takie czy inne powody, dlatego rozstrzygamy wszystko przez głosowanie, prawda?

Komisji zależało, by jak najszybciej przystąpić do ponownego głosowania, widać nie była pewna siebie i bała się wznowienia dyskusji, podczas której sprawa mogła przyjąć inny obrót. Lotz pozostał sam ze swym zdaniem. Urządzenie protokołujące nie kodowało jednak w swej pamięci nazwiska tego, kto głosował przeciw wnioskowi. Interesowała je tylko cyfra, nazwisko mogło być podyktowane oddzielnie, ale Lotz nie uczynił tego. Może dlatego, że był zły. Wykrztusił jedynie: „No, dobrze!”, podszedł szybkim krokiem do swego stołu roboczego, wyciągnął z szuflady małokalibrowy pistolet i z natarczywością podał go Gordalowi.

– Proszę! O, tutaj! I proszę dobrze mierzyć, by nie podpalił mi pan gabinetu!

Cyborg wyciągnął rączkę do pistoletu, lecz Gordal delikatnie odsunął go na bok.

– Daj – powiedział. – Tatusiu, daj!

– Nie, Sali – odparł Gordal z lodowatą łagodnością.

Co zrobił ten wariat? Dał mu swoje imię! I nauczył zwracać się do siebie „tatusiu”!

– Dlaczego tutaj? – zerwał się z miejsca Leonas. – Lotz, co to za głupie ambicje?

– Aha, chcecie, aby nawet kontroli się wymknął? – wrzasnął rozjuszony Lotz. – Komisja zobowiązana jest skontrolować wykonanie polecenia, skoro nie powierza je członkowi komisji.

– Czy musimy wszyscy? – odezwał się ktoś, lecz Varius Lotz z taką wściekłością spojrzął na niego, że już nie odezwał się więcej.

– No, Gordal! – powiedział Varius Lotz. – Mamy dziś jeszcze co innego do roboty.

Wybrał puste miejsce przy ścianie, postawił dziecko przed sobą. Niechętnie puściło go, pozostało nawet przez kilka chwil z wyciągniętymi rączkami, potem dojrzało coś na posadzce, przyklekło i zaczęło bacznie temu się przyglądać. Próbowałem dojrzeć, co tak przyciągnęło jego uwagę, lecz byłem zbyt daleko. Paluszek jego kreślił jakieś figury – z pewnością nie było tam niczego, powtarzało tylko wzór posadzki. Gordal podniósł pistolet do oczu, pokręcił lekko wizjerem telemetrycznym, widać

ustawiał dokładnie odległość, by nie przepalić ściany. Wycelował. Ręka nie zadrżała mu, nie, ani razu nie drgnęła wtedy, gdy patrzyłem na nią. Potem odwróciłem wzrok.

Nic nie widziałem. Nie słyszałem także niczego prócz bicia własnego serca. Cisza w gabinecie Lotza porażała do bólu bębrenki w uszach, nagle wraz z ciepłą falą plazmy uderzył mnie w twarz rozpaczliwy krzyk.

– Nie! – krzyknął Lotz i w tej samej chwili coś ciężko zważyło się na posadzkę.

Na ziemi leżał Salis Gordal, a nad nim klęczał Varius Lotz, i już wiedziałem, co się stało. I co trzeba zrobić. Czerwony krzyż oznaczał wyraźnie miejsce. Dokładnie tak jak trenowano mnie setki razy, wydobyłem sztuczne serce wraz z aparaturą do podłączenia i podałem je Lotzowi, który obnażył odpowiednie miejsce. Krew silnym strumieniem lała się na posadzkę. Lotz zdołał wytrącić pistolet z ręki Gordala, tak że tylko miejsce nad sercem było przepalone i część pachy. Po kilku następnych chwilach oszołomiony Lotz połączył wreszcie sztuczne serce nad przepalonym końcem głównej arterii, zręcznie oczyścił ranę skalpelem i zaciskał porwane naczynia krwionośne. A parę minut później wpadła do nas także ekipa ratunkowa rady kontrolnej.

– Sądzę, że będzie żył – powiedział Lotz już po wyniesieniu Gordala, patrząc na swe ręce poplamione mocno krwią aż po przeguby. – Na szczęście samobójcy wciąż jeszcze wolą kierować pistolet w stronę serca, nie głowy. A o zapasową głowę trudno.

– Wybacz, Lotz – powiedział Leonas i ujął go za łokieć.

– Przeczuwałem to, dlatego nie chciałem dać mu broni do ręki.

– A ja nawet nie patrzyłem... – wybąkał zawstydzony Leonas.

Jestem przekonany, że tak jak on, nie patrzyła również cała komisja. A pistolet wykonuje swe zadanie bezgłośnie. Kiedy podawałem Lotzowi sztuczne serce, dostrzegłem smolistoczną kupkę amalgamatu, pozostałą po stopionym cyborgu obok znieruchomiątych nóg jego twórcy. Smutny amalgamat metali, mas plastycznych i bioplastonów, które przed chwilą, wraz z moim pragnieniem ojcostwa, przeobraziły lalkę w czarujące zjawisko ziemskiego dziecka, skrywając przed moim wzrokiem wszystkie niedoskonałości techniki. Ruszyłem do wyjścia, nie mówiąc nawet do widzenia.

– Panie Balow – zatrzymał mnie głos Variusa Lotza. – Mieliśmy porozmawiać!

– Mieliśmy – odparłem od drzwi tonem, który powinien dać mu do zrozumienia, jak bardzo gniewam się na niego, że uczynił mnie

współuczestnikiem tej historii.

– No to za pół godziny w panoramie! – powiedział niemal błagalnie. – Będę czekał na pana. Czas na sformułowanie wniosków.

## 6

A potem, już w obliczu kosmosu, spoglądającego na nas bezlikiem swych chłodno-ciekawskich, nie oczekujących jednak niczego od nas oczu, powiedział mi:

– Tak, panie Balow, poszerzyły się ramy naszej rozmowy.

Od półgodziny już siedziałem na panoramicznym tarasie widokowym pośród parku – jednym z cudów Ikaru. Patrzyłem na gwiazdy, galaktyki i obłoki pyłne na naszym niebie i rozmyślałem, rozmyślałem z gorączkowym zamętem młodej duszy, i jeśli pragnąłem teraz coś usłyszeć, to dwa, trzy słowa pocieszenia, wypowiedziane jedynie przez Majolę Beni. Niebo, które nie powiedziało mi nic przez te pół godziny, było oczywiście i nieprawdziwe, i prawdziwe, jak wszystko na Ikarze. Przemyślny system optyczny wprowadził je przez dziesięciokilometrową skalną otulinę, jednocześnie usuwając deformację, powstałą wskutek naszego ruchu względem gwiazd. Stumetrowy taras był tak skonstruowany, że spacerując po nim, było się w odkrytym, z trzech stron otoczonym łagodnymi i życzliwymi światłami niebieskimi, kosmosie, W którym można spacerować w koszuli i wdychać wspaniałe, nasycone ozonem wysokogórskie powietrze i nawet posłuchać muzyki... Jakiejś cichej i dziwnej muzyki, tym razem fragmentu dobrze mi znanego utworu, lecz nie usiłowałem sobie przypomnieć, skąd ją znam, by nie zakłócać jej kojącego działania na moją przygnębiającą duszę. Leżałem jedynie w wielkim miękkim fotelu, w którym można było nawet kołysać się, jeśli miało się na to ochotę, i bardzo pragnąłem uciec od wszystkich myśli w zapomnienie, ale zjawił się Varius Lotz.

Czekał, aż go dostrzegę, ale nie zareagowałem choćby odwróceniem głowy. I wtedy Varius Lotz zaczął się usprawiedliwiać:

– Uratują go, byłem u niego. Rada kontrolna postanowiła go zahibernować na przysługujący mu okres...

Pomyślałem apatycznie, że Gordal właściwie otrzymał to, czego chciał: przez dziesięć lat będzie martwy, a potem wmontują mu mechaniczne serce i poprawią to i owo w jego mózgu... jak u Alka. A więc udało mu się popełnić samobójstwo, ponieważ za dziesięć lat zbudzą innego człowieka...



– Obawiam się, że nie wszystko pan zrozumiał, panie Balow. Chciałem oszczędzić biedaka i nie wyjawilem wszystkiego przed komisją. Rytm bioprądów i wykresy prądów w jego mózgu były identyczne jak te, na których pracował blok holograficzny i samodoskonalące się urządzenie w cyborgu. Jestem przekonany, że pragnął się odtworzyć, stworzyć swego sobowtóra, który rósłby na jego oczach...

A czy klonowanie, pomyślałem apatycznie, nie jest takim właśnie odtwarzaniem się? Nieszczęsny Salis z pewnością zapragnął stworzyć swą biomechaniczną kontynuację, ponieważ jako konstruktor robotów pracował jedynie na zamówienie, i nigdy nie zdołałby stworzyć czegoś, co dałoby mu prawo do posiadania własnego dziecka. Więc stworzył dziecko, a my zabiliśmy to dziecko, widząc w nim zagrożenie dla świata, który reprezentujemy...

Varius Lotz nie przestawał się usprawiedliwiać:

– Sam fakt, że ukrywał to... gdybym nie uciekł się do aparatury obserwacyjnej... jestem dość podejrzliwy, już kiedy zobaczyłem tę brodę, zapuścił ją, by ukryć podobieństwo, które nadał dzie... cyborgowi. Właśnie za jej sprawą nabrałem podejrzeń i gdy uszkodziła się aparatura, uznałem, że to nie przypadek, że to po to, by ukryć coś przed nami...

Lecz wcale nie triumfujesz i nie cieszysz się swym nędznym zwycięstwem, pomyślałem w duchu. Czy to aż takie straszne mieć mechanicznego sobowtóra? Na Ikarze jest dość przestronnie, zapewne nikt nie zapragnąłby mieć więcej niż jednego sobowtóra. I sobowtóry te byłyby trwalsze od nas, i traktowałibyśmy je jak swe duchowe dzieci, przecież to jest najważniejsze, a nie fizyczna kontynuacja rodu, tak twierdzą od niepamiętnych czasów moralisci, a przecież sprawy znów dotyczą...

– ...początku dezercji od ludzkiej natury – tłumaczył Varius Lotz. – Niedawno rozmawialiśmy z panem o sacrum. Być człowiekiem to sacrum, panie Balow...

Cóż znowu w tym takiego świętego, pomyślałem z rozdrażnieniem, dwadzieścia trzy chromosomy łączą się z dwudziestoma trzema chromosomami, geny, zaprogramowana spirala DNA, RNA – matryca, enzymy i tak dalej, ale przyjmuje się to w ten sposób tylko wtedy, gdy odnosi się do innych, nie do ciebie, siebie uważasz za nie wiadomo jaki cud w przyrodzie, i boli cię...

– Tak, panie Balow, jako kontrolerzy zobowiązani jesteśmy strzec owego sacrum człowieczeństwa. To nasza jedyna obrona przed wielkim sacrum wszechświata, ponieważ czyni nas równym mu. I nie wolno nam tolerować żadnego odstępstwa, jeśli nie chcemy, by ludzkość w tej części

Galaktyki, w której się znajdujemy, a tu właśnie my jesteśmy ludzkością, zatraciła swą istotę, tracąc własną godność. Jestem wesołym człowiekiem – nie przestawał usprawiedliwiać się Varius Lotz. – Wie pan, że lubię żartować ze wszystkiego i ze wszystkich, z tego jednak żartować nie wypada...

Patrzyłem na wielkie sacrum zwane wszechświatem – nieuchwytnie, nieosiągalne, nieodgadnione – i kołysząc się lekko w krześle, nie wiadomo dlaczego powiedziałem:

– Zabawa to także sacrum, panie Lotz. Może Gordal nie okłamywał nas, może istotnie studiował fenomen zabawy, może sacrum życia nie objawia się z chwilą jego narodzin, ale w zabawie? A dzieci na Ikarze nie bawią się...

– Zabawa jest samokształceniem – odpowiedział beznamiętnie; z pewnością wolałby, abym się nie odzywał, by móc kontynuować swój monolog-usprawiedliwienie. – Sacrum tkwi jedynie w przyjemnościowym momencie, a pozorna bezcelowość zabawy w jej bezinteresowności, w niepokorze wobec rodziców, stanowiąc wciąż dźwignię ewolucji...

– Słusznie – przerwałem jego rozważania. – Zabawa jest wolnością. Dlatego dzieci na Ikarze nie bawią się.

A później chciałem wyznać Majoli, wypłakać przed nią w ciemności: „Zanim stworzyłem dziecko, Majolu, zabiłem dziecko”. Ale teraz powiedziałem jeszcze:

– Brak pokory kosztował Ikara życie, a ludzkość uczyniła go bohaterem.

– Racja, mieliśmy mówić o tym, kto był szczęśliwszy – przypomniał sobie Varius Lotz i roześmiał się gorzko. – I co, rozwiązał pan moją zagadkę? Czy także pan nie ma już na to ochoty?

Podniósł palec.

– Słyszysz pan? – wskazywał niewidzialny głośnik, napełniający muzyką taras i kosmos nad nim i dopiero wtedy uświadomiłem sobie niezwykłość zjawiska: głośników używa się tylko w sytuacjach awaryjnych bądź w wyjątkowe święta, w innym przypadku nikt nie ma prawa zmuszać cię do słuchania czegokolwiek. Jeśli pragniesz muzyki, masz domowy i kieszonkowy poliwizor.

– Dziwne – powiedziałem. – Co to znaczy?

– „Poemat o szczęściu”.

Rzeczywiście, teraz jednak w nowej aranżacji. Już od półgodziny słuchałem go z przyjemnością, z pewnością dlatego, że słuchałem jednym uchem i nie rozpoznałem utworu... Oby tylko Majola nie dowiedziała się,

że nie rozpoznałem jej poematu!

– Panie Lotz, czy nie przychodziło panu do głowy, że wszystkie te gwiazdy i galaktyki umyślnie wydają się tak małe, by człowiek mógł czuć się wielki?

Lotz także patrzył na nie. Był odwrócony plecami, lecz wyczułem, że śmieje się bezgłośnie.

– I aby nie przestawał marzyć o zostaniu Ikarzem – ciągnąłem, zagapiwszy się na jakąś sinusoidalną galaktykę, podobną do noworocznej choinki, osypanej śniegiem wewnętrznych mgławic.

– Gdyby ten sympatyczny smarkacz, którego imię nosimy, wiedział, jak ogromne jest Słońce i jaką ma temperaturę, nie leciałby ku niemu. Człowiek zostaje bohaterem dzięki swej głupocie, panie Lotz, i swej niewiedzy...

Varius Lotz nie odwrócił się, lecz teraz śmiał się już w głos:

– No dalej, dalej! Widać pańskiemu samotnemu chromosomowi Y znów zrobiło się nudno i postanowił się rozerwać. Jakim logicznym wnioskiem zakończy pan te rozważania?

– Że wznosząc pomniki bohaterom, ludzkość w rzeczywistości składa hołd własnej ignorancji – zatriumfowałem rozzłoszczony. – I że z tamtych dwu Ikar był szczęśliwszy: tylko głupiec i ignorant potrafi być szczęśliwy.

– O, właśnie – potwierdził wesoło Lotz. – Na szczęście szczęście stanowi kategorię zewnętrzną i przysądzana bywa przez innych. W swym natchnionym wywodzie zapomniał pan jednak o dwu najważniejszych momentach... Ikar był jeszcze dzieckiem, co każe przyjąć, że w jego osobie ludzkość wznosi pomnik własnego dzieciństwa. Po drugie, mądry i wszystko wiedzący ojciec Dedal radzi dziecku, aby leciał środkiem. Zapomniał pan widzieć dokładnego tekstu bajki. Nie za nisko, radzi mu Dedal, by morską wilgoć nie zmoczyła ci skrzydeł, i niezbyt wysoko, by nie osmałiło ich słońce. To zasada złotego środka...

– Filozofia przystosowania, filisterstwa.

– Zgoda. Lecz to już jej wtórny, społeczny aspekt. Wnikając głębiej, to filozofia ocalenia. Gdyby wszyscy byli Ikarami, ludzkość wyginęłaby. Ikar to bądź co bądź syn nie kogo innego, jak genialnego mistrza Dedala. Są nierozdzielni. Ikar istotnie nie jest żadnym bohaterem, jest ofiarą, cierpieniem, jakim Dedal płaci za intuicję, że ludzkość odczuwa potrzebę nie tylko wydostania się z labiryntu, jaki sama sobie zbudowała, lecz także potrzebę wzlotu. Wyżej! Zawsze wyżej ponad ustanowiony dla danego czasu złoty środek! I wtedy mistrz zabiera się do skonstruowania nowych skrzydeł, na których uda się wzbić wyżej niż dotąd... A wznoszone przez

nas bohaterom pomniki są pomnikami naszego cierpienia, pomnikami instynktu, każącego nam ponosić ofiarę, by urzeczywistniła się zasada ewolucji...

– Tak – powiedziałem, by przerwać obraźliwe dla mnie moralizowanie.  
– Ja także zawsze uważałem, że wysłaniem Ikaru ludzkość dała dowód swej niedojrzałości. Ale to piękne, że i dla tego potrafi pan znaleźć poetyckie usprawiedliwienie. Czy to znaczy, że i my jesteśmy tylko cierpieniem, ofiarą ludzkości na ołtarzu niewiedzy? Nie jest to dla mnie żadnym pocieszeniem, drogi panie Lotz!

Jestem próżny i nie mam ochoty leżeć pod wspólnym pomnikiem. Dlatego sądzę, że mogli spokojnie z tym jeszcze trochę poczekać.

– Nie jesteśmy aż tak nie przygotowani! Oczywiście, z punktu widzenia ówczesnego „złotego środka” nasz Ikar także wzleciał na woskowych skrzydłach ku Słońcu. Ale, mówiąc pana stylem, panie Balow, najpiękniejsze w naszej ludzkości jest to, że nie podejmuje niczego, dopiero wówczas, gdy może uczynić to bez ryzyka...

Gdy odwrócił się ku mnie, wydał mi się jeszcze bardziej potężny i majestatyczny na tle jaskrawych gwiazd i ciemnych mgławic. Zarazem jego patetyczna poza budziła obawę, że jeśli uczyni choć krok wstecz lub w bok, spadnie w otchłań wszechświata. Trzeba przyznać, że robił wrażenie ten Ikarczyk!

Gdyby tylko darował sobie zbędne komentarze...

– Jak każde wielkie przedsięwzięcie, także nasz Ikar zrodził się natychmiast, gdy tylko technika umożliwiła jego stworzenie, przede wszystkim jednak jest on płodem nie uświadamianych sobie wówczas przez ludzkość jej filozoficznych, społecznych i moralnych potrzeb. Piramidy nie były megalomańskimi kaprysami faraonów, panie Balow, Babilon także nie mógł czekać, aż pojawią się dźwigi.

Głos Variusa Letza nabrał melodyjności, słowa brzmiały dźwięcznie i zniewalająco, ponieważ jak wszyscy Ikarzycy również on był świetnym mówcą...

– Ludzkość zawsze uznawała za najszcześniejszy taki los, który przekształcał się w mit i wzorzec postępowania. Dedal jest symbolem rozumu, geniuszu twórczego, lecz oto ludzkość przeobraża we wzorzec nie jego, lecz nieposłusznego synka. Tak samo z nami, panie Balow, możemy być sobie nieszczęśliwi, cierpieć do śmierci, na Ziemi jednak z pewnością już staliśmy się mitem. I mitowi temu musimy służyć. Do końca!

Ze zdumienia o mało nie spadłem z fotela-huśtawki:

– To znaczy... że nie uważa pan, iż Ikar powinien wrócić na Ziemię?

– Nie – odparł cicho i uroczyście jak spiskowiec. – Wracający Ikar nie byłby żadnym Ikarem. W najbliższym czasie należy wreszcie definitywnie postanowić, czy uczynimy z naszego Hidalga prawdziwego Ikara, czy nie.

Z właściwą sobie afekcją wyciągnąłem do niego rękę, by zapewnić go, że przyjmuję propozycję sojuszu, lecz uścisnął ją machinalnie i bez jakiegokolwiek patosu powiedział:

– Szczęście, przyjacielu, to nie powrót tam, skąd wyruszyliśmy, choćby w chwale zwycięzców! Szczęście to przekształcanie siebie w kontynuację. Twór mistrza Gordala nie był w stanie przekształcić się w żadnego nowego Ikara i zabiłem jedynie niebezpieczną pseudokontynuację. Dlatego nalegałem, aby i pan uczestniczył w zabójstwie. Proszę mi wybaczyć!

Puścił moją rękę, okręcił się na pięcie i prawie zbiegł z tarasu. Pozostałem sam wpatrzony w migotliwe oblicze wszechświata, nie przejawiającego absolutnie żadnego zainteresowania tym, czy jesteśmy szczęśliwi czy nieszczęśliwi. Może dlatego, że sam bez reszty pochłonięty jest własnym szczęściem nieustannego rodzenia i rozpamiętywaniem własnego nieszczęścia, iż wszystkie jego dzieci-galaktyki uciekają panicznie od siebie. Patrzyłem na gwiazdy, patrzyłem na galaktyki, lecz żadna nie wabiła mego wzroku czymś nadzwyczajnym, żadna nie miała zniewalającej magii i życiodajności starego ziemskiego Słońca.

Czy Ikar odnajdzie swoje Słońce, dla którego warto spłonąć? Ostatnie akordy „Poematu” wiodły mnie ku Majoli Beni.

## Dyskusja

### 1

Gdybym nazajutrz poszedł do ojca, oszczędziłbym i Ikarowi, i sobie wielu kłopotów. Z rozmowy z Lotzem wyciągnąłem jednak błędne wnioski, iż mam znacznie więcej potencjalnych sojuszników, że wystarczy jedynie wydać okrzyk wojenny, by stanęli przy mnie. Poza tym sama Majola skłoniła mnie do tego rozpaczliwego postępu. Nie przejawiała żadnego zamiaru zbuntowania się przeciw kontroli genetycznej, jakby było jej zupełnie obojętne, jakie i czyje dziecko urodzi; tym sposobem jeszcze bardziej rozpałała moją ambicję, i oto po prawdziwie dramatycznej nocy – nocy, w której opowiedziałem jej o dziecku Balisa Gordala – zły i rozdrażniony z niewyspania stanąłem przed pierwszym koordynatorem, którego fantomowej obecności nie przestawałem odczuwać od wczorajszego dnia.

– Muszę zobaczyć się z panem – zawołałem, nie skrywając swych uczuć wobec niego.

Zamierzałem zażądać od rady astronautów, by uczyniła wyjątek w genetycznej kontroli – skoro jestem eksperymentem, niech doprowadzi eksperyment do końca! Naturalnie, odmówi, ale wtedy spróbuję wymusić to szantażem, że doprowadzę do publicznego rozpatrzenia przypadku „Salis Gordal” jako prawdziwie patologicznego rezultatu przeżytej kontroli genetycznej. A osąd taki usiłowałem za wszelką cenę sprowokować, mimo obowiązującej mnie tajemnicy służbowej.

Nie byłby oczywiście pierwszym koordynatorem, nie byłby w ogóle astronawigatorem, gdyby stracił zimną krew wobec podobnie nagłego i nieprzyzwoicie przedwczesnego ataku. Odparł z absolutną szczerością:

– Dobrze, doktorze Balow. Bardzo dobrze, że zgłosił się pan odpowiednio wcześnie, bym zdołał zmieścić pana w swym harmonogramie.

Zamiast spieszyć się tą gotowością przyjęcia mnie tego samego dnia, stałem się jeszcze bardziej impertynencki.

– Chodzi o osobisty kontakt, nie o telewizytę. Może okaże pan wspaniałomyślność i pozwoli mi ujrzeć się wreszcie na żywo.

Widziałem jedynie jego twarz na miniaturowym ekraniku kieszonkowego poliwizora.

– Czyżby nigdy mnie pan nie widział? – zapytał ze stoickim spokojem.

– Nigdy. Przypuszczam, że także inni nie widzieli pana od dawna.

– Widać nie odczuwali takiej potrzeby.

– Sądzę, że pierwszy koordynator powinien częściej pojawiać się wśród ludzi.

– Historia dowodzi czegoś przeciwnego, doktorze Balow. Ludzie powinni odczuwać obecność władzy tylko wówczas, gdy jest im niezbędna. W przeciwnym razie zawsze wywołuje ich niezadowolenie.

Nienagannie gładkie i mądre odpowiedzi Ikarczyków zawsze doprowadzały mnie do szału. Powiedziałem:

– Sądzę, że wczoraj i bez pańskiego udziału zabilibyśmy dziecko.

Zapytał bez wahania:

– Czy to będzie tematem pańskiej wizyty?

– Nie. Mam nadzieję, że mniej nieprzyjemny temat.

– Jestem do pana dyspozycji. Dlatego nazywa się nas koordynatorami, że jedynie uzgadniamy sprawy. Wolno nam rozmawiać tylko na tematy narzucone przez innych...

Wydało mi się to wręcz zdradą, przełknąłem jednak złośliwą replikę, ponieważ mimo wszystko czekała mnie rozmowa z nim, poza tym coś mi mówiło, że nierozumnie jest tak bezwzględnie nienawidzić człowieka, którego nawet nie widziało się na oczy.

– Lecz odrobina praw, jakie mi pozostawiono – ciągnął – pozwala mi przynajmniej wybrać kompana do śniadania, jeśli nie jadł pan jeszcze śniadania, panie Balow, będzie mi miło ujrzeć pana przy moim stole.

Takiego zaszczytu doprawdy nie spodziewałem się! Dopiero później uświadomiłem sobie, czemu go zawdzięczałem: nie była to próba przekupienia mnie, czuł się dostatecznie silny, by pozwolić sobie na rozrywkę zjedzenia śniadania z człowiekiem, którego wrogość, jak to się mówi, biła ze wszystkich porów jego ciała.

Nie wiem, czy warto, bym zajmował was tym, jak wygląda śniadanie pierwszego koordynatora pierwszej intergalaktycznej ekspedycji. Nie jestem pewien, czy była to kokieteria, czy zwykły demagogiczny chwyt. Jego towarzyszka życia pojawiła się tylko po to, by powitać mnie w swoim domu. Nigdy dotąd chyba jej nie spotkałem – bezosobowa ikarska piękność z całym zapewne wachlarzem naukowych specjalności, ponieważ za czarującym ukłonem gospodyni wyczuwało się niecierpliwość, by gdzieś pobeżać. Co zresztą zrobiła. Mieszkanie, dokładnie tej samej wielkości co mieszkania wszystkich Ikarczyków, wydawało się urządzone ascetycznie, by nie powiedzieć, bez smaku! Dlaczego moja matka nie zajęła się jego urządzeniem? A może chcieli podkreślić, że spoczywająca na nich wielka odpowiedzialność nie

zostawia im czasu na zajęcie się domem?

Ubrany był jednak dobrze, co podkreślało jeszcze jego dojrzałą urodę. Szeroki pas służbowy, z wetkniętymi weń najróżniejszymi aparatami i urządzeniami nadawczymi, przydawał sylwetce giętkiej smukłości. Nosił czarną koszulę, połyskliwą jak czerń kosmosu; opalizujący metalicznie materiał spodni sprawiał, że dolna połowa ciała wydawała się jak odlana z tytanu. Z pewnością od lat nie wkładał skafandra, włosy miał jednak zwyczajem astropilotów krótko podstrzyżone. Posiwałe na skroniach, podkreślały młodzienczość śniadej twarzy o nieco azjatyckich rysach. Najbardziej azjatyckie były oczy, nie dlatego, że były wąskie i podłużne, ile z powodu głębokiej, nieprzejrzystej, grafitowoczarnej barwy, i z powodu grubych powiek, podkreślających ciężar spokojnego, lecz wyjątkowo władczego spojrzenia.

Widać zdawał sobie sprawę z siły swego spojrzenia, bo przez cały czas naszego śniadania starał się je złagodzić. Jego zaskakująco miękka dłoń zdradzała jednak, że nie poświęca zbyt wiele czasu ćwiczeniom siłowym. Gdy witaliśmy się, powiedział wesoło:

– Witam, panie Balow, i proszę o wyrozumiałość! Muszę przyznać, że odczuwam prawdziwie sceniczną treść, po raz pierwszy ukazując się oczom pierwszego prawdziwego obywatela Ikara.

Żadnej treści oczywiście nie odczuwał albo też wybornie nad nią panował i wcale nie miał zamiaru przesadzać we wspaniałomyślności wobec mojej osoby. Rzeczowy ton dowodził, że nie poświęci mi ani minutki więcej, niż przeznaczył na śniadanie. Natychmiast rzucił mi dosyć ubrudzony jadłospis i zapytał:

– Wybierzemy coś specjalnego, czy też jak ja jest pan niewolnikiem stereotypu? Mam tylko trzy warianty śniadań, za to porcje są potrójne. To mój najważniejszy posiłek. Gdy najem się dobrze rano, mogę obywać się bez obiadu. W ten sposób można zaoszczędzić wiele czasu.

Kartkowałem opasły jadłospis, zawierający zestawy i numery dokładnie dziesięciu tysięcy potraw, choć i ja miałem swoje ulubione śniadania, których numery kodowe znałem na pamięć. Uspokajałem się w ten sposób, lecz nie wiadomo dlaczego postanowiłem nagle zamówić coś zupełnie szalonego. Kiedy podałem cyfry, koordynator uniósł czarne brwi i ciężkie powieki.

– To chyba coś wyjątkowego, numer nic mi nie mówi.

Z powodu mojej głupiej zachcianki automat rozbrzmiał swym melodycznym gongiem dopiero po upływie piętnastu minut. Pierwszy koordynator Ikara osobiście podszedł do kuchennej niszy i osobiście podał



mi śniadanie. Jego psychorobot stał zagadkowo w kącie, zwiesiwszy swe osiem kończyn. To „zagadkowo” to moje dopowiedzenie oczywiście – psychorobot, dokładnie tak jak jego pan, nie objawiał żadnych uczuć. Podczas gdy czekaliśmy – jak mi się wydało, bez końca – i podczas nakrywania do stołu, mój znamienity gospodarz wypowiadał grzecznościowe niezobowiązujące zdania w rodzaju:

– Mam nadzieję, że nasza cudowna Beni nie gniewa się, że oderwałem pana od rodzinnego śniadania. Ma pan niezwykłą małżonkę, panie Balow, proszę jej strzec, mój drogi, jak największego skarbu, wątpię, czy jest obecnie na Ikarze ktoś drugi tak potrzebny Ikarowi jak Majola i jej pieśni...

Automat kuchenny to wspaniały wynalazek – w przeciągu kilku minut przyrządzi ci najdziwniejsze potrawy spośród dziesięciu tysięcy przepisów, a po wykręceniu specjalnego szyfru możesz zamówić sobie danie według własnej receptury. Uważano, że skoro nudzisz się w kosmosie, powinieneś przynajmniej dobrze się odżywiać i żywiono Ikarczyków wybornie. By nie psuć wam apetytu, nie będę opisywać, jak wszystko to przygotowuje się z kilku podstawowych produktów syntetycznych, doprawianych odpowiednimi smakami i zestawami aromatycznymi, jak strawione, ponownie jest wykorzystywane, i tak bez końca. Automat nie jest temu winien. Nie był również winien temu, że wybrane przeze mnie śniadanie okazało się w guście może jakiejś innej cywilizacji. Chcąc ukarać siebie za to i nie dać gospodarzowi okazji do drwin, zajadle wlewałem mdłą papkę w swój żołądek. Koordynator spostrzegł jednak moją przesadną gorliwość, złowił zapewne także moje zawistne spojrzenie, kierowane mimo woli ku stercie talerzy i szklanek, ustawionych przed nim, bo rzekł niby od niechcenia:

– Rzeczywiście szkoda, że nie można spotykać się ze wszystkimi, by poznać ich bliżej, tak jak znam ludzi mojego pokolenia. Pobieżne zapoznanie się z kartoteką nie mówi nic o człowieku... Jeśli któraś z moich potraw kusi pana, proszę nie krępować się! Tym razem wyraźnie przeceniłem swoje możliwości.

– Dziękuję – pospieszyłem z odpowiedzią. – Bardzo to lubię i wystarczy mi w zupełności.

Miałem ochotę walnąć talerzem w kąt pokoju. Dobrze, że chociaż sok, który zamówiłem na deser, okazał się znośny i pomógł mi przełknąć papkę. W takim nastroju, oczywiście, nie mogłem pozostać dłużny:

– Ja nawet nie miałem możliwości zapoznać się z pana kartoteką. Absolutne kłamstwo, lecz ciężkie powieki ani drgnęły.

– Dlaczego? Jest przecież ogólnie dostępna. Chciałem jednak powiedzieć coś innego: sama kartoteka, nawet najpełniejsza, nie daje wyobrażenia o problemach, jakie zajmują w danej chwili człowieka. Pana problemy jednak, zdaje się, nie są tajemnicą dla nikogo na Ikarze – uśmiechał się delikatnie, robiąc aluzję do przyznanej Majoli nagrody.

– Zatem wie pan, z czym przyszedłem – odpowiedziałem przełykając z ulgą ostatnie łyżki wstrętnej, lecz z pewnością bardzo pożywnej papki.

– Tak, wiem także o pańskiej dysertacji. Cieszę się, że młody człowiek dojrzał nowe sprawy w prastarym temacie „maszyna-człowiek”. Pański ojciec podpowiedział mi, że zamierzony przez pana eksperyment z psychorobotami można by połączyć z ważnym zadaniem astrofizyków; nie mam nic przeciwko temu, by wyrażono zgodę na podobny lot, lecz także jemu powiedziałem, boję się, że będzie musiał odłożyć swe zajęcia...

– Dlaczego? – nastroszyłem się, dostrzegłszy, że kieruje rozmowę na temat mojego przyszłego eksperymentu.

– Widać niezbędne jest, by od czasu do czasu przejrzeć także własne dossier. Według niego za miesiąc powinien pan udać się do biokamery.

Omam nie spadłem z krzesła. I kto wie, w jak długim czasie znów byłem w stanie przemówić:

– To niemożliwe!

– Niestety – powiedział i uśmiechnął się nawet ze współczuciem. – Według regulaminu jest pan zmiennikiem Lionela Redstara, a on urodzony jest po panu.

Jak niepostrzeżenie biegnie czas! Kiedy pan się urodził, kiedy nastąpiła pora, by...

– Niemożliwe! – powtórzyłem, wbijając paznokcie w miękkie obicie krzesła. – Ten regulamin został wprowadzony przed moim urodzeniem. Nikt nie pytał mnie, czy chcę być hibernowany. Nic mnie nie obchodzi regulamin!

Musiałem dosyć głośno krzyczeć; z pewnością histeryzowałem i było to zrozumiałe. W chwili, gdy przepełnia cię energia, kiedy kipiś chęcią walki i samopotwierdzenia, gdy masz nadzieję przynajmniej na własne dziecko, nagle – śmierć! Tak, trwająca dziesięć lat hibernacja to prawdziwa śmierć.

– Obawiam się, panie Balow, że w tej sprawie nie mogę być panu w niczym pomocny – powiedział z łagodną, lecz nieubłaganą stanowczością w głosie mój gospodarz. – Tylko zebranie ogólne Ikara może zmienić prawo lub uczynić odeń wyjątek.

– Proszę zwołać zebranie ogólne!

– Wątpię, czy zdołałbym zainteresować całą radę astronawigatorów pańskim problemem, jeśli zbierze pan jedną trzecią głosów...

To było już prawdziwe pastwienie się. Nader łatwo zmusiłby radę astronawigatorów do zwołania zebrania ogólnego, ja zaś nigdy nie zebrałbym jednej trzeciej głosów pełnoletnich Ikarczyków. Musiałem wyglądać strasznie, bo pierwszy koordynator wstał ze swego miejsca, cofnął się kilka kroków, pięknym gestem położył rękę na pasie służbowym i powiedział, kończąc tym moją wizytę:

– Z pewnością jednak uda mi się zorganizować dla pana dyskusję. Ta zaś może spowodować zwołanie upragnionego przez pana zebrania ogólnego. Proszę mnie zrozumieć, panie Balow, zostałem wybrany, by strzec nienaruszalnych praw Ikara, a nie, by ułatwiać ich naruszanie. W tym sensie jestem nawet zobowiązany być trochę konserwatystą i dogmatykiem. Proszę nie być zaskoczonym, jeśli w ewentualnej dyskusji zajmę konserwatywne według pana stanowisko.

– Nie będę zaskoczony – powiedziałem załamany. – Mimo wszystko dziękuję za dobrą wolę. I za śniadanie.

I wyszedłem, nie podawszy mu ręki. Przeczuli to, bo pozostał w tej samej pozycji, z rękami na pasie, w lekkim rozkroku, piękny i wspaniały zwycięzca.

Dopiero gdy byłem przy drzwiach, odezwał się:

– A pierwszy pański problem? – nieomylnie odgadł, że już mnie nie interesuje.

– Staje się bezprzedmiotowy – odparłem, ponieważ istotnie w tej chwili było mi zupełnie obojętne, jakie dziecko się urodzi, i tak zobaczę je dopiero wtedy, gdy skończy dziesięć lat.

– Cieszę się, że są takie problemy, o których myślimy podobnie – nie wytrzymał, by nie podkreślić mojej klęski. – Miło mi będzie znów pana zobaczyć. Pozdrowienia dla Majoli!

I rozstaliśmy się jako nieprzejednani wrogowie.

## 2

Jeszcze tego samego popołudnia Majola powiedziała:

– Zenonie, obawiam się, że to, co nazywasz u siebie chromosomem zła, jest chromosomem próżności. Znów zajmujesz Ikara własną osobą.

Okazało się, że pierwszy koordynator już wyznaczył termin dyskusji. Na następny dzień. Musiał być absolutnie pewien swych Ikarczyków i chciał zadać mi śmiertelny cios, jak również dać przykładową lekcję tym

wszystkim, którzy ośmieliliby się zakłócić porządek na Ikarze. Zaczepka Majoli, kobiety rzekomo kochającej mnie, zdawała się to potwierdzać.

– Wolisz mnie w stanie zahibernowanym, prawda? – próbowałem ukryć, jak bardzo mnie zraniła.

Spojrzała na mnie ciemnymi, wilgotnymi oczyma, z których nigdy nie znikał murzyński smutek.

– Dopuszczałam to początkowo. Pomyślałam, że zażadam pewnego naruszenia regulaminu, byśmy mogli razem wejść do komory, lecz kiedy przyszła ta nagroda, pomyślałam, że przynajmniej nie będę sama czekając na ciebie...

Dlatego tak cieszyłam się na dziecko. A teraz tylko rozniecasz próżne nadzieje.

– A więc wiedziałaś?

– Jakby inaczej? Przecież jestem Ikarką! Czy mogłam nie zajrzeć do akt ukochanego?

– I nie pisnęłaś słówka?

– Widziałam, że zapomniałeś, po co miałam cię niepotrzebnie martwić? Po raz pierwszy idziesz do biokomory, a to rodzi poczucie skazania. Nasze krótkotrwałe szczęście przynajmniej dla ciebie nie miało tragicznego odcienia. A kiedy niedawno powiedziałeś, że czeka cię długa podróż, pomyślałam, że właśnie to masz na myśli.

Dlatego ta zadziwiająca kobieta płakała naszego pierwszego wieczora, a pieśni, które mi śpiewała, były najstarsze z najstarszych i najsmutniejsze z najsmutniejszych!

I oto upragniona przeze mnie wojna zaczynała się w najbardziej niedogodny dla mnie w taktycznym i strategicznym sensie sposób: pierwszy cios zadał przeciwnik, sam wybrawszy czas i kierunek uderzenia, ja zaś dysponowałem jedynie emocjonalnymi i abstrakcyjnymi, moralnymi dowodami w obronie swego prawa. Z pomocą jakich poważnych argumentów zdołam dowieść, że Ikar i jego misja zyskają na odrzuceniu tej praktyki, która podtrzymywała młodość i sprawność Ikarczyków, a pomagając pokonywać potworne przestrzenie międzygwiazdne, podtrzymywała w nich nadzieję na szczęśliwy powrót! Do tego wszystkiego nie byłem zbyt elokwentny, z całkiem usprawiedliwionym więc poczuciem skazania zająłem miejsce w sali posiedzeń, w której miałem siedzieć trzy dni z rzędu od czternastej do piętnastej, oczekując, aż ktoś łaskawie zechce zabrać głos. Porę również przemyślnie wybrał mój przeciwnik – godzinę, gdy człowiek ma najmniejszą ochotę na dyskusję.

To ta sama sala, w której obraduje rada astronawigatorów –

prawdopodobieństwo podświadomej myśli: władza i naród stanowią nierozdzielalną jedność. Surowa i uroczysta elegancja bez zbędnych efektów. Wokół automatów protokołująco-sprawozdawczych i statystyczno-obliczeniowych (te automaty kierują wyborami i wszelkimi referendumami na Ikarze; każdy ma bezpośrednie połączenie z nimi z domu) ustawiona jest dokładnie odliczona liczba krzeseł. Dla widzów wydzielono symbolicznie ozdobnym sznurem coś w rodzaju galerii, każdy sam nadmuchiwał fotel, jeśli zamierzał usiąść i na żywo słuchać posiedzenia. Z tym, że na żywo siedzisz ty, a w krzesłach siedzą holograficzne zjawy astronawigatorów, ze względów bezpieczeństwa zabrania się bowiem przedstawicielom władzy na Ikarze zbierania się w jednym miejscu i jednoczesnego opuszczania swych oddalonych od siebie o kilometry sektorów.

Innym razem tu prowadziło się otwarte dyskusje na wszelkie tematy nie stanowiące niczego innego prócz miłej rozrywki, to jest znów rozgrywały się przedstawienia, mające na celu uśpienie potrzeby demokracji u Ikarczyków.

Nie chciałbym jednak być niesprawiedliwy. Już powiedziałem, że ograniczenie kontaktów osobistych między ludźmi usprawiedliwiały nie tyle niebezpieczeństwa zewnętrzne – te zgrabnie i z daleka Ikar omijał – to sam Ikar stanowił dla siebie największe niebezpieczeństwo. Asteroida Hidalgo, przekształcona w planetę-gwiazdolit, stanowiła w rzeczywistości gigantyczną bombę wypełnioną najrozmaitszymi rodzajami energii, jakie ludzkość zdołała dotąd opanować. Wśród nich wcale nie najslabsza, choć niewątpliwie najmniej opanowana, była energia psychiczna.

W podobnie zamkniętym społeczeństwie jak nasze konflikty powinny być możliwie najbardziej wyciszane, oto dlaczego metoda swobodnej wymiany myśli stanowiła jeden z niezastąpionych psychicznych wentyli. Tu mogłeś z pomocą słów, intonacji, gestykulacji ulżyć swej duszy, otworzyć na chwilę zawory niszczącej energii, w którą natura wyposażyła twoje ciało... Dlatego w tej sali dozwolono Ikarczykom nazywać się, jak kto zechce. I więcej niż dziwi, gdy ci wspaniale wychowani, poprawni i oficjalni w obcowaniu z sobą mężczyźni i kobiety stają się niewyobrażalnie pomysłowi w wymyślaniu obelg i złośliwości pod adresem swych przeciwników, gdy ze śmiesznie błahych powodów wrzeszczą jak dzikusy i z wytwornych współbiedniaków we własnych salonach przeobrażają się na oczach całego Ikara w histerycznie przeklinających głupców. Oto jeszcze jeden powód, dla którego w sali siedzi jedynie ten, kto sprowokował dyskusję i gapie, jeśli są tacy,

a oponenti ukazują się w hologramie, gdy wyjdzie któryś ze skóry, nie ma możliwości uderzenia przeciwnika, zresztą to dosyć śmieszne podnosić rękę na zjawę. Chytrze wszystko obmyślono, by w człowieku takim jak ja zabić wszelką chęć dyskusji. Ikarzycy jednak lubili tę salę, potrzebne im było jej krzykliwe pustostowie jak codzienna gimnastyka, i jestem z pewnością niesprawiedliwy także wtedy, gdy obwiniam koordynatora, że umyślnie wyznaczył mi najgorszą porę! Całkiem możliwe, że nie znalazł innej wolnej godziny.

Pierwszego dnia zaszczycili mnie obecnością Majola; jej matka, Redstar i kilkoro dzieci. Tak, na galerii siedziało pięciu czy sześciu kilkunastolatków, dziewczyn i chłopców, lecz wtedy nie domyśliłem się, że przyszli tu nie tylko po to, by się rozerwać. Zaprezentowałem swoją tezę i... siebie. Nigdy się tak nie jękałem, nigdy nie wylałem tyle potu i tak się nie czerwieniłem. Prawdziwym koszmarem było sterczeć z tym moim głupim wzrostem pośrodku ogromnej sali i próbować bronić czegoś najistotniejszego dla mnie przed... kim? Przed matką, przed ukochaną kobietą, przed kolegą, z którym widuję się codziennie! I przed gromadką smarkaczy, która wytrzeszcza na mnie oczy, pełne wzruszającej, dziecięcej powagi. I nie wiedzieć, czy słucha cię ktoś jeszcze na Ikarze.

Potem nastąpiło coś jeszcze straszniejszego oczekiwanie i opuszczony wzrok najbliższych, opuszczony, bym nie dojrzał w nim, jak jestem żaloszny, i szepty dzieci. Nikt nie był łaskaw zabrać głosu – nikt nie poparł mnie, nikt nie zaoponował ani nawet nie wyśmiał. Ani razu nie zadzwonił uroczysty gong holowizora, aby zaanonsować czyjeś zjawienie się. Ikarzycy albo w ogóle mnie nie słuchali, albo nie zaszczycili mnie swoją uwagą, albo się bali. Oczywiście, najwygodniej było mi przyjąć trzeci wariant. Po raz pierwszy proponowano im prawdziwy problem do dyskusji i wystraszyli się! – Dlatego, że boicie się, zawołałem, kiedy aparat protokołujący zapowiedział koniec wyznaczonego mi czasu i początek następnej dyskusji. I w nieskończoność pragniecie wieść swój nędzny żywot! Nie czujecie, jak jesteście śmieszni ze swoimi prostackimi marzeniami, by pochwycić jedną czy drugą prawdę o wszechświecie i wrócić pożyć sobie na Ziemi, obsypani honorami... weterani kosmosu, muzealne eksponaty, pokryte międzygwiazdowym pyłem... żalozni filistrzy...

Nie pamiętam, co jeszcze wrzeszczałem, podczas gdy automat nie przestawał przypominać mi, że mój czas upłynął, a Loni szarpał mnie za rękaw, abyśmy wyszli. Dzieci zaś dopełniły komiczności sytuacji dosyć silnymi brawami.

Czułem się poniżony i zdruzgotany. Gdzie byli moi sojusznicy? Gdzie był Lotz ze swymi pięknymi bajkami o człowieku – sacrum? Zamrażają to sacrum jak lody, a on... z pewnością drży teraz, bym go nie wydał i by nie utracił swego stanowiska. Dlaczego jednak nie odezwali się przeciwnicy? Niech wyjdą, by mnie dobić! Ale niech wyjdą! Bym wiedział, że nie mówiłem w próżni, że jako pełnoprawny obywatel mam prawo do ich uwagi...

Oznajmiłem swym najbliższym, że przerywam dyskusję i nie pojawię się następnego dnia, oni zaś starali się mnie przekonać, że milczenie wcale nie oznacza braku szacunku. Takie postawienie przeze mnie problemu nie mogło wywołać dyskusji, ponieważ wszyscy Ikarczycy starszego pokolenia są po stronie systemu pozwalającego wydłużyć życie. Z drugiej strony nie czuli się w prawie zaoponować mi. A ja, powiedziała moja matka, zaoponuję, jeśli będziesz jutro kontynuować dyskusję, ponieważ jestem twoją matką i także pragnę, byś żył jak najdłużej, i dlatego, że jako matka mam prawo dawać ci rady, bo po prostu jesteś uparty...

Majola pośpieszyła jej w sukurs, a ja odrzekłem im: – Dziękuję, jesteście bardzo miłe, ale dyskusję rodzinną możemy odbyć także w domu, nie ma potrzeby zajmować sali, w której przez ten czas można by na przykład rozstrzygnąć, przy jakim oświetleniu kobieta wydaje się najmniej głupia... A Loni rzekł na to, że jeśli jutro nie zjawię się, on będzie kontynuował dyskusję za mnie. I tak uczynił.

Ja pozostałem w domu. Siedziałem przed poli wizorem i podziwiałem godny pozazdrośczenia spokój, z jakim Redstar zajął moje miejsce w teraz już, jak mi się wydało, zupełnie pustej sali. W rzeczywistości pusto było jedynie wokół pulpitu dwu automatów i stołu astronawigatorów. Zamontowana przed złowieszczą pustymi krzesłami kamera przekazująca obraz poli wizorom była nieruchoma; nie miała zdolności holograficznego systemu nadawczo-odbiorczego, który jednocześnie projektował ciebie w sali i wszystko w niej przed twoim wzrokiem. Galeria była tym razem przepełniona. Heliana przyprowadziła wszystkie starsze dzieci niemal w szeregu.

I oto do nich, do młodego pokolenia Ikara, skierował Lionel Redstar swoje przemówienie, prowokacyjnie oddzielając je od jego rodziców. Mówił „my” i „nas?” i mówił „oni”, komentując stanowisko pierwszego pokolenia Ikarczyków. Mówił prostymi zdaniami, krótko i zwięźle. Nasi rodzice, powiedział Redstar, są dziećmi Ziemi i oczywiście pragną na nią wrócić. To dla nich sens istnienia. Ich przebywanie tutaj jest czasowym obowiązkiem służbowym i naukowym. Dla nas zaś jest samym istnieniem,

któremu musimy nadać własny sens, przed którym musimy postawić własny cel. Dlatego nie mają prawa żądać od nas, byśmy je przerywali, właśnie teraz, kiedy uzbroiliśmy się w niezbędną wiedzę i możliwości. Nie jesteśmy już częścią ziemskiej cywilizacji, za jaką uważają nas rodzice. Ale nie staliśmy się jeszcze także nową cywilizacją. Ziemia nie interesuje nas. W swych kolektorach mamy ogromny zasób wiadomości o niej, nie są one jednak w stanie dać nam tego, czego nam trzeba. Znacnie pierwsze prawo nauki, młodzi przyjaciele: nie sposób zbadać zjawiska, które ma charakter jednorazowy, niepowtarzalny. Dopóki ludzkość na Ziemi nie przestaje być jedyną w naszych oczach wyższą formą materii, nie przenikniemy ani sensu jej istnienia, ani nawet pochodzenia i praw rządzących jej rozwojem. Nadzieją naszą i marzeniem jest spotkanie z inną cywilizacją, by dzięki niej zrozumieć siebie. Oto co należy zrozumieć, by przyznać nam prawo samodzielnego decydowania o korzystaniu bądź niekorzystaniu z komory anabiotycznej.

Wtedy nie byłem jeszcze w stanie ocenić, czy obrona przez Redstara taktyka jest słuszna, czy też tak ostre przeciwstawienie sobie pokoleń nie zaostrzy konfliktu. Dzieci były gorące brawa, gdy siadał spokojny, jakby w ogóle nie przemawiał, jakby nie wygłosił tych gorzkich i przerażających słów. Usiadł i cierpliwie czekał na wystąpienia oponentów. Znów na próżno. Ikar milczał. Ikar, który wysyłał nieustannie we wszystkich kierunkach sygnały i słowa zachęcające do rozmowy gwiazdy i galaktyki, odmawiał rozmowy ze swoimi dziećmi.

Czy chociaż je słyszał?

## 2

Trzeciego dnia usiadłem obok Redstara. Nie miałem prawa pozostawiać przyjaciela samego w opałach, które sam sprowokowałem. Uśmiechaliśmy się do siebie dodając sobie odwagi, uśmiechaliśmy się przyjaźnie do dzieci na galerii, demonstrowaliśmy swe współczucie tym niewidzialnym, którzy może zobaczyli nas na swych ekranach, gdy szukając jakiegoś programu rozrywkowego przypadkowo natknęli się na program z dyskusją. Także trzeciego dnia, niemal do końca godziny, nikt nie pojawił się. Ktoś tylko rzucił z pogardliwą pobłażliwością przez głośnik hologramu, nie pokazując się osobiście: „Cóż wam szkodzi wydłużyć sobie dzięki biokomorze także waszą indywidualną obecność w kosmosie?” Na co Heliana Dolia-Moreni zawołała ze swego miejsca głosikiem ochrypłego ptaszka:



– Drodzy rodzice, wydłużacie swój czas, by móc powrócić. My nie mamy do czego wracać, zrozumcie to! Nie okradajcie nas z czasu, który potrzebny jest nam, by odnaleźć swoje miejsce...

Głos jej się załamał i nie zdołała dokończyć, a ja dopiero teraz dzięki jej słowom uzmysłowiłem sobie prawdziwe rozmiary naszego dramatu. Tak, nie mieliśmy nawet iluzji powrotu! Mogliśmy tylko podążać naprzód, lecz ku czemu?

Gong... i nagle w całej swej atletycznej postaci astropilota wyrósł przy stole dyskusyjnym Alek! Hologram sprawia, że ludzie wydają się jeszcze piękniejsi.

– W pełni zgadzam się z tym, co powiedzieli moi przyjaciele – zaczął z czarującą powagą. – Z tym że muszę także zaoponować. Astropiloci nie mogą obywać się bez biokomory. Wylatując na zwiad, dzięki niej skracamy...

– Dosyć, idioto! – wrzasnąłem, ponieważ tylko tego mi brakowało. – W ogóle nie rozumiałeś, o co chodzi!

Dzieci roześmiały się. Alek wytrzeszczał głupio oczy, wreszcie jego hologram rozwiązał się w powietrzu i... gong: jego miejsce zajęła wspaniała postać pierwszego koordynatora.

Teraz, gdy opowiadam to do dyktafonu, ponownie budzi się we mnie podejrzenie, że wytrwale ćwiczył tę scenę. Nie chcę powiedzieć, że było w niej coś teatralnego, lecz i ubiór, i postawa, i każdy ruch wyraźnie podporządkowane były głównemu zadaniu zapewnienia swym słowom hipnotycznego efektu. Dziwne, dlaczego ten człowiek miał takie upodobanie do czerni i srebra? Tym razem zastosował je w odwrotnym zestawieniu: czarne spodnie i srebrzystometaliczna koszula, ściśnięta nieodłącznym pasem astronawigatora. Czyżby nawet spał w nim? Skrzyżował ręce na piersiach, pochylił głowę – prawdziwa statua nieznanego astronawigatora. Dopiero po piętnastu sekundach wolno podniósł głowę, wolno uniół grube powieki, a czarne gałki oczne ociężale przemieściły się z jednego kącika oczodołów w drugi. Ich oleista grafitowa czerń jakby cofnęła się w głąb, by mogły błysnąć, jakby teraz dopiero odkrywały salę z nieletnimi słuchaczami. Wyprostował wreszcie całkiem głowę, opuścił wolno lewą rękę, aż zaczepiła kciukiem o pas z aparaturą, prawa pozostała przez chwilę na piersi, po czym podniósł ją w geście mającym wyrażać przyjacielskie pozdrowienie i zaczął z pojednawczą życzliwością:

– Nie wypada gniewać się na Ikarczyków, że nie wzięli udziału w tej doprawdy znamienitej dyskusji. Najwyraźniej nie przyjmują do

wiadomości, że można dyskutować o fundamentalnych zasadach naszego życia. Do podobnej konkluzji, zaadresowanej do obecnych w tej świętej sali, do konkluzji, że istnieją w naszym życiu sprawy nie podlegające dyskusji, nie mam nic więcej do dodania...

Uśmiech zadowolenia położył kres pobłażliwości. Ciężkie powieki półprzymknęły się do wysokości górnego brzegu źrenic i wyrzuciły swój hipnotyzujący ogień jak z pistoletu. Głos zabrzmiał mistycznymi, gardłowymi tonami:

– Młodzież Ikara winna mieć świadomość swego określonego miejsca pośród gwiazd, a nie szukać miejsc nowych! Jesteśmy tylko częścią Ziemi, w tym końcu Galaktyki stanowimy jednak zarazem całą Ziemię. Jesteśmy niczym misjonarze pośród zajadle wrogiego nam świata! Zginiemy, jeśli choć na moment pozwolimy sobie zwątpić w nasze cele i odstąpimy od dotychczasowych sposobów ich zrealizowania! Duch wąpiący jest duchem rozkładu! Tak brzmi wniosek z tej dyskusji, wniosek adresowany do całego Ikara i jego kierownictwa. Czas powstrzymać rozkład.

W tym miejscu rzuciłem:

– Najskuteczniejsze byłoby spalenie nas w głównych silnikach.

Dzieci na galerii z ożywieniem zaszemrały – ich wyobraźnia z pewnością widziała już, jak niosą mnie i Loniego ku silnikom, które wyrzucają nas w postaci neutrino. Uśmiechnąłem się do nich zwycięsko, ponieważ od razu doceniłem wagę tej mimo woli sprowokowanej zaczepki. Nieraz już zauważałem, że podobnie prostacka replika potrafi zatrzeć nawet najsilniejsze oratorskie wrażenie. Redstar mrugnął do mnie wesoło, przylepiwszy swój kieszonkowy poli wizor do ucha w oczekiwaniu, że usłyszy coś przeznaczonego wyłącznie dla siebie. Pierwszy koordynator przygasił ciężkimi powiekami oleistoczarne światła swych oczu, by zachować zimną krew, lecz mój przyjaciel Lionel Redstar szykował się do śmiertelnego ciosu, właśnie gdy tamten otwierał usta, by kontynuować wypowiedź. Odsunął gwałtownie poli wizor od ucha i zawołał, jakby i bez tego nie słyszał go cały Ikar:

– Przed chwilą coś sprawdziłem. Myśl „wąpiący duch jest duchem rozkładu” wypowiedziana została prawie tymi samymi słowami przez najokrutniejszego faszystowskiego dyktatora, uznanego przez całą ludzkość za przestępcę.

Dzieci uspokoiły się, ponieważ niezbyt wiedziały, o co chodzi, ja jednak mogłem wyobrazić sobie, co teraz działo się na Ikarze.

Nasz oponent uśmiechnął się w uznaniu trafności naszego żartu i powiedział:

– Panie Redstar, wyraźnie przecenia pan znajomość historii u astronawigatorów. Musi mi pan podać później nazwisko tego podobnie myślącego dyktatora...

Nie był już jednak ani mesjaszem, ani hipnotyzerem, lecz człowiekiem, który na próżno usiłuje bronić swej tezy może z pomocą słusznych, lecz już nieskutecznych argumentów.

I polemika dopiero teraz nieoczekiwanie się zaczęła, przekształcając się w prawdziwą, choć prawie rodzinną dyskusję. Pierwsza po stronie koordynatora opowiedziała się moja matka, mimo iż początkowo oświadczyła, że nie będzie uczestniczyć w dyskusji. Błędem było, że próbowała filozofować na tak skomplikowane tematy, jak wolność i przemoc, a wątpię, czy filozofia bywa najsilniejszą stroną kosmetyczek i selekcyjerek. Jeszcze większy błąd popełniła wkładając wiele złości w ataki na mnie. Gdy skończyła, odpowiedziałem jej z obłudnym szacunkiem:

– Mamo, wiem, jak jesteś nieszczęśliwa, że właśnie ty, genetyczka, urodziłaś dziecko z defektem genetycznym. Z pewnością myślisz: jeśli syn mój okazał się takim potworem, jakie okażą się moje wnuki, gdy zniemiemy kontrolę. Bardzo ci współczuję, mamo, że właśnie ja jestem żywym zaprzeczeniem twojej tezy, że naturalna ewolucja od dawna nie istnieje wśród ludzi. Spójrz na widownię w sali, zresztą, nie możesz jej teraz dojrzeć, popatrz na nią później. Z tych dzieci ani jedno nie jest podobne do swych rodziców mimo klonowania. Ale zdaje się tylko ja żałuję, że nie jestem podobny do swojej matki!

Czerwony kolor w hologramie widocznie jest bardziej intensywny, ponieważ trudno mi uwierzyć, by potrafiła aż tak się zarumienić.

– Na Ikarze nie ma miejsca dla ludzi niepełnowartościowych genetycznie – zawołała i nawet jej słowa wydały mi się zabarwione czerwienią, tak krwiożerczo zabrzmiały.

– Proszę zatem pozwolić mi opuścić Ikara.

Na chwilę wszystko zamarło i nagle dzieci w sali zawyły z zachwyty. Matka rozplynęła się w powietrzu. Wydało mi się, że rozścielił się po niej czerwony aromatyczny obłok i nagle stało mi się niewymownie ciężko, niewiele brakowało, bym popędził z płaczem za nią, gdyby można było pędzić za laserowym promieniem hologramu.

Dzieci nie przestawały chichotać, nawet gdy gong zapowiedział pojawienie się Terina, przewodniczącego rady kontrolnej Ikara. A nie było to najwłaściwsze tło dla jego mądrych i przekonujących słów. Zresztą nie były przeznaczone dla nas, lecz dla dorosłych Ikarczyków, i obaj, Loni

i ja, bojaźliwie spoglądaliśmy po sobie, ponieważ zdawaliśmy sobie sprawę, jaka siła wychodzi nam naprzeciw. Jego nie uda się wyprowadzić z równowagi tanimi żartami. Terin zaczął w swym ulubionym stylu, to jest od prawd elementarnych: o pierwszym i wtórnym życiu człowieka, o jedności w nim pierwiastka biologicznego i społecznego, o życiu społecznym jako przejawie myślącej materii najważniejszym dla samoobrony i walki z przyrodą. Stąd łatwo było wyprowadzić wniosek, że nawet najbardziej szanując prawa jednostki, by nie popaść w mistycyzm i pomyślnie zakończyć lot, powinniśmy zawsze kłaść akcent na życie społeczne bez tabu, lecz poddane surowej kontroli naukowej, jako jedyny sposób ocalenia.

Zdobyłem się tylko na zaoponowanie:

– Nie chcemy kończyć naszego lotu.

– To już temat do innej dyskusji, Zenonie – powiedział stanowczo Terin i mówiłby jeszcze, gdyby w tej chwili nie stało się coś całkiem nieoczekiwanego, powiedziałbym raczej – nie do pomyślenia.

Drzwi do sali otwarły się pomału i trochę powłócząc nogami wszedł do niej mój ojciec. Jego pojawienie się było tak niezwykle, że nawet jego najbliższy przyjaciel i współpracownik jakby zapomniał języka. Ojciec zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie i czekał na kontynuowanie dyskusji. Lecz wszyscy milczeliśmy.

– Skończyliście? – zapytał wreszcie, ze zdziwieniem podnosząc głowę ku holograficznemu wizerunkowi swego przyjaciela.

– Hm... właściwie tak – wybąkał Terin. – Chcesz zabrać głos?

– Tak, tylko kilka słów – odparł mój ojciec nie wiadomo dlaczego pochylając się, i tak nieco przygarbiony, już w drodze do pulpitu protokołującego, mówił tak cicho, że z trudem słyszeliśmy

– Spodziewacie się z pewnością nie wiadomo jakich mądrości, a ja przychodzę wam wyznać, że wyczerpałem już swoją mądrość.

Dotarł do pulpitu, za którym siedzieliśmy z Lonim, wsparł się na nim ciężko jedną ręką i podniósł wzrok ponad głowami małoletniej publiki, jakby szukał spojrzeń tych, którzy byli nieobecni w sali.

– Przychodzę powiedzieć jeszcze to, co wiecie od dawna, a czego nikt nie ma odwagi wyznać na głos: że wszyscy już wyczerpaliśmy swoją mądrość.

Miałem uczucie, że na całym Ikarze wybuchła cisza galaktycznej próżni, a ciche słowa mojego ojca rozbrzmiewają w niej z siłą mesjanistycznego objawienia.

– Dramatem Ikara jest to, że zaludniają go jedynie uczeni – ciągnął

dalej ojciec nie podnosząc oczu, a ja doznawałem uczucia, że dyskusja ta przekreśla wszystkie dotychczasowe dyskusje, że wreszcie usprawiedliwia także samo istnienie sali.

– Już Einstein skonstatował, że jako uczeni z natury jesteśmy konserwatystami i tylko wymóg okoliczności wymusza na nas poświęcenie dobrze ugruntowanych uprzednich poglądów. Dlatego propozycja młodzieży tak nas oszołomiła...

Nie wiem, jak to możliwe, że wystarczy kilka słów, by przewartościować cały swój stosunek do kogoś! Miałem ochotę krzyknąć z bólu! Dlaczego, tato, nie wypowiedziałeś tych słów wcześniej? Dlaczego od tylu lat nie wypowiedziałeś ani jednego słowa, które mógłbym uznać za skierowane do mnie? Dlaczego ani razu nie wpadłeś na to, by zabrać mnie ze sobą na wędrowkę swym potężnym duchem po wszechświecie? Bym i ja nie dotarł do kresu mądrości?

– Im bardziej oddalamy się od Ziemi – mówił ojciec – tym bardziej oddalamy się od jej systemu wiedzy, nie tworząc własnego. I oto od dziesięcioleci nie robimy nic innego, jak tylko konstatujemy niesłuszność naszych dawnych wyobrażeń o świecie. I tu, jak na Ziemi, nasza wiedza rozwinęła się jedynie w kierunku praktycznych możliwości stworzenia własnego świata, nie dla poznania rzeczywistości. Jeśli dla całej cywilizacji jest to może usprawiedliwione, dla ekspedycji badawczej jak nasza jest zgubne. I tu, drodzy Ikarzycy, jak niegdyś na Ziemi nasze wyobrażenie o świecie ma czysto operatywny, a tym samym oczywiście iluzoryczny charakter. I tu wzory, które układamy, i prawa, które odkrywamy, od dawna nie są już samym wszechświatem, lecz naszymi wyobrażeniami o nim. Badamy więc własne wyobrażenia, a nie rzeczywisty wszechświat. Dlatego że także makroświat dostępny jest naszym zmysłom jedynie poprzez deformujące go urządzenia...

W tym miejscu Heliana Dolia-Moreni zerwała się gwałtownie i burzliwie zaklaskała, a w tej samej chwili głośnik wybuchł głosem pierwszego koordynatora. Był wściekły, lecz wciąż usiłował zachować resztki swego szacunku do mojego ojca:

– Obawiam się, że temat, który pan poruszył, nie mieści się w ramach tej dyskusji i czuję się zmuszony poprosić pana o przerwanie...

– Już, już – spieszył się ojciec i wciągnął głowę w ramiona, jakby instynktownie chronił się przed ciosem. – Już kończę! Całkiem na temat! Co to chciałem powiedzieć? Tak...

Dziwne, dlaczego staruszek tak się przestraszył! Przecież autorytet, jakim się cieszył, pozwalał mu bez obaw utrzyć nosa wszystkim

koordynatorom razem wziętym! Czy nie przestraszył się samego siebie, swej rozpaczki, z jaką odsłaniał własną klęskę?

– Tak, tak, tak – powtarzał, wreszcie opamiętał się. – Chciałem powiedzieć, że od dwu dziesięcioleci gromadzimy jedynie nowe dane i wynikające z nich logiczne wnioski, które nazywamy hipotezami bądź formułami roboczymi, świetnie zdając sobie sprawę, że nie są rzeczywistymi prawami. I czekamy, aż dokona się ów logiczny skok nad pogłębiającą się przepaścią między naszą nową wiedzą a naszymi dawnymi wyobrażeniami. Lecz, Ikarzycy, całe ziemskie doświadczenie uczy, że podobnie rewolucyjny skok zawsze dokonywał się w umyśle jednego człowieka, a nie w kolektywie czy grupie naukowej. Zapytuję was, w czyjej z naszych głów się dokona? Czy w mojej? Wszystko wskazuje na to, że jeden uczony nie jest w stanie dokonać więcej niż jednej rewolucji naukowej w życiu. Dokonałem swojej jeszcze na Ziemi i błędem było, że właśnie dlatego wysłano mnie z Ikarzem. W waszych głowach? Są podobnie zaśmiecone wybrakowaną wiedzą i chaosem wciąż nowych informacji. Musi urodzić się jakiś wartogłów, by w jego głowie dokonał się ten skok. A jeśli zahibernujemy tego wyczekiwanego naiwniaka i nieuka na dziesięć lat? O to właśnie, Ikarzycy, chciałem, abyście zapytali siebie! I o jeszcze jedno: a jeśli w ogóle nie pozwolimy mu się urodzić?

W tych strasznych pytaniach mego ojca, który wyszedł tak nagle, jak pojawił się w sali, więcej było melancholijnego smutku niż retoryki. Przesądził nimi o późniejszej, jeszcze bardziej zaciętej dyskusji. Kontynuowano ją podczas mojego eksperymentalnego lotu, a jej protokoły dowodzą także, z jakim trudem Ikarzycy zdobywali się na odwagę, by przyznać się do oczywistej prawdy, że ich mała liczebność wręcz zabija ich, że po powrocie staną przed nieuchronną tragedią, dowiedziawszy się, jak bezsensowna była ich ofiara, miliardy poszukujących umysłów na Ziemi od dawna bowiem zdobyły własnym sposobem ową wiedzę, po którą wysłano niegdyś planetę-gwiazdolot. Ikarzycy muszą szukać innych dróg do wiedzy.

Pozostały trzy minuty z wyznaczonego na dyskusję czasu. Był to trzeci, ostatni dzień. Mógłby być jeszcze czwarty, gdyby zażądało tego przynajmniej dwu oponentów referującego. Lecz nikt się nie odezwał. Rzuciłem swoje wyzwanie całemu Ikarowi, a szczególnie jego pierwszemu koordynatorowi.

– Czy są jacyś oponenti, by można było kontynuować dyskusję jutro?

I nie usiłowałem ukrywać swego triumfu. Zresztą, nie zdołałbym –

wzbierał w mojej piersi, by wybuchnąć płaczem. Tatusiu, łkał we mnie, tatusiu... i nie wiedziałem, co powiedzieć, nie mogąc zdobyć się na żadne słowo wobec człowieka, który dał mi życie i w którym dotąd widziałem jedynie niepojętą dla mnie, lecz zdecydowanie wrogą siłę.

#### 4

Nie wiedziałem także, co powiedzieć później, na tarasie, w tym samym miejscu, gdzie rozmawiałem z Variusem Lotzem o Dedalu i Ikarze. Nie pamiętam, jak znaleźliśmy się tam w trójkę, ja, Redstar i Heliana Dolia-Moreni. Pamiętam tylko, że przedtem Heliana rzuciła się Loniemu na szyję, gratując mu zwycięstwa. Mnie nie ucałowała, podała jedynie rękę i powiedziała „dziękuję”. Nie zabołało mnie to szczególnie, wszystkie moje zmysły były bowiem przytępione jak u człowieka, który dopiero co uniknął śmiertelnego niebezpieczeństwa. Mimo to, mimo stanu szoku, mimo iż słowa obojga ledwie do mnie docierały, odbierałem je jak własne.

Oboje mówili, iż pokolenie nasze musi dążyć do własnego celu, celem tym nie może być Ziemia, bo Ikar z pewnością jest już tylko czymś w rodzaju outsidera ludzkiej cywilizacji, dalekiej, zacofanej prowincji, jeśli Ziemia nadal rozwijała się w poprzednim tempie. Mówili, zapatrzeni z pewnością jak ja na żółtawą gwiazdkę, przesłoniętą gazowymi i pyłowymi obłokami, i nic nie mówiącą nam już, lecz której wygląd świetnie pamiętaliśmy. Byliśmy zgodni w naszej młodzieńczej pysze, że nie możemy należeć tylko do tej maleńkiej gwiazdki, choćby nie wiadomo jak było nam jej żal.

Pamiętam jeszcze, że oboje wciąż utwierdzali się w przekonaniu, wciąż tym samym tonem pewności siebie, że Ikarczycy nie mogą nie zrezygnować przynajmniej z biokomory. Pamiętam, jak Heliana przekonywała nas gorąco, że umrze, jeśli zamkną ją w komorze, wiedziała z całą pewnością, że organizm jej nie zniesie nie tylko hibernacji, nie, ona zniosłaby nawet kosmiczny chłód, lecz wanny, zamkniętej przestrzeni...

Szczególnie mocno wryła mi się w pamięć jej dziewczęca afektacja, że wszechświat wcale nie jest tak wrogi, jak się sądzi, że trzeba tylko nauczyć się w nim poruszać i że z pewnością któregoś dnia nauczymy się po nim spacerować jak po tym tarasie... Na co Loni Redstar zadeklamował z patosem – coś nieprawdopodobnego u tego zimnokrwistego płodu klonowania – wiersz Whitmana, czy dlatego, że autor był Amerykaninem, czy też dlatego, że szczególnie przypadł mu do gustu. Loni tylko tego poetę uznawał i tylko tego poetę znał. Zapamiętałem go także, co znaczy,

że pomimo mego stanu umysł mój niezwykle chłonał ich rozmowę. Oto co zapamiętałem:

*...i zapytałem swego ducha: „powiedz mi, czy kiedy wszystkie te światła weźmiemy w nasze posiadanie, kiedy nasza będzie radość ich i wiedza, czy wówczas zaznamy nasycenia”? A duch mój odpowiedział: „Nie, zrównamy się tylko z nimi, by minąć je i pójść dalej!”*

O, właśnie, potakiwała Heliana ze wzruszającym przekonaniem dziecka wierzącego w bajki, a jej twarzyczka wydawała się bezcielesna w srebrzystym świetle. Długi taras pogrążony był w łagodnym mlecznym blasku bezliku gwiazdnych żyrandoli i obłoków gazowych, skrywających w sobie galaktyczne jądro. Nasilały swój blask, ponieważ Ikar nie przestawał mknąć wprost ku nim z szaleńczą prędkością.

Wpatrzony w nie, odczuwałem coś w rodzaju choroby wysokości. Wabiły mnie ku sobie z mistyczną siłą otchłani i, by się jej oprzeć, starałem się myśleć o Majoli, kajałem się, że nie poszedłem od razu do niej podzielić się swą radością. Dopiero wtedy uspokoiłem się, a moje zmysły, jeszcze odrętwiałe, ożywiły się. Opowiedziałem, jak Majola opisała uczucie, z jakim człowiek po raz pierwszy wchodzi do komory anabiotycznej. Rzeczywiście przypomina ono śmierć, ponieważ nie wiesz, czy Ikar nie przestanie istnieć w ciągu tych dziesięciu lat. Prócz tego jesteś przekonany, że aparatura zostanie uszkodzona i tym podobne rzeczy, dlatego teraz czuję się jak człowiek, który uniknął niechybnej śmierci. Powinni mi zatem wybaczyć, że jestem tak rozkojarzony i nie uczestniczę w ich rozmowie. Loni odparł, że swoje na dziś zrobiłem, że nie mam już nic więcej do powiedzenia, na co z kolei przypomniałem mu jego Whitmana, który powiedział, że każde zwycięstwo zapowiada jeszcze sroższą walkę. Oczywiście cytat znałem od samego Loniego. Heliana jednak nie zareagowała na moją uwagę, w ogóle ani razu nie spojrzała na mnie wówczas na tarasie, ja zaś zdobyłem się na tyle siły, by zostawić ich deklamujących wierszyki i wygrażających wszechświatowi.

Także fizycznie czułem się, jakbym uczestniczył w śmiertelnym boju, lecz cytat z Whitmana, którym zapragnąłem wtrącić się we flirt Redstara, zaczął mnie utwierdzać w przekonaniu, że pragnę nowego działania, więc powłóczę nogami poszedłem w kierunku domu, gdzie oczekiwał mnie mroczny i zmysłowy wszechświat zwany Majolą Beni, i rozmyślałem o tym, że już najwyższa pora wyruszyć na poszukiwanie celu i dróg naszego pokolenia.

I o własnym ojcu rozmyślałem z nigdy dotąd nie doświadczaną synowską ufnością: o tym doprawdy wielkim człowieku, bo choć wielu



wielkich uczonych rodziła Ziemia, niewielu było wśród nich takich, którzy, dokonawszy naukowego wyczynu, potrafili przyznać się szczerze do osobistej klęski wobec bezmiaru wiedzy i nie przeszkadzać innym w dokonaniu własnej rewolucji. Oczywiście, miałem nadzieję, że to ja okażę się tym naiwnym nieukiem, owym wartogłowem, o którym mówił mój ojciec.

Niestety, nadzieje moje spełniły się jedynie co do naiwności i lekkomyślności.

Że chaos jest prawem natury,  
a ład marzeniem człowieka  
(z trzeciej starej pieśni,  
którą śpiewała mi Majola Bem)

## **Zwycięstwo nazywa się pat**

*(Z notatek prowadzonych podczas eksperymentu)*

Ogólnie biorąc, ani ja, ani Ikarczycy nie mieliśmy podstaw do niezadowolenia z mojego lotu. Wątpię jednak, czy kiedyś napiszę moją pracę. Temat „maszyna-człowiek” nie stał mi się bliższy. Zresztą Lionel Redstar ma rację twierdząc, że nie mam zadatków na uczonego. Widać pośród tysiąca arystokratów ducha, którzy wyruszyli upowszechniać w kosmosie swą genialność, zaplątało się także jedno ziemskie beztalencie. Do tego – w nader wojowniczym wydaniu. Beztalencie zawsze bywa bardziej wojownicze od talentu i nawet pod tym względem nie jestem żadnym dziwem natury, za jaki lubi uchodzić każdy człowiek.

Wyruszyłem w nadziei, że gdy znajdę się sam na sam z kosmosem, przyjdą mi do głowy te wielkie myśli, o których mówił ojciec. Niemal widziałem je, jak znudzone i przemarznięte czekają, aby zjawił się ktoś taki jak ja, by przygarnąć je i wyruszyć z nimi na podbój świata. Oczywiście nie zjawiły się. Po tylu tysiącach cywilizowanej historii ludzkości nowe myśli stały się rzadsze od atomów materii w jednym metrze sześciennym galaktycznej próżni. Dlatego nadal przedkładałem jedynie niektóre swe spostrzeżenia. Jeśli znajdzie się wśród nich także coś na kształt myśli, ma ona związek bądź z obserwacjami, bądź z moim stanem, który starałem się zawsze oddać maksymalnie sumiennie, by przyjść z pomocą potencjalnym badaczom podobnego problemu.

## **Dzień trzeci**

Mój umysł jeszcze przetrawia – jak system regeneracyjny statku zwiadowczego, odtwarzający powietrze, wodę i pożywienie – rozstanie z Ikarem. Jestem przekonany, że nie wrócę i nie będę dokonywał weryfikacji wartości pozostawionych za sobą. Czy w ostatecznym rachunku warto składać siebie w ofierze, by dać możliwość zaserwowania temu tysiącowi Hidalczyków jakiejś nowej wiedzy? Której może nie będą w ogóle w stanie wykorzystać, ponieważ do niej nie dorośli?

Jak dotąd z całego Ikara brak mi jedynie partyjek szachów rozgrywanych z Lionelem Redstarem i śniadych kreolskich objęć Majoli. Choć w szachy gram przecież z Tobim, tak że właściwie brak mi tylko naszych sprzeczek z Lonim. Z Tobim nie sposób się kłócić – roboty nie mają poczucia humoru! Maszyna z poczuciem humoru to coś w rodzaju diabła z aureolą świętego.

A propos, studiuję właśnie starożytne religie ziemskie na podstawie materiałów zabranych ze sobą, stąd przychodzą mi do głowy podobne porównania. Powtarzając lot Alka Derego – w tym celu wyruszyłem – będę miał okazję zapoznać się bliżej z pojęciem Boga i wytworzonym wokół niego systemem filozoficznym, by przekonać się, czy Terin, przewodniczący naszej rady kontrolnej, nie miał przypadkiem racji. I tu odkrywałem coś dla siebie: religie nie były tylko ideologiami z organizującą ludzi funkcją społeczną, były także jakimś sposobem poznawania wszechświata, zawarłszy w symbolach większość z najistotniejszych zjawisk, z jakimi także dziś przychodzi nam się zderzyć i dla których nie potrafimy znaleźć zadowalającego wyjaśnienia.

Chciałem powiedzieć, że z Tobim mimo wszystko sprzecam się, jeśli zalezie mi za skórę, cóż z tego, skoro nie jest w stanie mi się odgryźć, a to całkowicie pozbawia sprzeczkę przyjemności. Brak Majoli natomiast odczuwają moje zmysły, dla których stała się legendą – wspomnieniem głębokiej i obeszwałniającej rozkoszy. Przez dłuższy jeszcze czas będę odczuwać jej nieobecność, mimo iż wytrwale przepędzam jej obraz, z prawdziwą złością myśląc o tym, że niczym biała kostka cukru w brazylijskiej kawie roztopiałem się w jej namiętnych uściskach.

Teraz czuję się i silniejszy fizycznie, i niezależny duchem. A cały Ikar może iść do diabła! Co by znaczyło, że nie dla niego wyruszyłem, ale z własnych powodów. Najwyższy czas, bym powiedział to sobie, ponieważ nie ma w tym nic zdrożnego, przeciwnie, gdy wyruszasz z przeświadczeniem, że poświęcasz się dla kogoś czy czegoś, nie dokonasz niczego!

Jestem wesół. Powiedziałbym – jestem szczęśliwy, gdybym wiedział dokładnie, co to znaczy. O śmierci nie myślę. Na tę sprawę mam pogląd równie antyczny jak moje imię – wszak Epikur, jedyny brat duchowy mego patrona, powiedział: „Tam gdzie jesteśmy, śmierć jeszcze nie istnieje, a gdzie jest śmierć, tam nas już nie ma”. Myślę – by oswoić się z tym – że prawdopodobnie nie wrócę na Ikara, lecz wcale mnie to nie zasmuca, jakby to, do czego podążam, zaprowadzić mnie miało do bram raj.

W rzeczywistości mój świetny humor bierze się z pewnością z zadowolenia, że udało mi się przechytryć Ikarczyków. Ani jeden z nich nie wie, że za pięć dni zmienię kurs o sto trzydzieści stopni i skieruję „się ku planecie, na której Alek spotkał swego „boga”. Prawdopodobieństwo, że dogonię później Ikara, zmaleje do nie więcej niż pięciu procent, jeśli sam Ikar nie zdecyduje się mimo wszystko poświęcić mi trochę więcej swego drogocennego czasu, by odszukać mnie lub na mnie poczekać.

Tylko Majola przeczuła coś kobiecym instynktem. Powiedziała mi:

– Odnoszę wrażenie, że uciekasz z Ikara. Ale dlaczego właśnie teraz, gdy odniosłeś pierwsze wielkie zwycięstwo? A może uciekasz... ode mnie?

Nie była to kokieteria, prowokująca wyznania miłosne. Jej smutne niedowierzanie było w pełni usprawiedliwione. Nie zdążyła nacieszyć się moim wybawieniem od anabiotycznej komory, gdy od razu ponownie mnie utraciła, mimo iż – według mojego oficjalnego programu – jedynie na kilka miesięcy. To nic, pocieszy się dzieckiem, którego ojcostwa dobrowolnie się wyrzekłem, i wyśpiewa jeszcze mnóstwo poematów o szczęściu! Na razie nie ma widoków na wygranie przeze mnie batalii o zniesienie kontroli genetycznej, Ikarczycy nie pozwolą na zadanie im od razu następnego ciosu, zostawiłem to w spadku Redstarowi. Także mój ojciec nalegał, abym poleciał jak najprędzej. Oczywiście nie mogłem mu odmówić po tym, co się stało, i to, że go okłamię, było jedynym, z czym jeszcze walczyłem wewnątrz i co mąciło do pewnego stopnia zadowolenie z tak nowej dla mnie cudotwórczej samotności.

Helianie powiedziałem przez kieszonkowy poli wizor: „Pomyśl czasem życzliwie o mnie! I wiedz, że zawsze byłaś dla mnie jak własne dziecko”. „Nie jestem już dzieckiem, doktorze Balow, odpowiedziała mi dziecinnie naburmuszona, mam szesnaście lat”. – „O, jesteś już dorosła!” – powiedziałem, a ona odrzekła: „Cieszę się z panem...”

I jakby rzeczywiście się cieszyła. Inni, których świadomie zapomniałem już na Ikarze, zasypali mnie dobrymi radami.

## **Dzień dziesiąty**

Dwie godziny nerwowej i wyteżonej pracy zajęło mi wyjście na właściwy kurs wiedziałem, że nawet uczucia synowskie nie powstrzymają mnie przed kłamstwem, bylebym urzeczywistnił zamiar. Mój przyjaciel, Alek Dery, którego statkiem i z którego robotami wyruszyłem – taki był jeden z warunków mojego eksperymentu – dokonałby poprawki w ciągu

paru minut, w takim samym czasie dokonałby jej także początkujący astropilot, a ja zbyt dużą podejrzliwością kilka razy skołowałem autopilota, tę mądrą i niezawodną maszynę. Widać instynktownie staram się mimo wszystko nie zmniejszyć tych pięciu procent.

Statek ustawił się wreszcie na wymarżonym kursie, a ja nie tylko nie wyłączyłem silników, lecz jeszcze forsowałem je, by nadrobić utraconą na fałszywym manewrze przestrzeń. Wcale niebagatelna, choć mierzę ją możliwością optycznej obserwacji z Ikara.

Innej łączności z nim nie mam, w przeciwnym wypadku nie udałoby mi się uciec! Główne warunki mojego eksperymentu brzmiały: żadnego kontaktu z Ikarem w przeciągu dwu pierwszych miesięcy, by udało mi się uporać z problemem samotności, w której człowiek całkowicie zdany jest na maszyny. Koledzy z gabinetu kontroli przy kosmodromie po ingerencji mego ojca zaskakująco szybko przystali na ten dziwaczny pozaregulaminowy warunek. Dopiero na sześćdziesiąty dzień Ikar miał mnie szukać, gdybym sam nie odezwał się izotropowym sygnałem pelengacyjnym; taki warunek postawił mój ojciec. Wtedy także miałem otrzymać program zbadania jakiegoś promieniowania pochodzącego z niewidzialnego z Ikara źródła. To właśnie ojciec chciał, bym połączył to badanie z własnym eksperymentem. Nie podał mi żadnych szczegółów, by nie obciążały mojej świadomości i rzekomo nie przeszkadzały w pracy na temat psychorobotów. Delikatny staruszek! Ostatnie dni bardzo nas zbliżyły i doprawdy jest mi przykro, że go oszukam. Ileż to jeszcze promieni nie zbadano, tato – nie uciekną ci tak jak ja.

Sześćdziesiątego dnia zamiast sygnału pelengacyjnego odbiorą moje prawdziwe koordynaty i moje „żegnajcie!” Będę dostatecznie daleko, by udało im się mnie dogonić, zresztą, jeśli jestem im tak drogi, mogą poczekać gdzieś na mnie, dopóki nie skończę swej roboty. Lecz nawet przez chwilę nie wierzę, by dumny Hidalgo poświęcił rok lub dwa lata dla swego i bez tego wyrodnego syna.

Przesuwam króla o dwa pola w przód i Tobi momentalnie czyni to samo pionkiem. Częstotliwość impulsów przyspieszenia rozleniwia mnie, dlatego gram wiele w szachy, aż przywyknie mój organizm. Tobi czeka cierpliwie na mój następny ruch, a ja sobie myślę, że już wiem, co pierwsze mi obrzydnie: granie zawsze białymi, żeby zawsze mieć pierwszy ruch. Psychoroboty są tak zaprogramowane, że ich działanie jest w istocie jedynie przeciwdziałaniem bądź też wyborem odpowiedzi na decyzję człowieka, i jej wykonaniem. Tobi nigdy nie zdoła zainicjować gry, i prawdę mówiąc, w ogóle nie gra. W naszym świecie jedynie

człowiek potrafi grać – raz dobrze, raz źle, raz być smutny, raz wesoły. I niewątpliwie jesteśmy bardzo zazdrośni o tę naszą umiejętność, bo czy w przeciwnym wypadku zniszczylibyśmy tak bezwzględnie małego cyborga Salisa Gordala, który uczył się bawić?

Tobi nie robi nic innego, jak tylko wyłuskuje błyskawicznie ze swej pamięci algorytm swego kontrdziałania. By mógł grać białymi, musisz podać mu pierwsze posunięcie, to jest wybrać figurę i ustalić jej początkowy ruch, a to już nie sportowo. Rozmyślałem jeszcze, że powinienem traktować to swoje nieustające pierwszeństwo jak mycie zębów przed snem. I że mimo wszystko nie mogę polubić takiego początku gry, zastanawiam się pół godziny, zanim zrobię ruch, a Tobi odpowiada mi w jednej trzydziestej sekundy, po czym nieruchomieje naprzeciw, opuściwszy swoje sześć ramion, niczym parodia starożytnego bóstwa Sziwy. Ale wcale nie jest parodią szachisty, jak wicie. Śmiertelnik nie jest w stanie go pokonać. Za zwycięstwo nad współczesnym robotem w rodzaju moich czterech współtowarzyszy podróży uważa się dojście do pata lub szach-mata tych dość hańbiących skądinąd remisów. Inny wynik może poprawiłby samopoczucie człowieka, wątpliwe jednak, czy okazałoby się to pożyteczne. Przegrywający psychorobot jest zawodnym psychorobotem i sam człowiek straciłby do niego zaufanie.

A powinien być zadowolony. Od czasu do czasu – kiedy najdzie mnie ochota, by zagrać – udaje mi się przechytryć kóregoś z tych czterech i uniknąć nieuchronnej klęski szach – mata, ale gdy pomyślę, że ten elektroniczny Sziwa, grając ze mną, jednocześnie nieustannie mnie obserwuje... czyżby Tobi?

## **Dzień jedenasty**

W rzeczywistości łatwo mógłbym sprawdzić, który to z czterech psychorobotów. Wystarczy, bym zwiększył szybkość statku w krótszym niż dopuszczalny czasie do owej granicy, przy której człowiek obowiązkowo winien ułożyć się w komorze anabiotycznej, jeśli chce znieść przyspieszenie nie ryzykując zdrowiem, i nie ułożył się w niej. Wówczas robot, tajnie zaprogramowany na kontrolę stanu psychicznego załogi, nie może się nie zdradzić, gdy zarządzi albo sam wepchnie mnie do komory, bądź też wyłączy silniki. Ale nie odczuwam takiej potrzeby i dziwię się, dlaczego wracam dziś do swego niedorzecznego pomysłu.

Tajemnica wytwarza między załogą a psychorobotami stosunki

podobne jak między lekarzem a pacjentem. Wiesz, że jeden z przydanych ci mądrych i wszechmocnych psychorobotów specjalnie odpowiada za twoje zdrowie, że gdybyś nawet stracił rozsądek, nie pozwoli ci zrobić nic niemądrego. A ponieważ nie wiesz, który to z nich, ufasz wszystkim.

Alek na szczęście nie zdołał sprawdzić, który z czterech psychorobotów kontrolował go i udało im się zawrócić statek na Ikara. Ciekawe, jak Nili udało się im wymknąć? To właśnie każe mi wierzyć, że popełniła samobójstwo. Najłatwiejszy, a może jedyny sposób popełnienia samobójstwa na tym statku, to właśnie w komorze anabiotycznej, dla psychorobotów stanowi ona bowiem uosobienie bezpieczeństwa. Przecież tam właśnie mają obowiązek, gdy zajdzie potrzeba, ukryć swych bezcennych panów!

Psychoroboty, jak już powiedziałem, są cztery: Koro, Tobi, Mono, Loso, imiona te widnieją im na piersiach i plecach jak numery wyścigowe u sportowców, by ich nie pomyłono. Każdorazowe uruchomienie psychorobota następuje poprzez uprzednie wymówienie jego imienia, dla wygody jest ono zawsze dwusylabowe. Automat uruchamiający może być także zaprogramowany na brzmienie głosu, to jednak stosuje się nader rzadko. Jakkolwiek każdy z tych czterech oktopodów, potrafiący stać nawet na jednej ze swych kończyn, jest równie podejrzany, nie spuszczałem oka właśnie z Tobiego. To właśnie on został uszkodzony przez Alka. Co oznacza, że nie był wówczas robotem kontrolującym. Niegłupie byłoby, gdyby teraz wykorzystano remont, by zaprogramować go na moją psychikę.

Takie programowanie to wyjątkowo subtelna robota. Najpierw astropilot czy człowiek, którego czeka lot, bywa poddany dokładnemu przeglądowi testowemu dla skopiowania jego typowych reakcji we wszelkich ważnych życiowych sytuacjach i funkcjach. Potem obraz ten, badany i sprawdzany w najdrobniejszych szczegółach, wmontowany zostaje w psychowskażniki robota-kontrolera.

Przeciwstawny pogląd także kieruje moje podejrzenia na Tobiego: to właśnie on był kontrolerem Alka, dlatego zszedł z nim na planetę, a chwilę przedtem, zanim Alek zdażył go uszkodzić, przekazał właściwy rozkaz pozostałym robotom. Alek uszkodził jedynie jego urządzenia rejestrujące i część bloku pamięci – logiczne byłoby, gdyby przy rekonstrukcji Tobiego znów obciążono go funkcjami psychokontrolnymi, które pozostały nie uszkodzone.

Niestety, nie mogę pozwolić sobie teraz na podobne eksperymenty. Nie mam ochoty wchodzić do komory nawet na godzinę po tym, jak ledwie

udało mi się jej uniknąć dzięki owej sławetnej dyskusji. Ogólna konsultacja następnego dnia przekształciła się w katastrofę dla pierwszego koordynatora. Niezwłocznie podał się do dymisji, dobrowolnie udając się na dziesięć lat do komory anabiotycznej. W ten sposób Ikarzycy mimo wszystko przyznali dzieciom prawo decydowania o tym problemie.

By jednak do końca być szczerym, muszę wyznać, że tak jak koordynator uciekł przed hańbą klęski do komory anabiotycznej, tak dla mnie lot ten także stał się raczej ucieczką przed klęską czekającą mnie w komisji kontroli genetycznej, gdzie miała zapaść ostateczna decyzja, czy ja, człowiek z czterdziestym siódmym chromosomem, mam w tej chwili prawo do potomstwa.

Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego nie wszedłem nawet na chwilę do komory: ukryta nadzieja, że „tamten” nie każe mi się szukać aż na planecie, lecz zechce łaskawie ukazać mi się wcześniej, cóż bowiem dla niego odwiedzić mnie nawet na samym statku, skoro jest wszechmocny?

Z pewnością naiwnie brzmi podobne przypuszczenie, lecz wraz z niewygasłym we mnie jeszcze strachem i wstrętem przed skądinąd wspaniałą komorą, przeszkadzało mi ono postępować rozumnie, to jest wejść do niej i forsować statek do maksymalnej prędkości, by przekroczyć owe fatalne pięć procent.

Skądinąd całkiem niezły jest ten nasz R-19. Statek zwiadowczy klasy gwiazdnej „A”, trochę przestarzały, staromodny, niezbyt komfortowy, ciaśniutki, lecz niezawodny, gdy chodzi o prędkość i dokładność. Gdybym mu w tym nie przeszkadzał – a będę przeszkadzał nieustannie – z pewnością odesłałby mnie całego i zdrowego na Ikara.

Dziś ponownie przeglądam szczegółowo wszystkie jego główne układy w dwadzieścia cztery godziny po dokonaniu manewru. Zresztą znamy się dobrze. Zadmowilem się w nim, zanim jeszcze wystartowałem z Ikara. Majola przeniosła tu nawet na pewien czas naszą sypialnię. Teraz pozostał po niej tylko jej zapach, jeden z tych zapachów, które matka moja wytwarza w swym laboratorium, i statek wydaje mi się nawet przestronny. Wydaje mi się, że jeszcze jeden zapach wyławiam od czasu do czasu, zaglądając wraz z Koro – jest wyposażony w aparaturę kontrolną – do wszystkich pomieszczeń i zakątków. Jak cudowną kobietą była Nila! Bardzo zazdrościłem jej kiedyś Alkowi Deremu.

Wszystko w porządku. To mądra i potężna maszyna taki statek zwiadowczy, choćby nawet niższej klasy gwiazdnej. Myślę, maszyna to właściwie urzeczywistnione marzenie człowieka o ładzie. Wszystko w niej przystosowane jest do praw przyrody i bezwzględnie im



podporządkowane. Chaos istnieje w człowieku, konstatuję, człowiek zaś nieustannie usiłuje od niego uciec, konstruuując maszyny. Dlaczego to właśnie chaos – zadaję sobie głębokie i smutne pytanie – jest siłą twórczą, a nie porządek i subordynacja? I dalej snuję myśl, rozbawiony, że maszyna nie przypadkiem jest rodzaju żeńskiego – także psychorobotom powinno się nadawać imiona żeńskie! Kobieta jest uosobieniem ładu życia, mężczyzna – chaosu. Kobieta, która nie tylko czyni cię silniejszym, ale także podporządkowuje sobie ciebie, a nawet potrafi okaleczyć jak maszyna.

I nucę sobie wesoło jedną ze smutnych melodii, które śpiewała mi Majola Beni.

### **Dzień dwunasty**

Pracuję. Z zadziwiającą samodyscypliną, która każe mi zachwycać się sobą, przestrzegam reżimu astropilota i pracuję nad swoją rozprawą. To, że udaję się do Tamtego, wcale nie spowodowało poniesienia tematu człowiek-psychorobot, wiąże się on bowiem ściśle ze sformułowanymi przezeń ideami. Jestem wciąż jeszcze w stadium przygotowawczym, kiedy jedynie gromadzi się i systematyzuje różne dane i formuły, myśli i cytaty. Kolektory naukowe na statku oferują prawie wszystko, co niezbędne, trochę sam nagromadziłem po konsultacjach z Terinem i Variusem Lotzem.

I pod innym względem ten przestarzały statek klasy gwiazdnej podoba mi się. Skromny wystrój wewnętrzny, bez zbędnego komfortu, za to z wystarczającymi najprzeróżniejszymi przyrządami gimnastycznymi. Czuję się dobrze w naszym wspólnym z Derym, ciaśniętym R-19 – z pewnością dlatego, że człowiek zawsze jest więźniem: w jaskini, w osadzie, w twierdzy, w mieście, na planecie...

I we własnym ciele – dodałby może Tamten.

### **Dzień trzynasty**

Dziś ponownie przesłuchałem nagranie Alka. Nowy pierwszy koordynator pozwolił mi je sobie skopiować.

Alek traktował Tobiego absolutnie jak równego sobie! Jak mu złorzeczył!

Patrzę na tego samego robota; kupka metalu bez życia pod ścianą, w rzeczywistości zaś jak człowiek: ani na chwilę nie ustaje w nim życie,

dopóki jest sprawny.

Indykatory czuwają – z pewnością obserwują mnie teraz – płyną prądy, tworzą się i rozpadają połączenia, blok pamięci napełnia się nową wiedzą, stara jest korygowana... Tobi myśli. Bardziej ograniczenie niż ja, sprowadzając wszystko do znacznie prymitywniejszego poziomu umysłowej organizacji, z większą jednak liczbą wariantów i milion razy szybciej. I czeka, aż wypowiem jego imię, czeka na akcję, ponieważ tak dla niego, jak dla mnie kontemplacja nie jest działaniem.

O czym myśli teraz? Na razie jest grzeczny, zachowuje się normalnie, coś tam sobie bazgrze, manipuluje kodowym pokrętłem kolektora, ale nie należy mu ufać. Ech, z większymi odeń prymitywami dawałem sobie radę!

Uśmiecham się do Tobiego życzliwie, ponieważ wiem, że nie jest w stanie myśleć w podobny sposób. A gdyby potrafił?

Tobi stanowi najwyższą dotąd formę maszyny. Tym samym najwyższą formę ładu.

Czyżby był moim marzeniem?

## **Dzień czternasty**

Co to takiego psychorobot?

Odpowiedź, iż jest to człekopodobna czy myśląca maszyna, jest podobnie nic nie mówiącym określeniem, jak niegdysiejsze twierdzenie religii, że człowiek stworzony został na obraz i podobieństwo boże. Bo co to takiego Bóg?

Owszem, mimo iż zewnętrznie bardziej przypomina gigantycznego oktopoda, stojącego na swych kończynach-mackach, Tobi jest maszyną człekokształtną. Lecz czym jest człowiek?

Miał rację Redstar przypominając nam, iż dopóki znamy tylko jedną formę myślącej materii, jej prawdziwe mechanizmy i istota pozostają zagadką.

Niegdyś pokładano wielką nadzieję w możliwości poznania prawdziwego mózgu poprzez mózg sztuczny. Nawet główny kolektor na Ikarze długo wyliczać będzie tylko najważniejsze prace i modele psychorobotów. Rychło przekonano się jednak, że dla najdoskonalszego nawet sztucznego mózgu niedoścignione zostanie najważniejsze – milionletnie doświadczenie społeczne, które ma nawet najprymitywniejszy mózg ludzki. Tak zrodziły się nieuchronne granice w rozwoju robotyki. Jeśli bowiem przydasz więcej umiejętności psychorobotowi, przy braku dziedzicznej społeczno – etycznej samokontroli przekształci się

on w zjawisko społeczne, w debila – na razie rzeczywiście łagodnego, potencjalnie jednak dysponującego gigantyczną siłą niszycielską.

To właśnie prawa życia społecznego zabroniły cyborgizacji i przeznaczyły robotom rolę niewolników. Oto dlaczego dzisiaj jego konstrukcja uwzględniać musi trzy prawa sformułowane niegdyś przez Asimova, uzupełnione dodatkowo czwartym ograniczeniem:

1. Robot nie może wyrządzać człowiekowi szkody lub wskutek swej bezczynności dopuścić, by została ona człowiekowi wyrządzona.

2. Robot winien podporządkować się wszystkim rozkazom wydanym przez człowieka, z wyjątkiem tych, które przeczą pierwszemu prawu.

3. Robot winien troszczyć się o swoje bezpieczeństwo, jeśli nie pozostaje to jednak w sprzeczności z prawem pierwszym i drugim.

4. Robot powinien we wszelkich okolicznościach legitymować się jako robot.

Ostatnie prawo położyło kres kosztownym porywom konstruktorów, by przydawać psychorobotom możliwie najbardziej ludzki wygląd, i płynącym stąd nieporozumieniom. Przeciał także obfity potok literackich i ekranowych utworów, których cała oryginalność sprowadzała się do tego, że bohater w końcu okazywał się robotem, podczas gdy wszyscy sądzili, że to człowiek. Obecnie wygląd psychorobotów całkowicie podporządkowany jest ich przeznaczeniu i w większości przypadków bionika nie kopiuje niezgrabnego ciała ludzkiego, lecz doskonalsze organy jakichś ssaków czy owadów, od człowieka biorąc tylko budowę ręki, ten istotnie doskonały instrument. I gdy łączycie się ze stacją automatyczną, już nie przytrafi wam się półgodzinny flirt z jakimś rozbrajająco miłym kobiecym głosikiem, który okazuje się głosikiem pochodzącym ze skrzynki robota-sekretarza. Obecnie pierwsze, co słyszycie, to: zgłasza się lub mówi robot taki a taki.

Grzebię we wspomnieniach i szukam w nich korzeni naszych wzajemnych kontaktów z psychorobotami. Najpierw jest robot-guwner, który jest zarazem przyjacielem i zabawką. Mój był standardowy – pstrokaty krasnal z twarzą, która potrafiła tak wykrzywiać się i zmieniać, że można było boki zrywać ze śmiechu. Wzrostu sześciolatniego dziecka, lecz silny jak wielkolud. I ten potężny czarownik jest ci posłuszny jak piesek...

Nie, wcale nie jest posłuszny! Robi wszystko, co mu każesz – pozwala się dosiadać, bić się z nim i zawsze go zwyciężać, odpowiada na wszystkie twoje głupie i obraźliwe pytania, tak że nabierasz do niego zaufania i czujesz się coraz bardziej jego wszechwładnym panem. Ale pewnego

dnia krasnal czarodziej odmawia spełnienia któregoś z twych rozkazów! Następnym razem także odpowiada na twoją zachciankę z taką stanowczością, z jaką nigdy nie spotykasz się u dorosłych, przed którymi możesz spazmować, wylewać łzy, udawać i w końcu wymusić jakieś ustępstwo. A twój krasnal niewolnik stoi przed tobą z pociesznie żalowaną miną powtarzając: „Zabrania pierwsze prawo” albo „zabrania trzecie prawo”. I nie sposób zmusić go do uległości! Nie jest także zdolny jak mama czy tata odwrócić jakimś podstępem twoją uwagę, byś zapomniał o swym nierozumnym żądaniu. Jego upór okazuje się znacznie silniejszy od twego dziecinnego uporu i wtedy uzmysławiasz sobie, że wcale nie jesteś prawdziwym panem swego krasnala, że jest w nim coś, co wymyka się twojej władzy, coś przerażającego i egoistycznie niezłomnego. Kiedy przekonasz się, że nie ma żadnego sposobu, by oszukać roboty naukowe, wtedy zjawia się strach. I nigdy już nie opuści twojej podświadomości.

Zanim się jednak załęgnie, już podcięte zostały korzenie zaufania. Kiedy zaczęło się to u mnie? Nie, to było dawniej, ale wtedy po raz pierwszy go sobie uświadomiłem. Mój krasnal potrafił natychmiast podać mi dokładny skład o, tamtej na przykład gwiazdy, i opowiedzieć mi, jeśli miałem ochotę, najbardziej fantastyczną bajkę. Ale kiedyś zapytałem go, czy żyją ludzie na wielkiej planecie układu gwiazdowego, którą właśnie mijają Ikar – pamiętam, że przyglądaliśmy się dosyć długo tej planecie przez teleskopy ogólnego użytku, znajdujące się na tarasie widokowym. „Nie ma” – odpowiedział krasnal. „A skąd wiesz, że nie ma, skoro tam nie byłeś?” – zapytałem. „Jest zbadana, brak jej atmosfery”. „A chcesz, bym powiedział ci, co jest na niej? – odparłem. – Zbadali ją, ale nie zauważyli wejścia do pieczary. Jest tam pieczara, jedna jedyna; jeśli ją odkryjesz, możesz przez nią zejść w dół aż do podziemnego kraju. Żyją tam pod ziemią ludzie, ponieważ na zewnątrz planety nie ma powietrza i jest bardzo zimno. A oni nie mają ubrań...”

„Nie wypada kłamać! – odpowiedział mi krasnal. – Nie ma tam niczego”. „Nie kłamię! – tupnąłem nogą i ciągnąłem dalej: – Zamiast ubrań mają pancerze, coś takiego jak nasze opancerzone skafandry, ale o wiele piękniejsze. Najrozmaitsze pancerze: czerwone, niebieskie, zielone... czerwone mają dzieci, niebieskie mężczyźni, zielone kobiety, ale są również inne kolory. Te pancerze są bardzo mocne, aby nie uszkodziły ich kamienie. A ludzie, jeśli chcesz wiedzieć, pełzają, ponieważ pod ziemią nie można chodzić wyprostowanym. Dlatego bardziej podobni są do jaszczurek, a na nosie mają ogromny świder i nimi w ciągu sekundy przebijają najtwardsze skały...”

„Kłamiesz – przerwał mi ponownie krasnal – nie ma takich istot”. „Nie kłamię – rozplakałem się – nie kłamię, nie kłamię, nie kłamię, widziałem je na własne oczy przez teleskop, wyszły na chwilę z pieczary”. Mój cudowny krasnal opowiadał pasjonujące bajki wmontowane w jego blok pamięci, ale sam nie potrafił ułożyć bajki. Bajka była zaprzeczeniem jego konstrukcji mózgowej i dlatego nie potrafił bajki nawet wysłuchać. Mówił „nie wiem” wtedy, gdy należało wymyślić bajkę lub zażartować. I recytował „nieładnie kłamać”, kiedy wcale nie kłamałem, ponieważ w dziecięcej wyobraźni rzeczywiście widziałem ludzi jaszczurki z diamentowymi świdrami na nosie.

Ktoś mówił mi, że obecne dzieci ikarskie po prostu uciekają i kryją się przed swymi robotami zabawkami. Jeśli przypadkiem wrócę na Ikara, zaproponuję ich zasadnicze przeprogramowanie. Lepiej, by nie miały tylu umiejętności i nie łudziły nas swą wszechmocą.

### **Dzień piętnasty**

Wyłączyłem silniki, wraz z nimi wyłączając to, co jedynie prócz uderzeń mego serca i niekiedy szumu krwi w uszach przypominało życie: ich impulsowe uruchamianie się, dodające w ściśle określonych interwałach nowych przyspieszeń statkowi. Powiedziałem „wyłączyłem”, w rzeczywistości zaś jedynie sprawdziłem, czy wyłączył je autopilot, gdy statek osiągnął zaprogramowaną prędkość.

Autopilot to także jedna z tych maszyn, o których rozmyślałem wczoraj. Rozmyślałem także o strachu człowieka przed nimi i podkopanym do nich zaufaniu. Nie chodzi tylko o to, to zresztą bardzo skomplikowane. Czujesz także podświadomie wdzięczność, bo w ich zwykłych niezawodnych rękach spoczywa twoje życie. Żywisz podświadomy szacunek wobec pojemności i sprawności ich umysłu – czyż nie pytamy o wszystko kolektory, jak rodacy mego patrona pytali o wszystko delficką Pytię. Z drugiej martwi cię troska, że wszystkie dzieci uczą się od robotów naukowych dokładnie tego samego w ten sam sposób, a to zastraszająco zubaża ich wyobraźnię, unifikuje osobowość...

Cisza! I bezruch! Dziwne, cisza i przedtem była ta sama, bezruch wokół także, mimo wyczuwalnych drgań uruchomionych silników, a dopiero teraz to dostrzegam, po ich wyłączeniu...

Zastanawiam się, czy nie została niebezpiecznie naruszona wzajemna relacja między człowiekiem a maszyną, jeśli wziąć pod uwagę przypadającą im powierzchnię? Nie mówiąc już o moim R-19. Jakie

samopoczucie ma wtedy człowiek? A... może przeciwnie? Może ich wszechobecność wywołuje w nim złudne uczucie pewności siebie? Ojciec mój powiedział: nasze przyrządy i maszyny zniekształcają wszechświat jako obiekt badania, stwarzają inny, nie istniejący świat, i z takim właśnie obcujemy, taki badamy...

Nieprzyjemne jest to uczucie powszechnego bezruchu, dlatego nieustannie wymyślam zajęcia dla moich czterech towarzyszy podróży, posyłam tu i tam bez potrzeby, jedynie po to, by stwarzać wokół siebie pozory ruchu.

### **Dzień dziewiętnasty**

Poddaję się. Przez cztery dni nieźle przegoniłem roboty. Dziwne, że nie wepchnęły mnie jeszcze do biokomory! Cierpliwe poczciwiny! Szczególnie rozsądny i cierpliwy musi być ten, który mnie śledzi. Dlatego nie zdołałem go zdemaskować. Oczywiście dlatego właśnie je popędzałem. Początkowo robiłem to rzeczywiście dla wywołania wrażenia ruchu wokół siebie, potem jednak przez umiarkowanie zaskakujące rozkazy – nie posuwałem się do ostateczności, aby nie wpakowały mnie do komory i nie zawróciły statku – próbowałem dociec, który z nich jest najważniejszy. Nie udało mi się go przechytrzyć. Jest wspaniale zakonspirowany. Dawniej robot odpowiedzialny bezpośrednio za twoje bezpieczeństwo nie mógł odejść od ciebie dalej niż na dziesięć metrów, nie mógł opuścić pomieszczenia, w którym się znajdowałeś, choćbyś mu to nawet rozkazał. Teraz spokojnie wychodzi, gdy w pokoju znajduje się drugi psychorobot, ponieważ ma z nim łączność radiową i tamten nieprzerwanie informuje go o twoim zachowaniu, natychmiast wykonując jego polecenia. Prawdziwy spisek przeciw człowiekowi, powiedziałbym, gdyby nie miał on na celu jego bezpieczeństwa.

Próbowałem i takich sztuczek: otwieram hermetyczny luk komory treningowej, a komora to jedno z rzadkich miejsc, gdzie istnieje pewne zagrożenie dla twego zdrowia, i wołam, jakbym dopiero teraz sobie przypomniał: Koro, przynieś szybko szklankę wody! Pozostała trójka także zajęta jest wypełnianiem zadań. Biegnij, bydlaku, wrzeszczę na Koro, lecz on już ujął mnie za łokieć uważnie, troskliwie, lecz chwytem, który może oderwać mi całą rękę, jeśli będę usiłował ją uwolnić, i nie pozwoli mi wejść, dopóki nie przybędzie któryś z jego kolegów. Dopiero wtedy udaje się po wodę dla mnie. Próbowałem tego ze wszystkimi czterema w rozmaitych wariantach – stwierdziłem jedynie, że przybywał

towarzyszyć mi w komorze treningowej ten, który znajdował się w danej chwili najbliżej.

Tak, ich układ wewnętrzny pracował bezbłędnie, a nie potrafiłem zdobyć się na podziw dla geniuszu ich twórców, w innych okolicznościach może... lecz podczas spokojnego lotu wcale nie sprawiało przyjemności być osaczonym przez podobną mechaniczną mafię! Nie zdziwiłbym się, gdyby Nila popełniła samobójstwo tylko dlatego, by uciec przed tymi miłymi, cierpliwymi i obojętnie bezwzględnyymi stworami. Przecież jeden z nich był stale obecny nawet w ich małżeńskiej sypialni, z pewnością gotów interweniować, gdyby przestraszył się przesadnej namiętności.

Podczas tych czterech dni stały mi się tak wstrętne te przydzielone na wiernych towarzyszy i obrońców cybernetyczne pająki, że wręcz nie mogłem na nie patrzeć. To nie do zniesienia, by cię tak szpiegowały, wiedziały wszystko o tobie, widziały cię w każdej sytuacji!

Czy nie przygląda mi się w ten sposób także Tamten, do którego wyruszyłem? Przewierca na wylot wszechwiedzącym, obojętnym spojrzeniem...

A jeśli drwi sobie ze mnie? Albo lekceważy?

### **Dzień dwudziesty**

Nie tylko robotów nie znoszę. Musi to być jakiś moment kryzysowy – pocziwy R-19 stał się nagle tak ciasny, że wciąż boję się, bym nie uderzył o coś łokciem lub głową. Rzeczywiście jest dosyć ciasny dla takiego dryblasza jak ja. Gdy wyciągnę rękę, gdziekolwiek bym był, moje palce zawsze dotykają metalu maszyny. I duszno, duszno nie do wytrzymania! Nieustannie zajmuję się instalacją klimatyzacyjną, w końcu uszkodzę ją tym ciągłym grzebaniem w niej.

To z pewnością kryzys. Dwudziestego dnia mam prawo do małego kryzysu, dlatego najlepiej skorzystać z komory treningowej!

### **Dzień dwudziesty czwarty**

W komorze treningowej początkowo wypełniałem dokładnie program dla astropilotów – cały zestaw gimnastyczny. W ściśle określonym czasie przez ściśle określony czas wytrwale pedałowalem, wirowalem w centryfudze, leżałem w cylindrze próżniowym i wypuszczałem z niego powietrze, niemal samobójczo napinając swą wolę, by wstrzymać oddech i zatrzymać serce owym sposobem wymyślonym przez starożytnych

Hindusów. Albo przeciwnie: zagęszczałem do uduszenia powietrze, zwałłem na siebie tony ciśnienia... W ogóle robiłem wszystko, co zwykło się robić, aby podtrzymać zdrowie fizyczne i psychiczne. I nie tknąłem skafandra treningowego z wrodzonej niechęci do wszelkiego rodzaju iluzji.

Ikarczycy sami wymyślili to diabelskie urządzenie, jak nazwaliby je starożytni, niebezpiecznie spalając je na stosie. Oczywiście i ono wymyślone zostało w dobrej wierze: dla przepędzenia nudy ze statków zwiadowczych niższej klasy, które mają małą załogę i zabronione jest im dowolne lądowanie. I dla treningu psychicznego symulowanie niezwykłych okoliczności nie znanych niebezpieczeństw, zderzenia z niezwykłymi absurdami, krótko mówiąc, na zasadzie kalejdoskopu modelując sytuacje, w jakich mógłby znaleźć się człowiek w innych światach, światach z inną logiką. W rzeczywistości jest to wytwórnia barwnych i trójwymiarowych snów, nie rozgrywających się w twoim mózgu, lecz oddziałujących na twój wzrok i słuch, twój mózg jednak doprowadzony jest pod hełmem do stanu, który każe wierzyć w wizje. Według ikarskiej medycyny jest to ponoć zdrowe dla niego, bo system nerwowy zostaje uwolniony od wewnętrznych przeciążeń.

W tych dniach rozmyślałem także i nad tym dziwnym faktem: jak to możliwe, by nasz tak wspaniale skonstruowany aparat mózgowy, tak rozumny, tak logiczny w stanie czuwania, nagle, nawet nie zasnawszy, nawet nie odurzony chemikaliami, zaczynał wierzyć w najbardziej fantastyczne wizje, serwowane mu po całkiem płytkiej, mechanicznej pohipnozie? Jaki w istocie jest ten aparat kontrolny, skoro tak łatwo poddaje się sugestii, i dlaczego tak łatwo im się poddaje, czyniąc człowieka bezbronnym, wydanym na wszelkie niebezpieczeństwa? Dlaczego ewolucja, która pomyślała o tylu sprawach, właśnie w najważniejszym miejscu – przy aparaturze kontrolnej mózgu – przejawia szkodliwe niedbalstwo czy też konstrukcyjne beztalencie?...

Zadawałem sobie takie pytania, ale włożyłem czarodziejski skafander, wmawiając sobie, że czynię to dla samopoznania, aż w końcu przyznałem, że w rzeczywistości uciekam przed sobą i przed moimi czterema przyjaciółmi w iluzoryczny świat komory treningowej. I wnet zapamiętałem się w tych zajęciach jak pod wpływem jakiegoś narkotyku. Zdawałem sobie z tego sprawę... lecz nie przestawałem tego robić. A Koro czy Tobi, Mono czy Loso stali obok na straży i z pewnością drwili. I taki chce nas rozszyfrować!

Prawa robotyki ma się rozumieć nie pozwalały im tak myśleć



o człowieku, skąd jednak wiadomo, czy w swej doskonałości skrycie nie nauczyły się krytykować swych stwórców – mechaniczna bezbożność, z którą starannie się kryją, przygotowując się do owego decydującego starcia maszyny z człowiekiem, z takim masochistycznym zadowoleniem opisywanego przez naukowych fantastów!

Dziś w komorze treningowej dyżurował Loso. Stał tam jak strażnik i wyrzut sumienia, lecz nie przeszkodziło mi to nastawić zegar na hełmie na całe trzy godziny.

Według standardowego regulaminu sam skafander treningowy przerywa cały seans najpóźniej po godzinie – jedną godzinę dziennie przydziela ci się na tę wątpliwą przyjemność. Tamtego dnia jednak przypadkowo odkryłem, że mechanizm zegarowy na hełmie jest odblokowany, ze skasowanym programem. Czy zrobił to Alek Dery? I jak to możliwe, że nie odkryto uszkodzenia przy przygotowaniu R-19 do ponownego lotu? Czy też zostawiono to umyślnie?

Ledwie mieściłem się w specjalnym fotelu – nie jest obmyślany na takich dryblasów. Jest przyjemnie, niezwykle przyjemnie, lecz mimo to musisz wepchnąć nogi i ręce w specjalny uchwyt, gdy zaczniesz bowiem nimi wymachiwać, skąd wiesz, co zostanie ci przedstawione tym razem? – nie możesz wyrządzić szkody otoczeniu, a także sobie. Hełm jest już na twojej głowie, impulsy bioprądów zaczynają śpiewać na fali twojego mózgu, ciche dźwięki hipnozy także przygotowują tak skądinąd krytyczne twoje szare komórki do kalejdoskopowej zabawy aparatury holograficznej.

Oczywiście nie wypada mi zajmować kogokolwiek swymi przeżyciami w skafandrze treningowym. Nie były to przeżycia, które rodziły się we mnie, by mogły powiedzieć coś o moim stanie, zawierać w sobie jakiś sens. Były narzuconymi mi z zewnątrz wizjami, jak powiedziałem, niezbornymi składankami wyskakującymi z loteryjnego automatu i nakładającymi się jeden na drugi najprzeróżniejszymi kadrami filmowymi. W większości wypadków to, co się ogląda, jest tak bezsensowne, że pozostawia cię obojętnym pod hełmem. Kiedy indziej znów przeżywasz koszmary: znikasz w bezdennych przepaściach nie zamieszkałych planet, kryjesz się przed nieznanymi stworami, które wyraźnie cię tropią, pływasz w jeziorach magmy i smażysz się do utraty przytomności w rozżarzonej skafandrze, łamiesz głowę, by przeniknąć tajemnicę jakiejś nie znanej, lecz bardzo niebezpiecznej materii, badasz śmiertelne mikroorganizmy. W ogóle przeżyć coś przyjemnego to jak wyciągnąć największą wygraną w loterii; po wyjściu ze skafandra trzeba przebrać się, ponieważ bielizna pływa w pocie. I trzeba godzin, by

wszystkie twoje członki zapomniały o przeżytych koszmarach. Medycyna jednak ma rację; godzina strachu od czasu do czasu działa pobudzająco na zagrożony depresją system nerwowy, znajdujący się stale na krawędzi głodu sensorycznego.

Człowiek zawsze doświadczał potrzeby znalezienia się gdzie indziej – w innej rzeczywistości – strój treningowy ostrzega jednak: oto widzisz, jaka inna rzeczywistość cię czeka. Aby nie zrazić go całkowicie, oferuje mu czasem także wygraną, niekiedy zabawną, najczęściej miłą przygodę zmysłów. Myślę jednak, że nie to zmusiło Alka Derego do odblokowania mechanizmu zegarowego na hełmie, lecz dziwna, hazardowa nadzieja „wielkiej wygranej” – szczególnie wabiącej w tej wizyjnej loterii, ponieważ jest nie tylko niewiadoma, lecz i niewyobrażalna. Oto dlaczego nikt z astropilotów nie zameldował dotąd, że istnieje groźba nadużycia skafandra treningowego.

### **Dzień dwudziesty czwarty – później**

Swą wielką wygraną w komorze treningowej wylosowałem dziś, około godziny drugiej.

Zacząło się od tego, że wreszcie udało mi się wymknąć z jakiejś rzeczywistości, pełnej niejasnych przyjemności i określonych lęków, pięknych rzeczy – nie pamiętałem już jakich, lecz także strasznych tragedii, których także nie zapamiętałem. W ogóle nie pamiętałem niczego dokładnie, ale odczuwałem to, jakbym wymknął się z jakiejś dżungli, rozkosznie odurzającej swym rozkładem, a jednocześnie pełnej bestii, czyhających na moje życie.

Oczywiście zapożyczam podobne porównania z literatury ziemskiej i filmów dokumentalnych.

A więc znalazłem się na zalanej słońcem polanie. O, jaka była zielona! Podobnie zielonej barwy nie widziałem w życiu. Woda w rzeczce pod nią także zieleniła się od odbicia połyskliwej trawy. Powietrze było bezkresnym turkusowym kryształem, niebo nade mną mieniło się wszystkimi odcieniami zieleni. Padłem na trawę, by odpocząć, myśląc: powinna ją zobaczyć mama, by wziąć jej nasiona, jak to możliwe, że jest miękka i delikatna, a jednocześnie ma tak długie źdźbła i nawet nie drgnie! Wtedy dostrzegłem, że nie ma najmniejszego powiewu, że powietrze rzeczywiście miało chłodną przejrzystość kryształu. Oto wspaniałe miejsce do wypoczynku, dobrze, że udało mi się wymknąć! Usiłowałem przypomnieć sobie, skąd właściwie się wymknąłem, ale to zdawało się

sprawić zbyt wiele trudu, więc odłożyłem to na później. Pierwsze – to odpocząć! Pomyślałem jeszcze, że muszę być spragniony, wargi miałem suche, choć nie chciało mi się pić. Szkoda tej pięknej zielonkawej wody w strumyczku, tak czystej, tak radośnie migocącej, która... nie płynęła.

Wcale nie zaskoczyła mnie możliwość istnienia strumyka, który nie płynie. Nawet poczułem ulgę od tego spokoju. Wyciągnąłem się w trawie z uczuciem, iż za chwilę, gdy rozprostuję stawy i mięśnie, błogość ta udzieli się mnie. Tam, skąd uciekłem – ciekawe, pamiętały o tym moje mięśnie i stawy! – wszystko płynęło, nie tylko rzeki. Płynął ogień, płynęła przestrzeń, nieustannie coś stawało się, znikało, pojawiało się; było to straszliwie męczące i za nic w świecie bym tam nie wrócił, chociaż nie wiadomo dlaczego nie przypominałem sobie, co dokładnie tam było.

Trawa wcale nie była tak wysoka, bym, położywszy się, nie zauważył strumyka, lecz dostrzegłem go dopiero wtedy, gdy odkryłem nieruchomość wody. To dlatego, skonstatowałem, ponieważ świat w swej istocie jest jednolity i nieruchomy i człowiek staje się szczęśliwy tylko wówczas, gdy zdoła dotrzeć do tej jego istoty. Wydało mi się to bardzo mądre, niczym błysk wielkiej prawdy, lecz byłem tak rozkosznie odprężony, że wcale mnie to nie wzruszyło. Czym zresztą miałem się wzruszać? Gdy człowiek dotarł do absolutnej prawdy, inne, poboczne, będące tylko przypuszczeniem, przestają być interesujące. A moje ciało i duch zdawały się spoczywać na tej trawie niczym na absolutnej prawdzie. I trójca ta – moje ciało, mój duch i trawa tworzyły jedynie molekuly w chłodnej, przezroczystej konstrukcji tej prawdy – ostatecznej i przejrzystej jak ów kryształ węgla, który nazywają diamentem. Nie wiem, czy byłem szczęśliwy, ponieważ nie zadawałem sobie takiego pytania ani żadnego innego, lecz uczucie, że dobrze się wypoczywa, bezspornie jest jednym ze szczęśliwych odczuć człowieka.

I krótkotrwałym! W chwilę potem, kiedy naprawdę odebrałem to jako wypoczynek od czegoś, znikło. Wokół znów wszystko było nieruchome, ale coś we mnie jakby się obudziło, nagle swędzenie kazało mi się zerwać i sięgnąć ręką ku lewej łopatce. To śmieszne, pomyślałem próbując podrapać się, czuć swędzenie, gdy dotarło się do absolutnej prawdy bytu. Widać cynik we mnie pozostaje nieśmiertelny i objawia się zawsze pod postacią alergicznego swędzenia, gdy... Nie zdażyłem dokończyć tego komplementu, swędzenie bowiem objęło nagle całe moje ciało i nie było to już swędzenie, lecz wściekłe ukąszenia owadów. Zewsząd żądliły mnie i gryzły rozwścieczone owady, słyszałem nawet ich zajadłe bzyczenie, lecz nie widziałem ich. Zresztą nic już nie widziałem, ponieważ znów

biegłem jak przedtem, nim znalazłem się na polanie.

Biegłem ze wszystkich sił, by ocalić życie przed niewidzialnymi owadami. Były niewidoczne, lecz wiedziałem, mimo iż nigdy w życiu nie widziałem żywego owada – że są różne, dokładnie wiedziałem jakie, nie znając ich nazw. Jedne gryzły, inne żądliły, jeszcze inne szczypały przednimi odnóżami, miały z przodu szczypczyki jak nożyczki i cięły nimi moje ciało, albo jeden wykręcony róg, albo dwa rozłożyste rogi, które wbijały mi w skórę, lecz wszystkie one, obojętne, jak wyglądały, jak się nazywały, wstrzykiwały doprowadzającą do szaleństwa truciznę w pogryzione, poszczypane i pokłute miejsca... a droga moja stawała się coraz bardziej stroma, nie, już nie droga – kamienista, górską ścieżką. Z jednej strony wznosiła się ku niebu prostopadła ściana, z drugiej opadała prostopadle droga ku przepaści. Potykałem się raniąc nogi o kamienie, lecz nie zaprzestawałem wspinaczki ku górze, wiedziony przeświadczeniem, że jedynie w górze czeka wybawienie od maleńkich potworów.

Biegłem, padałem, biegłem... potem ani niebiegłem, ani nie padałem, tylko czołgałem się na łokciach i kolanach. Krew sączyła mi się z nóg: ze stóp, z łydek, z kolan. I z rąk: z przegubów, z dłoni, ze stawów, z każdego palca oddzielnie. Pokonywałem nieprzebytą dróżkę pozostawiając za sobą, między dwiema ścianami, ciekłą strugę krwi, jak tamta na polanie, lecz czerwoną i ruchomą. Krzyczałem, lecz nie słyszałem ani swego głosu, ani jęków, z pewnością wcale nie krzyczałem, ponieważ jednocześnie miałem świadomość, że krzyk jest bezcelowy, że nie ma komu przyjść mi z pomocą, że jedynym wybawieniem będzie dotarcie na szczyt. Lecz jak miałem go osiągnąć przy takim upływie krwi? Oby starczyło mi krwi i uporu – od tego zależało moje ocalenie! O to byłem gotów błagać, ponieważ krew ciekła już z poranionej piersi, i z oczu, jakby nie miała innego celu, jak napełnianie dymiącego czerwonego strumienia za mną.

Góry siniały ze wszystkich stron. Nagie szczyty, przepaściste stoki – szare jak szara i zimna jest każda skała silikatowa. Szare, zimne, nie kończące się pasmo gór, lecz byłem na ich najwyższym szczycie i już nic mnie nie kąsało, nie kłuło, nie wsączało trucizny w moją skórę; czerwony strumyk krwi zaś wysechł albo znikł, ponieważ także ścieżka, którą się wspinałem, znikła. Siedziałem na wielkim, zimnym, szarym głazie – oddychałem z trudem i patrzyłem zachwycony, jak z cudowną prędkością zasklepiają się rany na moich rękach. Strzępy skafandra biły o moje ciało: był to lekki skafander, materiał jednak był nieprzyjemnie twardy. Przenikliwy wiatr szarpał nimi tak, jakby wiał ze wszystkich stron jednocześnie, a one w niewytłumaczalny sposób trzepotały we wszystkich

kierunkach, nie napotykając oporu przeciwnego prądu powietrza.

Teraz słyszałem także zawroźenie samego wiatru. Huczał nie jak jeden wiatr, lecz wiele wiatrów, na wiele rozlicznych głosów, co przypominało kanonowe podejmowanie i ziewanie się melodii na różnych wysokościach w jeden potężny i przejmująco dźwięczny chór. Bałem się, że ta lodowata melodia zaraz zamieni mnie w głaz jak wszystko wokół. Gdyby nie ten wiatr... pomyślałem, ale skąd się wziął nagle ten wiatr? I zaraz otrzymałem odpowiedź:

– Na szczycie zawsze jest wietrznie.

Odwróciłem się niezbyt zaskoczony, jakby nic do tej chwili nie zdziwiło mnie szczególnie, jakby wszystko biegło normalnym torem, specjalnie dla mnie przeznaczonych przypadków i zdarzeń. O dwa kroki z boku, tuż u szczytu, stał wsparty na grubej lasce, szarej jak okoliczne skały, wysoki starzec. Jego długa fałdzista szata – nazywa się to, chyba, chiton! – była szara, a długa broda i malowniczo kędzierzawe włosy szarobiałe. Szare jak skała i jak skała spokojne oczy promieniały.

– Dlatego nie przylatują tu owady – dodał i szare kamienne usta rozciągnęły się w uśmiechu.

Gdyby się nie uśmiechnął, wziąłbym go za pomnik wykuty w okolicznych skałach.

– Jesteś Zenonem, prawda? – zapytałem znów bez zdziwienia. – Zenonem z Elei? Co porabiasz tutaj?

– Czekam na ciebie – skinął głową z prostodusznym zadowoleniem, że od razu go poznałem.

– A skąd wiedziałeś, że przyjdę?

– Przecież szukałeś mnie?

– Nie – powiedziałem delikatnie, by go nie obrazić. – W rzeczywistości szukałem kogoś innego, pewnego...

– Mylisz się, szukałeś mnie – zaoponował delikatnie. – Albo dokładniej: szukałeś szczytu.

– Ależ nie, czułem się wspaniale tam w dole – wskazałem na polankę, która nie wiadomo jakim sposobem ponownie ukazała się mym oczom, zieleniejąc nisko pode mną, wyrazista, rozświetlona słońcem, zjawiskowo piękna i nieosiągalnie daleka. Zapytałem udręczony: – Co to właściwie za polana?

– To nadzieja. Człowiek nie powinien jednak zbyt długo na niej się wylegiwać. Dobrze poczuje się dopiero wtedy, gdy wzniesie się ponad nią.

– Ach, tak – powiedziałem z nieuprzejmym rozdrażnieniem. – Wam, starożytnym, tylko symbole w głowie!

Mój patron nie obraził się.

– Nie mieliśmy statków kosmicznych, mój chłopcze, dlatego wzbijaliśmy się we wszechświat za pomocą symboli.

– I daleko zalecieliście? – zakpiłem, ponieważ było mi przeraźliwie zimno, poza tym aluzja w jego słowach wydała mi się obraźliwa. – Świat ponoć jest jednorodny i nieruchomy, prawda? Skoro jest nieruchomy, skąd ten przeklęty wiatr na szczycie?

Tu zadrzałem nie tylko od zimna, lecz od jakiegoś mistycznego dreszczu – podczas gdy strzępy mojego skafandra nie przestawały mnie chłostać, na jego chitonie nie drgnęła nawet najmniejsza fałda i ani jeden włoszek nie drgnął na jego bujnie owłosionej głowie.

– Zenonie – odpowiedział Zenon z Elei. – Nie wulgaryzuj mojej filozofii, jak uczynili to później cynicy i niegłupi skądinąd Platon! Wiesz, że już sam Arystoteles nazywał mnie odkrywcą dialektyki.

– Wiem – przerwałem mu. – Ale skąd ty o tym wiesz, skoro żyłeś wiek przed nim?

– Ze szczytu widać wszystko – odpowiedział i po raz pierwszy poruszył się, zmienił rękę, którą wspierał się na swej pasterskiej lasce, a ja przeraziłem się, co dzieje się dziś z moimi oczami – laska okazała się długim, pociemniałym ze starości mieczem.

Rozejrzałem się – dokąd sięgał mój wzrok, fałdował się zastygły w swej silikatowej nieruchomości szary masyw gór. Moja zielona dolina znikła, zresztą nie domyśliłem się, by ją odszukać. Powiedziałem:

– Czy nie ty pierwszy powiedziałeś, że przestrzeń nie istnieje? Czy z tego szczytu mam się o tym przekonać? Prawda, głosiłeś inne jeszcze zabawne rzeczy, teraz przypomniałem sobie! Choćby to o szybkonogim Achillesie, który ścigał się z żółwiem i nie zdołał go prześcignąć...

– Synu – odparł łagodnie. – Czy wasz Hidalgo zdołał już przebyć połowę drogi?

– Oho, wiesz nawet, że lecimy asteroidem Hidalgo! Słuchaj, mój patronie, gdyby nie było mi tak zimno przy tobie...

– Zenonie – przerwał mi. – Nawet gdybyś chciał, nie możesz zostać przy mnie. Ale przynajmniej możesz odpowiedzieć na moje pytanie, prawda?

Zastanowiłem się, dygocąc z zimna, jakiej odpowiedzi oczekuje ode mnie i przypomniałem sobie jedną z jego dziwacznych tez, która głosiła, że by osiągnąć swój cel, trzeba wpieryw przebyć połowę drogi do niego, lecz przedtem należy przebyć połówkę tej połowy, a przed tą połówką połówkę tej połówki, i tak dalej – bez Końca. Czym dowodził, że w ogóle

nie wyruszyłeś, że w ogóle nie istnieje ruch. Odparłem mu:

– Masz rację, rzeczywiście nie przebyliśmy połowy naszej drogi, z pewnością nigdy nie przebędziemy tej połowy dlatego, że nikt nie wie, gdzie jest kres naszej podróży. Uwierz mi, Zenonie z Elei, dosyć długo podróżuję w kosmosie i na własne oczy przekonałem się, że świat ani nie jest jednorodny, ani nieruchomy, przeciwnie... Zresztą, wybaczone, to ty powiedziałeś, abyśmy nie dawali świadectwa własnym oczom, prawda? Wy tam, w Elei, zdaje się w ogóle nie wierzyliście zmysłom, tylko duchem poszukując prawd... – urwałem i okutałem się mocniej, przemarznięty do szpiku kości, w strzępy mojego kombinezonu.

Wiatr jednak natychmiast je rozwiewał, gdy tylko puściłem rękę, by przytrzymać jakiś inny koniec. I nie przestawał napełniać mych uszu swą polifoniczną pieśnią. Czułem się obrażony. Do tego wszystkiego skądś pojawiła się dosyć niepokojąca chmura. Była daleko, lecz wiatr szybko gnał ją prosto w naszą stronę.

– Skoro podróżowałeś tyle w kosmosie – nie poddawał się starzec – i skoro zetknąłeś się z tyloma paradoksami, czy nie pomyślałeś, że to właśnie nasze niedoskonałe zmysły nadają mu taki kształt, że natura nie może być aż tak pełna sprzeczności?

– No wiesz – zaoponowałem z narastającym zniecierpliwieniem. – Wszechświat nie ma granic, a skoro nie ma granic, niewątpliwie musi być pełen przeciwieństw.

– A przed wybuchem? – zapytał podstępnie.

– Jakim wybuchem?

– Nazywacie go wielkim wybuchem. Przecież uczeni wasi twierdzą, że u początków miał miejsce wybuch, wskutek którego powstały obecne światy?

Wtedy rzeczywiście wszechświat był jednorodny i nieruchomy.

– Nawet to zdołałeś dojrzeć ze swego szczytu – zawołałem, lecz moją ironię zagłuszył chór wichrów, który przeobraził się w chór syren alarmowych. – Nie wszyscy uczeni akceptują teorię początkowego wybuchu, mój ojciec...

Chmura pędziła ku nam z zawrotną prędkością i wydawała się nie chmurą, lecz czarną i twardą płaszczyzną o ostrych zębatych krawędziach, skierowanych prosto ku naszym gardłom.

– Zenonie – zawołałem przestraszony i instynktownie pochyliłem się. – Co to takiego?

– To bezsensowne – uśmiechnął się swym kamiennym uśmiechem. – Gdy jesteś na szczycie, choćbyś nie wiem jak się pochylał, wszystko

będzie pod tobą.

W następnej chwili chmura obcięła nam głowy.

Wokół mnie, pode mną, nade mną rozścielał się przejrzysty, lecz gęsty mrok.

Wisiąca pośród niego moja głowa, lecz była żywa, ponieważ mózg kurczył się od bólu w przeciętym gardle.

– Przestraszyłeś się Nicości?

Głowa Zenona z Elei wisiąca w ten sam sposób – szarobiały kamień pośród czarnej nieważkości chmury.

– Nie – skłamałem. – Ale co to za Nicość? Boli mnie gardło, a Nicość nie może sprawiać bólu.

– Brawo – pochwalił mnie. – Dobrze opanowałeś dialektykę negacji.

Prawdę powiedziawszy, to ja ją odkryłem. A więc zrozumiałeś, że ból jest w tobie i z ciebie, jak owady, które przygnały cię na ten szczyt. Dlaczego zatem nie chcesz przyznać, że podobnie jest z przestrzenią? Istnieje jedynie w naszych odczuciach. Jeśli istnieje realnie i niezależnie, gdzie się znajduje? Powinna znajdować się albo nad inną przestrzenią, albo wewnątrz innej, inna w innej i tak dalej, w nieskończoność.

– Ach, proszę cię – skrzywiłem się niegrzecznie. – Podobne spory prowadź z moim ojcem, ja nie jestem mocny w filozofii. Mnie powiedz tylko, dlaczego odcięli ci głowę. Nie zrozumiałem tego dobrze, gdy czytałem twoją biografię.

– Ponieważ pozwoliłem sobie stanąć na czele pewnego spisku przeciwko tyranowi Elei.

– A widzisz? – zatriumfowałem i chciałem coś jeszcze powiedzieć, coś, co było już moim odkryciem, bardzo ważnym odkryciem, uczynionym w tej właśnie chwili, w której jednak... włączył się drugi system budzący skafandra treningowego.

Niezwykle długo trwał mój powrót na posłanie w sali treningowej. Miałem wielką ochotę przynajmniej sformułować do końca swoje odkrycie, ale już je zapomniałem. A wszystko inne pamiętałem, mimo iż było mi myślowo obce i mimo iż mój mózg jakby rozszczepił się na dwie połówki, które teraz wolno zbliżały się ku sobie, jak przybliżają się do połączenia w przestrzeni dwa statki kosmiczne. W przestrzeni tej wciąż nie przestawały wisieć między nimi głowy Zenona z Elei i Zenona z Ikara, lecz nie były w stanie powiedzieć sobie nic więcej. Gdy nastąpiło połączenie obu półkul mózgowych, powiedziałem do psychorobota, który cierpliwie wytrwał trzy godziny obok mnie:

– Loso, co o tym sądzisz, hm?



Oczywiście nic nie sądził nie tylko dlatego, że pytanie nie zostało zadane w jego języku. Wciąż byłem jak pijany, lecz znieczulenie przestawało działać i miał wytrzeć wspomnienie, jakby je obnażało, aż błysnęło przede mną w całej namacalnej nagości.

– Loso – wykrztusiłem – to wręcz nieprawdopodobne! Rozumiem, że w ten treningowy kalejdoskop dla rozrywki upchnięto najrozmaitsze idiotyzmy i fantasmagorie, lecz nakręcić film z nigdy nie odbytej rozmowy między Zenonem z Elei i Zenonem z Ikara – tego nie jest w stanie dokonać najgenialniejszy nawet operator. Zarejestrujmy ją więc na wszelki wypadek, co? A potem będziemy sobie łamać nad nią głowę...

I podyktowałem natychmiast, jeszcze wypoczywając w komorze treningowej, tę swoją przygodę. A odtworzywszy poprzedni dzień i jeszcze wcześniejszy, kiedy także moje przygody w następnych dwu godzinach całkowicie różniły się od przygód w pierwszej, regulaminowej godzinie, i mobilizując do tego cały swój skromny inżynierski zasób wiedzy, doszedłem do wniosku, że po pierwszej godzinie kalejdoskop treningowy sam wyłącza się poprzez własny mechanizm zegarowy i zaprzestaje projekcji. Odblokowane jednak przez Alka urządzenie programowe nie budzi cię i hełm nie przestaje hipnotyzować cię tak długo, aż gdzieś w połowie drugiej godziny nie wywoła w tobie podręcznikowo klasycznej schizofrenii, z idealnym rozszczepieniem osobowości – jedną z tych krótkotrwałych, eksperymentalnych schizofrenii, które już przed wiekami wywoływali psychiatrzy za pomocą środków chemicznych, usiłując zajrzeć w otchłań owego zagadkowego stanu mózgu. A gdy doszedłem do tego wniosku, wrzasnąłem, gotów do nowego szaleństwa:

– Nieee! Może mózg mój jest w stanie rozszczepić się na dwóch Zenonów, po tych moich badaniach nad pracami mego patrona z Elei, by zabawić się pleceniem głupstw od znudzenia podróżą, ale ten głupiec i dobrodusznik Alek Dery?... Jak zdołał zamknąć połowę swej istoty w sferze Riemanna i przekształcić ją w jakiegoś równego bogom przedstawiciela wyższej cywilizacji, rozkazującego i grożącego ludzkości?...

### **Dzień dwudziesty piąty**

W ostatecznym jednak rachunku ja okazałem się idiotą. W żaden sposób nie mogę uporać się z potwornym dla mnie odkryciem, że z pewnością także Alek w tej samej komorze treningowej spotkał swego „boga”, w pogoni za którym ryzykowałem teraz własnym życiem. No

proszę, wciąż jeszcze mówię „prawdopodobnie”, kiedy jest to więcej niż oczywiste! Dlaczego jednak właśnie takiego „boga” miałby kreować w sobie tak prostolinijny i odważny astropilot jak Alek Dery?

Dlaczego właściwie szydziłem ze swego mądrego i dostojnego patrona, prawdziwego tytana myśli, w którego dziele znaleźć można zaczątek całej późniejszej filozofii, rozpatrywanej już w krytycznym planie? Tylko dlatego, że było mi przy nim, na szczycie, zimno? Zaraz, zaraz, z kogo właściwie drwiłem, jeśli byłem jednocześnie i Zenonem Balowem, i Zenonem z Elei? Czy nie drwiło ze mnie coś jeszcze innego, coś trzeciego, tkwiącego między dwiema półkulami mego mózgu niczym aparat kontrolny? Drwiło w rzeczywistości ze mnie i tej tezy o świecie, z powodu której znalazłem się teraz w najbardziej lekkomyślny sposób w tym zatęchłym zakątku galaktyki!

Nie, nie nuda podróży wymyśliła „boga” w głowie Alka Derego, lecz... chaos!

Bóg jest jedyną opoką pośród niego, szczytem, zimnym i surowym, lecz niewzruszonym. Bóg jest granicą chaosu. Bóg jest porządkiem, który człowiek pragnie narzucić wszechświatowi.

Wszak nie ma porządku bez zakazów? W takim razie w jakim celu właściwie wyruszyłeś, dialektyku negacji? Wcale nie wyruszyłeś szukać „boga” Derego, bo wabił cię jego porządek – czyż drwiłby tak z niego twój własny aparat kontrolny? Wyruszyłeś instynktownie właśnie po to, by powstać przeciwko zakazom owego „boga”. Jak ten, którego imię nosisz, poświęcił swą pełną sceptycznej mądrości głowę, usiłując przegnać z tronu żalostnego prowincjonalnego dyktatora Elei. Ponieważ, mój drogi, porządek pośród chaosu przyrody, o jakim marzą ludzie, potrzebny jest także po to, by mieli przeciw czemu powstać.

I dlatego opanuj się i uspokój! Nie stało się nic strasznego, przeciwnie! Czyż starożytni, którzy jak widać, wciąż jeszcze są mądrzejsi od ciebie, nie powiedzieli, że prawdziwie wielka przygoda człowieka czeka nań w jego własnym wnętrzu! Dlatego powiedz na razie choćby „dziękuję” swojemu duchowi, który przynajmniej nie pozwala ci się nudzić.

## **Dzień dwudziesty ósmy**

Jestem zupełnie przygnębiony. Do komory treningowej nie mam odwagi wejść, wszystkie inne rozrywki są mi nie mniej wstrętne. Wciąż jeszcze gram niekiedy w szachy, ćwicząc zapomnienie, lecz psychoroboty ogrywają mnie niemiłosiernie. Ani razu nie udaje mi się osiągnąć pata lub

szach-mata. R-19 znów mnie przytłacza – nagle czuję się tak, jakbym nałożył na głowę swój dziecięcy hełm. Chodzę tu i tam bez potrzeby, obijam się o ściany, straciwszy poczucie równowagi, a wszystkie moje stawy wyją z bólu od tych chaotycznych ruchów. Tak, coś niedobrego dzieje się ze mną, a boję się, że to dopiero początek. Najrozsądniej byłoby skierować statek ku Ikarowi, nadać mu maksymalną prędkość i ułożyć się w komorze anabiotycznej. Lecz tego nie odważę się zrobić. Przedwczoraj widziałem Nila. Gdy po raz któryś z rzędu sprawdzałem instalację klimatyzacyjną, nagle usłyszałem cichy śmiech. Cichy i wyraźnie drwiący. Możecie wyobrazić sobie, jak reaguje się na coś podobnego, gdy wie się, że na statku nie ma innego człowieka prócz nas!

Odwróciłem się – Nila! Wyglądała zza płataniny rur w sektorze regeneracyjnym i uśmiechała się kpiąco. Nie od razu zauważyłem, że wśród rur wisi jedynie jej piękna głowa, nawet nie cała głowa, tylko twarz w obramowaniu bujnych rudych włosów. Ofuknąłem ją – żartem oczywiście, by ją udobruchać:

– Kto wpuścił cię tu z takimi włosami? Czy nie obowiązuje cię regulamin astropilotów?

Zmrużyła oczy – stały się wąskie jak szczelina, wyskoczyły z nich niebieskozielone iskry elektryczne, jak przy krótkim spięciu.

– Instalacja klimatyczna jest uszkodzona, a nie potrafię jej naprawić – powiedziałem do niej. – W końcu się uduszę.

Otarłem dłonią czoło, lecz nie po to, by zademonstrować jej, jak jest duszno i jak się pocę. Pot istotnie spływał po nim tak, że brwi nie były w stanie go powstrzymać.

– Tak się zaczyna – odparła i zaśmiała się złośliwie.

– Co?

– Najpierw zawsze psuje się klimatyzacja. Dlatego idź zaraz do komory.

– Co się zaczyna? – wrzasnąłem, a ona powiedziała mi „idiota” i zniknęła.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nigdy nie nosiła długich włosów, i że jej wargi nie poruszały się, lecz mimo to słyszałem wyraźnie wypowiedziane słowa.

Oczywiście po takiej rozmowie nie mogło być mowy o tym, bym wszedł do komory anabiotycznej – tam gdzie spłonęło w niewidzialnych płomieniach tlenu wspaniałe ludzkie piękno.

A Alek szalał wtedy w komorze treningowej, by oszaleć całkowicie, gdy wyszedł z niej.

Nie będę tu więcej zaglądał. Hej, Loso, Tobi, Mono, Koro, słyszycie, automatyczne diabły, nie wpuszczajcie mnie więcej do komory treningowej! Podobno macie dbać o moje zdrowie!

Muszę się uspokoić. Muszę się uspokoić, aby podjąć jakąś decyzję, lecz nie potrafię. Kiedy kładę się i zaczynam od rozluźnienia mięśni – tego również nie udaje mi się osiągnąć całkowicie – punkt, który wybieram, by skoncentrować na nim wzrok, nagle ożywa. Przekształca się we wstrętnego płaza lub ptaka, bijącego okrwawionymi skrzydłami o ściany lub jednocześnie i w ptaka, i w żmiję – głowa ptaka, ciało żmii lub na odwrót – kuliste ciało ptaka połyskliwe jak globus, o lśniącej węzowej łusce, z którego wyrasta długa, długa szyja, nie szyja, lecz żmija, zakończona sępiim dziobem. A dziób ten mierzy we mnie, ja zaś kurczę się przerażony i z całego odprężenia po jodze nie pozostaje śladu.

Wczoraj widziałem także mojego ojca. Przyznawszy się do klęski, ruszyłem ku autopilotowi, by zmienić kurs, i dokładnie nad pulpitem autopilota zakotłosała się papierowoblada zamyślona twarz mojego ojca. Była bardzo smutna i spoglądała na mnie z wyrzutem. Ze smutnym wyrzutem. Nie wiem, co miał mi do zarzucenia, chciałem sam to odgadnąć, dlatego nie zapytałem go. Ponownie poczułem skurcz serca i wszystkich naczyń krwionośnych, a gruczoły potowe – przeciwnie: otwały się jak wulkany i wylały swą zimną zawartość.

Co zarzucałeś mi, tato? Zresztą, mniejsza o to! Ojcowie zawsze żywią jakiś żal do swoich synów, synowie zawsze poczuwają się do jakiejś winy wobec ojców. Szkoda, że nie zdołałem zmienić kursu, ponieważ kiedy zniknąłeś z tym swoim boleśnie szlachetnym wyrzutem, wybuchł we mnie ponownie synowski upór. W końcu odeślę wam statek, a sam wyfrunę z niego pociskiem awaryjnym.

Widzisz, tato, a jednak udało wam się przekazać mi coś z waszego poczucia odpowiedzialności! Nawet w tym stanie wiem, że nie wypada, bym poświęcał cały statek zwiadowczy, choćby nawet przestarzałej klasy „A”, dla jednego głupiego samobójstwa. Można to uczynić tańszym sposobem. Wpierw jednak muszę uporać się z tymi czterema pajacami, które miałem przestudiować.

## **Dzień dwudziesty dziewiąty**

Dwie dawki psychotronu w nozdrza przepędzają na godzinę jaszczury i ptaki ze ścian i chichoczące znane i nieznanne gęby, zawieszane na częściach statku jak starojapońskie lampiony smoki. Zapobiegają także, by

awaryjna torpeda nie przeobraziła się w gigantycznego krokodyla, gdy zbliżam się do niej, jak stało się to pierwszego dnia. Czynią mnie nawet zdolnym do zastanowienia się nad dziwnym faktem, że moje przywidzenia są identyczne jak przywidzenia tracących zmysły przed tysiącem lat. Czy tak mało się zmieniliśmy w swej najbardziej wewnętrznej istocie, że właśnie płazy są tym, co najbardziej nas przeraża, chociaż nigdy nie widzieliśmy tych niewinnych stworzonek gdzie indziej, jak tylko na filmach oświatowych? Widocznie w erze płazów, pełzających i latających jak pterodaktyle, człowiek stawał się człowiekiem, i ich obraz tak trwale zapisał się w jego pamięci komórkowej.

Zdaje się jednak, że także próżność jest moją trwałą cechą, skoro mimo wszystko odnotowuję to spostrzeżenie w notatkach do mojej dysertacji. Oczywiście w pełni zdaję sobie sprawę ze swojego stanu i diagnoza, nader banalna, jest mi znana, a środki do skutecznego wyleczenia znajdują się w diagnostyczno-leczniczej komorze statku. Nie mam jednak najmniejszego zamiaru wracać na Ikara, by ze skruchą wyznać Terinowi: Miał pan rację, profesorze...

Koro pomaga mi skontrolować sprawność torpedy. Wciąż kręci się przy mnie ta ośmionożna bestia, wyraźnie pełna podejrzeń. Dlatego przesadnie dokładnie sprawdzam każde połączenie, jakkolwiek interesuje mnie jedynie urządzenie, które wystrzelił mnie z tego zaczarowanego, pełnego wstrętnych stworów i jeszcze wstrętniejszych twarzy R-19. I papłę do niego bez przerwy:

– Strasznie jesteście przemądrzali, lecz nie jesteście w stanie przeczuć niebezpieczeństwa. Rozpoznajecie je dopiero, gdy wreszcie nadejdzie, ponieważ jesteście tylko maszynami, – niczym więcej! Tylko człowiek jest w stanie je przeczuć, długo przedtem, zanim nadejdzie. Dlatego torpeda powinna być gotowa do wystrzelenia mnie, a potem wy doprowadzicie statek do Ikara.

Tym podobne rzeczy papłę do niego, starając się wyglądać całkiem spokojnie. On, rzeczywiście, nic nie rozumie – do rozmów z psychorobotami istnieje specjalny słownik ze specjalną gramatyką, ściśle określającą sposób wprowadzania słów do ich holograficznej pamięci. Lecz wszyscy astropiloci rozmawiają w ten sposób ze swymi psychorobotami, nie tylko dlatego, że przywiązują się do nich, lecz także z potrzeby kontaktu z drugą istotą.

Wstrzykuję sobie jeszcze odrobinę psychotronu do nosa i kładę się, by wypróbować swą trumnę, która nieś będzie moje ciało wśród pylnych przestrzeni galaktyki, dopóki nie wpadnie do krematorium jakiegś

gwiazdy. Przyjemnie tak leżeć. Zamykam oczy – śmierci oczywiście nie jestem w stanie sobie wyobrazić, lecz rozlewa się we mnie jak ciepło i jak światło triumf, że znalazłem sposób, by przechytrzyć psychoroboty. W awaryjnej torpedzie nie ma dla nich miejsca, ona sama jest prawie psychorobotem. Wszystko w niej działa automatycznie, ponieważ jej przeznaczeniem jest jedynie wynieść cię na jakąś orbitę, gdzie będziesz czekać w stanie zamrożonym tak długo, dopóki cię nie ściągną. A najważniejsze, że można nią sterować także od środka. I że psychorobot nie ma w programie decyzji, czy człowiek ma prawo wejść do niej, czy nie. Decyduje jedynie wtedy, gdy odkryje nie dającą się naprawić awarię wskutek rozhermetyzowania wszystkich pomieszczeń i ludzie nie są w stanie opuścić statku. Wtedy sam ładuje załogę do torped.

Możesz przestać kpić ze mnie, Nilu – odkryłem własny sposób ucieczki od psychorobotów.

Myślę jeszcze nad tym, jak natychmiast po wylocie uszkodzić aparaturę anabiotyczną, a potem także urządzenie sygnalizacyjne, takie jest bowiem przeznaczenie tych torped: zamrozić cię na dwa dziesiątki lat i ogłuszać przez ten czas galaktykę swym potężnym nadajnikiem, że na takich a takich współrzędnych, na takiej a takiej orbicie, znajduje się siedemdziesiąt – osiemdziesiąt kilogramów cennej materii, którą należy ściągnąć.

Jak cudownie byłoby, gdybym nie musiał więcej otwierać oczu i mógł pozostać w tej miękkiej jak powietrze komorze torpedy i spać, spać, muszę je otworzyć jeszcze raz, by zmienić kurs statku. Muszę jeszcze zadać sobie niemało trudu, niemało, bowiem gdy tylko otworzę oczy, z pewnością znów opadną mi zwierzęta i twarze. A od samej takiej myśli robi mi się duszno, czuję ucisk w piersi, skurcz serca i przeszywający ból z lewej strony klatki piersiowej, i właśnie wtedy, gdy usiłuję unieść nagle ciężkie jak ołów powieki, na czole kładzie mi się coś bardzo lekkiego i delikatnego, wydzielającego niesłychanie miły chłód. Zaciskam powieki, zaciskam szczęki, usiłuję wyobrazić sobie, co to takiego, lecz różni się to wyraźnie od dotychczasowych koszmarnych majaków i przypomina coś w rodzaju kobiecej czy dziecięcej rączki. A gdy rączka ta zaczyna mnie głaskać, zaduch także znika, ciężar na piersi maleje, serce wraca do dawnej objętości, powietrze staje się niezwykle świeże, więc postanawiam jeszcze długo nie otwierać oczu. Lecz choć bezcieleśnie delikatnie, delikatnie jak we śnie, Heliana Dolia-Moreni odzywa się do mnie zaskakująco realnym głosem, wypowiadając zadziwiająco realne słowa:

– Nie należy tego robić! Proszę cię, nie rób! – Ja... – chłód kilka razy

przesuwa się po moim czole – My... my potrzebujemy ciebie.

– Heli! – wołam i chyba pobitem rekord w szybkości otwierania oczu.

– Heli?

Uśmiecha się, lecz w odróżnieniu od wszystkich twarzy, które dotąd się pojawiały, nie ma kpiny ani w jej uśmiechu, ani w jej oczach. Nie ma także wyrzutu. Tylko bolesny uśmiech.

– Obiecuj mi! Jeśli nie możesz już wytrzymać, wróć na Ikara. Nikt nie będzie się na ciebie gniewał ani kpił z ciebie, że nie wypełniłeś swego zadania.

Szperam gorączkowo w swej medycznej wiedzy i usiłuję osądzić, czy możliwe jest takie widzenie. Nie, w podobnie depresyjnej, niemal schizofrenicznej psychozie nie do pomyślenia jest wizja niosąca uczucie szczęścia. W każdym razie medycynie nie znane są podobne wizje. Przynajmniej mnie nie są znane. Lecz szczęście to szczęście i sprawia, że czuję się pełen sił i wesoły jak chłopak.

– Pocałuj mnie – mówię. – Jeśli mnie pocałujesz, przyrzeknę!

Waha się, ale czuję, że to zrobi, więc wstrzymuję oddech i wiem, że nic nie kosztuje mnie ta obietnica, ponieważ śmierć straciła już dla mnie wszelki powab. Waha się jak zmieszane dziecko, potem całuje mnie w policzek mokrymi usteczkami, tak jak całuje się dziecko („Zenku, ciebie kocham najbardziej”).

– Prawdziwie – mówię do niej. – W usta!

I wyciągam ręce, by ją objąć, ponieważ jak w nagłym olśnieniu zrozumiałem, że nie ma niczego, co kochałbym bardziej od tej dziewczyny, lecz uprzedza mnie. Z nie podejrzaną namiętnością wpija się na chwilę w moje spieczone usta i znika.

– Heli! – wołam za nią. – Heli!

– Obiecałeś mi! – wręcz rozkazuje, ale już jej nie widzę, ani nie czuję.

– No już! Idź zmienić kurs! Czekam na ciebie, Zenonie, czekam na Ikarze.

– Powiedz przynajmniej, że mnie kochasz! – usiłuję także wymusić jakąś obietnicę na swej przepięknej zjawie.

A ona odpowiada mi tym zdumiewająco realnym głosem gdzieś spod sufitu sektora, w którym znajduje się torpeda awaryjna:

– Kocham cię, Zenonie. Wróć!

## **Dzień pięćdziesiąty dziewiąty**

Budzi mnie Tobi. To jest budzi mnie automat, a Tobi asystuje i z pewnością przez cały czas stał na straży obok wanny w komorze

anabiotycznej. Ale to przecież nie dowodzi, że właśnie on jest robotem kontrolnym. Głos automatu beznamiętnie recytuje to, co świeci się także na tablicy przed moimi oczyma: regulamin wychodzenia za snu anabiotycznego. Budzenie nie jest awaryjne, tak więc nie każe mi spieszyć się. Tobi stoi nieruchomy i milczący, automat niewidzialnie wykonuje swoją pracę, a jego głos mówi, że jest mu zupełnie obojętne, czy się zbudzę czy nie. Śmiertelny zastój wciąż jeszcze tkwi w moich kościach i mięśniach, mój mózg jest jeszcze kawałkiem lodu, lecz muszę wykonać pedantycznie wszystkie zabiegi – od zmycia z ciała krioprotektora w sąsiedniej wannie z rozpuszczalnikiem i jednoczesnego wypicia małymi łydkami całego litra śluzowatego chłodnego vitasalu, poprzez ćwiczenia oddechowe przed aparatem aerozolowym, aż po włożenie określonej odzieży z określonej niszy. Komora nie otworzy się, zanim tego nie zrobię, a z pewnością także Tobi będzie interweniować. Główne zabiegi przy budzeniu miały miejsce, zanim jeszcze się zbudziłem. Moja krew, odświeżona i naszpikowana preparatami, płynie jak szalona, powodując, iż dostaję zadyszki, przewietrza potem pory mojej skóry i kiedy opancerzone drzwi wreszcie rozhermetyzowują się, gdybym był trochę bardziej zarozumiały, mógłbym powiedzieć, że jestem taki jak przedtem.

Myśl, że może leżałem w wannie Nili, nie wywołuje szczególnego wrażenia w mojej chłodnej jeszcze świadomości, a to znaczy, że jednak nie jestem ten sam. Naturalnie, już wiadomo mi w ogólnym zarysie, co się stało, lecz jeszcze nie jestem w stanie rozzłościć się na moje psychoroboty, że uczyniły mi bądź co bądź przyjemność wepchnięcia mnie do komory. Teraz bardziej zajmuje mnie niemądre staranie, by wyjść z niej z godnością. Drzwi otwierają się niemal uroczyście, po wybraniu przeze mnie wolno, lecz bez wahania skomplikowanego szyfru, będącego w rzeczywistości testem sprawdzającym zdolność do samodzielnych rozumnych działań. Z obrażoną powagą próbuję wyjść przez nie, choć nogi uginają się pode mną, nie zaszczycając czuwającego zazdrośnie obok mnie psychorobota niczym innym prócz pogardliwego niezauważania.

I jemu, jak automatowi anabiotycznemu, jest oczywiście absolutnie obojętne, czy go zauważam czy nie. Czyż zwycięzcą nie okazał się jednak on – on wspólnie z pozostałymi robotami, w spisku ze wszystkimi automatami pokładowymi, z całym R-19 z przestarzałej klasy A, stanowiącym w rzeczywistości także podobnie mądrą i obojętną maszynę, gotową uczynić wszystko, co jest dogodne dla niej, by nie poddać się człowiekowi, który wyobraża sobie, że jest jej panem.

Przypominam sobie mniej więcej, jak rozwijały się sprawy. Resztę



wyświetlają mi zapiski psychorobotów, które w podobnych przypadkach dokumentują wszystko z dokładnością, której człowiek może im pozazdrościć: gdzież nam do podobnego dokumentowania w sobie własnych działań!

Tak, Heliana jest moim szczęściem, które przywiodło mnie do pulpitu sterującego, by zmienić kurs! Musiałem czuć się bardzo źle... W mózgu przepływają mi leniwie uczone terminy: klasyczny paranoidalny syndrom... nabyty w komorze treningowej uraz psychiczny... odkrycie, że ukryty cel mojego lotu był także złudą... klaustrofobią... założony uprzednio konflikt z psychorobotami... przy rozwoju podobnej psychozy pozostaje w zrozumiałym związku z treścią oszalałych myśli i halucynacji... Lecz jaki związek miało wyznanie miłosne Heliany z urazem psychicznym? Muszę pomęczyć potem kolektor medyczny. Wątpię jednak, czy odkryję coś podobnego. Jeśli ogłoszę swe odkrycie... Bzdura, nie uwierzą mi, zresztą trzeba będzie zbadać od podstaw mój stosunek do dziewczyny... Straciwszy rozum, kochałem ją do szaleństwa. Poza tym jeśli to było... Wątpię, czy w całej światowej literaturze medycznej odnotowano halucynacje miłosne przy klaustrofobii. Tak że mogę być dumny...

Lecz podobnego szczęścia nie sposób przeżyć na jawie. Jeszcze czuję jej pocałunek mimo trzydziestodniowej lodowej narkozy. Z pewnością dlatego uraz był w dwójnasób silny; kiedy wpadłem triumfując do sektora dowodzenia, by wypełnić natychmiast daną obietnicę, kiedy gapilem się upojony na gwiazdy, kiedy wpatrywałem się z radosną niecierpliwością na ekran współrzędnych, nagle stwierdziłem, że przeklęte maszyny, które już doprowadziły mnie do szaleństwa, spletały mi lepszego figła: skierowały statek dokładnie w odwrotnym kierunku! Autopilot w ogóle nie zareagował na moje mozolne i dokładne nastawienie kursu po opuszczeniu Ikaru albo też w najbardziej podły sposób cichcem zmienił ponownie kurs, nie sygnalizując mi zmiany, to jest wprowadził statek na kurs ustalony jeszcze na Ikarze!...

Dalszy ciąg mogę zobaczyć, jeśli mam ochotę, na rekordingu po wypowiedzeniu magicznego zaklęcia: „Tobi, odtwórz zapis alarmowy numer trzy!” Może pewnego dnia ten widok wyda mi się zabawny – na razie wywołuje we mnie jedynie apatyczne cierpienie pokonanego. Ponieważ na ekraniku bezsprzecznie oszalały człowiek całym ciałem atakuje pulpitan autopilota, ręce jego krwawią, poranione o metalowe krawędzie, na usta wystąpiła piana. Ale nawet to nie trwa wystarczająco długo, by dało choćby najmniejszy rezultat, aby także w szaleństwie

człowiek zachował trochę godności. Koro, tak, ośmionogi Koro ze spokojem silniejszego zaprogramowanymi bezbłędnymi chwytami wplata dwa ze swych ramion-macek między moje ręce i plecy, między jedną i drugą moją nogę, i niesie mnie, jak mrówka wielkiego martwego chrabąszcza, ponieważ jestem już rzeczywiście martwy – aerozolowy obłoczek narkozy, wypuszczony z jego czwartej kończyny, już przeobraził mnie w trupa, gotowego do zamrożenia w wannie anabiotycznej.

Niezbyt wesoły to widok, i nie życzę nikomu, by ujrzał siebie w podobnym stanie. Idąc teraz wolno do sektora dowodzenia, by zrozumieć, co się dzieje, wiem, że nigdy, nigdy nie wybaczę psychorobotom, że potraktowały mnie jak głupie, nierozumne dziecko. Wiem jeszcze, że żaden Bóg nie przyjdzie z pomocą ani mnie, ani Alkowi, że na zawsze zniewoliły nas maszyny i że jedynym wyjściem z tej niewoli jest cierpliwe przystosowanie się i trwanie w złudzeniu, że jesteśmy ich panami.

Właśnie jeden z moich panów – autopilot, władczo wzywa mnie syreną alarmową, lecz nie zmusi mnie, bym biegł do niego. Niech sobie wrzeszczy i wyje, najpierw wypiję szklankę wody. Poza tym jeszcze uginają się pode mną kolana.

Lecz statek jest mały, tak że choćbym nie wiem jak wolno szedł, zdążę. Naciskam przycisk, by wyłączyć uprzykrzoną syrenę. Nie przeraża mnie, ona jedynie drażni, bowiem, gdy także pocałunek Heliany okazał się halucynacją, wprawdzie nie znaną medycynie, znów nie palę się do powrotu na Ikara. I właśnie wtedy wraz z ostatnim gniewnym westchnieniem syreny na podstawkę, gdzie mózg elektroniczny autopilota wyrzuca jedynie fiszki ze współrzędnymi, dla porównania z danymi urządzeń dublujących, wypada niebieska mikrотаśma.

Wyraźnie założona w jakiś inny sposób i mająca związek z wyłącznikiem syreny.

Moja ciekawość nie jest jednak rozbudzona do tego stopnia, by przewyciężyć apatyczną gnuśność. Wkładam ją wolno do rekordu, jest to zapis dźwiękowy z czerwonymi videozapisami, i mrugam ospale oczyma ze zdumienia.

– Zenonie – przemawia do mnie ojciec, jakby znajdował się obok i miał mnie poprosić o sprawdzenie czegoś lub zapytać, czy mama jest w domu – z pewnością przyczyniłem ci przykrości, lecz umówiliśmy się, że do sześćdziesiątego dnia nie ujawnimy zadania, którego wykonanie ci zleciliśmy. W przeciwnym razie przeszkodziłoby to twemu własnemu eksperymentowi i pracy nad dysertacją; ponieważ mimo wszystko

mieliśmy pewne podejrzenia co do twoich prawdziwych zamiarów – szczególnie twoje zainteresowanie przypadkiem Alka Derego kazało nam zachować ostrożność, pozwoliliśmy sobie dodatkowo zablokować w autopilocie kurs, potrzebny nam do naszego zadania naukowego.

Przesłanki były następujące: jeśli zechcesz zajmować się jedynie problemem człowiek-psychorobot, jeśli nie masz innych zamiarów prócz pracy nad swoją dysertacją, uwalniamy cię od zajmowania się kursem statku. Jeśli natomiast kryłeś jeszcze jakieś zamiary, wówczas tym sposobem uchroniliśmy cię zarówno przed jakimś lekkomyślnym postępkim, jak i nieodpowiedzialnym niedotrzymaniem obietnicy wypełnienia ważnego dla Ikara zadania.

W tym momencie nie mogłem nie powiedzieć zjadliwie:

– No cóż, tatusiu, nie pozostaje mi nic innego jak podziękować za troskę!

– Od tej chwili – kontynuował mój ojciec wciąż rzeczowo i bez patosu – nabiera mocy obowiązek pracowania jedynie dla nas. Aparatura zaprogramowana jest do tego celu jedynie w najogólniejszym zarysie. Zdaje się, że zadanie nie jest całkiem bezpieczne, więc może cię zainteresuje. Szczegóły (niestety, wiemy bardzo mało) przekaże ci psychorobot Mono. Są w nim zaprogramowane, wywołaj je kodem nr 1863. Tak jak dotąd nie powinieneś kontaktować się z Ikarem. Ikar także nie wysyła żadnych sygnałów w tym kierunku, ponieważ nie znany jest nam charakter ewentualnego niebezpieczeństwa. Co do reszty, odwołujemy się do twojej rozwagi w ramach wstępnie zaprogramowanych przez nas działań. Nie naruszaj bez potrzeby tego wstępnego programu, strzeż się lekkomyślnej brawury. I trzymaj się, synku! Ikar czeka na ciebie z niecierpliwością.

– Pstryk – powiedział, wyłączając się, rekording.

## Samotność syren

### 1

To, co przekazał mi Mono, to niewiele: od dłuższego czasu obserwowano z Ikara źródło niejednorodnego promieniowania, o chaotycznej naturze i przemiennej długości fali, za to o rygorystycznej regularności – co 78 ikarski dzień. Porusza się niezwykle szybko jak na naturalne ciało kosmiczne. Ma przy tym niezwykle małe rozmiary, zresztą nie określone dokładnie. By nie zdradzić swej obecności, Ikar nie odważył się pochwycić je w swe laserowe radary dla dokładniejszego zbadania. Przybywa z takiego to a takiego układu, przetnie Ikarowi drogę wtedy to a wtedy, w takiej a takiej odległości, i tak dalej... rzeczy, których nie ma sensu tu wyliczać, by nie faszerować relacji cyframi. Jeśli kogoś interesują, może odnaleźć je w archiwum naukowym. Ważne, że ruch jego przypomina poruszanie się komety, a nie tych wirujących jak szalone gwiazd neutronowych, które tylekroć mamili człowieka złudną nadzieją, że mogą być wytworem wysoko rozwiniętej cywilizacji.

Jeśli na podstawie dotychczasowej drogi nieznanego obiektu kosmicznego można byłoby wykreślić jakąś jego przypuszczalną orbitę, to przypominałaby ona owe eksperymenty ludzkości z początku ery kosmicznej, kiedy to pojazd kosmiczny poruszał się po Układzie Słonecznym kolejno odpychając się od pól grawitacyjnych planet. I ten nieznaną obiekt kosmiczny wykonawszy ślizg po mniej więcej jednej piątej grawitacyjnej granicy gwiazdy, odpychał się od niej siłą inercji (a może dzięki silnikom?) i odskakiwał ku następnej gwiazdzie. Podobne ruchy, wyliczone przez naszych astrofizyków, kazały podejrzewać w nim albo coś w rodzaju międzygwiazdnej komety, jakich dotąd nie spotykaliśmy, bądź coś... „made in – jak pisze się na wyrobach ziemskich – druga cywilizacja”.

Oczywiście rozbudziło to trochę moją ciekawość, lecz umiarkowanie, ponieważ, jak już powiedziałem, ludzkość niejedną raz dała się zwieść tym „made in” i straciła już wiarą w możliwość takiego spotkania. A ponieważ bardzo nie chciała, by kosmos pozostał nie zaludniony, abyśmy byli jedynymi jego mieszkańcami, postawiła hipotezę, że z pewnością istnieją w nim inne cywilizacje, lecz są tak różne od nas, że nie jesteśmy w stanie rozpoznać form, w jakich się objawiają. Wobec takiej teorii, przyznacie, jakieś tam przemienne fale radiowe niespecjalnie dodawały otuchy.

Było znacznie mniejsze od Ikara. Ustaliłem to po podjęciu ryzyka

pierwszego muśnięcia lokatorem laserowym. Średnica około jednego do dwu kilometrów. Powierzchnia – gładka, szybkość – budząca respekt. Respekt zresztą budziła także wspaniała dokładność, z jaką ikarscy astrofizycy zaprogramowali zarówno autopilota, jak i całą aparaturę badawczą. Autopilot zmniejszył już do takiego stopnia moją prędkość, że dysponowałem jeszcze tygodniem bezpiecznej odległości – tygodniem, w którym powinienem był zastanowić się, co przedsięwziąć.

Podczas gdy spałem w komorze, przyrządy wychwyciły i zarejestrowały ostatnie promieniowanie ciała. Wiele przekazały mi także zakodowane przez ojca w kolektorze wcześniejsze zapisy. Nieprzerwanie porównywałem je licząc sygnały – istniały minimalne różnice, które mógł odkryć jedynie mózg elektronowy, lecz nic mi nie mówiły. Ciało promieniowało około trzech godzin z potężną mocą, stokroć silniejszą od łącznej mocy wszystkich nadajników na Ikarze, i milkło na siedemdziesiąt osiem naszych dni. Czy rozmawiało z kimś, czy też nadawało tylko tak, dla własnej przyjemności? Jak wszystkie galaktyczne gwiazdowe i quasi-gwiazdowe źródła napełniające galaktykę bezsensownym paplaniem? Drugie dotknięcie laserami nie dało mi więcej niż pierwsze. Byłem jeszcze daleko. Czarna kula turlała się minutkę po ekranie i ponownie ukryła się w swej zagadce. Nieszczęsny Ikar, znowu oszukany w swych nadziejach znalezienia podobnego do siebie! Dlaczego jednak miałem tracić swój czas z tego powodu?

Po co mi tu czas, mógłby ktoś zapytać! Czuję jeszcze uraz w sercu jak otarte i zdrętwiałe miejsce. Dotknięcie go nie sprawiało bólu, lecz budziło wspomnienie bólu i uprzednie poczucie bezsensu. Absolutnie winny zostać zlikwidowane komory treningowe! Zaproponuję to po powrocie. Człowiek nie powinien stwarzać sobie sztucznych halucynacji – wystarczą te, które rodzi jego własny mózg! Tak czy owak, nie miałem ochoty tracić czasu na tę kulkę i na trzeci dzień postanowiłem zaatakować ją jej własnymi sygnałami. Jeśli jest w niej coś, co szuka kontaktu, powinno według mnie powiedzieć: Patrzcie go, powtarza to, co mu powiedziałem! Potem, gdy się domyśli: Ach, tak! Właśnie o to chodzi! Jeśli pošle coś w swoim języku, być może nawet tego nie zauważy, lecz jeśli powtórzy dokładnie moje słowa, to znaczy, że odebrał je jako słowa, jako sposób kontaktu, i w ten sposób daje mi znać, że również jest czymś takim, zdolnym do kontaktu.

Powinien był tak sobie powiedzieć, ale nie powiedział. Trzy godziny masowałem go falami radiowymi – w całości powtórzyłem jego ostatni sygnał, lecz to coś toczyło się dalej swoją drogą, nie drgnąwszy

najmniejszym muskulem pod swą grubą skórą. Powiadam skórą, ponieważ potem pozwoliłem już sobie dosyć długo je badać. Było gładkie jak skóra i miało prawie identyczny współczynnik odbicia i pochłaniania jak ludzka skóra. Z czego mogło być zrobione? Zabronione jest takim jak ja lądować ma innych ciałach kosmicznych, o każdym lądowaniu zresztą decyduje zawsze rada astronawigatorów, lecz skoro jestem tutaj sam, kto mi przeszkodzi? Chyba że przeklęte psychoroboty zaprogramowane są na przeszkodzenie mi w tym? Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było; wątpliwe, czy ojciec i jego asystenci zapomnieli o tym, skoro wiedzą doskonale, jak szanują prawa Ikara. Jedną małą sondę mógłbym zaraz posłać – wyraźnie ma ochotę milczeć, póki nie upłynie określony czas.

Określony? Nie, mój drogi, tym razem bez iluzji! Mimo iż wcale nie jestem mocny z astrofizyki, ogólnie biorąc, wiem, jaka jest natura okresowości przy promieniowaniu gwiazdym. Oczywiście brakuje tu owej nadgęstości kwazarów, tłumaczącej mały rozmiar, wygląda to raczej miękko, ale nie określamy tego od razu jako wystrzeloną przez Boga w ten kąt wszechświata skórzaną piłkę. Spokojnie i na zimno! Astrofizycy żądają od ciebie przywiezienia szczegółowych i obiektywnych danych. Wnioski należą do nich! Ty staraj się jedynie niezbyt guzdrać, z pewnością bowiem umierają już z ciekawości. Znasz ich przecież – każdy kamień, jaki przeleci obok Ikara i wygląda odrobinę inaczej od poznanych dotąd kamieni, pozbawia ich snu na miesiące! Właściwie dlaczego nie potrafisz już entuzjasmować się jak oni? Bo nie znasz sensu istnienia tego wszystkiego? Czy też dlatego, że twój nieparzysty chromosom jest straszliwie osamotniony i staje się agresywny, szukając swego brata do pary wśród ognistych, lodowych i pylnych pustyni Drogi Mlecznej? Wszak agresywność jest chęcią samopotwierdzenia, życia? A także ciągłej ciekawości świata? O, tak, Zenonie Balow, nie jesteś ciekaw tylko Ikarczyków i ich Ziemi, bo wszystko to już było. Teraz udajesz obojętnego, ponieważ jeszcze czujesz na swych wargach wyimaginowany pocałunek Heliany. A jeśli nie wyimaginowany? Może prawdziwy, skoro przywrócił cię życiu?

Jeśli przywrócił cię życiu, oznacza to, że i życie jest piękne. Piękne także z powodu istnienia podobnych kul, w których może nie ma życia, ale z pewnością jest coś niezwykłego, za czym kryć się mogą następne tajemnice, związane jeszcze z czymś innym, i tak dalej. A może masz dosyć nieskończoności? Po prostu zapomnij o niej! Stoisz teraz nie w obliczu nieskończoności, lecz ściśle zakreślonych granic – tajemniczej kuli.

A żyje się pięknie i w pełni tylko wtedy, gdy istnieją tajemnice. Tak... niech żyją tajemnice, Zenonie Balow, pierwszy człowieku, urodzony poza swym Słońcem! Niech żyją miliardy tajemnic na miliardach słońc!

Po tylu dniach bezczynności budziło się we mnie znowu pragnienie nowych bitew, tak że piątego dnia, zbliżywszy się do granicy bezpieczeństwa – oczywiście, wyliczonej dla naszych środków rażenia najdalszego zasięgu – bez żadnych medykamentów przekształciłem się w tryskającego wesołą wojowniczością człowieka, który ledwie powstrzymywał się, by zaraz nie ruszyć do ataku.

Szkoda tylko, że emisja nastąpiła dokładnie wtedy, gdy pajace uśpiły mnie w komorze! Teraz kula jest tak milcząca, że nachodzą mnie wątpliwości, czy przypadkiem promieniowanie nie pochodziło z innego źródła, znów porównuję je, graficznie i dźwiękowo, z poprzednim, starając się poskromić swą niecierpliwość. W głównym kolektorze R-19 zakodowany jest, oczywiście, obowiązujący program zbadania nowego obiektu kosmicznego, wyciągam odbitkę i zawieszam ją nad pulpitem sterowniczym, aby zawsze była w zasięgu mego wzroku.

Natchnienie natchnieniem, ale inicjatywa także się liczy – podobny program zawiera w sobie doświadczenia kilku pokoleń astronawigatorów i rzeczywiście nie powinien być lekceważony, choćby wydawał się nieatrakcyjny i przesadnie ostrożny.

Po dość skomplikowanym manewrze, w którym główne zadanie wykonał Tobi, tak że gotów byłem wybaczyć mu pewne rzeczy, obleciałem kulę, przyjrzałem się jej, na ile to było możliwe, ze wszystkich stron, ale nie dojrzałem nic więcej z tej odległości. Potem dostosowałem własną prędkość do jej prędkości i ustawiłem się równolegle do jej drogi. Po czym wypuściłem pierwszą sondę.

Pocisk o własnym silniku pulsacyjnym zaprogramowany jest również ostrożnie i moja niecierpliwość znów została wystawiona na próbę. Najpierw zakreślił dwie ósemki wokół kuli z takiej odległości, że na ekranie, mimo holograficznego lasera i teleobiektywu podczerwieni cały dzień pulsowała jedynie rozmazana szaroczarna plama. Zakreślający przesadnie wielkie ósemki pocisk przybliżał się jednak do obiektywu. Wtedy właśnie rozjaśnił się także obraz na ekranie. Nerwowo zapisywałem własne czynności w ich zaprogramowanej kolejności – obserwacja rejestrowana była wielokrotnie przez przyrządy – i czułem, jak ponownie ogarnia mnie niecierpliwość i nadzieja. Powierzchnia kuli oczywiście nie była skórą, okazała się jednak nie mniej zagadkową ciemną, porowatą substancją, z bezpiecznej odległości bojaźliwej sondy

przypominała regolit (nie to było niezwykle, regolit bowiem pokrywa większość planet!), ale pokryty regularnym wzorem utworzonym jakby z ośmiokątnych komórek ze znacznie twardszego materiału, z pewnością z lekkiego metalowego stopu.

– Miłe spotkanie! – powiedziałem do siebie z wyschniętym gardłem, wyłączając autopilota sondy, by przejąć ją pod własne sterowanie. Zamierzałem posłać ją bliżej, niż to zaprogramowano. – No i co, oktopedzie, co powiesz? Co możesz powiedzieć, ośmionoga maszyno, nieprzypadkowo program spotkań kosmicznych przewiduje wyłączenie z nich psychorobotów. Kto wie, jakich głupstw narobiliście, gdyby człowiek pozwolił wam zastąpić się w takich przypadkach. Co, myślisz, że nie wiem, co ustaliłeś swym pajęczym mózgiem? Że to antena teleskopowa, rozciągnięta na asteroidzie. Podobnych ośmiokątnych komórek występuje bez liku w przyrodzie, więc nie spiesz się, głupcze! I na Ziemi niemało kryształów ma ośmiokątną siatkę...

Sonda posłusznie podporządkowała się mojej woli, ja zaś nie przestawałem przekomarzać się z Tobim, zwracając się do niego na różne sposoby, byle tylko nie uruchomić go wypowiedzeniem jego imienia... Wybaczyłem mu wszystko, choćby z powodu możliwości mówienia teraz do kogoś, gdy napięty starałem się nie rozbić sondy o nieznane ciało i nie narobić jakiejś szkody, ponieważ ani dla zabawy, ani podczas nauki nie sterowałem nigdy sondą badawczą. Dobrze, że Koro, który stanął obok mnie z drugiej strony, ma takie kwalifikacje w swych bebechach i nieprzerwanie dyktuje mi operacje. Pozostałe dwa roboty zawzięcie sprawdzają wszystkie newralgiczne punkty statku, doprowadzając go do stanu gotowości bojowej. Nigdy nie wykonywałem z większą przyjemnością takiego przygotowania. Sprawność bojowa to wielka rzecz! Oczywiście moja wojowniczość jest pokojowa, jeśli istnieje podobny psychologiczny paradoks. Nie mam zamiaru walczyć z tym asteroidem czy raczej bolidem, pałam jedynie pragnieniem, aby wzór rzeczywiście okazał się anteną i bym mógł porozmawiać z nią, nie z moimi mechanicznymi pajacami.

– Ale cóż by to była za antena, chłopcy! – zwracam się już do obu, utkwivszy wzrok w ekraniku kontrolnym sondy. Zielonkawa kropczka szybko przybliżyła się do asteroidy – już tak go ochrzciłem mimo jego regularnego kształtu i mimo że wewnątrz ośmiokątnych metalowych komórek przypomina regolit. – Ale antena, co? Jaką ma średnicę? 1283 metry i 18 centymetrów, jeśli nie masz nic innego do roboty, Tobi, wylicz, jaką powierzchnię ma kula o takiej średnicy i wyobraź sobie, jaka to



antena...

Nie ma potrzeby wyliczać, ponieważ automaty badawcze już dawno zarejestrowały dokładne rozmiary obiektu i wszystkie jego parametry: objętość, masę, powierzchnię i tak dalej, a przy wymówieniu raz jeszcze słowa „antena” wręcz cierpnę. Przecież ta antena przechwytuje teraz fale radiowe, za pomocą których steruję sondą! Do jakiego potężnego mózgu wewnątrz asteroidy je przekazuje? Co obmyśla on teraz dla ukarania zakłócającego spokój intruza?

Oto znów popuściłem wodze fantazji! Do tego stopnia, że nieświadomie sam zacząłem napędzać sobie strachu, choć trochę ostrożności nie zaszkodzi. Kto wie, co to za cudactwo! W każdym razie nie jest to regolit! Teraz widać już wyraźnie, że materia w metalowych komórkach nie jest kruchą warstwą planetową, raczej jakimś zakrzepłym od kosmicznego zimna drobnoporowatym pumeksem. Ach, jaką miałbym ochotę, by któraś z sond geologicznych pobrała parę kilogramów tej materii, a także kawałek siatki!

– Chłopcy, czy zaboli go, jeśli uszczkniemy z niego kawałek? – pytam roboty i śmieję się, lecz mój śmiech jest dość nerwowy. – Czy przestrzegamy nadal programu? Rozumiem waszą niecierpliwość, ale nie chodzi tylko o naszą skórę. Cały Ikar jest teraz na naszej głowie. Chociaż i on nagle tak zaniemówił, że nie wypuszcza najmniejszego kwanta promieniowania... To zrozumiałe, że sen opuścił mnie całkowicie. Nie pozwoliłem sobie na więcej niż godzinę z pomocą elektrosnu i czułem się dość wyczerpany. Należało pomyśleć o chwili odpoczynku. Program od dawna go przewidywał. Ściągnąłem sondę na pokład – nic więcej nie była w stanie zrobić – rozstawiłem roboty na miejsca w gotowości bojowej pierwszego stopnia i uspiłem się na całe dwanaście godzin. Oczywiście przy najmniejszym niebezpieczeństwie zbudzą mnie. Nie zbudziły i gdy wstałem, musiałem długo dochodzić do siebie. Przesadziłem ze snem i kiedy ulotniła się ze mnie jego trucizna, ponownie wpadłem w euforyczny zapał, grożący, iż posunę się do lekkomyślności.

## 2

Obiekt nie był łaskaw odezwać się, a sen nie natchnął mnie jakimiś szczególnie nowymi pomysłami. Lądowanie było absolutnie zabronione. Wysłanie zebranych dotychczas danych i wołanie o pomoc Ikara – także równałoby się to szukaniu go ukierunkowanym sygnałem, który zdradziłby miejsce jego pobytu. Głębokie bombardowanie kuli

cząsteczkami gamma lub innymi twardymi cząsteczkami w celu prześwietlenia jej i sprowokowania nie było dozwolone wywiadowcom mojej kategorii, w przypadku podejrzenia, że dane ciało może nie być pochodzenia naturalnego. Mogłem jeszcze tylko pozwolić sobie na oderwanie z niego kawałka i ucieczkę. Na Ikarze zdecydują, co przedsięwziąć dalej; decyzja należeć będzie do drugiej „ekspedycji, wyposażonej w większe środki i pełnomocnictwa. I choć wzorcowy program nie pozwalał mi na wysłanie sondy geologicznej, przed wykonaniem całego mnóstwa drobnych manipulacji postanowiłem ponownie być nieposłusznym Ikarczykiem.

Co by to mogło być, rozmyślałem na głos, a ponieważ nie zwracałem się bezpośrednio do psychorobotów, nie odpowiadały. Jeśli to rzeczywiście antena, to znaczy, jeśli jest to podobny do naszych radioteleskop, można dopuścić trzy warianty. Pierwszy: ciało jest statkiem kosmicznym, podobną do Ikarasteroidą-gwiazdolatą, a to jest jej antena nadawczo-odbiorcza. Ikar także częściowo opasany jest podobnymi antenami i ogólna ich powierzchnia nie jest wcale mniejsza. Ale przecież prócz ośmiokątnych komórek sieci antenowej nie można było na nim dostrzec niczego, co przypominałoby urządzenie włazowe, choćby najbardziej zamaskowane. Dostatecznie starannie przepatrzyłem całą sieć, sfotografowałem komórkę po komórce, przejawiając niezwykłą cierpliwość i metodyczność, i nigdzie nie odkryłem niczego więcej. Wypuściłem w końcu pocisk badawczy, by obleciał asteroidę na wysokości zaledwie tysiąca metrów. Jaki szanujący się statek kosmiczny pozwoliłby komuś zbliżyć się na taką odległość, gdy nie zna jego zamiarów? Nie tylko Ikar, lecz także mój stary R-19 automatycznie zniszczyłby każdego, kto ośmieliłby się podejść na tysiącokrotnie większą odległość, gdybyśmy uprzednio nie porozumieli się co do tego.

Drugi wariant... tak, od drugiego wariantu, który formułowałem na głos, mogą przejść człowieka ciarki. Ta asteroida, chłopcy, straszylem psychoroboty, nie jest taką sobie asteroidą, lecz automatyczną sondą zwiadowczą, jak ta sonda, którą dopiero co ściągnęliśmy. Leci zaprogramowanym kursem, wychwytuje co uda się jej złowić w swoją sieć i okresowo przesyła komuś. Rozumiecie? Pytanie brzmi: komu? A jeśli macie trochę wyobraźni, moje biedne automaty, możecie wyobrazić sobie, kim jest ten, kto wysyła w galaktykę sondy podobnych rozmiarów.

Nie wierzycie? I mnie nie chce się wierzyć. To by znaczyło, że są zupełnie podobne do nas, nieprawdaż? Nawet jeśli trzeci wariant brzmi następująco: kosmiczna radiolatarnia bądź odbicie, bądź pośrednia stacja

przekąźnikowa... w ogóle cokolwiek, co zasadniczo przypomina nasze sposoby badania kosmosu w celu poruszania się i porozumiewania w nim. Dlatego, moi drodzy... – stałem się niezwykle miły dla moich psychorobotów – czego nie robi niebezpieczeństwo! – dlatego, ośmionogie zuchy, powściągnijmy prastare ludzkie marzenia o spotkaniu podobnych sobie! Powiedzmy sobie na razie jak prawdziwi uczeni, że jest to jedynie ciało niebieskie o nie znanej nam strukturze, że spróbujemy podpatrzeć jego budowę i grzecznie powiedzić mu „do widzenia”!

Wybrałem jedną z najmniejszych sond geologicznych. Nie znając choćby w przybliżeniu składu substancji, nie mogłem pozwolić sobie na zbyt głębokie ukłucie go. Poza tym powierzchnia wydawała się jednorodna, tak że obojętne było, z którego miejsca wezmę próbkę. Ciało nie miało własnego pola magnetycznego – to już stwierdziłem, nic więc nie komplikowało zaprogramowania sondy. Okazało się, że Koro jest odpowiedzialny za wszystkie sondy i wspaniale zna się na tej robocie. Ode mnie zażądał jedynie podania algorytmu, ale jego wzorcowy model także widniał w obowiązującym programie. I oto sonda, czworonożny mechaniczny stwór o krwiożerczych świdrach i urządzeniach, zagarniających, zbierających i pomiarowych pomknęła jak moje niecierpliwe westchnienie ku asteroidzie.

Sterowałem nią z możliwie minimalną prędkością i rozpierała mnie duma, że tak łatwo radzę sobie z rzeczami, z którymi nigdy nie miałem do czynienia, i że może nie jestem całkiem stracony dla nauki. Oto niby kompletny dyletant, a na razie, ogólnie biorąc, udawało mi się szczęśliwie realizować program badawczy. Ikarczycy nie mają podstaw, by mnie upokarzać, jedynie ja miałbym podstawę do małego żalu, że wszystko przeszło tak bezpiecznie, prawie bez ryzyka. Lecz pierwsze niebezpieczeństwo już nadciągnęło. Gdy włączyłem telesterowanie, by osobiście prowadzić sondę, sonda nieoczekiwanie odmówiła posłuszeństwa. Mknęła siłą inercji od pierwszego impulsu swego silnika, a na ekranie nawet bez obliczeń można było zauważyć, że jeśli polecą tak dalej, nie trafi w asteroidę. Kręciłem korbkami, wciskałem pociski, waliłem w aparaturę kontrolną, zalewałem się potem z bezsiły. Wicie z pewnością, co to znaczy, gdy jest się w skafandrze opancerzonym. Mimo wszystko nie zdobyłem się na tyle odwagi, by nie podporządkować się zarządzeniu i nie ubrać się do tych badań w ubiór awaryjny.

– Koro, bracie, pomagaj! – wystękałem w końcu, lecz Koro nie odpowiedział na moje wezwanie pomocy.

Stał na dwóch tylnych kończynach, pozostałe sześć zwiesiwszy, jakby

były złamane. Tak samo stał z drugiej strony Tobi. Strach wkradł się do mego skafandra jak lodowy podmuch próżni. Co rozregulowało sondę? Do diabła z sondą! Lecz ci dwaj wierni pomocnicy? Czyżby to asteroida broniła się jakimś niepojętym dla mnie na razie sposobem? Przerwała w jakiś sposób łączność z nimi i sondą? Ale przecież aparatura odbiorcza ogłuszyłaby mnie dźwiękami i sygnałami świetlnymi w chwili, gdy zarejestrowałaby choćby jeden kwant promieniowania w tym kierunku?

– Loso, awaria w sektorze dowodzenia! – zawołałem, usiłując zachować spokój, by nie dopuścić do czegoś nieprzemyślanego.

I czekałem. Ile sekund trzeba, by się zjawił, jeśli w ogóle się zjawi? A jeśli i on stoi z tyłu jak dwaj jego towarzysze? Liczyłem w myśli sekundy prastarym ludzkim zwyczajem: dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy... choć na rękawie skafandra mam chronometr. Były to sekundy, w których doznałem uczucia, że pozostanę sam w kosmosie...

Loso zjawił się w piętnastej sekundzie i byłem gotów rzucić się w jego ośmioramienne objęcia, ale ostudził mnie jego mechaniczny spokój i z mechaniczną obojętnością wypowiedziane słowa:

– Proszę o dane awarii.

– Psychorobot Koro uszkodzony, psychorobot Tobi uszkodzony, sonda geologiczna numer 6 nie odbiera sygnałów telesterowania – wyrecytowałem, starając się wymawiać wyraźnie słowa, jak do człowieka, który nie rozumie dobrze naszego języka.

Minęło jeszcze dziesięć sekund, podczas których Loso stał tak samo jak jego uszkodzeni współbracia. W dziesiątej powiedział:

– Brak uszkodzeń w psychorobocie Tobi. – Po następnych dziesięciu: brak uszkodzeń w psychorobocie Koro. Proszę podać próbne rozporządzenia!

Nie dowierzałem, ale dotąd psychoroboty nie oszukały mnie ani razu.

Powiedziałem zgodnie z regulaminem:

– Koro! Sonda geologiczna numer 6 awaria.

I wierny ośmionogi pająk rzucił się ku pulpitemu telesterowania sond.

– Nie reaguje na telesterowanie – wyjaśniałem. – Silnik nie włącza się. Niezbędna korekta lotu.

Koro manipulował przy pulpicie dwiema ze swych kończyn, po czym opuścił je i odpowiedział z obojętnością psychorobota:

– Sonda geologiczna numer 6 sprawna! Nie skoordynowano telesterowania z falą sondy geologicznej numer 6. Regulacja wykonana.

A powinien był mnie okłąć albo wymierzyć mi policzek wszystkimi rękami. Chciałem tą samą falą, którą kierowałem sondą zwiadowczą,

sterować sondą geologiczną. Przerażony własną pomyłką zapomniałem, że należy zwracać się do psychorobota w jego mechanicznym języku. W takim stanie mogło mi się potem wszystko wydawać uszkodzone.

Roześmiałem się z ulgą.

– Wybaczcie, kochani, strasznie się skompromitowałem... – Już mogłem paplać do nich, co chciałem, do tych naprawdę cudownych ekspertów. Przedtem jednak powinienem odesłać Loso na miejsce.

– Loso, gotowość alarmowa numer trzy – powiedziałem obojętnie jak robot, choć miałem ochotę poklepać go z wdzięczności po ramieniu. Szkoda, że nie ma ramienia. I bez tego będzie w piętnastej sekundzie na miejscu, z którego go odwołałem.

Potem siadłem za pulpitem. Koro rzeczywiście dokonał ustawienia. Zmuszone przechodzić przez rozmaite atmosfery różnych planet sondy geologiczne od dawien dawna pracują zawsze na tej samej fali – fali podczerwieni. Dane asteroidy, dane sondy... tak... Nuże, wszechmogący mózgu, wyliczaj nowy kurs! Tak... dziękuję ci. Oho, jak daleko odleciałaś, sondeczko! Rozruszaj swe żyroskopy, dodaj trochę gazu! Brawo, pięć sekund powinno ci wystarczyć, jak sądzę. Goń teraz tę kulę, która nie chce nam powiedzieć, z czego jest zrobiona.

Podczas gdy wykonywałem manipulacje sterownicze szczególnie skomplikowane po kilkudniowym już treningu z pociskiem zwiadowczym, sonda za pomocą dziesięciu impulsów silnika zmieniła kierunek i skierowała się prosto na asteroidę. Na ekranie obie zaczęły niepowstrzymanie rosnać. Spojrzałem na drugi, większy ekran, tam sonda pojawiła się początkowo jako świetlny punkt, potem przesunęła się nad ogromnym kratkowanym kręgiem asteroidy i upodobniła się do pszczołki, szukającej nad plastrem swej komórki, by złożyć do niej miód. I wtedy właśnie zatrzeszczała sygnalizacja głównego odbiornika i błysnęło jego krwawoczerwone oko. Aparatura rejestrująca zwojami taśmy zaczęła wyrzucać zapis graficzny sygnałów. Skoro brak dźwięku, nie są to sygnały z Ikar, zresztą Ikar miał się odezwać dopiero na moje wezwanie, upewniające, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

Porzuciłem zaraz sondę geologiczną, oddając ją, jak to się mówi, w pewne ręce Koro. Miał opisać nią ósemkę i ściągnąć na powrót na statek. Grafik kontrolny odbiornika uspokajającymi zielonymi cyframi wskazywał: najzwyczajsza, prosta, sześciomilimetrowa fala UKF. A dźwięk? Z technicznej ignorancji pomyliłem także regulatory dźwiękowe. Nacisnąłem przycisk samoregulujący lewą ręką, a prawą ująłem taśmę, która oczywiście także nic mi nie mówiła. To tak jakby nie

medyk oglądał encefalogram. I osłupiałem, bo z głośnika naprzeciw doleciał pieszczotliwy głos kobiety:

– Poznałam cię, to ty... Taka jestem szczęśliwa, że mnie znalazłeś, gdzie byłeś tak długo? Dlaczego nie odpowiadasz?

Przymknąłem oczy, otwarłem je, przez skafander nie mogłem się uszczypnąć, jak to czynią niektórzy, by przekonać się, czy nie śnią – głos był mi znany i nie znany: mógł być głosem Majoli Beni. Mógł być głosem Heliany, Nili. Mógł być głosem całkiem obcej kobiety, a wydawał mi się znajomy, ponieważ od dawna nie słyszałem głosu kobiecego. Dość już tych halucynacji! – powiedziałem sobie i wstałem, aby zażyć jakiś mocniejszy lek. Przedtem jednak wyłączyłem głośnik z jego natarczywą prośbą: „Odezwij się, przecież to ty? Poznałam cię po tej samej fali, dlaczego nie odpowiadasz? Czekałam na ciebie...” Wyciągnąłem szpulę z zapisem magnetycznym i zastanawiając się, którego użyć aparatu, udałem się do pomieszczenia sypialnego i włożyłem ją do poli wizora. I ponownie ten sam pieszczotliwy głos kobiety z trochę monotonna czułością, z lekko archaiczną wymową słów:

– Po tym cię poznałam. Jestem taka szczęśliwa, że mnie odnalazłeś. Gdzie byłeś tak długo? Dlaczego nie odpowiadasz?

Wyraźnie nie było potrzeby wtryskiwać sobie choćby psychotron, wróciłem, zabrałem rolkę z zapisem graficznym i odtworzyłem ją także w przetwarzaczu. To samo! Oczywiście wszystko to mogło być uprzednio wmontowane, tak jak szpula z głosem mego ojca, lecz nie było na Ikarze człowieka, który pozwoliłby sobie na podobny żart. Zatem? We wszechświecie oczywiście spotyka się najróżniejsze nieprawdopodobne rzeczy, od dawna przywykliśmy z zimną krwią przyjmować to, co nieprawdopodobne, ale bląkając się po dosyć nieinteresującym zakątku galaktyki, znaleźć się nagle w prastarych ziemskich bajkach: samotna księżniczka, zaklęta w niedostępnym zamku, czeka na swego księcia wybawiciela. Piękna księżniczka, jeśli sądzić po jej głosie, po jego pieszczotliwej intonacji...

Zająłem ponownie swe miejsce, pełen nieufności wobec wszelkich ziemskich i kosmicznych księżniczek. Na ekranie teleskopowym „zaczarowany zamek” wciąż przypominał piłkę futbolową, na laserowo-holograficznym – czarna kropka toczyła się po gwiazdnym bruku, przybywając nie wiadomo skąd, nie wiadomo dokąd dążąc, lecz zdolna ogrzać lodowe przestrzenie ciepłem kobiecego głosu. Było to cudowne i niesamowite. I kiedy ponownie włączyłem odbiornik, który napełnił stary R-19 zakochanym, to smutnym, to rozkapryszonym wołaniem jakiejś

samotnej kobiety, przypomniła mi się jeszcze jedna ziemską bajka: o syrenach w morzu, które pieśniami sprowadzały śmiałych żeglarzy z drogi, by zgotować im śmierć wśród podwodnych skał. Wcale nie zdziwiłbym się, gdyby także piłka zaśpiewała.

Nie zaśpiewała, była jednak niestrudzona w zapewnianiu mnie o swej miłości, w czynieniu mi zarzutów i błaganiu:

– Dlaczego nie odzywasz się? Nie, nie kochasz mnie już, znudziłam ci się, lecz cóż mam począć? Jak odejść, by ci nie dokuczać? Dobrze, nie będę cię już nudzić, ale ty kochasz mnie, wiem, tylko jesteś bardzo znużony podróżą... Tyle czasu...

Włączyłem nadajnik i powiedziałem:

– Tak, jestem zmęczony. Skończmy już z tymi głupstwami!

Syrena umilkła. Jakie to łatwe! Dlaczego i Odyseusz swego czasu nie przeciął tego w ten sposób – czy rzeczywiście śpiewały coś tak innego, że musiał przywiązywać się do masztu? Umilkła i długo nie odzywała się. Tak długo, że zacząłem się niepokoić. Zrobiło mi się nawet żal, że tak brutalnie przerwałem interesującą bajkę. Ale to z pewnością nie księżniczka, nie syrena, ani żadna kobieta, skoro potrafi tak przesadnie długo milczeć – z pewnością to tylko złudzenie mego spragnionego ludzkich bajek serca. A oto znowu! Lecz z nutką rozczarowania i rzeczowości:

– Jesteś kimś innym, tak, jesteś kimś innym. Twój głos jest inny. Lecz fala jest ta sama. Kim jesteś?

– Tak, jestem kimś innym – odparłem. – A ty kim jesteś?

– Nie wiem. Twój głos jest inny, ale jest głosem człowieka.

– Jestem człowiekiem – powiedziałem. – Ty także jesteś człowiekiem, prawda?

– Nie jestem człowiekiem.

– A czym jesteś?

– Nie wiem – odpowiedział mi po raz drugi czarujący głos kobiety.

– Chłopcy – powiedziałem do psychorobotów. – Dlaczego jeszcze nie wepchnęliście mnie do komory? Czy nie słyszycie, że całkiem zwariowałem?

Stali obok, moi wierni strażnicy, wyraźnie nie dopatrując się żadnej nieprawidłowości ani w moim mózgu, ani w moim kosmicznym flircie.

– Nie jesteś sam – podjęła ze smutkiem księżniczka-syrena. – Słyszałam, że rozmawiasz z innymi ludźmi. Ale ich nie słyszę.

No, no, no – to zaczynało być interesujące! Lecz jak może odbierać fale dźwiękowe przez próżnię? Głupiec! Jakie fale dźwiękowe – przecież

jestem w skafandrze i rozmawiam z psychorobotami przez radiotelefon! W ten sposób jednak zawsze będzie wiedzieć, co zamierzam przedsięwziąć. Muszę wypróbować łączność awaryjną, miejmy nadzieję, że nie będzie w stanie rozpoznać jej fali! Psychoroboty mogą otrzymywać polecenia także na piśmie, ale to trwa dosyć długo.

Włączyłem się ponownie na sześć milimetrów i powiedziałem:

– Są także inni. Lecz powiedz, dlaczego mnie oszukujesz? Powiedz, kim jesteś, jeśli chcesz, byśmy porozmawiali dłużej.

– Nie wiem. A ty wiesz, czym jesteś?

– Człowiekiem.

– Jesteś człowiekiem, ponieważ miałeś z czym się porównać, nazywając co innego innymi słowami. A ja nie mam z czym się porównać. Ale potrafię mówić jak człowiek, więc nazywaj mnie także człowiekiem. Chcę być człowiekiem jak ty.

– Czy jesteś maszyną? – zapytałem brutalnie, ponieważ ostatnie jej słowa zabrzmiały zupełnie jak groźna, zwodnicza pieśń syren.

– Nie wiem – odparła po raz trzeci. – Co nazywasz maszyną?

Postanowiłem bombardować ją pytaniami – maszyna może się mylić, lecz nie potrafi kłamać – więc zgodnie z planem dojdę prawdy, a oto zaciąłem się od razu! Co to jest maszyna? Przecież po to wyruszyłem – zrozumieć, co to takiego maszyna, mimo iż u nas to łatwe: czwarte prawo robotyki. Muszę wyjaśnić jej to na jakimś przykładzie:

– Nie jestem maszyną, ponieważ tworzę maszyny. Jestem człowiekiem, lecz w tej chwili znajduję się wewnątrz maszyny, którą stworzyłem. Ona także jest rozumna, silna, potrafi mówić, lecz nie jest mądrzejsza, silniejsza i nie mówi lepiej od swego twórcy, człowieka... – Urwałem i miałem ochotę walić głową w ścianę. Naprawdę tylko człowiek i idiota jak ja może tak się rozgadać! Oczywiście nie widziała mnie, jeśli można mówić u niej o wzroku w naszym sensie, a teraz dowiedziała się, że to, co przyjmuje za formę i masę, to nie ja, że ja jestem w środku tego. Zapytałem szybko:

– A ciebie kto stworzył?

– Nie wiem – powiedziała po raz czwarty. – A ty wiesz, kto stworzył ciebie, człowieku?

Patrzcie ją – tak zwykły pytać sfinksy; a nie syreny! Lecz za tą rzekomą naiwnością pytań może kryć się metodyczny, rozumny aparat poznawczy. Tak czy owak, dotąd dowiedziała się trochę o mnie, a ja o niej – niczego.

– Jesteśmy podobni – odpowiedziałem jej. – I ja nie wiem, kto mnie stworzył. Ale czy jest coś w tobie w środku? Jak duża jesteś? Czy jesteś



w środku czegoś, tak jak ja? – plątałem pytania.

– Jestem w sobie – odpowiedziała czule i smutno. – Jestem taka, jaką mnie odbierasz.

– A kto nauczył cię mówić po ludzku? – nie wytrzymałem wreszcie. Po głębokim namyśle postanowiłem, że trzeba podstępnie dotrzeć do odpowiedzi, jeśli nie na najważniejsze, to na pewno na najciekawsze pytanie, a z pewnością po prostu bałem się odpowiedzi.

– Ludzie – odparła niezwykła piłka i przysiągłbym, że w głosie jej zadźwięczała szczerą tęsknota za tymi ludźmi. – On i ona. Dała mi swój głos...

– Gdzie? Kiedy? – wybuchnąłem.

– W układzie gwiazdy Peri, między dziewiątą wielką planetą a lodową kometą, na której był przekaźnik. Lecz oni także byli obcy, przybyli z całkiem innego układu gwiazdnego. Powiedzieli mi, że znajduje się on bardzo daleko od Peri. Powiedzieli mi, że niewątpliwie dotrę do niej, ale od bardzo dawna już nie mogę do niej dotrzeć. Czy stamtąd przybywasz?

I podyktowała mi jakieś kąty, prędkości, współrzędne i nazwy, które nic mi nie mówiły. Słuchałem jej jednak cierpliwie, zdając sobie sprawę z wagi informacji. Gdy skończyła, rzekłem niby od niechcienia:

– Teraz przekażesz informację o naszym spotkaniu, prawda?

– Nie teraz – odpowiedziała z godną podziwu szczerością. – Robię to w określonym czasie.

Czyli nie byłem dla niej aż takim wydarzeniem, by miała naruszyć swój harmonogram? Ale nie było czasu na obrażanie się. Właściwie było to dla mnie nawet wygodne. Poza tym potwierdzało przypuszczenie, że mimo wszystko miałem przed sobą automat o ściśle określonym programie, a nie samodzielnie działający obiekt. Powiedziałem ostrożnie:

– Na początku naszej rozmowy powiedziałaś, że jestem zmęczony, a ja odpowiedziałem, że rzeczywiście jestem zmęczony. Czy wiesz, co to znaczy?

– Nie jestem pewna. Powiedziałam ci tak, jak ona mówiła do niego. – Hm, to znaczy, że nawet sceny zazdrości, dość nieprawdopodobne w skafandrach, podsłuchała i zapamiętała. – Wyjaśnili mi, że to czasowy ubytek energii.

– Tak – powiedziałem. – To właśnie to. Jestem zmęczony. Pozwolisz mi odpocząć? Czy możemy na krótko przerwać łączność?

– Odejdiesz? – zapytała i przysiągłbym, że w głosie jej był przestach. – Na jak długo?

– Nie odejdę. – Pozostanę w tym samym miejscu. Mam jednak

nadzieję, że nie zaatakujesz mnie, gdy będę wypoczywał?

– Zrozumiałam, o co pytasz. Nie potrafię atakować.

– A bronić się?

– Zrozumiałam, o co pytasz. Potrafię się bronić.

– Powiedziałaś jeszcze, że kochasz ludzi? Czy wiesz, co to takiego?

– Także ogólnie. Wyjaśnienia nie były zbyt dokładne. – To znaczy, że chcesz być zawsze z kimś?

No tak, co innego mogli „on i ona” powiedzieć jej na ten staroświecki temat. Choć właśnie przedstawiona na początku scena między nimi mówiła, jak szkodliwe jest to dla miłości. Powiedziałem, starając się, by głos mój dźwięczał z podobną jej mechaniczną szczerością:

– Chcę być z tobą.

– Chcę być z tobą – odpowiedziała jak czułe echo.

– Będę odpoczywał osiem godzin. Czy wiesz, ile to?

– Znam miary czasu u ludzi. Od czasu, gdy wywołałam cię po raz pierwszy, minęła godzina.

Spojrzałem na zegar w aparaturze rejestrującej. Rzeczywiście, dopiero jedna godzina! Omal nie zawołałem: ale jaka godzina! Jednocześnie pomyślałem, że „on i ona” byli zmuszeni podać nasze miary czasu, aby zapewnić sobie dalszy kontakt. Myślałem o dziesiątku innych spraw. Było to nie tyle myślenie, ile bombardowanie strzępami myśli mojej kory mózgowej i naprawdę odczuwałem potrzebę złożenia na poduszce choćby na godzinę mojej skołowanej głowy.

– Dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc – odpowiedziała. – Co to znaczy, też nie wiem dokładnie. Ale oni też zawsze mi to mówili, kiedy chcieli odpocząć. Będę z tobą, człowieku.

### 3

– Lepiej idź dalej swoją drogą! – powiedziałem do niej po wyłączeniu nadajnika, a wyciągnąwszy się na posłaniu zdumiałem się, jak napięte były moje mięśnie od tej przedziwnej rozmowy. Sprawdziłem gotowość systemu obronnego, choć nie miałem podstaw, by wątpić w jej miłosne wyznania. A jeśli jest syreną, nie księżniczką? Co stało się z tamtą parą? Muszę zapytać jutro, muszę... Teraz nie byłem w stanie uczynić nic więcej jak tylko nakazać Koro, by objął dyżur w sektorze dowodzenia. Tobiemu nie miałem co nakazywać i tak będzie deptać mi po piętach i sterczeć obok podczas mego snu. Czy i wy mnie kochacie, moje pajaki? Było to moja

ostatnią myślą, Skoro jeden z was pragnie być ciągle ze mną...

Oczywiście nie pozwoliłem sobie na ośmiogodzinny sen. Czterogodzinny był niewystarczający, skoro jednak nie przejawiałem wyobraźni, by zaaplikować sobie więcej, musiałem teraz szpikować mózg chemicznymi stymulatorami do jak najsprawniejszej pracy. A nie była łatwa. Należało utrwalić całą rozmowę w rękopisie, by przemyśleć ją po przeczytaniu. Wszelkie promieniowanie każdego aparatu przechwyciłaby natychmiast i natychmiast się odezwała.

Skoro rozpoznała mnie po starej, standardowej fali sondy geologicznej, wszystkie jej zmysły były oczywiście skierowane na mnie – rzeczywiście jedynie zakochane kobiety potrafią być równie wrażliwe. Czekają mnie jeszcze sporządzenie w miarę sensownego planu dalszego postępowania i scenariusza moich pytań. Musiałem jeszcze sprawdzić to i owo... Mój umysł powinien być chłodny i trzeźwy, lecz jeszcze nie całkiem przebudzony, już czułem miły niepokój jak przed randką. Skoro pozostałem żywy, skoro dotąd niczym nie zagroziła memu bezpieczeństwu, znaczy to, że rzeczywiście „chce być ze mną”.

Pobiegłem do sektora dowodzenia i coś nagle bezwiednie we mnie westchnęło. Ona przecież tam była: na jednym ekranie bliska, na drugim daleka. Instynktownie zacząłem iść na palcach, jakbym bał się ją zbudzić. Skoro słyszała miłosne sprzeczki moich poprzedników, dlaczego miałyby nie słyszeć moich kroków? A to było nie tylko zdumiewające technicznie, było to z pogranicza cudów. Jak to robiła? Lepiej ostrożnie z pytaniami, gdyż człowiek najłatwiej zdradza się przez pytania!

Zasiadłem cichutko przed kolektorem kontrolnym. Jest to wspaniałe urządzenie, zawierające całą wiedzę o kosmosie, jaką dysponuje Ikar. Wybrałem odpowiedni kod, ponieważ jednak nie miałem odwagi zadawać pytań na głos, musiałem przekształcać je w zdania graficzne, a to zabierało czas. Mimo to po piętnastu minutach wiedziałem, że w katalogach gwiazdnych nie istnieje gwiazda nazywająca się Peri, wiedziałem także, że miejsce określone przez współrzędne, podane przez tamtych dwojga, znajduje się niewyobrażalnie daleko od naszego ojczystego Słońca – coś, czego byłem już wcześniej pewien. Miłość miłością, lecz adresu w kosmosie nie podaje się ot tak sobie!

Następne zadanie było dla mnie znacznie bardziej skomplikowane. Dziwne, że nie wykonał go mój ojciec. Prześledzili drogę asteroidy według hipotetycznej drogi powrotnej tylko w tym stopniu, na ile było niezbędne do wyliczenia miejsca spotkania ze mną. Widać nie byli przekonani do końca o sposobie jej poruszania się. Tak czy owak, po

dwugodzinnych wysiłkach, jeśli nie dopuściłem się jakiegoś istotnego błędu przy układaniu zadania, mogłem przyjąć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że asteroida minęła przed około stu osiemdziesięciu laty Układ Słoneczny lub przemknęła obok niego, że owa gwiazda Peri z pewnością była samym Słońcem i że spotkanie asteroidy z Ziemią miało miejsce między Plutonem i jakąś mijającą właśnie tamtędy kometą. A jaką, niech wyliczają astrofizycy! O ile mi wiadomo, Ziemia już dawno temu wyposażyła większość komet w Układzie Słonecznym we wszelkiego rodzaju stacje automatyczne, lecz sto osiemdziesiąt lat? Zresztą to lata ikarskie, kto wie, ile to w rzeczywistości, wyliczałem je według obecnej średniej prędkości asteroidy, daleko od układu gwiazdowego. Z pewnością zbliżając się do jakiejś gwiazdy, zwiększa prędkość i z pewnością nie jest również pozbawiona silników.

Co stało się z dzielną dwójką? Gdybym pogrzebał w pamięci kolektora, może odkryłbym coś na ich temat, ale teraz nie miałem zbyt wiele czasu, zresztą los ich z pewnością nie był wesoły, w przeciwnym razie wiedzielibyśmy coś również i my o tym pierwszym spotkaniu z przedstawicielem innej cywilizacji. A może nie było pierwsze? Ileż międzyplanetarnych statków zaginęło w nie znanych okolicznościach!

Czy to jej zwiadowca, jej organiczna część, jak Ikar jest częścią Ziemi, czy też jedynie automat badawczy? – to pierwsze, czego powinienem się dowiedzieć, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa to właśnie będzie najtrudniejsze do ustalenia. Logika ziemską nakazywałaby nie wypuszczać zwiadowcy, który od razu roztrąbiłby, jak się to mówi, pierwszemu napotkanemu, wszystko o naszej cywilizacji. Dlatego czterokrotne dotychczasowe „nie wiem” może oznaczać zarówno automat nie wyposażony w podobną wiedzę, jak i przebiegłą cywilizację. Zresztą i my, nie będąc przebiegłą cywilizacją, również nie znamy odpowiedzi na niektóre z tych pytań...

– Witaj, kochana! – powiedziałem do niej. To, że uznałem ją od razu za rodzaj żeński, nie było związane tylko z jej głosem. Rodzaju żeńskiego jest także „cywilizacja”, ale również „maszyna”, rodzaj żeński było mi jako mężczyźnie łatwiej uznać za bliski; poprawiało to tak ważne dla mnie teraz samopoczucie. – Witaj, kochana! – powtórzyłem i, muszę przyznać, powiedziane to zostało serdecznie.

– Cześć, człowieku! – odezwała się prawie natychmiast. – Gdyby nie był to inny głos, pomyślałabym, że jesteś ten sam. On też mi tak mówił.

Rzeczywiście przepelniała mnie spontaniczna serdeczność wobec niej, lecz i krytycyzm mój wyostrzył się, gdy ochłonałem i odkryłem, że głos jej

był wprawdzie miły i smutny, lecz miły i smutny wciąż tak samo, o ustalonej, niezmiennej modulacji, niezależnie od treści słów. Emocje, które wykrywałem w nim przedtem, były płodem mojej wyobraźni, porażonej nieoczekiwanym zjawiskiem. Dziwne, dlaczego właśnie tę intonację polubiła i przyswoiła sobie. Czy nie podsłuchiwała obojga na długo przedtem, zanim sami ją odkryli? Może popadli w tarapaty? Chwila była odpowiednia, według ludzkiej logiki, by zapytać, co stało się z tym, który także mówił do niej „Cześć, kochana”, i z tą, której głos przejęła, lecz okiełzałem niepohamowaną ciekawość – powinienem był pytając przestrzegać planu, choćby nawet ułożonego naprędce.

– Czy nie odczuwasz potrzeby wypoczynku? Jak odtwarzasz wydatkowaną energię?

– Odtwarza się sama.

– Z czego?

– Nie wiem.

– Wydatkujesz przecież sporo energii – powiedziałem, strzegąc się zbytniej natarczywości.

– Tak – odpowiedziała czule i smutno.

– Komu przekazujesz te informacje?

Tak jak przypuszczałem, odparła:

– Nie wiem.

– Czy naprawdę nie wiesz, czy też nie wolno ci tego zdradzić?

– Nie wiem.

– W jakim kierunku nadajesz?

– Emisja jest samosterująca.

– A ty nie odbierasz sygnałów?

– Odbieram z gwiazd, z planet, od ciebie...

– Nie chodzi mi o takie. Czy nie otrzymujesz sygnałów stamtąd, skąd wyruszyłaś? Ze wskazówkami, co masz robić?

– Nie.

– Nie wiesz, skąd i kiedy wyruszyłaś?

– Nie wiem.

– A dokąd lecisz?

– Nie wiem.

Tak, automat istotnie nie może wiedzieć niczego z tych rzeczy, ale czy i dana cywilizacja wie, skąd wyruszyła i dokąd zdąży? Jeśli zapytacie mnie, dokąd podróżujesz, Zenonie Balow, podam najwyżej nie zawierającą odpowiedzi odpowiedź: do gwiazd. Tak odpowiedziała również Ona, gdy zapytałem, jak zatem wytycza sobie drogę.

– Zdażam zawsze ku gwiazdom. Najpierw ku jednej, potem ku drugiej, ku następnej...

– I zawsze pozostajesz przy nich równie długo? – przerwałem jej następnym pytaniem. – Przyciągają cię, a potem odpychają?

– Tak. Znasz to, człowieku.

Ze wszystkich jej odpowiedzi ta zdradzała najdobitniej, że jest automatem ściśle zaprogramowanym. Wprawiała mnie jednak w zakłopotanie.

– Ona i on powiedzieli mi, że u ludzi jest tak samo. Najpierw przyciągają się z wielką siłą, a potem z wielką siłą odtrącają.

Nie powiedziałem jej, że żartowali pod wpływem osobistego dramatu. Nie wyjaśniłem jej jeszcze, że odruchy psychiczne nie mają nic wspólnego z mechaniką ruchu, wykorzystującego grawitacyjne siły gwiazd. Nie zaproponowałem również, że człowiek mimo wszystko ma trochę swobody w ramach swego programu ewolucyjnego, ponieważ... Ile jednak jest tej swobody?

Odnutowałem zwłaszcza, że niekiedy pedantycznie powtarzała moje słowa. Aparatura rejestrująca naturalnie również to odnotuje, ale mogłem tego później nie zauważyć, a było to ważne, bo musiało być związane ze sposobem jej samokształcenia. Z pewnością tą metodą przyswoiła sobie także smutny i czuły język Ziemi, z nieco staroświeckim dla mnie akcentem. Następne moje pytanie wykraczało poza nakreślony plan:

– Powinnaś jednak wiedzieć przynajmniej, co jest wewnątrz ciebie?

– Nie wiem.

– Twierdzisz, że nie wiesz nic o sobie – zacząłem gorączkować się w swoim stylu, w takich chwilach mimowolnie wymykały mi się rzeczy niedozwolone. – A niedawno powiedziałaś, że nie jesteś w stanie atakować, ale potrafisz się bronić. To znaczy, że znasz siebie dobrze.

Od tego pytania zależało wiele, powiedziałbym, wszystko. Nawet najlepiej doskonalący się automat nie osiąga samoświadomości. Na Ziemi dane to było jedynie człowiekowi! I to odróżniało go od wszystkich innych żywych i martwych tworów. Ikar nie był niczym więcej jak podobnym zwiadowcą, wysłanym przez naszą cywilizację. A Ona?

Ona powiedziała czule i nieśmiało:

– Pierwsze, czego dowiedziałam się o sobie, to że także mogę być „ona” i nazywać się „kochana”. Drugie, czego dowiedziałam się o sobie, to że mogę się bronić. Więcej nie wiem nic o sobie.

Serce o mało nie przestało mi bić, gdy zapytałem:

– Jak dowiedziałas się, że potrafisz się bronić?

– Kiedy ona i on zapragnęli wylądować na mnie, abyśmy byli razem. Ja także chciałam, abyśmy byli razem.

– Ale nie wylądowali, prawda?

– Nie.

– Co zarejestrowałaś?

– Bardzo silne i nagłe promieniowanie.

– A potem znikli?

– Ona i on znikli – odparła z mechanicznie monotonnym smutkiem w przywłaszczonym kobiecym głosie.

Poprosiłem o dwadzieścia godzin na wypoczynek.

#### 4

Dotarłem do sprawy, o których nie mogłem decydować sam. Oto jak człowiek w danych okolicznościach uczy się szanować radę astronawigatorów. Lecz nie mam prawa kontaktować się z nią, tak jak do końca nie skontaktowali się z nią ci dzielni i jak ja lekkomyślni „ona i on”. Mieli cierpliwość uczyć ją mowy – kto wie jak długo to trwało – by umożliwić jej rzeczywisty kontakt z ludzkością, a nie starczyło im siły, by sobie odejść. Lecz dlaczego nie dokonali przedtem przynajmniej profilaktycznego sprawdzenia? Nie mieli możliwości czy też oczarowała ich życzliwość sympatycznej grubaski?

Nie powinienem powtarzać ich błędów, rozsądnie byłoby natychmiast zawrócić. Zresztą, ogólnie biorąc, obraz stał się jasny: robot badawczy nieznaney cywilizacji z wszechobejmującą, czułą aparaturą odbiorczą, jaka długo jeszcze będzie przedmiotem naszej zazdrości. Pierwsze spotkanie z inną cywilizacją daje mu pierwszą wiedzę o sobie! Już potrafi się wyodrębnić spośród innych ciał w przestrzeni i odgraniczyć od własnych funkcji, po prostu: uświadamia sobie siebie. Oczywiście nie podjął od razu procesu samopoznania, pojawiła się jednak świadomość w podstawowej zasadniczej postaci, tym samym automat przestał być maszyną. Stojący obok mnie jako straż przyboczna Tobi i Koro również potrafią się nazwać, lecz jest to w zgodzie z zakodowanym w nich czwartym nakazem robotyki. W ramach trzeciego prawa – zobowiązującego do troszczenia się o własne bezpieczeństwo – poznają własną anatomię tak, jak człowiek nie pozna nigdy swego ciała, lecz i to jest zaprogramowane w ich konstrukcji. A Ona stała się Nią sama! Samoedukacja przeszła w ewolucję. Z tego powodu jej znaczenie dla nas nabierało dodatkowej wagi. Jeśli człowiek zdoła zaobserwować dzięki niej, jak powstaje rozum,

da mu to odpowiedź na większość pytań, jakie zadawał sobie w ciągu ostatnich pięciu – sześciu tysięcy lat.

Przerwałem jednak wyproszone dwadzieścia godzin pytaniem, które nie wpadło mi wcześniej do głowy – dlaczego nie zniszczyła mojego pocisku badawczego? Odpowiedziała niezmiennym „nie wiem”. Czy nie sądzi, że został uszkodzony jej system obronny? Czy nie czuje tego? Prawie żałowałem swego pytania, ponieważ musiałem później dwie godziny wyjaśniać jej, co znaczy „sądzić”. Zadowolili się wreszcie pewnym przybliżeniem w dość niezręcznym stylu:

– Chcesz, byśmy byli razem. W słowie „chcesz” zawarte jest odczucie. „Odczuwasz” poprzedza „chcesz”. By wiedzieć, że chcesz czegoś, trzeba najpierw odczuć, że tego chcesz...

I tak dalej... niestety, nie jestem zbyt mocny w logice. Dowiedziono, że czterdziesty siódmy chromosom Y czyni charakter podatnym na emocje, nie na racje rozumowe. Mimo wszystko przyszło mi do głowy to pytanie o mechanizm obronny i dumny byłem ze swej odkrywczości. Poprosiłem ją, by pozwoliła mi wysłać na siebie mały aparacik. Nie mogłem odmówić sobie początkowej chęci oderwania z niej kawałka za pomocą sondy geologicznej. Zapewniłem, że nie uszkodzę jej, że będzie to nawet z pożytkiem dla niej, że przekona się, czy nie uszkodziła swego systemu obronnego. A jeśli wszystko jest w porządku, ze swej strony spokojnie mogę poświęcić aparacik. Przyjaźń nasza nie ucierpi w ogóle na tej historii.

Zgodziła się, jakby nie dowierzając, że można robić problemy z takich drobiazgów, i sonda geologiczna znów pofrunęła jak pszczoła kierująca się do ula. Prowadziłem ją najkrótszą drogą z największą prędkością. Wytraciłem szybkość tuż nad kratkowaną powierzchnią i ostrożnie opuściłem sondę. Jej przekaźnik pracował bez zarzutu, widziałem już na swym ekranie ciemne pory w dziwnej materii między metalowymi żebrami kratownicy, powiększone do rozmiarów miniaturowych kraterków. Nic nie zakłócało także odbioru, sonda wykonywała więc błyskawicznie każde moje polecenie. Nie, doprawdy! To dziwne, że podobnie prawidłowo funkcjonujący system obronny dopuszcza obce ciało na tak bliską odległość!

Powiedziałem to impulsywnie do stojącego obok Koro, odpowiedzialnego za sondy, ale usłyszała to natychmiast i odezwała się:

– Chcę, aby to, co nazywasz aparatem, wylądowało na mnie.

Czyżby potrafiła już kierować niektórymi ze swych reakcji? Ależ to doprawdy wspaniale!



Opuściłem sondę na pozostałe 50 metrów... Licznik automatu lądującego nerwowo przerzucał cyfry od 99 do 9 wstecz. Przy zerze błysnęła na ekranie teleskopowym maleńka zielona błyskawica. Na drugim ekranie pociemniało.

Sonda nie istniała. Prawie nie dopuszczałem innej możliwości, lecz mimo wszystko zabolalo mnie to. Zapytałem:

– Czująś coś?

– To, co nazywasz aparatem, nie istnieje.

– Nie istnieje – potwierdziłem. – Ale to nie twoja wina.

I spędziłem pozostałe, planowane na wypoczynek godziny na ciekawym, lecz przykrym zajęciu obserwowania na ekranie, jak w miejscu, gdzie wybuchła moja sonda geologiczna, porowata masa nabrzmiwa jak opuchlizna, staje się gładka i błyszcząca, jak potem wolno opada i pojawiają się na niej uprzednie pory, jak zanikają jaśniejsze żebra trzech metalowych ośmiokątnych komórek porażonych wybuchem czy też uczestniczących w nim – i jak ponownie jakby wypływają na wierzch. Wystrzeliłem jeszcze jeden pocisk badawczy, by sfilmować proces pod innym kątem, tak by umysł mój nie miał potrzeby uczestniczenia w obserwacji. Zresztą nie czynił on żadnych prób uczestniczenia w inny sposób, jak tylko ze smutną rezygnacją. Nie pytał, co się właściwie stało, pytał, czy nie byliśmy niesprawiedliwi wobec syren?

Może syreny rzeczywiście kochają człowieka i chcą być razem z nim? Dlatego śpiewają mu najpiękniejsze pieśni i obiecują cuda w swoim raju. A wcale nie wiedzą, nieszczęsne, o istnieniu przed nim podobnych skał nie do ominięcia, bezwzględnie broniących ich samotności... Lecz wspomniawszy „pieśń”, mózg mój natychmiast przypomniał sobie Majolę Beni, a musicie przyznać, że taki mózg w żadnym przypadku nie jest mózgiem badacza...

Gdy odpoczynek mój dobiegł końca, już nie można było poznać, że miał miejsce jakiś wybuch. I dopiero wtedy wpadłem na pomysł, by przeprowadzić pocisk wywiadowczy nisko nad miejscem wybuchu z otwartymi pochłaniaczami pyłu kosmicznego, a także po trasie sondy. Podczas wybuchu musiała wydostać się także część mojej tajemniczej syreny, więc cząsteczki jej powinny znajdować się wśród pyłopodobnych, rozkładających się resztek sondy geologicznej. Jeśli nie była to czysta anihilacja, ma się rozumieć, podczas której tylko na negatywach wystąpią ślady fotonów albo w filtrach Besona – neutrony. Mimo znacznego opóźnienia indykatory pocisku wskazywały, że w pyłopochłaniaczach coś jednak się znalazło. Co takiego? Oby pozwoliło mi to móc spojrzeć ojcu

w twarz, bo jak inaczej wytłumaczę się przed nim? Opowiadając, jak układałem w tym czasie nową bajkę o syrenach? Tak czy owak, to, co nazwałem wypoczynkiem, okazało się czasem wyteżonej pracy, pełnym nowych obaw i odczuć. Przyniosło także nowe wzruszenia, które wprawiły mnie w zdumienie. Pod koniec wypoczynku zdołałem jeszcze opracować trasę drogi powrotnej statku. Odtąd już zaczęły się problemy, których nie miałem prawa sam rozwiązywać. Kiedy minęło dwadzieścia godzin, podałem dane nowego kursu autopilotowi i powiedziałem do nadajnika, nie odrywając oczu od zagadkowej twarzy, poznaczonej ośmiokątnymi zmarszczkami:

– Muszę już odjechać, kochana.

Wierzcie mi, to „kochana” wypowiedziałem z wielkim wzruszeniem!

A najdziwniejsze było to, że miałem wielką ochotę, by coś nieznanego w niej, coś, co mi odpowiadało, okazało się równie kochające i dobre jak głos Ziemiarki, który wchłonęła w siebie. I z pewnością dlatego moja wyobraźnia ponownie przybrała jej słowa w odwieczne uczucia ludzkiej cywilizacji.

– Nie odchodź, człowieku! Proszę cię! Nie odchodź, człowieku!

– Nie mogę zostać na zawsze z tobą, ponieważ umrę.

– Co to takiego?

Biedactwo, nie znając siebie, nie wiedziała rzeczywiście, co to śmierć!

– Stanie się ze mną to, co stało się z aparatem, co stało się z „nią i nim”.

Może nie zrozumiała, może nie chciała tego przyjąć, bo powtarzała:

– Nie odchodź, człowieku! Proszę cię! Nie odchodź, człowieku!

Pomyślałem, to płacz czegoś, co przestało być maszyną. Urodziła się do życia społecznego, tym samym posiadała uczucie samotności. Patrząc bowiem trzeźwo, cóż innego zyskała ludzkość, wychodząc z bioautomatycznego stadium świata zwierzęcego i przekształcając się w cywilizację, prócz uczucia samotności we wszechświecie?

Lecz ona jedyna może być szczęśliwa. Nie będzie samotna. Ludzie nie zostawiają jej samej wśród gwiazd. Dzięki nim dowie się wielu jeszcze rzeczy o sobie. Inna sprawa, czy stanie się bardziej szczęśliwa! Znałem Ikarczyków i wiedziałem, że natychmiast po moim powrocie nowy statek, pełen najpracowitszych, najbardziej pomysłowych i najweselszych ludzi, polecą znowu ku Niej. Dlatego nie kłamałem, kiedy przysięgałem, jak mężczyzna swej ukochanej:

– Wrócę, kochana. Uwierz mi! Wrócę niedługo i człowiek zawsze będzie z tobą!

Jej czuły i smutny ludzki głos towarzyszył mi tak długo, dopóki nie

wyłączyłem wszystkich odbiorników i nadajników, by przedsięwziąć gigantyczny fałszywy manewr, i dopiero potem wziąć kurs na Ikara, w nadziei, że uda mi się zamaskować ślady, które mogłyby zdradzić jego położenie.

Tak, gdy jest się tylko zwiadowcą, nie wolno ufać nawet swojej ukochanej.

## Gdy przebijesz mur

I znów cisza i samotność. Nie stały się mniej dokuczliwe przez to, że teraz czekano na mnie nie tylko na Ikarze, ale że czekała także Ona – Ona, której nie nadałem jeszcze imienia. Nie byłem jej odkrywcą, więc nie wypadało mi tego uczynić, choć przecież i owi wspaniali „on i ona” nie są jej odkrywcami, gdyż odkryli coś innego, nie Ją. Są jej rodzicami. Ile miłości i cierpliwości włożyli, nim przekształcili tę piłkę w istotę? Ile czasu – zanim zabiło ich ukochane dziecko, któremu nie zdążyli nadać imienia? Ponieważ nie wiedzieli jeszcze, co dokładnie stworzyli.

Którzy zresztą rodzice to wiedzą?

Choć... mój ojciec, mój genialny ojciec wie na pewno. Z pewnością domyślał się, że potrzebna mi jest właśnie taka piłka, która wprowadziłaby bezład w moim życiu i mojej głowie, skoro zaproponował, aby właśnie mnie wysłano jej śladem.

Teraz mogłem zadawać sobie do woli, jakie chciałem pytania – długotrwały manewr i bezgłośny lot ku miejscu spotkania z Ikarem pozostawiały sporo czasu. Wystarczająco dużo dla jeszcze jednego ataku klaustrofobii. I zaraz się objawiła. Ponieważ po spotkaniu z Nią statek wydał mi się zbyt ciasny. Z tymi chorobami tak właśnie bywa, gdy raz się zjawi, zakochuje się w tobie na całe życie. Niedobrze, że czyni mnie prawie niezdatnym do udziału w podobnych lotach ekspedycyjnych.

Lecz nim ponownie opadł na mnie strach ze ścian statku, długo i uporczywie rozmyślałem o nim, sam więc z pewnością ułatwiłem mu przyście. Rozmyślałem o strachu przed Nią, strachu, który kazał mi lecieć w tej ogłuszającej ciszy z całym ryzykiem wyłączonych radarów. I o strachu jako środka zniewolenia. Wszystkie te wspaniałe maszyny przykuwały nas do siebie dwoma nierozzerwalnymi łańcuchami: ustawicznym strachem, czy nie zostały uszkodzone, i czy wiemy o nich wszystko. Od dawna już, od bardzo dawna człowiek i na Ziemi, i w kosmosie zmuszony jest poświęcać dziesięć razy więcej czasu maszynom niż zgłębianiu wszechświata i siebie samego. A o sobie i wszechświecie ma tylko takie wyobrażenie, jakie ukażą mu one – maszyny. Ten wzajemny stosunek między maszyną i człowiekiem przekształcił się w pewien zamknięty samowystarczalny układ, o którego ściany to, co szuka początku u człowieka, zawsze skutecznie rozbija sobie głowę.

Nie mając nic innego do roboty, gapiłem się przez atrapę okna bezpośredniej obserwacji – mądra i pożyteczna zabawka – na ojczyste

galaktyczne niebo z migotliwymi gwiazdozbiorami, z czarnymi i białymi obłokami pyłów lub gazów, z zastygłymi w beczasie galaktycznymi wichrami, nie przestając lekkomyślnie rozmyślać o poważnych sprawach. Myślałem o tym, jak strach przed awarią Tobiego przeradza się podświadomie w strach przed samym Tobim; myślałem o tym, że jestem niczym innym, jak tylko jego jeńcem i niewolnikiem, że wcale nie jest moim wiernym towarzyszem, choć takie jest jego przeznaczenie.

Jak nie jest również moim przyjacielem dzielny R-19, w którego ścianach czai się klaustrofobia. A uogólniając te rozmyślenia nazwałem je na własny użytek:

#### KOSMICZNYM PRASTRACHEM PRZED MATERIAŁ

w klaustrofobii widząc jedynie nieszkodliwy przejaw tego PRASTRACHU.

Myślałem jeszcze o tych ludziach na Ziemi, mądrych i szlachetnych, którzy w różnych epokach, osiągnąwszy szczyt rozwoju umysłowego, odosobniali się na łonie natury, by wieść niemal zwierzęcy żywot. W biograficznej pamięci Ikara znajduje się film o tych dziwakach, którzy odmówili maszynom prawa do myślenia i działania dla ich dobra. Już wtedy, odkrywszy go podczas szukania materiałów do mojej dysertacji, stwierdziłem: nie tędy droga. A teraz dodaję: może rzeczywiście nie tędy droga, ale trzeba to zaakceptować właśnie z powodu braku drogi. I nazwałem to:

#### BUNTEM PRAINSTYKTY PRZECIWIW SZTUCZNEJ BIOSFERZE

Najwięcej oczywiście myślałem o Niej, wyobrażając ją sobie na tysiąc sposobów i zadając sobie tysiąc pytań w nadziei, że moja pozbawiona polotu fantazja trafi wreszcie na ślad czegoś realnego!

Przedstawiałem ją sobie jako maszynę, jako pozostałość po półmechanicznym stadium jakiejś wielkiej cywilizacji, która przeszła już w inne, niemechaniczne stadium rozwoju. Kontakt między nimi uległ zerwaniu i moja syrena pogrąża się w samotności. Ale przecież tak mało podobna była do maszyny ta dziwna piłka! Wyobrażałem ją sobie także jako samorodny organizm, jako mózg, ogromny w porównaniu z naszym, który przebywszy etap opanowania obowiązkowego minimum wiedzy o otaczającym świecie, przechodzi obecnie w fazę samopoznania. Komu jednak w takim razie przesyła tak systematycznie gromadzoną wiedzę?

A po co my gromadzimy swą wiedzę, pytałem siebie. Czyż nasze gromadzenie wiedzy nie jest również podobnym procesem samozadowolenia jak sama ewolucja i jak ona pozbawionym ostatecznego

celu? Czy nie jest grą urzeczywistnioną przez organiczną potrzebę gry? Początkowo człowiek gromadził wiedzę o swym najbliższym środowisku, by ocaleć, by ochronić swe ciało, by uczynić życie pewniejszym i łatwiejszym, lecz potem? Potem zaczął gromadzić wiedzę, by uczynić swe życie właściwie trudniejszym. Nawet dzieci już wiedzą, że im bardziej badamy wszechświat, tym bardziej niepojęty staje się jego obraz, a nasze nie kończące się zbliżanie ku prawdzie jest jedynie nie kończącym się pograżaniem w czymś nieskończenie skomplikowanym. Po co więc to wszystko, zadawałem sobie pytanie, i wydawało mi się, że dostrzegam jakiś mechanizm, na który nie znajdowałem innego określenia, jak

### EWOLUCYJNY NAPĘD ROZWOJU DUCHOWEGO

Ten zaś wydawał mi się podporządkowany jedynie zasadom gry. Tak jak dobór, konwergencja i mutacje swą siłą stymulują rozwój biologiczny, tak i ten napęd steruje energią naszego ciała, określaną duchem. Nie wiemy, dokąd i ku czemu nas wiedzie, możliwe, że donikąd (o bezsensach na wielką skalę powiada się, że kryją nieznaną sens), jesteśmy jednak zobowiązani studiować nasz los. Dziecko, które przestaje być dzieckiem, ma początki choroby albo już choruje. Duch, który choć na chwilę przestaje gromadzić wiedzę, natychmiast przestaje być duchem, cofając się na powrót do łona biologicznego automatyzmu. Stąd wynika jednak – jeśli upieramy się mimo wszystko przy istnieniu celowości w tej naszej grze z naturą – że rozwój ducha jest w rzeczywistości walką ducha o uwolnienie się od automatyzmu, to jest od maszyny, obojętne czy będzie ona z metalu, czy z żywej tkanki...

Tego rodzaju pocieszające dla mego serca, choć z pewnością naciągane wywody, ponownie przybliżają mnie ku Niej.

Jeśli jest maszyną, mówiłem sobie, musi także sprowadzać wyższe formy ruchu do niższych. Powinna to koniecznie ustalić następna ekspedycja, od tego bowiem zależy przede wszystkim, jak ją nazwiemy – wyższą formą materii czy też znacznie wyższą formą maszyny. I rozmyślałem jeszcze, że maszynowy początek i jego zasada upraszczania złożonego, bez czego niemożliwa jest żadna automatyzacja procesów, mają bezspornie własny istotny sens w tym wielkim bezsensie w przyrodzie, lecz że droga ta niewątpliwie prowadzi ducha w mylnym kierunku.

Lecz Ona nie jest maszyną, nie! Cieszyłem się Nią i podziwiałem. Zdołać wchłonąć w siebie zazdrość Ziemiarki, zanim jeszcze nauczyło się jej języka, a potem – w cudownie krótkim czasie – nauczyć się samej jej języka – czegoś najbardziej skomplikowanego, z czym zetknął się dotąd

człowiek, czy to możliwe u maszyny? To tak, jakby magnetofon albo promień lasera, zapisujące mowę ludzką, nauczyły się same mówić! Jak to możliwe bez posiadania mózgu równego co najmniej ludzkiemu? A Ona słyszała, gdy rozmawiałem z psychorobotami, nawet wtedy, kiedy miałem wyłączone nadajniki! Oznacza to, jeśli nie odebrała tego jakimś zupełnie niewyobrażalnym dla nas sposobem, że albo wychwyciła słabe pole elektromagnetyczne, istniejące wokół naszej mowy i porusza się z szybkością światła, w odróżnieniu od samych fal dźwiękowych potrafiąc przenikać przez próżnię, albo też „przeczytała” już wszystko w moim mózgu, wykorzystując ogólnie znaną z praktyki, lecz słabo przez nas kontrolowaną możliwość pośredniego kontaktu między mózgami. I znów wpadałem w złość, że obowiązujący program astronawigacyjny najsurowiej zabraniał na tym etapie badań wszelkich prób z kontaktem telepatycznym. Ale złościłem się oczywiście tylko tak sobie, powodowany niecierpliwością. Byłoby czystą głupotą, gdyby program nie zabraniał przedwczesnego posługiwania się – tą tak cenną i wciąż jeszcze nie rozszyfrowaną przez nas tajemnicą ludzkiego ducha – nie rozwiniętą bądź zdeformowaną przez warunki zdolnością do bezpośredniego odbioru i przekazywania informacji.

Ta zdolność antyspołecznego, cholerycznego indywiduum występowała we mnie w silniejszym stopniu niż na przykład u rozsądnego, klonowanego przeszczepu, zwanego Lionel Redstar, i nie bez podstaw obawiałem się mimowolnego przekroczenia zakazu. Wiadomo, że telepatia zazwyczaj realizuje się samowolnie, najrozsądniej więc byłoby na resztę czasu zakonserwować w komorze anabiotycznej mego niespokojnego ducha, który nieustannie, jak młody kochanek, krążył wokół Niej. Przygnębiająco wiele czasu pozostawało mi jeszcze. Nie byłem w stanie wykorzystać go nawet do pracy nad swoją dysertacją – nie powinienem uruchamiać żadnych automatów, pracujących na falach elektromagnetycznych. Moja nie przyzwyczajona do takiej pracy ręka omdlewała już po kilku napisanych zdaniach, dlatego zakończenie niniejszych notatek zostało podyktowane znacznie później, co z pewnością daje się zauważyć. Całe moje ciało było obolałe od leżenia, ponieważ z powodu przeklętego aparatu nie odważyłem się wejść do komory treningowej, by poćwiczyć choćby na zwykłych przyrządach gimnastycznych. Mięśnie miałem zupełnie zwiotczałe, a umysł pogrążał się w lenistwie bądź masochistycznej kontemplacji. Pomału traciłem ochotę na robienie czegokolwiek. Miałem ochotę słuchać muzyki, lecz jeszcze nie mogłem sobie na to pozwolić wciąż z tych samych względów

bezpieczeństwa, choć oczywiście było to zbędne, skoro miała tak zdumiewające preceptory. Nie przejmowałem się także zbytnio tęsknotą za ciałem Majoli Beni. Łatwo odpędziłem ją od siebie, tak samo jak wzruszającą zjawę Heliany – tak odległe było wszystko ode mnie! Bliskie były znów tylko ściany mego R-19. Znów gdy tylko wyciągnąłem rękę lub nogę, dotykałem metalu, części maszyny, która coraz częściej szczyrzyła się do mnie w kpiącym uśmiechu, jakby usiłowała mnie ukąsić...

Jedyne, na co jeszcze miałem ochotę, to wrócić do Niej. Powiedzieć jej raz jeszcze „Cześć, kochana!”, i zapytać choćby o coś błahego – by usłyszeć czuły i smutny głos Ziemiarki, głos samotności. Lecz także od Niej dzieliły mnie już setki milionów kilometrów otchłani, w której ginął czas, w której przepadało wszystko, w którą – było to nieuchronne – całkiem nieoczekiwanie ze zdrewniałym ciałem i zatrzymanym biciem serca, z uwiecznym w gardle tchem zacząłem spadać sam. W dniu, który wyznaczyłem na wejście do komory anabiotycznej.

Czy zdarzało się wam spadać we śnie? To było takie właśnie zimne i straszne oszołomienie, a odczuwałem je jako...wybawienie! Ponieważ przed chwilą znów uderzyłem w jakiś straszny mur – trzeba było za wszelką cenę i możliwie najszybciej przebić go, by dotarło do mnie choć trochę powietrza. Pływałem najpierw wzdłuż niego, by znaleźć wyjście. Albo wejście. Wiosłowałem rękami w dół, potem w górę, coraz wyżej, a mur nie miał końca. Potem dawałem nurka w dół, w dół, w dół, lecz mur zdawał się nie mieć ani początku, ani końca. Walilem weń jak ryba w akwarium i przetykałem ostatnie hausty powietrza przed jego nieprzeniknioną czernią. Aż nagle bezgłośnie rozpacz pchnęła mnie prosto na czarną gładź. Uczepiłem się jej, a wtedy runęła na mnie zwałem ostrych kamiennych brył, z których strzelały krótkie pomarańczowe płomyki: wyskakiwały jakby z mego czoła, oślepiały mnie, znacząc trajektorię mego przekształconego w meteoryt ciała. Tak je odbierałem mimo oślepiętych oczu: meteoryt czy bolid wchodził z ogromną prędkością w gęstą nieznaną atmosferę. A przecież nawet przy pierwszej prędkości kosmicznej, przy owych mizernych pięciuset kilometrach na minutę najrzadsze nawet powietrze zmienia się w gęstą bryłę! Krzemienie siekły zewsząd moje ciało, całą moją głowę spowijały płomienie – niebieskie, pomarańczowe i żółte, ale tylko oślepiały mnie, bo były zimne jak ogień dalekich gwiazd. Trwało to długo do szaleństwa. Po czym nastąpiło spadanie. Nagle i tak nieoczekiwane, że nie zdążyłem zauważyć, kiedy wyostałem się zza muru. Poczulem jedynie zawrotne oszołomienie wolną przestrzenią i odebrałem to jako ocalenie, ponieważ znikła poprzednia



koszmarna duszność, choć od idącego naprzeciw zimna oddech uwiązał mi w gardle jak nie przełknięty kęs. Moje zmysły dziwnym trafem nie były jednak przytępiałe, lecz wyostrzone. Słyszałem świst przestrzeni wokół siebie, słyszałem wycie spadającego jak pocisk ciała, choć nie był to ani świst, ani wycie, raczej wesołe i zwycięskie fanfary – radosne obwieszczanie przybycia. Lecz wciąż spadałem i nigdzie nie przybywałem. Wcale mnie to jednak nie męczyło. Stopniowo strach przed upadkiem również mnie opuścił i pozostało jedynie uczucie swobody i przekonanie, że jestem oczekiwany...

Wreszcie dostrzegłem ją. Pojawiła się nade mną, gdzieś bardzo daleko w przestrzeni, w którą spadałem. A mimo wszystko widziałem ją w powiększeniu na ekranie teleskopowym! To wzbudziło we mnie pierwsze wątpliwości, ale powiedziałem sobie: „Tak, jest właśnie tak, jak widzisz, wcale nie śpisz!” Przyciągnąłem swą rozpostartą w locie rękę, przyjrzałem się jej, zacisnąłem palce w pięść tak mocno, że poczułem w dłoni ból od paznokci... Przekonałem się, że rzeczywiście nie śpię, dziwiąc się, jak możliwe jest odbieranie tak wyrazistych wrażeń, przypominających raczej przeżycia senne.

– Zaczekaj – zawołałem do niej, ponieważ była bardzo daleko, a ja również jak we śnie, ledwo, ledwo nadażalem za nią mimo świstu przestrzeni wokół, dowodzącego wielkiej prędkości. – Poczekaj na mnie!

Nie odparła nic.

– Czy słyszysz mnie, kochana? – zawołałem z przestraszeniem, a coś podpowiadało mi, gdybyś dał jej imię, gdybyś zawołał ją po imieniu, odpowiedziałaby ci. – Zaczekaj na mnie! Dokąd uciekasz?

Nie odpowiedziała. Stalowa kratownica twarzy pomału rozświetliła się, jakby się rozżarzała, od czego ciemna masa w ośmiokątnych komórkach nabrzmiała i stała się gładka. Była straszliwie daleko, a niby pod mikroskopem widziałem, jak wygładzają się jej zmarszczki. Nabrzmiwała, stawała się większa – przygotowywała się do obrony, ale przed czym? Potem szybko zaczęła się kurczyć, jednocześnie malejąc w oddali, aż stała się punktem – czarnym punktem na wyrosłym nagle nie wiadomo skąd jeszcze czarniejszym kręgu.

Był przerażająco czarny i jakiś nieokreślony – zawrotny krater, z którego otchłani kaskadowo wylewała się w stalowoniebieskich i magmowoczerwonych strugach okoliczna przestrzeń. To straszne, ale zarazem piękne, powiedziałem sobie. Jak tamten wodospad, niedawno oglądany na filmie, który pokonywano w żelaznych beczkach. Odważni ludzie! A ty doświadczasz tego, nie będąc śmiałkiem – wylewająca się

przestrzeń po prostu niesie cię i pozostaje ci tylko liczyć na wanadowo-krzemowo-lakonowy stop awaryjnej torpedy... Skąd wzięła się znów ta torpeda? Głupcze, oczywiście, że jesteś w ni ej, jak mógłbyś inaczej przebywać w przestrzeni, i to bez skafandra... czy tak jak w niedawnym śnie?

– Teraz musisz stać się myszką, by wydostać się z czarnej dziury – powiedział mi Piotr Noyd. – Pamiętasz, jak zepsułeś nam zabawę, taką wspaniałą zabawę nam zepsułeś, bo nie wiedziałeś... co to mysz.

Czyżbym płakał? Nie tylko dlatego, że Jej już nie ma i nigdy nie wyjdzie z czarnej dziury – przecież tak jak i ja nie jest myszą. Przełykam coś wstrętnie gorzkiego, co przypomina łzy, i wołam:

– Nie chcę, tato! Nie mogę! Dlaczego wybraliście mnie?

– Ponieważ jesteś najmłodszy – powtarza ojciec – i najodporniejszy. – Ponieważ jesteś naszym dzieckiem, Zenonie...

A ja chlipię!

– Chcę także zobaczyć, co jest w środku. Nie mogę tak wrócić na Ikarą...

– Ależ zrozum, iż nie jesteśmy w stanie zobaczyć nic więcej! – denerwuje się ojciec mimo filozoficznego hartu. – Mało ci? Jaki śmiertelnik widział coś podobnego?

Jego ironia, jak nigdy dotąd, jest zaprawiona zgryźliwością – niczego nie widzieliśmy ani nie czuliśmy. Tylko nasze przyrządy złapał jakby epileptyczny skurcz i, sparaliżowane, przestały rejestrować cokolwiek. Wszystko wokół jakby zostało porażone.

– A co stało się z Darianem? – pytam pośród tego bezruchu. – Dlaczego płaczesz, Noyd? Po Darianie, prawda? – pytam pragnąc, by Peter Noyd płakał z mojego powodu.

– Głupstwa – złości się astrofizyk. – Czy widziałeś mnie kiedy płaczącego?

Wpatruję się weń i nie widzę żadnego Petera Noyda, choć wiem, że stoi przede mną.

– Dosyć bajek, Zenonie, startuj, dopóki jest jeszcze choćby cień nadziei! – mówi ojciec i obejmuje mnie. Obejmuje mnie ciepłym i mocnym uściskiem, a to twarde i ciepłe dotknięcie okazuje się klewą dwu pulpitów – autopilota i sterowni – między które upadłem.

Lecz co robię tutaj? W torpedach awaryjnych leży się obowiązkowo w komorze anabiotycznej, jak inaczej byłoby się w stanie to znieść! A tak, nie należy wchodzić do komory! Nie można liczyć na autopilota, istnieją także silniki wspomagające, już prowadzą swoją zacieklą walkę

z przestrzenią, to supersilniki, a razem z nią toczy się także walka w molekułach mojego ciała, którą muszę wytrzymać za wszelką cenę.

Dusiłem się w hełmie najcięższego, najbardziej opancerzonego skafandra (jak zatem czułem dotyk pulpity?). Tracę siły. Umieram z każdym metrem odwojowanej przestrzeni. Lecz czy to przestrzeń usiłuje mnie zatrzymać? Owi śmiałkowie skakali w wody wodospadu, co byłoby, gdyby odważyli się skakać w te strumienie? Tak jak ja usiłowałem się z nich wydobyć! I to nie supersilniki awaryjnej torpedy wynosiły mnie w górę, wlokłem je za sobą niby śmiercionośny balast, próbując wypełznąć z czarnego leja krateru na gwiazdziście połyskliwy płaskowyż galaktyki. I coraz cięższy stawał się ładunek, jaki ciągnąłem każdym swym mięśniem, od którego zapierało dech i dusił się każdy por mojej skóry. Aż nagle zniknął. A wraz z nim jakbym znikł ja sam...

Kiedy ponownie odzyskałem słuch, wokół brzęczały sygnały – wesole i żywe wypełniały mój oszołomiony umysł, budząc mózg do jakiegoś niezwykłego, zapomnianego życia. Ręka uniosła się bez wysiłku, brzuch, nadymając się, chlupał w kałuży wody. Cały pływałem w jakiejś szczególnej cieczy, ależ nie, to nie krioprotektor w anabiotycznej wannie! Wciąż znajdowałem się w skafandrze, lecz jak dostała się woda do takiego skafandra? Musiało zdarzyć się coś niezwykłego, może rzeczywiście wyszedłem spod wodospadu?

Głos – znany i nie znany zarazem – wrzasnął mi w twarz:

– Hurra! Niech pan wrzeszczy, Balow! Niech pan się odezwie i wrzeszczy hurra! Stał się cud! Jesteśmy blisko. Proszę podać sygnał i odebrać współrzędne spotkania...

Moje ciało, które znów odzyskało czucie, aż skuliło się od uderzenia tej radości w znanym i nie znanym głosie operatora szukającego ze mną łączności.

– Lecz Dariana nie ma, prawda? – powiedziałem.

– Nie znaleźliśmy go dotąd. Proszę nie być dzieckiem, Balow, sam wybrał taki los! No, proszę szybciej podać swoje współrzędne, czy też nie skończył pan jeszcze przygotowań?

– Co to za ratunek – wrzasnąłem nieoczekiwanie dla samego siebie, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, że i ja, i tamten, który mi odpowiadał, jesteśmy uratowani, lecz że z Darianem stało się coś strasznego, ponieważ nikt nie wie co. – Przed czym się uratowaliśmy? I z czym wracamy, pytam was! Z tymi śmiesznymi badaniami, absolutnie nieprawdziwymi...

– Wcale nie są śmieszne – zaoponował ojciec zamiast operatora, i usłyszawszy ten głos omal nie podskoczyłem w swej kałuży, która,

wiedziałem to już, utworzyła się z mojego ciała pod wysokim ciśnieniem. Ile procent wody pozostało w nim?

– Ale i Jej nie ma! – zawołałem z dziecinną rozpaczą i teraz już zapłakałem z nie skrywanym bólem.

Potem nastąpiło coś najdziwniejszego. Tak jak przedtem widziałem siebie lecącego jako bolid, tak nagle przez miniaturowe soczewki łez ujrzałem, jak awaryjna torpeda zakreśla niezwykle ostry zakręt, by skierować się ponownie ku czarnemu lejowi. Widziałem jeszcze, że leży w niej jakiś człowiek w superskafandrze, a człowiekiem tym był Zenon Balow. Początkowo nie uwierzyłem ciekłym szkłom powiększającym przed moimi źrenicami, ponieważ Zenonem Balowem byłem ja, płaczący w tej chwili jak dziecko, lecz później poczułem, że także lecący tam, w zakręcającej torpedzie, jest mną, i ponownie powiedziałem sobie: Rzeczywiście nie śpisz, to prawda! Już zbliżasz się do krawędzi leja, jeszcze kilka chwil, a przemkniesz nad nim i dasz nura w głąb, wesoły i lekki, w otchłań, w której nie istnieje ani czas, ani przestrzeń, odcedzające wodę z ciebie, w której rzeczywiście nie ma już nic albo jest coś całkiem innego, może właśnie to coś, dla czego Ikar wyruszył w kosmos...

Takie chyba były moje ostatnie myśli, lecz mówiąc „chyba”, podkreślałam nie tylko swoją niepewność – możliwe, że w ogóle nie pomyślałam nic takiego. Już wspomniałem, że pisanie odręczne sprawiało mi ogromną trudność, więc dyktuję tę końcową część notatek znacznie później, kiedy zbliżywszy się do Ikara, wyszedłem z komory anabiotycznej... kiedy wiele rzeczy we wspomnieniach wygląda już inaczej. Moje zmysły są całkiem odrętwiałe, lecz tkwi w nich jeszcze wspomnienie owej kompletnej niemocy ducha i ciała, która musiała wywołać tę półwizję-półsen w stanie kontemplacyjnej depresji, towarzyszącej mi w drodze powrotnej. I nie tyle ta wizja-sen dziwi mnie tak bardzo, ile skąd brałem siły i wolę, by podnieść się, skontrolować sprawność urządzeń i bez pomocy psychorobotów udać się do komory anabiotycznej. Z pewnością takie właśnie dziecięce marzenia o bezczasie i bezprzestrzeni pomogły mi przezwyciężyć strach i wstręt i poszukać ratunku przed szaleństwem.

I spieszmy ręką niecierpliwą  
zasiać następną przeszłość  
(z czwartej starej pieśni,  
którą śpiewała mi Mapla Bem)

Jeśli troszeczkę, troszeczkę jeszcze poczekacie,  
przerodzę się w gwiazdę  
(z piątej starej pieśni,  
którą śpiewała mi Majola Beni)

## **Powrót do przyszłości**

### **1**

Mój powrót na Ikara przekształcił się w prawdziwy triumf z racji danych, które przywoziłem; powściągliwi zazwyczaj Ikarczycy okazywali mi taką radość, że nieświadomie zacząłem sobie przypisywać wszystkie zasługi, z pewnością – by się z nimi obnosić. Nie pamiętam, by witano kogoś tak jak mnie. Nowy pierwszy koordynator, podobny zresztą do poprzedniego, przyszedł nawet osobiście do oddziału kwarantanny, gdzie – jakby mało było wielomiesięcznego uwięzienia w statku – musiałem przeleżeć jeszcze tydzień. Z powodu bliskiego kontaktu z inną cywilizacją! Majola Beni spędzała cały swój wolny czas – teraz wydało mi się to bardzo podejrzane – za szklaną przegrodą oddziału. Jej kreolska twarz to rumieniła się, to bladła z miłosnej niecierpliwości; aby to ukryć, nieustannie bawiła mnie nowinkami i plotkami. Urodziło się dwadzieścioro troje dzieci (zatem nowy koordynator trochę różnił się od poprzedniego). Wśród nich – także dziecko Majoli Beni... Loni Redstar wyruszył ze zdumiewająco liczną ekspedycją ku jakiejś gwiazdzie, imieniem Esna, przypuszczano, iż w jej układzie istnieje cywilizacja typu humanoidalnego. Czy po raz pierwszy mówi się o podobnych rzeczach, już znudziło nam się to podsycanie nadziei, który to już raz! Niekiedy podejrzewam, że umyślnie od czasu do czasu puszcza się takie pogłoski, abyśmy całkowicie nie popadli w rozpacz w tej naszej samotności. No, choćby teraz, nie wiem, na ile to prawdziwie, innym razem takie rzeczy trzyma się długo w tajemnicy, a teraz, jeszcze odbywam kwarantannę, a już podano wyniki, podejrzanie szybko je podano... A przecież Varius Lotz... ach, kto mógłby przypuścić! Wyobraź sobie tylko, Varius Lotz, taki potężny umysł, taka erudycja i nagle...

– Kto jest ojcem? – przerwałem jej. Tak właśnie zapytałem, a nie „kto jest dawcą”, i pomyślałem, że nie wypada być tak ciekawym.

– Sterius – odparła, jakby odpowiedź przez całe życie miała na końcu języka.

– Sterius? Wybacz, nie chcę cię obrazić, ale w tej chwili to nazwisko nic mi nie mówi, może jeszcze jestem oszołomiony...

– Ponieważ szukasz go na Ikarze – powiedziała, a jej negroidalne wydatne usta już nie potrafiły powstrzymać radosnego triumfu. – Mówiłeś, że go uwielbiasz.

– Ach, Sterius!

Powinienem był odczuć ulgę, a byłem jedynie zaskoczony, że Ikar miał w swych laboratoriach porodowych zapasy komórek zmarłego tak dawno wielkiego muzyka.

Później, przed odprowadzeniem mnie do domu, Majola zaciągnęła mnie do dziecka. Nie mogłem odmówić. Była wzruszająca w swym macierzyńskim entuzjazmie; choć właściwie nie była żadną matką, skoro dziecko pochodziło z implantowanego zarodka.

– Prawda, że śliczny? Wspaniałe się rozwija, ślicznotka mamusina!

Dziecko, jak każdy ośmiomiesięczny płód, przeciągało się i układało w sztucznym łonie, będącym właściwą jego matką, i nawet ssało paluszek. To mnie zaintrygowało, ponieważ – zresztą może kiedyś się tego uczyłem – dopiero teraz dowadywałem się, że dziecko jest w stanie ssać palec już w łonie matki.

– Ikarowi trzeba muzyków – powiedziała Majola pod koniec swych wybuchów zachwyty, ale powiedziała to z poczuciem winy, zauważywszy, że nie zdoła wzruszyć mnie tym, że wybrała jako dawcę ukochanego kompozytora.

A przecież nie musiała czuć się winna. Oczywiście nie pozwoliliby mi na dziecko. Najwyżej miałem prawo dąsać się, że nie poczekała, abyśmy je razem wybrali. W żadnym wypadku nie mogłem żądać od niej, by wyrzekła się nagrody. Zresztą na Ikarze rzeczywiście brakowało nowego Steriusa. Ta podróż ostatecznie przekonała mnie, że w kosmosie nie sposób obyć się bez muzyki, że muzyka jest zapewne jedyną ludzką twórczością o wybitnie kosmicznym charakterze i funkcjonalności. Jedynie ją cechuje jednocześnie magia matematyki, finezja rygorystycznego ładu i irracjonalny chaos prabytu, hipotetycznego wybuchu, który dał początek wszechświatowi; jedynie ona łączy jednocześnie obrazowe ukonkretnienie ludzkiej namiętności z mistyką abstrakcji, w jakiej się urzeczywistnia. A muzyka Steriusa, którego

rzeczywiście lubiłem bardziej niż innych kompozytorów na Ziemi, zawsze przypominała mi podjęcie wyprawy do innej galaktyki w swych lamentach bezsily, szaleństwie niepokonanego pragnienia i realnym lub wyobrażonym triumfie, obwieszczającym nie zwycięstwo, lecz zlanie się z wszechświatem. Majola była dobrą, z pewnością najlepszą kompozytorką, jaka narodziła się wśród kobiet, komponowała rzeczywiście piękne pieśni, zwłaszcza do wyszperanych przez siebie starych tekstów, lecz tak czy owak geniusz kompozytorski po wiekach emancypacji nie wiadomo dlaczego zaczął opuszczać tę połowę ludzkości. Czy dlatego, że ta jej połowa biologicznie ściślej związana jest z Ziemią, z gniazdem?

Obserwowałem przez okienko komory porodowej, jak przyszły Sterius łakomie ssie swój palec, jakby nie wystarczała mu obfitość pożywienia, które sztuczne łono wprowadzało przez jego pępek prosto do krwi, i może dlatego, iż w żaden sposób nie potrafiłem utożsamić go z wielkim człowiekiem, którego rosnącą cząsteczkę uosabiał, mimo woli objąłem ramieniem Majolę, mimo woli przytuliłem ją do siebie, bardziej pragnąc pocieszyć ją niż z rzeczywistego współuczestnictwa. Nie potrafiłem także powstrzymać się od zjadliwej zaczepki:

– A jak z chromosomami? Mam nadzieję...

– 47! – wykrzyknęła, wyraźnie czekając od dawna na ten moment. – Zemściłam się za ciebie. Okazało się, że Sterius także miał dodatkowy...

Doprawdy, nie miałem prawa ani złościć się na nią, ani podejrzewać o niedostateczną do mnie miłość! I całkiem inaczej powinienem był ją wtedy objąć, i innymi oczyma patrzeć na różowo – śluzowaty płód, któremu czterdziesty siódmy chromosom z pewnością kazał jeszcze nie narodzonemu chciwie ssać palec, lecz w dniach, gdy tkwiłem za przezroczystą tarczą oddziału kwarantanny, pewnego razu zjawiała się także Heliana Dolia-Moreni.

Także osobiście, a nie w postaci upiększającego interfrakcyjnego obrazu holograficznego. Mignęła przez chwilę u boku Alka Derego, z którym przyszła mnie powitać. Słowa powitania pobrzmiwały jednak tonem: „Wiedziałam, że wrócisz, przecież obiecywałeś mi? Pamiętasz? Przyrzekłeś...” I poczułem ponownie jej pocałunek. Gdyby nie było Alka, z pewnością opowiedziałbym jej swój sen, ale przyszła na krótko i niespokojnie uciekała spojrzeniem w bok, co czyniło ją jeszcze powabniejszą. Bardzo urosła, była już właściwie kobietą; kiedy patrzyłem na małego Steriusa, widziałem właściwie ją. Widziałem ją jednocześnie w komorze porodowej, zanim jeszcze nadałem jej imię, i czarująco

spłoszoną, obiecująco niespokojną za przegrodą oddziału kwarantanny. Dla własnego spokoju powiedziałem sobie, że także Majola była obecna przy moich narodzinach, a teraz postanowiła urodzić Steriusa wcale nie dlatego, by mścić się za pomocą jego 47 chromosomu, że już teraz kocha w nim i swoje dziecko, i swego nauczyciela muzyki. Pocieszałem się jeszcze myślą, że taki Varius Lotz z pewnością powiedziałby mi to samo, gdybym przyszedł do niego po poradę, może zdradziłby mi teraz, dlaczego ustanowił nadzór nad Helianą.

– Varius Lotz naprowadził mnie na to – paplała Majola, by ukryć ból zmaconego szczęścia. – Przecież wie wszystko, podpowiedział mi, że mamy komórki Steriusa i że... w ogóle dziwny typ, najwyraźniej z całą premedytacją dał mi możliwość pomścić cię, choć to przecież on odpowiada za kontrolę genetyczną...

– Co się stało z Lotzem? – wykrzyknąłem niemal tam w porodówce, ponieważ poprzednie jej słowa nie utrwały mi się w świadomości.

– Przecież powiedziałam ci. Oszalał. Ponieważ nie podlegał kontroli, przez dłuższy czas tego nie odkryto, dowiedzieliśmy się dopiero od dzieci. Gromadził dzieci i młodzież, głosił różne mistyczne prawdy, niemal nową religię, że człowiek to ponoć wielka tajemnica, że trzeba bronić go przed materią wszechświata, drogi poznania są inne, czas, by Ikar zawrócił z błędnych ziemskich dróg poznania, i takie tam...

– I co się z nim stało? – przerwałem jej lekkomyślną paplaninę. Nie była głupia, lecz pewnie szczęście macierzyństwa, tak jak upojenie miłosne, przyćmiewa intelekt.

– Jest w komorze. A młodzież omal nie wzniesła buntu. Podobno tylko on był w stanie ją zrozumieć i tym podobnie, tak że teraz stanowi przedmiot wielkiej naszej troski.

Tak, Ikar rzeczywiście nie był tak nie zmieniony, jak mi się wydało w dniu powrotu! Alek miał rację. Powiedział do mnie przez szybę:

– Cześć, Zenon! Cieszę się, że mogę powitać w tobie także kolegę.

Już nie odczuwałem do niego nienawiści, jak w tych godzinach, gdy dokonałem swego odkrycia i winą za wszystkie nasze kłopoty obciążyłem jego schizofrenię w komorze treningowej. Jego „bóg” również przepadł bez śladu wraz ze swymi złowieszczymi zakazami przy podwodnych skałach mojej czarującej syreny. Trochę tylko złościłem się, że przeszkadza mi patrzeć na Helianę.

Ale ona jakby sama kryła się za jego plecami.

– Cieszę mnie te słowa – odparłem. – Czyżby oznaczały, że przyjmujecie mnie do grona astropilotów?



– Oczywiście. Poza tym, jak mówią, przywiozłeś epokowy materiał?

– Chyba tak – odpowiedziałem z udaną skromnością, ponieważ Heliana wówczas jeszcze stała obok, a on zauważył flegmatycznie:

– Widzę... że samopoczucie dopisuje...

Wyraźnie nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia. Bardzo oddaliliśmy się od siebie, dodałem więc tylko, a trudno było dopatrzeć się w tym zamiaru kontynuowania rozmowy.

– W porządku. Najważniejsze, że wróciłem.

I słowa swe okraśliłem wymownym spojrzeniem ku tej, dzięki której wróciłem. Lecz ponownie umknęła spojrzeniem, skinęła głową z tajemniczym uśmiechem i odeszła. Wówczas Alek – z pewnością, aby zdołała dosłyszeć również ona – powiedział głośno tonem starszego brata:

– Nie ma powrotu dla astropilotów, bracie. Zawsze przybywa się do innego świata.

– Czyżby? – spytałem z lekką ironią, ale nie obraził się. – To znaczy, że i wy teraz jesteście inni?

Heli już wychodziła z przedsionka kwarantanny, pozostawiając za sobą ciężki jak zapach perfum nastrój melancholii.

– Przekonasz się, bracie! Sercem wracasz do czegoś przeszłego, a odnajdujesz się w przyszłości tego, czego szukasz. Nie ma powrotu, wierz mi, w każdym razie nie w tej galaktyce, poznałem ją dość dobrze. Gdziekolwiek polecisz, przeklęty czas zawsze przenosi cię naprzód. Dlatego życzymy sobie „pomyślnego spotkania”. Wszystko jest jednorazowym i niepowtarzalnym spotkaniem najróżniejszych systemów, rozlicznych czasów, rozmijających się kierunków...

– Smutną filozofię wyznają astropiloci – powiedziałem zaczepnie, ale coś we mnie przyznawało mu rację, teraz, kiedy za szybą był tylko jeden człowiek.

Heli odeszła tak, jakby nigdy już nie miało powtórzyć się nasze spotkanie, a wszystko inne wymyśliła moja pobudzona snem fantazja.

– Dlaczego smutną? Takie są fakty! Smutek rodzi się jedynie z nierealnej tęsknoty za przeszłością. Ale i ona z pewnością ma jakiś swój sens: przypuszczam, że pomaga nam tworzyć skale porównawcze – i Alek nieoczekiwanie zadeklamował: – Głupcom każdy kielich wydaje się aromatyczny, a ja pokarm dla mędrców w smutku jedynie widzę...

– Alek, a niech cię! – zawołałem do niego przez szybę i ucieszyłem się, że mój niegdysiejszy przyjaciel wcale nie jest tak głupi, by nie był w stanie przeobrazić się w zakłętego w sferze Riemanna „boga”: Kosmos czyni cię samotnym i smutnym, a tym samym – mądrzejszym.

– Powiedział to pewien starożytny Arab...

– No pewnie – powiedziałem wesoło. – Domyśliłem się, że nie ty, ale jak to wyszperałeś, oto jest pytanie!

– Heli powiedziała mi to przed chwilą, gdy szliśmy tutaj.

Czyżby i ona zaczynała szperać w starożytnych poezjach, by szukać tam tekstów do pieśni? Ale przecież, jak mówiła Majola, nie interesowała się w ogóle muzyką! Co kazało jej recytować wiersze astropilotowi?

Tak, zdaje się, że wiele racji jest w refleksjach dzielnego i przystojnego Alka Derego o ludzkim powrocie! A przecież dopiero miałem przekonać się, jak naprawdę zmienił się Ikar podczas mojej nieobecności.

## 2

W radzie kontrolnej musiałem teraz przejąć także obowiązki Redstara, ale przesiadywałem więcej w laboratoriach i gabinecie mego ojca, gdzie tak on, jak jego współpracownicy niez mordowanie poddawali mnie krzyżowym egzaminom, mimo iż nie miałem nic więcej do powiedzenia, niż utrwaliły urządzenia rejestrujące... Przygotowano pogoń za Weroniką, a ja niez mordowanie naprzykrzałem się, by wzięli mnie z sobą. Również dlatego, by ukryć się przed ciekawością Ikarczyków. Przywiezione przeze mnie wyniki, jak już powiedziałem, wbrew naszej praktyce zostały natychmiast podane do wiadomości i ludzie, wbrew dobremu wychowaniu, nie potrafili odmówić sobie przyjemności usłyszenia czegoś bezpośrednio ode mnie o Weronice. Tylko w gabinecie ojca nie odważali się mnie niepokoić.

Od początku bardzo złościłem się na to imię. Ale gdzie indziej mogło się narodzić, jak nie u moich astrofizyków, którzy teraz pracowali razem z moim ojcem! A ściślej, w czyjej innej głowie, jak nie w wielkim kudłatym rezerwuarze anegdot i żartów Ormianina Dariana? Przypomniał sobie popularną niegdyś bohaterkę dość kiczowatego serialu fantastycznonaukowego dla młodzieży, przedstawiającego nie wymagającym widzom przygody jakiejś piękności, przybyłej z nieznanego gwiazdozbioru „Włosy Weroniki”, by szpiegować naszą cywilizację i – gotowe! Kiedy protestowałem, że nawet do protokołów wpisali imię bez mojej zgody, Darian ujął w palce swój mięsisty nos i powiedział przezeń:

– Przecież i ta z „Włosów Weroniki” nieustannie zakochiwała się w tych, których przybyła szpiegować!

A mój ojciec śmiał się, jakby to w nim się zakochała. Tak czy owak, imię przyjęło się i przy tej okazji jeszcze raz się przekonałem, o ile łatwiej

przyjmuje się jakieś głupstwo niż coś mądrego. Nawet wśród najmądrzejszych.

W tych dniach zbliżyłem się do ojca, którego także zastałem niezwykle odmienionego. Wyszedłszy z monotonii swego gabinetu teoretycznego, nieustannie skupiał wokół siebie uczonych różnych specjalności, ożywiony, odmłodzony... A i matka powiedziała kiedyś:

– Zaczynam już być zazdrosna o tę Weronikę.

Kilka razy powiedziała mi to także Majola Beni. Lecz dosyć przewidująca, szybko zrozumiała, że z innej strony zagraża jej niebezpieczeństwo. Tylko Heliana zdawała się niczego nie dostrzegać i nadal unikała mnie. Kiedy pod pretekstem, że interesuję się jej stanem zdrowia po tak długiej nieobecności, zapytałem ją przez poli wizor, czy domyśla się, czy też wie, dlaczego Varius Lotz objął ją nadzorem, nie dając się sprowokować odparła ostro, że nie wie i żebyśmy jej dali wreszcie spokój, pilnując tych swoich tam Weronik...

Czyżby i ona była zazdrosna?

Tego dnia, gdy przypadkowo zostaliśmy sami, zapytałem ojca, czym tłumaczy sobie obłęd Variusa Lotza. W podtekście mego pytania kryła się wątpliwość co do tego skrajnego wyjścia – zamiast natychmiast wyleczyć go z łatwo uleczalnego według oficjalnej diagnozy stanu, na siłę zostaje uśpiony w komorze anabiotycznej. Ojciec siedział zgarbiony nad fiskami z wyliczeniami, a ja wertowałem imponującą już stertę dokumentacji mego lotu, opatrzoną komentarzami specjalistów. Obaj dokonywaliśmy jej ostatniego kontrolnego przeglądu przed zakodowaniem w pamięci głównego kolektora naukowego Ikara, jak również w kolektorze statku, który miał zabrać następną ekspedycję ku Weronice.

– Tato, jak tłumaczysz sobie obłęd Lotza? – zapytałem ostrożnie, nie z dawnego strachu przed nim, ale ponieważ o podobne sprawy nie zwykło się u nas rozpytywać, gdy podany został oficjalny komunikat. Z pewnością nie zadałbym tego pytania, gdybym nie uważał ojca za bardzo bliską istotę, tak jak każdy syn, zanim dorośnie, zanim poczuje potrzebę buntu choćby tylko wewnętrznego, przeciw niemu.

– Obłęd? – spojrzał na mnie z zaczepnym zdziwieniem.

Teraz ja zdziwiłem się naprawdę.

– Wszyscy tak mówią. Istnieje także oficjalna diagnoza.

– No tak. Wszystko wymaga jakiejś nazwy – zamruczał ojciec. – Zresztą może rzeczywiście zwariował. Albo też my zwariowaliśmy. Chodzi o to, że wynikła jakaś niezgodność.

– Nie wydaje mi się to wystarczającą przyczyną, a zapewne nie zrobili

tego bez zasięgnięcia twojej opinii – powiedziałem złośliwie, przypomniawszy sobie, że Varius Lotz kazał zahibernować Salisa Gordala, co nasuwało myśl o jakichś wzajemnych powiązaniach czy ogólnym procesie.

– Możliwe, że postąpiliśmy pochopnie. Gdybyśmy zaczekali do twego powrotu, z pewnością wyszedłby z tego. Teraz na pewno wróci się do tej sprawy.

Powinieneś wiedzieć o tym, przecież jesteś w radzie kontrolnej.

– Kpisz ze mnie, tato? Po pierwsze, jestem najmniej znaczącą osobą w radzie kontrolnej...

– Coś podobnego! A jak sądzisz, dlaczego tak zakochaliśmy się w twojej Weronice? Czyżbyś nie wiedział, że zostanę dziadkiem? – zachichotał nagle jak staruszek. – Otrzymasz prawo posiadania dziecka. I za to powinieneś podziękować Weronice.

– Dziękuję – powiedziałem tak jadowicie, że popatrzył na mnie zdumiony. – Pytałem cię o Variusa Lotza, tato!

– Ach, tak – wreszcie pojął, że nic nie wiedziałem, a bardzo zależało mi na tym, by to zrozumieć, ponieważ wiele spraw łączyło mnie z tym człowiekiem. -

Wybacz mi, jestem rozkojarzony. Wiesz o tym, że zamknięta przestrzeń rodzi często w mniej odpornym mózgu nawet cenne idee, jak nazywamy je my, medycy. Dlaczego Lotz ma być wyjątkiem? Nie jest pierwszym na Ikarze, który musi być poddany leczeniu, prawda? Ale tu występowało coś jeszcze, coś bardziej zagadkowego. Współczesny myślący Ikarczyk jest wystarczająco przytłoczony ogromem otaczającej go tajemnicy. Banalna prawda, że im więcej pragniemy wiedzieć, tym więcej piętrzymy przed sobą tajemnic, tu, na Ikarze, przybiera konkretną postać, z którą zderzamy się każdego dnia. W rzeczywistości bowiem nie robimy nic innego, jak tylko uczymy się, uczymy i konstatujemy, że właściwie niczego nie wiemy. Tkwi w tym jakaś anomalia, prowadząca niekiedy do psychicznej katastrofy, mój chłopcze. I wtedy może zacząć się proces odwrotny: instynktowna ucieczka przed nieznanym, to jest przed gromadzeniem wiedzy, w mitomanię, w jakąś nową religię, objaśniającą świat za pomocą prostych symboli i tabu. Religia zawęży krąg wiedzy, zarazem jednak wybawia od strasznego i wiecznego widma tajemnicy. Lotz zdaje się poszedł w tym kierunku. Były jeszcze inne sprawy, ale...

– Trudno mi uwierzyć – powiedziałem. Odważyłem się powiedzieć wprost, że jego wyjaśnienia brzmią dla mnie raczej jak maskowanie prawdy. – Tak jasny i potężny umysł.

– Ja także ani przez chwilę nie zwątpiłem w jego umysł – odparł ojciec.  
– Inni również. Chciałem powiedzieć: prorocy zawsze bywają mądrzejsi od naśladowców. I zawsze pozostają nie zrozumiani. Niebezpieczeństwo nie tkwiło w samym Lotzu, a w potrzebie, szczególnie u młodych Ikarczyków, posiadania religii i proroka. W rzeczywistości uczynili z niej realną siłę, dlatego odsunęliśmy go na określony czas. Zanosiło się niemal na bunt. I to akurat wtedy, gdy oczekiwały rozwiązania całkiem inne problemy. Ale, jak ci powiedziałem, jestem przekonany, że za sprawą Weroniki wszystko uładzi się.

Próby dowiedzenia się czegoś więcej od młodzieży, najbardziej przywiązanej do Variusa Lotza, napotykały mur milczenia – rezultat pewnych drastycznych pociągnięć ze strony koordynatorów. Byłem rozgoryczony, że nie uważają mnie za swego, lecz rozumiałem ich bunt przeciw systemowi tajemnic – naukowych i służbowych – przecież sam buntowałem się kiedyś przeciw niemu.

Rozumiałem także potrzebę szukania własnej drogi, różnej od drogi ojców. Lecz czy istniała taka droga dla Ikara? Niechęć młodzieży do odpowiedzenia na moje pytania kazała podejrzewać próbę ukrycia jakiejś własnej winy, zapomnienia tego, co się zdarzyło, co straciło swą wartość w obliczu nowych wydarzeń. Miast odpowiedzieć mi na niektóre pytania o przeszłość – spiesząc zatrzeć ją – wypytywali mnie. Opowiadali się za nowym. A nowym była Weronika. Ojciec miał rację: Weronika wywracała wszystko do góry nogami, przyciągając ku sobie myśli wszystkich Ikarczyków, uzdrawiając je, oczyszczając, budząc nowe nadzieje. Ikar kipiał w tych miesiącach radośnie podniecony, a zarazem trochę przestraszony.

I bardzo zatroskany, ponieważ dalsza droga Weroniki prowadziła ku miejscu grożącemu jej utratą. Odkryliśmy to, wyliczając i analizując jej dalszą marszrutę, by upewnić się, gdzie najdogodniej będzie ją dogonić. Była jeszcze w drodze ku gwiazdozbiorowi Esny – dokąd wyruszył Redstar, miała przejść jednak dosyć blisko największej skrajnej gwiazdy gwiazdozbioru, której grawitacja niewątpliwie „wystrzeli” ją pod innym kątem, i wtedy Weronika z nowym, wielkim przyspieszeniem skieruje się prosto ku podejrzanej czarnej plamce, którą wątpliwe, czy w innym przypadku równie szybko byśmy dostrzegli. Początkowo astrofizycy uznali ją za czarną dziurę bądź wariant gwiazdy w kolapsie, choć na ekranie teleskopowym przypominała małą ciemną chmurę. Nie śmieli nazwać jej czarną chmurą, ponieważ była przesadnie ciemna na ogólnie biorąc jasnym tle galaktycznego halo, poza tym była niewytłumaczalnie

mała, by mogła być zwykłym obłokiem gazowym czy pyłowym, bez wewnętrznego źródła promieniowania. Wciąż jeszcze znajdowaliśmy się zbyt daleko, by bez pomocy zwiadowców dowiedzieć się o niej czegoś więcej, poza tym nie wiedzieliśmy, czy przypadkiem Weronika nie jest odporna na podobne krótkotrwałe niebezpieczeństwo, potrafiąc dokonać korekty zaprogramowanego uprzednio kursu. Na razie i ona była daleko od czarnej zagadki, obawy astrofizyków wydały mi się więc przesadzone, obawy te jednak jeszcze raz potwierdzały jej rolę w prawdziwie zwrotnym momencie podróży Ikar.

Obojętne, czy była wytworem innej cywilizacji, czy sama stanowiła formę cywilizacji, swym pojawieniem się zmuszała ludzi do samookreślenia, miałem więc prawo triumfować, gdyż w parę miesięcy po moim powrocie Ikar stopniowo zaczął realizować moje niegdysiejsze wyobrażenia: zerwanie z Ziemią, szukanie własnej drogi i sposobu życia, jeśli rzeczywiście pragnie być pożyteczny. Nawet pierwszy koordynator przyznał to w rozmowie, nie tylko, by mi pochlebić.

Przypominał bardzo poprzednika, lecz mówił zupełnie inaczej. Choć z tą samą wojowniczością.

– Panie Balow, jestem przekonany, że przyszła ikarska cywilizacja wzniesie panu pomnik – powiedział, przyjmując mnie oficjalnie w swym domu, by oddać należne mi honory.

I jego dom urządzony był z tą samą niedbałością, jak dom poprzednika, nawet żona wydawała mi się żoną tamtego, tyle żenię oddaliła się natychmiast jak tamta, lecz towarzyszyła nam cały czas i od pierwszej chwili gapiała się na mnie z bezwstydnym i krępującym oddaniem.

– Nie, nie, proszę nie udawać skromnego! Mam na myśli nie tylko odkrycie Weroniki, chodzi o idee, które uprzednio posiał pan wśród młodzieży. Jesteśmy w swoim gronie i możemy powiedzieć sobie pewne rzeczy, choć nie dojrzały jeszcze do poddania ich pod publiczny osąd. I według mnie Ikar nie powinien wracać. W chwili gdy pojawiła się inna cywilizacja, w chwili kiedy udało się panu nawiązać kontakt z Weroniką, przeobraziliśmy się w awangardę ziemskiej cywilizacji. Wrócić oznaczałoby znów zawęzić jej granice. Poza tym byłoby to również niebezpieczne. Nie wiemy, jakiego to typu cywilizacja, jakie są jej zamiary, a dopóki tego nie sprawdzimy, nie mamy prawa sprowadzać jej, mniejsza o to, świadomie czy przymusowo na Ziemię, absorbować jej uwagi tylko sobą, prawda?

Przytaknąłem, lecz przy całym uznaniu dla jego prawości miałem straszną ochotę powiedzieć coś obraźliwego i pójść sobie. Nie zrobiłem

tego może dlatego, że byłem speszony, bo wcale nie cieszyłem się, że moje idee miały się urzeczywistnić. A on zapalał się coraz bardziej, stawał się coraz bardziej ujmujący i męski, i żona jego wybawiła mnie od swych spojrzeń, zakochując się ponownie we własnym mężu.

– Zdradzę panu pewną tajemnicę, panie Balow. Ekspedycja, z którą odleciał pański przyjaciel Redstar, w rzeczywistości bada pewien układ planetarny, odpowiedni do zasiedlenia. Tu w pobliżu powinniśmy osiąść, tu wbić słup graniczny i przygotować się na spotkanie z inną cywilizacją. Zresztą nie powinniśmy być egoistami, prawda? – roześmiał się przesadnie hałaśliwie. – Może i tej cywilizacji jesteśmy potrzebni, by mogła zakreślić swoje granice, ułatwmy jej spotkanie z nami...

– Tak, tak – bąkałem. – Ma pan rację! – I dziwiłem się wyrażeniom, których używał: awangarda, słupy graniczne, samookreślenie...

– Domyślaliśmy się, że przywiezie pan jakieś rewelacje. – Wypiął dumnie pierś, przypominając statwę ikarskiego astronawigatora. – Dlatego już wtedy wysłałem ekspedycję. Układ Esny jest najodpowiedniejszy. Ustabilizowany, spokojny, z pewnością niejedna z jej planet nadaje się do zaludnienia. A gdyby nawet było inaczej, przystosujemy je do życia. I zaludnimy ikarskimi dziećmi, ha, ha, ha...

Jego śmiech rozbrzmiewał w mych uszach jak seria ironicznych policzków.

Nie potrafiłem już ukryć zmieszania, a on zaczął na dodatek filozofować.

– Lubi pan historię? W tych dniach |znowu zająłem się historią ziemskich cywilizacji. Niech mi pan wierzy, panie Balow, to bardzo pouczające. Każda z cywilizacji kwitła, rozwijała się, wносиła swój udział, po czym następował wewnętrzny rozkład. Ale oto nadciągali barbarzyńcy, których przeznaczeniem było wchłonąć ją, a tym samym przedłużyć jej żywot. Dla starożytnego Greka,

Egipcjanina czy Bizantyjczyka niewyobrażalne było stwierdzenie: wasza cywilizacja umiera, ale oto przybyli barbarzyńcy i dadzą początek cywilizacji, która pewnego dnia także padnie ofiarą innych barbarzyńców, i tak w kółko, by nie dopuścić do końca świata. Czy można jednak powiedzieć, że na kresach którejs z cywilizacji, panie Balow, już czają się jacyś barbarzyńcy, oblizując się i tocząc swe noże. Z pewnością jest to stara, wysoko rozwinięta cywilizacja, wspaniała cywilizacja, czy i pan tak ją sobie wyobraża, panie Balow? My także przyczaimy się na jej granicach i pewnego dnia staniemy się jej kontynuacją...

Patrzyłem na urodziwego barbarzyńcę, który już oblizywał się i toczył

nóż, lecz znalazłem siły, by się opanować.

– Ale można założyć także coś przeciwnego! Ziemia utraciła swych barbarzyńców, gdy rozszerzyła własne granice do bezludnych obszarów za orbitą Plutona, i wysłała Ikara właśnie po to, by ich odszukał.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział z niezachwianą pewnością siebie. – Można również to założyć, po pierwsze, rzeczywiście jesteśmy nader młodą cywilizacją, po drugie, człowiek powinien być patriotą, nieprawdaż?

– Pana poprzednik – powiedziałem z łagodnością, z której byłem dumny – pana poprzednik bardzo pragnął wrócić na Ziemię.

– Stworzył pan sobie o nim mylne wyobrażenie, panie Balow – wódz barbarzyńców rozłożył ramiona. – On także, jak ja, jest tylko koordynatorem, niczym więcej, a koordynator zobowiązany jest reprezentować i bronić tendencji, jakie panują w dowodzonej przezeń załodze. Takie były wówczas czasy.

Przekona się pan, że kiedy wyjdzie z komory, a w tych dniach wyprowadzimy stamtąd wszystkich, ponieważ potrzeba będzie każdej pary rąk i każdego umysłu, przekona się pan, że i on będzie myślał tak samo jak my teraz, pan i ja.

Do dziś się dziwię, jak udało mi się powstrzymać, by nie powiedzieć, że nie myślę tak jak on, że wstrętna jest mi ta plebejsko utylitarna krzątanina wokół mojej Weroniki (czy nie byłem przypadkiem o nią zazdrosny?) i że śmieszają mnie ci arystokraci ducha, którzy do wczoraj wzdychali do powrotu, ponieważ arystokraci zawsze oglądają się wstecz, będąc arystokratami w związku z czymś, co minęło, by nie powiedzieć mu, że do łez rozśmieszają mnie ci Hidalczycy, którzy teraz gorączkowo zrzucają znoszone ubrania i już łapią za nóż, jak piraci z filmów historycznych, i szykują się, by wskoczyć na cudzy statek. Dziwię się, choć właściwie dobrze, że tego nie powiedziałem – z pewnością nie miałbym racji! To po prostu wielka mimikra ocalenia. Zresztą może istotnie jesteśmy barbarzyńcami, a jako barbarzyńcy – początkiem czegoś nowego?

To, że nie zdobyłem się na powiedzenie tego, jeszcze raz potwierdza, jak bardzo sam się zmieniłem. Weronika uczyniła mnie lepszym i bardziej wyrozumiałym wobec Ikarczyków, dzięki niej i jej sławnym, bezimiennym „jej i jemu” uświadomiłem sobie i odczułem wyraźniej swą przynależność do Ikara i do ludzkości... Gdyby jeszcze udało się jej choć trochę mnie wychować!



Wątpliwe bowiem, czy ktoś inny na Ikarze zdobyłby się na to, na co ja się poważylem: by skrycie podglądać ukochaną za pomocą wszelkich dostępnych radzie kontrolnej środków.

Varius Lotz z pewnością albo zapomniał, albo nie był w stanie dotrzymać swej obietnicy i nadużyłem jego zarządzenia o kontroli, chociaż utraciło już swoją moc prawną. Ukryte kamery śledziły Helianę nieustannie i wszędzie – nawet w sypialni, nawet w łazience. Ja zaś siedziałem przed ekranem kontrolnym w służbowym gabinecie i gapilem się ze słodką udręką. Czułem wyrzuty sumienia z powodu obrzydliwego procederu, lecz nie miałem sił, by go poniechać. Wytłumaczyłem sobie, że nie robię tego z powodu sypialni i łazienki, lecz żeby odkryć wreszcie, jak to możliwe, że mimo wszystko udaje się jej wymknąć systemowi kontroli. Tak, Heli potrafiła w określonych godzinach dnia, w najbardziej, można rzec, roboczych godzinach nagle zniknąć z mojego ekranu. Co robiła wtedy? Dokąd się udawała? Jak możliwe było takie zniknięcie bez śladu właśnie wtedy, gdy powinna była wykonać określoną pracę? I co to za miejsce na Ikarze, gdzie nie zainstalowano kamer i przekaźników systemu kontrolnego?

Heli poświęcała się pracy pedagogicznej. Rada astronawigatorów zaproponowała jej przygotowanie się do zajęcia miejsca Lionela Redstara, ale odparła, że nie chce, by jej zawód polegał na szpiegowaniu ludzi. A przecież z dziećmi także widywałem ją rzadko. Tylko od czasu do czasu spotykałem ją tu czy ówdzie, prowadzącą za sobą gromadkę maleństw – osobliwe małe istotki, niektóre dopiero stawiające pierwsze kroki, inne dziwnie rachityczne, ledwie trzymające się na nóżkach. Pokazywała im ten czy inny sektor Ikara, dzieci jednak w ogóle nie patrzyły na to, co im pokazywano – albo nic jeszcze nie rozumiały, albo były po prostu mało rozwinięte; wciąż próbowały albo przysiąść, albo położyć się przy niej jak chore kurczątko. Bardzo byłem ciekaw, co to za dzieci, przede wszystkim, kto jej je powierzył, skoro nie ma wymaganego wykształcenia medycznego. Może pod moją nieobecność... Zastanawiało mnie także, gdzie znika wraz z tymi dziećmi, ponieważ w określonych godzinach one również znikają wraz ze swą nauczycielką. Nie usiłowałem dociekać zbyt natarczywie, podejrzewając, że znów ocieram się o którąś ze służbowych czy sektorowych tajemnic, a nie odważyłem się zapytać kogoś, by się nie zdradzić. Zresztą godziny, w których znikala, wypełniało mi wykańczanie mojej pracy, przez co zyskiwałem wolny czas na obserwowanie jej przez

godzinę w łazience i przez godzinę w sypialni, zanim nie zasnęła.

Prawie nie wracałem do domu, usprawiedliwiając się przed Majolą ogromem zaległości w pracy, podwójnymi dyżurami z powodu nieobecności Loniego i spodziewałem się, że Terin wreszcie zażąda wyjaśnienia. W gabinecie przewodniczącego rady kontrolnej natychmiast zapalał się sygnał, jeśli ktoś włączył urządzenia obserwacyjne, lecz mój stary nauczyciel i szef nie wiadomo dlaczego dalej znosił moją nadgorliwość. Z pewnością i on pragnął rozszyfrować dziwne zachowanie Heliany Dolia-Moreni, która z tak obraźliwym lekceważeniem odmówiła pracy w radzie kontrolnej.

Majola Beni, podobnie jak Terin, także milczała. Przestała szukać mnie w wolnych chwilach, spędzając je nieodmiennie z małym Steriusem, który już dosyć donośnie – a według Majoli, także niezwykle melodyjnie – ogłaszał światu, że wyszedł z próbówki i stał się pełnoprawnym obywatelem Ikara. Wreszcie nie wytrzymała, powiedziała, ale jakby od niechcenia, nader ostrożnie, jakby bała się mnie urazić:

– Przykro mi, że nie stać cię na szczerą przynajmniej przed sobą.

– Co chcesz powiedzieć? – zawołałem ze ślepą wściekłością człowieka pragnącego ukryć winę.

– Wiesz dobrze. Jestem przekonana, że nie uważasz mnie za godną zostania matką twego dziecka. Przekonana jestem także, że nie masz zamiaru mścić się na mnie za to, że nie zaczekałam na ciebie ze Steriusem.

Tylko tyle powiedziała – uf, ta ikarska subtelność! – i natychmiast zniknęła, by uniknąć skandalu. Skandalu jednak nie będzie. Czyż mogłem nie szanować przynajmniej jej cierpienia i niedowierzania, dlaczego jej unikam, prawowitej małżonki, po tym, kiedy wreszcie przyznano mi to prawo, dla którego przedtem gotów byłem wznieść bunt? Niechcący, a może i świadomie zmuszając mnie do podjęcia decyzji, ta zadziwiająca kobieta znów po raz któryś z rzędu przyszła mi z pomocą. Rzeczywiście powinienem znaleźć siły, by zdobyć się na szczerą wobec siebie i innych!

Tego samego dnia włączyłem urządzenie kontrolne, by poszukać Heliany, po czym natychmiast wskoczyłem w pocisk pospieszny, który wypłuł mnie oszołomionego w ikarskim ogrodzie zoo-botanicznym. Ryzykowałem, że spotkam tam także matkę, która w tym czasie nie mogła być gdzie indziej. I oczywiście spotkałem.

Kłęcząca nad parą lwów przed ich małą jaskinią, przemawiając do nich i nie zauważałyby mnie, ponieważ próbowałem przejść na palcach, gdyby lew nie zawarczał na mnie. Z pewnością był o nią zazdrosny. Mama

podniosła się i stojąc teraz obok zwierząt wyglądała jak zjawisko ze starożytnej baśni. Była wciąż tak samo olśniewająco piękna mimo roboczego uniformu, jakby dopiero co wyszła z żurnala mody.

– Dwie królowe jednego króla – powiedziałem – nie wróżą nic dobrego. Jeszcze nie oskubała mu grzywy z twojego powodu?

Ale matka chciała wpierw zrealizować się jako matka, zanim wejdzie w rolę, z którą od dawna się pogodziła – przyjaciółki mej zazdrosnej złośliwości.

– Zenonie, znów muszę ci powiedzieć to samo: nie wyglądasz dobrze, mój chłopcze. Upłynęło już trochę czasu od twego powrotu, a jeszcze nie doszedłeś do siebie. Co ci jest? Oczywiście, podobna ekspedycja...

– To nie ekspedycja, mamó, to miłość.

– Miłość?

– Tak! Zakochałem się w Weronice i teraz nie mogę spać. Ale i twoje lwy podobnie jak ona wyglądają trochę sztucznie.

Spieszyłem się, żeby nie uciekła mi Heliana, a wypadało zamienić choć parę słów z matką. Już dość dawno oddaliłem się od obojga rodziców, lecz kiedy po powrocie bardzo zbliżyłem się do ojca, matka z pewnością cierpiała od nowa.

– Spokojnie, Cezar – powiedziała z roztargnioną czułością do lwa, który podejrzliwie podnosił głowę: jego małżonka nie zaszczyciła mnie nawet spojrzeniem. – Są prawie jak sztuczne. Przez tyle lat nie udało mi się uzyskać choćby jednych naturalnych urodzin zwierzęcia...

Ikarski ogród zoologiczno-botaniczny jest w rzeczywistości tysiąckroć większy, ponieważ zwierzęta i rośliny śpią w komorach anabiotycznych w oczekiwaniu na pobudzenie do nowego życia na odpowiedniej planecie. Wielkie są także rezerwy zamrożonych zarodków i kiedy Ikarczycy zdecydują się gdzieś osiaść, szybko wzbogacą swe środowisko naturalne zwierzętami i roślinami zgodnie ze swym gustem i wyborem. W ogrodzie zaś znajdują się okazy potrzebne selekcyjonom do pracy oraz dla rozrywki i do nauki dzieci ikarskich.

– Mamó – powiedziałem – dlaczego uznaliście, że ze wszystkich ziemskich drapieżników tylko lwy godne są zabrania w kosmos? Podpowiedziały wam to bajki i legendy? Mówiąc szczerze, ten leniwy i podskubany król zwierząt nie jest nawet sympatyczny. Osobiście...

Podjezwając znów jakiś podstęp, matka spiesznie przerwała mi pouczającym tonem – biedaczka zupełnie pozbawiona jest poczucia humoru:

– Drapieżniki są sanitariuszami przyrody, oczyszczają inne gatunki ze

sztuk słabych i chorych. Chcąc wyhodować na jakiejś planecie zwierzęta, nie możemy pozwolić sobie na wypuszczenie szybko rozmnażającego się i przesadnie drapieżnego zwierzęcia, ponieważ przeszkodziłoby to nam w pracy hodowlanej, naruszyło równowagę. Lew jest najodpowiedniejszy. Właśnie z racji swego lenistwa – żywi się raz na 3-4 dni, rozmnaża się wolno, obcuje z człowiekiem. Mamy również zarodki klonowe wielu drapieżników, dla większości rodzajów zwierząt mamy odpowiedniego drapieżnika.

– Tak jest – wszedłem w ton jej banalnych pouczeń. – Każdy rodzaj ma swego drapieżnika. Z wyjątkiem człowieka.

– A choroby? – zaoponowała, zauważywszy moje zniecierpliwienie.

– Choroby sami eliminujemy. Gdybym miał twój talent, mamó, całe życie poświęciłbym na wyhodowanie odpowiedniego drapieżnika dla człowieka.

Pięknego, mądrego, zręcznego, bezlitosnego drapieżcę...

– Dlaczego nie lubisz ludzi, Zenonie? – zapytała smutno matka.

– Przeciwnie – roześmiałem się. – Właśnie dlatego, że ich lubię! Przemyśl, mamó, problem drapieżnika, jeszcze nie jest za późno!

I uciekłem, by nie oglądać pięknego smutku w jej pięknych oczach. Pobiegnęłem aleją, której porowata miękkość przywierała do mych obcasów i powtarzałem w myśli: tak, tak, właśnie takiego drapieżnika, pięknego, mądrego, zręcznego, bezlitosnego, tak, tak, bezlitosnego... Z pewnością dlatego, by uciec instynktownie od myśli o czekającym spotkaniu. A w najgłębszych zakamarkach świadomości jak dokuczliwe swędzenie budziła się potrzeba, by stanąć oko w oko z jakimś prawdziwym drapieżnikiem i zmierzyć z nim swe siły! Strach przed nim uczyniłby mnie bardziej przebiegłym i bardziej zręcznym, uczyniłby mnie silniejszym, nie paraliżując tak moich trzewi. No bo... idź i wysilaj przebiegłość i pomysłowość stanąwszy przed długonogim drapieżnikiem, który umyka wzrokiem i tylko cicho warczy, a ty nie wiesz, w której chwili pokaże pazury!

Heliana wciąż jeszcze tkwiła wśród swojej dzieciarni na brzegu jeziora, niedaleko miejsca, w którym po raz pierwszy pocałowałem Majolę Beni. Tu odkryłem ją przed chwilą na ekranie i prostacka chęć pocałowania jej natychmiast kazała mi pędzić jak pocisk z megatonową siłą. Dzieci siedziały lub półyżwały i wyraźnie potrzebowały pielęgniarce, nie nauczycielki. Opowiadała im coś o jeziorze i jego mieszkańcach, ponieważ ręce jej opisywały płynne łuki nad wodą – jakby dyrygując życiem w niej. Nie wyczuła mojej obecności – wciąż jeszcze ja byłem

drapieżnikiem, czyhającym za drzewami, stającym bezgłośnie – mając ostatnią możliwość przyjrzenia się jej krytycznie: koścista, drobna sylwetka, ubiór trochę niestaranny i bez szczególnego smaku, chorobliwa bladość skóry, rzadkie popielatoszare włosy, spięte w tyle w prosty kok... Jakąż kobietą była w porównaniu z nią Majola! Jakąż nieprzebytą, pełną cudownych tajemnic galaktyką, zwaną pięknem kobiecego ciała, lecz kto powie mi, dlaczego nagle pragniemy opuścić naszą cudowną galaktykę, nie odkrywszy nawet jednej milionowej części jej tajemnic, by pomknąć na przykład ku Andromedzie lub choćby ku Małemu Obłokowi Magellana?

Ileż razy przyglądałem się krytycznie Helianie, bezkarnie, jak chyba żaden mężczyzna nie przyglądał się swej ukochanej – ale i teraz wszystko, co byłoby niedostatkami u innej kobiety, stanowiło nieodłączną część wabiącej mnie magii. Nie, nie była to zwyczajna siła odwiecznego męskiego pociągu, jeśli istnieje w ogóle taka zwyczajna siła, była to niesamowitość jakiejś nieledwie perwersji. Jak inaczej wytłumaczyć to, że w porównaniu nie tylko z Majolą, ale z każdą przelotnie znaną mi Ikarką, oceniając ją przesadnie krytycznie, tak że nawet piękno w niej wydawało mi się brzydkie, mimo wszystko pragnąłem jej coraz silniej? Moje niedoświadczenie zapewne odgrywało tutaj także pewną rolę – poznać jedną kobietę, nie oznacza jeszcze znajomości kobiet, w dużym stopniu oddziaływała tu chyba jednak magia mego snu na pokładzie R-19. Tak czy owak namiętność i czułość mieszały się we mnie, jak mieszają się proste składniki w gazie wybuchowym, i wcale nie miałem ochoty na żadne pytania i wyjaśnienia.

Przez chwilę czułem ból w sercu – sercu lekarza, nie zakochanego – z powodu maleństw wokół niej, których nie znałem, ponieważ zaczęły stawać na nóżki podczas mojej nieobecności. Z bliska – ekran mimo wszystko trochę upiększał – wydawały mi się teraz wręcz potworkowate. Bezkrwiste, rachityczne, o strasznie drobnych i kruchych szkielecikach, o oczach całkowicie pozbawionych głębi i blasku dziecięcej żywości. Nie było w nich nawet odrobiny ciekawości, a czy jest coś gorszego od dziecięcych oczu pozbawionych ciekawości? Osiemnaście par oczu, zauważywszy mnie od razu, skierowało się wolno ku mnie bez żadnego zainteresowania: nie domyśliły się nawet, by oznajmić nauczycielce o mej przyczajonej obecności. Dziwne, że rada kontrolna dopuściła do urodzenia takich dzieci – dziwiłem się wówczas, myśląc z bólem i sympatią, że z pewnością są także płodem jakiegoś genetycznego eksperymentu, równie żalostnego w rezultacie eksperymentu, jak ja sam.

– I pływają w wodzie, tak jak my pływamy w powietrzu – podniosła głos Heliana, ale wyczuwszy moją obecność, urwała i odwróciła się. Wszedłem z lasu z uczuciem, że stałem za drzewem, za którym stała niegdyś ona, gdy całowaliśmy się z jej nauczycielką muzyki – może z tym samym obrzydzeniem. Nad jeziorem przesuwają się ciemne cienie sztucznych obłoków, na przeciwległym nie istniejącym brzegu kołowały ptaki krążąc pod holograficznym słonecznym niebem. Jak mogły nie być obojętne oczy dzieci!

Zapomniawszy, że nie muszę stąpać na palcach, zrobiłem parę kroków, prosto ku pustce dziecięcych oczu i szczupłym plecóm Heliany, która znów odwróciła się do jeziora.

– Cześć – pozdrowiłem ją struchlały, już prawie pewien, że wszystko wokół jest nierzeczywiste, że sami jesteśmy jedynie kadrami wciąż odnawiającej się jak chmury i stada ptaków projekcji.

Odpowiedź jej była groźnym warknięciem małego rozjuszonego drapieżnika.

– Co robisz? – bardziej nieśmiało nie pytałem nigdy w życiu.

– Spaceruję z dziećmi.

Westchnąłem z ulgą, temat został znaleziony.

– Co to za dzieci, Heli? One są chore! Czy były niedawno badane?

Położyłem rękę na główce najbliższego maleństwa, które przed chwilą z niewiarygodnym wysiłkiem podniosło się z ziemi, ale cofnąłem ją ze wstrętem. Czaszka była tak miękka, że moje palce omal nie zapadły się w nią. Dotknąłem jej ostrożnie jeszcze raz – w końcu jestem lekarzem – i obmacałem główkę.

– Nie były – odparła Heliana i uważnie wpatrywała się w wodę, jakby każdej chwili mógł wyskoczyć stamtąd oczekiwany potwór.

– Kto z rady odpowiada za nie?

– Terin.

– Ho, ho, sam przewodniczący! Czy on obarczył cię tym obowiązkiem?

– A kto obarczył cię obowiązkiem nieustannego przepytywania mnie?

– Mniejsza o to! Ja tylko tak.

Boleśnie kąsało to zwierzątko. Miałem ochotę objąć kruche ramionka, ścisnąć tak, by pękły w moich rękach i wtedy odwrócić je ku sobie. Ale bałem się, bym nie objął holograficznego obrazu. Albo żeby nie ukąsiła mnie w rękę. Po prostu – bałem się. Nie wiedząc dokładnie czego. Ścierpły mi kolana, ponieważ ukląknąłem przed dzieckiem, które przed chwilą głaskałem. Mimo to nie udało mi się zajrzeć mu w twarz – tak

byłem wysoki, a tak drobniutkie było ono. Ująłem je pod bródkę. Nie, twarzyczka wcale nie była potworkowata – była nawet ładna, a mimo to malowało się na niej coś więcej niż dziwnego, trudnego do określenia, lecz bezspornie nienormalnego!

– Schizofrenik!

– Zostaw dziecko w spokoju! – odpowiedziała Heliana tonem, jakby mówiła: to ty jesteś schizofrenik!

A ja ucieszyłem się, zauważywszy nagle, że mimo swej niewytłumaczalnej opryskliwości mówiła do mnie z familiarnością, na jaką nie pozwoliła sobie wcześniej. Mówiła do mnie „ty”! Jak w tym cudownym śnie, kiedy miała sześć lat i szepnęła mi do ucha dziecięcymi usteczkami: „Zenku, ciebie najbardziej kocham!”

Ledwie wstałem, chwiejąc się na kościstych nogach. Miała rację matka – bardzo osłabłem w drodze powrotnej i powinienem wzmóc treningi. Starąłem się pokryć radosne zmieszanie.

– Te dzieci wcale mnie nie zachęcają. Otrzymałem prawo posiadania dziecka, a...

– Szukasz modelu? – zapytała ze zjadliwą ironią.

– Nie, matki dziecka!

Nie wiem, jak to wykrztusiłem, lecz Heliana skurczyła się przede mną jak pod silnym ciosem. Nie było odwrotu, nie pozostawało nic innego, jak szukać przebaczenia i wytłumaczenia w jej spojrzeniu, którego nie przestawała ukrywać. Podeszedłem bliżej. Położyłem ręce na jej ramionach. Nie, nie ręce, olbrzymie łapska w porównaniu z jej wątlymi ramionkami. Patrzyłem na nie i wstydziłem się ich w tej chwili, dygocąc wewnątrz od myśli – przecucia: jak może się jej spodobać toporny i brzydki dryblas, dwa razy wyższy od niej! Jej ramiona także drżały! Nie od razu to zauważyłem. Wyczuwszy to, zapomniałem o swych obawach i pomału, lecz nieustępliwie, pokonując ich opór, otoczyłem te drżące ramiona.

– Zostaw mnie – poprosiła. – Po prostu chcesz się zemścić na Majoli.

(Przekłete kobiety – czy wszystkie rozumują tak samo! Nawet Majola: jestem przekonana, że nie masz zamiaru mścić się... oczywiście tonem, który dowodzi, że myśli akurat odwrotnie).

Z pewnością musi być coś mrocznego w rozkoszy zadawania bólu i niszczenia, gdy rozpala się w nas namiętność. Nie pamiętam, kiedy objąłem tę kruchą i subtelną dziewczynę, lecz pamiętam, że pieszczoty moje przypominały wymierzanie kary, kiedy każde uderzenie wywołuje takie upojenie, że następne staje się jeszcze zacieklejsze. Nie pamiętam, po jakim czasie dosłyszałem płaczliwą prośbę:

– Proszę cię, proszę, słyszysz! Jesteś szalony! Przed dziećmi!

Z pewnością usłyszałem to dopiero wtedy, gdy poczułem, że poddała się, że nie ma w niej już oporu i że chcąc nie chcąc nagle odpowiada na moje pocałunki.

Odsunąłem ją trochę od siebie, aby złapać oddech i roześmiałem się.

– Nie szkodzi! Niech widzą, co to znaczy, kiedy mężczyzna mocno kocha, a kobieta mu nie wierzy.

Oczy dzieci były wciąż tymi samymi obojętnymi i zimnymi kryształami.

– Zresztą wcale ich nie interesujemy – dodałem, a zawsze obecny we mnie lekarz bojaźliwie odnotował, ależ to przypomina już czystą oligofrenię! Przecież nie są już tak małe, żeby nie wyczuć, co rozgrywa się przed nimi, już u trzylatków instynkt każe nadstawiać uszu i wytrzeszczać oczy na podobne sceny.

Heliana spoczywała nadal bezwolna w moich ramionach, potem podniosła rękę, żeby poprawić kok. W jej geście, bezgranicznie sympatycznym, było poczucie winy, które udzieliło się również mnie.

– Te dzieci martwią mnie – powiedziałem.

– Ty bardziej mnie martwisz – powiedziała z bezbronnym i pełnym winy uśmiechem, i nie mogłem oprzeć się pokusie wypicia do dna cudownego koktajlu subtelności, bezradności i winy.

Nie opierała się, usta jej z gotowością poddały się moim zachłannym ustom, lecz potem – z pewnością przesadziłem, nie zdając sobie sprawy, że moja klatka piersiowa nabiera, trzykrotnie więcej powietrza niż jej – zamachała rękami i nogami, nabrała powietrza i pięściami i kolanami odepchnęła się ode mnie. I wtedy stało się coś, co z początku bardzo nas przestraszyło.

Odpychając się od mojej piersi, poleciała do tyłu głową w dół, lecz miast upaść, ponieważ puściłem ją, uniosła się na wysokość jednego metra w powietrze i jak torpeda, wystrzelona z fal, uniosła się na plecach nad jeziorem, ponieważ staliśmy nad samą wodą. Podobny cud, choć nie z taką siłą, przytrafił się mnie jednak w odwrotnym kierunku. Poleciałem, wymachując rękami, aby nie upaść, i zastygłem w niewiarygodnej pozycji: stałem na czubkach pięt, nachylony pod kątem 45° i przy swoim wzroście z pewnością przypominałem ów starożytny cud architektury, którego nazwy już zapomniałem. W tej chwili zresztą zapomniałem nawet własnego imienia. Rozcapierzywszy ręce, wolno obróciłem się wokół swej prawie dwumetrowej osi, zawołałem „Heli, uważaj...”, ale nie przestawała odlatywać ode mnie coraz dalej nad jezioro, które było dość głębokie



z powodu naszych braci w rozumie – delfinów. Wreszcie zdołałem dotknąć ręką jakiegoś kamienia pod sobą, ale zamiast uspokoić swe roztrzęsione kończyny i rozsądzić, co robić, jeszcze silniej odbiłem się, przekręciwszy się teraz głową do przodu, instynktownie, może dlatego, że Heli znajdowała się nad jeziorem, zrobiłem nogą kilka płynnych ruchów i poleciałem ku koronie pobliskiego drzewa.

Zdołałem się go złapać, nie wykluwając sobie oczu gałęziami, wczepiony w nie, zawisłem jak gigantyczna szyszka i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, co się stało: nagle przestał działać system sztucznej grawitacji. Czasami, niezbyt często, lecz zawsze niespodzianie, odpowiedni oddział rady kontrolnej wyłączał ją na krótko, a potem oceniał gotowość Ikarzyków do sytuacji awaryjnych, sprawdzał, czy wszystko jest właściwie umocowane, czy nie ulegnie uszkodzeniu jakiś ważny dla życia system przy przechodzeniu w stan nieważkości. Tak czy owak, byłem zobowiązany natychmiast wrócić na swoje stanowisko służbowe, zwłaszcza gdyby wchodziła w grę powtórka. Nie popatrzyłem na zegarek, lecz jeśli system dotąd nie włączył się, wątpliwe, czy chodziło o uszkodzenie. Było prawie niemożliwe, aby obydwa systemy zawiodły jednocześnie.

Ten pogląd ostatecznie uspokoił mnie, lecz nie uczynił rozsądniejszym i nie wzbudził we mnie poczucia obowiązku służbowego. Chłopcęca radość śpiewała w mojej piersi, kiedy widziałem, jak moja dziewczyna młynkuje bezradnie zgrabnymi nogami i rękami w powietrzu, jak kieruje się ku powierzchni nabrzmiałego, jakby opuchniętego jeziora, wszystkimi swymi wodami gotowego podnieść się ku niej, i jak uczyniwszy jakiś prawidłowy ruch, w ostatniej chwili zawsze unikała niebezpiecznego zetknięcia. Obróciłem się ostrożnie, wsparłem obcasy w jedną z grubszych gałęzi, zsunąłem kolana i skoczyłem naprzód z wyciągniętymi przed siebie rękami. Pomogła mi triumfująca świadomość, że gdy teraz dogonię dziewczynę nad jeziorem i wezmę w ramiona, nie rozgniewa się, a skryje się w nich z bezgranicznie czarującą, drżącą, lękliwą gotowością.

Nie okazało się to łatwe. Zresztą sądzone mi było inną wziąć przedtem w ramiona. Mimo iż znałem dobrze reguły poruszania się w stanie nieważkości, ciało moje wciąż nie mogło przypomnieć sobie owej siły, jaką należało się posłużyć, przeleciałem więc obok Heliany z prędkością meteorytu. I kto wie, dokąd bym dotarł, z pewnością aż za nie istniejące trzciny, gdyby pośrodku jeziora nie wyskoczyła dokładnie przede mną delfinka Sonia. Moje wyciągnięte ręce uderzyły o nią, prześliznęły się po śliskiej obłości jej tułowia i objęły go instynktownie szukając oparcia.

Sonia walnęła mnie swym kaczym dziobem w ucho i wrzasnęła jak oszaląca ze strachu.

– Milcz – krzyknąłem, bo pękały mi bębenki w uszach. – Pierwszy raz? Czego się rozwrzeszczałaś?

Nie do zniesienia było utrzymać ją w objęciach, lecz nie śmiałem jeszcze jej puścić, ponieważ, niewiarygodnie silna, miotała się tak, że odrzuciłaby mnie aż do wysokiego ponad dwieście metrów sufitu – nieba nad jeziorem. I tak wierciliśmy się i miotali, jakbyśmy się mocowali, ona szukając sposobu, by wrócić do swego żywiołu, a ja czyhając na dogodną pozycję, by wykorzystać ją jak trampolinę i odbić się prosto ku Helianie. I nieustannie jej perswadowałem: – Soniu, Soniu, spokojnie, Soniu spokojnie, nie bój się... – a miałem zamiar dać jej kuksańca, ponieważ moje ucho płonęło i bolało jak naderwane od jej dzioba.

Wreszcie uspokoiła się, a usłyszawszy gwizd swego małżonka, który pospiesznie wystawił łeb nad wodę szukając jej, ale tkwił nad falą, jakby ktoś ciągnął go z tyłu za ogon i nie pozwalał mu wyjść. Sonia wykonała kilka sensowniejszych uderzeń płetwami, zajęła pozycję horyzontalną, zdołałem jej dosiąść, potem stanąć na niej, by odbić się w odwrotnym kierunku ku Heli. Po chwili usłyszałem za sobą plusk delfinki, która uderzona przeze mnie, udała się tam, dokąd chciała.

Heliana skręcała się ze śmiechu, z taką samą prędkością oddalając się ode mnie.

– Przestań się wiercić – zawołałem do niej. – Stój spokojnie! Znów przestraszyła się, lecz już zapierając się, bym mógł ją dogonić i ustawiając tak, by spódniczka nie odsłaniała zbyt wielu fragmentów jej ciała, których jeszcze nie miałem prawa widzieć.

– Sądziś, że to awaria? – zapytała, kiedy zbliżyłem się, i znowu przekoziołkowała, przesadziwszy w swym wstydzie, tym razem wręcz zawisając głową w dół. Sukienka, obsunąwszy się, odsłoniła pępek, który zakwitł jak ciekawskie oko nad brzegiem majteczek. Niemal przez łzy powiedziała ze śmiechem:

– Ojej! Albo pomóż mi, albo przynajmniej nie patrz!

Zacząłem się śmiać i o mało znów nie rozminąłem się z nią, straciwszy kontrolę nad swymi ruchami, lecz nie przestając zwalniać lotu przez przeciwne wymachy rąk, zdołałem dotknąć łydki jej prawej nogi. Zawirowaliśmy jednocześnie, jak przedtem ja z Sonią, przedstawiając z pewnością tak zabawny widok, że ryby w jeziorze musiały zanosić się śmiechem.

– Spokojnie – powtórzyłem, z odrobiną czułości, oczywiście. –

Spokojnie, nie ruszaj się, tylko nie ruszaj się – powtarzałem i zaciskałem zęby, by zdusić nieustanny śmiech, niemal spazmatycznie wstrząsający moim ciałem.

– No, oprzyj się o mnie, spokojnie, i teraz...

Przyciągając ją stopniowo ku sobie, sam z maksymalną ostrożnością naprężyłem nogi, by zająć bardziej stabilne położenie. Heliana wciąż jednak wisiała odwrócona, z nogami przy mojej twarzy, dlatego musiałem skoncentrować cały wysiłek, by jakoś ją odwrócić... i oczywiście znaleźć jej usta. Chociaż gotów byłem całować także jej nogi. Wreszcie udało mi się ułożyć dokładnie pod nią.

Moje ramiona oplotły jej obnażoną kibić i upojone jej ciepłem, pomału podniosły całą dziewczynę, delikatnie odwracając, jakby odwracały jakieś piórko, piękne barwne piórko, nieznanego ptaka. Oczy Heliany wolno zbliżyły się ku mnie, stając się coraz większe w swym dziewczęcym oczekiwaniu – przestraszu.

– Nie – zaszepotała. – Puść mnie, nie mogę tak leżeć na tobie...

– Nauczysz się – uśmiechnąłem się do niej jak zwycięzca. – Musisz się nauczyć. Właśnie tak, rozluźnij mięśnie, nic nie rób, znów gdzieś polecimy.

– Och, Zenku, proszę cię...

– Połóż się, kochanie, widzisz, jak dobrze! Nie ruszaj się, zostaw to mnie.

Ramiona moje przyciągały ją pomału, aż wreszcie całkiem ułożyła się na mojej piersi. Objęły ją – tak długie, że mogłyby dwa razy opasać jej szczupłą talię; przytuliłem ją tak, że czułem jej oddech na swych ustach.

– W porządku! Teraz możesz mnie już całować, ile chcesz – powiedziałem do niej, bezgranicznie wdzięczny nieważkości, która wraz z grawitacją odebrała mi także strach przed tą szaloną smarkulą.

– Ale ja... ja nie chcę cię całować – wyjąkała, usiłując przynajmniej twarz ustrzec przed niebezpieczną bliskością.

Ostrożnie przesunąłem jedną ręką po jej plecach, łapa moja dotknęła jej szyi i zacisnęła na niej delikatnie swe kleszcze, na najpiękniejszej, najbardziej w galaktyce kobiecej szyi, której później nigdy nie mogłem nacałować się do syta!

– Więc chociaż raz!

– Ani razu!

– Czy wiesz, że kiedyś sama mnie pocałowałaś?

– Wiem.

– Myślę nie o tym pocałunku przed chwilą.

– Wiem.

– Jak to, wiesz? To było we śnie, nikomu o tym nie mówiłem.

– Puść mnie, Zenku, proszę cię, nie wolno nam... – wyszarpała się znów, lecz jak zdoła wyrwać się z takich łap! Zresztą wyraźnie nie miała na to ochoty.

– Czy można wymyślić lepszą oprawę dla zaręczyn?

– To nie są żadne zaręczyny!

– Uspokój się, proszę, widzisz, jak dobrze leżeć tak i lecieć... Heli, słoneczko... będziemy tak krążyć jak dwa słońca, para słońc, nie jakieś tam sobie słońca, tylko jedno maleńkie, ale bardzo, bardzo gorące i potężne słońce, a obok niego długa, głupia planeta...

Wciąż jeszcze nie chciała przytulić swej twarzy do mojej, lecz przycisnąłem jej głowę do siebie i przytknąłem do policzka: pozostała tak, niema, nieruchoma, jakby do upojenia zasłuchana w głupstwa, które szeptałem jej do ucha. Wtedy właśnie pomyślałem, że prawdziwa rozkosz możliwa jest jedynie w stanie nieważkości, a także, że miłość i nieważkość to dwie siostry bliźniaczki. Choć pomyślałem również, czy nie są po prostu płodem mej pijanej szczęściem wyobraźni, i w pewnej chwili poczułem ukłucie niepokoju, czy znów nie śnię, jak wtedy, na statku, czy znów nie mam halucynacji...

Nie miałem halucynacji. Przekonałem się o tym w najbardziej brutalny i klasyczny, komediowy sposób. Jest takie ziemskie powiedzenie – oblać kogoś kubłem wody – oblało mnie całe jezioro!

Ogłupiony miłością (kto zresztą mądrzeje od niej), całkiem zapomniałem, że pierwszym moim zamiarem było, gdy dotrę do dziewczyny, wyciągnąć ją na brzeg, do lasu. A ci przy pulpicie sterowania systemem grawitacyjnym jakby czekali na chwilę, kiedy także usta Heliany spoczną wreszcie pokornie na moich, by włączyć go ponownie. Głupia planeta i jej słoneczko oderwały się od orbity rozkoszy i spadły z ogłuszającym pluskiem do wody.

Było blisko do brzegu, więc bez większego trudu wyniosłem oszołomioną od wypitej wody dziewczynę. Postawiłem ją na nogi, odrzuciłem do tyłu jej przyklepione do policzków włosy, uderzyłem w twarz i roześmiałem się. Nie, nic nie było w stanie zmącić mego szczęścia tego dnia! Byłem tylko ciekaw, co jeszcze nam się przytrafi, by uczynić nasze zaręczyny całkiem niezwykłymi.

– Kocham cię, Heli – powiedziałem, jakbym koniecznie musiał jej to wyznać właśnie w tej śmiesznej scenerii.

Heliana wypluła resztę wody, otarła dziecinne usta i prychnęła:

– Akurat! Kochasz mnie...

Gdyby dodała, jak niegdyś jej nauczycielka: nie, raczej szukasz we mnie nie wiadomo czego – z pewnością bym ją uderzył. Nic nie dodała. Krople wody na jej rzęsach błyszczały jak odległe gwiazdozbiory.

– Kocham cię. I ty także mnie kochasz – domagałem się natarczywie. – Powiedziałaś mi to kiedyś.

– Tak.

– Co tak?

– Powiedziałaś mi to już.

– Nie powiedziałaś. To było w tamtym śnie, o którym ci mówiłem.

– Tak.

– Co tak?

– To było wtedy.

– Skąd wiesz? Nie mówiłem ci tego.

Roześmiała się kokieteryjnie, zarazem speszona.

– Czy to możliwe, bym sama cię pocałowała, nie mówiąc, że cię kocham?

– Kpisz ze mnie! Naprawdę mi to powiedziałaś, nie żartuję!

– Wiem.

– Heli, powiedz mi to naprawdę!

– Dlaczego mam powtarzać? – odparła i przyglądała przylepioną do ciała spódniczkę.

Powtórzyłem ruchy jej rąk, lecz pospiesznie odepchnęła mnie, zawstydzona.

– Jesteś bardzo ładna!

– Nie jestem ładna.

– Jesteś! Powiedz: kocham cię!

– Już ci powiedziałam.

– Powiedz to na jawie.

– To było na jawie.

– Jak to?

– Jesteś naprawdę bezgranicznie głupią planetą! – zawołała i odwróciła się do mnie plecami.

– Heli – ruszyłem za nią, lecz nagle zatrzymałem się. – Heli, a dzieci? Gdzie są dzieci?

Poczułem chłód wody na plecach, chłód tak ciepłej przecież wody. Gdzie stan nieważkości rozproszył te bezradne maleństwa? A przecież Heli jest nauczycielką! Ani razu nie rozejrzała się za nimi.

– Nic im nie jest – odpowiedziała nauczycielka przez ramię. – Wróć.

Chodźmy się przebrać, przecież ty...

– Ale wróć!

– Nic im nie jest, powiedziałam ci. No, już! Ale dostanie ci się za to, że opuściłeś swój posterunek!

– Powiem im o naszych zaręczynach. Czy można przerwać takie zaręczyny?

Odwróciła się do mnie, jej ogromne oczy, wydając się jeszcze większe w drobniutkiej twarzy, popatrzyły na mnie tak, jakby oceniały, czy jestem zdolny to powiedzieć, potem pojawiła się w nich zaskakująca władczość.

– Z Majolą jednak sam załatwisz! I nie szukaj mnie, dopóki nie załatwisz tego z nią!

– Heli!

Ale nie zatrzymała się. Smukła, ciemna od wody sylwetka skryła się między drzewami, jak wtedy, gdy w tym miejscu obejmowałem jej nauczycielkę.

Zadałem sobie pytanie: czy nie mści się na swej nauczycielce? Wraz z tym pytaniem w moim szczęśliwym sercu zagnieździł się także nieunikniony niepokój. Teraz, kiedy opowiadam o moich zaręczynach z Helianą Dolia-Moreni, wydaje mi się, że już wtedy za ich czarującą komicznością czaił się tragiczny symbol.

## Dziwne dzieci Ikara

### 1

Jestem wystarczająco prózny, by ciągnąć w nieskończoność zajmowanie się własną osobą i przygodami sercowymi, lecz to, że jestem pierwszym człowiekiem urodzonym poza systemem słonecznym, stawia mnie niemal w sytuacji biblijnego pierwszego człowieka, zwanego Adamem, z którego dossier, oczywiście, nie mogłem się nie zapoznać. Wynika z niego, że Adam przyciągnął uwagę ludzkości przeszło dwa tysiące lat jedynie dla swej przygody z Ewą. Po wypędzeniu z raju i przeobrażeniu się w zwykłego męża i niestrudzonego wyrobnika nawet dla najbardziej fanatycznych chrześcijan przestał być interesujący, jakby wstydzili się, że podobnie nijaka osobowość dała początek rodzajowi ludzkiemu.

Zapewne z tych samych powodów Ikarczyków wcale nie oburzyło, że porzuciłem Majolę Beni i związałem się z Helianą, choć moje zaręczyny w żaden sposób nie zdołały sprawić, by zaoszczędzono mi „publicznego zrządzenia” z powodu niewykonania obowiązku służbowego. Uważali ją z pewnością za godniejszą Ewę – Heli była przecież pierwszą dziewczynką poczętą jak ja w sposób naturalny, drugim genetycznym eksperymentem na Ikarze. I możecie wierzyć: rzeczywiście była jakby stworzona z mego żebra!

Z Majolą „załatwiłem”. Właściwie, to ona załatwiła ze mną, dowiedziawszy się natychmiast, że rada kontrolna pozwoliła mi mieć dziecko nie przez wszczepienie klonu (oto jedyny przypadek, kiedy właśnie klonowanie stawało się niepożądane! Odtworzyłoby mnie bowiem wraz z moim antyspołecznym chromosomem Y, podczas gdy w przeciwnym wypadku istniało większe prawdopodobieństwo, że dziecko odziedziczy kod genetyczny mego genialnego ojca lub zalety mojej matki). Dowiedziawszy się jeszcze, że postanowiono, iż matką dziecka będzie Dolia-Moreni, Majola natychmiast wezwała mnie do siebie. Ubrała się tak, że w pierwszej chwili wydała mi się Majolą z moich dziecięcych marzeń. Chciała być piękna i dumna, była jednak zbyt impulsywna, by nie zdradzić swego cierpienia. Kosmetyki mojej matki także nie pomogły ukryć zszarzałej od cierpienia cery. Siedziałem, a ona stała i szukała mojego spojrzenia, w którym nie było jednak odpowiedzi.

– Zenonie – zaczęła łagodnie – już ci powiedziałam: jeśli chcesz się mścić, to jest to zemsta niesprawiedliwa i przesadnie okrutna.

Przemilczałam najważniejszą przyczynę, dla której nie poczekałam na ciebie z dzieckiem. Wierzyłam, że sam się domyślisz, jesteś w końcu lekarzem...

Tu zawiesiła na chwilę głos, ponieważ jednak nadal nie domyślałam się i nie zrobiłem najmniejszego kroku, by się domyślić, powiedziała z rozpaczliwą determinacją:

– Żadna kobieta nie jest skłonna obnosić się przed ukochanym ze swą starością. Przestraszyłam się, Zenku, że mało już zostało mi czasu, by zostać matką, dlatego... Oczywiście, jeśli wybrałeś inną, ponieważ wydają ci się zbyt stara, również nie mam prawa gniewać się na ciebie.

Zademonstrowała mi swe wspaniałe plecy, po których spływała czarna lawa włosów, i dodała głosem, który byłby w stanie stopić zapewne całą lodową planetę:

– To chciałam ci powiedzieć, że nie gniewam się i że... i że wcale nie musisz mnie opuszczać tylko dlatego, że wybrałeś inną na matkę swego dziecka.

Nie przestawałem milczeć. Wtedy podeszła do mnie, nieco teatralnie ujęła moją twarz w swoje dłonie, pocałowała mnie w czoło, w oczy, w usta i powiedziała:

– Życzę ci szczęścia, mój chłopcze. I wiedz, że zawsze możesz wrócić.

Siedziałem jak sparaliżowany, nie będąc w stanie zebrać myśli, dopiero przy ostatnich jej słowach jako echo usłyszałem w sobie głos Alka: „Nie ma powrotu dla astropilotów, bracie”. A niedługo potem miałem przekonać się jeszcze o czymś: że sam wygnałem się z miłosnego raju, by popaść w niewyobrażalne miłosne piekło.

Majola, górująca nade mną rozumem, talentem i doświadczeniem życiowym, zawsze gotowa mi się podporządkować, kochała mnie pogodzona z tym, że każdej chwili może mnie utracić. A ta smarkuła to traktowała mnie jak swoją własność, to demonstrowała doprowadzającą do pasji wyższość wobec wszystkiego i wszystkich. Nigdy nie przypuściłbym, że z zamkniętego w sobie, bojaźliwego i subtelnego stworzonka, jakie zostawiłem przed swym odlotem, wykluje się podobnie władczy uparciuch. Nie mogłem pojąć, jak Terin mógł mianować ją nauczycielką, tylko małżeńska solidarność powstrzymywała mnie przed wyrażeniem przynajmniej przed nim swego niepokoju o powierzone jej maleństwa. Przecież już Varius Lotz odkrył, że nie opanowała nawet minimum wiedzy w żadnej z obowiązujących Ikarczyków gałęzi nauki, a i teraz odmawiała uczenia się. Cokolwiek jej powiedziałem próbując pomału doksztalcać ją, odpowiadała: nie, nieprawda! Albo: nie znacie się



na tym. Czy też: wybacz, kochany, ale pozwól mi jako człowiekowi nie wierzyć zbytnio tym tępych elektronicznym mózgom. I stawiała mnie w niezręcznym położeniu obrońcy tego właśnie, przeciwko czemu buntował się mój duch – świata maszyn i naszej wiedzy, zdobytej dzięki nim, ponieważ nie było dla nas innego świata, lepszego czy gorszego. W nim i dzięki niemu żyliśmy, cokolwiek opowiadałby schizofreniczny „bóg” Alka z komory treningowej R-19. Reszta była chaosem, entropią wszechświata, a misją myślącej materii było widocznie w nieskończoność szukać jakiegoś porządku w tym chaosie.

Tak jak i ja szukałem jakiegoś ładu w uczuciowym chaosie przedziwnego miodowego miesiąca z Helianą Dolia-Moreni.

Zaczęło się już pod koniec pierwszego tygodnia – jakże wszystko powtarzało się po moim powrocie.

– Heli, nie kochasz mnie!

Z macierzyńską wyrozumiałością (skąd tak szybko ją sobie przyswoiła?) głaskała mnie po policzku.

– Ani razu nie powiedziałaś mi tego!

– Nawet dwa razy: kiedy smarowałeś moje kolano i na statku.

– Wciąż kpisz ze mnie!

Przeobrażała się w rozpieszczone dziecko, gotowe rozplakać się, bo jest nie zrozumiane.

– Wcale nie kpię. Bardzo cię proszę, uwierz mi raz na zawsze!

– Po prostu unikasz mnie!

Przytulała moją głowę do piersi. Były drobne, lecz w każdej jakby znajdowało się oddzielnie jedno wielkie serce – tak silnie pulsowały. Potrafiły także wzdychać. Pierwszy raz nic nie powiedziała. Drugim razem zapewniła wśród wzruszających westchnień:

– Nie chcę cię unikać, wierz mi, kochanie!

Trzecim razem próbowała się roześmiać:

– Miłość jest straszliwie nużąca!

– Zwłaszcza, gdy człowiek nie kocha – dodałem.

– Proszę, nie zaczynaj znowu.

– Kochasz bardziej swoich kretynek niż mnie!

– Jeśli jeszcze raz tak je nazwiesz, zostawię cię!

– Dobrze, powiedz zatem, dlaczego związałaś się ze mną! – przestraszyłem się, lecz wie odmówiłem sobie głupiego przekomarzania, co, zdaje się, stanowi nienasyconą namiętność wszystkich zakochanych.

– Powiedziałaś ci. Ponieważ jesteś inny.

– Tylko dlatego?

– Czy to mało? – śmiała się.

– Zatem dlaczego...

Znów zasłoniła mi dłonią usta, co otwierało nowe możliwości moim niesytym nigdy pieścizot ręką, lecz coraz częściej dostrzegałem, że przyjmuje je z przymusem. Tak wśród śmiechu i łez mijały nasze miłosne noce. A miłosne dni... Tych nie mieliśmy, ponieważ nie przestawała znikać jak przedtem w przepastnym labiryncie Ikara wraz ze swą dziatwą, o której nadal nic nie wiedziałem. Czasem tylko zakwitła na ekraniku mojego kieszonkowego poliwizora, szczęśliwie uśmiechnięta, i mówiła:

– Cześć kochanie! Jak tam moja rywalka, Weronika? Wyskubię jej włosy, żebyś wiedział! Całemu gwiazdozbiorowi wyskubię włosy z jej powodu!

Zapomniałem o niej, o mojej Weronice, w tym radosnym galimatiasie – tylko uczuciowym, oczywiście, ponieważ brałem nadal udział w przygotowaniach do ekspedycji. W końcu jednak zacząłem złościć się na radę astronawigatorów, która wciąż zwlekała z pozwoleniem na mój odlot. Dlatego wcale nie na żarty groziłem:

– Ucieknę do niej, zobaczysz! – przekonany, że Heli jest taka szczęśliwa właśnie dlatego, że znajduje się daleko ode mnie, w niewiadomym miejscu.

I następowała noc, podczas której znów czyniłem jej wyrzuty, aż wreszcie wydobyłem z niej wyznanie:

– No tak, masz rację, unikam cię.

Jeśli spotkało was podobne wyznanie, znacie jego smak. Wiecie, jak wszystko w was obraca się o 180°, teraz jednak nie dawałem temu wiary.

– Nie chcesz wiedzieć dlaczego? – zapytała, kiedy przez dłuższą chwilę czailiśmy się na siebie w ciemności.

– Z pewnością masz poważne powody...

Nieoczekiwanie włączyłaienne oświetlenie i wyskoczyła z łóżka rozkazując tak, jak tylko ona potrafi rozkazywać:

– Spójrz na mnie! Nie na twarz, spójrz na mnie inaczej!

Być może poczucie winy z powodu podglądania jej nie pozwoliło mi ani razu przyglądać się swej młodej małżonce, lecz teraz byłem wstrząśnięty jej postępkami, którego celu nie pojmowałem.

– Nic nie zrobiło na tobie wrażenia? – zapytała, obracając się nawet na piętach, bym mógł obejrzeć także jej tyłeczek.

– Jesteś ładna – westchnąłem pożądlive; nigdy nie dowie się, ile razy i jak długo ją oglądałem!

– Przyjmijmy, że tak jest, choć to nieprawda. A niczego innego nie

dostrzegasz?

Nie dostrzegałem. Tylko z nową mocą pragnąłem jej całej tym nieugaszonym pragnieniem, które każe ci się dziwić, co jeszcze będziesz w stanie zrobić dla ukochanej istoty. A piękną rzeczywiście trudno ją nazwać w porównaniu z innymi Ikarkami, które do ostatniej mogły być eksponatami w muzeum anatomicznym. Heliana po miesiącu małżeństwa podobną była wciąż bardziej do dziewczynki niż do kobiety. Jej niezwykle kruche ciało, ukształtowane jakby z innej, niemal przezroczystej materii, promieniowało jednak dla mnie niewymownym czarem właśnie przez swą niezwykłość form i proporcji.

– To porównaj mnie z sobą – domagała się już ze znużeniem. – Nic nie przychodzi ci do głowy? No spójrz na siebie, zwierzu, nie widzisz, że jestem dwukrotnie mniejsza od ciebie, że jesteś dziesięć razy silniejszy...

Byłem już przy niej i starałem się przytulić jej główkę całkiem delikatnie do mojej piersi i głaskać tak, żeby nie poczuła ciężaru mojej ręki.

– Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Mówiłam ci wiele razy.

– Nie zrozumiałem.

– Zbyt wielu rzeczy nie rozumiesz.

– Dlatego, że bardzo cię kocham...

Oczekiwałem, że przerwie mi: „I ja cię kocham, lecz...”, ale wciąż rozzłoszczona, wypaliła:

– Nie jestem dla ciebie Majolą Beni!

– Nie jesteś – zgodziłem się z nagłym rozdrażnieniem, które zdołałem jednak ukryć. – Właśnie dlatego cię kocham...

To udobruchało ją, lecz już wtedy, gdy przysiągłem sobie być dla niej jedynie czuły i miły, moje zmysły bez udziału mej woli przypomniały sobie Majolę Beni, porównały obie, i pozostały niezadowolone. Wystarczyło to, bym czuł się później zawsze niezadowolony i dręczył nas oboje. Nie minął miesiąc, kiedy znów zacząłem:

– Heli, uciekasz ode mnie także wewnątrz.

Tym razem zgodziła się od razu.

– To prawda. Najlepiej będzie, jeśli wrócisz do Majoli i przestaniesz mnie dręczyć, bo w końcu urodzę małego idiotę!

To kazało mi zamilknąć na pewien czas, potem zmienić temat, ponieważ mój paskudny charakter wciąż się buntował.

– Heli, ukrywasz coś przede mną. Przystałem na to, że twoja praca z dziećmi podlega tajemnicy, chociaż nie wiem, dlaczego aż tak ściśle.

Ikarczycy nie przestraszyliby się dziesięciu nienormalnych narodzin...  
Ale czuję, że to nie tylko to...

Podejrzewałem, że coś jeszcze ukrywa przede mną, coś może ważniejszego, ponieważ często dostrzegałem w niej zniecierpliwienie, by już udać się gdzieś, gdzie mnie nie wolno być – a kto wyrywa się tak do swej codziennej pracy, do której się przyzwyczył? W jej powrotach zaś było coś ze skruchy i winy. Rzuciła się ku mnie burzliwie od drzwi, szalała przez dziesięć minut wywracając do góry nogami nasz pokój, ale i w tej dziewczęcej spontaniczności odkrywałem chęć» zagłuszenia czegoś, zapomnienia i odwrócenia mojej uwagi. Nie chciałem temu wierzyć, ponieważ to banalne uczucie z pewnością draży wszystkich zakochanych – początkowo doświadczałem go także przy Majoli – lecz uczucie to przecież nie daje się podporządkować rozumowi!

– Heli, jeszcze coś ukrywasz przede mną.

– Tylko tajemnice służbowe – śmiała się i zaczynała skakać po nadmuchiwanym fotelach, które odrzucały ją jak piłkę. Była tak lekka, że jej skoki przypominały bezgrawitacyjne latanie nad jeziorem.

– Jesteś pewna?

– Tak, tajemnice ściśle strzeżone. Dlaczego właściwie mnie obrażasz? Czy nie mogę mieć tajemnic służbowych, czy zastrzeżone są tylko dla ciebie?

Oczywiście podobny ton nie był w stanie przekonać mnie, w końcu widać obrzydło jej to,” bo wyznała prawie z płaczem:

– Zenonie drogi, mniej litość! Brak mi nawet psychicznych sił do takiej miłości!

Najbliższy tydzień był moim najszcześniejszym z nią tygodniem. Były to także ostatnie nasze dni pod czystym i beztroskim niebem miłości. W każdym razie ja tak je przeżyłem. Zarazem jak wspinaczkę na najwyższy, najbardziej słoneczny szczyt – nie tamten w komorze treningowej – i z pewnością dlatego schodzenie z niego przekształciło się w karkołomne staczanie się po stokach bezdennej przepaści.

Nie wiem, jak inna kobieta przekazałaby podobną wieść mężowi. Heliana wpadła jak zwykle gwałtownie do gabinetu dyżurnego rady kontrolnej, rzuciła mi się na szyję i nie od razu zauważyłem, że wstrząsał nią nie dziewczęcy śmiech, lecz niepowstrzymany szloch. Długo niczego nie mogłem zrozumieć, ponieważ nie była w stanie odpowiedzieć na moje pytania, aż wreszcie całkiem straciła siły – wziąłem ją na ręce, by nie upadła – i wtedy zdołała wypowiedzieć cztery sensowne słowa:

– Nie będziemy mieli dziecka.

Potem uspokojona, wyczerpana, pojękiwała na kanapie, na której ją ułożyłem.

– Nie wiem. Jakaś niezgodność. Korina z sektora genetycznego ma ci wyjaśnić...

– Nie wiem. Najlepiej, byś wrócił do Majoli...

– Nie wiem. Pobrana komórka nie daje się w żaden sposób zapłodnić. Nie przyjęłaby podobno także przeszczepu obcego jądra...

Czyli nie tylko ze mną, ale z nikim innym, nawet przez klonowanie, nie będzie mogła mieć dzieci. Z egoistycznego punktu widzenia poczułem pewną satysfakcję, nie zdając sobie sprawy z tragedii przeżywanej przez Helianę. Pomyślałem tylko, że boi się, abym jej nie opuścił, dlatego powiedziałem.

– Heli, nie wybrałem cię z powodu dziecka. I nie odejdę od ciebie z tego powodu.

Popatrzyła na mnie, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, potem wydała stłumiony okrzyk – była to bezsilna rozpacz, bezsilny jęk, po którym zasnęła.

Nasze przebudzenie było przebudzeniem w innym świecie.

## 2

Korina zasypała mnie nic nie mówiącymi opowieściami: nader zagadkowa anomalia, właściwie poza nią nie skonstatowano żadnej innej choroby, analiza komórek wykazywała dziwne różnice nie tylko w układzie cytoplazmy, lecz także w zależnościach między skądinąd normalnymi związkami chemicznymi, w ogóle wszelkie różnice występowały na poziomie molekularnym i z pewnością z tego brała się ta zupełna niezgodność. Układ genów w podwójnej helisie w połówce komórki przedstawiał niezwykle obraz. Korina osobiście czuła się niewymownie szczęśliwa, ponieważ odkryła coś, co zdumiewająco zdaje się wskazywać na nieznaną enzym, gdyby był to rzeczywiście enzym... Proszę wybaczyć, kolego, ale jest pan również naukowcem i rozumie moją radość, która skądinąd może wydawać się potworna... W ogóle genetyczny obraz Heli jest niezwykle i... drogi kolego Balow, powiedziała mi jeszcze Korina, z normalnej mapy genetycznej zdołaliśmy dotąd odczytać nie więcej niż jedną piątą po całym wieku rewolucyjnego rozwoju biologii molekularnej, proszę więc nie mieć złudzeń, że będziemy w stanie powiedzieć coś sensownego o pańskiej sympatycznej małżonce! Proszę być wdzięcznym, że przy takiej mapie genetycznej podobna jest do

normalnego człowieka, co właściwie jest jeszcze bardziej niewytłumaczalne. Jeśli spróbujemy siedmio – ośmioletniej terapii, zgodnie z cyklem odnawiania się komórek... wie pan, iż w inżynierii genetycznej jesteśmy mocniejsi niż w teorii, ale zabroniła nam jakiegokolwiek ingerencji. Jeśli zdoła ją pan przekonać...

Nie zdołałem. Zresztą nie nalegałem. Koniec końców człowiek – to wszak jego kod genetyczny! A może właśnie dla tego nienormalnego kodu genetycznego z nieznanym enzymem tak bardzo kochałem swoją słoneczną dziewczynę?

Teraz kochałem w dwójnasób. I ona jakby bardziej mnie kochała lub raczej ja przestałem wątpić w jej miłość, uznawszy widocznie, że ze swą anomalią genetyczną może należeć tylko do mnie. W smutnym uniesieniu pograżyliśmy się na długo, jak w ciepłym i odurzającym obłoku gazowym, w naszą miłość.

Przytulaliśmy się do siebie, dwoje dziwnych dzieci Ikara, a nieszczęście nasze dziwnie przypominało szczęście. I z pewnością dzięki temu znajdowaliśmy siły, by zachować dumę wobec tych, którzy chcieli nam współczuć.

Nie było ich wielu, ponieważ sektor genetyczny tylko ze mną był tak rozmowny – podobna nowina, mogąca wzbudzić popłoch w mieszkańcach Ikara, nieuchronnie przepadała w otchłani sektorowych tajemnic służbowych. Ale za parę miesięcy wszyscy, którzy z ciekawością lub zainteresowaniem czekali, by przekonać się, jakiemu dziecku da życie człowiek ze zbędnym chromosomem, zauważą, że pewne miejsce w komorze porodowej wciąż stoi puste. I wtedy jeszcze raz uda mi się wywołać skandal. Powołanie do życia dziecka było bowiem nie tylko najwyższą nagrodą, lecz także najwyższym obowiązkiem, od którego nie masz prawa się uchylać. A ja nie chciałem dać życia dziecku, które nie byłoby również owocem duchowej więzi z kobietą. Nie, drodzy Ikarzycy, zamierzałem im powiedzieć, dosyć już eksperymentów!

Heli perswadowała mi od czasu do czasu, wtulona we mnie:

– Nie powinieneś wyrzekać się dziecka. Może mimo wszystko...

Nie wymieniała imienia, ja również go nie wymieniałem, odpowiadając:

– Ikar będzie szczęśliwszy bez mego dziecka, a ja nie będę bardziej szczęśliwy. – Lecz moja wstrętna wyobraźnia dostrzegła nawet zza upajającego obłoku naszego szczęścia wszystkie rozkoszne zakątki i okrągłości Majoli Beni, aby je przepędzić, spieszenie dodawałem:

– Mamy nie jedno dziecko, lecz osiemnaścioro...

– Kretynków – wzdrygała się Heli i wzdychała. – Och, nie wiesz, co to za dzieci!

– Jak mogę wiedzieć, skoro kryjesz je przede mną? – coraz częściej prowokowałem ją, nie z poprzedniej zazdrosnej ciekawości, lecz z rozbudzonej od częstych rozmów o dzieciach potrzeby, by zajmować się nimi, z przekonania, że wtedy byłbym jej prawdziwym mężem, gdybym dzielił także jej troskę o dzieci.

Lecz Heli milczała, a Terin dawno przerwał moją niegodziwą zabawę z systemem obserwacyjnym.

Heli nie miała odwagi naruszyć regulaminu, ale jakby przygotowywała mnie na coś.

– Musimy je naprawdę bardzo kochać, mój drogi! Nikt nie byłby w stanie kochać ich bardziej, nawet własni rodzice. Zresztą oni całkiem o nich już zapomnieli.

Przekonywała mnie, że domagała się od Terina dopuszczenia mnie do tajemnicy, ale nie wyrażał zgody, by zajmowano mnie tym teraz, gdy miałem przygotowywać się do ekspedycji ku Weronice. Ekspedycja została jednak odłożona, a przewodniczący rady kontrolnej widać uznał mnie już za dojrzałego do zostania ojcem dzieci, których istnienia większość Ikarczyków nawet nie podejrzewała. Ale jakby raz jeszcze chciał mnie wypróbować i nasza rozmowa, jak zawsze, zaczęła się oczywiście niefortunnie wskutek mojej nieuleczalnej nieufności do niego.

– Wiele spadło na ciebie – westchnął jak starzec na ekranie służbowego poli wizora, po równie niefortunnym wstępie. – Proszę przyjść na pogawędkę...

– Myli się pan – przerwałem mu ostro. – Nie potrzebuję pociechy, proszę mi wierzyć! Skoro ja mam o jeden chromosom więcej niż inni, dlaczego i moja żona nie miałyby mieć o jeden enzym więcej? Można mi nawet zazdrościć, pojąłem za żonę kobietę wyjątkową.

– Co do zazdrości, rzeczywiście zazdroszczę – roześmiał się, przejrzawszy mnie oczywiście na wylot. – Proszę jednak nie zapominać przy niej o Weronice.

– Nie zapomnę o Weronice, profesorze – pośpieszyłem z zapewnieniem. – Boję się jednak, by nie zapomniano o mnie, kiedy wyruszy ekspedycja.

Rzeczywiście niepokoiłem się, ponieważ słyszałem od astrofizyków, że podobno zostanie zmniejszona jej załoga.

Przewodniczący rady kontrolnej również jakby odmłodził, stał się ożywiony i bardziej rozmowny, otrząsnąwszy się z uprzedniego

melancholijnego nastroju. Weronika wywarła wpływ także na niego. Kiedy zaraz po powrocie poszedłem do niego zdać sprawę i, przyznawszy się szczerze do swej klęski, poprosiłem o wybaczenie obelg, które niegdyś wypowiedziałem pod jego adresem, jakby nie chciał być świadkiem mego upokorzenia.

– Chwileczkę, Zenonie, znów działasz pochopnie! Ten „bóg” twojego przyjaciela przecież nie plótl głupstw, prawda? Spotkałeś się ze swym patronem i odkryłeś jakąś nową prawdę. Czyż każde spotkanie z nową prawdą nie jest spotkaniem z jakimś nowym bogiem? A gdzie natykamy się na prawdy, gdzie odkrywamy je, obojętnie – przypadkowo czy poprzez świadome poszukiwanie, jeśli nie we wszechświecie własnego rozumu?

– Ale przecież pan wtedy nie zaakceptował prawdy Alka?! – rzekłem z niedowierzaniem i lekkim wzburzeniem, ponieważ po swej przygodzie w komorze treningowej niemal znienawidziłem Alkowego „boga”.

Terin uśmiechnął się z czarującym poczuciem winy, co wtedy przyjąłem jako wspaniałomyślne ustępstwo wobec mojej osoby, która zdążyła stać się w ostatnim czasie znamienitą personą.

– Prawdę mówiąc, mózg młodego astropilota wcale nie wydaje mi się wszechświatem, w którym można by natykać się na prawdy podobnego formatu...

Teraz, na ekranie służbowego poliwizora, Terin również uśmiechał się, lecz obcując z nim wiele lat znałem go dobrze i prawie bezbłędnie odgadywałem, kiedy ukrywa jakiś niepokój.

– Jesteś niestałym małżonkiem, Zenonie. Zatem byłbyś w stanie porzucić nawet najbardziej wyjątkową małżonkę dla Weroniki?

Zagapiłem się na ekran, lecz Terin umknął przed mym wzrokiem, wstrząśnięty zapewne ogromem zawartego w nim cierpienia. Powiedziałem:

– Heliana poleci ze mną.

Nie byłem w stanie jej zostawić, już nie. Niemożność związania się z nią przez dziecko nie wiadomo dlaczego jeszcze bardziej przywiązywała mnie do niej. Nawet kiedy moje myśli biegły frywolnie ku Majoli Beni, tym bardziej stawała mi się droga.

– Poleci ze mną! – powtórzyłem.

– A może najpierw wysłalibyśmy twoją matkę? – Terin próbował wrócić do dawnego żartobliwego tonu naszych rozmów. – Bo tak od razu cała rodzinka...

– Moja matka?

– Czyżbyś nie wiedział? Już niedługo. Druga ekspedycja na Esnę.



– Czy nie wystarczy jedna? – zapytałem, wciąż jeszcze przetrawiając nowinę. Doznawałem dziwnego uczucia, jakbym nigdy już nie miał zobaczyć matki.

– Tak liczna ekspedycja? Kogo zapytać – każdy na Esnę! Czyżbyście zamierzali osiąść na niej? Co zaszło nowego?

– Nie chciałeś przyjść na rozmowę, a teraz tyle pytań! A może wolisz, Zenonie, abym ja przyszedł?

– Ależ co znowu, zaraz przyjdę!

– Nie, nie – zdecydował nagle. – Proszę raczej czekać na mnie na waszym przystanku! Pójdziemy zobaczyć to, czego od dawna chcesz się dowiedzieć. Nie masz nic pilnego do zrobienia? Za pięć minut będę.

Zniknął z ekranu, a ja, niezwykle podniecony, nie domyśliłem się, żeby zapytać, dokąd pójdziemy, by zakodować informację w automatycznym sekretarzu na wypadek, gdyby mnie szukano – przecież mam dyżur! Cały płonąłem jak w gorączce, choć wiedziałem, że wprowadzi mnie w tajemnicę nienormalnych wychowanków mej żony, wątpliwe zaś, by okazało się to interesujące.

Jestem ciekawski, niech to diabli, jestem ciekawski jak dziecko i widać nigdy z tego nie wyrosnę! Zdyszany podałem sekretarzowi kod gabinetu Terina – jego sekretarz z pewnością wie, gdzie znajduje się szef – i zjawiłem się przy przystanku trzy minuty wcześniej.

By uspokoić nerwy, rozmyślałem przez te trzy minuty, czy rzeczywiście nie rozważa się problemu osiedlenia, skoro wysyła się na Esnę biologów selekcjonerów. Wątpię, czy wysyłano matkę w charakterze kosmetyczki. Dziwne jednak, dlaczego zatem nie udaje się z nimi także ojciec – wybór planety do zasiedlenia nie jest tylko problemem praktycznym... Podobne myśli nie były oczywiście w stanie mnie uspokoić.

– Czy osiedlenie się zostało postanowione? – zapytałem Terina, złapawszy go w windzie.

Ujął mnie pod rękę i wsparł się na mnie, jak podstarzały ojciec wsparłby się na synu.

– Choćbyś nie wiem jak gardził demokracją ikarską, Zenonie, ona mimo wszystko istnieje. Czy możliwe jest podjęcie podobnej decyzji bez powszechnej konsultacji? A na konsultację jeszcze za wcześnie, czekamy na ważne wyniki i... proszę trzymać kciuki, byśmy je otrzymali! A teraz przesiądziemy się do ósmej ekspresowej.

Wyczułem, że nie chce, by pytano go, czego oczekuje po ekspedycji, w której znajdował się także mój przyjaciel Loni Redstar. Nie wypadało

pytać także, dokąd zamierza zawieźć mnie ta ósma ekspresowa, z której, chyba nigdy nie korzystałem.

Dlatego powiedziałem:

– A mój ojciec?

– Jak całą waszą rodzinę, jego także cechuje małżeńska niewierność.

Bardzo nalegaliśmy, aby wziął udział, lecz wolał Weronikę, mimo że rada astronawigatorów odłożyła tę ekspedycję.

– Na jak długo? – zaniepokoiłem się. – Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że Weronika...

– Nie, nie na długo, najpierw musimy wysłać tamtą. Brakuje personelu przygotowawczego, mimo iż wyciągnęliśmy z komór wszystkich techników.

Dla lepszej orientacji linie ekspresowe odróżniają się kolorem kabin. Ósma wyłożona była bladoniebieskimi, romboidalnymi puszystymi poduszczkami. Fotele z pasami bezpieczeństwa były ciemnoniebieskie z dyskretnym czarno-niebieskim deseniem. Wątpliwe jednak, czy korzystający z linii ekspresowych interesują się wystrojem swych kabin. Ja sam starałem się przede wszystkim dostrzec, jaki kod wybiera Terin, on zaś jakby odgadł mój zamiar. Stał tak, że miał maleńkiej tablicy rozdzielczej widziałem tylko jego plecy, tkwił tak kilka sekund, a prawą ręką wyraźnie wybierał kod urządzenia programującego. Potem usiadł i zapiął pas na piersi. Zrobiłem to samo, dziwiąc się, dlaczego jeszcze nie ruszamy, a Terin poczekał, aż skończę, i wtedy ponownie wyciągnął swój kościsty palec i nacisnął klawisz oznaczony dwójką. Pozostawił jedynie ostatnią cyfrę do czasu, aż usiadziemy, a to ostatecznie przekonało mnie, że pragnął – i zdołał – ukryć przede mną, na której stacji wysiadziemy. Roześmiałem się nerwowo:

– Wielka tajemnica!

– Jedna z największych, Zenonie – odparł. – Dlatego tak wahałem się, czy ją ci zdradzić. Domyślasz się przecież, że nie biorę cię na przejażdżkę? To, czego się dowiesz, będzie wymagało od ciebie określonego uczestnictwa. Nie od razu, oczywiście, lecz...

Ósma ekspresowa, skróciwszy drastycznie fazę przyspieszenia, wcisnęła nas, niemal pozbawiając tchu, w niebieskie fotele. Terin wybrał największą prędkość, mimo to jechaliśmy długo, tak że ponownie zdażyły się rozpalić we mnie ciekawość i niepokój.

Wychodząc z kabiny, zatoczyliśmy się na jakimś pustym, nieprzytulnym przystanku. Jego mury nie były nawet oblicowane, wygładzono jedynie czerwonawą skałę, co kazało podejrzewać, że przystanek powstał niedawno i pośpiesznie, i znajduje się bardzo blisko powierzchni dzielnego Hidalgo. O tym samym świadczyła także niezwykle słaba grawitacja. Albo to dziwne miejsce było specjalnie izolowane od ogólnego systemu grawitacyjnego, albo też bardzo oddalone od centrum. Poruszaliśmy się jak na poduszce powietrznej i niemal uderzyliśmy w jedyne drzwi, znajdujące się na przystanku. To, że były opancerzone i hermetyzowane, nie zdziwiło mnie, taka była większość drzwi na Ikarze, zdziwiło mnie jedynie, że Terin nie sięgnął ku nim, by je otworzyć. Oparł się o nie, nabrał powietrza i powiedział nagle niższy głos:

– Wpierw popatrzmy przez wizjery. Potem będziesz zadawał pytania, a ja będę wyjaśniał, jeśli w ogóle będę w stanie coś wyjaśnić.

Dopiero teraz dostrzegłem dwie pary miniaturowych okularów po obu stronach drzwi, lecz przytknąwszy oko do lewego, zauważyłem, że były zwykłymi wizjerami, choć o dosyć szerokich ogniskowych, co pozwalało widzieć dobrze obszerne pomieszczenie. Z pewnością nie było sprawą przypadku wykorzystanie takich właśnie prymitywnych środków obserwacji, lecz kiedy przytknąłem oczy do lewej pary okularów, przestałem myśleć o czymkolwiek. Za czerwonawą skałą znajdowała się Heliana.

Jej osiemnastu wychowanków – najstarszy miał sześć lat, najmniejszy dwa i pół roku – siedziało po prostu na gołej ziemi i oglądało jakiś film.

Pomieszczenie, tak jak i przystanek przed nim, było niezwykle proste, o podobnie topornie ociosanych ścianach. Tylko na przeciwległej ścianie widać było kilkoro drzwiczek wbudowanych szafek.

Podobnego pomieszczenia na Ikarze, gdzie wszystko wypełnione było meblami i instalacjami, nie widziałem w życiu, a jego niestaranne wykończenie było wręcz zagadkowe. Nawet aparat projekcyjny nie należał do tego pomieszczenia, lecz sterczał pośrodku na przENOŚnym statywie, ekran zaś stanowił jedynie wygładzony i pomalowany fragment muru. Dzieci patrzyły na film ze znaną mi apatią, podczas gdy we mnie drżał każdy nerw, kiedy poznałem drogi każdemu, setki razy oglądany przez wszystkich, epos filmowy o budowie i starcie Ikara.

– Szkoda, że nie mamy podobnych filmów o narodzinach Ziemi – odezwał się cicho, aby nie naruszyć jakiegoś regulaminu.

– Rzeczywiście, szkoda – roześmiał się Terin, ale zaraz sprostował –

choć bez filmu chyba lepiej. Wątpię, czy byłoby ciekawie żyć...

Nie zniżył tym razem głosu i zrozumiałem, że przed chwilą uczynił to instynktownie, że nie było specjalnej potrzeby kryć naszej obecności – ściany i opancerzone drzwi konspirowały ją skutecznie.

– Czy wciąż jeszcze życie jest dla ciebie interesujące?

Heliana stała za aparatem projekcyjnym i prowadziła rozmowę ze swym kieszonkowym poli wizorem. Na jego ekraniku nie migał jednak żaden obraz, z pewnością sprawdzała coś ustnie w kolektorach lub rozmawiała z kimś, kto również jak ja nie miał prawa wiedzieć, gdzie znajduje się jego rozmówcy.

Ból, już przytępiony, znów odezwał się z taką mocą, że musiałem rozmasować mięśnie w okolicy serca; czy jest coś smutniejszego i boleśniejszego niż Adam i Ewa, którym nie sędzone jest dać początku żadnemu rodowi ludzkiemu? A tak kochałem tę swoją małą Ewę, wygnaną nie tylko z raju kobiecego szczęścia, ale jakby nawet z luksusowej przytulności Ikaru, do tego przerażająco pustego pokoju! Wydawała mi się słabą, bezbronną sierotą, desperacko dumną jednak z naszego wspólnego nieszczęścia. Miałem ochotę zawołać do niej przez okular:

Kocham cię, Heli! Wiedz, że zawsze będę cię kochał, że w tej chwili kocham cię bardziej niż przedtem, że potem będę kochać cię jeszcze mocniej... A ona jakby dosłyszała, bo podniosła twarz, spojrzała prosto na mnie i uśmiechnęła się.

– Tak, Zenonie – odpowiadał Terin na zapomniane już przeze mnie pytanie, a jego słowa ledwo do mnie docierały, ponieważ rozmawiałem ze swoją dziewczyną – teraz znów wydaje mi się bardzo interesujące, i wszystkim na Ikarze również, a stanie się jeszcze bardziej interesujące, przekonasz się...

Przemawiał do mnie jak do dziecka, w rzeczywistości brało się to z prostodusznej zdolności do zachwycania się wszystkim jak dziecko.

– Czy życie może nie być interesujące, gdy uśmiecha się do niego taka dziewczyna? Na twoim miejscu także nie wróciłbym do Majoli Beni – dodał jeszcze ten niezwykle starzec, bezbłędnie odgadłszy moje myśli i nastrój, jawnie agitując mnie tym samym do pozostania przy Heli, by obarczyć mnie częścią odpowiedzialności za nienormalne dzieci. – Proszę uważać teraz, Zenonie, włączam także aparaturę podsłuchową. Ponieważ odbiór jest bezpośredni, proszę zachować ciszę dla uniknięcia jakichkolwiek zakłóceń magnetycznych.

Nie zauważyłem, kiedy i jak ją włączył, ponieważ moje oczy nie mogły

oderwać się od miękkiej oprawy wizjerów. Heli spojrzała na chronometr na swej szczupłej ręce i ponownie uśmiechnęła się do nas – z pewnością wiedziała, że znajdujemy się za drzwiami, po czym zatrzymała projekcję, i głośnik, którego mile znajomy głos zdołałem dosłyszeć, urwał w pół zdania. Heli powiedziała cienkim i melodyjnym głosikiem:

– Ta historia jest długa, dzieci, jeszcze nieraz będziemy ją oglądać, aż nauczymy się jej całej...

Dzieci jednak wyraźnie nie miały ochoty jej poznawać, ich twarzyczki bez wyrazu zwrócone były ku swej nauczycielce z nadzieją na coś innego.

– A teraz możecie odpocząć...

Gdzie będą odpoczywać i bawić się – w tym pustym pomieszczeniu – pomyślałem. Jak mogli wepchnąć do podobnej nory tyle chorych i wyraźnie potrzebujących słońca i przestrzeni istotek? One jednak nagle ożywiły się.

Takimi nie widziałem ich nigdy: na bezkrwistych policzkach wykwitły rumieńce radości, oligofreniczne oczka promieniały. Heliana dodała:

– Pospacerujcie sobie!

Wstawiła aparat projekcyjny i statyw do szafek w ścianie, a gdy otwarła jedną z nich, dostrzegłem, że jest również opancerzona i hermetyzowaną.

Chowając aparaturę, Heli mówiła do dzieci:

– Zanim wyjdę, muszę wpierw dobrze zamknąć drzwi, prawda? Erki, jak zawsze odpowiadasz za wszystko, uważaj na maluchy...

– Jak długo, Heli? – zapytał Erki, największy chłopiec, który z taką gotowością poderwał się na dźwięk swego imienia, że odbił się od podłogi, wzbil na jakieś półtora metra w górę i powoli opadł z powrotem jak piórko.

Jak piórko ptaka – mojego wypędzonego rajskiego ptaka – przybiegła ku nam także Heli, a gdy usłyszałem ją odpowiadającą: „Za pół godziny”, oderwałem się od wizjera, by spojrzeć pytająco na Terina.

Nakazał mi dalej obserwować i posłuchałem go, mimo że Heli otwarła drzwi i stanęła przy mnie. Poczulem na ramieniu dotyk jej ręki, odwróciłem błyskawicznie ku niej głowę, by odpowiedzieć na jej uśmiech, i zaraz powróciłem do okularów, ponieważ w środku działo się coś zdumiewającego.

Podrzucane przez brak ciężenia dzieci podskakiwały jak piłki i ściągały z siebie z radosną niecierpliwością koszulki i spodenki. (Ale przecież kazano im iść na spacer?) Z nie podejrzaną chyżością biegly całkiem nagusieńkie ku szafkom w ścianie i chowały swoje ubranka, starannie

złożone, na najniższej półce. Gdy już ostatnie dziecko było rozebrane, Erki, który pomagał najmłodszemu, zamknął dobrze drzwiczki szafek i sprawdził ich hermetyzację, przesuwając cienkim paluszkim po krawędzi zamknięcia – zabieg równie naiwny, co niepotrzebny, ponieważ drzwiczki miały urządzenia zasysające i wystarczyło dokręcić ich uchwyty. W tym czasie za jego plecami naga dzieciarnia ustawiała się w zabawny i zagadkowy sposób: maluchy wyciągały rączki, wykonywały obrót tak, by wyciągniętymi ramionkami nie dotknąć swych sąsiadów, stawały w centrum tego okręgu o średnicy około półtora metra, potem kładły się wprost na gołej kamiennej posadzce. Sprawdziwszy wszystkie szafki, Erki ruszył między rzędami dzieci sprawdzić, czy są oddzielone wystarczająco jedno od drugiego, tu i ówdzie przesuwając je. Nie, wcale nie wydawały się już potworkowate te malutkie dziewczynki i chłopcy! Miały prawidłowe proporcje, lecz ciała ich były tak szczupłutkie, tak sino przezrocyste, że rozrzucone teraz na podłodze przeraźliwie przypominały trupki zmarłych z głodu dzieci. Oderwałem oczy, by wyrazić Heli swoje zdumienie, odgadłszy to, dotknęła dłonią mojej głowy, odwracając ją delikatnie znów ku wizjerom.

Erki skończył swój obchód dokładnie tam, gdzie na lewo od mojego punktu obserwacyjnego w ścianie dojrzałem kwadratową metalową płytkę. Okazało się, że pod nią znajduje się wyłącznik oświetlenia. Pod palcami chłopca napięcie światła mocno zmalało, lecz światło nie zgasło całkowicie, wskutek czego leżące na ziemi dzieci całkiem upodobniły się do nieżywych.

Podczas gdy spojrzeniem śledziłem Erkiego, szukającego sobie miejsca do położenia się, w pomieszczeniu nastąpiła jeszcze jedna zmiana, której istotę nie od razu udało mi się określić, ponieważ dostrzegłem ją późno, przeoczywszy jej początek.

W przeciwległym kącie ciemność nagle zagęściła się bardziej, choć nierównomiernie, jakby powietrze rozszczepiło się na oddzielne czarne obłoczki. Obłoczki wirowały, zarazem płynnie opadając ku podłodze, dokładnie nad nie wiadomo jakim sposobem rozświetlone jak rozżarzony metal ciała dzieci. Różowy blask szybko jednak gasł pod opadającymi obłoczkami, a ciała pokrywały się jakby ponownie szarym, a potem czarnym popiołem, w końcu widoczne były już tylko same obłoczki.

Ponieważ działo się to w osiemnastu miejscach i dosyć chaotycznie, spojrzenie moje biegało od jednego dziecka do drugiego, nie mogąc ogarnąć w całości ani jednego z zachodzących zagadkowych zjawisk. Gdy wracało do dopiero co obserwowanego golaska, leżał tam już tylko czarny,

zdumiewająco nieprzejrzysty obłoczek. Jednocześnie bębenki w uszach pękały mi od nie mniej dziwnych trzasków i wybuchów, niezbyt silnych, lecz przypominających szum deszczu kosmicznego w antenie radioteleskopu, albo trzaskanie stygnącego metalu.

Ostatni znikł pod swym obłokiem po równie krótkiej fazie poróżwienia nagi Erki. W pomieszczeniu zapanował całkowity mrok, nie trwał jednak dłużej niż pół sekundy, po czym ponownie rozbłysło poprzednie blade rozproszone światło. A po następnej krótkiej chwili, w równie tajemniczy sposób, przekształciło się w zwyczajne dzienne oświetlenie. Wtedy zobaczyłem, że wewnątrz nie tylko nie było żadnych czarnych obłoków, lecz nie było także dzieci. Ani jednego! Pomieszczenie wypełniło olśniewające światło i ogłuszająca cisza – trzaski zniknęły wraz z opadłym na Erkiego obłokiem, ale ja pełen byłem mistycznego przerażenia, podejrzewając, że dzieci zostały poddane zabójczemu napromieniowaniu, ponieważ przestronna sala, zaludniona nimi przed chwilą, wydawała się teraz absolutnie sterylna, opróżniona ze wszelkiego życia: ani, jednego wirusa zdawało się nie być wśród sześciu ścian. Czekałem, czy nie zdarzy się coś jeszcze, nic więcej jednak się nie zdarzyło i z trudem wyprostowałem zdrętwiałe od nachylania się plecy – wysokość okularów nie była przystosowana do mojego wybujałego wzrostu.

Terin również wyprostował się obok swego punktu obserwacyjnego i westchnął patetycznie:

– Teraz, Zenonie, masz pół godziny na zadawanie pytań. – Potem przemówił szybko, z jakąś dobroduszną ironią.

– Dla zaoszczędzenia czasu odpowiadam od razu na te, od których z pewnością zaczniesz. Gdzie są dzieci – nie wiem! Heli również nie wie. Czy wrócą – wrócą po wyznaczonym czasie. Jak to się dzieje – nie wiem. I nikt na Ikarze nie wie. Ale może także tobie proces ten wyda się podobny do akumulowania temperatury otaczającej przestrzeni podczas gwałtownego przechodzenia w inny stan. Co stało się w środku – jedyne, co zarejestrowaliśmy, to to, że temperatura w miejscu, skąd znika ciało, obniża się niemal błyskawicznie do trzech stopni w skali absolutnej. A jak wiesz, jest to temperatura relikтового promieniowania kosmicznego. Przedtem w sali panowała normalna stała temperatura – około 225 stopni Kelvina. I to wszystko. Teraz możesz już pytać. Heli również jest do twojej dyspozycji. Zresztą, zapomniałem – oświetlenie pod koniec włączyłem ja tutaj, a trzaski, które słyszałeś, pochodzą od gwałtownego stygnięcia ścian.

Podniosłem rękę, nieprzyjemnie lekkie wskutek zmniejszonej grawitacji, by przetrzeć zmoczone od wyteżonego wpatrywania się oczy. Dopiero potem spojrzałem na małą tablicę rozdzielczą, którą wskazywał Terin. Znajdowała się obok jego wizjerów i tam widocznie włączył przed chwilą aparaturę podsłuchową. Wreszcie spojrzałem na Helianę. Promieniała naprzeciw mnie, szczęśliwa, że wreszcie uwalnia się od przymusu ukrywania przede mną swej tajemnicy.

Lecz... o co ją zapytać? Terin uśmiechał się do mnie, a jego uśmiech w ten sam kpiarski sposób zdawał się mówić: O cokolwiek byś pytał, nic więcej nie jestem w stanie ci powiedzieć... O co go pytać?

– Poza tym wszystko w porządku, Heli? – uprzedził mnie.

– Normalnie. Dzieci nie poczuły, że są obserwowane. Nie ma zmian w ich stanie...

Oboje wszczęli rzeczową rozmowę, zapewne, by dać mi możliwość oprzytomnienia.

– Ostatni test...

– To jakaś sztuczka? – przerwałem ze złością.

Heliana nachmurzyła się, a Terin uniósł brwi zdumiony.

– Przepraszam – powiedziałem – ale jeszcze nie wiem, w co wierzyć, a w co nie.

Przyłgnałem ponownie do okularów – obszerna sala nie przestawała być przeraźliwie pusta. Jedyne drzwi obok mnie nie naruszyły swej hermetyczności.

Ściany błyszcząły jak polerowane i była to prawdziwie lodowa glazura.

– Jaka jest obecnie temperatura? – zapytałem tylko po to, by udowodnić, że nie zapomniałem języka w gębie.

– Temperatura ścian znacząco się podniosła – odparł Terin. – Jak widzisz, usuwamy wszystko, co mogłoby zostać uszkodzone. Ściany również podlegają bardzo szybko erozji, tak że od czasu do czasu usuwamy naruszoną warstwę.

Dzieci robią to również ubrane, ale potem z ich ubranek nie pozostaje nic, więc...

– Podczas powrotu... – przerwałem mu. – Chcę wiedzieć, czy występuje wyzwolenie energii, gdy dzieci...

– Dokładnie odwrotny proces. Jakby po prostu zwracały tę samą ilość ciepła, jaką pobrały. Różnica zaledwie kilku stopni.

– Co opowiadają dzieci?

– Nic. Mnie nic. Rozmawiają jedynie z Heli.

Aha, dlatego wprowadzał mnie w tajemnicę. Miał nadzieję, że obok



żony mógłbym skuteczniej uczestniczyć w rozszyfrowaniu misterium. Jeśli nie była to mimo wszystko jakaś sztuczka, było to prawdziwe misterium. Jeszcze nie wiedziałem, co sądzić, dlatego żadne sensowne pytania nie rodziły się w mej głowie. Musiałbym być jeszcze świadkiem przynajmniej ich powrotu, by definitywnie uwierzyć, że przed mym wzrokiem dokonał się jakiś cud natury.

Heli ujęła moją rękę i ścisnęła ją radośnie. Ręka jej nalegała, abym uwierzył.

– Wszystkie dzieci, urodzone w ostatnich pięciu latach nie przez klonowanie, mają tę zdolność – powiedział Terin. – Bez wyjątku. Zresztą to wszystkie nasze dzieci. Ponownie wstrzymaliśmy ten rodzaj urodzeń.

– A kto jeszcze zajmuje się nimi?

– Od dosyć dawna nikt. Tajemnicę znają tylko koordynatorzy, i... twój ojciec.

– Co on sądzi o tym? – warknąłem, znów buntując się wewnętrznie przeciw tym wszystkim konspiracjom, chociaż rozsądnie było rzeczywiście trzymać tę historię w tajemnicy, z pewnością na dłuższy czas wywołałaby panikę na całym Ikarze.

– To co ja, czyli nic. Potrzeba dużego zespołu badawczego, ale co najpierw?

– A czyż to nie jest ważne? – oburzyłem się.

– A czy Weronika nie jest ważna? A Esna? Zenonie, pierwszy koordynator wspomniał aluzyjnie, że pewne okoliczności przesądzają o sprawie naszego osiedlenia się. To jedna z nich. Musimy się gdzieś osiedlić i rozmnożyć, aby mieć ludzi do wszystkiego. A te dzieci nam nie uciekną. Co do Weroniki zaś istnieje takie niebezpieczeństwo, prawda?

Terin stanął ponownie przy swym okularze.

– Czy zawsze wracają? – z bijącym sercem zająłem także swój punkt obserwacyjny.

– Dwoje nie wróciło – po raz pierwszy przemówiła Heliana i wsparła się na mnie. Wskutek zmniejszonego przyciągania była jeszcze lżejsza, więc instynktownie otoczyłem ją ramieniem, aby mi gdzieś nie uleciała. – Gdzie też się teraz błakają, maleństwa – dodała. – Samiuteńkie.

Rozpiąłem wolną ręką kołnierz koszuli, ponieważ zrobiło mi się jeszcze goręcej, spojrzałem także na zegarek – już pora, i zamarłem ponownie przy ścianie.

Dzieci zaczęły wracać jedno po drugim, nie tak gromadnie jak zniknęły, i widziałem, że ani nie wychodziły z wmurowanych szafek, ani nie przechodziły przez błyszczące od wilgoci ściany. Na posadzce najpierw

pojawiła się ciemna ni to plama, ni to drżący cień. Cień zagęszczał swą barwę do niemal namacalnej czerni, po czym zaczynał czerwienieć, jakby rozżarzał się od środka. Rozżarzał się szybko do białości, wypromieniowując silny mlecznobiały blask, jak ksenonowy cylinder świetlny. Ów cylinder równie szybko tracił swą moc i gasł, gasł, aż stawał się zimnym szarobiałym trupkiem nagiego dziecka. Aparatura podsłuchowa wydawała się nie włączona – tak cudownie bezgłośnie dokonywało się wszystko. Drugi trupek, trzeci... dzieci leżały nadal bez oznak życia i trwało to dosyć długo – nie wpadło mi do głowy sprawdzić, jak długo, aż wreszcie tu poruszyła się rączka, tam nóżka, tam któreś położyło się na wznak. Kiedy wszystkie się zbudziły, czy też ożyły zupełnie, usiadły na podłodze i wbiły nieobecne spojrzenie w popękany i mokry teraz kwadrat namalowanego ekranu. Długo siedziały tak, potem Erki wstał i na ugiętych nóżkach poszedł otworzyć szafki. Dzieci równie milczące, równie zamyślane, powlokły się za nim. I chodzenie, i ubranie się sprawiało im teraz wiele trudu, mimo wielokrotnie zmniejszonej grawitacji, dlatego ubrawszy się, natychmiast pospiesznie znów znieruchomiały na podłodze w pozbawionych życia czy raczej wszelkiego zainteresowania tym życiem pozach. Wyraźnie duchem nie przestawały być tam, skąd dopiero co wróciły ich ciała. Nie tylko nie rozmawiały ze sobą, ale nie zdołałem dostrzec nawet żadnego innego gestu wzajemnego obcowania, a twarzyczki stanowiły gipsowe maski cierpienia wskutek przymusowego powrotu. – Dwoje – westchnął Terin, chcąc tym jeszcze raz okazać swą bezsilność. – Heliano, proszę przyprowadzić Erkiego, chociaż... co to da?

Heli wyśliznęła się z moich ramion, by otworzyć ciężkie, opancerzone od wewnątrz osłoną termiczną drzwi. Otwierały się lekko wskutek słabej grawitacji, z powodu której sam omal nie uniosłem się w powietrze, gdy Heli, nie puszczając mej ręki, pociągnęła mnie za sobą. Weszliśmy do sali – było w niej nieznośnie ciepło i duszno – i ani jedno z dzieci nie odwróciło się ku nam. Heli podprowadziła mnie niemal do samego ekranu i powiedziała głośno:

– Witajcie, dzieci! Przyjemnie było?

Przytaknęły wolno, jakby z obawy, by nie złamać swoich szyjek, ale nie wydały żadnego dźwięku.

– Nie potrafią mówić? – zapytałem szeptem.

– Młodsze prawie nie. Ale wszystko rozumieją – odpowiedziała głośno Heliana, pragnąc dać mi do zrozumienia, że niczego nie kryje przed nimi.

– Dzieci, ten człowiek jest moim mężem, nazywa się Zenon Balow.

Jest bardzo dobry i bardzo go kocham. Jeśli kochacie mnie, powinniście kochać także jego. Często będzie przychodził do nas i będziecie go słuchać i szanować, tak jak słuchacie i szanujecie mnie. Obiecujecie?

Ponownie skinęły zgodnie, jak dobrze wychowane dzieci, lecz ich potaknięcie nie znaczyło więcej niż nieobecne spojrzenie ich oczu. – Erki, chodź z nami – zakończyła przemowę, lecz Erki nie zdołał zerwać się z tą samą co przedtem werwą, wciąż jeszcze nie wróciła mu poprzednia ruchliwość.

Heli ujęła drugą ręką jego miniaturową rączkę i tak poprowadziła nas na przystanek. Chłopczyk, którego dziadowie żyli z pewnością nad melancholijnymi wodami fińskich jezior – później miałem przestudiować dokładnie drzewo genealogiczne każdego dziecka – przywykło do przepytywań. Jego obojętność wobec wszystkiego była właściwie ta sama, jak u innych dzieci, tyle że starszy i z przebudzonym poczuciem odpowiedzialności, świadomie starał się zadowolić swych dręczycieli.

– Cześć, Erki – powiedziałem wyciągając do niego rękę. – Jestem Zenon, wiesz, kim jestem, prawda?

Dziecko, wysokie na swoje lata, ale drobniutkie, przerażająco blade, nie podało mi rączki, a w pozbawionych życia oczach pojawiło się coś, co bardzo przypominało wrogość. Uciekało wzrokiem, a jednocześnie zmuszało się, by coś zrozumieć.

Wyczułem, że nie ma widoków na zjednanie go ani na jego zrozumienie, więc odechciało mi się podjętej zabawy, lecz Heli i Terin wciąż oczekiwali, że znajdę drogę, której sami na próżno szukali.

– Muszę ci powiedzieć, Erki – powiedziałem – że zaimponowaliście mi.

Gratuluje! Ty kierujesz zespołem tych zuchów, prawda?

Chłopiec potaknął obojętnie.

– Gdzie zaprowadziłeś ich tym razem?

– Hm... pobawiliśmy się... – Głosik jego brzmiał ochryple jak po długim milczeniu.

– W co się bawiliście?

– Tak sobie... Bawiliśmy się.

– Nie pamiętasz, prawda?

Potaknął od razu, ale nie z tą gotowością, która skrywa prawdę.

– Założę się, że w ogóle niczego nie pamiętasz! Ani jak wyszliście, ani dokąd poszliście, ani co robiliście, ani jak wróciliście...

Chłopiec spojrział na mnie zaintrygowany, choć wciąż jeszcze wrogo, lecz ważne było to, że w końcu przejawiał jakiś stosunek uczuciowy.

– No, załóżmy się! – nalegałem wyciągając rękę.

– Nie pamiętam – odparł Erki.

– Widzicie – triumfowałem odwrócony do reszty. – Dlatego zostawcie chłopca w spokoju, wystarczająco go wymęczyliście! Nie zmuszajcie go do kłamstw. No, Erki, biegnij do zabawy.

Poklepałem go po ramionku i popchnąłem w stronę drzwi, nie doceniając swej siły. Dziecko poleciało przed siebie i rozbiłoby sobie nos, gdyby na czas nie rozpostarło rąk. Roześmiałem się przeraźliwie głośno:

– Och, Erki, wybacz, bratku, jestem niezgrabny, jak to Ziemianin...

Chłopiec całkiem stropiony dziwnym zachowaniem się dorosłego po raz pierwszy uśmiechnął się. Wszedł do sali, ale wśliznąłem się za nim, zamknąłem za jego plecami drzwi i już w środku, na oczach pozostałych dzieci, szepnąłem do niego konspiracyjnie:

– Erki, jeszcze jedno męskie słówko! Na twoim miejscu także bym milczał, to sprawy nie do opowiadania każdemu. A więc... trzymaj się! A jeśli bardzo ci będą dokuczać, wymyślaj różne zabawne historie. A jak się znowu zobaczymy, opowiem ci, co mi się przytrafiło, kiedy wyszedłem tak jak ty do Weroniki.

Heli opowiadała wam na pewno o niej? Gdybyś wiedział, jakie niesamowite historie mi się przytrafiły, ale to innym razem – pożegnałem się, podnosząc pięść nad swoją głową na znak, że życzę mu hartu i że zawsze może liczyć na mnie.

Kiedy znalazłem się na przystanku, byłem niemal pewien, że przynajmniej zdołałem rozbudzić zainteresowanie chłopca sobą i jego zazdrość, ponieważ Erki na pewno będzie zazdrosny o swoją nauczycielkę. Tak jak ja byłem w dzieciństwie zazdrosny o Majolę Beni w obecności dojrzałych mężczyzn. Lecz twarze Terina i Heli zdradzały, że choć słyszeli przez urządzenia moje ostatnie słowa, nie zrozumieli mojego zachowania. Heli powiedziała z delikatnym wyrzutem:

– Erki jest niezwykle inteligentny, Zenku, góruje nad wszystkimi sześciolatkami...

– Jesteś już wolna? – przerwałem jej zniecierpliwiony.

Terin nie miał ochoty ustosunkować się do tego, co zaszło, wezwał już nawet ósmą ekspresową.

– Jeśli chcesz zostać...

– Mam pracę – odparłem.

– Tylko nakarmię dzieci – odezwała się Heli.

– Nie musisz się spieszyć, zobaczymy się wieczorem – odpowiedziałem już z niebieskiej kabiny.

– Jesteś dziwny – nadała się. – Dopiero co chciałeś, żebym się zwolniła...

– A wy nie serwujecie mi dziwnych rzeczy? Nasz profesor Terin ma rację, jeśli będziemy zwracać uwagę na wszystko, co dziwne, nie starczy nam ani sił, ani czasu. Do widzenia, kochanie!

Wieczorem będę musiał najpierw udobruchać ją, ale teraz naprawdę nie miałem ochoty wdawać się w spory ani z nią, ani z nikim innym, ponieważ coś zaczęło świtać w moim umyśle, a tym samym nastrojać mnie wojowniczo.

Uwolniłem się od swych kompleksów, wywołanych przez Alkowego „boga”. uspokoiłem i uporządkowałem do pewnego stopnia swój świat wewnętrzny w zgodzie z odwiecznymi podstawami naszej wiedzy o wszechświecie, mimo swej przygody z Weroniką, a może właśnie dzięki niej, a oto ponownie rzucono mnie w poprzedni chaos.

Terin odgadywał mój stan i zaczął usprawiedliwiać się jękając się od zawrotnej szybkości:

– Zenonie, każesz... mi czuć...się win...

Po znacznie słabszej grawitacji na przystanku przyspieszenie groziło nam zmiżdżeniem. Terin mógł kontynuować swą myśl, dopiero kiedy przesiedliśmy się na zwykłe ruchome schody.

– Nie zmuszamy cię do zajmowania się nimi.

– Powierza mi je pan całkowicie?

– Całkowicie. Muszę zająć się Esną. Opracowujemy strategię zasiedlenia.

– A więc to kazało nam zweryfikować pogląd na „boga” Alka Derego?

– Nadal jestem przekonany, że spotkał się z nim jedynie w swym umyśle, i że są to prawdy, do których może dojść każdy astropilot w czasie miesięcznej samotności, ale i ty zetknąłeś się już z nim, prawda? Dzieci zdają się czynić dokładnie to, co radził nam „bóg” Derego. Jeśli zdecydujesz się, proszę przyjść po materiały z dotychczasowych obserwacji i eksperymentów. Heliana dopowie ci resztę...

Nie przydał żadnego patosu tej chwili i ani na moment nie przybrał pozy wielkodusznego nauczyciela, z rozkoszą i dumą przekazującego uczniowi pałeczkę, ani też nie okazał upokorzenia czy cierpienia z powodu swej przegranej.

Był wspaniałym starcem i doskonale uświadamiał sobie skalę tego, co przekazywał w moje ręce, a także, że wszystko inne w porównaniu z tą skalą musi wydawać się żałosne i śmieszne. Podniósł tylko prawą rękę w niedbałym geście pożegnania i z wyrazem pogodnej rezygnacji wobec

nieosiągalnego pozwolił, by schody poniosły go ku temu, na co jeszcze pozwalały mu siły.

## Być blisko, być daleko

### 1

Zanim jeszcze powiedziała mi resztę, Heli popłakała sobie. Rzekomo z radości. Erki wypytywał ją o mnie, spodobałem mu się, a ona z początku nie rozumiała mojego zachowania, i jest jej przykro.

Oczywiście nie dlatego płakała moja dzielna Ewa – niełatwo mieć cechy, które wyodrębniają cię ze społeczeństwa.

– Zenonie – powiedziała mi – ja też jestem trochę taka... dziwna, dlatego tak bliskie są mi te dzieci.

– To prawda – zdziwiłem się, dlaczego nie przestaje tłumaczyć się przede mną.

– Chodzi o co innego... Rzeczywiście wtedy byłem przy tobie, kiedy chciałeś popełnić samobójstwo. Terin powiedział, że to nie to samo, jednak...

– Dostyc już – powiedziałem. – Tyle niesamowitych rzeczy jednego dnia, sprawicie, że oszaleję. – Zenonie, proszę, abys uwierzył! Przypominasz sobie, powiedziałam ci:

„Nie powinienes tego robic, potrzebujemy cie jeszcze. Obiecuj mi, powiedzialam ci, ze jesli nie bedziesz juz mogl tego zniec, wrócisz na Ikarę. Nikt nie bedzie sie gniewal ani kpil z ciebie, ze nie wykonales swego zadania”. A ty powiedziales:

„Jesli pocałujesz mnie, obiecuję”. I pocałowalam cie w policzek, ale ty nalegales, aby pocałowac sie prawdziwie i pocałowalam cie prawdziwie, a ty powiedziales:

„Powiedz mi, ze mnie kochasz...”

– Opowiadalem ci to – przerwalem jej, lecz w zaden sposob nie moglem sobie przypomniec, czy opowiadalem jej o tym tak szczegolowo.

– Nie opowiadales. Przypomnij sobie: „Idz zmienic kurs! Czekam na ciebie, Zenonie, na Ikarze, czekam na ciebie!” i na koncu: „Kocham sie, Zenonie. Wróc!”

– Dostyc – krzyknalem, zmieszany i bezsilny. – Dostyc juz!

I wtedy znów sie rozplakala.

Uściski, czulości, zaklęcia – młodzi małżonkowie, prawdę mówiąc, zawsze znajdują sposoby, by szybko się pocieszyć, cień tragizmu wisiał jednak nadal nad naszym bezpłodnym łóżem małżeńskim, mimo iż teraz miałem wytłumaczenie dla kaprysów i dziwactw Heliany. To, co działo się z nami, miało taki wymiar, że skazywało nas na nieuchronne nieszczęście.

W niczym i nigdzie nie mogliśmy szukać ratunku, jak tylko w nas samych. Nieprzypadkowo już jako dziewczynka czuła, że jestem inny niż pozostali, tej różnicy szukała, kryjąc przed wszystkimi swą wielką tajemnicę – zdolność opuszczania Ikara. Czy nie dlatego właśnie mój instynkt przywiódł mnie do niej? I oto jesteśmy razem, z naszą rozpaczliwą miłością i z naszym nieprzystosowaniem! I z tym co niezbędne, jak zwykle się powiadać, dla dobra rodziny: wspólną troską o dzieci. I spróbowaliśmy takiego życia – dla siebie wzajem i dla osiemnaściorga naszych dziwnych dzieci, a mój idiotyczny antyspołeczny charakter jakby uspokoił się na pewien czas, znajdując poważny życiowy cel. Heli rozkwitła i stała się tak piękna, że ponownie się w niej rozkochałem. Dzieci także przywiązały się do mnie, ponieważ potrafiłem je rozbawić, świadomie wyśmiewając wszystko wokół nich – wygłupianie się jest także buntem przeciwko porządkowi. Coraz dłuższe przebywanie Ikara w tym rejonie, pozbawionym niemal grawitacji, wyraźnie korzystnie odbijało się na ich organizmach. Były jakby urodzone do nieważkości, a wszelka grawitacja opóźniała ich wzrost i doprowadzała do choroby.

Naturalnie rozpocząłem badania od swojej młodej małżonki, ponieważ przynajmniej ona powinna była powiedzieć mi coś sensownego.

– Heli, jak to robisz?

– Jak to robiłam – poprawiła mnie. – Odkąd jestem z tobą, nie robiłam tego ani razu!

– W porządku. Jak to robiłaś? Rzekomo bardzo cierpiałas z tego powodu, a teraz znowu ja jestem winien!

Nie zareagowała na tę zaczepkę, ale nie ukrywała, że naprawdę jest jej ciężko.

– Robiło mi się potwornie duszno, stawałam się strasznie rozdrażniona, czułam, że umrę, jeśli natychmiast nie wydostanę się na wolność i... i kuliłam się w jakimś kąciku albo zamykałam w swoim pokoju, i wtedy to następowało.

– Co następowało?

– Wychodziłam.

– Ale jak?

– Skąd mam wiedzieć!

– Dobrze, ale jak zjawiałaś się u mnie?

– Pewnego razu ogarnął mnie straszny niepokój. Zresztą nie tak nagle, ponieważ bardzo tęskniłam za tobą. Początkowo cieszyłam się, gdy odleciałaś.

Przeczułam, że opuszczasz Majolę i ucieszyłam się. Pomyślałam, że



tam na zewnątrz mogę cię kiedyś odwiedzić, ale potem wciąż nie mogłam się zdecydować, a kiedy ogarnął mnie ten niepokój, zrozumiałam, że jesteś w niebezpieczeństwie, że kocham cię do szaleństwa, że muszę być stale przy tobie i... teraz przypominam sobie, przedtem najczęściej udawało mi się wychodzić na zewnątrz, kiedy ogarniała mnie rozpacz, że jesteś z Majolą, że jesteś nieosiągalny dla mnie, że jestem mała i brzydka...

– Dokąd chodziłaś?

– Spacerowałam na zewnątrz. Tam natychmiast doznawałam przejmującego uczucia ulgi, wolności, zadowolenia. Dzieci doświadczają tego samego, dlatego wciąż chcą być na zewnątrz. Przyciąganie przytłacza...

– Mniejsza teraz o dzieci! Powiedz, jak się poruszałaś.

– No, po prostu poruszałam się! Kiedy powiedziałam: szybciej, to szybciej, kiedy powiedziałam: wolniej, to wolniej. Nie, nie dokładnie tak. Nie pamiętam, czy było to związane z jakimś wysiłkiem woli. Po prostu wyruszałam dokądś, a dopiero potem uświadamiałam sobie, czy poruszam się szybko, czy wolno i jaką drogę przebyłam. Poznawałam to po zmęczeniu.

– Co znaczy „dokądś”? Na inne planety?

– Och, nie! To niemożliwe. Nie potrafiłam wejść w zamknięte układy. Choć może i weszłabym, instynktownie jednak bałam się tego jak śmiertelnego niebezpieczeństwa, przeczuwałam, że jeśli wejdem, z trudem będę mogła się wydostać. W rozmaitych układach bywa różnie, oczywiście niektóre nie są tak zamknięte... Czy wiesz, dwa razy udałam się na Ziemię, bardzo miałam ochotę tam zejść, ale Układ Słoneczny jest straszliwie zamknięty! Stawałam przednim jak przed ścianą. Wręcz dziwię się, jak zdołali ludzie wydostać się z niego...

– Heli, zmyślasz!

Oczy jej napęły się łzami.

– Możliwe. Nie wiem, zawsze tak mało pamiętam później, tylko jakieś wrażenia jakby z wyrazistego snu, którego w pięć minut po przebudzeniu już nie możesz sobie przypomnieć. Przypominasz sobie tylko, że był, to o tych wrażeniach dodałam już od siebie...

– W porządku, w porządku – spieszyłem ją uspokoić. – A czy czułaś, że poruszasz się dzięki jakiejś sile? Czy czułaś ją w sobie. Czy na zewnątrz?

– Niczego nie czułam – odparła z poczuciem winy. – Żadnego ruchu konkretnie nie odczuwałam, odbierałam go tylko jako przybliżanie się i oddalanie. Ale inne od tutejszego. Później, starając się to odtworzyć, tak

to oceniałam: zatrzymujesz się na jednym ciele, to jest na jednym układzie, a ów układ natychmiast oddala się od innych. Nie mogę jednak powiedzieć dokładnie, czy to on ucieka od innych, czy też inne układy wspólnie uciekają od siebie. Niczym galaktyki. I są straszliwie odległe. Lecz nie uciekają jeden od drugiego, poruszają się jakby z ustaloną prędkością, każdy w swoim kierunku. Kiedy zwrócisz się ku któremuś, to natychmiast staje się bliski i wszystko w tym kierunku staje się bliskie. Potrafisz to zrozumieć?

– Odbierałaś Ikarą jako układ?

– Z zewnątrz nie. Nie ma pola. Lecz w środku – tak. Z pewnością dlatego, że mimo wszystko jest stacjonarnym ciałem z własnym czasem w przestrzeni. Nawet teraz odczuwam, jak mnie oddala od innych układów. Gdy tylko wyjdę na zewnątrz, uczucie to natychmiast zanika. Byłam poza układem i wszystko, ku czemu się kierowałam, było mi bliskie. Dopiero kiedy wracałam, czułam, że Ikar bardzo oddalił się w tym czasie i musiałam odbyć męczącą drogę, by do niego dotrzeć. Czy potrafisz to zrozumieć?

Ten ustęp w moich zapiskach to tylko jeden z przykładów – cząstka tysięcy słów, słów, słów, z których pomocą Heliana przez dziesiątki wieczorów próbowała jakoś odpowiedzieć na moje pytania. Gdy całowała mnie na R-19, pytałem ją i siebie, jak to przyjąłem? Musiałem być chyba w podobnym stanie, by odczuć zbawczy dla mnie pocałunek? Jeśli jednak nie byłem w takim samym stanie, wówczas to, co działo się z Helianą, musiałyby być czystą telekinezą, opisywaną przez pisarzy fantastów. Lub ściślej: autotelekinezą – jeśli możliwe jest takie pojęcie. Coś, co istnieje jako zjawisko, lecz niemożliwe jest na Ziemi, grawitacja bowiem nie pozwala na podobne przemieszczanie się ciał. Może jedynie telepatia i niektóre rodzaje jasnowidztwa są częściowym przejawem tych zjawisk, zdarzających się jedynie w ekstremalnych przypadkach w obrębie Układu Słonecznego, z jego, jak powiada Heli, straszliwym zamknięciem? Czym były moje dotychczasowe wizje – brzmiało następne nieuniknione pytanie. Czy to możliwe, żeby nie były tylko snami? A wychodzenie dzieci? Tak podobne do anihilacji, przekształcającej ich ciała w nieuchwytnie cząsteczki pozbawione masy i ładunku, ale – oczywiście – jakiejś absurdalnej, zimnej anihilacji, która nie wymaga i nie wyzwala gigantycznej energii, jaka porusza naszego Hidalgo, lecz zadowala się garścią ciepła i światła w jednym ciele, w jednym pomieszczeniu. Właśnie... „Potrafisz to zrozumieć”? Oby wam, którzy pewnego dnia może zainteresujecie się naszym losem, udało się to już zrozumieć!

Względność czasu i przestrzeni w geometrii nieeuklidesowej kosmosu to stara historia i z pewnością znacie ją lepiej ode mnie. Jeśli mimo całego mojego dyletantyzmu wracam do niej, przynajmniej teraz, w chwili gdy dyktuję swoje notatki, to z tej przyczyny, że pewne zjawiska, związane z przemieszczaniem się Ikara w galaktyce, mogą być wam jeszcze nie znane – przecież nie wiemy, czy nasze informacje w ogóle dotarły do was!

Już pierwsza międzygwiazdowa ekspedycja do Proximy Centaura odnotowała to, co pozostaje wielką zagadką naszego lotu. Po powrocie kilku cudem ocalałych od śmierci bądź samobójstwa członków wyprawy zeznało, że na określonym odcinku drogi poruszali się z tysiącrotnie większą prędkością niż wskazywały spidometry. Wtedy właśnie stracili łączność z Ziemią przez trzy kolejne seanse. Działo się to poza polem grawitacyjnym Słońca. Nie potrafili stwierdzić nic więcej, ponieważ nie byli przygotowani na podobne zjawisko. Spidometry nagle podniosły się i znieruchomiały w skrajnym położeniu. Reszta była tylko niejasnym domysłem o innym sposobie poruszania się i oczywiście – o efekcie Dopplera przy wielkich prędkościach. Słońce po prostu na kilka dni zmieniło się w kropkę... Zapewniono ich, że następny seans łączności zgodnie z programem już po wejściu w układ Proximy odbył się, i to mniej więcej w ramach zaprogramowanego czasu i miejsca. Tak, lecz przybyliśmy tam znacznie wcześniej – upierali się. O ile szybciej? Nie potrafili określić wskutek wielkiego zamieszania z chronometrami.

Oczywiście, nie uwierzono im, nie tylko dlatego, że wszyscy musieli być długo leczeni przez psychiatrów. Przede wszystkim dlatego, że było nie do pomyślenia, aby przekroczyli kilkakrotnie prędkość światła, jak wynikało z datowników i dzienników ekspedycji. Żadne ciało materialne nie jest w stanie osiągnąć podobnej prędkości. Przeczy temu teoria względności. Oczywiście nie zarzucono im wprost, że zmyślają, zajęto się tym problemem, poteoretyzowano, co mogło zakłócić pracę chronometrów i datowników, i pogrzebano wszystko w archiwach. W rzeczywistości było to jedno z najważniejszych odkryć, dokonanych przez ekspedycję, ponieważ sama Proxima, najbliższy nam układ gwiazdny, jakkolwiek podwójny, nie okazała się zbyt interesująca.

Po latach jednak podobny szalenięc, bardzo młody i nigdy jeszcze nie biorący udziału w gwiazdnych ekspedycjach, zagłębił się w dziennikach ekspedycji. Nauka przed nim, tak w teorii, jak w praktyce, potwierdzała, iż

prędkość światła w próżni stanowi stałą i graniczną prędkość dla wszechświata, mimo że od dawna wyrażano na ten temat wątpliwości i próbowano spekulować przypuszczeniem, że niektóre zjawiska przebiegają szybciej – zjawiska jednak, nie ciała. Najstarszy, zdaje się, był myślowy eksperyment Franka, który wyliczył, że jeśli pokręcimy latarką z szybkością bliską prędkości światła, zajączek świetlny na końcu promienia, a ma „on określony materialny charakter, będzie się poruszać kilkakrotnie szybciej od światła. Tym młodym szaleńcem, który wystąpił z owym nie tyle bezczelnym, co niezbitym matematycznie twierdzeniem, był mój ojciec. Prędkość, oznajmił, cząsteczek zwanych fotonami, neutralnych i pozbawionych masy w stanie spoczynku, rzeczywiście jest ograniczona dla wszechświata, jak udowodnił to już Einstein, w poszczególnych jednak układach ma różne stałe wartości. Wartości te są całkiem konkretne i zależą od ogólnej ilości substancji, zakrzywiającej i zamykającej przestrzeń wokół układu, od momentu kąтового jego obrotu i od stałej akreacyjnej (Już wtedy nazywano ją „stałą Balowa”, ale nie on oczywiście tak ją nazwał). Choć wzór przedłożony przez mego ojca operował wielkościami przybliżonymi – ilość substancji obu układów wyliczało się jedynie w przybliżeniu – udowadniał, że naprawdę istnieje różnica między prędkością światła w układzie podwójnej gwiazdy Proxima a w Układzie Słonecznym, że dokonane przez ekspedycję pomiary są prawidłowe. Aby rzecz całą bardziej skomplikować, ojciec mój twierdził jeszcze, że o ile wewnątrz układów gwiazdnych jego wzór wyjaśnia mniej więcej, co dzieje się ze światłem, to poza ich polami grawitacyjnymi, tam gdzie działa siła akreacyjna czy też, kto wie, jakie jeszcze siły, tworzące sympatyczne newtonowskie przyciąganie, biegnie ono z nie znaną na razie prędkością, we wszystkich jednak przypadkach milion razy większą niż żałosna stała Einsteina, jaką posługiwała się dotąd ludzkość. Z tym, iż prędkość ta jest nie tylko nie znana teraz, ale według Einsteinowskiej zasady ekwiwalentności w ogóle nie da się wyliczyć przez znajdującego się wewnątrz jej układu obserwatora. Jakieś wyobrażenie o niej moglibyśmy uzyskać dopiero powłóczywszy się po Drodze Mlecznej, a potem jeszcze po jakiejś galaktyce, ponieważ... przecież dawno temu nader spostrzegawczy Poincare powiedział, że nie ma twierdzenia, którego nie dałoby się łatwo udowodnić, jeśli oprze się dowód na dwu przeciwstawnych tezach.

Tym żartem cytatem zakończył mój ojciec swą nową teorię, ludzkości jednak wcale nie było do żartów. Cała tworzona przez wieki kosmogonia poszła, jak mówiono wtedy, do diabła. Odległości między gwiazdami

i galaktykami, prędkość i kierunek ich ruchu, stąd ich masa, ich właściwości... cała nagromadzona wiedza okazywała się fałszywa bądź niedokładna. Obraz wszechświata stworzony przez ludzkość za pomocą teleskopów optycznych i radioteleskopów, radarów i spektrografów, okazywał się prawdziwy tylko z żabiej perspektywy Układu Słonecznego. Oglądany z innego układu, wszechświat powinien wyglądać inaczej, zatem, ile układów – a tych przecież tylko w naszej galaktyce jest ponad sto miliardów! – tyle obrazów wszechświata! Taki absurdalny, choć nieuchronny wniosek wypływał z teorii mojego ojca. Ludzkość po Lorenzu i Einsteinie pogodziła się ze względnością niektórych podstawowych parametrów dotyczących wszechświata, ale żeby aż taka względność?! Czy nie dochodziła ponownie, już w drodze naukowej, do starej idei o zupełnej niepoznawalności świata „w sobie”, skoro ma on niezliczoną liczbę obliczy?

W owym czasie ludzkość przywykła już do serwowanych jej nieustannie najróżniejszych idei i hipotez i trudno było wyprowadzić ją z równowagi, lecz młody szaleniec był nie byle kim. Znana nawet uczniom stała nosiła jego imię, w jeszcze młodszym wieku wpisał się już na trwałe na listę ziemskich geniuszy, uzasadniając istnienie i właściwości piątej siły, współtworzącej wszechświat. Przed nim znano cztery klasyczne siły: grawitację, kierującą na wielką skalę wzajemnymi stosunkami w kosmosie, elektromagnetyzm, określający skład chemiczny i strukturę atomów i molekuł, silne wzajemne oddziaływanie, określające budowę i zachowanie się jądra atomu, i bliźniaczą zagadkową siłę – słabe wzajemne oddziaływanie występujące podczas rozpadu jądra kierujące całą rodziną cząstek neutrino.

Teoretycy z jednej strony wietrzyli obecność podobnej piątej siły w głębinach materii i rozpaczliwie poszukiwali jej wśród cząsteczek elementarnych, z drugiej jednak strony nie mogli dojść do porozumienia, czy jest to odrębna siła, czy też częściowo przejaw jednej i tej samej uniwersalnej siły. Zbijało ich z tropu neutrino, bowiem tu jakby zamykał się krąg mikrokosmos – makrokosmos. Jedynie te cząsteczki podlegają jednocześnie słabemu oddziaływaniu wzajemnemu i grawitacji, u wszystkich pozostałych w ogóle nie odnotowywano żadnego wpływu grawitacji. Mój ojciec powiedział na jednym ze sławnych wówczas solveyowskich kongresów – owych elitarnych, zamkniętych przed ciekawością świata spotkaniach największych żyjących wówczas fizyków. Szukajcie już szóstej siły, piątą bowiem odkryłem i to gdzie indziej. Lecz przenumerujmy spis i nazwijmy ją pierwszą, bo zasługuje na to.

I nazwijmy ją jeszcze po staremu „akreacyjną”.

Dotąd akreacją nazywano zagarnianie materii podczas tworzenia się gwiazd i planet i nikomu nie przychodziło do głowy kwestionować, że zjawisko to wiąże się z grawitacją. Ojciec udowodnił, że siła akreacyjna ma większy zasięg, że jest siłą kondensującą i poprzedza grawitację. Skupia substancję, tworzy galaktyki i układy gwiazdne i dopiero potem, wewnątrz gigantycznych mas materii, ściśle lokalnie, powstaje grawitacja bądź jako zjawisko różnorodności owej przypuszczalnej, jedynej powszechnej siły, rządzącej wszystkim – od elektronu po metagalaktyki.

Starożytność pozostawiła nam epigramat, według którego Bóg rzekł: „niech stanie się dzień!” i na świecie pojawił się Newton. Lecz diabeł, jak przystało na diabła, pośpieszył zepsuć wszystko i oto urodził się Einstein, by ponownie zapadł mrok. Po pojawieniu się mego ojca mrok ten zageścił się podwójnie. Skoro jednak wiedzę ludzką tak warunkowały prawa Układu Słonecznego, że nie miała żadnej obiektywnej wartości, wniosek był jeden – wydostać się poza układ, i to na długo, z wielką załogą, nie jak tamci do Proximy.

Wtedy ojciec mój przedłożył już gotowy projekt z asteroidem Hidalgo jako jedynym sposobem rozproszenia nowego mroku. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że wpierw wpadł mu do głowy ten pomysł, a potem dopiero wymyślił te różne teorie, by zmusić ludzkość, która straciła pewność siebie po wyprawie do Proximy, do jego przyjęcia. Tak czy owak, dwa dziesięciolecia później dzielny Hidalgo, przechrzczony na Ikar, wyruszył w poszukiwaniu prawdziwego oblicza wszechświata.

Dotychczasowa podróż nie potwierdziła w pełni tez mego ojca, ale także ich nie obaliła. Wewnątrz układów gwiazdnych światło rzeczywiście ma różną prędkość, różnice jednak nie są istotne, nawet gdy jeden z porównywanych układów jest stokroć większy od drugiego. Wpływają jedynie na pomiar czasoprzestrzeni, materia zaś, ogólnie biorąc, jest wszędzie ta sama i z małą poprawką tu i ówdzie potwierdza jedno z największych odkryć człowieka, które pozwoliło z daleka zbadać skład materii – analizę spektralną. W każdym razie w galaktyce materia wyraźnie podporządkowana jest tym samym prawom i prawa te są poznawalne, obojętne z jakiego układu i jakiego ciała stacjonarnego są badane. W tym samym jednak czasie – i to jest największą miłą niespodzianką! – Ikar, który według założeń nie był w stanie okrążyć więcej niż pięć – sześć gwiazd, położonych do szesnastu lat świetlnych od Ziemi, w jakiś cudowny sposób przebywa według starej ziemskiej jednostki czasu stokroć większe odległości. Zaobserwowano to po wyjściu

poza pole grawitacyjne Słońca i po wejściu do królestwa ukochanej przez mego ojca siły akreacyjnej. I wtedy – gdy Ikar nabrał prędkości ponad 15 tysięcy kilometrów na sekundę.

Obok kierowanego przez ojca laboratorium znajduje się małe pomieszczenie, wypełnione aparaturą pomiarową i różnego rodzaju kalendarzami. Jeden z nich jest wręcz kuriozalny i jest bardziej licznikiem niż zegarem. Tyka nie 60 razy na minutę, lecz 72 razy, zgodnie ze średnim rytmem mego serca. A włączył go ojciec w chwili mych urodzin. W każdej chwili mógłbym sprawdzić, ile razy uderzyło moje serce, nigdy jednak nie doświadczam podobnej chęci. Ważniejsze, że przez ten miliard i ileś tam uderzeń marnego ziemskiego serca moja ważna osoba pozostawiła za sobą w galaktyce taką drogę, jaką przebyłbym, gdybym poruszał się z prędkością około dwustu razy większą od przyjętej na Ziemi prędkości światła w próżni. A to przecież wydaje się absurdalne? Oznacza to, że albo gwiazdy, nasze jedyne kamienie milowe, znajdują się bliżej, niż wskazują wasze i nasze przyrządy, liczące zgodnie ze starą stałą światła, bądź też stała ta jest nieprawdziwa i światło porusza się tu z nie ustaloną dotąd prędkością, jak przewidywał mój ojciec. Geometria nieeuklidesowego świata, z którym dajemy sobie radę z pomocą teorii względności, okazuje się nieprzydatna. Zachodzi tu coś, co przypomina gwałtowne i wciąż jeszcze nie wyjaśnione zmiany materii, występujące w cząstkach elementarnych, gdy prędkość ich znacznie wzrasta, bądź z elementami, gdy przekroczą właściwą barierę temperatury przed zerem absolutnym i poza tą temperaturą właściwie nie można już w ogóle mówić o temperaturze. W przestrzeni pozagrawitacyjnej, której Ikar wytrwale się trzymał, daleko od ciepła gwiazd, w królestwie owych niezmiennych trzech stopni powyżej zera absolutnego, także ciała materialne po przekroczeniu prędkości o jedną dwudziestą ziemskiej stałej światła zdawały się wkraczać w świat nowej, trzeciej geometrii, której praw jeszcze nie jesteśmy w stanie określić, ale na szczęście nauczyliśmy się przynajmniej praktycznie wykorzystywać. Z nim właśnie wiążą Ikarzycy nadzieje na pomyślny powrót na Ziemię, ponieważ tak temperatura, jak i czas tu praktycznie nie istnieją. Kiedy jako młody buntownik ojciec mój podjął wyprawę przeciw ówczesnej kosmogonii, to – jak sam mi opowiadał – podtrzymało go na duchu dwu mędrców, w których słowach, może być tylko tak sobie rzuconych, dopatrywał się proroczych domysłów. Nie istnieje jeden świat, powiedział niegdyś Anaksymander z Miletu, światów jest nieskończenie wiele. Dwa tysiące lat po nim Einstein, który podjął nawet próbę obliczenia objętości wszechświata

i wspaniale zdawał sobie sprawę z nieosiągalności przez człowieka innych światów, powiedział, z pewnością nie bez dozy melancholijno – ironicznej nadziei: Bóg jest wszechmocny, lecz nie aż tak okrutny...

I oto inne światy wcale nie okazały się aż tak nieosiągalne! Człowiek nauczył się podróżować wśród gwiazd, stanął jednak przed jeszcze większym zagadkami, przed jeszcze bardziej nieosiągalnymi rzeczami, i znów nie pozostaje nam nic innego, jak ufać dalej we wspaniałomyślność wszechświata, wierzyć, że nigdy nie postawi ostatecznej bariery przed naszymi dążeniami.

### 3

Mój genialny ojciec stał teraz bezradny jak dziecko przed swymi licznymi zegarami. Były nieprawdopodobnie dokładne, po tysiącach lat ich niedokładność wyniesie zaledwie jakąś tysiąc miliardową część sekundy – tak były dokładne, wskazując wszystko, co dusza zapagnie: czas na Ziemi i kalendarz ziemski, pokładowy czas Ikara, pokładowy czas statków zwiadowczych, które znajdowały się w drodze i wchodząc w odrębne układy gwiazdne wchodziły również w inny czas, czas galaktyczny, zgodny z promieniowaniem jądra galaktycznego, czas biologiczny, zgodny z rytmem mego chudego dwumetrowego ciała... Wszystko były w stanie odmierzyć te zegary, nie potrafiły jednak powiedzieć, dlaczego Ikar osiąga szybciej tę czy ową gwiazdę, dlaczego wyliczone „dalekie”, nagle okazywało się bliskie, co stwierdziła również Heliana, mówiąc o swym wychodzeniu poza Ikara. To pragnął pojąć mój ojciec całą ambicją autora nie dokończonej teorii, wszystko inne odsuwając na plan dalszy.

– Zenonie – przerwał mi, gdy chciałem podzielić się z nim pierwszymi próbami nad stworzeniem własnej hipotezy roboczej – celowo postanowiliśmy wydzielić problem dzieci z innych problemów. To coś, czego ani moje, ani twoje pokolenie nie zrozumie. By do niego dotrzeć, należy zrozumieć mechanizm ruchu w galaktyce. Gdy kiedyś ogłosiłem, że światło porusza się w przestrzeni międzygwiazdnej miliony razy szybciej, byłem w sytuacji Anaksymandra, który przekonywał podobnie sympatycznych mieszkańców Olimpu o bezliku światów. To doniosłe, lecz nieszczególnie pożyteczne proroctwo, mój chłopcze.

Najpierw ludzkość musiała dojść do tego, że Ziemia nie jest płaska, a potem, że obraca się wokół Słońca, nie odwrotnie, i tak dalej. Wiele jeszcze spraw musieliśmy zrozumieć, zanim mogliśmy wrócić do myśli



Anaksymandra. Dlatego... wychowujcie razem z Helianą dzieci i nie każcie mi łamać sobie głowy nad problemami, których nie wpisaliśmy jeszcze do porządku dziennego.

Tak odpowiedział mi ojciec, odpowiedział nie wiadomo dlaczego z gniewem, lecz złożyłem to na karb jego bezsilności. A ponieważ wówczas jeszcze nie czułem się bezsilny wobec problemu, zaproponowałem żywo:

– Przeciwnie, zawsze stały na porządku dziennym. Od wieków ludzkość stykała się z nimi. To przydawała im boskiej mocy, to przypisywała diabłu, to negowała, bojąc się dostrzec w nich po prostu przejaw jakichś powszechnych praw wszechświata, których działanie na Ziemi jest znacznie osłabione wskutek zamknięcia układu. Dlaczego, tato, niemowlęta, których oczy widzą rzeczy na opak, boją się silnego hałasu? Czy nie dlatego, że w swych genach noszą zakodowaną ciszę próżni, a hałas związany jest z niebezpieczeństwami ciała stacjonarnego? Później zaś zaczynają bać się także ciemności, zanim jeszcze stała się dla nich symbolem czyhającego pod jej osłoną zła – dlaczego? Ponieważ także ona związana jest z ciałem stacjonarnym. Dla tych naszych osiemnastu dziwolągów nie istnieją zjawiska „ciemno – jasno”, „blisko – daleko”, „zimno – ciepło”, gdy są poza Ikarem, dlatego są tak przygnębione w jego wnętrzu. Tak jak na Ziemi w jednej chwili znika odległość dla matki, która w chwili podobnego stanu ducha nagle z tysięcy kilometrów, przez ocean, widzi śmierć swego syna! A klaustrofobia – niemal wykrzyczałem swój dowód. – Skąd bierze się ten nagły lęk przed zamkniętą przestrzenią, czyhający, kiedy mózg choćby na milimetr rozminie się z torem swej ziemskiej ewolucji, kiedy osaczyć człowieka ze wszystkich stron? Czy to nie echo prainstynktu, związanego w jakiś sposób z przebywaniem i poruszaniem się w przestrzeni? Anaksymander, drogi tatusiu, widział bezlik światów całkiem realnie, mimo nieprzejrzystości skał Olimpu, tak jak ty widniałeś, że światło porusza się miliony razy szybciej poza układami gwiazdnymi. Niestety w tym, że nie mamy innego sposobu, aby dowieść tego, co widzieliśmy, jak tylko z pomocą tych głupich maszyn i zegarów...

– Ani to nowe, ani choćby elementarnie naukowe, by stać się hipotezą, na której można by oprzeć pracę z dziećmi – przerwał mi ojciec z wyżyn własnej bezy, która czyniła go złośliwym. – Wiem nawet, jakie wnioski już wyciągnąłeś. Skoro materia stworzyła świadomość jako narzędzie samopoznania, powiedziałeś sobie, narzędzie to powinno także podlegać przemianom, by osiąść zdolność wniknięcia do wszelkich form materii.

Na razie, powiedziałeś sobie jeszcze, ludzkość, ogólnie biorąc, znajduje się w fazie poznawania substancjonalnej strony materii – w fazie nauki i maszyn, a przypadek z dziećmi dowodzi, że co na Ziemi było wyjątkowym zjawiskiem, tu, wyzwolone z kłępujących je sił grawitacji, spontanicznie zmierza do swego ewolucyjnego celu, ku wyższej fazie, gdy człowiek, zlewając się z materią, przekształca się w bezpośrednio poznające ją, w bezpośrednią jej świadomość...

– Zgadłeś – powiedziałem z rozdrażnieniem, zarazem jednak zadowolony, ponieważ słowa jego dowodziły, że myślami wciąż błądzi po drogach, na których ja teraz się potykałem. – Tak jak i ja z pewnością odgadnę, jakimi argumentami będziesz chciał mnie pokonać: że hipoteza moja jest scholastyczna, ponieważ upiera się przy realności czegoś na podstawie istnienia jego pojęcia w naszym mózgu. I że scholastyka jest jeszcze niewinną rzeczą w porównaniu z tym absolutnym determinizmem, zawartym w podobnej teorii, ale kochany tatusiu...

– Nie, drogi synku – roześmiał się nerwowo ojciec i ujmując mnie pod ramię pociągnął do domu. Po odlocie matki, Heli, dostrzegłszy, jak jest samotny, wymogła na mnie, byśmy przenieśli się do niego. – Nie, drogi synku, wcale nie mam zamiaru cię pokonywać. Przecież właśnie dlatego zobowiązaliśmy cię do zajęcia się dziećmi! Zapisuj i rejestruj wszystko, wyciągaj, jakie chcesz wnioski, twórz, ile chcesz teorii, może wyjdzie coś z tej pracy! Najważniejsze, abyś nie zapominał przewyciężyć nieraz samego siebie, tak jak to zrobiłeś teraz. I powściągając swą dumę, pamiętaj o Weronice, która udowodniła nam, że może wcale nie jesteśmy pępkiem materii i że wcale nie jest pewne, czy w ogóle bierze nas pod uwagę w swym dążeniu do samopoznania.

Otwarłem usta, by coś powiedzieć, ale znów przerwał mi, wyraźnie usiłując zakończyć nasz spór jakimś żartem.

– W naszym pełnym paradoksów świecie należy również pogodzić się z paradoksalnością w rozwoju naszej wiedzy. Błędna myśl, na przykład, ma równie pozytywną wartość jak słuszna. Jest nawet cenniejsza. Przecież już Engels zauważył, że poznanie nasze zawsze pozostaje poznaniem przybliżonym. Tym samym słuszna myśl będzie zawsze tylko względnie prawidłowa, podczas, gdy błędna będzie zawsze absolutnie błędna. Tworzone przez nas błędne hipotezy oszczędzają błędzenia naszym następcom, tym samym czyniąc ich mądrzejszymi. A to przecież niemało, prawda?

Oto jak mój ojciec, skądinąd nigdy nie stroniący od jakiegokolwiek dysputy naukowej, kończył każdą moją próbę zainteresowania go dziećmi

i zmuszenia do pomocy. Początkowo intrygowało mnie to i martwiło, potem wybaczyłem mu. Nie można rzeczywiście przeskakiwać z problemu na problem, bez dotarcia przynajmniej do jądra jego istoty, a jeszcze mniej usprawiedliwione jest omijać problemy, gdy mały stan liczebny zespołu naukowego i pierwszy jego obowiązek – fizyczne ocalenie – wymagają surowej konsekwencji w badaniach.

Podczas tamtej pierwszej rozmowy powiedziałem ojcu:

– Tak jak pięć rodzajów energii stanowi w rzeczywistości jedynie warianty tej samej energii...

– To wcale nie zostało udowodnione – przerwał mi. – Ani teoria o strukturze i zachowaniu wszechświata jako ciała stałego, na którą próbujesz się powoływać...

– Mam na myśli co innego – również nie pozwoliłem mu wypowiedzieć się do końca. – Chodzi o zlewanie się dzieci z przestrzenią. Wygląda na to, że i tu występuje wiele wariantów, sam zetknąłem się z kilkoma...

I opowiedziałem ojcu o swych wizjach podczas ekspedycji ku Weronice. Opowiedziałem także o uderzeniu magnetycznym, i o tym, jak Darian opuścił statek, jak wystrzelono mnie w awaryjnej torpedzie i jak obserwowałem wyciekanie przestrzeni... Opowiedziałem wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, ponieważ znów wierzyłem w niego, za sprawą dzieci i wyznania Heli o jej wizycie u mnie, o czym i mój ojciec teraz już wiedział. Nie opowiedziałem mu tylko o ostatnim szczególe swego widzenia.

– Przestań mącić mi w głowie – odburknął już nie tak żartobliwie. – Oczywiście, chcesz wymóc, abyśmy chcąc nie chcąc wzięli cię z sobą.

Był jednak bardzo zamyślony do końca kolacji. Heli spoglądała nań z niedowierzaniem, przyzwyczajona do jego wyśmienitego humoru podczas naszych wspólnych posiłków. Ojciec nie krył, że jest wyjątkowo zadowolony z nowej synowej i że nawet jest w niej po ojcowsku zakochany. Mrugnąłem do niej, by dać jej do zrozumienia, kto winien jest tego nieuprzejmego roztargnienia, a potem po powiedzeniu ojcu dobranoc, wyznałem jej przyczynę. Heli także знаła moje widzenie bez tego ostatniego szczegółu. Przytuliła się do mnie mocno, jakby nieustannie szukała ochrony przed czymś. Potem westchnęła: – I tak nie potrafię już opuszczać Ikarę, kiedy jestem z tobą. Nawet na Ikarze chodzę tylko od dzieci do ciebie, a od ciebie do dzieci. Widać również miłość stanowi przeraźliwie zamknięty układ, nieprzerwanie oddalający nas od innych...

Zdumiewającą logiką odznaczają się kobiety...

## Terra Secunda

### 1

Stoimy na tarasie widokowym – Heliana, Varius Lotz i ja. Taras jest pełen ludzi, a niebo nad nim i wokół niego pełne gwiazd i gwiazdozbiorów, galaktyk, mgławic, ciemnych i świecących obłoków. Ci ludzie dawno nie widzieli rozjarzonego nieba Ikara, lecz nie dlatego stoją tu teraz w podniosłym milczeniu. Wydostawszy się z objęć śmierci, przychodzili tu wiele razy. Po uroczystym powitaniu w przedsionku sektora anabiotycznego wielu z nich przyszło najpierw tutaj, by ujrzeć ponownie przestwór i chłonać wzrokiem nieobjętą i żywą wieczność. Wielu z nich wcale nie znam bądź całkiem zapomniałem ich twarzy, które wciąż jeszcze bardziej przypominają twarze nieboszczyków. Ludzie ci zachowują się jak nieprzytomni, uśmiechają się bez powodu do wszystkiego i wszystkich, ich ciekawość wobec jakichś całkiem dla nas zwyczajnych rzeczy bawi nas i drażni, tak jak śmiechy i męczy ciekawość dzieci. Stanowią, można rzec, drugą załogę Ikara, i choć nie błyszczą wśród nich takie sławy jak mój ojciec, jak Darian, jak Leonas czy Terin, nie przysiągłbym, czy jest to załoga słabsza. Po latach, spędzonych w komorach anabiotycznych, muszą jednak czuć się jak wskrzeszeni w innym świecie. Świat zresztą rzeczywiście jest inny, ponieważ startujący Ikar nie może nie różnić się od Ikara sposobiącego się do lądowania.

Wyprowadzonym z komór, jeszcze nieprzytomnym, wręczono mikrozapis obszernej pracy o długim tytule: „Motywy, strategia i taktyka osiedlenia się Ikara na drugiej planecie układu gwiazdy Esna”. Wręczono z propagandowym namaszczeniem, niemal jak urodzinowy prezent. Obdarowani nie wiedzieli, czy cieszyć się, czy żałować, że zbudzono ich ze słodkiego snu bez sennych majaczeń, by postawić przed tak doniosłą decyzją. A więc do tego dotarto po wieloletniej podróży, w której nie brali udziału! Powiedziano im z uprzejmym zniecierpliwieniem: porozglądajcie się, zobaczcie, do czego doszliśmy w tym czasie, pomyślcie i postanówcie, ponieważ zostało mało czasu. Po czym zażądamy od was jedynie jednego z dwu krótkich słówek... I teraz rozglądali się i uśmiechali głupkowato do wszystkiego i wszystkich, jak uśmiecha się człowiek, gdy pragnie ukryć, że czegoś nie słyszał lub nie zrozumiał.

Stoimy na tarasie widokowym – Heliana, uczepiona jest zwykle mojego ramienia, Varius Lotz, niezwykle osłabiony, choć ze wszystkich

wskrzeszonych najkrócej przebywał w komorze, i ja. Na tarasie jest wystarczająco jasno, ponieważ oświetlają go gwiazdy i galaktyki, a w ich zimnym, przezroczystym, błękitnym blasku usiłuję na bezkrwistych twarzach wyczytać to najkrótsze, lecz jak nigdy doniosłe słówko. Jutro odbędzie się głosowanie, jutro każdy z nas będzie musiał wypowiedzieć je raz i nieodwracalnie.

Salisa Gordala nie ma na tarasie. Z sektora anabiotycznego przeniesiono go prosto do szpitala, lecz jeszcze tamtego dnia wyczytałem na jego ogolonej wychudłej żółtej twarzy szczęśliwe „tak”. Z pewnością dlatego, że w „Strategii i taktyce zasiedlenia” napisano, że znosi się ograniczenia urodzin, przeciwnie: że wszystkie kobiety będą zobowiązane rodzić przez klonowanie cztery razy w roku dopóty, dopóki nie zaludnią nowej planety dziećmi. Gordal będzie więc miał wystarczająco dużo modeli, by praktycznie badać problem zabawy.

Przed chwilą były, teraz również wskrzeszony koordynator uściśnął mi serdecznie rękę, bez poczucia winy, ze zwykłą ludzką radością, że żyje i czeka go coś pięknego, wystarczy jedynie przytaknąć na znak zgody. A – według mnie powinien był choć trochę czuć się nieswojo, ale nie miałem mu tego za złe, było mi nawet przyjemnie go ujrzeć. To samo „tak” można było wyczytać na wielu jeszcze twarzach, które spotykałem w tych dniach, najczęściej jednak było to „tak” niepewne, „tak” pogodzone albo smutne. W żadnej nie wyczytałem „nie” – albo ukrywali, albo nie dojrzeli jeszcze do tego w pełni. Skąd zresztą wziąć tyle odwagi do egoistycznego „nie”, gdy ryzykujesz zostanie niemalże zdrajcą i mordercą ludzkiej cywilizacji?

Motywy zasiedlenia rozpoczynały się właśnie od tej dobrze wykalkulowanej groźby, włączano ją nawet w dwu wariantach. Pierwszy głosił: jeśli Weronika rzeczywiście przeszła obok naszego Układu Słonecznego, nie mogła nie wyłowić swymi zdumiewającymi zmysłami obecności w nim wysoko rozwiniętej cywilizacji. (Wszak odnotowała również jakąś stację na jednej z komet!) I nie mogła nie przekazać tego tam, gdzie wysyłała swe automatyczne informacje. My zaś nie wiemy ani gdzie, ani komu, ani czy po jakimś czasie nie oznacza to wojny niosącej Ziemi zagładę. Dlatego Ikar obowiązuje jest stworzyć drugi ośrodek ludzkiej cywilizacji lub przynajmniej rezerwowej placówki o wystarczającym potencjale ludzkim i materialnym. Może on jednak zostać stworzony jedynie na wielkiej planecie, przy której Ikar pozostanie jako dodatkowo wysunięty posterunek. Możliwe oczywiście, że po latach zostaną odkryte bardziej odpowiednia planety niż ta, zmuszeni jednak jesteśmy spieszyć się...

Drugi wariant motywów dopuszczał naiwny optymizm, że Ziemia pozostała nie zauważona przez Weronikę. W takim przypadku Ikar, który natychmiast przerwał wszelką emisję w kierunku Ziemi, znów nie miał prawa powrotu przynajmniej przez dłuższy okres. Nie powinien także szukać żadnej z nią łączności, dopóki nie zrozumiemy, co czeka nas ze strony tej cywilizacji, która skonstruowała automatyczną Weronikę. Aby to – zrozumieć, należało także pozostać gdzieś tutaj w pobliżu, gdzie miało miejsce spotkanie z Weroniką, by okopać się na pozycjach, jak mawiali niegdyś żołnierze, i poszukać bezpośredniego kontaktu z tą cywilizacją, biorąc na siebie ryzyko pierwszego kontaktu. Ku Ziemi powinno się wysłać mały statek załogowy, który powiadomi ją o tym, co zdarzyło się z nami.

Oczywiście motywy mówiły również o wielkości nagromadzonej wiedzy i problemów, których nie jesteśmy w stanie rozwiązać, o dojrzewających konfliktach psychologiczno – społecznych na samym Ikarze, lecz ojciec miał rację.

– To najskuteczniej na nich podziała. Ikarzycy uwielbiają poświęcać się dla innych.

Właśnie rozpatrywaliśmy przy śniadaniu dopiero co otrzymany plan. Włożyliśmy mikrozapis w pokojowy poliwizor i na ekranie powoli pojawiły się słowa i wykresy.

– Cóż innego im pozostaje – powiedziałem. – To ich zawód. Ale ty mnie zadziwiasz. Zachowujesz się, jakbyś nie uczestniczył w preparowaniu tej dosyć płytkiej propagandy.

Już wypowiadając to, uświadomiłem sobie, że może jednak nie uczestniczył, bo jest przeciwnikiem osiedlania się, lecz z pewnością nie ma prawa mi tego powiedzieć. Wydawało mi się, że wiem nawet, dlaczego jest przeciw, a ponieważ nie wiedziałem tego, co Varius Lotz miał mi powiedzieć dwa dni później, ciągnąłem dalej:

– Tak, i wszystko zacznie się od nowa! Jak na Ziemi. Znów zbudują sobie jakiś labirynt, w którym będą nabijać sobie guza, szukając wyjścia, choć przecież zawsze istnieje nadzieja, że przytrafi nam się w drodze coś bardziej interesującego...

Ojciec wysłuchał mnie, uśmiechając się niemal złośliwie. – Zadaję sobie pytanie, w kogo wdałeś się z tym sprytem! W mojej rodzinie nie było takich. Tym razem jednak pomyliłeś się. Będę głosował za projektem. Uczestniczyłem także w jego opracowaniu. Nie możemy wałęsać się po kosmosie do wyczerpania wszystkich rezerw Ikara, jak potem osiedlimy się bez jego pomocy? Nigdzie nie znajdziemy

przygotowanej planety, wiesz o tym. Sami musimy ją sobie stworzyć. A kiedy się urządzimy, Ikar albo może jakiś nowy Ikar podejmie podróż.

Gniew jego nie był jednak zwrócony przeciwko mnie, próbowałem więc znów wcielić się w rolę spryciarza.

– Jeśli tak zależy wam na jednomyślności, będę również głosował za, choć wcale nie mam ochoty gdziekolwiek lądować.

Tym razem ojciec przytaknął mi, choć wciąż starał się utrzymać żartobliwy ton.

– Niegdyś ty pierwszy rzuciłeś myśl o lądowaniu, by stać się samodzielną cywilizacją, a teraz, ujrawszy projekt... Nie masz ochoty lądować, drogi synku, ponieważ zrozumiałeś, że trzeba tam będzie zdrowo popracować, ty, zaś, nie gniewaj się, jesteś trochę leniuchem.

Heliana zachichotała wówczas z tą zaskakującą złośliwością, jaką ujawniają nawet najbardziej kochające żony wobec swych mężów. Ale teraz wtulała się w moje ramię, jakby szukała w nim schronienia, i czułem całą jej niechęć wobec tej planety, która miała stać się naszą drugą ojczyzną. I którą niedługo po raz pierwszy mieliśmy ujrzeć.

Czy będzie nam dane ujrzeć?

Przed godziną ogólna sieć łączności na Ikarze podała, że zbliża się czas zrealizowania pierwszego eksperymentu z projektu włączonego w plan zasiedlenia, mającego potwierdzić słuszność wyboru właśnie układu Esny. Pierwsza ekspedycja, z którą udał się mój przyjaciel Lionel Redstar, składa się właściwie z samych inżynierów i konstruktorów, mających zbadać realność projektu.

Najbliższa Esny gwiazda, tak bliska, że obie stanowiłyby wspólny układ, gdyby były odrobinę większe, a może zresztą tworzyły układ, lecz nie znanego nam typu – to właśnie miano teraz stwierdzić... ta właśnie gwiazda była ciałem niebieskim, które mogło każdego astrofizyka wprowadzić w stan gorączkowego podniecenia. Wielkością równa Jowiszowi – ni to planeta, ni gwiazda, co dwadzieścia naszych dni kurczyła się nieco, przy czym jej wstydlivy rumieniec przekształcał się w silne dwudziestodniowe promieniowanie o stałej długości fali świetlnej i stałej fazie pulsacji w danym okresie. Choć wydawało się to niewiarygodne, udało nam się zetknąć z owym marzeniem ziemskich fantastów opartym na twierdzeniu, że skoro w galaktyce występują koherentne źródła fal radiowych, dlaczego nie miałyby istnieć także źródło koherentnego światła! Jednym słowem: odkryli naturalny laser o mocy, jakiej ludzkości z pewnością nigdy nie uda się osiągnąć. Potem inżynierowie odkryli coś jeszcze; w przepastnej pamięci Ikara znajdowały

się projekty zrealizowania transmisji z wykorzystaniem podobnego lasera. Opracowano to w jakimś klubie fantastyki naukowej w prezencie dla ekspedycji. Podobnych zresztą prezentów Ikar dostał bez liku, ludzkość bowiem prześcigała się w jak najlepszym wyposażeniu go do wyprawy w nieznane. Tym sposobem jeszcze raz miał nam się przytrafić, jak się to mówi, udział w wydarzeniu historycznym!

Z pewnością nie było Ikarczyka, który teraz nie zerkałby choć jednym okiem ku poli wizorowi, włączonemu w ogólną sieć nadawczą, na tarasie zaś tkwili tylko ci, którzy nie mieli co robić i nie mieli dyżurów. A nie miała pracy na Ikarze tylko jego wskrzeszona z komór anabiotycznych załoga rezerwowa, której pozwolono wpierv dojść do siebie, zanim znów zakaszę rękawy. Stali z martwymi twarzami, w milczeniu spoglądając na gwiazdy i galaktyki i na ciemne lub jasne obłoki kosmicznego pyłu – pyłu byłych lub przyszłych gwiazd. Patrzyli na nie jakoś niesamowicie, jakby usiłowali, niczym starożytni wieszczbiarze w proroczym natchnieniu, odczytać z ich kształtów swój przyszły los.

– Jak będziesz jutro głosował? – zapytałem Variusa Lotza, ponieważ ciążyła mi pełna napięcia cisza. Przyszedłszy na taras na długo przed wyznaczoną godziną, zamienialiśmy od czasu do czasu parę słów, lecz milczenie innych kazało nam również umilknąć. – Zdecydowałeś już, czy także czekasz, by zobaczyć, jak wygląda druga Ziemia?

W rozdany nam planie opisany był szczegółowo układ gwiazdny i jej druga planeta, ale dokładnymi zdjęciami jeszcze nie dysponowano.

– Będę „za” – odparł nie odrywając wzroku od nieba. – Gdy włączyłem się w ciąg ostatnich dni po Ikarze, drogie dzieci, dostrzegłem coś, czego wcześniej nie zauważyłem. Ikarczykom już trochę obrzydły cuda kosmosu, mają ochotę odpocząć. I im, jak teraz mnie, chce się pożyć życiem prostym i pracowitym. Orać ziemię, kopać tunele, stwarzać jeziora, lasy i placyki zabaw dla dzieci...

Rozprostował ramiona, aż zatrzeszczały mu stawy, nie osiągnąwszy jeszcze dawnej elastyczności.

– Pracowite – owszem, ale proste? – odpowiedziałem i przenieśliem ciężar ciała na drugą nogę, ponieważ przesadnie oparłem się na ramieniu wtulonej we mnie Heli.

Dane w projekcie zasiedlenia wskazywały, iż planeta zawiera w swym wnętrzu wszystko, co potrzebne będzie przyszłej wysoko rozwiniętej cywilizacji, lecz dopiero po dziesięcioletniej nieludzko wyteżonej i wynalazczej pracy człowiek zdoła wyjść ze swego podziemnego miasta bez skafandra, by pochodzić po młodej trawce pierwszej stworzonej przez



siebie polanki.

Esna należała do klasy gwiazdowej C-4, miała 82% masy Słońca, jej moment kątowy był także mniejszy, co plasowało ją jeszcze niżej według krzywej Głównej Konsekwencji w klasyfikacji gwiazdowej. Była starsza i zimniejsza, lecz trwalsza i spokojniejsza. Jej druga planeta, na której mieliśmy osiąść, znajdowała się korelatywnie w tej samej odległości co Ziemia od Słońca. I ona była odpowiednio mniejsza, zarazem o mniejszym – sądząc po jej polu magnetycznym – ciekłym jądrze, które za to nie niepokoiło tak jej pustynnej powierzchni. Występowało na niej wiele związków organicznych i woda, otulona zaś była atmosferą wystarczająco chroniącą ją przed promieniowaniem kosmicznym; dlaczego nie wykształciło się na niej życie, powinni odpowiedzieć ci, którzy wyruszyli szukać życia w galaktyce. Była dwudziestą ósmą przebadaną przez nas planetą, znajdującą się w ekosferze swej gwiazdy – wszystkie gwiazdy klasy F, G i K. I ta, jak pozostałe, była jakiś milion lat starsza od Ziemi, i ona miała warunki, w których powinno było pojawić się życie, więcej lub mniej podobne do życia na Ziemi. Dwadzieścia osiem razy wzdychali z rozczarowaniem zwolennicy optymistycznej teorii o pochodzeniu życia, dwadzieścia osiem razy smutno triumfowali pesymiści, uważający, że pojawienie się życia jest sprawą czystego przypadku, wynikiem splotu milionów czynników, nie tylko kilku podstawowych, i mało prawdopodobne, by czynniki te połączyły się powtórnie w galaktyce, a cóż dopiero w tej małej jej odnodze, którą zbadaliśmy. Tylko pomnożony przez nieskończoną liczbę światów przypadek ów może znaleźć potwierdzenie w swej powtarzalności gdzieś we wszechświecie. Weronika sprawiła, że tak jedni, jak i drudzy wstrzymali oddech w pełnym napięcia oczekiwaniu. Lecz Weronika nie mogła i z pewnością nie będzie chciała powiedzieć nam, jak i gdzie dokładnie pojawia się życie. Wciąż jeszcze spala mnie pragnienie, by pognać za nią, by zapytać ją o wszystko, zarazem jednak myślę, że także ten problem przyjdzie pewnie rozwiązywać wiecznie, tak jak na zawsze skazani jesteśmy rozwiązywać problem nieskończoności wszechświata.

## 2

– Powiedziałem „proste” w sensie jasnego i osiągalnego celu naszego wysiłku – sprecyzował ugodowo Varius Lotz... – Nawet po tylu latach przebywania w kosmosie myśl o jego nieskończoności nie przestaje nas przytłaczać. Wciąż mamy ochotę ujrzeć przed sobą finał, jakiś kres...

Po wyjściu z komory Varius Lotz ukrył się przed wszystkimi. Nie wrócił do żony, zamieszkał w nowym mieszkaniu, wyłączył wszystkie urządzenia do kontaktowania się. Wyraźnie nie przestawał uważać zahibernowania go za niesprawiedliwe, zarazem jednak przez wszystkie te dni zapoznawał się ze wszystkim, co wniosła w nasze życie Weronika i co wnosił teraz projekt zasiedlenia drugiej planety Esny. Choć przebywał w komorze anabiotycznej śmiesznie krótko w porównaniu z ludźmi na tarasie, jego karne tam przebywanie wymagało od niego nie przystosowania się do czegoś nieznanego, jaku tamtych, lecz albo okopania się na dawnych pozycjach, albo całkowitej ich przebudowy. Na czwarty dzień sam odszukał mnie i od godziny oboje, Heliana i ja, musieliśmy wysłuchiwać jego samokrytyki. Wyjawszy nas, wciąż jeszcze stronił od Ikarczyków, nie kryjąc swej urazy, ale był już innym człowiekiem. A przylgnął do nas dlatego, że zajmowaliśmy się dziećmi, które w rzeczywistości stały się powodem jego bolesnego zerwania z Ikarczykami. Lecz wtedy, na tarasie widokowym, jeszcze nie wiedzieliśmy tego – powiedział nam to następnego dnia i położyło to kres jego samokrytyce, ponieważ rada astronawigatorów zobowiązała go do zajęcia jednego z najbardziej odpowiedzialnych stanowisk w dowództwie zasiedlania.

Na prośbę rodziców Varius Lotz zajął się osobiście leczeniem dwu chłopców, trzyletnich bliźniąt, które od urodzenia były nienormalne i którym żadna interwencja lekarska nie zdołała pomóc. Dzieci wątłe, umysłowo wyraźnie opóźnione, rosły wolno, prawie nie potrafiły mówić, nie miały apetytu, a ich apatia wobec wszystkiego była apatią kretynów. A jednak nie były kretynami, nie były także oligofrenikami. Lotz odtworzył przebieg badań, sam odnotował ponownie wszystkie anomalie i zagadki wątych organizmów bliźniąt, które wprowadzały zamęt w najdoskonalszych robotach diagnostycznych, a pewnego dnia wpadło mu na myśl, by poobserwować je w warunkach braku ciężenia, dla sprawdzenia, jak podobny wstrząs odbije się na funkcjach ich organizmów. Zaprowadziwszy jedno z bliźniąt do sali treningowej, podłączył je do wszelkiej przenośnej aparatury, po czym włączył instalację antygravitacyjną. I wtedy stało się coś niesamowitego: w chwili, gdy odwrócił się, by wrócić do dziecka, chlusnęło mu w twarz jakby ciekłe powietrze, powalając swym potwornym zimnem. Przekoziołkował, resztką instynktu odepchnął się od czegoś, dobiegł do drzwi, otworzył je i wydostał się na zewnątrz. Oślepiiony, w stanie nieważkości. Oczywiście gdyby była to temperatura ciekłego powietrza, Varius Lotz nie stałby teraz

obok nas, ale przecież jego powieki, piersi i całe drogi oddechowe wskazywały na silne odmrożenie, mimo iż znajdował się dosyć daleko od dziecka. Przypominam sobie, było to, zanim wyruszyłem ku Weronice, że długo wtedy chorował, lecz nikt nie wiedział dokładnie, co mu jest – mówiono o awarii skafandra podczas przebywania poza Ikarem.

Varius Lotz zdołał jednak dojść do siebie, wyłączyć z zewnątrz osłonę antygravitacyjną i skonstatować coś przerażającego: bliźniak nie tylko nie był martwy od zabójczego zimna, ale w ogóle znikł. Tam gdzie leżał, wały się jedynie uszkodzone przyrządy medyczne. Ich przezroczyste części były popękane, metalowe powierzchnie pokryte warstwą parującego lodu, kabelki i płytki przewodnikowe połamane. A nagie dziecko jakby wyparowało, tak jak gwałtownie wyparowywała ze ścian sali treningowej lodowa pokrywa... Varius Lotz, oszalały, szukał dziecka tak długo, dopóki mógł utrzymać się na nogach. Upadając, zdążył jeszcze wezwać przez kieszonkowy poli wizor Terina, wykrztusić parę bezładnych słów, by zgłosić mu co się stało, i stracił przytomność.

Opowieść była tak nieprawdopodobna, że mimo symptomów odmrożenia, mimo iż przyrządy miały wygląd, jakby zanurzono je w ciekłym tlenie, Terin, mój ojciec i pierwszy koordynator – jedynie oni zostali wprowadzeni w to, co się zdarzyło – nie uwierzyli w nią. Jedynym sposobem, by odeprzeć narzucające się nieodparcie podejrzenie, że Lotz w jakiś sposób pozbył się dziecka, a dla usprawiedliwienia zmyśla niedorzeczności albo też po prostu zwariował, było powtórzenie doświadczenia. Sam Lotz domagał się tego, twierdząc, że przestępstwem byłoby właśnie zatajenie prawdy i odmowa obserwacji przynajmniej jeszcze raz zjawiska, które zaliczyć można do cudów.

Po wyzdrowieniu Lotza pierwszy koordynator, mój ojciec i Terin, obwoławszy się komisją, zabronili na pewien czas wstępu do sali treningowej, ogłaszając, że jest skażona. Zainstalowali, w niej różne kamery i przyrządy, lecz już z tych przystosowanych do pracy w warunkach kosmicznej próżni. Opasali tym samym sposobem i tymi samymi przyrządami drugiego bliźniaka, tak jednak, by sam nie mógł się z nich uwolnić, po czym wyszli z sali, zamknęli hermetycznie drzwi i włączyli osłonę antygravitacyjną. Ani kamera telewizyjna, ani nadajnik radiowy nie przekazały niczego prócz trzasku, który trwał 15 minut. Po wyłączeniu osłony antygravitacyjnej otwarli drzwi. Uległszy namowom Variusa Lotza, byli w skafandrach. Termometry na rękawach skafandra już przy drzwiach wskazywały około 190 stopni w skali Kelvina, to jest 83 stopnie poniżej znanego powszechnie punktu, przy którym zamarza woda.

Wpierw wszyscy czterej spojrzeli jednak ku miejscu, gdzie leżał drugi bliźniak. Nie było go. Nigdzie nie odkryli nawet jego śladu. Aparatura medyczna była uszkodzona w ten sam sposób, od nagłego spadku temperatury, która, sądząc z rodzaju uszkodzeń, musiała być w tym punkcie sali treningowej przez pewien czas kilkakrotnie niższa.

Całkowicie skonsternowani wyszli na zewnątrz, zamknęli czarodziejską salę i ściągnęli hełmy. Jedynie ojciec zachował na tyle panowanie nad sobą, że wychodząc wyciągnął kasetę z jednej z kamer filmowych. Uciekając od siebie wzrokiem, posiedzieli w milczeniu, potem ojciec mój zaproponował, by pójść do niego sprawdzić, co zarejestrowała kamera. Zdjęcia były dobre, mimo iż w dziwnie zagadkowy sposób ta sama kamera przedtem nie przekazała na ekran zewnętrzny ani jednego wyraźnego kadru. Na filmie widać było, jak wątłe dziecko leży nieruchomo, prawie bez życia. I jeszcze, jak w chwili włączenia nieważkości, jeśli tak można nazwać lokalne wyłączenie grawitacji, lekko poruszyło rączkami, próbując się podnieść: ciało jego jakby poróżnowiało od wysiłku, różowość przeszła w dziwne rozżarzenie, a sala zagadkowo pociemniała – dziecko jakby wchłaniało w siebie światło pomieszczenia. Nie tylko światło, lecz także jego temperaturę. Dystansowy termometr na kamerze, która automatycznie włączyła się na zapis podczerwieni, zarejestrował w chwili ostatecznego zniknięcia dziecka najniższą temperaturę – trzy stopnie Kelvina, tylko trzy stopnie poniżej absolutnego zera, lecz po jednej dwudziestej sekundy temperatura w tym miejscu jak i w całym pomieszczeniu zaczęła szybko wzrastać.

Zniknięcie ciała jak przy anihilacji – przy czym nie następowało oddanie temperatury, wręcz przeciwnie – było równie zdumiewające jak samo zniknięcie dziecka. Wszyscy milczeli, tylko Varius Lotz westchnął ze smutnym triumfem:

– Przekonałem was!

– Jak mogliśmy tak, nie przygotowani... jak dyletanci... taki eksperyment... niech to diabli... lecz kto przypuszczałby, że...

Terin westchnął ciężko.

– Jak powiadomić rodziców, że uśmierciliśmy także ich drugie dziecko!

Koordinator, ten, który w imieniu barbarzyńców odgrażał się cywilizacji Weroniki, powiedział.

– Zostawcie to mnie. Znajdę sposób, by przekonać ich, aby nie przejawiali zbytnej ciekawości. Zresztą nie ma powodu aż tak rozpaczać po tych kretynkach. Ważniejsze, aby zachować to w absolutnej tajemnicy. Lotz, niech pan wyciągnie wszystkie przyrządy z sali. Każdy pogłowi się

sam nad tym, co widział, a po kilku dniach zbierzemy się znowu, teraz nic więcej sobie nie powiemy.

Idąc po przyrzady, Varius Lotz bez jakiegoś określonego zamiaru opieczętował drzwi sali treningowej medycznym rozporządzeniem i wiedziony wciąż niejasną nadzieją, że zdarzy się coś jeszcze, włączył ponownie osłonę antygravitacyjną. Zaczęło się bezpłodne „głowienie się”. Jediną pożyteczną pracą, jaką rzeczywiście wykonali, było ponowne przebadanie wszystkich dzieci. Wśród nowo narodzonych i młodszych, urodzonych w sposób naturalny, odkryli jeszcze dziewięcioro o podobnej kondycji psychofizjologicznej. Pokłócili się, czy mają prawo poświęcić następne dziecko, skoro rysowała się przed nimi ta sama perspektywa, że nic nie rozumieją, odłożyli więc eksperyment, rzekomo, by lepiej go przygotować, w rzeczywistości z obawy przed nowym morderstwem, a piątego dnia Lotz, który każdego dnia w tajemnicy zaglądał do sali treningowej, krzyknął do swego kieszonkowego poli wizora:

– Są dzieci!

Przybiegli i zastali go uszczęśliwionego, siedzącego na podłodze przed salą treningową. Otworzyli drzwi, mroźne powietrze uderzyło w nich twardością metalu, lecz dzieci nie było. Jedyne obecność tego zimna w środku, które jakby niewiadomą drogą przedostało się z kosmosu do sali treningowej, powstrzymało ich, by nie rzucić się na kolegę z oskarżeniem, że kpi z nich. Sam Lotz zaś o mało się nie rozplakał.

– Były tutaj! Gdy otworzyłem, były w środku, bawiły się, goniły się, nigdy nie widziałem, by bawiły się tak wesoło, w środku było ciepło.

Zamknęli ponownie salę, wniósłszy do niej uprzednio dwa małe tele – i radionadajniki z tych najodporniejszych, w które wyposaża się sondy badawcze do pracy w każdych warunkach, i zaczęli dyżurować. Nadajniki niczego jednak nie przekazywały, ściślej, przekazywały normalny wygląd pustej sali treningowej, a gdy kiedyś nieoczekiwanie uszkodziły się, gdy obraz znikł, a radio mocno zatrzeszczało, mój ojciec – on wtedy dyżurował – znalazł się nad salą, wyłączył osłonę antygravitacyjną, i otworzył drzwi. Bliźnięta padły na ziemię zaraz potem, gdy ojciec zdążył dostrzec je biegające i jak nigdy roześmiane. Nagłe włączenie normalnej dla Ikara grawitacji poraziło je tak, że w żaden sposób nie udało się przywrócić im życia.

W dokumentacji świadomie zapomniano wpisać, kto pełnił wówczas dyżur, dowiedziałem się tego także od Variusa Lotza. I pojąłem przyczynę rezygnacji ojca z dalszego zajmowania się dziećmi, dziwną jego nerwowość, gdy rozmawiałem o nich z Helianą. Niełatwo żyć ze

świadomością, że jest się mordercą dzieci. Wystąpił z komisji, domagał się osądzenia go, ale wszystko przemawiało za tym, by zająć się zatuszować. Zresztą rodzice bliźniąt nie domagali się wyjaśnień. Byli zadowoleni, że pozwolono im mieć następne dziecko, oczekiwali go z nadzieją, iż okaże się zdrowe. Mając na względzie dalsze badania, pierwszy koordynator i Terin bez rozgłosu załatwili, by jeszcze tuzinowi małżeństw zezwolić na posiadanie dzieci nie przez klonowanie. W trzecim miesiącu, znów w ścisłej tajemnicy, embriony zostały wyjęte z macic matek i przeniesione w tajny sektor oddziału porodowego. Już wtedy wykazywały wszystkie anomalie organiczne, stwierdzone u bliźniąt. W tym czasie dokonano jeszcze jednego eksperymentu – z najstarszym chłopcem – Erkim. Erki znikł, lecz wrócił po dwu godzinach. Potem znów zniknął i wrócił. Ostrożnie przywracano grawitację w sali, więc chłopczyk bez specjalnych trudności wrócił do swego normalnego stanu. Lecz... co właściwie było jego normalnym stanem, skoro w nieważkości wyraźnie czuł się lepiej i nawet płakał przy włączaniu osłony antygravitacyjnej? Czy należało spodziewać się, że wszystkie czekające jeszcze na wyjście z komór porodowych dzieci będą mieć te same cechy – razem dwadzieścioro dzieci, wszystkie poczęte w sposób naturalny. Było to już wydarzenie wielkiej wagi, z jakim dotąd ani na Ikarze, ani na całej Ziemi się nie zetknięto. Jeśli nie było czymś przypadkowym, równać się mogło przez swe rewolucyjne znaczenie z pewnością tylko z ową nieuchwytną i nie potwierdzoną dotąd chwilą, gdy nieznaną małpa przekształciła się w znanego człowieka.

W co jednak przekształcił się teraz człowiek?

Z Helianą nazywaliśmy to między sobą „złaniem się z przestrzenią” nie rozumiejąc pod przestrzenią ani kategorii filozoficznej, oznaczającej ów czwarty wymiar, w którym istnieje materia, ani matematycznego absolutu, ani tradycyjnego, powszechnie używanego pojęcia. Całkiem naiwnie i oczywiście nieściśle ochrzciliśmy tym słowem owo znane i nieznanne pole znanych i nieznanych sił kosmicznych, które – byliśmy o tym przekonani – stanowiły nie tylko większą, ale i istotną część wszechświata, ściślej, były samym wszechświatem, w którym materialna forma substancji okazywała się jedynie nędzną cząstką – tak jak w keksie z rodzynkami czy migdałami istotny jest keks, a nie tu i ówdzie wetknięte bakalie. „Zlewanie się z przestrzenią” było równoznaczne ze zlewaniem się z wszechświatem, a to oczywiście niepokojąco przypominało mistycyzm starożytnych. Wszak owi mistycy nieodmiennie pojawiali się zawsze wtedy, gdy brakowało ścisłych terminów na określenie zjawisk związanych

z tajemnicami życia? A może w niektórych przypadkach wyrażali przecucie procesów, które nie mogły wystąpić w pełni w zamknięciu stacjonarnego ciała albo dokonywały się rzadko, więc były obwoływane cudami?

Tak naprawdę to wymyśliła to pojęcie Heliana, ja tylko je zaakceptowałem, ponieważ ona lepiej „wiedziała”, jak porusza się w przestrzeni człowiek w takim stanie. To ona także zaproponowała, by wydzielono pomieszczenie dla dzieci na krańcu Ikara, gdzie znajdują się specjalne laboratoria automatyczne w warunkach zmniejszonej grawitacji lub całkowitej nieważkości i próżni produkujące specjalne stopy i kryształy do zapisów holograficznych. Zastanawiając się, kogo jeszcze dopuścić do przerażającej tajemnicy, ponieważ potrzebny był pomocnik do opieki nad dziećmi, Terin wybrał Helianę z racji owego znaczka obserwacji, postawionego przez Lotza w jej medycznym dossier. U Heliany występowało kilka zbieżnych z obserwowanymi u dzieci anomalii we krwi i układzie komórek. Długo opierała się, wreszcie Terin zdołał wydrzeć jej tajemnicę, dając słowo honoru, że nie będą wymagać od niej niczego innego, jak tylko pomocy w wychowywaniu dziwnych dzieci.

Wtedy właśnie rozgorzał konflikt z Variusem Lotzem. Stwierdziwszy, iż dwadzieścioro dzieci ma te właściwości, Lotz domagał się natychmiastowego podania tego do powszechnej wiadomości, zniesienia zakazu naturalnych urodzin i poniesienia klonowania, jako działania wbrew naturze, utrudniającego naturalny rozwój. Zjawisko, według niego, stanowiło skok mutacyjny, narodziny cywilizacji typu galaktycznego, po dotychczasowej cywilizacji typu planetarnego, spontaniczne pojawienie się „człowieka kosmicznego” i tak dalej. Wiadomo nam z antropologii, że pierwszym warunkiem powstania mózgu i początku jego rozwoju była trójwymiarowa przestrzeń, potem doszła ręka, ustrój społeczny, system sygnalizacji. Obecnie myśląca materia, według Variusa Lotza, przechodziła od życia w trzech wymiarach do życia w czterech wymiarach i nie należało przeszkadzać nowej mutacji, lecz pomagać jej. Zadanie to winno zdecydowanie wyprzeć wszystkie inne cele wyprawy Ikara, ważny pozostawał jedynie obowiązek szybkiego i bezkolizyjnego przekształcania się w taką właśnie cywilizację typu kosmicznego czy galaktycznego. W tym samym czasie Lotz zaczął roztaczać także przed młodzieżą owe, jak opowiadano mi, mgliste proroctwa z wcale niemglistymi aluzjami do niezwykłego wydarzenia. I szantażował wręcz komisję, że jeśli będzie się nadal wahać, poda informację na własną odpowiedzialność. Wiadomo, iż

Varius Lotz ani z racji stanowiska, ani z charakteru nie jest człowiekiem, któremu można zamknąć usta jakimś zarządzeniem. Dopiero po prostu zaczęto się na niego i przemocą zahibernowano.

Dziwne, dlaczego ten przecież mimo wszystko lotny i potężny umysł nie był w stanie pogodzić się wówczas z tym, co dziś, na tarasie widokowym było takie oczywiste dla każdego? Czyżby spotkanie ze śmiercią w komorze anabiotycznej odmieniło go tak, jak mnie odmieniło spotkanie z Weroniką? I choć wciąż jeszcze stronił od Ikarczyków, w nim także zbudził się ikarski patriotyzm. Może dzieci nasze przekształcają się w jakąś własną cywilizację i opuszczają nas, co jednak stanie się z naszym 50 – kilometrowym Hidalgiem w obliczu poważnej, nieznannej groźby? Co stanie się z odległą, drogą nam cywilizacją zwykłego planetarnego typu, która nas tu wysłała? W dniach oczekiwania i teraz, w gorączkowych ostatnich minutach, znów jednoczył nas wszystkich pełen słodkiej udręki oczekiwania lęk o przyszłość Ikara.

### 3

Druga planeta w układzie Esny pojawiła się niezauważalnie. Spóźnienie i zmęczenie od nieustannego wypatrywania sprawiły, że nasz entuzjazm opadł, że podjęliśmy ponownie rozmowy z ostatnich dni, jak dokona się to wszystko, czy zdadzą egzamin amatorskie ziemskie projekty, czy stu ludzi zdoła uporać się z podobnie gigantycznym zamiarem, czy możliwe jest w ogóle otrzymanie interferencyjnego obrazu, skoro ta gwiazda – laser wysyła promienie na nieograniczoną odległość we wszystkich kierunkach, co wpłynąć musi na siatkę dyfrakcyjną i tak dalej. Zaznajomieni z techniką holograficzną mówili, naturalnie, więcej, tym samym zdradzając tylko bardziej kwieciste swą niewiedzę. Wybuchwały także spory, tu i ówdzie słychano się podniesione głosy, niedawni nieboszczycy stopniowo nabierali wigoru, krew poczynała krążyć żywiej po wieloletnim zastoju i z pewnością spory stałyby się jeszcze bardziej zajadłe, gdy ktoś nieoczekiwanie zawołał:

– Jest!

Jest! Tkwiła tam jak przyszpilona do czarnego tła ciemnego pylnego obłoku, w otoczeniu gwiazdek, sama – ogromna, o najmniej trzech metrach średnicy, spowita różowo-pomarańczowym blaskiem, przez który niewyraźnie przeziarały rozległe błękitne i czerwono-brązowe płaszczyzny. Tu i ówdzie kłębiła się nad nimi biała piana, rozprzestrzeniając się wolno i zmieniając barwę...



– Całkiem jak Ziemia! – zawołał triumfalnie jakiś dziewięcioletni chłopiec.

Ludzie na tarasie wiedzieli lepiej, jak wygląda Ziemia, lecz nie oponowali, ponieważ także szukali w tej chwili podobieństwa do niej – różnice będą odkrywać później. Usiłowaliśmy przypomnieć sobie, z jakiej odległości tarcza Ziemi miała trzymetrową średnicę, co i jak było wtedy na niej widać. Ja i Heli znaleźliśmy ją tylko z filmów, lecz ludzie na tarasie pamiętali ją właśnie taką z pożegnalnego okrażania w odległości stu tysięcy kilometrów od niej i ich ożywione teraz twarze, rozświetlone różowo-pomarańczowym blaskiem planety, były wzruszone jak wtedy, gdy z tego samego tarasu żegnali macierzystą planetę. Widziałem ich młodszych o dziesiątki lat, pewnych siebie i trochę lekkomyślnych, lecz czy można wyruszyć na podobną wyprawę bez owej zachwycającej pewności siebie i lekkomyślności młodzieńczego serca? Widziałem jednak także przezierający spod owej pewności siebie i lekkomyślności ból, tak jak niebieskie i brązowe bezkształtne połącze przezierały przez różowo – pomarańczową atmosferę tego odległego i obcego ciała niebieskiego. Milczenie nasze zlewało się z milczeniem próżni i westchnienie Variusa Lotza tuż obok wstrząsnęło mną jak wystrzał.

– Nie jest podobna do Ziemi. Ale piękna.

W jego westchnieniu nie było rozczarowania, a w słowach próby pocieszenia.

– Piękna – zgodziłem się machinalnie, choć nie wiedziałem, co niby ma być w niej takiego pięknego. – Byle tylko nie ochrzcili jej czymś równie idiotycznym jak Weronika.

Heliana wtuliła się jeszcze bardziej w moje ramię, jakby pragnęła skryć się przed blaskiem obcej planety, i pomyślałem, że może i głupio brzmi imię Weronika, ale dla mnie jest już Weroniką i kocham ją wraz z jej imieniem. Dlatego dodałem:

– Ikarscy poeci powinni wysilić się i wymyślić dla niej piękne imię, nieźle byłoby ogłosić konkurs...

Urwałem, ponieważ nagle zdałem sobie sprawę, jak nie na miejscu była ta paplanina pośród panującego wokół milczenia. Nie było to milczenie, ile powszechne pytanie. Ty, co masz zostać naszą nową ojczyzną, jaką ojczyzną staniesz się dla nas? Matką czy macochą? Przyjacielem czy złym tyranem, który wdusi nas w swe łono, przykuje do siebie łańcuchami, jak w głębokiej starożytności niewolników do galer?

Planeta nagle zadrżała, zakołysała się jak od podmuchu silnego wiatru, próbowała przybliżyć się i przybliżyła się trochę, stając się coraz większa,

lecz rozmyła się, zamglila, by ukazać się nagle w różowo-pomarańczowym blasku, który zalał całe niebo Ikara i wchłonął wszystkie gwiazdy galaktyki, i nic już nie było można dostrzec prócz blasku. Próba ustawienia tak hologramu, by widzieć detale planety, wyraźnie nie powiodła się. Wpatrywaliśmy się zażwawionymi od wysiłku oczyma, by wypatrzeć fragment przyrody, lecz już niczego nie można było rozróżnić, a odbity blask ognistymi kręgami zaigrał w naszych mózgach.

Ktoś za mną zawołał rozczarowany:

– Trzeba było tak zostawić!

Inny zaklął. Trzeci zaoponował:

– Słuchaj, przecież to zdumiewające! Wysłać hologram na podobną odległość! Ile to jednostek astronomicznych? I do tego na tak ogromny obiekt!

Wreszcie byliśmy w stanie myśleć także o innych sprawach, już uświadomiliśmy sobie doniosłość wydarzenia. To, co przedtem było powszechną, nieodłączną częścią naszego bytu – hologram ludzi i przedmiotów, tu nabrało nowego wymiaru nie tylko w dosłownym tego słowa znaczeniu. Sfotografować holograficznie całą planetę i przesłać jej obraz na miliardy kilometrów to osiągnięcie, którego znaczenie jako środka szukania kontaktu z inną cywilizacją dopiero teraz mieliśmy docenić!

Blask zaczął się jakby kurczyć, gasnąć i oddalać i ponownie dojrzeliliśmy zarys dysku – ogromnego, barwnego, choć jaskrawość barw przytłumiała biało-różowo-pomarańczowa otulina, zmieniająca intensywność barw i gęstość w zależności od odległości od równika i położenia planety względem Esny, która miała w przyszłości świecić nad naszymi głowami. Teraz dysk stał się mniejszy, z dziesięć centymetrów mniejszy z pewnością niż wtedy, gdy pojawił się po raz pierwszy, lecz znacznie wyrazistszy. Kontynenty zarysowały się plastycznie pośród błękitnej rozmytej gładzi. Nie przypominały ziemskich, zupełnie nie były do nich podobne, były jednak kontynentami – brązowo-czerwonymi kontynentami ze szczytami i dolinami, na które mieliśmy nanieść zielone plamy życia.

Ramię Heliany poderwało się tak, że niemal mnie uniosło.

– Co ci jest? – zapytałem.

– Nic – odparła, w tej samej chwili wybuchając szlochem.

– Heli, co ci jest?

– Nic, myślę o dzieciach. Są teraz na zewnątrz. Zastanawiam się, czy ją widzą, skoro są zlane z przestrzenią... Gdzie teraz się błakają, biedactwa?

Mówiła szeptem, by to, co mówiła, nie mogło być dosłyszane przez nikogo prócz Variusa Lotza, ale głos jej rwał się podejrzenie; złożyłem to na karb wysiłku, by mówić szeptem.

– Dlaczego biedactwa? – zaprotestowałem również szeptem. – Wręcz zazdroszczę im.

– Czego? – chlipnęła. – Jeśli teoria Lotza jest słuszna, maleństwa są teraz niczym innym, jak małymi neandertalczykami, które muszą przeżyć swą ewolucję wśród kto wie jak niehumanicznych warunków.

Roześmiałem się, bo bardzo komicznie to zabrzmiało – mali neandertalczyki! W nagłym przypływie miłości przytuliłem jeszcze mocniej swą mądrą dziewczynkę do siebie. Przytulałem jednocześnie ją i naszych osiemnastu neandertalczyków. Gdzie znajdowały się teraz dzieci? Nagie, bezdomne. A ta dwójka, która nie wróciła, której nie znałem? Przepadła wśród niebezpieczeństw czterowymiarowej dżungli czy też po prostu czuła się tam lepiej i zapomniała drogi powrotnej? Kiedy wypytywałem Erkiego, gdzie bardziej mu się podoba, tam czy na Ikarze, długo bał się nas obrazić, wreszcie przyznał się: nie mógł powiedzieć, co jest „tam”, lecz tam było mu lepiej. Nikt nie potrafi powiedzieć nam, co jest „tam” – czy mieliśmy kiedykolwiek tego się dowiedzieć? Czy nasi neandertalczyki rozwiną się kiedyś tak, by zdołać przenieść do nas wiedzę stamtąd? Czy też mieli pozostać nierealną, dziwaczną odnogą ewolucji skazaną na wymarcie? Czy dowiemy się kiedyś, co to takiego ta zdumiewająca „przestrzeń”, w której błędzą nasze dzieci, przestrzeń zdolna zatrzymać wszystko: od pyłku po bezkres, od bezcielesnego po to, czego jeden zaledwie centymetr sześcienny waży miliony ton. Ta „przestrzeń”, w której wszystko jest blisko i daleko? Jak ta nieznaną planetą, która zdaje się być tuż obok, że wystarczy przekroczyć taras, by stanąć na niej...

– Słyszysz? – Heli przerwała potok moich bezgłośnych pytań skierowanych jakby ku naszej przyszłej ojczyźnie.

Wysłuchałem się. Cicho, lecz z namaszczeniem z niewidzialnych głośników na tarasie – i jakby z samego nieba i od różowo – pomarańczowej planety – spływały na nas „Narodziny Ikara” – symfonia Majoli Beni. Kiedy się zaczęła? Wnosząc po rozwoju tematu – zanim jeszcze pojawił się hologram. Udany pomysł tych, którzy wstępnie rozstrzygnęli problem zasiedlenia i teraz przekonywali nas dodatkowo za pomocą drogiej każdej muzyki. Oto właśnie planeta Esny, dobra czy zła, podoba wam się czy nie, ale na niej już będą rodzić się przyszli Ikarzyści!

A Majola? Gdzie była teraz? Z pewnością i ona patrzyła w tej chwili na hologram i zadawała sobie pytanie: czy wraz z nową ludzkością zrodzi się na tej planecie nowa muzyka? Dziwne, że od tak dawna ani razu nie spotkałem jej na Ikarze! Kryła się przede mną czy też chodziliśmy różnymi drogami? Heli ma rację: miłość to zamknięty układ, który bezwzględnie oddala od innych.

– Zenonie – powiedziała nieoczekiwanie Heliana uroczystym głosem, współbrzmiającym z patosem muzyki – nie opuszczę dzieci.

– A któż każe ci je opuszczać? – odparłem i nagle poczułem, że wszystko we mnie zamiera.

Już nie szeptała, zresztą nie miała potrzeby szeptać. Ludzie na tarasie pochłonięci byli oglądaniem widokiem, własnymi myślami i tą odwieczną walką, jaką wiodą w duszy ludzkiej dwie wzajemnie wykluczające się tendencje – skłonność do życia osiadłego i ów koczowniczy instynkt, który rozproszył ludzkie plemię wpierw po całej planecie, a potem także poza nią. Nie, nikt nie interesował się w tej historycznej chwili naszą rozmową. Nawet Varius Lotz, zacięty obrońca tego, co w człowieku ludzkie, nawet jego twarz pogrążona była w podobnym zachwycie jak twarze innych.

– Cóż to za deklaracje? – powtórzyłem, ponieważ nie odpowiedziała mi od razu.

– Zapomniałeś? – powiedziała z ociąganiem, jakby przykro jej było, że podjęła tę rozmowę. – Jeśli dzieci znajdą się w układzie Esny, zginą.

Ogromna różowo-pomarańczowa tarcza planety, przed chwilą tak mi bliska, teraz zdawała się wyszczerzać do mnie w złośliwym uśmiechu i mówić: – No i co?

– Nie zginą powiedziałem po chwili, nie będąc o tym przekonany. – Będziemy je stopniowo przyzwyczajając.

– Wówczas utracą zdolność zlewania się z przestrzenią. Tak... jak ja ją utraciłam – Ostatnie zabrzmiało jak wyrzut pod moim adresem. Wysunęła się z przytulnego zakątka mego ramienia, który natychmiast wypełnił chłód. – Jestem pewna, że sama rada astronawigatorów nie dopuści, by dzieci utraciły tę zdolność. Nikt nie wybaczy nam czegoś podobnego...

– Cicho! – przerwałem jej.

Nie dlatego, by nie dosłyszeli tego inni. Oczywiście że nikt na to nie pozwoli. Troszczyliśmy się o te dzieci jak o coś najcenniejszego na Ikarze. Według wszelkiego prawdopodobieństwa pozostawimy je na specjalnej stacji na odległej wokółgwiazdnej orbicie, gdzie wpływ Esny będzie niemal nieodczuwalny, albo pozwolimy im samym szukać drogi

w galaktyce. Ktoś jednak powinien zajmować się nimi nadal.

Radosny nastrój, który ogarnął mnie na widok hologramu naszej przyszłej ojczyzny, przeszedł w zimne odrętwienie. Nie, nie będzie wspólnego dla nas domu. Niby kochała mnie nad wszystko, a oto... czyżby instynkt macierzyński, który niepotrzebnie w niej rozbudziłem, tak silnie przywiązał ją do dzieci? A może także wewnętrznie czuła się bliżej nich, więc w swym rozdarciu między dwoma światami bez wahania stawała po stronie drugiego? W rzeczywistości to ja miałem okazać się tym, któremu przyjdzie dokonać wyboru. Czy starczy mi sił i cierpliwości, by żyć na odległej orbicie, kiedy tam w dole, na tych niebieskich oceanach i czarno – brązowych kontynentach..

Słyszała wszystkie moje pytania – z pewnością dlatego, że rozbrzmiewały we mnie lodowym pogłosem przyszęłego bólu.

– Nie gniewaj się, kochanie. Nie mogę zostawić dzieci, sam rozumiesz. A poza tym... jak widzisz, nie jestem stworzona do życia na planecie, nie będziesz tam ze mną szczęśliwy. Może... może, gdy pożyję wraz z dziećmi poza układem, wróci mi dawna zdolność, ale nie powinieneś gniewać się na mnie, proszę cię.

Przyłgnęła do mnie całym ciałem i ukryła twarz w moich dłoniach. Poczulem na nich łzy.

– A ja? – zapytałem raczej siebie, ponieważ Heli albo miała mnie dosyć, albo chciała mi ułatwić wybór.

– Nie gniewaj się, proszę! Jeśli chcesz... zaczekaj na mnie trochę.. aż sprawdzę, co stanie się ze mną. Muszę... muszę, najpierw sprawdzić, co stanie się ze mną, w co się przemienię... poza tym dzieci... jeśli troszeczkę, troszeczkę na mnie zaczekasz..

– Chodźmy! – i prawie wyniosłem swą zapłakaną dziewczynę z tarasu.

Hologram drugiej planety w układzie gwiazdy Esny, która nagle tak obrzydła mi, że nie chciałem na nią patrzeć, pozostał za moimi plecami. Jeszcze przez dwadzieścia dni miał widnieć tam jej ogromny wizerunek jak drogowskaz i cel ostateczny, by natchnąć Ikarczyków do jeszcze wspanialszych czynów. Miał rozkwitać różowo-pomarańczowymi blaskami – gigantyczny słoneczny zajaczek – to tu, to tam w galaktyce, jak wyzwanie naszej cywilizacji rzucone wszystkim galaktykom. Jak nowa prowokacja ludzkości.

Prawdę, prawdę wam powiadam  
trzeba mieć jeszcze w sobie chaos,  
by zrodzić tańczącą gwiazdę  
(motto do pewnego starego utworu,  
który lubiła grać Majola Beni)

## Termodynamika duszy

### 1

Hologram drugiej planety w układzie Esny nie przestawał pojawiać się w tym samym miejscu przez dwadzieścia dni to wyraźniejszy, to bardziej zamglony. Przemieścił się o kilka milionów kilometrów, pojawił ponownie, ukazując raz jedną, raz drugą stronę, mimo to nie zdołał ucieszyć nas jakimś wyraźniejszym obrazem. Widać eksperymentowano jeszcze z innymi wariantami projektu, próbując go udoskonalić. Nie wątpiliśmy, że wreszcie im się powiedzie, nie umniejszało to jednak niecierpliwości zarówno Ikarczyków, którzy lecieli już dalej, jak nas, którzy oddalaliśmy się od niej. Tak chyba było lepiej – w ten sposób nadal skrywała swe tajemnice, pozostając tylko pięknym, różowo – pomarańczowym obszarem, który każdy mógł zaludniać własną wyobraźnią, własnymi zrodzonymi w samotności marzeniami. Nie miał jeszcze imienia ten obszar oświetlany spokojnym słońcem, przesłonięty bezpiecznymi białymi chmurami. Aż do naszego odlotu z Ikara pozostawał bezimienny. Rada astronawigatorów słusznie nie chciała działać pochopnie, czekając, aż imię samo się pojawi i przyjmie, nikt jednak nie spieszył z podaniem jakiegokolwiek propozycji nawet żartem. Doniosłość historycznej chwili paraliżowała dowcip ikarczyków.

Załoga naszego statku ekspedycyjnego całkiem logicznie nazwała ją Drugą Ziemią, czy też bardziej naukowo: Terra Secunda, ponieważ od obu oddalaliśmy się i z obiema – nie mieliśmy już łączności. Stopniowo jednak zasada zwięzłości językowej i emocje kazały nam określać ją zdrobniale Terriana – wszak planeta była mniejsza od Ziemi. Terriana przypominała mi jednak brzmieniem imię Heliana i za każdym razem, gdy ktoś wypowiadał tę nazwę, serce kurczyło się we mnie jak gwiazda w kolapsie grawitacyjnym.

Przepraszam za megalomańskie porównanie – to oczywiście żart, ale żarty żartami, a ja bardzo tęskniłem za Heliana. Nie tylko dlatego, że ją kochałem, ale dlatego, że pozostawiłem ją samą z jej tragicznym

rozdarciem między dwoma światami, bohatersko próbującą ustanowić przynajmniej jakiś kontakt między nimi. A oddalając się od Ikara coraz bardziej uświadamiałem sobie, że nie przestałem także kochać Majoli, tęskniłem więc za obiema. Wiedziałem już także, że nie tylko obowiązek kazał mi ruszyć za trzecią, że „losem” usprawiedliwiam częściowo również próbę ucieczki od chaosu własnych uczuć.

Gdy Terriana weszła na niebie Ikara i od razu spodobała się wszystkim, wywołując jednocześnie pierwsze dyskusje o jej przyszłym stroju, rada astronawigatorów postanowiła znieść wszelkie tajemnice ogólne i sektorowe. Przez kilka dni Ikarzycy chodzili jak nieprzytomni, przytłoczeni informacją o nie wyjaśnionych, przerażających w swej skali zjawiskach, przed którymi stanął na swej drodze Ikar. Po czym jednogłośnie opowiedzieli się za lądowaniem na drugiej planecie układu Esna-584. Głosowanie dowodziło ich strachu, panicznego szukania ciepłego i przytulnego schronienia przed niepojętym kosmosem. Tak, rada astronawigatorów wyśmienie wykalkulowała także tę reakcję.

W kilka dni po referendum, gdy pakowałem już swój bagaż, na ekranie w moim gabinecie służbowym pojawiła się Majola. Oczywiście jak wszyscy wiedziała już o mnie, o Helianie i o osiemnastorgu dziwnych dzieciach. Bardzo wzruszyłem się, prawie jak niegdyś, i nie ukrywałem tego. Dodało jej to widać odwagi, pominęła bowiem część kurtuazyjną – co słyhać, co robisz, dlaczego nigdzie cię nie widać, jak to możliwe, że dotąd się nie spotkaliśmy itd. – by oznajmić wprost:

– Zenonie, w naszych warunkach przestępstwem byłaby rezygnacja z potomstwa.

Pomyślałem, że triumfuje z powodu Heliany, i rozgniewałem się.

– Wiesz, że nigdy nie zachwycała mnie działalność rozrodcza na Ikarze. Dziecko dla mnie pozostanie zawsze owocem...

Przerwała mi szybko:

– Czy nie żywisz już do mnie żadnych uczuć?

Pytanie było nader brutalne, by je zadać, musiała poniżyć się ostatecznie. I poczułem, że wciąż jeszcze mógłbym być szczęśliwy z tą kobietą, że jedynie z nią mógłbym wylądować na Drugiej Ziemi, by żyć trudnym, lecz prostym i radosnym życiem, pomagać, by na planecie pojawili się ludzie i kwiaty, a w chwilach odpoczynku słuchać jej pieśni, z ich wieczystą wzruszającą tęsknotą za czymś innym. Jak długo jednak trwałoby dla mnie takie życie?

– Odlatuję, Majolu – odpowiedziałem.

– Wiem – uśmiechnęła się gorzko. – Znów masz zamiar uciec. Ale jak

mi wiadomo, tym razem nie są skłonni wyrazić zgody.

– Bądź spokojna, pozwolą!

– Jestem spokojna, Zenku – roześmiała się ponownie w podobny sposób. – Jestem zupełnie spokojna o przyszłość Ikara.

– Jesteś wciąż tak samo piękna – powiedziałem.

– Pociesza mnie to.

– Jak tam Sterius Młodszy? – domyśliłem się wreszcie, by o to zapytać, był to zarazem sposób na zmianę tematu rozmowy.

– Rozwija się świetnie. Mógłbyś kiedyś wpaść go zobaczyć.

– Mógłbym, oczywiście. Odezwę się przed odlotem.

Zamierzałem zakończyć rozmowę, by uniknąć pokusy, lecz nie przestawała wpatrywać się we mnie wielkimi ciemnymi oczyma i uśmiechać rozkosznie wykrojonymi ustami.

– Nie mogę doczekać się lądowania na tej planecie – powiedziała nieoczekiwanie, gdy wreszcie napatrzyła się na mnie w milczeniu, aż się zmieszałem. – Oby starczyło mi życia, abym mogła urodzić dzieci dla całej orkiestry – i dodała, zanim zdążyłem zareagować na prowokacyjny żart: – Przyjdę cię pożegnać, gdy będziesz odlatywał. Powodzenia, kochanie!

Heli jakby była obecna przy tej rozmowie, ponieważ tego samego wieczora oznajmiła mi podejrzenie rzeczowo:

– Rozmawiałam z Terinem, lada dzień powinien przedstawić radzie nasz problem. I on uważa za najrozumniejsze, bym pozostała z dziećmi na orbicie okołogwiezdnej. Przydzielą nam jakiś wysłużony statek zwiadowczy, odpowiedni dla mnie i dzieci... – Oczekała, aż zaprotestuję, aż powiem, że przyłączę się do niej, a nie doczekawszy się, ciągnęła dalej: – W tej sytuacji... moim zdaniem, najlepiej byłoby, gdybyś wrócił do Majoli. W ogóle źle zrobiłam, że was rozdzieliłam, skąd jednak mogłam wiedzieć, że...

– Wyruszą z ekspedycją – przerwałem jej z rozdrażnieniem, ponieważ doskonale o tym wiedziała. Spojrzała na mnie niby zaskoczona, samokrytyczna wielkoduszność nie była jednak w stanie przesłonić błysku kobiecej satysfakcji w jej oczach.

– Wygląda na to, że z nas trzech najbardziej kochasz Weronikę.

– Tak – przytaknąłem machinalnie, mając na myśli nie tyle jej twierdzenie, ile ciążącą mi tajemnicę.

– Tak? – Moja mała Heli roześmiała się równie gorzko jak Majola. Jak miałem ją przekonać, że nie mogę zrezygnować z Weroniki, tak jak ona nie może porzucić dzieci? Wcale nie dlatego, że Weronika była



w niebezpieczeństwie. Jak wyznać jej jeszcze, że strasznie się boję o siebie i o ekspedycję, że wolałbym zostać – obojętne, z nią na orbicie okołogwiezdnej, czy z Majolą na planecie, że z obiema byłbym szczęśliwy, może nie jednako szczęśliwy, lecz mimo wszystko szczęśliwy. Jak wytłumaczyć jej wreszcie, że nigdy nie będę szczęśliwy ani z jedną wśród gwiazd, ani z drugą pod ziemią, jeśli zrezygnuję ze sprawdzenia, co stanie się ze mną w pobliżu owej chmury?

– Tak – powiedziałem po raz wtóry.

Heli przestała się śmiać.

– O Weronikę nie potrafię być zazdrosna, nie, ale tej tam prawie nienawidzę!

I wskazała nieokreślenie na zewnątrz, wiedziałem jednak, że wskazuje na różowo – pomarańczową planetę, której pierwszym zadaniem było jakby dzielić ludzi.

Każdego Ikarczyka stawiała wobec wyboru „albo-albo”. Nie dlatego, że przerwała naszą podróż po galaktyce, będzie tylko przystankiem w naszej podróży, ale ponieważ całą swą wielobarwną pustką pytała nas, jak mnie urządźcie? Ziemia stwarzała sobie w ciągu – miliony lat trwającej ewolucji, włączyliście się dopiero pod koniec, by wszystko nieźle skomplikować, mnie jednak musicie urządzić od początku według uprzedniego planu. Czy stworzycie mnie jako wierną kopię Ziemi, czy też wymyślicie coś całkiem innego, niespotykanego?

Czekała nas wielka próba twórczej potęgi i wyobraźni, na razie był to jedynie powód niesnasek. Naturalne było, że starzy z bagażem cennych wspomnień z Ziemi pragnęli ujrzeć urzeczywistnione mirażę swej nostalgii. Naturalne było także, że najliczniejsze pokolenie, gwiazdowa rasa klonów, która nie tylko dominowała, lecz z biegiem czasu stała się homogeniczna, wyznając własne normy kulturalno – etyczne i estetyczne zamierzała narzucić własne pojmowanie przyszłego ustroju planety. Nie mniej naturalne było też, że i my, urodzeni na Ikarze, uważaliśmy się za powołanych do stworzenia drugiej Ziemi i do stworzenia czegoś nowego, nie zaś odtwarzania przeszłości Ziemi. Lecz oczywiście nie wiedzieliśmy, ani jak ma wyglądać taki nowy świat, ani od czego powinniśmy zacząć. Życie nie powstaje bowiem przez spekulację, lecz swobodna gra czasu i masy wyczarowuje jego obraz.

Choć sprawa dotyczyła każdego z nas, niewielu potrafiło zdobyć się jak Terin i mój ojciec, by wyznać z pokorą:

– Wy będziecie żyć na tej planecie, wy zatem powinniście ją urządzić. My, starzy, nie mamy tutaj prawa głosu.

I byli na tyle konsekwentni, by wyłączyć się każdy na swój sposób – ojciec, stając na czele ekspedycji na Weronikę, Terin, rezygnując ze stanowiska przewodniczącego na rzecz Variusa Lotza i decydując się na pozostanie na Ikarze. Ikar miał być przekształcony w latającą twierdzę na straży planety – istniał nawet pogląd, zyskujący coraz więcej zwolenników, by planetę nazwać Ikarem dla podkreślenia następstwa misji, asteroidę zaś ponownie Hidalgiem, po ograniczeniu jego zadań do rycerskiej funkcji. Ale nie tylko – trzeba będzie przekształcić go w gigantyczną fabrykę wszystkiego, co w pierwszym okresie nie będzie mogło zostać wyprodukowane na samej planecie. Ponadto – w wielką wylęgarnię dzieci. Za te sprawy miał teraz odpowiadać Terin, by wreszcie po dwu latach, kiedy nie będzie już tak odczuwalny brak rąk do pracy i kiedy będziemy wiedzieli coś więcej o Weronice, wraz z kilkoma starszymi Ikarczykami wyruszyć w zahibernowanym stanie w drogę powrotną ku Ziemi. Oto jak planeta podzieliła Ikarczyków, zanim jeszcze stała się dla nich prawdziwą ojczyzną, podzieliła, lecz zarazem także podporządkowywała sobie rozkazem służenia jej.

## 2

Należałem do nielicznych, którzy postanowili wyrwać się z poddaństwa. Rada astronawigatorów nalegała, bym pozostał przynajmniej na Ikarze, gdzie szczególnie potrzebni byli lekarze w przeładowanych sektorach porodowych, apelowała nawet do mej przysięgi lekarskiej, lecz nikt nie zdołał mnie nakłonić. Zmusić nie mieli zaś prawa, ponieważ jakkolwiek by było, ja nawiązałem pierwszy kontakt z Weroniką. Nawet ojciec próbował odciągnąć mnie od tego zamiaru, pozwalając sobie na ojcowską bezpośredniość.

– Zenonie, po zmniejszeniu ekspedycji z dwudziestu trzech osób do dziesięciu, szczerze mówiąc, wolałbym mieć na pokładzie zamiast ciebie jakiegoś inżyniera lub przynajmniej innego specjalistę.

– Z pewnością masz rację – odburknąłem, ponieważ także jemu nie mogłem jeszcze powiedzieć tego, co przemilczałem przed Heli. – Nie masz jednak prawa odmawiać własnemu synowi tego, czego nie odmawiasz sobie. To niepedagogiczne!

– Na co, na co sobie pozwalam? – zaniepokoił się tak, że pośpieszyłem wymyślić coś żartobliwego.

– Na ucieczkę od własnej żony.

Powiedziałem to także dlatego, że przy rozmowie obecny był Terin,

ojciec mój jednak doskonale pojął, co miałem na myśli. W śmiechu Terina także można było wyczuć, że wie, do czego czyniłem aluzję i natychmiast zostawił nas samych.

– Zenonie – powiedział ojciec – opadając ze znużeniem na fotel i przymykając oczy. – Jestem już stary, jestem jednym z najstarszych ludzi na Ikarze, a młodzi nieustannie przychodzą do mnie z pytaniami. Przychodzą może z uprzejmości, a może – co jeszcze gorsze – szczerze ufając w moje doświadczenie. A przecież każda moja rada przeszkadzałaby im...

Jak już wspomniałem gdzieś w swoich zapiskach, kochałem ojca. Weronika zbliżyła nas i teraz żałowałem swej prowokacji, ponieważ widziałem, że gotów jest poniżyć się przede mną. Dlatego przerwałem mu:

– Żartowałem, tato. Właściwie to mama uciekła od nas. Gdy rozpląkała się przed odlotem, nie płakała z powodu rozłąki, płakała ze szczęścia, że wreszcie ma możliwość hodowania bez ograniczeń swoich mikrobów, roślinek i żyjątek.

Rzeczywiście rozpląkała się, lecz nienawidziłem jej w chwili pożegnania, ponieważ bardzo cierpiałem. I ponieważ nie wyobrażałem sobie, że może nie wiedzieć tego, czego byłem prawie pewien, że już nigdy się nie zobaczymy. Ożywienie dodało jej jeszcze urody, świadomie zapomniała o nas w ostatnich dniach przed odlotem, by nie zapomnieć zabrać czegoś ze swych laboratoriów.

– Mamo – powiedziałem do niej. – Jestem przekonany, że będziesz tam szczęśliwa.

Miało to brzmieć jak pocieszenie, lecz swym zwyczajem odebrała to jako ironię i pośpiesznie otarła łzy.

– Wszyscy będziemy tam szczęśliwi, chłopcze.

– Zwłaszcza twoi podopieczni – dodałem, mając ochotę walić głową o mur, bo nawet teraz nie potrafiłem zamienić z nią po ludzku kilku słów.

– Które wypuścisz najpierw?

– Oczywiście najpierw spróbuję z bakteriami glebotwórczymi, z enzymami, w ogóle czeka nas straszna praca – entuzjasmowała się tak, jakby obiecywała nam wspaniałe uczy. – Dlatego nie przeciągajcie zbytnio swego flirtu z Weroniką. Będę się niecierpliwić...

Jej wygląd nie przekonywał, że tak bardzo odczuje braku mojej osoby, i to dodatkowo mnie zabolowało. O mało także nie rozpląkałem się, kiedy objęła mnie i poczułem ciepłą kroplę na swej szyi. Mamo, wołało we mnie bezgłośnie cierpienie, dlaczego nie zatrzymasz mnie? Dlaczego nie nalegasz, bym został? Podobno matki mają jakiś dodatkowy zmysł,

pozwalający przeczuć, kiedy dzieci ich odczuwają strach? Gdzie twój instynkt, mamó, a może... może mimo wszystko wrócić? Nie wiem, co powiedzieli sobie na rozstanie ona i ojciec, ale teraz powiedział mi:

– Matka twoja ma prawo do tego szczęścia, synku. Wszyscy z jej pokolenia mają prawo urządzić sobie sami ojczyznę. Ikar nie jest dla nich prawdziwą ojczyzną, jak i dla was, niemal nie brali udziału w jego budowie. Ale zacząłem mówić o sobie – moją ojczyzną pozostanie Ziemia. Jeśli kiedyś usiłowałem przed czymś uciec, to przed nią, by szukać swobodniejszej drogi ku prawdom wszechświata. Co miałbym robić na tej planecie? Powiedziałeś to kiedyś, gdy nazwałem cię przebiegłym, pamiętasz? Stworzymy tam podobny labirynt dla własnego rozumu, wygodny i przytulny labirynt, w którym rozum nasz będzie rozkładać się w komforcie, jeśli szybko nie udamy się ponownie w drogę. Wy, młodzi, macie czas na podobne przerwy, by zaspokoić także swój instynkt twórczy, ponieważ człowiek nie jest jedynie poszukiwaczem prawd. Wiem, że po jakimś czasie wyruszyście ponownie w podróż galaktyczną, ja nie mam już na to czasu...

Tak usprawiedliwiał się przede mną i z pewnością przed sobą, ale domyślałem się, jaki dramat przeżywa ten doprawdy wielki człowiek, który zdecydował się nie przeszkadzać młodym w budowie własnego życia na miarę ich gustu i pojęć nawet autorytetem swej obecności. Zdradzał to od czasu do czasu jego głos, kiedy w rzadkich wolnych chwilach podziwialiśmy tarczę Terriany, teraz już wielkości ludzkiej głowy, a on mówił po raz nie wiadomo który:

– Mimo wszystko jestem ciekaw, co z niej zrobią...

Innym razem wzdychał:

– Matka twoja z pewnością szaleje jak furia. Nie wiesz, jak cierpiała z braku możliwości dokonywania prawdziwej selekcji na szeroką skalę, kpiłeś z niej z powodu kosmetyki, a ona zapępiała sobie nią czas. Niesłychanie czynna natura...

– W domu też nieustannie coś zmieniała i urządziła – dodałem z tą samą nostalgią. – Synowie zazwyczaj podobni są do matek, a ja nie wziąłem ani trochę z jej urody czy pracowitości...

– Czy przygotowali ferrobakterie? Matka opowiadała, że podobno są najodporniejsze, ale kto wie! Bez nich jesteśmy zgubieni...

Miał na uwadze owe fenomenalne mikroskopijne żyjątka, które odżywiając się, w cudowny sposób wydobywały w najczystszej postaci żelazo z masy skalnej asteroidy Hidalgo. Były i inne podobne bakterie, do innych metali, w rzeczywistości stanowiące bezgłośne fabryki,

zaopatrujące nas w niezbędne metale.

Oczywiście rozmowa nasza znów toczyła się wokół urządzenia planety. I miast rozmawiać o Weronice, którą goniliśmy ze wszystkich sił, ponieważ była nie tylko ważniejsza dla nas, ale ponieważ usprawiedliwiała i mojego ojca, i mnie, i ofiarność pozostałej siódemki, zaczęliśmy po raz nie wiadomo który rozważać, czy starczy mocy wytwarzaczom tlenu, by nasycić wystarczająco tamtejsze powietrze tlenem, czy chlorella szybko połączy się z tamtejszą wodą, w którym dokładnie momencie będzie można już przejść do szybkościowej metody syntetyzowania roślin z komórek i po jakim czasie zakwitnie pierwszy las, choć odżywiany hydroponicznie, jak las na Ikarze...

Śmieszne były te nasze rozmowy, ponieważ nic z nich nie wynikało dla Ikarczyków. Najpierw zbudują drugi taki sam sztuczny świat, jakim był Ikar, hermetycznie zamknięty głęboko we wnętrzu planety, niewidzialny dla obcych oczu, które to z bliska, to z daleka usiłowałyby wypatrzeć życie na jej różowo-pomarańczowej powierzchni. Dopiero potem zajmą się nią. Oczywiście oczyszczanie i wzbogacanie atmosfery miało odbywać się jednocześnie, ale pola i lasy będą jeszcze długo czekać. Zajmą się nimi Ikarzycy dopiero wtedy, gdy zakończą swą pracę pod ziemią czy oceanami Terriany. I to więcej dla przyjemności niż z istotnej potrzeby. Dopiero wtedy będą mogli stać się równi bogom. Bo przecież także Bóg biblijny stworzył świat nie po to, by na nim jeść i pić, lecz ot, tak, dla własnej rozrywki. I jak biblijny Bóg stworzą Ikarzycy powietrze na Terrianie, wyhodują lasy i łąki, i ogrody, w które wypuszczą owady i pająki, ponieważ Ikar jest prawdziwą arką Noego, wiozącą z Ziemi w postaci komórek wszelkie boże stworzenia. I jak biblijny Bóg zwieńczył i upiększył swe dzieło człowiekiem – wątpliwą wciąż dla mnie pod względem estetycznym istotą, tak i Ikarzycy mieli uwieńczyć swe dzieło po dziesięcioletniej żmudnej pracy wypuszczeniem w napełnione rybami morza Terriany pierwszej pary delfinów, a na jej polany – pierwszych saren i lwów...

Były to zarówno moje słowa i wizje, jak i mojego ojca, ponieważ rozmowy nasze zazwyczaj kończyły się jego westchnieniem:

– Człowiek czuje się równy bogom tylko wtedy, gdy tworzy. A wyruszając, jak my, w poszukiwaniu sensu czegoś, i doskonale wiedząc, że w żaden sposób nie pojmie go w ramach swego życia, uświadamia sobie jedynie własną nicość wobec wszechświata. Terriana potrzebna była Ikarzycykom głównie po to, by przywrócić im pewność siebie.

– Czyżbyśmy, tato, ztratili ją? Czyż nie wyruszyliście na podbój

świata, który, jak wszystko wskazuje, jest znacznie potężniejszy od naszego? – zaprzeczyłem, ponieważ czułem, że czeka, bym zaprzeczył mu takimi właśnie banałami. – Gdyby człowiek w swym uporze do śmierci nie uganiał się za chimerami i prawdą, nie istniałaby także jego zdolność do tworzenia. I oto na tej odległej planecie są już ludzie! Człowiek równy jest bogom przede wszystkim w tym, że myślą swą i ciałem ogrzewa bezduszną wszechświat...

Tak gawędziliśmy sobie w rzadkich wolnych chwilach przed ekranem, na którym interferencyjne oblicze Terriany szybko przekształcało się z planety w bladopomarańczową gwiazdkę. I byliśmy zaskakująco jednomyślni, mimo iż często kończył rozmowę wyrzutem:

– Mimo wszystko dziwię się, że nie zostałeś...

Na co odpowiadałem:

– Już ci powiedziałem – by nie było na niej chromosomów zła!

Po czym, już rozgniewany, udawałem się do swej kabiny, by posłuchać muzyki, zakłętej w owym kryształku, który podarowała mi Majola Beni. Rzeczywiście przyszła mnie pożegnać. Oczekwała, aż jej uczennica Heliana skończy z pocałunkami, obejmowaniem i łzami, po czym sama objęła mnie i pocałowała całkiem jak żona, wsunęła mi w dłoń kapsułę z zapisem i powiedziała:

– Poemat symfoniczny dla ciebie. Jeszcze nikt go nie słyszał.

Był rzeczywiście dedykowany mnie, ponieważ na wstępie Majola wypowiadała głosem, w którym więcej było łez niż patosu: Tobie, Zenonie Balow, poświęcam „Ode do człowieczego bólu”. Ale wcale nie słyszałem albo też nie chciałem usłyszeć w niej cierpienia oszukanego kobiecego serca. Nie wiem, jak długa była i co zawierała oda, co jeszcze opiewała, ponieważ słuchałem jej wciąż w szczególnym nastroju, wciąż nastawiony stronniczo. Puszczałem ją prawie co dzień, słysząc w niej wielość owego wszechobjmującego bólu, który porusza świat – rana zadana cudzą ręką, cierpienie od samookaleczenia, desperacja z powodu niespełnienia i cios rozczarowania, cierpienie nadziei i melancholia spełnienia, słodkie jęki poczęcia i krzyk narodzin...

– Co to takiego? – zdziwił się mój przyjaciel Darian, gdy zastał mnie kiedyś zasłuchanego.

– Muzyka – odparłem. – Wiozę ją specjalnie dla Weroniki. Ciekaw jestem, jak zareaguje, gdy ją usłyszy.

– Czy nie jest trochę za smutna? – powiedział.

– Nie – odparłem. – Przeciwnie, to oda – i uśmiechnąłem się do niego cynicznie, a potem wrzasnąłem: – Zjeżdżaj stąd!

Był to ten sam Darian, który przed laty stroił nieprawdopodobne żarty z mojej nieznajomości astrofizyki i bardzo się zmartwił, gdy okazało się, że nie wiem, co to takiego mysz. Pucolowaty, krzywonosy Ormianin, z którym jeszcze bardziej zbliżyliśmy się podczas opracowywania programu dla Weroniki. Już wtedy często podpytywałem go, co sądzi o tak zwanych zjawiskach parapsychologicznych, czy możliwe jest, by człowiek widział przyszłe zdarzenia, lecz rozmowy nasze nie wychodziły poza krąg półżartów. Kiedy jednak zdecydowanie przekonaliśmy się, że Weronika zmierza prosto ku owej zagadkowej chmurze, która z daleka przypominała czarną dziurę, i niebezpieczeństwo utracenia jej na zawsze, jeśli natychmiast nie wyruszymy, stało się realne, zmusiłem ojca, byśmy poszli do Dariana. Dopiero co została opublikowana dokumentacja związana z osiemnaściorgiem dziwnych dzieci Heliany i moich, tak że nie było podstaw, by odnosił się do mnie lekceważąco.

Wysłuchał mojej opowieści – dosyć chaotycznej z powodu mego podniecenia, ujął w dwa palce mięsisty koniuszek swego krzywego nosa i roześmiał się.

– Skoro mnie tam widziałeś, to znaczy, że dołączyłem do ekspedycji. Czy możliwe jest odwracanie biegu historii? Jeśli nawet potrafimy, to czy mamy prawo to uczynić?

– Nie o to chodzi – wybuchnąłem, prawie płacząc z bezsiły. – Nie wierzysz mi. Nie powinieneś brać w niej udziału, słyszysz? Możesz wyruszyć jedynie wtedy, jeśli z przekonaniem będziesz w to wierzyć. W przeciwnym razie... jeśli to rzeczywiście się zdarzy, będzie to z mojej strony morderstwo, rozumiesz...

– Ależ wierzę ci, Balow. Zawsze wierzyłem w to z przekonaniem – zakpił z użytego przeze mnie słowa.

– Darianie – wtrącił się ojciec – wiesz, że ze wszystkich astrofizyków najwięcej cenię ciebie. Po zmniejszeniu ekspedycji do jednej trzeciej nie wiem, jak obejść się bez ciebie, mimo to także nalegam, abyśmy nie ryzykowali. Nie chodzi o żaden zabobon...

I zaczął wyjaśniać coś, o czym sam nie był przekonany, lecz czego ewentualną realność mimo wszystko miał ochotę objaśnić przynajmniej hipotetycznie.

– Słuchaj, szefie – przerwał mu Darian i już nie żartował. – Sądzę o tych zjawiskach ma sens dopiero wówczas, gdy się potwierdzą, albo też

wyłącznie teoretycznie, kiedy w ogóle nie istnieje możliwość ich potwierdzenia. A nam dana jest taka możliwość. Chyba nie wątpisz, że nie odmówię sobie szansy ujrzenia z bliska nie tylko Weroniki, ale także czegoś, co podobne jest do czarnej dziury, prawda?

– Tyłu zrezygnowało dla życia osiadłego – wzruszył ramionami ojciec.  
– Prawo do normalnego ludzkiego życia...

– Jestem astrofizykiem, nie nęci mnie zagrzebywanie się w ziemi. Zresztą, pierwszym moim obowiązkiem jest sprawdzić dobrze okolice Esny, skoro mamy osiedlić się obok niej. Ten obłok wciąż jest zbyt blisko, byśmy mogli go ignorować.

– W porządku, w porządku – ustąpił podejrzenie szybko ojciec, tak że z rozpaczą zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Teraz, w drodze ku obłokowi, tak jak ojciec, gdy pozostawaliśmy sami we dwóch, podejmował rozmowę o Terrianie i matce, tak Darian zaczynał wypytywać mnie o moje widzenie, jak dokładnie wyszedł na zewnątrz, w co był ubrany, czy coś powiedział, czy pozostawił jakąś notatkę, co stało się potem z tą notatką, czy poinformowałem kogoś, co stało się później. Miałem uczucie, że chce w ten sposób oswoić się z myślą o swojej śmierci i coraz bardziej niepokoiłem się o niego, ponieważ studiowałem psychologię i wiem, co może wyniknąć z podobnego stanu psychicznego, lecz po prostu nie potrafiłem go przepędzić, nie powtórzywszy przynajmniej dwa razy tego, co już opowiadałem dziesiątki razy. Niekiedy próbowałem wymyślać w jego ormiańskim stylu to jakąś tragikomiczną stypę, to coś innego zamiast przemilczanego przeze mnie rzeczywistego zakończenia widzenia, lecz zazwyczaj nie udawało mi się. Nie dlatego, by nie dopisywało mi poczucie humoru. Darian zawsze znajdował sposób, by mnie zwieść, najczęściej prezentując jakieś naukowe poglądy, których parodyjności nie potrafiłem od razu złapać.

Nie, mimo wszystko nie wierzę w teorię panspermii, zaczynał na przykład, choćby nie wiem jak zmodyfikowaną... (oczywiście, nie miałem żadnego pojęcia o tej teorii i zaraz nadstawiałem uszu). Oto ja sam już prawie czterdzieści lat zajmuję się kolekcjonowaniem cząstek kosmicznych. Dlaczego ani razu nie złapałem przynajmniej jednego okazu tych tajemniczych zarodków, które rzekomo przenoszą się z gwiazdnym wiatrem po galaktykach i tam gdzie napotykają glebę, dają początek życiu? Chyba że są jeszcze mniejsze od neutrino i jeszcze trudno uchwytnie. Lecz wtedy przechodziłyby swobodnie przez całe planety i nie mogłyby się na nich zatrzymać. A ciekawe byłoby wyobrazić sobie na przykład taki potok kosmicznych nosicieli życia w zetknięciu z nie



odbijającą plamą, jak ta w obłoku. Rozumiejąc bowiem teorię czarnych dziur jako wejście w inne wszechświaty, należałoby zapytać, co stałoby się z nosicielami życia? Czy są uniwersalne dla wszystkich wszechświatów czy też każdy ma swoich specyficznych nosicieli życia... Poczekaj, wtrącałem się, oburzony jego prymitywnie nienaukowymi spekulacjami, po pierwsze czarne dziury nie są żadnymi innymi wszechświatami, a zwykłymi gwiazdami w stanie kolapsu, dosyć dokładnie sklasyfikowanymi według Ciągu Głównego. Oczywiście przy kolapsie grawitacyjnym przestrzeń może ulec takiej zmianie, że zostanie w niej zniszczony czas i wszystko upodobni się rzeczywiście do małego wszechświata z odrębnymi dlań prawami, lecz nie oznacza to, że zasady życia mogłyby...

Co znaczy „małego” – od razu wiedział, na czym złapać mnie w mych płytkich sądach o rzeczach, na których znał się stokroć lepiej ode mnie. Skoro likwiduje się czas, jak twierdzisz, tym samym likwiduje się także problem jego wymiaru... W takich właśnie momentach Darian rzucał mi z obłudną pojednawczością:

– Zresztą ty, Balow, znasz się na tym przecież lepiej ode mnie. Tak czy owak jedynie ty obserwowałeś wyciekanie przestrzeni... Mówiłeś, że jak wodospad Niagara? Ale czy odbierałeś to wzrokowo, w kolorze, chcę powiedzieć, czy miałeś uczucie, że dzieje się to poza tobą, poza twoim ciałem, nie zaś przed wzrokiem wewnętrznym... Rozumiesz, prawda, co chcę powiedzieć?

I zaczynałem opisywać mu, jak widziałem ucieczkę przestrzeni do czarnej dziury, aż nagle łapałem sens tej zabawy i wbijałem wzrok w nie słuchającą mnie już, poszarzałą krągłą twarz o zakrzywionym nosie. Darian wzdygiwał się, ujmował koniec swego nosa wskazującym i średnim palcem prawej ręki, usiłując pod osłoną szerokiej dłoni zapanować nad mięśniami twarzy, by nie wybuchnąć swym niepowtarzalnym śmiechem.

– Wybacz, Balow, rozmarzyłem się! Zresztą, jestem zły. Mnie, astrofizykowi, powinno było się to przytrafić, a nie jakimś tam profanom...

Bardzo dobrze jednak wiedziałem, nad czym zamyślił się i co widział w swym zapamiętaniu, i od nowa nie dawało mi spokoju poczucie winy, i znów wyrzucałem sobie, dlaczego w ogóle mu to powiedzieliśmy? Czy nie mogliśmy znaleźć sposobu odsunięcia go od ekspedycji? Lecz jak można było mu wyrzucić podobną krzywdę, i to z powodu widzenia, które przecież mogło być snem?

Z drugiej strony – o tym nie pomyśleliśmy – mężczyzna taki jak Darian

właśnie po podobnej prowokacji nie zrezygnowałby, by nie wzięto go za tchórza..

Oczywiście wszyscy uczestnicy ekspedycji jeszcze przed odlotem zapoznali się z moją opowieścią o wizji bez jej zakończenia, ma się rozumieć, którego nie odnotowałem nawet w dzienniku pokładowym. Już po historii z dziećmi, na tle mojego spotkania z Helianą, podczas którego ona mogła mnie pocałować, a ja odczuć jej pocałunek, na tym nowym tle moja wizja wyglądała wręcz zwyczajnie prawdopodobnie. Ośmiu mężczyzn przyjęło ją bez mrugnięcia okiem, może dlatego, że obiecywała im mimo wszystko szczęśliwe zakończenie ekspedycji.

Według mnie przyjęli ją przesadnie lekkomyślnie i wydawało mi się, że bardziej troszczą się o to, byśmy czegoś nie pomylili, aby wizja ta się nie potwierdziła, aniżeli o to, czy naprawdę powtórzy się już w naszej realnej rzeczywistości.

I z pewnością nie była to wiara czy przesąd, lecz raczej pogodzenie się z czasoprzestrzennym chaosem, w którym się poruszaliśmy.

Zresztą po pojawieniu się ojca i jego teorii o nieskończenie zmiennej prędkości światła odpadł ostatecznie także jeden z głównych argumentów przeciw podobnym zjawiskom w ludzkim życiu. Zgoda, twierdziło się wcześniej, przyjmijmy za możliwy przypadek, że matka przeżywa na odległość śmierć swego syna. Możliwe jest dopuszczenie takiego ekstremalnego stanu ducha, gdy człowiek samotny i bezsilny wobec materialnego układu rzeczy w przestrzeni szczególnie wyostre swoją wrażliwość na pole wokółmózgowe. Lecz proszę zauważyć, zdarzenie odbierane jest w tym samym czasie lub prawie w tym samym! Widzieć zaś rzeczy, które zdarzą się w przyszłości, oznacza uznać pełną determinację każdego zdarzenia w całym wszechświecie, we wszystkich wszechświatach jednocześnie, jeżeli nie jest on jedyny. Jest to całkowicie sprzeczne z każdą trochę poważniejszą teorią kosmogoniczną, pasując jedynie do owej zapomnianej i nie dopracowanej hipotezy, która rozpatrywała wszechświat jako ciało niezmienne i tłumaczyła niektóre zjawiska lepiej niż jej powszechnie uznane, choć nie mniej subiektywne siostry noblistki.

Już od Einsteina wiadomo, że nie istnieje czas absolutny, lecz czas różny dla każdego ciała stałego, i to jedynie na poziomie ponadmolekularnym. Wewnątrz, w samej istocie ciała, wśród cząstek elementarnych ponownie ma miejsce taki chaos z czasem, że nikt jeszcze nie potrafi poradzić sobie z nim naprawdę.

A zjawiska jak te i jak zlewanie się dzieci z przestrzenią zachodzą bez

wątpienia na owym poziomie, w którym dokonują się wzajemne przeobrażenia energii i materii.

– Czy wiesz, co przychodzi mi do głowy – zaczynał innym razem Darian, pozornie ze skupieniem wpatrując się w ekran teleskopu, już zaabsorbowany obłokiem, ku któremu zmierzaliśmy w pogoni za Weroniką – że te wasze dziwne rzeczy wywracają wiele spraw do góry nogami. Dotąd hipoteza Kardaszowa właściwie nie została podważona, zresztą nie została także potwierdzona, z punktu widzenia logiki była jednak do przyjęcia...

– Znów chcesz mnie nabrać? – przerywałem mu.

– Nie, bardzo, cię proszę, masz tam kolektor, wybierz „Kardaszow” lub „czarne dziury”!

– Dobrze, dobrze – zgadzałem się. – Więc co powiedział ten twój jak mu tam? Kar...kar...

– ...daszow. On pierwszy wyliczył to matematycznie, zresztą tego nie jestem pewien, czy był pierwszy. Możesz to sprawdzić, jeśli chcesz. Spójrz, uważamy, że gdzieś tu znajduje się granica sfery Schwarzschilda.

– Darian wstał, zakreślił palcem na ekranie w centrum obłoku to, co nazwaliśmy nie odbijającą plamą, i znów zaczął mnie pouczać:

– Nazywa się tak dlatego, bo Schwarzschild pierwszy wyznaczył hipotetyczną granicę wokół kurczącej się gwiazdy, poza którą skutek silnej grawitacji niemożliwe jest wydostanie się jakiegokolwiek promieniowania. Nie wypuszcza ona żadnej cząsteczki, przyciągając je jedynie niezwykle silnym polem. Dlatego też nazwana została czarną dziurą. Rozpatrując podróże wyższych cywilizacji w czasie, Kardaszow już w połowie dwudziestego wieku wyliczył, że gdyby ich gwiazdolit tylko na kilka chwil wszedł w sferę Schwarzschilda i zdołał wymknąć się z niej, znalazłby się... zwróć na to uwagę, chłopcze!...w zupełnie innym wszechświecie. Poprzedni wszechświat już zakończył swój cykl życia.

Mam więc zamiar zapytać cię, Balow, czy w twojej wizji naszemu dzielnemu gwiazdolitowi udaje się, choć beze mnie, wymknąć, i gdzie znaleźliście się potem? Czy były jakieś oznaki...

– Słuchaj – wybuchalem – ile razy powtarzałem ci, że wizja po prostu urwała się! Ja chciałbym natomiast zadać ci takie pytanie, dlaczego gdy zapowiadaliśmy dzieciom – wróćcie za pół godziny, wracały dokładnie po półgodzinie? Czy nie przebywały w innym wszechświecie? A może takie rozplątanie się nie oznacza przejścia w inny wszechświat, w inny czas? Erki opowiadał mi, że w te pół godziny potrafił dojść do drugiego końca galaktyki, a na pytanie, jak wygląda ten drugi koniec galaktyki, wzruszał

ramionami. Ten twój Kardaszow też – kilka chwil i hop! do innego wszechświata! Dzieci zaś podważają to, a one przynajmniej istnieją realnie, nie widzisz, jaki to w ogóle mętnik...

Darian kpił z mojej histerii.

– Wiesz, kiedy tylko dowiedziałem się o projekcie osiedlenia się przy Esnie, pomyślałem: Ikarczycy są już zmęczeni tym całym chaosem, dokładnie tak powiedziałem. Gdyby zaszła potrzeba uzupełnienia naszej ekspedycji do początkowego stanu, wątpię, czy udałoby się nam zebrać dwadzieścia osób.

A wcześniej wszyscy chcieli pędzić za Weroniką...

– Ja też jestem zmęczony, mimo to wyruszyłem – nie przestawałem oponować, rozdrażniony.

– Ty to co innego – potakiwał wielką głową Ormianin. – Zmęczyły cię dwie ślicznotki. Dla innych nie starcza po jednej, a nasz Balow...

– Pilnuj lepiej swoich czarnych dziur! – wybuchałem i udawałem się do swego sektora.

Po godzinie jednak Darian znów przychodził do mnie. Wchodził, szczypał nos, pochrząkiwał, i znów wyskakiwał z jakąś nie znaną mi, lecz ponętą teorią, i znów potrzebowałem nieco czasu, by zrozumieć, co chce z jej pomocą powiedzieć. Przypominam sobie, że wtedy, kiedy ofuknąłem go z powodu wyżej wspomnianej zaczepki, tak że nie czekał zbyt długo.

– Nie wiem, Zenonie, dlaczego gniewasz się na mnie – powiedział wówczas. – Jesteśmy uczonymi, stykamy się z najdziwaczniejszymi paradoksami, jakimi nieustannie częstuje nas wszechświat, przepowiadamy sobie nawet, czym mogą nas poczęstować inne wszechświaty, jeśli istnieją, a ty – mam pilnować czarnych dziur! Pilnowałbym, ale gdzie są? Choćby i ten obłok wydaje się czymś innym... kto wie, czym! Myślisz, że podobnego zamętu nie ma także we mnie?

Dlaczego zatem...

– Czy nie rozumiałeś, że jestem pozbawiony poczucia humoru? Zwłaszcza w stylu ormiańskim?

– Przepraszam cię! Już więcej się to nie powtórzy.

Oczywiście, rzecz nie sprowadzała się do poczucia humoru – choćby miało się go na tony, nie zdoła się okazać go w obliczu człowieka, którego jakby niewinnie skazało się i osobiście prowadziło na śmierć. – W porządku – wybaczałem mu natychmiast, ponieważ i wtedy, i później nie potrafiłem gniewać się na niego, mój gniew skierowany był zawsze przeciwko sobie nie przeciw niemu. – O jakiej jeszcze teorii przypominałeś sobie w tym czasie?

– Teraz ty kpisz ze mnie – jego twarz rozpromieniała się z ulgą. – W porządku, wyrównaliśmy rachunki! Pomyślałem sobie, że jeśli te wasze dzieci nie są jakąś perfidną sztuczką z twojej strony, właściwie potwierdzają wiele ze starych, dawno odrzuconych teorii...

– Jaka to znów sztuczka? – już byłem gotów wybuchnąć.

– Nie – ja tylko tak... Przecież sprawdzałem zapisy, i to ile razy! Dlaczego nie miałyby to być możliwe? Ot, weźmy choćby cząsteczki elementarne. Wiesz, że elementarność w fizyce nazywa się niemożność rozłożenia na drobniejsze części. Zamiast tego jednak zdolne są one przechodzić jedna w drugą. Dlaczego nie moglibyśmy sobie wyobrazić, że także umysł danego człowieka stanowi jedynie elementarną cząsteczkę ogólnego umysłu wszechświata, która w katalizatorze przestrzeni międzygalaktycznej zdolna jest przekształcić się w coś innego, nieznanego i nie odnotowanego dotąd. Wiesz z pewnością także, o ilu cząstkach istniały teorie w przeciągu ostatnich dziesięcioleci. Nie rejestrując ich i nie zdając sobie sprawy, że posługiwaliśmy się tymi teoriami ze względnym powodzeniem przy całkowitym prawdopodobieństwie, że odpowiednie cząsteczki w ogóle nie istnieją, jak na przykład tachiony...

– Udało ci się z tym a katalizatorem przestrzeni międzygalaktycznej” – wtrąciłem już całkiem udobruchany. – Z pewnością także Ikar musiał wpaść w podobny katalizator, skoro wydostał się poza Układ Słoneczny i pomknął ze stukrotnie większą od dopuszczalnej prędkością...

– Ale to dosyć obraźliwe dla człowieka być cząstką elementarną, prawda? – przerwał mi Darian, przeczuwszy widocznie, że palnę znów jakieś głupstwo. – Jak możesz nazywać jedynie elementarnym coś, co obdarzone jest boską zdolnością przekształcania się w coś innego, nawet we własne przeciwieństwo! Czasem wymyślamy takie głupie terminy! Zresztą i wy nazwaliście dzieci dziwnymi, co to za określenie?

– I co z tego? – poczułem się dotknięty. Po pierwsze, rzeczywiście są dziwne w porównaniu z nami, po drugie, znów z teorii cząstek elementarnych, kwantowa liczba „dziwność”...

– To przecież teoria! – uszczypnął się w nos Darian, jakby szykując się, by złowić go palce.

Rzeczywiście także ostatnia teoria cząstek elementarnych i pola dawno puściła w szwach pod naporem nowych zjawisk. Mój ojciec, a byłem wtedy jeszcze mały i właśnie zapoznawałem się z podstawami fizyki, pewnego razu westchnął niemal ze skruczą: – Nie do wiary, że mogliśmy posługiwać się podobną teorią jak termodynamika statyczna! Weźmy choćby taki ruch atomów w gazie, Zenku, proces zarazem chaotyczny jak

i prawidłowy. Jak przy cząstkach elementarnych. Kiedyś ludzie potrafili godzić takie sprzeczności dzięki owej cudownej termodynamice statycznej, a my nie wiemy, jak zabrać się do tego...

– Dziwne czy nie – powiedział wtedy Darian – ale te dzieci i Weronika potwierdzają, według mnie, że geneza ludzkiego rozumu jest tylko szczególnym przypadkiem w genezie rozumu w ogóle, jak stwierdził bardzo dawno temu pewien rosyjski uczonek. Oraz że na pewno możliwe jest przechodzenie jednej formy rozumu w inną...

– Niewątpliwie – zgodziłem się wówczas, tak jak gotów byłbym zgodzić się z tym teraz, ponieważ mnie samemu także przychodziło to nieraz do głowy. – I niepotrzebnie martwią się biolodzy, że nie odkryli życia na innych planetach. Życie jest szczytowym stanem materii, powiedziałbym, wyjątkowym osiągnięciem w jej rozwoju, a wyjątkowe osiągnięcia bywają rzadkie, w przeciwnym razie nie byłyby wyjątkowe! Właśnie fakt, że nie odkryliśmy życia na dwudziestu ośmiu sprzyjających życiu planetach, potwierdza tak jego wartość, jak i jego istnienie...

– Co, co? – zamrugalem, usiłując coś zrozumieć, gdyż ci astrofizycy jakby prześcigali się w wygłaszaniu najróżniejszych paradoksów.

Mięsista, mimiczna twarz Dariana przybrała wyraz profesorskiej powagi.

– Niełatwo to zrozumieć. Posłużę się przykładem. Moi przodkowie wiecznie rywalizowali i kłócili się z Gruzinami, co było niegdyś niemal regułą między sąsiednimi narodami. Sprzeczali się oczywiście także o to, która z kultur jest starsza. Pewnego razu jeden z Gruzinów pochwalił się, że podczas rozkopywania Tbilisi znaleziono kawałek miedzianego drutu, co miało dowodzić, że Gruzini już przed dwoma tysiącami lat znali telefon. Ormianin odpowiedział: – My zaś, rozkopując Erewan, nie znaleźliśmy niczego, co dowodzi, że już przed pięcioma tysiącami lat znaleźliśmy telegraf bezprzewodowy.

Ponownie zamrugalem, a on dopiero teraz pozwolił sobie na uszczyplenie nosa i wybuchnął triumfalnym śmiechem.

Oto jak przebiegały zazwyczaj rozmowy z moim przyjacielem, astrofizykiem Darianem, i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ten wspaniały mężczyzna nie bez powodu balansuje tak rozpaczliwie na krawędzi nauki i parodii, powagi i żartu. I od nowa obarczałem się winą za to, i nader często pragnienie opowiedzenia mu do końca wizji było tak silne, że niemal w ostatniej chwili udawało mi się powstrzymać cisnące się na usta słowa usprawiedliwienia i żalu nad samym sobą.

Dla dziewięciu osób w gwiazdolocie najwyższej klasy gwiazdowej roboty zawsze jest w bród, ale przynajmniej wyznaczony programem czas wolny można wykorzystać w tej fazie lotu, kiedy leci się z maksymalną prędkością do celu, lecz wciąż jeszcze jest się dosyć daleko od niego. A mimo to owego dnia ojciec rzucił z troską:

– Jak sądzisz, wydłużyć czas wolny czy też w ogóle z niego zrezygnować?

Im bardziej skracała się odległość między nami a Weroniką, tym większą wyczuwało się w gwiazdolocie niepewność i nerwowość, i ojciec miał podstawy do troski. Nie dopuszczaliśmy, by zagnieździł się wśród nas strach. Pasja badawcza zawsze brała u Ikarzyków górę nad lękiem o własne życie, lecz teraz, kiedy mieli już własną ojczyznę – której jeszcze nie widzieli, choć bardzo chcieli ujrzeć – możliwe, że u pozbawionej dotąd ojczyzny „gwiazdnej rasy” zrodził się strach przed nowym oderwaniem, przed nową samotnością. Wolny czas spędzali na rozmowach o Terrianie, przed ekranami, które ukazywały jej ginący w oddali holograficzny wizerunek. Dlatego ojciec zapytał mnie, czy go ich nie pozbawić.

Sprzeciwiłem się jednak. Było mi na rękę powierzchowne wprowadzenie tłumaczenia siódemki przedstawicieli „gwiazdnej rasy”, do której obaj z ojcem nie należeliśmy, że nastrój nie ma związku z Terrianą, że wszystko bierze się z niewiary w sukces ekspedycji. Nawet pierwotnie przewidziany skład dwudziestu trzech osób byłby dalece niewystarczający dla wypełnienia naukowo – technicznej misji na podobną skalę. Nie przywykli zajmować się pracą, która już w założeniu wydaje się bezsensowna, dlatego lepiej byłoby, gdyby pozostali na Terrianie, w ogóle rada astronawigatorów, która zmusiła ich...

– Zwyczajnie boicie się – rzuciłem jednemu z nich, którego imienia nie wspomnę z tej prostej przyczyny, że nie miałem racji. Podziało to skuteczniej niż uspokajające zabiegi, które im przepisywałem, dla mężczyzny ich pokroju podobny zarzut jest bowiem okrutną obrazą.

– Twój ojciec także tak sądzi? – zapytał.

– Jest o tym nawet bardziej przekonany – odparłem, choć nigdy nie powiedziałby czegoś podobnego. – Chciał pozbawić was wolnego czasu, by nie pozostawiać sam na sam ze strachem, lecz ująłem się za wami.

Nie odezwał się więcej słowem, tylko jego twarz wyrażała smutne niedowierzanie. Dzięki Bogu żaden z siódemki nie powiedział ojcu o moim nieprzyzwoitym zachowaniu. Dowiedziawszy się o mojej uwadze,

tak panowali odtąd nad sobą, że już nie zauważyliśmy ani jednego postępu, ani jednego gestu, który mógłby zostać potraktowany jako objaw nerwowości czy niepewności, mającej swe źródło we wcale nie tak wstydlivym uczuciu strachu. Tylko Darian powiedział kiedyś do mego ojca:

– Szefie, nie ma sensu robić z siebie pajaca, by bawić nas i uspokajać. Nie jesteśmy dziećmi.

Na następnym ogólnym posiedzeniu staruszek trzął się z oburzenia, jak mogli pomyśleć, że robi to dla nich... Przecież całkiem szczerze cieszy się na spotkanie z Weroniką i tym obłokiem. Czy doprawdy karygodne jest na tym gwiazdolicie wyrażanie swej radości, jeśli wydaje im się to tak głupie, niech wybaczą przynajmniej jemu, jest stary, urodzony na Ziemi, nie jak oni... I tak dalej – nie bez ukrytej aluzji, że nie mają specjalnego powodu, by chęć się swym klonowym pochodzeniem. Musiał być rzeczywiście bardzo rozgniewany, skoro pozwolił sobie na argumenty poniżej poziomu nawet naszych kłótni.

Wszyscy pochylili głowy i nadal milczeli, co nie pozwoliło zdemaskować autora sprowokowanego nieporozumienia, a Darian rzucił pojednawczo:

– Dobrze, dobrze, po prostu nie wiedzieliśmy, dlaczego jesteś tak wesoły. – Weronika nie odpowiada, obłok nie okazał się tym, czego się spodziewałeś...

– Właśnie dlatego – zawołał staruszek. – Gra staje się bardziej interesująca.

Nieszczęście polega na tym, drodzy koledzy, że patrzycie na wszystko przesadnie poważnie. Nasze stosunki z przyrodą nie są wyprawą zdobywczą, nie są bitwą, lecz grą, oto czego nie chcecie zrozumieć! Zawsze zabawną, zawsze ekscytującą grą, w której zazwyczaj zwyciężamy. Nie twierdzą, że ostateczne zwycięstwo przypada człowiekowi, lecz nieskończony ciąg małych zwycięstw, który...

– Można nazwać także nieskończonym ciągiem klęsk – wtrącił Darian, lecz ojciec już się opanował.

– Oto na czym polega różnica między pesymistą a optymistą. Osobiście jestem optymistą, ponieważ przyroda ani razu nie okazała się w stosunku do człowieka okrutna. Może więc okazać się przyjacielem, w żadnym wypadku nie jest wrogiem, który pragnie nas całkowicie zniszczyć. Dlatego nazywam to grą, nie walką, i dlatego, że jest godnym partnerem. Gra ta, naturalnie, ma także własną strategię, taktykę, ma własną teorię, i skoro podjąłeś ją, trzeba przynajmniej przestrzegać jej podstawowych



reguł. Jedną z nich jest panowanie nad sobą, ponieważ przeciwnik tylko czyha, byś je stracił i zaczął popełniać błędy...

Taką mowę wygłosił wówczas mój staruszek, ja zaś dopowiedziałem w myśli, że i ta gra jest jak gra w szachy z psychorobotami, której reguły przyznają nam zwycięstwo, gdy uda nam się dać im mata albo uciec się do pata.

I rozmyślałem jeszcze – już we własnym sektorze, w godzinach przeznaczonych na życie prywatne, próbując uporać się ze swą sytuacją – że wcale nie tak wygląda gra człowieka z przyrodą, jak wyobraża sobie mój ojciec optymista. Nie jest to gra między dwoma partnerami, lecz gra ślepego przypadku, bezlitosna, prymitywna gra w kości rzucone przez kogoś, kto gra sam z sobą, ot tak, dla zabicia czasu. Tak właśnie pojawiliśmy się we wszechświecie, my, rzekomi partnerzy. Kostka, poturlała się i całkiem przypadkowo upadła na tę stronę. A kiedy ponownie upadnie na tę samą stronę? Teoria prawdopodobieństwa, jak wiadomo, operuje długimi, straszliwie długimi cyframi...

W takim razie dlaczego miałbym czuć się skazany na swoją wizję? Wszelkie przeznaczenie przeczy teorii gry. Inaczej mówiąc, jeśli określono z góry, na którą stronę upadnie kostka, przewidziano zarazem przecięcie się miliona wypadkowych, stanowiące wszelkie przypadkowe zdarzenie.

Nie będę skrywał, że jeśli ktoś na naszym gwiazdociele bał się, to byłem nim ja, i z pewnością dziwny musiał wydać się mój zarzut, skoro strach dostrzegano jedynie w mojej twarzy. Nie mogli go nie zauważyć. Takie rzeczy trudno ukryć, dlatego tak ofiarnie broniłem także prawa do czasu wolnego, by móc ukryć się przed cudzym wzrokiem. Lecz jak zazwyczaj bywa, zatajenie cierpienia zdwajało je, zdwajało także mój strach, który coraz częściej pozbawiał mnie snu. Próżno broniłem się przed przywołaniem przeklętej wizji. Od nieustannego powtarzania coraz bardziej powszedniała, a odświeżając ją, mózg mój, naturalnie, uciekał się do znanego powszechnie wszystkim mózgom podstępny ukazywania jej w takich barwach, jakie mu odpowiadały. Tym sposobem coraz bardziej oddalałem się od jakiegokolwiek rozumnego wytłumaczenia i po prostu próbowałem wmówić sobie, że nie było to żadne zakończenie, lecz że wizja moja została po prostu przerwana. Rozumowałem tak:

Stanowię z pewnością przejściową formę do „człowieka kosmicznego”. Nawet nie przejściową – przejściową jest Heliana, chyba że między Zenonem z Elei a nią, jeśli nie jestem wręcz jakąś starszą także od niego formą. Stąd bierze się moje rozdarcie wobec czasoprzestrzeni, wobec „paradoksalnych” form materii. Jak nasi neandertalczyki powinienem

zacząć od nauki chodzenia, aby pewnego dnia odnaleźć się w tym chaosie. I oczywiście wrócę. Wrócę wraz z całą ekspedycją Ten obłok wcale nie jest podobny do czarnej dziury, w którym znika przestrzeń: niewątpliwie stanowi zagadkę, wydaje się jednak raczej niegroźnym obłokiem, nawet w połowie nie tak strasznym, jak tamten, który w komorze treningowej odciął głowy obu Zenonów, i który jeden z nich nazwał nicością. A przecież nicość nie boli. Dlaczego więc odczuwałem ból nawet na myśl o tym, że wrócę cały i zdrowy? Gdyż... do której powinienem wrócić? Tak, czekała tam na mnie Majola i wiem, jak czekała, bo nie wyrzekła się mnie, by sprawdzić, co się z nią stanie. Majola czeka na mnie, a Heliana prosiła, bym ją czekał na nią. Lecz jak mogę czekać na nią miliardy kilometrów od Terriany, żyć nieustannie w stanie nieważkości i nieustannie śnić rozkoszny ciężar Kreolki, która... która z pewnością wcale nie odczuwa dotkliwie mej nieobecności, odkrywszy nowy sens życia, może właśnie ten upragniony, ostateczny: w rodzeniu dzieci i śpiewaniu o nowym rodzie ludzkim, jak starożytny Homer opiewał własne młode, wzruszająco naiwne mity. Pozostawała mi tylko Weronika, którą według wizji także miałem utracić.

Więc także jakby wewnętrznie wracałem w tych dniach do Weroniki, prawdziwy powrót bowiem wydawał mi się możliwy tylko do niej. Niekiedy jej głupie imię rozbrzmiewało we mnie niemal jak imię ukochanej kobiety, powiedziałbym, rozbrzmiewało kusząco, a udręczona wyobraźnia wymyślała niestworzone rzeczy: na przykład, że owa „ona” wcale nie zginęła, że zagadkowa kula otworzyła się podstępnie i uwięziła ją, i rozmawiałem z cudowną młodą Ziemianką, nie z jakąś ucłowieczającą” się maszyną; kula zmuszała ją, by rozmawiała ze mną w ten sposób, by udawała, lecz w końcu ona sama wzywała mnie tak namiętnie, bym uwolnił ją z niewoli i osamotnienia...

Takie bajki układałem sobie, może dlatego, że w bajkach zawsze zwycięża człowiek i jego poczucie sprawiedliwości. I miałem ochotę wyć z bólu, że nie pozwalają mi opuścić gwiazdolotu i biec ku Weronice, jak przewidywał pierwotny wariant naszego programu. Było nas mało, więc na naradzie odrzucono go. Wysłaliśmy tylko zwiadowczy bolid z moim głosem. Lecz Weronika nie dała się oszukać i milczała. Milczała niepokojąco. Nie nadawała nawet swego regularnego sygnału. Oczywiście odrzuciłem myśl, że zabiła za karę lub z zazdrości swą ziemską niewolnicę – stare bajki kończyły się inaczej. Zresztą, kiedy stawałem za pulpitem sterowniczym automatów zwiadowczych, nasze nowoczesne, tworzone rzekomo naukowym językiem bajki bezlitośnie wypierały stare. Czym

innym są nasze hipotezy i teorie o świecie, jak nie bardziej lub mniej naiwnymi bajkami układanymi dla pouczenia i podbudowania rodzaju ludzkiego? Ponieważ większą część czasu spędzałem wciąż za pulpitem, w tych bajkach próbowałem szukać pociechy dla siebie i ratunku. Sprawily jedynie, że wzdychałem, tak jak wzdychał mój ojciec nad genialną potęgą termodynamiki statycznej. Gdzie istnieje teoria, zdolna spoić w równie logiczny sposób to, czego nie sposób połączyć w mej duszy – chaos z zasadami, gdybyż istniała podobna termodynamika duszy, jasna i prosta jak dawne bajki i jak język, w którym Majola Beni opiewała człowieczy ból! Czy Weronika zrozumiałaby ten język?

Nie przestawała milczeć, mimo iż zwiadowczy bolid od pewnego czasu okręzał ją zaczepnie, szepcząc wytrwale moim głosem wspomnienia naszego pierwszego spotkania. Cierpiałem, ponieważ zapis nie oddawał tego, co pragnąłem jej powiedzieć przy powtórnyim spotkaniu i wcale nie brzmiał tak sentymentalnie, jak mój głos wtedy. Był to znów przemyślnie skonstruowany, wielokroć analizowany tekst, który głos mój wypowiadał z bezdusznością właściwą kolektywnym apelom. I moja subtelna Weronika z pewnością to wyczuła. Z pewnością wyczekiwała, aż przybliżymy się bardziej, by ostatecznie przejrzeć cel naszego oszustwa. Ale nie było to przecież oszustwo!

Przybywaliśmy, by ponownie nawiązać z nią kontakt. Wieźliśmy program, mający pomóc w unieruchomieniu w ostatniej chwili jej mechanizmów, abyśmy ewentualnie mogli wylądować na jej powierzchni. Poza tym mieliśmy rozstrzygnąć, czy dokonamy próby dotarcia do jej wnętrza – koniec końców przypominała już żywy organizm i podobna ingerencja mogła ją zabić. Drugi, nie mniej drobiazgowo opracowany program miał przyspieszyć dalsze jej „uczułowianie” z ostatecznym celem, by poznawszy siebie, opowiedziała nam wszystko o sobie. Zamierzaliśmy jeszcze nauczyć ją samokontroli ruchów, gdy wyjdzie całkowicie ze stadium automatyzmu, by ujawniła nam także język swych przekazów, dzięki czemu moglibyśmy wykorzystać również informacje zebrane przez nią w drodze. I jeszcze wiele rzeczy zamierzaliśmy przedsięwziąć w związku z nią, wszystko to określając wzniosie programem współpracy z inną cywilizacją, kooperacją w wysiłkach nad opanowaniem kosmosu i tak dalej. A przecież równie dobrze można było nazwać to próbą podporządkowania jej sobie, wykorzystania dla swoich celów, wyeksploatowania jej? Może milczała, szacując ten wariant naszych stosunków – z własnej woli lub w oczekiwaniu na rozkaz tych, którzy ją stworzyli?

Nie, przekonywałem w tych dniach ojca, należy rozmawiać z nią innym językiem! Z pewnością dawno wykryła gwiazdolit, wywnioskowała z jego rozmiarów, że nie jest tym samym ciałem, z którym się zaprzyjaźniła. Muszę osobiście wyjść ku niej... Ojciec jednak wcale nie spieszył z jej dogonieniem, ponieważ nieoczekiwanie ruch Weroniki uległ zmianie. Nie przejawiała już zamiaru wejścia w niebezpieczny obłok; coraz wolniej poruszała się wzdłuż jego brzegu, zygzakowato postępowała zewnętrzną granicą skłębionych warstw materii i jakby sama uważnie go badała. To naturalnie uwolniło nas od trosk o jej los. I dlatego nie zwraca na nas uwagi, zajęta obłokiem, oponował mój ojciec, dla którego obłok nagle stał się ważniejszy. Ku niemu kierował teraz całą uwagę zespołu i wszystkie nasze starania; ledwie udało mi się nakłonić go do puszczenia pozaprogramowej maleńkiej sondy z nowym zapisem, sporządzonym już przeze mnie samego.

Kochanie, mówiłem do niej, jestem tym, którego nazywałaś „człowiekiem” i którego prosiłaś o pozostanie. Jestem tym, który obiecywał wrócić, abyś nigdy już nie była sama. Jestem tym, z którym chciałaś być i który chciał być z tobą... I mówiłem jeszcze: kochanie, przybywam teraz z ośmioma takimi jak ja. Z pewnością nie wiesz, że istnieją także inni tacy jak ja. Sądzisz może, że ja także jestem sam jak ty, lecz my, ludzie, jesteśmy zawsze i sami, i liczni. Tego jednak dobrze jeszcze nie rozumiesz, tak jak my sami jeszcze całkiem tego nie rozumiemy. Tych ośmiu jak ja, choć tacy sami, są mimo to różni, tak jak ja różnię się od tamtych, „jego i jej”, których spotkałaś po raz pierwszy... To wszystko chcę ci wytłumaczyć, kiedy podejść bliżej, ponieważ teraz jestem jeszcze daleko, opowiadałem jej. Przybędę do ciebie wkrótce i pozostanę przy tobie długo, bardzo długo, może nawet na zawsze. A teraz chciałem ci tylko powiedzieć, abyś się nas nie bała, i że my, ludzie, rozmawiamy ze sobą jeszcze w innym języku. Tego języka chciałbym nauczyć także ciebie, ponieważ jest to wielki i piękny język, bogatszy i konkretniejszy od tego, który już znasz. Ostatnim razem zapomniałem ci powiedzieć o nim, a tamci „on i ona” także nie pomyśleli o tym. Oto on, posłuchaj i odpowiedz, czy odbierasz go.

Tak w przybliżeniu przemawiałem w tym zapisie, po czym następowała płaczliwa oda Majoli „do człowieczego bólu”, a potem moje oczekiwanie, jak zareaguje na muzykę jako system dźwięków, w którym bez trudu można rozpoznać przynajmniej matematyczny porządek.

Postępek mój był dziecinnie naiwny, zrodzony wciąż z tęsknoty do starych bajek, ale nikt o nim się nie dowiedział. Ja byłem odpowiedzialny

za wysyłanie i sterowanie automatami zwiadowczymi, a ojciec, wydawszy zgodę na nowy zapis, jakby świadomie zapomniał, by zainteresować się jego treścią.

Lecz także moja Weronika odmówiła zainteresowania się nim, z pewnością jak mój ojciec oczarowana niezwykłością zagadkowego obłoku.

## 5

Od dawna już nie nazywaliśmy go czarną dziurą, ponieważ niemożliwe było, zgodnie z naszą wiedzą o tym zjawisku, istnienie odprysku materii tak blisko gwiazdy w kolapsie. Potworne przyciąganie jej wewnętrznej masy zamknie tak przestrzeń wokół niej, że nie będzie mogła zostać odkryta inaczej, jak tylko przez swą całkowitą nieodbijalność. A obłok widoczny był już gołym okiem. Sfotografowaliśmy go jeszcze z Ikara. Na zdjęciach widniał jako postrzępiony na brzegach dysk, lekko zwichrzony i przebity w środku, podobny do jakiegoś ciemnego wieńca, którego kształt odgadnąć można tylko z jego obrotu. Z pewnością nie zwrócilibyśmy na niego w ogóle uwagi – Ikar musiałby dysponować setkami tysięcy astrofizyków, gdyby chciał obserwować równie uważnie choćby tylko każde bardziej interesujące zjawisko kosmiczne – lecz obliczenia wskazywały, że Weronika zdąża w tym kierunku. A kiedy zaczęliśmy się weń wpatrywać, obłok zaczynał stawać się coraz bardziej zagadkowy.

Był zadziwiająco mały w porównaniu z podobnymi ciemnymi i świecącymi obłokami gazów czy kosmicznego pyłu wypełniającymi galaktykę. Nie emitował fal radiowych – coś niezwykłego u materii, wyraźnie zorganizowanej przez własne siły wewnętrzne – obłok nie był tak nieforemnie rozmazany jak inne ciemne obłoki. Dysk czy raczej wieniec z rozrzedzonej materii z pewnością obracał się wokół własnego centrum grawitacyjnego, lecz centrum to zdawało się być w jego dziurze, przez którą jednak nic nie było widać. Podczas gdy strzępiaste brzegi odbijały przynajmniej rozproszone echo naszych laserów, promień skierowany ku środkowi obłoku przepadał bez śladu, nie napotykając nigdzie żadnego fotonu czy jakiegokolwiek mikrocząsteczki, od której mógłby się odbić i wrócić. Dotychczasowe doświadczenie uczyło wszakże, że nie istnieje w galaktyce podobna próżnia, i nazwaliśmy obszar, który podobny był właśnie do czarnej dziury, nieodbijalnym centrum obłoku – co oczywiście podobnie nie mówi nic ani o obłoku, ani

o jego niesamowitym środku.

Zbędne wydaje się wyjaśnianie tym, którzy znają dzieło mego ojca, dlaczego obłok ten stał się dla niego natychmiast nie mniej interesujący niż Weronika. Teraz już całe roje wszelkiego kalibru sond torowały nam drogę. Penetrując nieustannie brzegi obłoku, wchodziły wewnątrz, rejestrowały temperaturę poszczególnych warstw, mierzyły ich gęstość, znosiły próbki materii – gromadziły sterty informacji, od których obraz wcale nie stawał się jaśniejszy. W każdym razie nie stawał się jaśniejszy dla mnie, chociaż – jak to już powiedziałem – na gwiazdologicie do mnie należało wysyłanie i przejmowanie automatów zwiadowczych. Ojciec jednak podskakiwał jak młodzieniec upojony pierwszą miłością i reszta załogi była naprawdę niesprawiedliwa, podejrzewając, iż robi to dla dodania im odwagi. Zatrzymywał się to przy tym, to przy tamtym, i z nieustającym entuzjazmem opowiadał, że jest to dlań „jakby na zamówienie model do teorii o sile akrecyjnej, tworzącej gwiazdy”, niezależnego centrum, zagarniającego substancję z przestrzeni – dlatego obłok był także postrzępiony – i tworzącego w środku, w swym nie odbijającym centrum, jądro przyszłej gwiazdy.

Wspomniałem już w innym miejscu swych notatek, że teoria mojego ojca odrzucała hipotezę o gorącym tworzeniu się gwiazd i galaktyk. Ich wysoka temperatura powstawała podczas kurczenia się i utwardzania materii, a znacznie później, wskutek wzajemnego oddziaływania właśnie wysokiej temperatury i wielkiej masy albo siły akrecyjnej, przekształcała się w siłę grawitacyjną albo po prostu powstawała grawitacja jako cecha nowej formy materii.

Sondy potwierdzały, że temperatura w obłoku, choć wzrasta równomiernie, podnosi się tak znacznie, że wątpliwe, czy należy zaliczyć ją do jego ważnych parametrów. Sondy donosiły jednak także coś innego: tak samo równomiernie, niemal z każdym kilometrem, rosła z zawrotną prędkością siła przyciągania, tak że nasze pierwsze, zwykłe sondy przepadały na długo przedtem, zanim jeszcze zeszły w nieco bardziej interesującą głębokość obłoku. Owo nie odbijające centrum stanowiło jakby jeden magnes o mocy, jakiej nie byli w stanie wyobrazić sobie najbardziej śmiali fantaści, choć pozbawiony pola magnetycznego wokół, co było prawidłowe, skoro elektromagnetyzm jest pochodną ognistociekłego jądra gwiazd i planet. Nie była to także grawitacja, gdyż przechwycilibyśmy przynajmniej jakiś grawiton. A pośród tych paradoksów występował jeszcze jeden – największy; mimo tego przyciągania materia na obrzeżach obłoku pozostawała dosyć rozrzedzona.

Jakby oddziaływało ono jedynie na nasze sondy, nie na nią. Nawet te sondy, które gdzieś na dwumilionowym kilometrze w ostatniej chwili zdążyły zakręcić i zawrócić, nie nosiły śladów poruszania się wśród zwartej materii. Poza tymi zaledwie dwoma milionami kilometrów nadawały jeszcze przez pewien czas, po czym nagle coś „zamykało im usta”, i to tak daleko od nie odbijającego centrum, jakby nie ono samo to czyniło, lecz ktoś inny, strzegący je przed każdym zbliżeniem do jego tajemnic.

Ma się rozumieć, Darian, wieczny oponent mego ojca – niekiedy, jak mi się zdawało, po prostu z zamiłowania do sprzeczek – nie poprzestał na cytowanej już replice, że obłok nie okazał się tym, czego spodziewał się mój ojciec. Z pewnością robił aluzję do nieudanej lekcji optymizmu, gdy na jednej z decydujących narad zapytał wręcz ze złością:

– I co, szefie? To bezimienne pole, które kradnie nam sondy, choć nie oddziałuje na cząsteczki, to według ciebie małe zwycięstwo czy wielka klęska?

Nawet zwrot „szefie” wydał mi się obraźliwy. Darian zaczął tak nazywać ojca, gdy ten stanął na czele ekspedycji, dopiero później zrozumiałem, że nie znane mi, zawierające emocjonalny ładunek słowo, nie było obraźliwe. Na tej jednak naradzie zachowanie Dariana wydało mi się szczególnie pozbawione szacunku, biorąc pod uwagę, że sam był uczniem ojca i że ojciec mój mimo wszystko był uznanym geniuszem ludzkości. Chociaż sam również nie podzielałem jego przesadnego zachwyty nad „obłokiem akreacyjnym”. Co innego wyobrazić sobie zagadkowe nie odbijające centrum jako wejście do jakiegoś wszechświata czy też antywszechświata i fantazjować na ten temat! A że jest modelem potwierdzającym teorię, z którą zapoznałeś się już jako dziecko, po prostu rozczarowywało. Wielka rzecz – akreacyjne centrum, w którym teraz, po milionach lat, miała utworzyć się jakaś banalna gwiazda!

Ojciec jednak nie obraził się na złośliwości Dariana, lecz roześmiał się szczerze.

– Zwycięstwo, oczywiście, wielkie zwycięstwo! Odkryliśmy, że siła akreacyjna wytwarza jeszcze inne, nie znane nam pole wokół siebie. Pozostaje tylko objaśnić je także teoretycznie.

– Objaśnisz, jeśli udowodnisz, gdzie zdąża materia obłoku, na zewnątrz czy do środka. – Darian również roześmiał się, nie skrywając złośliwości.

Nie od razu uderzyła mnie pryncypialność tego sprzeciwu, lecz pozostali poparli go, choć bez złośliwości, byli raczej zbici z tropu i zatroskani. Mikrocząsteczki wyraźnie poruszały się w dysku po czymś

w rodzaju linii sił, tak jak poruszałyby się w polu magnetycznym, jednak dla potwierdzenia lub odrzucenia teorii ojca ważniejsze było zrozumieć, czy zdużają w kierunku nie odbijającego centrum czy też oddalają się od niego, to znaczy, czy obłok kurczy się, by utworzyć gwiazdę, czy rozrzedza się. A to można było stwierdzić jedynie po wieloletnich obserwacjach i pomiarach całego obłoku z dalekiej odległości. W przypadku obserwacji pojedynczych cząsteczek stąd zderzaliśmy się z bezwzględnością sformułowanej jeszcze w XX wieku przez Heisenberga zasadą nieokreśloności: niemożliwe jest jednoczesne zmierzenie prędkości i położenia cząsteczki. Gdy ustalisz jej prędkość, nie dowiesz się niczego o jej położeniu, i przeciwnie, gdy odnotujesz dokładnie jej położenie, nie ustalisz, z jaką porusza się prędkością.

– Domyślam się, do czego zmierzasz, Ormianinie – odparł mimo wszystko podobnie wojowniczo ojciec. – Ale do tego, co ci się marzy, musiałbyś udowodnić coś więcej. Ach, gdybym mógł tam wejść – zacisnął pięści w bezsilnej pogroźce. – Umrę z żalu, jeśli zostaną nam tylko te spacerki po obrzeżu!

– Bądź spokojny – odezwał się, choć na podobnych naradach zazwyczaj milczałem, by nie zdradzić swej niewiedzy: – Widziałem czarną dziurę, widziałem, jak wlewa się weń przestrzeń...

– Jak wodospad Niagara – wtrącił Darian.

– Właśnie tak – rozgniewałem się znów na niego. – A ten obarzanek ledwie kręci się wokół swej dziury.

– W jego stanie bezgranicznie powolna dla naszych oczu prędkość mogła wydawać się znaczna – powiedział ktoś inny, nie pamiętam kto, ponieważ każdy, który wierzył w moją wizję i bał się jej, mógł to powiedzieć.

– Dostyc tych głupstw – zawołał z drugiego końca sali dowodzenia Peter Noyd. – Ponownie domagam się, aby podjąć podróż ku Weronice. Obłok nie ucieknie. Z pewnością będzie tkwił w tej samej postaci jeszcze z milion lat, więc zajmą się nim mądrzejsi od nas...

Tak, już od pewnego czasu zespół domagał się, aby skrócić czas zajmowania się obłokiem i poświęcić się całkowicie Weronice, co oczywiście gorąco popierałem. Wciąż jednak mimo wszystko wstrzymywali się z przegłosowaniem zwierzchnika, który za wszelką cenę chciał udowodnić własną teorię.

Ojciec sposepniał i nie znalazł innego sposobu, jak tylko uciec się do nie odpowiadającej ani jego charakterowi, ani pozycji zgryźliwości w stylu Dariana.



– Obawiam się, że naleganie wasze bierze się nie tyle z zainteresowania Weroniką, ile ze strachu przed obłokiem.

– I na ten temat już rozmawialiśmy – powiedział Peter Noyd.

– Brak nam ludzi, środków i czasu na podobne zadania. Ustalmy pewien czas dla obłoku, dopóki nie pozostaliśmy jeszcze w ogóle bez sond.

Ostatnie zdanie było wyraźną aluzją do tego, że pod moim biegłym kierownictwem niemal każdego dnia nie wracał jeden z naszych automatów badawczych.

– Mamy sondy – nie mogłem nie zareagować, ponieważ nie byłem aż tak winien – to ojciec kazał mi powtarzać bezowocne doświadczenia nad przenikaniem głębiej w obłok. – Nie o to jednak chodzi, mnie osobiście także bardziej zajmuje Weronika.

– Ciężko chłopu bez baby – powiedział Darian i pośród śmiechu całej ósemki przysięgłem sobie tego mu już nie wybaczyć. Zresztą powinienem był rozgniewać się także na resztę. Bronilem ich, cierpiałem od ich ukradkowych spojrzeń, zadających nieustannie pytanie: czy jesteś pewien, że wydostaliśmy się, czy też wydostałeś się tylko ty, po co namówiłeś nas, abyśmy wyruszyli z wami? I kiedy wreszcie spełni się ta twoja przepowiednia?

Podzielałem ich strach, kryłem swą zazdrość, że im uda się uciec, stawałem teraz nawet przeciwko własnemu ojcu, a oni odplacali mi śmiechem! Byłem gotów przyzywać niemal jak zaklęcia spełnienia swej wizji, by przekonali się mimo wszystko, gdyby napomknięcie o sondach ponownie nie zbudziło we mnie owego milczącego przerażenia, które ogarnęło mnie, kiedy pierwsza z nich nie zdołała wymknąć się ze śmiertelnej pułapki nie odbijającego centrum.

– Taaak – powiedziałem przeciągle, kiedy wreszcie wróciło mi panowanie nad sobą. – Wasz śmiech dowodzi, jak wielki jest wasz strach. Ojciec ma rację!

Dlatego jako przedstawiciel rady kontrolnej i jako lekarz ekspedycji domagam się skrócenia czasu pracy nad obłokiem, oddalenia się od niego i zajęcia się Weroniką. W przeciwnym razie nie odpowiadam za wasze zdrowie. Proponuję głosowanie.

– Ojej, ależ jezuitę wychowałem. Nawet zdołał się zemścić, i... No cóż, skoro chodzi o zadanie naukowe, nie mam prawa do kierowniczego weta, głosujcie, jeśli chcecie!

Zamiast wyzywać mnie od jezuitów, powinien był mi podziękować, Rada w żadnym wypadku nie zrezygnowałaby z podjęcia decyzji przez

głosowanie, potwierdzał to ton wypowiedzi Petera Noyda – bo złościąc się na mnie, cała siódemka darowała staruszkowi znacznie więcej czasu na badanie obłoku niż otrzymałby w innych okolicznościach. Miałem więc podstawy boczyć się nawet na niego, na siebie zresztą także – przecież w ten sposób zwiększało się prawdopodobieństwo spełnienia tego, czego tak bardzo się bałem.

– Jeszcze gniewasz się, Zenku? – zapytał mnie w tydzień później, kiedy wciąż tak samo w milczeniu obserwował, jak wraz z psychorobotem przygotowuję kolejną sondę do wystrzelenia w kierunku obłoku.

Był to pocisk badawczy, wyposażony w dodatkowe, specjalne urządzenia obronne, z nowymi urządzeniami i aparaturą, z dwoma dodatkowymi silnikami. Sam pocisk był mały, silnik miał jednak tak wielką moc, że zdołałby cały gwiazdolit uwolnić od przyciągania najpotężniejszej gwiazdy, i mieliśmy nadzieję, że uda mu się wniknąć w stanie nie uszkodzonym przynajmniej na milion kilometrów głębiej. Nie mieliśmy jednak żadnej pewności, ponieważ zetknie się tam nie z grawitacją, lecz z zagadkowym polem i równie zagadkową, choć wykreśloną matematycznie przez mego ojca, siłą akreacyjną.

– Niesłusznie masz do mnie żal – powiedział ojciec, gdy mu odpowiedziałem. – Rozumiem twój stan, lecz przecież w ostatecznym rachunku ocalejemy. A jeśli nawet nie ocalejemy, chwila warta „jest, by zawołać za Faustem Goethego, by się zatrzymała. Iluż śmiertelnikom, synu, zdarzyło się stanąć niczym bogom u samego początku, u najodleglejszego początku narodzin świata?

– Wolałbym, żeby był już gotowy – odparłem. – Albo żeby była to prawdziwa czarna dziura i bym mógł dać w nią nura i wyskoczyć potem według hipotezy Kardaszowa w innym wszechświecie.

Ojciec patrzył na mnie osłupiały, wreszcie przypomniał sobie treść owej hipotezy, której istnienia sam nie byłem pewien, potem wzruszył trzykrotnie lewym ramieniem – nawyk raczej niż tik nerwowy, który zaobserwowałem u niego w ostatnim czasie, a z którego nie zdołałem go wyleczyć.

– Może nawet i gdzieś istnieje – powiedział smutno. – Po co nam jednak, synu, wchodzić w inne wszechświaty, skoro jeszcze z tego nic nie pojęliśmy?

– Ach, skapitulowałeś przed obłokiem?

– Skapitulować? – zdziwił się mój zdumiewający ojciec. – Nie wiesz, że nasz genialny Ormianin opracowuje hipotezę, z której coś może wyniknąć? Tak czy owak, bezapelacyjnie przedłużamy jeszcze trochę swój

pobyt tutaj. Wyobraź sobie, stawia tezę, że siła akreacyjna nie wchłania przestrzeni, lecz stwarza ją...

– I cieszysz się, że chce udowodnić coś dokładnie przeciwnego niż to, z powodu czego uznano cię niegdyś za wielkiego?

Ojciec zamrugał nerwowo, ruch ramienia stał się bardziej gwałtowny.

– Dlaczego miałbym się nie cieszyć? Przecież teza ta wyjaśniałaby do pewnego stopnia, dlaczego przy podobnie potwornym przyciąganiu materia w obłoku rozrzedza się, to przemieszczając się na zewnątrz, to wytryskując jak woda z podziemnego źródła, rozumiesz?...

Musiał odczytać w mym wzroku, że niczego nie rozumiem i zaczął tłumaczyć z jeszcze bardziej niezrozumiałym dla mnie zachwytem, jak to Darian wygrzebał jakąś zarzuconą w przeszłości, nie dającą się udowodnić hipotezę, i połączywszy ją z teorią o sile akreacyjnej, opracował nowy, dość przekonujący model obłoku.

Niewidzialny nie odbierający środek stanowił fragment antyprzestrzeni w galaktyce, coś w rodzaju śluzy między przestrzenią i antyprzestrzenią. Siła akreacyjna, uwalniająca się z niej wskutek zetknięcia się dwu światów, zakrzywia poszczególne fragmenty antyprzestrzeni w taki sposób, że w punkcie pełnego zamknięcia miniaturowej antyprzestrzeni powstaje normalna cząsteczka elementarna. W ten sposób można by odpowiedzieć na odwieczne pytanie, dlaczego przy nieustannym oddalaniu się od siebie galaktyk, przy nieustannym rozszerzaniu się wszechświata w następstwie tego rozbiegania się, średnia gęstość materii w nim nawet po stuleciach pomiarów pozostaje niezmienna. Oznacza to, że wlewa się weń wciąż nowa materia, stwarzana jakby z niczego. Otóż owo „nic” mogłoby być w rzeczywistości antyprzestrzenią, antyświatem, wyrzucającym nieustannie nową materię w nasz świat. I odwrotnie: zamknięcie w drobinach naszego normalnego świata rodziłoby antycząsteczki.

– W takim razie – ciągnął ojciec obalając własną teorię z zadowoleniem godnym masochisty – pozostaje stwierdzić, dlaczego cząsteczki nowej materii nie rozbiegają się natychmiast we wszystkich kierunkach. Miałbym ochotę udowodnić tutaj, że mamy do czynienia nie z powstaniem materii w ogóle, lecz konkretnej materii przyszłej gwiazdy. Rozumiesz? Darian skłonny jest mnie poprzeć. Antyprzestrzeń zakrzywia się fragmentarycznie – do wyczerpania się całego obszaru. Siła zakrzywiająca antyprzestrzeń... Nie będziemy już nazywać jej akreacyjną, może jest szóstą, może pierwszą, a może również ową uniwersalną prasiłą, przekształcającą jedynie pozostałe. A stworzywszy cząsteczkę

z antyprzestrzeni, siła ta oddziałuje na nią już akreacyjnie. Nie pozwala jej umknąć, dopóki cała antyprzestrzeń w centrum obłoku nie przekształci się w materię. Potem materia zaczyna się zagęszczać, aż utworzy nową gwiazdę według znanego nam już schematu. Jak widzisz, znów dochodzimy do zimnego stwarzania gwiazd i galaktyk, cóż, osobiście mnie satysfakcjonuje. Rzeczywiście, teza o jednej sile wydaje się bardziej przekonująca. Ona przekształca antyprzestrzeń w cząsteczkę, akreacja skupia cząsteczki, przekształca je w grawitację, która zagęszcza je do wytworzenia się silnego wzajemnego oddziaływania, silne wzajemne oddziaływanie wypromieniowuje następnie elektromagnetyzm, który tworzy z atomów molekułę, i tak dalej. Z pewnością istnieje również odwrotny porządek, wywołany słabym oddziaływaniem wzajemnym i reakcją jądrową. Ta kolejność jednak prowadzi do stwarzania z naszej przestrzeni antycząsteczek. Przestrzeń przekształca się w antycząsteczki, antycząsteczki w cząsteczki... i oto równowaga świata w jego trój jedności czaso-przestrzenio-materii.

– Który jest jedyny i nieruchomy – wtrąciłem.

– Jedyny – owszem, na ile przestrzeń i czas stanowią część samej materii, nieodłączną część, jej cechy, ale... czy to nazywasz jego nieruchomością?

– Oczywiście – przytaknąłem. – To znaczy, że nicość może jednak zabość?

– Co? Co? – ojciec nie mógł ukryć zdziwienia.

– Nic. Przypomniałem sobie pewne głupstwa z tamtej mojej rozmowy z Zenonem z Elei.

– Aha – powiedział ojciec, ale myślą był pewnie znów przy swoim obłoku. Poklepał w zamyśleniu szary korpus pocisku zwiadowczego, na który najwyraźniej bardzo liczył, przypomniał sobie coś: – Jeśli wróci, pozwolę ci polecieć do Weroniki. Z pewnością zabawimy tu jeszcze jakiś czas, mimo wczorajszego głosowania, jak ci powiedziałem, kiedy zapalili się do modelu Dariana.

– Dziękuję – powiedziałem nieprzekonująco i pomyślałem, że to już koniec, że nadszedł nieuchronny czas spełnienia się mojej wizji.

A dlaczego właśnie podczas tej rozmowy z ojcem nagle nabrałem tego przekonania? Dlaczego niczym mała zimna eksplozja – jeśli bywają zimne eksplozje... (owszem, bywają, wszak zlewanie się dzieci z przestrzenią wywoływało wcale niemałą eksplozję zimna!...) dlaczego niczym zimna eksplozja wybuchała we mnie pewność, że to stanie się już teraz? Może zapal kolegów, którzy mieli jeszcze pozostać, by sprawdzić model

Dariana, wydał mi się owym decydującym zbiegiem okoliczności, zwiastującym nieuchronność rzeczy? Może teza, że przestrzeń i czas nie są jedynie warunkami istnienia materii, lecz jej wewnętrzną istotą, ostatecznie utwierdziła mnie w przekonaniu, że podobne zjawiska mogą być realnymi obrazami naszego poruszania się wewnątrz materii. Nie wiem. Lecz wiem, że nastąpiły dla mnie setki godzin niemal nie do zniesienia, które tak mnie wyczerpały, że gdy to rzeczywiście nastąpi, moje zmysły nie będą już w stanie tego odebrać, ani zareagować. Na szczęście nie odbija się to zbyt na zespole, w którym panuje wciąż ten sam entuzjazm. Poza tym cała ósemka wierzy, że jestem nerwowy i niespokojny, ponieważ tak jak oni wyczekuję na powrót specjalnego pocisku z niezbędnymi dla teorii Dariana danymi.

Nie będę tu wdawał się w szczegóły naukowo – technicznych zajęć naszej ekspedycji, bo przynajmniej te materiały powinny ocaleć bez względu na to, czy moja wizja spełni się, czy nie. Jeśli nie ocaleją materiały archiwalne, nie ocaleje naturalnie także moja opowieść, znajdująca się wśród nich, opowieść, którą kontynuuję z samozaparciem wszystkich kronikarzy. Zresztą jest to jedyny wyczyn, na jaki mogę zdobyć się w podobnym stanie.

## Teoria gry

### 1

Tę część notatek ponownie zmuszony jestem sporządzać ręcznie. Nie mogę odłożyć ich na potem jak poprzednim razem, ponieważ nie ma żadnych widoków na wskrzeszenie naszej przereklamowanej techniki. Gwiazdolot jest martwy, nie pracuje ani jeden z jego systemów, ani aparatura stanowiąca elektromagnetyczne źródło zasilania. To prawdziwy cud, że żyjemy. Widzimy trochę tylko dzięki noktowizorom w przedniej części hełmów. Sprawiają one, że mrok wygląda jak biała kasza, upstrzona szaro – czarnymi plamkami dziewięciu skafandrów – paradoks, wywołany przez temperaturę powietrza i częściowe uszkodzenie wizjerów. Nasze psychoroboty leżą bez ruchu, każdy tam, gdzie zastało go uderzenie, a my jesteśmy tak bezsilni we własnym domu, jak chyba nigdy nie był żaden człowiek. Nastąpiło to w momencie, gdy będący naszą ostatnią nadzieją specjalny pocisk badawczy powinien był zawrócić na trzymilionowym kilometrze. Sygnały przestaliśmy jednak odbierać dopiero przed upływem siódmej godziny, choć wszystkie zaginione uprzednio sondy przerywały nadawanie znacznie wcześniej. Przetworzyliśmy nową informację pokładając jeszcze nadzieję w dodatkowych rakietowych silnikach pocisku i oczekiwaliśmy o ustalonej programem godzinie pierwszych sygnałów z drogi powrotnej.

Nie wiem, czy szczególne napięcie, o którym już wspominałem, spowodowało, że nie wytrzymałem nerwowo, czy też było to coś w rodzaju przecucia, lecz gdy zegar odbiornika wskazał fatalną dla naszych nadziei godzinę, włączyłem poli wizor na ogólny program i prawie histerycznie rozkazałem:

– Uwaga! Załoga – do superskafandrów! Sprawdzić gotowość torped awaryjnych, systemów dublujących i wszystkie podstawowe połączenia statku.

Potem szarpnąłem zaplombowanym uchwytem sygnalizacji, znajdującej się w każdym sektorze, do ostatniej kreski, do alarmu trzeciego stopnia. Gwiazdolot przeszła taka kakofonia dźwięku i światła, że nie mogła nie sprawić, by nawet najodporniejsze serce nie podskoczyło ze strachu.

– Co ci strzeliło do głowy? – usiłował przekrzyczeć mnie ojciec, stojący wtedy obok w niecierpliwym oczekiwaniu, że pocisk ponownie przemówi.

– Zarządzenie rady kontrolnej. Wykonać! – wrzasnąłem nawet na niego.

– A cóż z ciebie za rada kontrolna? Bądź zadowolony, że w ogóle cię zabraliśmy. Jeśli ktoś na tym statku ma prawo wydawać rozkazy, to tylko ja, rozumiesz? Co sobie wyobrażasz?

– Tato, proszę cię, wykonaj! Bądź prawdziwym dowódcą!

– Ale gdzie dostrzegasz niebezpieczeństwo, człowieku? Jak będziemy pracować w tych skafandrach?

– Proszę cię, tato!

– Dopóki nie wyjaśnisz mi...

Obok nas przemknął psychorobot, prawdopodobnie, by coś sprawdzić – rozkaz był już wykonywany. Ojciec upierał się nadal, więc z rozpaczą przyszło mi do głowy:

– Alarm próbny! Mam prawo do tego jako przedstawiciel rady kontrolnej, dotąd ani razu go nie ogłosiliśmy, a według regulaminu...

– Właśnie teraz ci się zachciało... – zawahał się ojciec, który nie potrafił ani gniewać się, ani rozkazywać. Przecież nigdy nie zajmował się dowodzeniem ludźmi poza swoim sektorem naukowym.

– Teraz! – powiedziałem z władcym spokojem. Spojrzał na mnie zdziwiony; nie podejrzewał podobnych cech u swego syna.

I prawdę powiedziawszy, nagły przestraszył mnie właśnie dzięki jego reakcji. Uspokoilem się, że nie stało się nic niezwykłego, mimo iż nie wróciły dotąd dziesiątki sond, że przecież wciąż znajdujemy się daleko od tej warstwy obłoku, poza którą można już mówić o niewątpliwym, zagęszczeniu materii, o odczuwalnej sile pola przyciągania.

Wokół statku i w nim panował niczym nie zmaćony stan idealnego układu między człowiekiem a przyrodą...

– Zenku, czy to... znów nie jakaś wizja? – zapytał niedowierzająco ojciec, lecz nie odpowiedziałem mu. Musiałbym albo okłamać go, albo przyznać się, że się przestraszyłem, jak inaczej zdołałbym wytłumaczyć decyzję o alarmie próbnym, bez poradzenia się jego, dowódcy ekspedycji?

Poszedłem włożyć skafander, przynosząc także skafander ojcu – ciężki uniform, jakby przeznaczony do wchodzenia w głąb gwiazd. Wyglądaliśmy w nich jak prawdziwe monstra i nie pamiętam przypadku, nawet z filmów przygodowych, by ktoś używał takiego skafandra w swym wygodnym kosmosie, chyba że był on całkowicie uszkodzony i rozhermetyzowany. Ale na takim statku jak nasz, jeśli sam statek cię nie uchroni, nic nie jest w stanie cię uchronić.

Gdy pomagałem ojcu wejść w autonomiczny świat superskafandra,

poliwizor przemówił meldunkami z różnych sektorów. Staruszek poweselał:

– Zręczni chłopcy!

– Widzisz, że próbny alarm nie okazał się zbyt cenny – triumfowałem i poleciłem, gdy przebrzmiał ostatni raport..

– Możecie kontynuować pracę. Nie ściągać skafandrow do następnego komunikatu.

– Jak długo będziesz nas w nich trzymać? – zapytał ojciec.

– Jak długo mi się spodoba – odparłem, zatrzasnąłem hełm na swej głowie i pokazując przez osłonę język.

Powstrzymał jakiś grymas pogroźki, powiedział coś, lecz jeszcze nie uruchomiło się połączenie. W pogroźce kryło się jednak ojcowskie zadowolenie. Kto ośmieliłby się pokazać język temu, komu oddawała hołd cała ludzkość! Nawet jego syn nie pamiętał, czy zrobił to kiedykolwiek przedtem.

Po trzech godzinach nastąpiło uderzenie.

Nie odczuliśmy właściwie żadnego uderzenia, lecz jakim innym słowem oddać to, co się stało? Po prostu wyłączyło się oświetlenie powodując automatyczne zaciągnięcie tarcz przed osłonami hełmów i włączenie się noktowizorów. Doszedłszy do siebie, zrozumieliśmy, że prawie wszystko na statku uległo rozregulowaniu, a systemy dublujące nie włączyły się. Przedtem jednak skonstatowaliśmy, że nie potrafimy się nawet usłyszeć, że nie odbieramy żadnego innego dźwięku prócz uderzeń własnej krwi dudniącej w czaszkach. Jakaś oszałamiająca siła przeturlała nas na lewą stronę tak wychwalanego za swą niezawodność kosmolotu najwyższej klasy gwiazdnej.

Owszem, odezwało się coś we mnie, a zabrzmiało to jak samozadowolenie. Dobrze, że uparłem się i nie ustąpiłem przed prośbami i szemraniem innych! Może tylko skafandrom zawdzięczaliśmy ocalenie?

Pomyślałem tak, jakbym wiedział, przed czym nas ustrzegły, i pomyślałem spokojnie, a raczej już uspokojony, czy jak określiłem to wcześniej, tak bezsilny, że nie potrafiłem się nawet przestraszyć. Nie miałem nawet siły się podnieść.. Namacałem stukilogramową lewą ręką regulator grasera – nic! Opancerzony ubiór nie przestawał przygniatać mnie wielotonowym ciężarem do podłogi. Cisza chciała rozerwać bębny w uszach. Czy uszkodzeniu uległa aparatura antygravitacyjna w skafandrze, czy też znajdujemy się w obłoku, gdzie nie ma grawitacji? Ale co robilibyśmy w obłoku? I jak mogliśmy tak zwyczajnie weń wpaść? Zgoda, powiedzmy, że nie ma w nim grawitacji, ale przecież na statku



mieliśmy własną, sztuczną grawitację? Znaczyłoby to, że nawet skafander ze swą wychwalaną autonomicznością został uszkodzony! Do diabła, jak go teraz ściągnę? No, proszę, i z wizjerem coś nie w porządku...

Bioniczne kopie urządzeń podpatrzonych u niektórych płazów umożliwiły nam widzenie przedmiotów dzięki niewidzialnym falom ciepła emitowanym przez każde ciało. Różnica w ich długości czyni je jednak tak delikatnymi i zróżnicowanymi, że oko ludzkie w odróżnieniu od aparatury fotograficznej wymaga specjalnego przetwarzania. Wyglądało na to, że on także nie pracował. Nie szkodzi, pomyślałem, będziemy patrzeć jak płazy nocą, sam zdziwiony swą zdolnością do zastanawiania się nad dziwnymi sprawami. Potem z wysiłkiem pokręciłem głową. Usiłowałem rozpoznać coś w rozmazanych zarysach przedmiotów dokoła. Płazy jednak, o ile mi wiadomo – w rzeczywistości co wiadomo mi o nich, może wcale tak nie jest – płazy dokonują obserwacji na otwartej przestrzeni, gdzie nocą chłodne powietrze służy jako stały ekran, na którym wyróżniają się świecące ciepłe ciała ich ofiar, rośliny i nagrzane za dnia inne twory natury. A powietrze w naszym statku jest cieplejsze od przedmiotów i znaleźliśmy się pogrążeni w białym, świetlistym i dymiącym oparze, w którym majaczyły, od szarości do czerni, przedmioty o dziwnych konturach i niezwykle przerażającym wyglądem. Jak długo to potrwa? Jeśli rzeczywiście wszystko uszkodziło się nieodwracalnie, jeśli uszkodzona jest także instalacja klimatyczna, statek będzie stygł stopniowo, aż mrok stanie się absolutnie nieprzejrany nawet dla noktowizora. Oczywiście, może stać się to również bardzo szybko, jeśli statek jest rozhermetyzowany. Wewnątrz zaś, w skafandrze, teraz nie przepuszczającym nawet kwanta naszego promieniowania termicznego, będzie dziać się coś wręcz odwrotnego, w przypadku gdyby także jego system wymiany ciepłej przestał działać. Nasza krew nagrzewać będzie ciasną przestrzeń, aż udusimy się w piecu własnego ciała. Oczywiście, jeśli nie podejmiemy ryzyka otwarcia hełmów i jeśli nie zdołamy przynajmniej w jakimś stopniu poradzić sobie z niewytłumaczalną sytuacją, w jakiej się znaleźliśmy.

Ojciec mój leżał kilka metrów ode mnie, wyciągnięty na plecach – szaroczarny nieruchomy kopczyk. Poznawszy go, struchlałem na chwilę, ale zaraz uspokoiłem się. Głupstwo, przecież wszyscy są żywi, przecież słyszałem wtedy jego głos! I spróbowałem podnieść się. Trwało to z pewnością długo. Musiałem wpierw oswajać się ze swym ciałem staw po stawie, muskuł po muskule, uczyć się kierować mmi, łączyć ich działanie z mechanicznym szkieletem skafandra, walczyć z fosforyzującą kaszą,

która zdawała się przylepiać mnie do podłogi. Wreszcie zatoczyłem się w niej wśród przerażających zarysów nie znanych mi teraz urządzeń i brnąc z ogromnym wysiłkiem ku ojcu, stałem się wreszcie zdolny do odczuwania strachu. Ponieważ przypomniałem sobie, że tej sytuacji nie widziałem w swym widzeniu sennym. I w moich notatkach, i w moich wspomnieniach brak było jakiegokolwiek sytuacji katastroficznej, a w obecnej rzeczywistości tylko kilka momentów było powtórzeniem mej przygody w wyimaginowanej torpedzie awaryjnej. Nie przestraszyłem się jednak zbytnio, zajęty podnoszeniem nogi i przesuwaniem jej o 15 centymetrów w przód, aby przyciągnąć do niej drugą. Z pewnością gdyby nie mechaniczny szkielet skafandra – zespół dźwigni, zwiększających muskularną moc jego nosiciela, nie zdołałbym zrobić nawet kroku, choć skafander skądinąd wcale nie jest tak ciężki, mimo niezliczonej w nim aparatury, przecież jedną ręką przywlokłem skafander ojca. Co tu się stało?...

Będę zmuszony pomijać szczegóły tego, co przeżywamy i robimy nie tylko dlatego, że bardzo trudno jest pisać ręcznie. Mamy mało materiałów piśmiennych i nie wiem, jak długo będą nam potrzebne.

Ojciec żył. Potrzęsnałem nim, postawiłem na nogi, po czym obaj upadaliśmy kilka razy, nie słysząc najmniejszego dźwięku naszego upadku. Podpierałem go przez pewien czas, aż doszedł do siebie, pomogłem postawić pierwsze kroki, jak pomaga się w chodzeniu rocznemu niemowlęciu. Spróbowałem powiedzieć mu coś na migi, lecz gesty moje były tak spowolnione, że z pewnością zamazywało to ich znaczenie, więc zrezygnowałem. Jakiś podobnie powolny gest ojca chciał mnie powstrzymać, lecz nie zatrzymałem się. Pozostawiłem ojca i ruszyłem w kierunku sektora mieszkalnego. Choć pozbawione wrażliwości materiałów fotograficznych, oko ludzkie pozostaje wciąż jednym z największych cudów przyrody. Szybko przywykłem do rozróżniania tego, co znane, wśród białego oparu powietrza, i zacząłem stąpać pewnie, a odkrywanie tego lub innego zapomnianego miejsca dostarczało mi małych radości. Wróciłem po jakiejś półgodzinie? Gdybym spojrział na – zegarek, wiedziałbym, ile czasu potrzebowałem, by dotrzeć do gabinetu Petera Noyda i znaleźć przybory do kreślenia. Chronometr na moim rękawie wydawał się jedynym, co funkcjonowało wokół mnie normalnie i był to równie pocieszający cud. Dopiero później uświadomiłem sobie, że to nic nie oznacza i w niczym nie okaże się pomocne. A kiedy potem spojrziałem nań, radość moja w jednej chwili przeszła w spazm przerażenia – magnetometr znajdujący się obok zegarka

znieruchomiał na 26 tysiącach erstedów. Znaczyło to, że w statku występuje niewyobrażalne, potworne pole, na razie nie przypominające mi niczego innego, jak tylko to, że siła magnetyczna naszego ojczystego Słońca wynosi jeden ersted. A mimo to potrafiłem się poruszać! To jest, skafander, który przeklinałem, wypełniał swe szczytne zadanie. Tak jak bez przeszkód pozwalał mi pić wodę, regularnie wchłaniając pot mego ciała.

Na szczęście Peter Noyd trzymał przybory stale na pulpicie w kabinie. Leżały tam tak, jakby siła, która powaliła nas na ziemię, na nie nie oddziaływała. Złapałem teczkę i pudełko z różnobarwnymi, teraz odbarwionymi sztyftami. Połowa kartek okazała się zapełniona rysunkami, ale ucieszyłem się, że przynajmniej ich odwrotne strony są do użytku. Drugą rozsądną myślą, jaka wpadła mi do głowy, było, że zbędny jest powrót do poprzedniego sektora, bo ojca z pewnością już tam nie ma. Mimo stu tysięcy erstedów mogłem pochwalić się dziwnym, lecz wytłumaczalnym opanowaniem. Dzięki temu i w pierwszych minutach, i później okazałem się wytrzymałym na trudy członkiem załogi.

Z pewnością wspomnienie wizji kontynuowało swe uspokajające działanie, nie byłem więc zaskoczony, gdy zastałem ich wszystkich zdrowych i całych, tkwiących w głównej sali dowodzenia, wypełnionej tą sarną białą kaszą – osiem zwalistych szaroczarnych postaci, nieruchomych i milczących jak starożytne kamienne posagi. Mimo wszystko westchnąłem z ulgą na ich widok. Napuszyłem się także, ponieważ niosłem im narzędzie porozumiewania się Stare, prymitywne, wypróbowane jednak przez tysiąclecia. Czemu od razu potracili głowy? Biedacy!

Już podchodząc do nich napisałem wolno, z ogromnym wysiłkiem grubymi literami na odwrocie pierwszego rysunku.

*No i co? Dobrze, że nie rzuciliśmy skafandrów, prawda?* – nagryzmołone tak, że ledwie można było odczytać.

I podsunąłem ojcu przed przednią osłonę hełmu. Nachylił się ku niemu, równie wolno wziął z moich rąk, zażądał drugą ręką sztyftu, którym nakreśliłem to szczeniacko chełpliwe i zupełnie niestosowne pytanie. Zacząłem czytać, zanim jeszcze skończył, ponieważ trzeba było nieludzkiej cierpliwości, by doczekać końca mozolnego kreślenia liter. Bezgłośnie, jak w majaku sennym przybliżyli się także inni, by zobaczyć, co robimy.

*Jesteś geniuszem* – napisał w odpowiedzi ojciec. – *Wybacz, że myślałem dotąd o tobie tylko źle!* – Ręka jego uniosła się zakołysała tak,

jak zakołysało się boleśnie pod tym ciosem moje serce, potem znów zbliżyła sztyft do kartki: *A naprawdę kim jesteś?*

To nie ojciec, oczywiście. Mógł to być tylko Ormianin, równie opanowany jak ja. Przynajmniej nie stracił ochoty do żartów. Przyjrzałem się szarym posągom i przekonałem się, że jesteśmy nie tylko milczący, lecz także bezimienni. Opuszczona przed twarzą osłona nie pozwalała odgadnąć, kto tkwi za nią. Skafandry miały napisy z nazwiskami właścicieli, lecz były tak drobne, albo też ich barwa była tak słaba, że nie dostrzegałem ich. Widać cała ósemka dopiero co się zebrała, spoglądając po sobie w oczekiwaniu na nadejście dziewiątego, ponieważ nie mogła zrobić nic innego, jak tylko się przeliczać.

Obok jednego z pulpitych dostrzegłem powalonego na ziemię psychorobota. W oślepiającej bieli powietrza nie mogłem odczytać jego imienia, wywołało to jednak we mnie następną praktyczną myśl. Wyciągnąłem drugi sztyft z pudełka i napisałem wielkimi literami na piersiach tego, który trzymał jeszcze teczkę z papierem rysunkowym: Darian. Przeczytał to, skinął wyniośle na znak zgody, wyniosłość ta spowodowana była jedynie ciężarem, któremu musiał stawić opór. Chciał coś jeszcze napisać na kartce, ale ująłem go za obie ręce i ostrożnie okręciłem, by wypisać mu jego imię także na plecach. Potem wyrwałem mu teczkę, podając w zamian tylko jedną kartkę. Sztyft już miał. Rozdałem sztyfty i kartki wszystkim, wskazując na swą pierś. Pojęli natychmiast, dlatego od razu napisali w górnym rogu kartki swoje nazwiska, które ja wypisałem wielkimi literami na ich plecach i piersi Peter Noyd dopisał na swej kartce: *Barbarzyńca! Moje rysunki! Przecież były też puste kartki!* Nie wywołało to jednak we mnie żadnego innego uczucia, jak tylko zawiść o szybkość i pewność, z jaką wyraził swój gniew. Widać było rękę artysty nawet w rękawicy skafandra.

W końcu gdy tylko ja pozostałem bezimienny, wszyscy dowiedzieli się, kim jestem. Ojciec znów postąpił ku mnie jak jednoroczne niemowlę z zamiarem objęcia mnie, lecz odsunąłem go, wskazując, by napisał mi na plecach moje imię. Nie jestem skromny, dlatego mogę powiedzieć: było za co mnie obejmować. Dałem im na razie to, co najważniejsze – środek porozumiewania się, bez którego niemożliwe było jakiegokolwiek zorganizowanie naszej walki o ocalenie.

Po następnej godzinie Peter Noyd instalował już obok pulpitu autopilota nie wiadomo skąd wymontowaną płytę. Odkrył także w laboratorium chemikalia, którymi można było na niej pisać i potem kawałkiem miękkiego materiału izolacyjnego ścierać. Nadzieja jednak, że ocali tym sposobem swe rysunki, była płonna. Pierwszy rozkaz, który ojciec mój napisał na płycie, brzmiał:

*Noyd, zebrać kartki od ludzi. Rozdać wszystkie szkicowniki. Nieprędko będziemy mieć inne materiały do zapisywania naszych obserwacji. Proszę postawić jeszcze kilka takich płyt.*

Niežnośnie długo trwało wypisywanie tego zarządzenia, potem równie niežnośnie długo ojciec je ścierał. Pomyślałem – z pewnością nie ma już po co się spieszyć, mimo wszystko jednak ten sposób rozmawiania targa nam nerwy. Potem pomyślałem – i może nas nawet kosztować życie. Straszliwy ciężar naszych ciał przypominał bardzo ich ciężar w szybkościowych pociskach transportowych Ikara. A każda sekunda z pewnością jest cenna, tym bardziej gdy nie wiemy, kiedy niemożliwe już „będzie przedsięwzięcie czegokolwiek. Ustawiczne przebywanie w podobnym polu zabije nas. Nie znaleźliśmy jego siły, ale nasze utrudnione poruszanie się w skafandrach mogło być jej skutkiem. Widziałem na filmie medycznym somnambuliczne zachowanie się bezbronno człowieka w polu zaledwie 500 erstedów, a skafandry nasze ledwie wytrzymały 96 tysięcy, które przytrafiły się naszemu gwiazdolotowi. Jakże zatem jest poza nim, skoro jest nie rozhermetyzowany?

Wręczając teczkę z rysunkami Peterowi Noydowi, miałem prawo triumfować; mimo wszystko dobrze, że ograniczone są możliwości kontaktu pisemnego. Wątpliwe, czy Noyd będzie kazał mi się wytłumaczyć z pozostałych kartek, gdy otworzy teczkę i zobaczy, że brakuje akurat owych nie zarysowanych dwudziestu, które wsunąłem, idąc tu, do jednej z nisz. Z pewnością złoży to na karb własnego roztargnienia, nie dopuszczając, by Ikarczyk zdolny był do popełnienia podobnej niegodziwości.

Wnet pojawiły się płyty do pisania jeszcze w kilku miejscach, prawie w każdym sektorze, tym samym stworzono podstawy do celowej działalności. Pożyteczne okazało się nieposiadanie twarzy. Nie wiedzieliśmy, co dzieje się za szarą nieprzejrzystością osłony, widzieliśmy tylko powolne i rozumne działanie innych. To kazało sądzić, że wszyscy są spokojni, tylko, ty boisz się niepotrzebnie. Wspaniałe jest także to, że jedna płyta nie wystarcza, by przekazać komuś swe przerażenie, i świetliście biały opar zwany powietrzem nie rozbrzmiewa

bezsensownymi teraz pytaniami: gdzie jesteśmy? Jak znaleźliśmy się tutaj? Co jest wokół nas? Jak długo będzie to trwać? Czy nie ma nadziei na ratunek?...

Gdy ustawialiśmy obok wizjerów do bezpośredniej obserwacji środowiska zewnętrznego zdemontowaną ścianę pomieszczenia sanitarnego, teraz także już niepotrzebnej, Darian napisał na niej:

*Zauważyłeś, że człowiek odczuwa potrzebę dzielenia z drugim nie tylko odkryć w kosmosie, lecz także głupstw? Ta potrzeba jest chyba nawet silniejsza.*

Po czym stał to i napisał w górnym rogu: Rubryka głupstw.

Okazał się dobrym psychologiem. Szybko ściana ta stała się najbardziej wykorzystana, ja zaś żałowałem, że nie starcza skradzionych Noydowi kartek, by odtworzyć niektóre z pisanych na niej stwierdzeń. Były to cudowne żarty i aforyzmy bądź zwyczajne przekleństwa czy słowa, za którymi wyczuwało się wzruszającą bezradność wobec po męsku przyjmowanej sytuacji bez wyjścia, wyraźnie jednak służyły jako wentyl dla naszej beznadziejnie uwięzionej w skafandrach psychiki. Kiedy Darian przylgnął osłoną twarzy do okularów, jakby miał nadzieję, że w tym czasie na zewnątrz coś się zmieniło, wykorzystałem ścianę niezgodnie z jej przeznaczeniem.

Napisałem: *widać coś?*

Szybko zrezygnował z bezpłodnego wpatrywania się, a odpowiedź jego potwierdziła, że ten sposób porozumiewania się kusi do napisania także słów, których w innych przypadkach unikasz.

*Widać macicę Galaktyki. Właśnie wylazi z niej nowa materia.* (Jestem lekarzem i terminologia medyczna jest dla mnie czymś powszednim, ale mimo wszystko zamieniłem słowo. Poza tym jestem przedstawicielem rady kontrolnej!)

Wyobraziłem sobie, jak Darian przy tym słowie uszczypnąłby się w nos, i pomyślałem z satysfakcją – zobaczymy, jak teraz uszczypniesz się w skafander!

Już sprawdziłem, że wokół gwiazdolotu panuje całkowity mrok – ani gwiazdy, ani nawet jakiejś jaśniejszej plamki nie można było dojrzeć przez wizjery. A mimo to napisałem jeszcze jedno głupstwo, ale nie z tych, które miał na myśli Ormianin, poświęcając na nie ściany.

*Nie sądzisz, że spadamy?*

Odpowiedział słusznie:

W kosmosie każde swobodne spadanie jest spadaniem ku określonemu środkowi ciężkości, chłopaczku.

Nie miałem ochoty darować mu tego chłopaczka, ale jak rozprawić się z nim? Zresztą, zasłużyłem na to. Dziwne jednak, skąd przyszedł mu do głowy ten wyraz? A może nie zawiera kpiny? Oczywiście z racji wieku mógłby być moim ojcem, lecz dotąd traktował mnie jak rówieśnika. Czyżby zamierzał mnie „usynowić”, przeczuwszy wmówiony mu przeze mnie bliski koniec? Napisałem:

*Co powiesz o tezie ojca, że wpadliśmy w akreację przyszłej gwiazdy?*

Odpowiedział typową sobie sentencją:

*Natura jest czymś takim, syneczku, że choćbyś powiedział o niej największe głupstwo, może okazać się prawdziwe.*

I odszedł. Starłem moje pytanie, pozostawiłem jednak odpowiedź. Potem zapatrzyłem się przez wizjery na nieprzejrzany mrok, powtarzając w myśli pytania, które miałem ochotę zadać Darianowi bądź komukolwiek, choćby nikt nie znał na nie odpowiedzi. Kiedy wyjęczałem już ostatnie, poszedłem do swej kabiny, która z powodu skafandra stała się teraz dwakroć ciaśniejsza, i zabrałem się do kontynuowania zapisków, choć na gwiazdolocie potrzebne były także moje ręce.

Ale co właściwie pisać? Co pisali ludzie w podobnej sytuacji? Co pisali starożytni skazani na śmierć? Tak mało jest kartek, a jeszcze mniej prawdopodobieństwa, by ocalały. A może dotrą do kogoś wyniki obserwacji i przemyśleń tych wspaniałych ośmiu mężczyzn, po co zatem komuś moje opowieści profana? Człowiek doświadcza jednak czasem nieprzewyciężonej potrzeby wypowiedzenia także głupich myśli, jeśli nie do innych, to przynajmniej do dyktafonu albo na takich cennych, kradzionych kartkach! I kto wie, czy nie jest czymś więcej niż tylko samoobroną organizmu szukanie w tym, co minęło, podpory przed ciosami niepojętego nowego dnia.

### 3

W kilka godzin po uderzeniu w gwiazdolocie zapanował porządek, od którego mogła ścierpnąć skóra. Ludzie pływali tam i z powrotem w białej mgłę powietrza niczym ospałe ryby w akwarium i jakby z taką samą bezmyślnością. Ani z ich ruchów, ani z kierunku tych ruchów nie można było od razu pojąć, czy w ogóle coś robią. Oddalił się któryś od ciebie na dwa-trzy metry i już nie byłeś w stanie odczytać jego imienia, nie widziałeś, dokąd zmierza. Ojciec stał niezmiennie przy autopilocie i nizał na płycie rozkaz za rozkazem. Polecał, by każdy opisał, co zauważył w chwili uderzenia, co czuł, by przypomnieć sobie lub przejrzał jeszcze raz

wskazania przyrządów, które wówczas obserwował. Polecał jeszcze imiennie, kto nad czym powinien się zastanowić albo jakiego wyliczenia i na jakiej płycie ma dokonać. A żaden z tych rozkazów zdawał się nie odnosić w najmniejszym choćby stopniu do próby wyjścia z tragicznego położenia. Szaro-czarne kopki podchodziły odczytać je i posłusznie brały się do ich wykonania, jakby pogodziły się ze swą śmiercią i nie pozostało im nic innego, jak dokończenie naukowej misji ekspedycji.

Po co jednak ją wypełniać, skoro nie ma widoków na uratowanie nawet jej dotychczasowych rezultatów? Jeśli wcześniejsze nasze hipotezy o obłoku są słuszne, w żaden sposób nie znajdziemy sposobu wydostania się z potężnego pola powstającej gwiazdy. Nasze główne graserowe silniki działają na zasadzie przekształcania grawitacji, a tu grawitacji nie było. Silnika fotonowego czy plazmowego nie jesteśmy w stanie uruchomić z powodu paraliżu systemów elektromagnetycznych. Istota siły akreacyjnej nie jest nam znana, mimo iż w nie wyjaśniony sposób jej pole oddziałuje na magnetometry, częściowo powstrzymywane przez naszą obronę antymagnetyczną. Skoro jednak skafandry czyniły ją znośną dla naszych organizmów, to blisko sto tysięcy erstedów w statku kazało domyślać się milionkrotnie większej siły na zewnątrz. Dlatego właśnie uśmierciła system silnika fotonowego i plazmowego, zdolna sama go stworzyć, skierowując i fotony, i plazmę do pola elektromagnetycznego o mocy milionów erstedów.»A to czyniło ją jeszcze bardziej niepojętą. I pozostanie z pewnością długo jeszcze nie znana ludzkości, może dłużej niż okres między odkryciem grawitacji i jej opanowaniem. Im głębiej wnikaliśmy w tajemne mechanizmy wszechświata, niemal w porządku arytmetycznym stawały się one bardziej skomplikowane i trudniej dostępne dla nas, prowincjuszy z bocznej odnogi Drogi Mlecznej. „Może dawne silniki raketowe zdołałyby uporać się z potworną siłą, dopóki jeszcze jesteśmy na obrzeżach jej oddziaływania Statek jednak nie miał takich silników, jakie bowiem musiałyby mieć rozmiary? Z pewnością nie starczyłoby na nie wszystkich środków wybuchowych na Ikarze. Nasze zapasy w najlepszym razie mogły posłużyć do uzbrojenia dwu – trzech torped awaryjnych i nie rozumiałem, dlaczego pierwszy rozkaz ojca nie zagnał nas wszystkich do pracy nad nimi, by spróbować się wymknąć, dopóki jeszcze nie jest za późno. Tylko inżynierowie pokładowi Rey i Celer zaczęli oprzyrządowywać najmniejszą, z silnikami raketowymi, by wystrzelić dokumentację naukową.

Gdy dowiedziałem się o tym, przypomniałem sobie powiedzenie mego nauczyciela Terina, że Ikarzycy nie są niczym innym, jak tylko



maszynami zwiadowczymi, wysłanymi z Ziemi. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wydawały się maszynami te pozbawione twarzy metalowe wielkoludy. Przypominały starodawne, wolno poruszające się maszyny, bez programu samoobrony, podczas kiedy najprymitywniejsze psychoroboty pomyślałyby w takiej sytuacji o sobie. Jakby nie potrafili robić nic innego, jak tylko z uporem automatów gromadzić nowe dane, nie dbając o to, czy prawidłowe, a w tym przypadku z całkowitą niemal pewnością, że są fałszywe z powodu powszechnego uszkodzenia urządzeń.

A przecież nie były robotami te nieruchawe, wielkie roboty z wieku raczkującej elektroniki. Wiedziały lepiej ode mnie, że akreacja, która przyciąga nas ku nie odbijającemu centrum obłoku, po jakichś dwu milionach kilometrów spłaszczy nas tak, że nawet naszych atomów nie pozostawi całych, albo też zanihiluje przy zetknięciu z przypuszczalną antyprzezierną. Jeśli wcześniej nie wyczerpie się żywność i woda w naszych skafandrach. Zapasy w rzeczywistości były duże, ponieważ regenerowały się, lecz zbawcze skądinąd akumulatory systemu regeneracyjnego w końcu wyczerpią się, bo nie ma sposobu ich zasilenia. Tak że już mogliśmy zakładać się, co wyśle nas w niebyt: pragnienie, głód czy uduszenie. A otworzyć choćby hełmy było nie do pomyślenia. Nie pytany Peter Noyd napisał na ścianie do pisania głupstw, gdy zastałem go na gapieniu się przez wizjery: *Balow, udowodniono, że przy dziesięciu tysiącach erstedów myszy giną natychmiast.*

Nie, nie były robotami tych ośmiu mężczyzn, w swych nieruchawych, ślepych skafandrach, krzątających się w samym łonie rodzącej się materii!

Mimo iż sytuacja była wyraźnie bez wyjścia i na tragifarsę zakrawały wysiłki, by wypełnić torpedę awaryjną naszą wiedzą i niewiedzą, każdy z nich, często bez powodu, starał się być blisko swego kolegi, astrofizyka Dariana. Jak już pisałem, mgła wsysała nasze sylwetki już na kilkumetrową odległość.

Początkowo wyobrażałem sobie, że tylko ja go śledzę, a on przypisuje to nieustanne kręcenie się mojemu przywiązaniu do niego. Potem zauważyłem niezmienną obecność obok nas jeszcze jednego skafandra, którego imię nie zawsze udawało mi się odczytać wśród oślepiającej wizjer bieli powietrza. Aż pewnego razu na jednej z płyt pojawiło się wielkimi literami ostrzeżenie:

*Do wszystkich! Sądziecie, że przyjemnie jest żyć, kiedy choćby tylko przez noktowizor gapią się na ciebie jak na przyszłego samobójcę? Z pozdrowieniem – Darian.*

Napis tkwił dosyć długo, ponieważ nikt nie wiedział, czy wszyscy go

przeczytali. Z pewnością wreszcie sam Darian go wymazał. Nie wymazał nim jednak mojej trwogi. Nie opuściła ona zapewne i reszty załogi, której chłodna krew w tych dniach była dla mnie przykładem i podporą. Nie wiem, – co czują, co myślą, co zamierzają poza pracą, wykonywaną zgodnie z rozkazami mego ojca, który przeobraził się niespodziewanie we władczego i energicznego dowódcę. Z pewnością i jemu pomogła w tym osłona skafandra, skrywająca przed oczyma innych wszystko, co osobiste. Każdy był zabójczo samotny w swej trudnej do udźwignięcia twierdzy. Samotnie żywił się, samotnie pił swoją wodę, samotnie oddychał własnym powietrzem. Sam cieleśnie i duchowo, skazany, bezsilny i niepokieszony wśród przyprawiającej o szaleństwo ciszy. W samotności tej jednak znajdował czas i siły, by troszczyć się o przyjaciela.

Prosty rozpad jądrowy, uruchamiający nasze chronometry, oparty na owej wciąż jeszcze nie odgadnionej do końca sile, nazwanej „słabym oddziaływaniem wzajemnym”, nie przestawał równomiernie emitować niewidzialnych cząsteczek. Niewidzialnych i niewyczuwalnych jak sekundy, minuty, godziny, dni. Widać siła akreacyjna, choćby nie wiadomo jak potężna, i tu, jak wszędzie, nie potrafiła przeszkodzić sile niszczenia. Lecz jeśli cząsteczki istniały, choć niewidoczne, czy istniało to, co nieprzerwanie rytmicznie odmierzały? Czy nie znajdowaliśmy się w rzeczywistości w mitycznym i mistycznym beczasie, stanowiącym dotąd jedynie ulubiony temat wyobrażeń młodych astrofizyków i fantastów? W tym czymś, co romantycy lubią pisać z dużej litery, upajając się możliwością położenia kresu własnej wyobraźni – ponieważ nie sposób wyobrazić sobie nicości, zwłaszcza jeśli pisana jest z dużej litery. Wszak Zenon z Elei nazwał nicością gęsty i czarny obłok? Nie, człowiek nie znosi ograniczenia i oto nazwał coś antyświatem i antyprzestrzenią i wymyślił nawet, że to właśnie nicość rodzi materię, wyobrażając sobie, że w ten sposób nadał zjawisku naukowy termin! A może rzeczywiście jest ona źródłem pramaterii, w którym rodzi się, zanim jeszcze urodzi się dla niej czas? A my trafiliśmy nie tylko do źródeł materii, ale także czasu?

Ojciec ustalił kolejność, według której astrofizycy mają czuwać po godzinie przy wizjerach bezpośredniej obserwacji, by wypatrywać zmian wokół statku, każdy jednak korzystał, by i poza kolejnością popatrzeć przez chwilę tylko dla siebie. Przypuszczam, że nikt z nas w całym swym życiu nie pragnął tak ujrzeć choćby najmniejszej gwiazdki, choćby najdalszej nawet nie gwiazdy, nie światła, ale choćby tylko jakieś jaśniejszej plamki. Na próżno! Niekiedy na ścianie do pisania głupstw

pojawiał się napis, z którego wnioskowaliśmy, że znów ktoś zjawił się przy wizjerach poza swym dyżurem i zadawał sobie te same pytania. Samo słowo jednak pojawiło się jedynie użyte w haśle *Strzeżcie nicości – należy do was!*

Wygląda na to, że także u jego autora słowo zjawilo się, kiedy straciliśmy poczucie poruszania się. Początkowo ciężar, który rzucił nas na jedną stronę statku, kazał podejrzewać, że spadamy ku centrum obłoku, lecz nie mieliśmy urządzenia do jego pomiaru prócz fizycznego jedynie odczucia. Oswoivszy się z nim, przestaliśmy go jednak odczuwać Tak jak przedtem poruszaliśmy się z trudem, tak jak przedtem przypisywaliśmy to bądź utracie przez skafandry ich silnikowej zdolności do poruszania się albo polu w nich. Siła przyciągająca czy też trzymająca na uwięzi gwiazdolit nie rosła ani nie malała. Liczniki naszych magnetometrów ani drgnęły, jakby i one, jak wszystkie urządzenia, oniemiały w obliczu nicości. My jednak stopniowo stawaliśmy się coraz bardziej „gadatliwi”. Ktoś napisał: *Nie mącić źródła!*, jeszcze inny: Nie wychylać się w antyprzestrzeń! Nie byli oryginalni, co dowodziło, że myśl wszystkich krążyła wokół modelu, który Darian i ojciec usiłowali stworzyć dla obłoku. I o ich przekonaniu, że wpadliśmy weń, ponieważ w żadnym innym kierunku nie istniało przedtem na miliardy kilometrów od gwiazdolotu nic, co by nas trwożyło.

#### 4

Każdego dnia o określonej godzinie ojciec zbierał nas w sektorze głównego dowodzenia, abyśmy w kilku zdaniach przedkładali na płycie, co nowego wymyśliliśmy w tym czasie, czy wpadł nam do głowy jakiś nowy pomysł, nawet najbardziej idiotyczny, czy odnotowaliśmy jakieś nowe odczucie. Potem kazał nam zapisywać to na kartkach i przekazywać mu dla dokumentacji. Uważam, że najrozumniej byłoby wykorzystać te kartki do przesłania na nich ostatnich pozdrowień bliskim, lecz jestem przedstawicielem rady kontrolnej i nie mam prawa do podobnych propozycji.

Nawet tak postronny obserwator jak ja nie mógł oprzeć się wrażeniu, że właśnie podczas tych narad rodzą się prawdziwe głupstwa, a nie na wyznaczonej przez Dariana ścianie. Wypowiadane były przypuszczenia, że wcale nie znajdowaliśmy się w obłoku, a gdzie indziej. Wszak sondy nasze uprzednio poruszały się swobodnie wśród jego peryferyjnych warstw, warstwy te były widoczne i wiedzieliśmy mniej więcej, z czego

się składają! Jak mogliśmy przebyć je niezauważalnie? Jak mogliśmy błyskawicznie znaleźć się w jego głębi, skąd sondy już nie wracały? Gdzie zatem jest to „gdzie indziej”? W nagłym zakrzywieniu przestrzeni wokół nas, wskutek nieznanых gwałtownych procesów zachodzących być może w nie odbijającym centrum obłoku? Może antyprzestrzennych? Niech będą i antyprzestrzenne, jeśli udowodnicie mi, jak gwiazdolit wytrzymał antyprzestrzeń. I dlaczego nie staliśmy się jeszcze „anty”. A może staliśmy się, tylko nie czujemy tego – dodał wtedy Darian.

Inny próbował sprecyzować tezę: specjalny pocisk, wszedłszy głębiej, naruszył równowagę siły akrecyjnej i spowodował wybuch w naszym kierunku. Coś w rodzaju protuberancji. Wielka, zimna protuberancja – też mi wielka – dwustu tysiącami protuberancji strzelało nawet nasze małe Słoneczko! Raczej mała protuberancja. Materia w niej jest zagęszczona, może zresztą nie jest prawdziwą materią, lecz jej praformą. Prawdopodobniejsze jednak jest to, że nie znajdujemy się w tej protuberancji, gdyż zniszczyłaby nas. Protuberancja zbliżywszy się w ciągu paru sekund do statku, osłoniła część przestrzeni wokół nas swym przepotężnym polem. Dlatego nic nie widzimy, dlatego ocaliliśmy. W ten sposób można też wytłumaczyć gwałtowność tego, co się zdarzyło.

Nie zgadzali się z nim, oczywiście. Czymże jest nasz pocisk zwiadowczy dla obłoku, by aż tak zdołał naruszyć jego równowagę? Ale oto teza otrzymała nowe wsparcie. Niektórzy owinęli ją sobie wokół palca i odwijali całymi dniami. To nie pocisk, to Weronika naruszyła równowagę obłoku. Wygląda na to, że żenię jest tak mała, i kto wie, jak potężne kryje w sobie siły!

Ostatni widział ją dyżurujący wówczas operator Sanin. Teraz przypomniał sobie! Na dwie godziny przed uderzeniem, gdy zajmował swoje miejsce, zauważył, że „Weronika zmieniła kierunek i przyspieszyła swój ruch do parametrów, jakich dotąd u niej nie rejestrowaliśmy. Nieprawdopodobna prędkość i to prosto w kierunku obłoku! Na krótko weszła w jego górne warstwy, rozżarzyła się, znów wyskoczyła, jakby miejsce nie zyskało jej uznania. Dlatego Sanin nie przekazał od razu sygnału. Pokręciła się zygzakowato i ponownie rzuciła do obłoku, który jakby otwarł się przed nią. Może tylko mii się tak wydało, ale było to podobne do wciągnięcia do środka, do otwarcia się czegoś jak tunel. Właśnie miał dać sygnał, gdy nastąpiło uderzenie. Niektórzy twierdzili, że odebrali sygnał. Prześcigali się w wymyślaniu nieprawdopodobnych bredni. Oto, widzicie, winna jest Weronika! łona, głupia, postanowiła sprawdzić, co jest w środku obłoku. I naruszyła jego równowagę,

wywołała protuberancję, przekształcając nas w pyłki w tym nieskończenie powolnym powstawaniu gwiazdy. Nieskończenie powolnym, moment kątowy obrotu obłoku był bowiem taki, że z pewnością będziemy spadać miliony lat, nim zbliżymy się do centrum, do którego także mój ojciec miał tak wielką ochotę zajrzeć.

Nie ma co – obiecująca perspektywa!

Ponieważ ojciec zmuszał nas do fantazjowania obok jego płyty, powstawały jeszcze zabawniejsze pomysły: *Weronika uczyniła to umyślnie, zwiódła nas... albo: posłużyli sienią, by wziąć nas do niewoli dla zbadania. Dlatego poruszała się z początku tak wolno, wabiąc nas, dlatego też umilkła tak zagadkowo. Albo: ten kto ją wysłał, po prostu nakazał jej milczenie... Tak, tak, właśnie tak, to nie obłok, lecz cywilizacja, która stworzyła Weronikę. Potężny mózg, który wysłał Weronikę na zwiad, który nieusatisfakcjonowany czy też – oczywiście nie mogło obyć się bez ludzkiej zarozumiałości – zaintrygowany, zażądał od niej: złap mi kilka egzemplarzy tych stworzonek, o których opowiadałaś, bym przyjrzał się im z bliska! I oto teraz poruszamy się wśród zwojów tego mózgu, wielkiego jak kilka gwiazd. Zimny mózg, który teraz może trochę się rozgrzał i wzruszył nie znanymi mu dotąd mikroorganizmami, jakimi jesteśmy w porównaniu z jego kosmicznymi rozmiarami... Nie sądzicie? Skoro „geneza rozumu ludzkiego jest jedynie cząstkową genezą rozumu w ogóle”...*

*Nie, nie, jeśli w ogóle istnieje jakiś mózg, to jest daleko, znajduje się w centrum obłoku, może w antyprzestrzeni, w antyświecie, zasiedlonym przez wyższą cywilizację, która stworzyła tę swoją maszynę zwiadowczą. A to nie żadna chmura, ale coś w rodzaju śluzy do samego antywszechświata, który transformującą się energią skupił wokół siebie materię okolicznej przestrzeni i upodobił się do obłoku. Nikt nie interesował się naszym gwiazdolotem, po prostu kiedy śluza otworzyła się, by przyjąć wracającego zwiadowcę, jej energia rozprysnęła się na boki zamykając tym sposobem przestrzeń wokół nas. Miejmy nadzieję, że kiedy oderwie się...*

Co? Ktoś ośmielił się napisać na płycie to, co trudno było powiedzieć nawet sobie samemu we własnym nie przepuszczającym żadnego dźwięku skafandrze?

Bardzo złościłem się na te spekulacje z moją Weroniką, której także w tych dniach wzywałem w swej skrywanej przed wszystkimi rozpacz. Weroniko, gdzie jesteś? – wołałem. Czy istniejesz jeszcze? Czy także jak my jesteś teraz bezradna i ślepa? Czy także ciebie zgubiła głupia

ciekawość? Dlaczego zostawiłaś mnie samego, przecież chciałaś, abyśmy byli razem? Czy w ogóle istniejesz, czy nie spotkałem cię jak Alek swego „boga” – we własnym szaleństwie?... Gdy Sanin znów po raz nie wiadomo który uściślał swe ostatnie obserwacje, rozzłościłem się:

*Nie powiedziała ci niczego na pożegnanie? Czy jak syreny nie zaśpiewała ci swej zwodniczej pieśni?*

*Była muzyka – napisał nieoczekiwanie, po czym zmazał to swoim zwyczajem, by zrobić miejsce na następne słowa.*

Ubiegłem go drżącą ręką, cały rozdygotany, ponieważ nie tylko on o tym zapomniał!

*Jaka muzyka, nasza?*

*Symfoniczna.*

*Znana?*

*Mnie nie, ale styl był znajomy. Jakby Beni.*

Darian dodał z drugiego końca płyty:

*Czy mogłaby się obyć podobna uroczystość bez muzyki!*

Starłem to moim kawałkiem izolatora, zły, ponieważ z pewnością nie tylko on chichotał w skafandrze. Napisałem:

*Jak dokładnie brzmiała?*

Chcecie, abym zaśpiewał? – odpowiedział Sanin.

*Bardzo proszę bez żartów – napisałem jeszcze bardziej koślawo. W mojej drugiej sondzie zaprogramowałem muzykę. Czy stamtąd dochodziła?*

Zastanawiał się długo, a potem równie długo pisał odpowiedź, aż spościłem się z niecierpliwości.

*Obie sondy były daleko od niej, kiedy pomknęła do obłoku. Odbiornik z pewnością ustalił kierunek, jeśli fala była ta sama. Nie wiem. Pochłonęło mnie jej obserwowanie. Wtedy pomyślałem, że muzyka jest z jakiegoś poli wizora. W ostatniej chwili bezwiednie spojrzałem na odbiornik. To wszystko!*

Wszystko! I nic więcej nie udało mi się już wykrzesać z jego pamięci. Tak jak nie udało mi się wycisnąć z własnej pamięci, o jakiej porze nadała moja sonda „Ode do ludzkiego bólu”, której tu nikt nie znał z wyjątkiem Dariana. Kiedy kończył się mój zapis i zaczynała muzyka? Jakie były interwały? Czy czasowo odpowiadało to obserwacji Sanina? Nie potrafiłem tego ustalić. Potrzebne były dane aparatury rejestrującej, ta zaś milczała jak wszystko na statku. Nie przystępowaliśmy do jej uruchomienia, by nie zniszczyć wcześniejszych zapisów, jeśli w ogóle ocalały w swych antymagnetycznych skrzynkach, przeniesione teraz

również do torpedy awaryjnej. Nie przeszkodziło mi to wymyślać także własnej bajki, której oczywiście nie powierzyłem ani jednej z płyt do pisania.

## 5

Bajki, bajki, bajki! Zabawne opowieści fantastyczne dla młodzieży na Terrianie, jeśli dotarły do niej, także dla przyszłych Ikarczyków. Dlaczego tak zależało na ich wysłaniu mojemu ojcu, a ich dziadkowi? Może zmuszał nas do tworzenia ich, by ustrzec nas przed rozpaczą? Dlaczego zatem nie opowiedział mi ani jednej ułożonej przez siebie? Dlaczego nawet zdawał się wyrzekać starych, nie włączając się w badania nad bajkami innych? Czy potrzebna była nam rozrywka i pociecha? A może rodzi je sam bezczas, tak jak rodziły się dawne bajki w zastygłym czasie przeszłości? Doświadczyłem owej nigdy nie wygasłej tęsknoty za prostą ludzką bajką, podświadomie zawsze sprzeciwiającej się bajkom wypowiedzanym językiem naukowym, co jednak powiem tym ośmiu mężczyznom w martwych skafandrach, w nieruchomym i ciemnym gwiazdolicie trumnie? A może tylko umarli tworzą bajki?

Czy jesteśmy już martwi? Dla Terriany – może. Dla Ziemi – z całą pewnością. I dla całego naszego wszechświata, jeśli rzeczywiście znajdujemy się w jakimś innym świecie. A może jest on martwy i tylko ostatnie jego cząstki, zamknięte w naszych chronometrach, rozpadając się, umierając, nie przestają odmierzać jego nie istniejącego już czasu – godzin, dni, tygodni. My zaś sądzimy, że żyjemy. Przysypiamy na dyżurach, odżywiamy się coraz rzadziej, jeszcze rzadziej wyglądamy na zewnątrz przez wizjery, walczymy o zachowanie resztek swych złudzeń, że jeszcze żyjemy. Aby przekonać także siebie, że żyję, nieustannie spoglądam na rękę całej ósemki – masywne od rękawów skafandrów, poruszające się z wysiłkiem rękę, która ani na chwilę nie zatrzymują się w swoim ruchu.

To z wolna załamuje, nawet kiedy tylko rozmawiamy. Przybliżasz się bezgłośnie jak gęsty szaro – czarny obłok pośród mgły, kreślisz omdlewającą ręką kilka słów, odsuwasz się, ponieważ szerokość skafandra przesłoniła całą płytę. Inni także muszą podejść blisko, by to odczytać. I oni przystępują pojedynczo lub w dwójkę, a ich łokcie zderzają się widmowo bezgłośnie. Potem ten lub ów spojrzy na zegarek, zapomniawszy, że czas w nim nie istnieje, że jest to jedynie rozkładanie się ginącego elementu i że jak wiadomo także rozplynie się w gęstej bieli

powietrza. By dalej dokonywać swego dzieła.

Nie przestają pracować, tak jak nie zatrzymuje się, by skonać, ostatek czasu w naszych zegarkach. Pozbawiona siły i rozumu psychorobotów, szybkości maszyn liczących, zręczności własnych ciał, trzusi się ta gwiazdna rasa, tak jak trzuzili się niegdyś jej pradziadowie: wytrwale, ociężale, z tępym uporem. Ale oto pod jej niezgrabnymi rękami i zdawałoby się, trwając wieki, tu i ówdzie coś wracało do życia. Jakiś akumulator, wstawiony w nowo wymyślona ochronną skrzynkę, jakiś przyrząd, mniej skomplikowany system w którymś sektorze, jakieś przedpotopowe urządzenie, odkryte tak, jak Archimedes odkrył swoje dźwignie, torpeda awaryjna, załadowana już także wiedzą, którą zgromadziliśmy w drodze ku swej sytuacji bez wyjścia. Żaden z tych ożywionych aparacików nie daje nadziei ratunku, nie wskazuje choćby iluzorycznego wyjścia, lecz praca nad nimi pozwala trwać i nie popaść w sensoryczną depresję – zabójczy głód dźwięków, światła, ruchu.

Najlepiej znają go astropiloci zwiadowcy, ponieważ przed każdym startem z Ikara tygodniami przebywają w sali treningowej, która przekształca się wówczas w komorę ciszy. Tam uczą się, że gdy przed oczyma zaczynają tańczyć świetliste punkty, igrają one w ich własnym mózgu, że kiedy słyszą głosy, nie powinni im wierzyć – rozlegają się one w nich samych. Przyzwyczajają się ponadto cieszyć, gdy z ogłuszającym grzmotem burczą im кишки, i bać się nagłego przyływu wesołości albo chęci zrobienia czegoś szalonego, co z pewnością kosztować będzie ich życie. Trenują jeszcze głośne przekleństwa, by nie zdewastować wszystkiego wokół, gdy ich głodny mózg wpadnie w szal, uczą się utrzymywać go w stanie czujności, gdy zapragnie nie w porę przysnąć, uczą się brać na czas odpowiednie lekarstwa. Nie ma bowiem bardziej niszczącej i niebezpiecznej choroby dla mózgu jak zerwanie kontaktu z ludzkim środowiskiem.

Nasze skafandry przekształciły się w bezwzględne, okrutne komory ciszy. Jeśli wiesz, że nie wytrzymasz w ikarskiej komorze treningowej, naciskasz guzik i zaraz odzywa się kilkoma podtrzymującymi na duchu słowami dyżurny z rady kontrolnej. Przygotowując się do swego samodzielnego lotu do Weroniki, przesadnie często korzystałem z tego guzika, narażając się na kpiny kolegów. Ta ósemka jednak od dziesiątków lat nie wchodziła do pozbawionej dźwięku, zaciemnionej komory treningowej, pamiętała ją jedynie jako jasną i przyjemną salę gimnastyczną. Nie było czasu na podobne ćwiczenia, jest nas wielu, poza tym urządzenia gwiazdolotu zapewniają normalne życie. Cel ekspedycji



także nie przewidywał sytuacji, w której człowiek nie mógłby posłuchać przynajmniej muzyki ze swego kieszonkowego poli wizora. Oto dlaczego rósł mój lęk o ich stan psychiczny, mimo ich niezmordowanej pracy i pozornej rozumności działania. Znam dobrze przewrotność głodu sensorycznego, a nie brak było niepokojących symptomów. Od czasu do czasu któryś z dyżurnych zaklinał się, że dostrzeżę drganie warstw materii obok statku bądź też jakieś świecenie, które okazywało się iluzoryczne. Ten sam Sanin zaproponował na jednej z narad, że wyjdzie przywiązany przez służbę. Argumentował całkiem logicznie: tak czy owak jesteśmy skazani, jedna wcześniejsza ofiara nie stanowi zbyt wielkiej straty; w najgorszym razie mogłaby przecież dać nam jeszcze jedno doświadczenie albo przynajmniej jakieś wyobrażenie o sile pola wokół nas. Oczywiście nikt nie przystał na tę ofiarę. Nikt jednak nie przypisał jej obłąkańczemu pociągowi do wyrwania się z ciszy. Odciągnąłem go ku drugiej płycie i napisałem, by pociągnął dwa razy z trzeciej rurki, znajdującej się wewnątrz jego hełmu z lewej strony.

Było tam pięć wentylów, stanowiących aptekę autonomicznego skafandra. Uruchamiane językiem uwalniały preparaty przeciwbólowe, lecznicze i nasenne, a trzeci – niespecjalnie silne, z powodu samoobsługi, neuroleptyki i psychostymulatory. Nie zapomniałem po uderzeniu wypisać na płycie głównej recepty, kiedy i jak się nimi posługiwać, lecz nie miałem sposobu skontrolowania, czy je zażyli. Kogokolwiek pytałem o stan zdrowia, odpowiadał zazwyczaj: daj mi spokój, jestem zdrow. I nie można było wywnioskować, czy są nieuprzejmi, ponieważ uważają mnie za sprawcę ich nieszczęścia, czy są wściekli z powodu głodu sensorycznego, czy też są łagodni tylko z powodu utrudnień w rozmowie. Lecz kiedy sam Darian na moje pytanie o to, ile razy zażył neuroleptyki i czy ma jeszcze zapas, klepnął mnie jedynie w ramię, tak że upadłem, i oddalił się, nie pomagając mi wstać, nie mogłem ostatecznie nie skonstatować, że to zew ciszy. Już umieram z niepokoju, co stanie się później, kiedy wystrzelimy – obojętnie, z powodzeniem czy bez – torpedę awaryjną i pozbawimy się tego bliskiego, poruszającego nasze serca i umysły celu.

## 6

Leżały już w niej, opakowane w potrójne i poczwórne izolatory, wcześniejsze zapiski, jak również rękopisowe kopie wszystkich hipotez i wniosków. Włącznie ze zrodzonymi z pewnością z ciszy opowieściami fantastycznymi dla młodzieży ikarskiej. Druga kopia miała zostać

wystrzelona w małym pocisku raketowym, trzecia zaś pozostać na pokładzie gwiazdolotu. Za silnikiem torpedy, który tu nie działał, zamontowano pięć silników raketowych, zużywając na to całość paliwa sond badawczych. Nie wiem, czy nie pozbywaliśmy się lekkomyślnie swych zapasów, co jednak innego pozostawało, kiedy ostatecznie przekonaliśmy się o swej całkowitej bezsilności? Sanin, mimo przepisanej mu podwójnej dozy neuroleptyku – jak sprawdzić, czy naprawdę go zażył? – nie przestawał upierać się przy projekcie wyjścia i obejrzenia statku z zewnątrz, w nadziei, że jeśli na zewnątrz da się przebywać i pracować, można by do statku zamontować silniki raketowe. Udowodniono mu, z pomocą niezrozumiałych dla mnie wyliczeń, że nie starczy paliwa dla całego gwiazdolotu i że przy naszej absolutnej niepewności co do tego, gdzie się znajdujemy, może zdarzyć się, że skierujemy gwiazdolot dokładnie ku centrum nie odbijającego punktu. Nasz system orientacji również był sparaliżowany, a kilka przestarzałych właściwie żyroskopów zastygło jak nasze magnetometry w jednym miejscu, co wskazywałoby, że gwiazdolot jest lekko odwrócony w stosunku do swej osi wzdłużnej – nic więcej. Torpeda powinna była kierować się w prawo – tyle mogliśmy jej poradzić. Dokąd jednak polecą, jeśli w ogóle wyleci, pozostawialiśmy grze losu, który wyciął nam ten więcej niż okrutny numer. I oto ojciec znów zebrał nas wokół swej płyty dowodzenia.

Osiem szaro-czarnych skafandrów obok mnie wyglądało identycznie, ale zadawałem sobie pytanie, czy nasze twarze są takie same, jak wtedy, zanim pogrzebaliśmy je pod osłonami hełmów? Nic nie zmieniło się wokół, a przecież narada miała uroczysty przebieg. A także smutny jak pożegnanie z drogim człowiekiem za sprawą wstępnego komunikatu. *Czas wystrzelenia rakiety: 22.00.* Podano go u samej góry płyty, drobno i nierówno, by zaoszczędzić miejsca, ale ojciec podkreślił go, zapewne, by ukryć drżenie, falującą linią.

Każdy, kto przybywał, bezwiednie spoglądał na chronometr na rękawie. Było jeszcze dwadzieścia godzin, dwadzieścia godzin naszego martwego czy iluzorycznego czasu, ale ojciec mój jakby się spieszył. W chwili gdy ostatni z nas zamknął półokrag wokół płyty, podszedł ku niej, oparł lewą rękę na autopilocie, a prawą zaczął pisać. Może również inni sylabizowali jak ja – litera po literze. Może i oni nie wierzyli albo odmawiali przyjęcia tego, co widzieli, albo przynajmniej byli zaskoczeni. Może i oni, jak ja, chcieli wrzeszczeć, płakać, gryźć palce, lecz nie czynili tego, ponieważ i tak nie było komu dosłyszeć tego przez zamarłe, białe jak śmiertelny całun powietrze.

*Zenonie Balow* – pisał ojciec z możliwie największą dla rękawicy skafandra prędkością, która mnie wydała się zawrotną prędkością obłoku tworzącego swoją gwiazdę. – *Postanawia się, że ty kierujesz torpedą awaryjną. Wprowadzą cię do niej Rey i Celer...*

Nie, nikt się nie poruszył, nikt nie uczynił żadnego gestu! Czy tylko ja po raz pierwszy dowiadywałem się, że w torpedzie będzie człowiek? Rzuciłem się ku płycie, jeśli można nazwać rzucaniem się posuwanie się w skafandrze z mechanicznym szkieletem. Pchnąłem ojca. Z powodu swego wybujałego wzrostu uderzyłem go ramieniem w hełm, upadłby na podłogę, gdyby z drugiej strony nie pochwycił go jeden z bezosobowych skafandrów. Starłem wszystko błyskawicznie, pozostawiłem jedynie ostatnią część nie dokończonego słowa, zaczynającą się na „nie” i dopisałem:

*...uczestniczyłem w tej decyzji. Nie zgadzam się. Jestem członkiem rady kontrolnej. Według regulaminu opuszczają oni ostatni.*

Odsunąłem się, a w środku W hełmie wrzeszczałem:

– Nie wyjdę! Dlaczego ja? Tato, nie wypada, nie wypada...

Ojciec starł mój protest i napisał:

*Głosować ponownie w jego obecności! Zebranie ogólne ma prawo wprowadzenia poprawek do poszczególnych części regulaminu lotów kosmicznych.*

Gdy podniosło się wolno, wolno – czy tylko z powodu swego ciężaru? – osiem metalowych prawic, wciąż wrzeszczałem:

– Nie róbcie tego, proszę! – Napisałem to pod nadzorem ojca i znów wrzeszczałem: – Proszę was, nie róbcie tego! Naprawdę nie należy!

Nie słyszeli. Nikt nie słyszał mnie prócz mego własnego skamieniałego z trwogi mózgu. Jak im napisać, że wcale nie ratują mnie tym sposobem? Że wysyłają mnie na to, czym kończyło się moje widzenie i co dotąd przemilczałem? Odbiorą to jako żalosne tchórzostwo smarkacza, przestraszonego, że zostanie sam na sam z zagadkami!

Osiem prawych rąk zakończyło wypowiedzeniem śmiertelnego wyroku lot w górę, tam gdzie według nich można było spodziewać się dla mnie ratunku. Potem ojciec, zamiast pisać dalej rozkazy, pociągnął mnie za rękę i jak dziecko powiódł za sobą. Pomyślałem, że prowadzi mnie do śluzy przy torpedzie awaryjnej i ruszyłem pokornie, ale podprowadził mnie do wizjerów bezpośredniej obserwacji. Z pewnością chciał mi przekazać na pożegnanie coś intymnego na płycie do pisania głupstw. Była pusta, tylko u góry ktoś zmienił najstarsze hasło na *Nie pluj w nicość, nic ci nie zawiniła!* Ojciec pchnął mnie jednak w stronę wizjerów i zrozumiałem,

czego chciał. Nachyliłem się, wyjrzałem na zewnątrz w nieprzejrzystość i beczas, lecz nie dostrzegłem niczego prócz torpedy awaryjnej z leżącym w niej – człowiekiem, która wesoło mknęła ku skrzącemu się, ognistemu wodospadowi przestrzeni. Wyprostowałem się, odwróciłem, lecz ojciec nie mógł dojrzeć, że twarz moja nie jest zakłopotana, że cała promienieje zimną i dygocącą wesołością. Wskazał mi płytę, na której napisał w tym czasie: *Widzisz, dokąd cię wysyłamy!*

Potem długo kreślił drobnym, koślawym pismem, ścierał, co przeczytałem, i pisał dalej. *Nie sądz* – przekonywał mnie – *że tak bardzo zatroszczyliśmy się o twoje ocalenie. W przeciwnym razie nie przyjąłbym twojej kandydatury. Wysyłamy cię z pewnością na szybszą śmierć w samotności. Bądź dzielny, Zenonie! Oczekujemy od ciebie, byś za wszelką cenę wyprowadził torpedę z obłoku, byś uratował dla ludzi odrobinę tej wiedzy, jaką zdołaliśmy zgromadzić. To nie litość, synu, to bezlitosne obarczenie ciężką odpowiedzialnością...*

Przekonywał mnie, że nie mamy prawa dowierzać autopilotowi torpedy, nawet gdyby zaczął działać od ciągu wytworzonego przez uderzenie rakiety. I na początku, i potem człowiek powinien prowadzić ją zdany na własne obserwacje i własny instynkt. Ręcznie powinno się także uruchamiać poszczególne człony. Zalecał mi opanowanie, wytrzymałość, a ja nie przerywałem mu, by powiedzieć, że niepotrzebnie już trzusi rękę, że niepotrzebnie tępi pisak. Za osłoną hełmu było mi wciąż tak samo radośnie. Miałem ochotę podskakiwać jak dziecko na jednej nodze w ginącej, nieprzejrzanej bieli powietrza, jaśniejącego teraz pomarańczowymi płomieniami wybuchów, rozkołysanego od potężnego i ożywionego ruchu przestrzeni, grzmiącego wyciem wodospadów i raketowych gardzieli. Ale ulitowałem się nad nim, tak jak nad pozostałą siódmką, przestraszony, że go obrazę.

Czy to możliwe, że i światło, i szum, i ruch to plody tej komory ciszy, zwanej gwiazdolotem, która doprowadziła do szaleństwa również mnie, tak jak wygnała na zewnątrz nieszczęsnego Sanina? Może należało zażyć potrójną dawkę neuroleptyku, ale czy odczuwam potrzebę otrzeźwienia? Przecież wydostanę się naprawdę! Przecież wyrwę się wreszcie z tej trumny, w której ośmiu nieboszczyków wysila się, by udowodnić martwemu wszechświatowi, że jeszcze żyją! Przecież jedynie ja będę w rzeczywistości żywy i rzeczywiście aktywny, mniejsza o to, jak długo w powszechnym beczasie! Będę panem beczasu i siebie, a czyż nie jest to szczęściem dozowanym od stworzenia świata jedynie w chwilach?

Ojciec wypisywał swe ostatnie ojcowskie wskazówki, pełne mądrej

i melancholijnej wiary w moje ocalenie. Wyliczał je i natychmiast wymazywał, tak jak zawsze natychmiast same zacierają się w umysłach synów wszystkie ojcowskie przestrogi. Wreszcie objął mnie. Ale po pierwsze, byłem przeszło pół metra wyższy od niego, po drugie, wyobraźcie sobie uścisk w superskafandrze!

Na tym kończy się także mój wysiłek utrwalenia na piśmie moich zwariowanych i może nikomu niepotrzebnych przeżyć.

## 7

Tak mniej więcej wyglądało także pozostałych sześć uścisków, w dwadzieścia godzin później. Jednego uścisku brakowało. Tego, który objąłby mnie i którego ja objąłbym z największym bólem, nie było już w gwiazdolocie.

Znów mogę dyktować do aparatury rejestrującej. Wokół znów jest jasno i wszystko jest naprawdę żywe, a nieoczekiwana żywość metalu, automatów i światła jest tak upajająca, że czyni mnie skłonny do zapomnienia tego, co pozostało w ciemności. Dlatego niech najpierw podyktuję list, który zostawił mi zamiast uścisku Darian. Napisany na odwrocie jednego z rysunków Petera Noyda, wyobrażającego jakieś karykaturalnie śmieszne nagie postacie ludzkie. Dołączę go do dokumentacji. Oby ocalał!

*Cześć, myszu, który gwałtem musisz wydostać się z czarnej dziury! Niech ci się powiedzie! Kareta czeka na zewnątrz, tak że ojciec twój i Rey nie muszą się pocić. Nie martw się, że nie przyszedłem cię odprowadzić. Wiesz, że jestem bardziej matematykiem niż filozofem, więc wpadło mi do głowy, by rozpatrzyć naszą sytuację z punktu widzenia teorii gry. Podpowiedział mi to twój ojciec swym hazardowym stosunkiem do natury. Stało się coś, o czym powinniśmy wiedzieć nawet bez tej teorii. Wynika z niej, że w podobnej sytuacji naszej powszechnej gry z naturą brak w ogóle wygranej jako składowej części strategii. Po prostu nie została założona. W przeciwnym razie nie byłoby tragicznej sytuacji, prawda? W zamian proponuje się nam bogaty wybór wariantów przegranej. Czyli człowiek znów może być panem siebie i zachować prawo wyboru. Może mój wariant nie wygląda najszcześliwiej, na razie jednak zadowala mnie. Później z pewnością będzie mi już obojętne, który z nich wybrałem. Idę na spacer ku środkowi obłoku, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest nie odbijający. I czy przekształci mnie, cząsteczkę naszej przestrzeni,*

*w antycząsteczkę. Uczony powinien sprawdzać hipotezy, które głosi, prawda?*

*Pozdrowienia dla Ikara i jego Terriany! Powiedz mu także, by nie zasiedział się zbyt długo u jej spódnicy! W tych skafandrach nie ma mowy o ludzkim uścisku.*

*Twój także na obłoku – Darian*

List przymocowany był do luku komory śluzowej, gdzie znajdowała się torpeda awaryjna. Dopiero gdy mi go wręczono, dowiedziałem się, że ojciec i Rey chcieli ręcznie, za pomocą specjalnie skonstruowanego systemu dźwigni i krążków wypchnąć torpedę na zewnątrz. Dziesięć godzin Rey i Celer włączali mi do głowy, w której chwili co robić, lecz nie powiedzieli mi, że jej start miał kosztować życie dwu osób. A ja sam, wsłuchany w swój wewnętrzny chaos, nie zapytałem, jak w ogóle wydostanie się ze śluz torpeda z silnikami rakietowymi, przecież pośle do diabła cały gwiazdolot. Albo przynajmniej – rozhermetyzuje go. By oderwać się od statku, torpeda winna zostać wypchnięta na zewnątrz i ustawiona bokiem, by ognisty strumień nie musnął statku. Ale ponieważ nie było pewności, czy okaże się to możliwe wobec naporu pola zewnętrznego, którego siły nie znaliśmy, postanowiono wpieryw przeprowadzić próbę z wysunięciem torpedy. Tylko wtedy, gdyby udało się to bez jakichś odczuwalnych skutków dla obu, mieli wpuścić mnie do niej przez kanał włazowy. Ojciec zakładał, że gdyby nawet pole na zewnątrz było nie wiadomo jak silne, nie zabije w jednej chwili człowieka w superskafandrze, chroniącym go skutecznie w polu stu tysięcy erstedów, choć z pewnością obniży jego zdolność do pracy i wywoła uszkodzenia organiczne, które muszą doprowadzić później do fatalnego końca. Ale ten sam koniec oczekiwał przecież nas wszystkich!

Nie wierzę, by Rey i Celer przemilczeli to tylko dlatego, że było do powiedzenia wiele ważniejszych rzeczy, a pisemny sposób kontaktowania się wymagał czasu. Ojciec nalegał, że zrobi to w pojedynkę. Słyszę, jak mówi: „Jestem dowódcą ekspedycji, a człowiek w torpedzie jest moim synem”, choć tylko to napisał. O drugie miejsce rywalizowali Rey i Celer, którzy uważali za swój obowiązek urzeczywistnić projekt do końca. Rozstrzygnęli przez losowanie. I oto Darian pozbawił ich możliwości uwieńczenia swego dzieła. Po wyznaczonym sobie trzygodzinnym wypoczynku dla nabrania sił fizycznych ojciec i Rey zastali torpedę przyczepioną lukiem do wyjścia komory śluzowej. Właz także był ustawiony bezbłędnie. W czasie tych samych trzech godzin wyznaczonych

również dla mnie na wypoczynek, kończyłem pisanie swych głupawych notatek. Jak dokonał tego sam, gdy nawet dla dwu osób było to zadaniem wyjątkowo trudnym? Przecież ojciec nigdy nie pozwoliłby poświęcić nikogo prócz siebie. Czy szaleństwo dodało mu sił – owo szaleństwo, które rodzi cisza i któremu mimo wszystko nie zdołałem zapobiec?

W drugiej notatce informował zwięźle, że podczas rozhermetyzowywania śluzy jego ruchy wyraźnie uległy spowolnieniu. Miał kłopoty z oddychaniem, rozboleła go wątroba, która i dawniej dawała mu znać o sobie. Magnetometr na jego skafandrze pozostawał nieruchomy. Nie mając pewności, czy nie ulega złudzeniu – wskutek wysiłku fizycznego lub wpływu pola na jego organizm – dostrzegł słaby blask na powierzchni skafandra, torpedzie i ścianach śluzy. Coś w rodzaju tak zwanego promieniowania synchronotronowego, występującego, gdy wodór atomowy porusza się w wyjątkowo silnym polu z prędkością subświatlną. Porównanie jest jednak teoretyczne, uczył się o podobnym promieniowaniu, ale nigdy go nie obserwował. My jednakże nie widzieliśmy żadnego świecenia. Nie wiem, co pomyśleli inni – może uznali, że wystąpiło ono podczas pierwszego wdarcia się otaczającej materii do śluzy, która upodobniła się do reaktora, może nawet ucieszyli się, że wiedzą już, gdzie i jak rodzi się wodór, ta pramateria gwiazd. Ja jednak znowu przypisałem je reaktorowi ciszy, wiem bowiem, jak zwodniczymi blaskami jest ona w stanie przepędzać mrok sprzed naszych wygłodniałych oczu.

Nie było czasu na komentowanie jego postępu. Ojciec był zajęty czuwaniem nad dotrzymanywaniem pory odlotu, ja zaś byłem tak oszołomiony dziwnym czy też drwiącym „do widzenia” na końcu jego listu, nie byłem nawet w stanie zapytać, dlaczego nie wrócił.

Darianie, dlaczego nie wróciłeś, pytam go teraz, dyktując jego list, by go wam przekazać. Zgadza się, że wybrałeś najlepszy wariant w strategii klęski, będąc i tak przegranym, by przynajmniej uchronić przed śmiercią coś cennego. Lecz wariant ten wybrali także ojciec i Rey, a oni, jestem tego pewny, wrócą.

Dlaczego nie wróciłeś, Darianie? By zaoszczędzić towarzyszom widoku męczeńskiej śmierci, gdy twoja zmiażdżona wątroba zacznie kurczyć się na oczach bezradnych towarzyszy? A może rzeczywiście ciekawość pchnęła cię dalej, ta sama ciekawość, która zaciągnęła nas w ten kraniec galaktyki? Czy... mimo wszystko, porwała cię magia mojej wizji, budząc w tobie instynkt urzeczywistnienia tego wariantu – ów mistyczny instynkt, prowadzący nieraz na śmierć ludzi, którym jedynie

rozpacz podpowiadała pragnienie innego, nieosiągalnego dla człowieka życia? Dlaczego nie wróciłeś, Darianie? Przynajmniej na kilka godzin, przynajmniej, by uwolnić mnie od poczucia winy?

Pytam go, usiłując dojrzeć jego twarz, lecz widzę tylko, jak szczypie dwoma palcami koniuszek swego krzywego, ormiańskiego nosa – zmieszany i zakłopotany, jaką dać mi odpowiedź. Ponieważ odpowiedź powinna być koniecznie w jego stylu, a przecież nie wszystkie odpowiedzi mogą być żartobliwe, prawda?

Na moim ekranie widać gwiazdy i galaktyki, obłoki i mgławice, na moim ekranie znów rojno i wesoło, ale jeszcze chcę wiedzieć, jakim sposobem wytrysło tak cudotwórczo życie w torpedzie. Bujne i wesołe radiopaplanie gwiazd wypełnia jej ciasną kabinę, ponieważ wyłączyłem całkowicie masery. Aby dopełnić żywymi dźwiękami, ludzkimi dźwiękami tę torpedę, wydobywam z małej skrzyneczki z rzeczami osobistymi – ojciec pozwolił mi zabrać tylko pół kilograma, by zaoszczędzić ciężaru – ołowiany nabój, подарowany przez Majolę Beni. Wyciągam z niego kryształek, wkładam w pokładowy poli wizor, i puszczam tak mocno, że „Oda do ludzkiego bólu” grozi rozwaleniem odpornych na obłok wanadowo – krzemowo – lantanowych i lantanidowych ścian torpedy awaryjnej.

## 8

Jeszcze nie mogę nawdychać się świeżego powietrza z pokładowej instalacji klimatycznej po otwarciu hełmu. Umyślnie przesadziłem z tlenem i tlen płonie teraz radosnymi ognikami w mojej krwi, dlatego także dyktuję w tak zdyszonym tempie. To nie do opisanie i z pewnością nigdy nie zostanie także opowiedziane. Było to niczym forsowanie obnażoną piersią żelaznej ściany. To płaskie porównanie przyszło mi do głowy z tej prostej przyczyny, że jeżeli byłem w stanie coś konkretnego odczuwać, to jedynie całkowitą bezowocność naszej próby. Nie poruszyłem się ani centymetr w kierunku, w którym sam się wystrzeliłem, nie byłem pewien, czy w ogóle oderwałem się od gwiazdolotu i nie zdziwiłbym się, gdybym ujrzał go obok, gdy „to” się skończyło. Brak mi słów, zresztą nie mam ochoty szukać ich teraz. Skończyło się nagle, kiedy szykowałem się do włączenia czwartego silnika raketowego. Rey i Celer niewątpliwie mogą być dumni ze swej konstrukcji. Wystarczy, że od czasu do czasu uda im się skonstruować coś podobnego. Ojciec powiedział mi na odjeździe, że byłoby bezsens, gdyby Ikar podejmował akcję



ratunkową – przecież nie będę w stanie podać żadnych koordynatów. A jeśli nawet wejdą z pomocą silników raketowych w obłok, jak odnajdą torpedę w jego nieprzeniknionym dla wszelkiego promieniowania polu? Mimo to wyślę natychmiast raport, gdy tylko zorientuję się i wychwycę pelengator którejś z automatycznych stacji przekaźnikowych, które Ikar wystrzeliwuje wokół siebie. Mój laser jest sprawny i wszystko w torpedzie awaryjnej pracuje bez zarzutu, ale czy będzie komu odebrać moje sygnały? Przecież nie wiem, ile czasu minęło? Jeśli hipoteza tego Kardaszowa... Chronometr niezmiennie podaje jakiś swój dzień, jakąś godzinę, ale którego roku! I według jakiej rachuby czasu? A może mimo wszystko wróciłem do naszego czasu, na złość Kardaszowowi, na złość wszystkim czarnym dziurom. Galaktyka, na którą patrzę, jest ta sama, więc z całą pewnością nie wszedłem do innego wszechświata. I prawdę powiedziawszy, wcale nie miałbym na to ochoty. W tej jest tak pięknie, nawet kiedy serce pęka ci z bólu. Czy to czasem nie obłok? To on, nikkzemnik. Jak najdalej od niego! No, kochane silniki, poczekajcie, graserowy wciąż jeszcze nie może tu pracować, puśćmy mu więc w nos fotonowy! I może pocałować nas w ogon! Mimo wszystko przechytryliśmy go. Nie taki głupi jest staruszek ze swą teorią małych zwycięstw. Oby wytrzymał. Wytrzyma na pewno, to gwiazdna rasa, wytrzymała i mądra, tylko Darian... Ale dlaczego Ikar nie odzywa się? Przecież wystrzelił za mną radiolatarnię przekaźnikową? Nie słyhać żadnych sygnałów, kto wie, z której strony obłoku wyfrunąłem, ale przecież nie podróżowałem tak długo.

.....  
Myślę o Majoli, ponieważ nie przestaję słuchać jej muzyki, i cieszę się, że może ją ujrzę. Czy jesteś zdrowa, Majolu? Ile dzieci urodziłaś? Powinnaś urodzić jak najwięcej, słyszysz, jak najwięcej! Taką mądrość wyniosłem ze swego

„zwycięstwa”. Tylko narodziny stanowią prawdziwe zwycięstwo i nie widzę innego dla nas zwycięstwa, mimo mego ojcowskiego optymizmu, jak zasiedlanie wszechświata sacrum zwanym człowiekiem.

Myślę o Helianie Dolia-Moreni i zastanawiam się, co stało się z dziećmi, czy urodziły się jeszcze inne do nich podobne i co stanie się z nimi, gdy dorosną? Kocham te dzieci, choć należą do innego świata, do którego nie mam wstępu, a miłość rodzicielska nie powinna stać ino na przeszkodzie, prawda? Zadaję sobie jeszcze pytanie, czy udało się mojej małej Heli odzyskać zdolność zlewania się z przestrzenią. Bardzo chciała ją odzyskać, biedaczka, i nie była szczególnie szczęśliwa w zamkniętym

układzie naszej miłości, chociaż jak każda kobieta, ogólnie biorąc, zrećźnie udawała. Co mogę uczynić, skoro oboje urodzeni jesteśmy jakby na granicach dwu etapów, lecz doskonale różnych granicach różnych etapów. Darian powiedziałby: sytuacja w grze, w której brak strategii wygranej. A może sama miłość jest taką grą? Cóż, może gdy dorośnie Erki, Heli wyjdzie za mąż za Erkiego, tak jak Majola Beni wyszła za mnie, i będzie śpiewać mu stare, smutne pieśni o Ikarze, tam, w owej przestrzeni, której próżnia również zostanie już ogrzana kruchymi ciałami ludzi. Tam, pośród owych nadcywilizacji, z którymi tak bezowocnie próbowaliśmy nawiązać kontakt. Heliana da początek nowemu matriarchatowi i opowiadać będzie dzieciom i wnukom bajki o Dolnej Ziemi. Wydadzą im się zapewne zbyt fantastyczne, miejmy jednak nadzieję, że je polubią. A kiedy po wiekach lub tysiącletniach jej neandertalczyki ucywilizują się, odkryją być może w swych genach wspomnienie o Ziemi i śladem bajek wyruszą na jej poszukiwanie. Tak jak my, oczywiście, nie przestaniemy szukać swoich dziwnych dzieci, by spotkać się z nimi w przestrzeni i zamknąć krąg wielkiej jedności światów.

.....

Rozmyślam także o Ikarczykach, próżno pytać, co udało im się zrobić z Terriany, wciąż jeszcze nie wiem, co stało się z czasem, wtedy gdy byłem w obłoku. A mimo to nie potrafię nie wyobrazić sobie różnych rzeczy – tak silnie odczuwam, że istnieją. Jeśli nie ma specjalnych różnic w czasie, z pewnością buszuje tam teraz cała techniczna potęga Ikara. Dziesięć tysięcy mechanorobotów i tysiąc rządzących nimi psychorobotów, dotąd spoczywających w magazynach, stanowi armię budowniczych, którym nie oprze się żaden projekt. Nie byłbym zaskoczony, gdyby podziemne miasto – i to wielokrotnie większe od Ikara – było gotowe. Matka zapewne także już wypuściła, dla zaaklimatyzowania się w nim, jego pierwszych mieszkańców – mikroflorę i mikrofaunę, nieodłącznych towarzyszy ludzkiego organizmu. Tak, zagrzebią się ludzie i maszyny we wnętrzu Terriany jak nasiona, by pewnego dnia wyrosła z nich jeszcze jedna ludzka cywilizacja. Ta zrodzi zaś nowych Ikarczyków, którzy podejmą podróż po galaktyce. Mamo, pytam ją, co porabiają twoje lwy, mammo? Nie trzymaj ich zbyt długo pod ziemią! Czy jeszcze smucisz się, matko, jak wszystkie matki z powodu nieposłuszeństwa syna? Nie smuć się, mammo, ponieważ ja także nie jestem – jeszcze smutny!

.....

Oto jakie mądre banały czy też banalne mądrości przychodzą mi do

głowy, gdy leżę obok autopilota, wciąż jeszcze w superskafandrze, zasłuchany w kwantowy szum światła, dolatujący ze wszystkich stron galaktyki. Tylko z jednego kierunku, tam gdzie pozostał obłok, nie dochodzi nic prócz doprowadzającego do szału milczenia, ale wypełniam je „Odą do bólu”. Te banały nie są zupełnie w stylu osobnika z 47 chromosomem, ale są w stylu człowieka, który właśnie wymknął się z łap, objąć czy sprzed kosy – takim zdaje się atrybutem posługiwała się dawniej śmierć. A dlaczego właściwie – wymknął się? Przecież w owym przeklętym widzeniu nie widziałem własnej śmierci! Zresztą nie widziałem także śmierci Dariana ani jego zmiażdżonej wątroby, a więc, jeśli zdolni jesteśmy wierzyć w najbardziej fantastyczne pomysły, mógłby być jeszcze żywy? Jeśli człowiek nie potrafi w żadnym stanie ujrzyć własnej śmierci, nawet kiedy zlewa się z przestrzenią i przekracza próg bezczasu, to śmierć Dariana... Czyżby obłok ów nie był tak straszny, z pewnością nie jest, skoro Darian sam wypchnął torpedę, i Ormianin wałęsa się teraz w swoim superskafandrze po nim i obserwuje, i napawa się zjawiskami, których my w trumnie gwiazdolotu, w trumnie wiedzy, jaką jest każda nasza maszyna, w żaden sposób nie jesteśmy w stanie ujrzyć? To śmieszne, oczywiście, myśleć o czymś podobnym, lecz widać ponownie nastąpiła dla mnie godzina nie mających nic wspólnego z nauką fantastycznych bajek.

.....

Dlatego zapewne nie myślę o obłoku. Po prostu jeszcze nie chcę o nim myśleć – ani czy jest czarną dziurą, ani czy jest rodzącą się gwiazdą czy też służą do starego jak nasz antywszechświata. Po prostu wrócę, by mu się przyjrzeć, zanim Ikar odpowie na moje sygnały. By przynajmniej zobaczyć, skąd się wydostałem. Teraz, kiedy mam sprawne silniki, kiedy mam jeszcze nie naruszone dwa silniki rakietowe, nie muszę się spieszyć, jeśli tylko są zdrowi i cali, otrzymają wyniki! Skąpe wyniki gry, w której jeszcze nie odkryto strategii wygranej.

.....

Weroniko, kochanie, czy doprawdy zaśpiewałaś na końcu „Ode do ludzkiego bólu”? Zaśpiewałaś ją czy tylko powtórzyłaś? Ale dlaczego tak późno, ty, mądra, zdolna, dlaczego tak późno? Czy wypłakiwałaś w niej swą niemożność pozostania z nami? Ale czy tak bardzo, tak bardzo niemożliwe jest, byśmy byli razem?

.....

Automat odbiornika odezwał się nieprzyjemnym brzęczykiem – trwożliwym nawet wtedy, gdy odbiera coś nieoczekiwanego i radosnego.

Z pewnością jest wreszcie pelengator którejś z naszych latarni. Pozostawiam włączony dyktafon, aby i on uczestniczył w mojej opowieści. W ten sposób stanie się bardziej dramatyczna, prawda?

.....

– Balow, proszę się odezwać! Proszę odezwać się i krzyknąć „hurra”!

To głos Nansena, który w gwiazdolocie odpowiada między innymi za łączność.

– Balow, proszę się odezwać! Dlaczego pan milczy? Widzimy pana, jesteśmy niedaleko. Proszę przejść na odbiór. Dlaczego pan milczy?

– Jak się wydostaliście? – To ja, po długim milczeniu, ponieważ było o czym pomilczeć.

– Nie wiemy, tak jak nie odczuliśmy uderzenia, tak, nie odczuliśmy wyjścia z obłoku. To znaczy odczuliśmy je, oczywiście, jeszcze jak odczuliśmy! Ha, ha, ha! Wygląda na to, że mimo wszystko stało się to, co wiązaliśmy z protuberancją.

Czy też z zamknięciem śluzy, jak to ktoś określił. Czy jest pan zdrów? Czy wszystko działa sprawnie? Dlaczego jest pan na takim kursie? Proszę wziąć kurs możliwie jak najdalej od tego zaczarowanego miejsca!

– To znaczy, że uwierzyliście we własne bajki? Wcale nie tak było, opowiem wam, jak to się stało, widziałem na własne oczy. Weronika wcale nas nie wabiła.

Po prostu wyłączyli ją, ponieważ wracała do świata, z którego została wysłana.

Świat ten całkiem świadomie strzegł się przed zabiciem nas. Ponieważ wie już wszystko o nas. Mimo wszystko przechytrzyła ich i zaśpiewała naszą pieśń.

– Zenku, widzę, że ci wesoło. – To już mój ojciec. – Skoro wszystko w porządku, wracaj do nas! I jak najdalej od obłoku, słyszysz! Ledwo udało nam się wyrwać.

– Ale Darian pozostał w środku, prawda? I Weronika pozostała w środku.

– Zenonie, co znowu wymyśliłeś?

– Nie martw się, tato, dogonię was. Macie kopie badań, więc nie jestem wam specjalnie potrzebny. Nic się nie stanie. Oblecę tylko trochę większą część. Może...

– Nie igraj, chłopcze! Na razie nie mamy ani sił, ani środków, by go zbadać.

– Mam jeszcze dwie rakiety...

– Głupstwa! Nie wyobrażaj sobie, że wydostałeś się dzięki silnikom.

Obłok po prostu wyrzucił nas na zewnątrz, i to jednocześnie. Wątpliwe, czy po raz drugi okaże się równie wspaniałomyślny.

– Czyli mimo wszystko nie chce naszej śmierci.

– Zenonie, jako ojciec proszę, ale jako kierownik ekspedycji rozkazuję ci: wróć niedługo na pokład! Nie wyruszyliśmy natychmiast. Oblecimy obłok, ale oczywiście nie z takiej odległości. Czekamy na ciebie!

.....

Gwiazdolot rzeczywiście jest całkiem blisko. Dlatego nasze rozmowy przebiegają jak we wspólnym pomieszczeniu. Proszę, nawet ojciec się odezwał! Tak jak wtedy. Ale dlaczego nie mogę jak wtedy zobaczyć, jak wycieka przestrzeń albo jak wytryskuje ze swego źródła? Dlaczego moje oczy są ślepe? Ojciec powiedział, że chyba mi wesoło, oczywiście, że mi wesoło. Człowiekowi zawsze jest wesoło, gdy może opowiedzieć swą bajkę. W przeciwnym razie gra byłaby niezmiernie smutna. Kostka po prostu poturlała się tym razem w inną stronę, nam przysądżając szczęście, abyśmy pozostali żywi i chwalili się przed łatwowiernymi, że widzieliśmy jedno z zagadkowych źródeł nowej materii. Co mógłbym jeszcze zrobić? Ach, tak! Wystrzelę na wszelki wypadek w kierunku gwiazdolotu kontener z wynikami. I z moimi notatkami. Mimo iż nie wyruszam na śmierć, Heli z całą pewnością będzie usiłowała mnie powstrzymać. Ani razu nie przyszła jednak do mnie. Może przestała mnie kochać?

.....

Zamiast niej pojawiła się Terriana. Ogromna i olśniewająca. Stała dokładnie między mną i obłokiem. Właśnie wtedy, gdy wygrażałem mu, hej, obłoku, dlaczego nas nie chcesz? Uważasz nas za niegodnych? A może za niezbyt interesujących? Czy dlatego wypłułeś nas z taką pogardą, pojawiwszy mniej więcej, co sobą przedstawiamy? Czy naprawdę przestraszyłeś się, że możesz nas zabić? Nie martw się, jest nas dużo i jesteśmy niezniszczalni! Dlaczego zatem nie wrócił Darian? Dlaczego zabrałeś nam Weronikę? Przynajmniej ją mogłeś nam zostawić! Chcę jej powrotu, słyszysz! A w ogóle zadaj sobie trochę trudu, by zrozumieć człowieka! Skoro jesteś taki wielki i potężny, może zdołasz go zrozumieć.

.....

Ten hologram zbił mnie z tropu – w jakim kierunku wystrzelić kontener? Wypełniał sobą wszystkie ekrany. Czy wysłali go tu z naszego powodu, czy dla obłoku? Dobrze, że przyszło im to na myśl. Niech tkwi mu przed nosem, tak jak on tkwić będzie nad naszymi głowami, zagadkowy i prowokujący. Ikarczycy wciąż będą zadzierać ku niemu głowy ze swej Terriany i pewnego dnia z pewnością polecą znów ku temu

tajemniczemu światu, w który z pewnością nie sposób wdrzeć się bez przekształcenia się w superpotężny pocisk, jakim jestem teraz ja w mojej torpedzie awaryjnej z fotonowym silnikiem i dwiema raketami po bokach.

.....

Z pewnością poznać, że nie zachwyciłem się Terriana, choć jest tak piękna. Wyraźnie udoskonalili transmisję, to rzuca się w oczy. Jest tak plastyczna i realna, że początkowo, znużony tyloma cudami i widzeniami, wziąłem ją za prawdziwą. Puściłem nawet w jej kierunku promień lasera, ale nie wrócił. Przeszedł przez pomarańczowy kontynent równikowy, wszedł w obłok za nią i z pewnością dotarł do jego czarodziejskiego środka. Dlatego nie ucieszyłem się nowym genialnym figlem Ikarzyków. Choć dla normalnego człowieka to przyjemność spoglądać sobie na nią. Trudzą się tam teraz ludzie i maszyny nad stworzeniem nowego świata dla ludzi i maszyn. Może rodzi się tam już nowa bajka o życiu albo dopełnia się ów mit, którego kazał nam bronić Varius Lotz.

.....

Ale czy można bez końca wierzyć jedynie w mit, w bajkę? Zawsze sądziłem, że zmierzamy do jedności wszechświata, a okazuje się, że moje wyobrażenie było błędne. Teraz, gdy pozostałem sam, znów wydaje mi się, że podporządkowani jesteśmy także owym siłom zwanym słabym oddziaływaniem wzajemnym, i niczym jądra rozpadamy się na nietrwałe elementy, nieprzerwanie poszukując nieosiągalnie odległej stałości. Po ilu milionach lat uran przeobraża się w uspokojony miękki ołów? Ponadto podejrzewam, że zdążamy drogą odwrotną ku nieskończoności, drogą wielkich i nieśmiertelnych cząstek elementarnych, ustawiczną grą i przeobrażaniem się tworzących różnorodność wszechświata. Gdy rozmyślałem o liście Dariana, wydaje mi się, że sam także nie jestem niczym innym jak tylko taką zwykłą cząsteczką bądź antycząsteczką. Choćby ta, która nosi długą, niczym nazwiska dawnych Hidalczyków, nazwę – antiomega minus hiperon. Rodzi się oto zniecka taki antiomega minus hiperon; gdy próbujesz obliczyć jego prędkość w reaktorze życia, nie jesteś w stanie ustalić jego położenia – i odwrotnie – ustaliwszy jego położenie, nie zbadasz prędkości – przeżywa wyznaczoną mu miliardową część sekundy w nieskończoności czasu i natychmiast przekształca się w coś innego. I tak bez końca.

.....

Na razie – koniec!

## Posłowie

Notatki Zenona Balowa informują o wielu sprawach, które mogą pomóc w zrozumieniu jego postępków, ale wcale niemało spraw pozostanie nie wyjaśnionych. Ze statku ekspedycyjnego widziano jedynie, jak wystrzelił kontener z dokumentacją. Podobno był wesoły i żartował, gdy wyjaśniał, dlaczego go wysyła. Potem nagle kontakt się urwał. Torpeda awaryjna kierowała się prosto ku hologramowi Terriany, przecięła go i przepadła w obłoku, o którym wciąż nie jesteśmy w stanie powiedzieć wam niczego konkretnego.

Notatki przesyłam przez grupę Terina. Podejmie ona próbę przewiezienia na Ziemię rezultatów dotychczasowych badań. Ku naszemu rozgoryczeniu – wciąż jest nas niezbyt dużo – bardzo wielu Ikarczyków postanowiło bowiem wracać. Lecąc wciąż przed siebie i przed siebie, człowiek widać skazany jest na wieczną tęsknotę za swą przeszłością, z powodu której nie pozwoliliśmy sobie zatrzymać ich na nowej Ziemi. Poddadzą się w gwiazdolocie hibernacji i ruszą w drogę powrotną, przetartą przez Ikara w galaktyce. A kiedy zbudzą się... My, obecni mieszkańcy Terriany, prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, co ujrzą, ponieważ czas znów nas rozdzieli. Dlatego z całego serca życzymy im, by przypominało to choć troszkę tamto, co z taką siłą wezwało ich do powrotu.

Motto do pierwszej części notatek pochodzi z dokonanej przez Majolę Beni słownej i muzycznej parafrazy pieśni radzieckiego poety, Bułata Okudżawy. Motto drugiej – z dwudziestej pieśni hiszpańskiego poety Blasa de Otero. Czwarte motto, również adaptowane do muzyki, zapożyczone zostało od Amerykanina Alfreda Crainberga, piąte zaś należy do japońskiej poetki Sumako Fukao. Ostatnie motto, do części piątej, pochodzi rzeczywiście z jednej z sonat organowych Helmuta Bornefelda, lecz jego autora nie zdołałem odkryć. Wydaje się bardzo stare, w stylu przypowieści biblijnych. Wysiłki, by odnaleźć autora motto do części trzeciej, także pozostały daremne. Majola Beni wyparła się, by śpiewała taką pieśń, nie zna jej. Widocznie mamy do czynienia z niedokładnością we wspomnieniach samego Zenona Balowa.

Jak wspomniałem w uwadze wstępnej, notatki zawierają wiele pomyłek i naiwnych osądów, zwłaszcza w części naukowej, nie czuję się jednak powołany do ich korygowania. Ze swej strony mogę jedynie odwołać się do żartu Balowa seniora, że w rozwoju wiedzy nasze błędy i iluzje okazać się mogą równie cenne dla was jak nasze prawdy. W końcu każdy ma

prawo opowiedzieć swą bajkę; pozbawiona naiwności, nie byłaby bajką.

L. Redstar